



ROBERT
LUDLUM

DYREKTYWA JANSONA

NICI PRZERAŻAJĄCEGO SPISKU ZBIEGAJĄ SIĘ W ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH...

R O B E R T
L U D L U M

DYREKTYWA JANSONA

Z angielskiego przełożyła
AGATA KAROLAK



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE JANSON DIRECTIVE

Copyright © Myn Pyn LLC 2002
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz
2012

Polish translation copyright © Agata Karolak 2012

Redakcja: Michał Andrzejewski
Ilustracja na okładce: ostill/Shutterstock
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7659-483-5

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Motto](#)

[Prolog](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[CZEŚĆ DRUGA](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Łatwo jest mu rozdawać dary. Nawet gdyby żył wiecznie, nie rozdałby wszystkich, gdyż posiadał skarb Nibelungów.

Pieśń o Nibelungach

Ok. 1200 r.

Prolog

8°37'N, 88°22'E
Ocean Indyjski,
450 km na wschód od Sri Lanki
północno-zachodnia Anura

Noc była uciążliwa. Powietrze, rozgrzane do temperatury ciała, stało martwe. Wcześniej tego wieczoru padał lekki, orzeźwiający deszcz, ale teraz wszystko zdawało się promieniować ciepłem, nawet srebrzysty półksiężyc, co jakiś czas muskany pasmem chmur. Dżungla zionęła gorącym, wilgotnym oddechem przyczajonego drapieżnika.

Shyam poruszył się niespokojnie na płóciennym krześle. Zdawał sobie sprawę, że na wyspie Anura o tej porze roku była to całkiem zwyczajna noc – z początkiem pory monsunowej w dusznym powietrzu zawsze kłębiły się złe przeczucia. Tymczasem jednak panował spokój, zakłócany jedynie brzęczeniem wiecznie zajętych komarów. O wpół do drugiej nad ranem Shyam obliczył, że pełni służbę na posterunku od czterech i pół godziny. Przez ten czas punkt kontrolny minęło dokładnie siedem pojazdów. Punkt kontrolny tworzyły dwa równoległe rzędy zasieków z drutu kolczastego, które ustawiono na drodze po obu jej stronach w odległości dwudziestu pięciu metrów od siebie. Shyam i Arjun, wartownicy pierwszej linii,

siedzieli przed drewnianą przydrożną budką. Ponoć po drugiej stronie wzgórza pełniło służbę dwóch innych wartowników, ale panująca tam od kilku godzin cisza wskazywała na to, że drzemią, podobnie jak reszta żołnierzy w prowizorycznych koszarach kilkaset metrów dalej. Mimo złowieszczych ostrzeżeń przełożonych ostatnie dni i nocę wypełniała beznadziejna nuda. Północno-zachodnia prowincja Kenna była słabo zaludniona nawet w najlepszych czasach, a obecne z pewnością się do nich nie zaliczały.

Wraz z lekką bryzą napłynął cichy odgłos silnika, niczym bzyczenie owada.

Shyam podniósł się powoli. Dźwięk się przybliżał.

– Arjun! – zawołał śpiewnym głosem. – Arju-un? Samochód.

Arjun obrócił głowę, tak że strzyknęło mu w karku.

– O tej porze?

Potał oczy. W wilgotnym powietrzu pot oblepiał mu skórę jak ropa.

Pośród ciemności na wpół zalesionego terenu Shyam dostrzegł światła reflektorów. Oprócz silnika na zwiększonych obrotach dało się słyszeć głośnie okrzyki euforii.

– Cholerne wiejskie dzieciaki – burknął Arjun.

Ale Shyam był gotów ochoczo powitać każdego, kto przerwałby monotonię. Od tygodnia pełnił nocne warty na posterunku drogowym w Kandar i wiele go to kosztowało. Naturalnie, ich przełożony z kamienną twarzą bardzo się starał podkreślić, jak ważne, jak zasadnicze, jak żywotne znaczenie ma ta służba. Punkt kontrolny w Kandar znajdował się na drodze z Kamiennego Pałacu, gdzie rząd zwołał jakieś tajne posiedzenie, wobec czego podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. Była to praktycznie jedyna droga łącząca pałac

z opanowanym przez rebeliantów obszarem położonym nieco dalej na północ. Jednakże partyzanci z Frontu Wyzwolenia Kagama wiedzieli o punktach kontrolnych i trzymali się od nich z daleka. Podobnie jak wszyscy inni: w okresie między kampaniami rebeliantów i sił rządowych ponad połowa wieśniaków z północy opuściła prowincję. A ci, którzy zostali w Kenna, mieli mało pieniędzy, przez co wartownicy nie mogli właściwie liczyć na „napiwki”. Nigdy nic się nie działo i portfel świecił pustkami. Czyżby

Shyam tak bardzo zgrzeszył w poprzednim wcieleniu?

Wkrótce dojrzał ciężarówkę. W szoferce siedziało dwóch młodych mężczyzn z nagimi torsami. Dach był opuszczony. Jeden z chłopaków wstał. Zaczął wznosić gromkie okrzyki, oblewając się spienionym piwem z puszki. Ciężarówka – prawdopodobnie załadowana *kurakkan*, plonami jakiegoś biednego farmera – wzięła zakręt z prędkością ponad stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Na więcej nie pozwalał jęczący silnik. Amerykańska muzyka rockowa płynąca z jednej z popularnych stacji radiowych nadających na wyspie grzmiała na cały regulator.

Wesołe okrzyki i pohukiwania rozbrzmiewały echem pośród nocy. Jak wataha pijanych hien, pomyślał smutno Shyam. Amatorzy przejażdżki kradzionym samochodem, bez grosza przy duszy. Młodzi, pijani, mieli wszystko w nosie. Ale rano to się zmieni. Ostatnim razem, kilka dni wcześniej, nazajutrz po podobnym incydencie, do właściciela ciężarówki przyszli zawstydzeni rodzice chłopaków. Zwrócili samochód, którym przywieźli mnóstwo buszli *kurakkan*, w ramach rekompensaty za wyrządzone szkody. A dzieciaki, no cóż... Nawet siadając na miękkim fotelu samochodowym krzywiły się z bólu.

Shyam wyszedł na drogę z karabinem pod pachą. Ciężarówka pruća przed siebie. Wartownik cofnął się – głupotą byłoby ryzykować, goście wyglądali na pijanych w trupa. Któryś wyrzucił w powietrze puszkę piwa. Spadła z hukiem na ziemię – sądząc po odgłosie, była pełna.

Ciężarówka ominęła pierwszy rząd zasieków, potem drugi i pomknęła dalej.

– Niech Sziwa rozerwie ich na strzępy – mruknął Arjun. Przeczesał krótkimi palcami gęste, czarne włosy. – Nawet nie musimy łączyć się przez radio. Te dzieciaki słychać na kilometr.

– Co powinniśmy zrobić? – spytał Shyam.

Nie byli policjantami z drogówki, a przepisy nie pozwalały im strzelać tak po prostu do każdego pojazdu, który nie zatrzymał się do kontroli.

– To tylko wiejskie chłopaki. Banda wieśniaków.

– Hej – zachnął się Shyam. – Ja też jestem ze wsi. – Dotknął naszywki na koszuli khaki: ARA, Armia Republiki Anury. – Nie mam tego wytatuowanego. Odśłużę dwa lata i wracam na rolę.

– Teraz tak mówisz. Mój wujek ma dyplom college’u. W służbie cywilnej od dziesięciu lat. Zarabia połowę tego co my.

– Jasne, sam jesteś wart fortunę – stwierdził Shyam z sarkazmem.

– Chodzi o to, żeby wykorzystać swoją szansę. – Arjun pstryknął kciukiem w puszkę leżącą na drodze. – Wygląda na to, że jest pełna. No i właśnie o to chodzi. Trzeba się posilić, przyjacielu.

– Arjun – zaprotestował jego towarzysz. – Mamy być razem na służbie, wiesz o tym? We dwóch, tak?

– Spokojnie, stary. – Tamten wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Podzielę się z tobą.

Gdy ciężarówka odjechała od blokady na kilometr, kierowca zwolnił, a chłopak, który przez cały czas wszystko uważnie obserwował, usiadł, wytarł się ręcznikiem, włożył czarny podkoszulek i zapiął pasy. Lepkie piwo cuchnęło obrzydliwie w dusznym powietrzu. Obaj partyzanci mieli poważne miny.

Na płaskiej ławce za nimi siedział starszy mężczyzna. Spocone czoło oblepiały czarne loki, wąsy błyszcząły w świetle księżyca. Kiedy mijali z łoskotem punkt kontrolny, oficer FWK leżał niewidoczny na brzuchu. Teraz nacisnął przycisk krótkofalówki – starej, ale solidnej – i burknął jakieś polecenie.

Tylne drzwi platformy otworzyły się z metalicznym skrzypnięciem; siedzący w środku uzbrojeni mężczyźni mogli wreszcie zaczerpnąć powietrza.

• • •

Nadmorskie wzgórze miało wiele nazw i wiele znaczeń. Hindusi nazywali je Sivanolipatha Malai, ślad Sziwy, aby uwypuklić jego prawdziwe znaczenie. Buddyści określali je mianem Sri Pada, ślad Buddy, ponieważ wierzyli, że stworzył je Budda, odciskając w tym miejscu ślad lewej stopy, gdy podróżował na wyspę. Dla muzułmanów było to Adam Malai, Wzgórze Adama: w dziesiątym wieku arabscy kupcy utrzymywali, że Adam, kiedy został wygnany z raju, zatrzymał się tutaj i stał na jednej nodze tak długo, aż Bóg w końcu uwierzył w jego skruchę. Kolonialni suwereni – najpierw Portugalczycy, a potem Holendrzy – przypisywali temu miejscu znaczenie bardziej praktyczne, aniżeli duchowe: nadmorskie wzniesienie okazało się idealnym miejscem na fortecę, skąd konną artylerię można było skierować przeciwko wrogim okrętom wojennym. Pierwszą twierdzę

wzniesiono na wzgórzu w siedemnastym wieku. W kolejnych stuleciach wielokrotnie ją przebudowywano, przy czym nikt nie zwracał uwagi na niewielkie pobliskie świątynie, które teraz miały posłużyć armii Proroka za przystanki na drodze do ostatecznego zwycięstwa.

W zwykłych okolicznościach jej przywódca, człowiek nazywany Kalifem, nigdy nie wystawiałby się na zamęt i nieprzewidywalność zbrojnej potyczki. Ale to nie była zwykła noc. Ta noc miała zmienić bieg historii. Jak mogłoby go zabraknąć? Zresztą wiedział, że jego decyzja, aby dołączyć do swoich ludzi na polu bitwy, znacznie podniosła ich morale. Towarzyszący mu mężczyźni Kagama pragnęli, by stał się świadkiem ich bohaterstwa lub, gdyby los tak zdarzył, ich męczeństwa. Patrzyli na jego twarz, na subtelne, hebanowe rysy, mocno zarysowaną szczękę, i widzieli nie tylko pomazańca Proroka mającego ich poprowadzić ku wolności, ale też człowieka, który dla potomności spisze ich czyny w księdze życia.

Tak więc Kalif czuwał wraz ze swoim oddziałem na starannie wybranym górskim przyczółku. Czuł twardą, mokrą ziemię pod cienkimi podeszwami butów, ale Kamienny Pałac – a dokładniej główne wejście do pałacu – widział stąd jak na dłoni. Ogromna wschodnia ściana z wapienia, omszałe kamienie i szeroka, świeżo pomalowana brama kąpały się w świetle lamp, wbitych w ziemię w kilkumetrowych odstępach. Migotały. Przyzywały.

„Możecie dziś w nocy zginąć i wasi zwolennicy także”, oznajmił Kalif członkom swojej grupy kilka godzin wcześniej. „Jeśli tak się stanie, wasze męczeństwo zostanie zapamiętane – na zawsze! Wasze dzieci i wasi rodzice zostaną uświęceni przez pokrewieństwo z wami. Powstaną sanktuaria poświęcone waszej pamięci! Pielgrzymi

przybędą do miejsc waszego urodzenia. Będziecie zawsze pamiętani i czczeni jako ojcowie naszego narodu”.

Byli ludźmi pełnymi wiary, zapału i męstwa. Zachód ich lekceważył, z upodobaniem nazywając terrorystami. Terrorysty! Dla Zachodu, pierwotnego źródła terroru, to określenie stanowiło cyniczną wymówkę. Kalif pogardzał tyranami Anury, lecz czystą nienawiścią darzył tych ludzi Zachodu, którzy wspierali ich rządy. Anurowie przynajmniej rozumieli, że uzurpacja władzy kosztuje. Rebelianci nieraz już dostali nauczkę, płacąc za to własną krwią. Ale ludzie Zachodu dotąd pozostawali bezkarni. Może teraz to się zmieni.

Zlustrował wzrokiem zbocze i poczuł w sercu nadzieję – nie tylko dla siebie i swoich zwolenników, ale dla całej wyspy. Anura. Kiedy przywróci jej dawne znaczenie, stanie się niepokonana. Skały, drzewa i porośnięte winoroślą pagórki zdawały się go ponaglać.

Matka Anura rehabilituje swoich obrońców.

Wieki temu turyści odwiedzający wyspę musieli uciekać się do poezji, żeby oddać piękno jej przyrody. Wkrótce jednak kolonialne zapędy, podsycane przez zawiść i chciwość, narzuciły jej swoją ponurą logikę: zachowamy to, co zachwyca, zmonopolizujemy to, co zniewala. Anura stała się nagrodą, o którą walczyły wielkie morskie imperia Zachodu. Wokół gajów, gdzie uprawiano rośliny na przyprawy korzenne, wyrosły parapety murów obronnych. Na plażach, pośród wielkich muszli, spoczywały kule armatnie. To Zachód zapoczątkował na wyspie rozlew krwi, który rozprzestrzenił się niczym trujący chwast, karmiony niesprawiedliwością.

Cóż oni ci uczynili, matko Anuro?

Przy herbacie i kanapkach zachodni dyplomaci ustalali beztrąsko granice, wywołując wrzawę wśród milionów ludzi, traktując atlas

świata niczym dziecięcy blok rysunkowy.

Niepodległość, tak o tym mówili! Było to jedno z wielkich kłamstw dwudziestego wieku. Nawet reżim użył siły przeciw ludowi Kagama, co z jego strony wywołało kolejne akty przemocy. Za każdym razem, gdy zamachowiec samobójca zgładził ministra hinduskiego rządu, zachodnie media rozprawiły o „bezsensownych zabójstwach”, ale Kalif i jego ludzie wiedzieli, że nie ma innej drogi. Najbardziej nagłośnioną falę zamachów bombowych – kiedy w stolicy, w mieście Caligo, rzekomo zginęli cywile – on sam zaplanował osobiście. Dzięki niemu ich furgonetki stały się praktycznie niewidzialne: zostały oklejone podrobionymi nalepkami wszechobecnej międzynarodowej firmy kurierskiej. Cóż za banalny podstęp! Wypełnione nawozami sztucznymi, które nasączono olejem napędowym, pojazdy kurierskie dostarczyły śmierć. W minionym dziesięcioleciu ta fala zamachów spotkała się z największym potępieniem na całym świecie – osobliwa hipokryzja, zważywszy, że jedynie wypowiedzieli wojnę podżegaczom wojennym.

Radiooperator wyszeptał mu coś do ucha. Baza w Kaffra została zniszczona, system łączności nie działał. Nawet gdyby wieść o tym jakoś się jednak rozeszła, strażnicy z Kamiennego Pałacu nie mogli liczyć na wsparcie. Trzydzieści sekund później radiooperator miał do przekazania kolejną informację: potwierdzenie, że druga baza wojskowa została opanowana przez ludność. Kontrolowali teraz dwie główne drogi. Kalif poczuł ciarki na plecach: za kilka godzin wyrwą całą prowincję Kenna z despotycznego uścisku śmierci. Przejmą władzę. Wyzwolenie zaświeci nad horyzontem wraz ze słońcem.

Nic jednak nie było ważniejsze od przejęcia Kamiennego Pałacu, Steenpalais. Nic. Pośrednik mocno to podkreślał, a dotychczas

Pośrednik miał rację we wszystkim, poczynając od wagi swojego udziału w tym przedsięwzięciu. Spełniał obietnice – spełniał je nawet z nawiązką. Hojnie, wręcz rozrzutnie, wspomagał ich uzbrojeniem i, co równie ważne, informacjami. Nigdy nie zawiódł Kalifa, a on sam nigdy nie zawiedzie jego. Przeciwnicy Kalifa dysponowali swoimi źródłami, poplecznikami i dobroczyńcami. Czemu on nie miałby mieć własnych?

– Jeszcze zimne! – zawołał radośnie Arjun, podnosząc puszkę.

Z zewnątrz była nawet oszroniona. Przycisnął ją do policzka, mrużąc z rozkoszą. Jego palce zostawiały ślady na zmrożonej powłoce, błyszczącej wesoło w żółtym, zimnym świetle posterunku.

– I naprawdę jest pełna? – spytał z powątpiewaniem Shyam.

– Nieotwarta – odparł Arjun. – Ciężka od zdrowego napitku. – Faktycznie, wydała mu się nadspodziewanie ciężka. – Odlejemy łyk dla przodków. Kilka długich haustów dla mnie i parę kropli dla ciebie. Wiem, że nie lubisz piwa.

Arjun grubymi palcami wymacał uszko i pociągnął mocno.

Stłumiony trzask detonatora, jak ze strzelającej zabawki, z której wysypuje się confetti, rozległ się milisekundy przed wybuchem. Dość, by wartownik jeszcze pomyślał, że ktoś splatał mu figła, a Shyam, że jego podejrzenia – chociaż pozostały na niecałkiem świadomym poziomie osobliwego niepokoju – były uzasadnione. Kiedy wybuchło trzysta pięćdziesiąt gramów plastiku, obaj nie myśleli już nic.

Po druzgocącej eksplozji światła i dźwięku natychmiast pojawiła się ogromna kula niszczycielskiego ognia. Fala uderzeniowa odrzuciła zasieki i drewnianą budkę wartowniczą. Dwaj wartownicy, mający pełnić służbę po drugiej stronie punktu kontrolnego, nawet nie zdążyli się obudzić. Pod wpływem temperatury czerwona, laterytowa

ziemia w jednej chwili pokryła się szklistą skorupą barwy obsydianu. A potem, równie nagle, jak nastąpiła eksplozja, ogłuszający hałas i oślepiające światło zniknęły, niczym bańka mydlana. Siła zniszczenia zadziałała krótko, lecz skutecznie.

Kwadrans później, gdy konwój ciężarówek przykrytych plandekami mijał pozostałości po punkcie kontrolnym, żaden podstęp nie był już konieczny.

Zakrawało na ironię losu, z czego zresztą Kalif zdawał sobie sprawę, że tylko jego przeciwnicy w pełni rozumieją, jak pomysłowo zaplanowano ten szturm przed świtem. Na ziemi mgła wojny przesłoni to, co rzucałoby się w oczy z daleka: serię precyzyjnie skoordynowanych ataków. Kalif wiedział, że za dzień lub dwa analitycy w amerykańskich agencjach szpiegowskich zaczną bacznie wpatrywać się w obrazy z satelity, na których schemat ich działań będzie wyraźny jak wykres w podręczniku. Zwycięstwo Kalifa zapoczątkuje legendę; jego dług wobec Pośrednika – który sam przy tym obstawał – pozostanie sprawą między nim i Allahem.

Ktoś podał mu lornetkę. Zlustrował wzrokiem straż honorową, stojącą w szyku przed główną bramą.

Była jedynie ludzkim ornamentem. Strażnicy przypominali ułożone w harmonijkę papierowe lalki. Kolejny przykład głupoty elitarystycznego rządu. Nocna iluminacja kompleksu sprawiała, że stanowili łatwy cel, podczas gdy sami nie widzieli nic w otaczającej ich ciemności.

Straż honorowa reprezentowała elitę ARA – w większości tych, którzy mieli krewnych na wysokich stanowiskach, dobrze wychowanych karierowiczów dbających o higienę i prasujących w kant spodnie od munduru. Sama śmietanka, pomyślał Kalif

z mieszaniną ironii i pogardy. Showmani, nie wojownicy. Obserwował przez lornetkę siedmiu mężczyzn: każdy z nich nosił na ramieniu karabin, który w tej pozycji powinien robić wrażenie na postronnych, za to był kompletnie bezużyteczny. Nawet nie showmani. Marionetki.

Operator radiostacji dał mu znak skinieniem głowy: dowódca plutonu znalazł się na wyznaczonym miejscu. Miał uniemożliwić zajęcie pozycji przez skoszarowanych żołnierzy. Członek świty Kalifa podał mu broń. Był to jedynie rytuał, ustanowiony przez niego samego, ale rytuały służą władzy. Dlatego też Kalif postanowił oddać pierwszy strzał – z tego samego karabinu, z którego pół wieku wcześniej wielki bojownik o niepodległość zastrzelił holenderskiego gubernatora generalnego. Karabin, powtarzalny Mauser M24 z celownikiem optycznym, został gruntownie wyremontowany i starannie przystrzelany. Gdy Kalif odwinął spowijający go jedwab, karabin rozbłysnął niczym miecz Saladyna.

Wziął na cel pierwszego ze strażników i częściowo wypuścił powietrze z płuc, tak że krzyż nitek znalazł się pośrodku pokrytej wstęgami piersi mężczyzny. Nacisnął spust i bacznie obserwował, jak na twarzy żołnierza pojawiają się kolejno: zaskoczenie, ból, otumanienie. U góry tułowia, po prawej stronie, rozkwitła owalna plamka czerwieni, niczym kwiat w butonierce.

Inni członkowie oddziału Kalifa dołączyli do niego, wystrzeliwując grad dobrze wycelowanych pocisków. Jak marionetki pozbawione sznurków siedmiu oficerów padło bezwładnie na ziemię.

Kalif zaśmiał się wbrew sobie. Ich śmierć nie miała w sobie majestatu. Wydawała się równie absurdalna jak tyrania, której służyli. Ta tyrania teraz znajdzie się w defensywie.

No cóż. Lepiej, żeby do wschodu słońca wszyscy przedstawiciele rządu Anury pozostający jeszcze w prowincji podarli mundury na strzepy, w przeciwnym razie zostaną poćwiartowani przez wrogi tłum.

Kenna nie będzie już częścią pozbawionej legitymacji republiki Anury. Kenna stanie się jego władztwem.

Zaczęło się.

Wiedział, że słuszość jest po jego stronie, ta niezaprzeczalna prawda przeszła go jak błyskawica: jedyną odpowiedzią na przemoc jest jeszcze większa przemoc.

Wielu polegnie w kolejnych minutach i będą to szczęśliwcy. Pozostał jednak w Kamiennym Pałacu ktoś, kogo nie zabiją – jeszcze nie. Wyjątkowy człowiek. Człowiek, który przybył na wyspę, żeby negocjować pokój. Człowiek potężny, szanowany przez miliony, a jednak agent neokolonializmu. Tak więc należało mu się specjalne traktowanie. Ten wielki człowiek, wielki „mediator” wszystkich narodów – jak chciały zachodnie media – nie stanie się ofiarą potyczek wojennych. Nie zostanie zastrzelony.

Potraktują go w sposób naprawdę wyjątkowy.

A potem zetną mu głowę jak pospolitemu przestępcy, którym był w istocie.

Rewolucja będzie karmić się jego krwią!

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Światowa centrala Harnett Corporation zajmowała dwa ostatnie piętra eleganckiego wieżowca z czarnego szkła na Dearborn Street w samym sercu Chicago. Harnett była międzynarodową firmą budowlaną, lecz nie taką, która wznosiła drapacze chmur w amerykańskich metropoliach. Większość projektów realizowała poza granicami Stanów Zjednoczonych; wraz z większymi korporacjami, takimi jak Bechtel, Vivendi i Suez Lyonnaise des Eaux, budowała zapory, oczyszczalnie ścieków, elektrownie gazowe – mało efektowne, ale istotne elementy infrastruktury. Tego typu projekty stanowiły wyzwanie raczej z punktu widzenia inżynierii budownictwa wodnego i lądowego niż estetyki, przy czym wymagały umiejętności poruszania się w niestabilnej strefie pomiędzy sektorami publicznym i prywatnym. Kraje Trzeciego Świata, zmuszane przez Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy do wyprzedaży majątku publicznego, stale ogłaszały przetargi na budowę systemów łączności, instalacji wodnych i linii energetycznych, kolei i kopalni. Wraz ze zmianą własności pojawiało się zapotrzebowanie na nowe inwestycje, a firmy z zawężoną specjalizacją, takie jak Harnett Corporation, mogły się usamodzielić.

– Do Rossa Harnetta – rzucił mężczyzna do recepcjonisty.

– Paul Janson.

Recepcjonista, młody mężczyzna z rudymi włosami i piegowatą

twarzą, skinął głową i powiadomił gabinet prezesa. Zerknął na gościa bez większego zainteresowania. Jeszcze jeden biały w średnim wieku, z żółtym krawatem. Nic ciekawego.

Dla Jansona było powodem do dumy, że rzadko zwracał na siebie uwagę. Z wyjątkiem mocnej, atletycznej budowy, niczym się nie wyróżniał – wydawał się całkowicie nijaki. Pomarszczone czoło i krótko przystrzyżone, siwe włosy sprawiały, że wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat. Czy to na Wall Street, czy na giełdzie paryskiej, potrafił stać się niewidzialny. Nawet wytworny, szyty na miarę garnitur z szarej wełny chesankowej stanowił doskonały kamuflaż – równie skuteczny w dżungli korporacyjnej, jak zielono-czarna farba, którą malował twarz w prawdziwej dżungli w Wietnamie. Tylko wprawny obserwator zauważyłby pod marynarką nie tradycyjne poduszki, lecz silne ramiona. I tylko ktoś, kto spędził z nim trochę czasu, dostrzegłby bystre spojrzenie szaroniebieskich oczu i nieco ironiczny wyraz twarzy.

– To chwilę potrwa – poinformował go recepcjonista obojętnym tonem.

Janson oddalił się, żeby rzucić okiem na galerię zdjęć w holu. Wynikało z nich, że Harnett Corporation buduje obecnie sieć instalacji wodno-kanalizacyjnych w Boliwii, zapory w Wenezueli, mosty w Saskatchewan, elektrownie w Egipcie. Fotografie ukazywały dobrze prosperującą firmę budowlaną. Rzeczywiście, prosperowała – przynajmniej do niedawna.

Wiceprezes przedsiębiorstwa, Steven Burt, uważał, że powinno być o wiele lepiej. Występujące ostatnio tendencje zniżkowe wzbudziły jego podejrzenia, wobec czego nakłonił Paula Jansona, żeby spotkał się z Rossem Harnettem, prezesem i dyrektorem generalnym. Janson

miał wątpliwości, czy przyjąć kolejne zlecenie: wprawdzie dopiero od pięciu lat był konsultantem do spraw bezpieczeństwa korporacyjnego, ale od razu zdobył sobie reputację niezwykle skutecznego i dyskretnego, co oznaczało, że zapotrzebowanie na jego usługi wykraczało zarówno poza jego możliwości czasowe, jak i zakres zainteresowań. Tego zadania w ogóle nie brałby pod uwagę, gdyby w dawnych latach nie przyjaźnił się ze Stevenem Burtem. Burt, podobnie jak on, miał drugie życie, które zostawił za sobą, wkraczając do świata cywilów. Janson nie chciał go zawieść. Przynajmniej umówił się na spotkanie.

Zastępczyni Harnetta, kordialna, trzydziestoparoletnia kobieta, wkroczyła energicznie do holu, po czym zaprowadziła go do gabinetu szefa. Było to nowoczesne, proste w stylu wnętrze z oknami od podłogi do sufitu, wychodzącymi na południe i na wschód. Popołudniowe słońce przenikało chłodną poświatą przez polaryzowane szkło ścian budynku. Sam prezes siedział za biurkiem, rozmawiał przez telefon. Kobieta przystanąła w progu z pytającym spojrzeniem. Harnett władczym ruchem ręki nakazał Jansonowi, żeby usiadł.

– Wobec tego pozostaje nam negocjować kontrakty z Ingersoll-Rand – mówił do słuchawki. Był ubrany w jasnoniebieską koszulę z monogramem i białym kołnierzykiem; podwinięte rękawy ukazywały grube przedramiona. – Jeśli nie zaproponują cen, jakie obiecali, powiemy im, że możemy kupić części gdzie indziej. Pieprzyć ich. Kontrakt unieważniony.

Gość usiadł naprzeciwko w czarnym, skórzanym fotelu, nieco niższym od fotela Harnetta – tani chwyt teatralny, który, zdaniem Jansona, był raczej oznaką braku pewności siebie niż autorytetu.

Spojrzał wymownie na zegarek, przełknął irytację i rozejrzał się wokół. Z położonego na dwudziestym siódmym piętrze narożnego gabinetu prezesa roztaczał się piękny widok na jezioro Michigan i centrum Chicago. Wysoki fotel, wysokie piętro: Harnett dawał jasno do zrozumienia, że wspiał się na wyżyny.

Niski, potężnie zbudowany, miał posturę byczka i chropawy głos. Podobno szczycił się tym, że regularnie odwiedza bieżące inwestycje i rozmawia z brygadzystami, jakby był jednym z nich. Niewątpliwie emanował dumą człowieka, który zaczynał od samego dołu, by ostatecznie, w rezultacie ciężkiej pracy, znaleźć się w tym oto narożnym gabinecie. Ale nie całkiem tak było.

Janson wiedział, że Harnett zrobił dyplom na Wydziale Zarządzania Northwestern University i miał opinię specjalisty przede wszystkim w inżynierii finansowej, nie budowlanej. Stworzył Harnett Corporation, przejmując jej filie w czasie, gdy odczuwały brak gotówki i mógł je nabyć po mocno zaniżonej cenie. Ponieważ, jak odkrył, branża budowlana w dużym stopniu cechuje się sezonowością, obrót akcjami w odpowiednim momencie pomógł mu stworzyć stosunkowo niewielkim kosztem – firmę dysponującą dużą gotówką.

W końcu Harnett odłożył słuchawkę i przez chwilę, w milczeniu, przyglądał się gościowi.

– Stevie mówi, że ma pan doskonałą reputację – stwierdził znudzonym tonem. – Być może znam niektórych z pana klientów. Z kim pan pracował?

Paul spojrzał na niego, lekko zdziwiony. Chyba nie przyszedł tu na rozmowę kwalifikacyjną?

– Większość osób, które zgadzam się przyjąć – urwał dla

podkreślenia swoich słów – przyjmuję z polecenia innych moich klientów.

Było aż nazbyt oczywiste, że to nie Janson miał przedstawiać referencje i rekomendacje, tylko osoba zainteresowana jego usługami.

– Moi klienci – podjął – mogą, w pewnych okolicznościach, dyskutować o mojej pracy z innymi klientami. Osobiście preferuję zasadę poufności.

– Jak ten drewniany Indianin? – Harnett był wyraźnie poirytowany.

– Przepraszam?

– To ja przepraszam, ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, że obaj tylko tracimy czas. Pan jest zajęтым człowiekiem, ja jestem zajęтым człowiekiem, żaden z nas nie ma czasu na takie bzdury. Stevie wbił sobie do głowy, że nasza łódka przecieka i nabiera wody, ale to nieprawda. W tym biznesie tak już jest. Przeżywa się wzloty i upadki. Stevie nie ma dość doświadczenia, by to zrozumieć. Sam stworzyłem tę firmę. Wiem, co się dzieje w każdym biurze i na każdej budowie w dwudziestu czterech krajach. Pytanie brzmi, czy w ogóle potrzebujemy konsultanta w zakresie bezpieczeństwa korporacyjnego. A o panu, jak dotąd, słyszałem jedynie, że jest pan drogi. Osobiście jestem zwolennikiem oszczędności. Budżet ustalany od zera to dla mnie sprawa priorytetowa. Nie wiem, czy pan rozumie, o czym mówię. Wydatek każdego centa musi się zwrócić. Jeśli nie spodziewamy się zysków, nie wchodzimy w to. Akurat ten sekret chętnie panu wyjawię. – Harnett rozparł się w fotelu niczym pasza w oczekiwaniu na służącego z herbatą. – Ale może spróbuje pan nakłonić mnie do zmiany zdania. To tyle ja, teraz z przyjemnością posłucham.

Janson uśmiechnął się blado. Będzie musiał przeprosić Stevena

Burta – wątpił, czy ktokolwiek przychylnie nastawiony nazwałby go „Steviem” – ale widział wyraźnie, że nie dogada się z Harnettem. Przyjmował tylko nieliczne z ofert, jakie mu proponowano, a ta z pewnością nie była mu do niczego potrzebna. Należy jak najprędzej się z tego wyplątać.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, panie Harnett. Odnoszę wrażenie, że z pana punktu widzenia wszystko jest pod kontrolą.

Gospodarz pokiwał głową bez uśmiechu, uznając to za stwierdzenie oczywistości.

– Trzymam wszystko silną ręką, panie Janson – oznajmił z zadowoleniem, nieco protekcyjnie. – Nasze inwestycje na całym świecie są cholernie dobrze chronione, zawsze tak było i nigdy nie mieliśmy z tym problemu. Żadnych przecieków, zdrad, nawet żadnej poważnej kradzieży. A ja chyba najlepiej wiem, o czym mówię, zgodzi się pan ze mną?

– Oczywiście. Dyrektor generalny, który nie wie, co się dzieje w jego własnej firmie, w gruncie rzeczy nie ma nic do powiedzenia – odparł ze spokojem.

– Właśnie – zgodził się Harnett. – Właśnie tak. – Zawiesił wzrok na interkomicie konsoli telefonicznej. – Proszę posłuchać. Ma pan świetne rekomendacje... Stevie wspominał o panu w samych superlatywach i z pewnością jest pan dobry w swoim fachu. Miło, że pan do nas wpadł, i raz jeszcze przepraszam, że jedynie zmarnowaliśmy pana czas.

Paul odnotował użycie „my” i jego ewidentny podtekst: przykro mi, że członek naszej wyższej kadry kierowniczej przysporzył kłopotu nam obu. Bez wątpienia Steven Burt zostanie za to zrugany. Janson zdecydował, że jednak powie parę słów na pożegnanie, choćby przez

wzgląd na przyjaciela.

– Nic nie szkodzi – odezwał się, wstając. Uścisnął prezesowi dłoń nad biurkiem. – Cieszę się, że wszystko jest w idealnym porządku. – Przekrzywił głowę i dodał, jakby od niechcienia: – A właśnie, jeśli chodzi o tę „ściśle tajną” ofertę, którą złożyliście w przetargu w Urugwaju...

– Co pan wie na ten temat?

Harnett nagle bacznie mu się przyjrzał. Najwyraźniej Janson uderzył w czułą strunę.

– Dziewięćdziesiąt trzy miliony pięćset czterdzieści tysięcy, zgadza się?

Prezes poczerwieniał na twarzy.

– Chwileczkę. Zatwierdziłem ją dopiero wczoraj rano. Skąd pan, do cholery...

– Na pana miejscu martwiłbym się raczej, że wasz francuski konkurent, Suez Lyonnaise, też zna tę kwotę. Zapewne dowie się pan wkrótce, że ich oferta będzie niższa dokładnie o dwa procent.

– Co takiego?! – wybuchnął wściekle. – Steve Burt to panu powiedział?

– Steven Burt nie przekazywał mi żadnych informacji. Zresztą, pracuje w dziale eksploatacji, nie w księgowości czy w dziale handlowym. Mógł w ogóle znać szczegóły oferty?

Gospodarz zamrugał oczami.

– Nie – stwierdził po chwili milczenia. – Nie mógł o niczym wiedzieć. Cholera jasna, nikt nie mógł wiedzieć. Nasi księgowi wysłali ofertę zakodowanym e-mailem do ministerstwa w Urugwaju.

– A jednak ludzie dowiadują się o takich rzeczach. Bo nie pierwszy raz w tym roku zostaniecie minimalnie przelicytowani, prawda?

W minionych dziewięciu miesiącach wykiwali was już kilkanaście razy. Jedenaście z waszych piętnastu ofert przepadło. Jak słusznie pan zauważył, w tej branży są wzloty i upadki.

Harnettowi płonęły policzki, ale Janson mówił dalej tonem koleżeńskiej pogawędki.

– W przypadku Vancouver chodziło o coś innego. Inżynierowie z ratusza donieśli, że znaleźli zmiękczacze w cemencie używanym do konstrukcji ścian palowych. Jest łatwiejszy w odlewaniu, ale osłabia wewnętrzną strukturę. Oczywiście, to nie wasza wina – specyfikacje były w porządku. Skąd mogliście wiedzieć, że podwykonawca przekupił waszego inspektora budowlanego, żeby sfałszował raport? Jakaś płotka bierze marne pięć tysięcy dolarów łapówki, a wy zostajecie na lodzie, bo sprzątają wam sprzed nosa projekt wart sto milionów. Zabawne, prawda? Z drugiej strony, wyszło jeszcze gorzej, kiedy sami próbowaliście zrobić lewy interes. Jeśli zastanawiał się pan, co poszło źle w La Paz...

– Tak? – niecierpliwie dopytywał Harnett. Stał teraz nienaturalnie sztywno, jak słup soli.

– Powiedzmy, że Raffy znowu namieszał. Wasz kierownik uwierzył mu, kiedy Rafael Nunez obiecał, że łapówka dotrze wprost do rąk ministra spraw wewnętrznych. Naturalnie, nigdy nie dotarła. Wybraliście nieodpowiedniego pośrednika, po prostu. Raffy Nunez w latach dziewięćdziesiątych wykołował niejedną firmę. Większość waszych konkurentów go przejrzała. Zrywali boki ze śmiechu na widok waszego człowieka, który popijał z Raffym tequilę na kolacji w La Paz Cabana, bo doskonale wiedzieli, co z tego wyniknie. Ale co tam, przynajmniej próbowaliście, tak? Więc co z tego, że w tym roku wasz zysk operacyjny będzie niższy o trzydzieści procent? To przecież

tylko pieniądze. Czy nie tak zawsze mówią wasi udziałowcy?

Janson zauważył, że twarz prezesa z zarumienionej robi się trupio blada.

– A właśnie. Nic nie mówili? Prawda jest taka, że większość poważnych udziałowców tylko czeka, aż inna firma – Vivendi, Kendrick, może Bechter – zorganizuje wrogie przejęcie. Zatem spójrzmy na sprawy optymistycznie. Jeżeli postawią na swoim, pozbędzie się pan kłopotu. – Paul udawał, że nie dostrzega, jak Harnett wstrzymuje oddech. – Ale co tu gadać. Z pewnością pan już o tym wie.

Gospodarz wyglądał jak porażony, na granicy hysterii; przytłumione promienie słońca, przenikające ogromną połąć polaryzowanego szkła, uwydatniały krople zimnego potu na jego czole.

– Niech to szlag – wyszeptał. Spoglądał teraz na gościa wzrokiem, jakim tonący patrzy na tratwę ratunkową. – Proszę podać swoją cenę.

– Nie dosłyszałem?

– Proszę podać swoją cholerną cenę – powtórzył. – Będzie mi pan potrzebny. – Uśmiechnął się, próbując ukryć desperację pod maską jowialności. – Steve Burt mówił mi, że jest pan najlepszy, i miał rację, to oczywiste. Wcześniej tylko się z panem droczyłem. Proszę posłuchać, nie wyjdzie pan z tego pokoju, zanim nie dojdziemy do porozumienia. Jasne? – Na jego koszuli, pod pachami i na kołnierzyku, pojawiły się ciemne plamy potu. – Za chwilę ubijemy interes.

– Nie sędzę – stwierdził Janson uprzejmie. – Rezygnuję z tego zlecenia. To luksus, na jaki mogę sobie pozwolić jako niezależny konsultant: sam decyduję, których klientów przyjąć. Ale proszę mi wierzyć, życzę panu jak najlepiej. Nic tak nie poprawia krążenia jak

dobra walka poprzez pełnomocników, prawda?

Harnett wybuchnął udawanym śmiechem i klasnął w dłoń.

– Ma pan klasę – przyznał. – Świetna taktyka negocjacyjna. No dobrze, wygrał pan. Słucham, czego pan żąda?

Janson pokręcił głową z uśmiechem, jakby tamten powiedział coś zabawnego, i skierował się ku drzwiom. Ale zanim wyszedł z gabinetu, przystanął i się odwrócił.

– Powiem panu coś jeszcze, gratis – rzucił. – Pańska żona wie. – Byłoby nietaktem wypowiedzieć na głos imię wenezuelskiej kochanki gospodarza, Janson dodał więc tylko, nie wprost, lecz nie pozostawiając wątpliwości: – O Caracas.

Posłał Harnettowi znaczące spojrzenie: bynajmniej go nie oceniał. Po prostu, jak to w rozmowie dwóch profesjonalistów, zwracał uwagę na potencjalnie drażliwą kwestię.

Policzki prezesa pokryły się drobnymi, czerwonymi plamkami, a on sam sprawiał wrażenie, jakby dostał napadu mdłości. Wyglądał jak mężczyzna, który rozważa rujnujący go rozwód, a na dodatek prawdopodobną przegraną w korporacyjnej walce.

– Mogę zaproponować opcje na zakup akcji! – zawołał.

Jednak Janson już szedł korytarzem do windy. Wcześniej nie przejął go widok tego chwalipięty, doprowadzonego do ostateczności, ale gdy znalazł się w holu na dole, przepełniło go poczucie rozgoryczenia, straconego czasu, ogólnego bezsensu.

Jakiś głos z bardzo daleka – z innego wymiaru – cicho rozbrzmiewał mu w uszach. *I to nadaje sens twojemu życiu?* Phan Nguyen pytał go o to na tysiąc różnych sposobów. Było to jego ulubione pytanie. Paul nawet teraz widział przed sobą małe, inteligentne oczy, szeroką, ogorzałą twarz, szczupłe, dziecięce

ramiona. Wszystko, co dotyczyło Ameryki, wzbudzało ciekawość człowieka przesłuchującego go w Wietnamie – ciekawość, w której fascynacja mieszała się z odrazą. *I to nadaje sens twojemu życiu?* Pokręcił głową. Niech cię szlag, Nguyen.

Kiedy wszedł do limuzyny czekającej z włączonym silnikiem przed budynkiem na Dearborn Street, postanowił jechać wprost na lotnisko – miał szansę zdążyć na wcześniejszy lot do Los Angeles. Gdyby tylko mógł równie łatwo zostawić za sobą pytania Nguyena.

• • •

W poczekalni dla członków Klubu Platinum linii Pacifica Airlines na stanowisku odprawy stały dwie kobiety w uniformach o szaroniebieskim odcieniu. Na zakietach widniały epolety, do jakich wszystkie ważniejsze linie lotnicze są tak bardzo przywiązane. W innym miejscu, w innym czasie byłyby oznaką doświadczenia na polu bitewnym.

Jedna z kobiet rozmawiała z krzepkim, przysadzistym mężczyzną w rozpiętej niebieskiej marynarce, z pagerem przypiętym do paska. Janson poznał po błyszczącej metalowej odznace, wyzierającej z wewnętrznej kieszeni płaszcza, że mężczyzna jest inspektorem federalnego zarządu lotnictwa cywilnego. Niewątpliwie korzystał z chwili wytchnienia, żeby zwyczajnie pogawędzić z drugim człowiekiem. Jednak przerwali rozmowę, gdy Paul podszedł do stanowiska.

– Poproszę kartę pokładową – zwróciła się do niego kobieta.

Mocno umalowana twarz miała dawać wrażenie opalenizny, która jednak kończyła się w okolicy podbródka. Miedziane włosy były ewidentnie farbowane.

Paul machnął biletem i plastikową kartą, jaką otrzymywały w nagrodę osoby najczęściej latające liniami Pacifica.

– Witamy w Klubie Platinum linii Pacifica, panie Janson.

Oczy jej błyszczały.

– Damy znać, kiedy tylko zaczną wpuszczać na pokład – wyszeptała cichym, poufałym tonem druga stewardesa (kasztanowe loki, niebieski cień do powiek w odcieniu uniformu). Skinęła w stronę wejścia do luksusowej poczekalni, jakby to były bramy raju. – Tymczasem proszę korzystać z naszej gościnności i się odprężyć.

Na zachętę kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko. Sam święty Piotr nie byłby bardziej przekonujący.

W niszach takich jak Klub Platinum, ukrytych pośród dźwigarów i belek nośnych przeciążonego lotniska, nowoczesne linie lotnicze próbowały zaspokajać potrzeby podróżnych. W małych miseczkach nie czekały solone orzeszki ziemne, serwowane *aux miserables* w autokarach, lecz nieco droższe orzechy nerkowca, migdały, orzechy włoskie, pekany. Na granitowym blacie baru z napojami stały kryształowe dzbany, lepkie od nektaru brzoskwiniowego i świeżo wyciskanego soku z pomarańczy. Elegancką wykładzinę z mikrofibry, w charakterystycznym szaroniebieskim odcieniu, ozdabiała biało-granatowa krata. Na okrągłych stolikach, rozstawionych między wielkimi fotelami, leżały starannie złożone egzemplarze „International Herald Tribune”, „USA Today”, „Wall Street Journal” i „Financial Timesa”. Terminal Bloomberg’a migotał niezrozumiałymi liczbami i wykresami jak lalki w teatrze cieni światowej gospodarki. Przez listewki żaluzji prześwitywał pas kołowania.

Janson przejrzał gazety bez większego zainteresowania. W „Journal”, w dziale poświęconym rynkom, znalazł znajomo

brzmiące, patetyczne metafory: katastrofa na Wall Street – masowa wyprzedaż akcji uderza falą w Dow Jonesa. Kolumnę sportową w „USA Today” niemal w całości poświęcono załamaniu się ofensywy Raidersów w obliczu miażdżącego ataku obrony Wikingów. Przez cały czas z niewidocznych głośników płynęła piosenka aktualnej gwiazdy pop z filmowego hitu o legendarnej bitwie drugiej wojny światowej. Ogrom potu i krwi uhonorowano ogromem nakładów finansowych studia i kosztowną grafiką komputerową.

Janson opadł ciężko na obity tkaniną fotel i spojrzał w stronę hotspotu, gdzie menedżerowie produktów i pracownicy odpowiedzialni za klienta wpinali swoje laptopy i przeglądali pocztę od klientów obecnych i potencjalnych, od pracodawców, podwładnych i kochanek, w nieustannym poszukiwaniu nowych płaszczyzn działania. Z teczek wystawały grzbiety książek, rzekomo pełnych marketingowych porad guru takich jak Sun Zi – sztuka wojenna znalazła nowe zastosowanie w przemyśle dóbr konsumpcyjnych. Zamożni, zadowoleni z siebie, niezagrożeni, myślał Janson o otaczających go biznesmenach. Tak bardzo kochali pokój, ale jakże upodobali sobie symbole wojny! Mogli idealizować militaria w poczuciu bezpieczeństwa, podobnie jak idealizuje się drapieżne zwierzęta, które po wypchaniu służą do ozdoby.

Chwilami Paul sam czuł się jak wypchany eksponat na wystawie. Prawie wszystkie drapieżniki znajdowały się obecnie na liście zagrożonych gatunków, wśród nich bielik amerykański, i Janson zdał sobie sprawę, że on także był kiedyś drapieżnikiem – siła agresji przeciwko siłom agresji. Znał ekswojowników, którzy uzależnili się od adrenaliny i ryzyka, a kiedy już nikomu nie byli potrzebni, zmienili się w żołnierzyków. Tropili wrogów w Sierra Madre z markerami do

gry w paintball lub co gorsza, sprzedawali się podejrzanym firmom, prowadzącym podejrzone interesy, zwykle w tych częściach świata, gdzie podstawowym prawem pozostawał bakszys. Janson czuł do nich głęboką pogardę. Mimo to czasem zadawał sobie pytanie, czy specjalistyczna pomoc, jaką oferował amerykańskim przedsiębiorstwom, nie miała być przypadkiem bardziej godną szacunku wersją tego samego.

Prawda wyglądała tak, że był samotny, a samotność doskwierała mu szczególnie w czasie krótkich przerw w napiętym harmonogramie – między odprawą a startem samolotu, w pretensjonalnie zaprojektowanych poczekalniach. Gdy kolejny raz wylądował, nie powita go nikt, z wyjątkiem szofera w czapce z daszkiem, który przekreśli jego nazwisko wypisane na białej, tekturowej tabliczce; zatroskanego klienta z przedsiębiorstwa przemysłu lekkiego z siedzibą w Los Angeles. Na tym teraz polegała jego służba: od jednego biura do drugiego. Nie czekała na niego żona ani dzieci – chociaż kiedyś miał żonę i nadzieję na dziecko, bo Helene była w ciąży, kiedy zginęła. „Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, powiedz mu o swoich planach” – tak mawiał jej dziadek, a jego maksyma okazała się okrutnie prawdziwa.

Janson obrzucił wzrokiem złocistożółte butelki za barem. Ozdobne etykiety stanowiły alibi dla zapomnienia, jakie kryły w środku. Starał się być w formie, trenował obsesyjnie, ale nawet gdy służył w wojsku, pozwalał sobie na łyk lub dwa. Co w tym złego?

– Pan Richard Alexander proszony jest o zgłoszenie się do recepcji – odezwał się przez megafon nosowy głos. – Pasażer Richard Alexander jest proszony o zgłoszenie się do stanowiska linii Pacifica Airlines.

Był to jeden z typowych lotniskowych komunikatów, ale wyrwał

Paula z zadumy. W przeszłości nieraz posługiwał się pseudonimem „Richard Alexander”. Odruchowo wyciągnął szyję, rozglądając się wokół. Zwykły przypadek, pomyślał, ale w tej samej chwili zabręczała jego komórka, schowana głęboko w górnej kieszeni. Włożył do ucha słuchawkę nokii i nacisnął klawisz.

– Tak?

– Pan Janson? Przepraszam, pan Alexander?

Kobięcy głos, pełen napięcia, rozpaczliwy.

– Kto mówi? – spytał opanowanym tonem. Stres zwykle go paraliżował, przynajmniej z początku. Zamiast pobudzać, uspokajał.

– Panie Janson, proszę. Musimy natychmiast się spotkać, to pilne.

Wymawiała głoski z precyzją typową dla dobrze wykształconych cudzoziemców.

– Proszę o szczegóły.

Chwila milczenia.

– Kiedy się spotkamy.

Janson przerwał połączenie. Poczł, jak ciarki przeszły mu po plecach. Jednoczesne przywołanie przez megafon i dzwonek telefonu, usilna prośba, by spotkali się natychmiast – ten ktoś niewątpliwie znajdował się blisko. Z niepokojem obserwował podróżnych, zastanawiając się, który z nich postanowił go tutaj odszukać.

Czyżby to była pułapka, zastawiona przez dawnego bezwzględnego wroga? Niejeden zaspokoiłby żądzę zemsty, zadając mu śmierć. Nieliczni może faktycznie mieli powody, żeby się mścić. Mimo wszystko wydawało się to mało prawdopodobne. Nie trafił na pole bitwy. Nie transportował krnąbrnego zbiega z Dardaneli przez Ateny ku oczekującej go fregacie, omijając po drodze wszystkie graniczne punkty kontrolne. Na litość boską, był na lotnisku O’Hare!

Niewykluczone jednak, że właśnie dlatego ktoś wybrał to miejsce na spotkanie. Ludzie zwykle czują się bezpieczni na lotniskach, w otoczeniu wykrywaczy metali i umundurowanych pracowników ochrony. Trzeba niezwyklej przebiegłości, aby wykorzystać tę iluzję bezpieczeństwa. Chociaż na lotnisku, które codziennie obsługiwało prawie dwieście tysięcy pasażerów, bezpieczeństwo rzeczywiście wydawało się iluzją.

Rozwagał różne możliwości i wszystkie szybko odrzucał. Przy grubej szybie okiennej przesłoniętej żaluzjami, przez które widać było drogę kołowania, siedziała jasnowłosa kobieta. Najwyraźniej studiowała arkusze kalkulacyjne w laptopie. Zauważył, że ma przy sobie komórkę, niepodłączoną do słuchawek. Inna kobieta, siedząca bliżej wejścia, rozmawiała z mężczyzną noszącym na opalonej dłoni jedynie biały ślad po obrączce. Janson nadal się rozglądał, aż wreszcie ją spostrzegł – kobietę, która przed chwilą do niego dzwoniła.

Pozornie spokojna, siedziała w ciemnym kącie poczekalni – elegancka pani w średnim wieku, z komórką przy uchu. Miała siwe, zniszczone włosy i nosiła granatowy kostium od Chanel z dyskretnymi guzikami z macicy perłowej. To była ona, Janson wiedział, że się nie myli. Ale nie był pewien jej intencji. Zabójczyni, członkini grupy terrorystycznej? Spośród setek możliwości przynajmniej kilka musiał wykluczyć – wymagał tego standardowy protokół taktyczny, który znał na pamięć po latach spędzonych na wojnie.

Zerwał się na równe nogi. Przemieścić się – to podstawowa zasada. Musimy natychmiast się spotkać, to pilne – powiedziała kobieta. Skoro tak, spotkają się na jego warunkach. Ruszył do wyjścia z poczekalni dla VIP-ów, zabierając ze sobą po drodze plastikowy

kubeczek na wodę. Przy stanowisku odprawy wyciągnął go przed siebie, jakby był pełen, ziewnął, po czym zamknął oczy i wpadł wprost na przysadzistego inspektora, który cofnął się o kilka kroków.

– Och, przepraszam! – rzucił zażenowany. – Boże! Nie oblałem pana? – Szybko obmacywał dłońmi marynarkę mężczyzny. – Jezu, tak mi przykro! Z całego serca przepraszam!

– Nic się nie stało – odparł mężczyzna z lekkim zniecierpliwieniem.
– Następnym razem proszę uważać. Kręci się tutaj mnóstwo ludzi.

– Fakt, można stracić rozeznanie w czasie, ale... Boże, nie wiem, co się ze mną dzieje. – Idealne wcielenie wytrąconego z równowagi pasażera, zmęczonego po długiej podróży samolotem. – Jestem totalnie rozbity.

Gdy opuścił poczekalnię dla VIP-ów i ruszył w stronę Hali B, znów zabrzęczała komórka. Spodziewał się tego.

– To krytyczna sytuacja, z której pan chyba nie zdaje sobie sprawy – zaczęła kobieta.

– Ma pani rację – odburknął. – Nie mam pojęcia, o co chodzi. Zechce to pani wyjaśnić?

W rogu dostrzegł wnękę, oddzieloną stalowymi drzwiami z tabliczką NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

– Nie mogę – stwierdziła kobieta po chwili przerwy. – Nie przez telefon. Ale jestem na lotnisku i moglibyśmy spotkać się...

– Wobec tego proszę zadzwonić za minutę – rzucił do mikrofonu, przerywając połączenie.

Uderzył nasadą dłoni w poziomą sztabę metalowych drzwi i wszedł do środka. Znalazł się w wąskim pomieszczeniu wypełnionym tablicami rozdzielczymi. Wyświetlacze LCD monitorowały systemy i urządzenia lotniska, które znajdowały się po wschodniej stronie

terminalu. Na kołkach wisiały czapki i wiatróvky, przeznaczone do prac na otwartym powietrzu.

Trzej pracownicy linii lotniczych w granatowych, prążkowanych uniformach siedzieli przy kawie wokół stolika ze stali i laminatu. Najwyraźniej przerwał im rozmowę.

– Co pan wyprawia?! – wrzasnął jeden z nich, gdy drzwi zamknęły się za nim z hukiem. – Tu nie wolno wchodzić.

– To nie kibel, do cholery – mruknął drugi.

Janson uśmiechnął się chłodno.

– Nie polubicie mnie, chłopcy. Mam niespodziankę.

– Wyjął odznakę federalnego zarządu lotnictwa cywilnego, którą podwędził przysadzistemu mężczyźnie w poczekalni. – Kolejna inicjatywa w walce z narkotykami. Losowe testy na obecność narkotyków u pracowników transportu powietrznego, że zacytuje ostatnią notatkę służbową w tej sprawie. Musimy pobrać próbki do badania. Przepraszam za kłopot, ale w końcu zarabiacie tutaj grubą kasę, nie?

– Gównu prawda – rzucił z niesmakiem trzeci z mężczyzn. Był prawie łysy, jeśli nie liczyć siwiejącej, zaczesanej do tyłu grzywki. Za uchem miał krótki ołówek.

– Dupy w troki i jazda – warknął Janson. – Tym razem to całkiem nowa procedura. Moja ekipa zebrała się przy wyjściu numer dwa w Hali A. Nie kaźcie im czekać. Kiedy się niecierpliwią, mogą czasem pomylić próbki, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

– Gównu prawda – powtórzył łysy.

– Mam napisać w raporcie, że członek Stowarzyszenia Transportu Powietrznego stawiał opór i próbował wymigać się od testu na obecność narkotyków? Lepiej zacznijcie wertować ogłoszenia o pracy,

bo wynik może być pozytywny. – Janson złożył ręce na piersi. – No już, zabierajcie się stąd!

– Idę – burknął łysy, teraz już mniej pewny siebie. – Już mnie nie ma.

Poirytowani, niezadowoleni, wszyscy trzej pośpiesznie opuścili pomieszczenie, zostawiając na stoliku podkładki i kubki z kawą. Janson wiedział, że minie dobrych dziesięć minut, zanim dotrą do Hali A. Zerknął na zegarek i liczył sekundy. Komórka znów zabrzęczała – kobieta odczekała dokładnie jedną minutę.

– Obok kas biletowych jest restauracja – powiedział Janson. – Tam się spotkamy. Stolik w głębi po lewej. Będę za chwilę.

Zdjął marynarkę, włożył granatową wiatrówkę i czapkę.

Czekał. Kiedy minęło trzydzieści sekund, dostrzegł w hali siwowłosą kobietę.

– Cześć, kochanie! – zawołał.

Jednym sprawnym ruchem otoczył ją ramieniem, zasłonił dłonią usta i wepchnął do opuszczonego teraz pomieszczenia dla personelu. Upewnił się, że nikt nie zarejestrował tego manewru, który trwał może trzy sekundy. A jeśli już – wzięłby go raczej za czuły uścisk.

Zaskoczona kobieta zeszywniała ze strachu, ale nawet nie próbowała krzyczeć. Panowała nad sobą w sposób profesjonalny, co bynajmniej nie uspokoiło Jansona. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, szorstkim gestem nakazał jej, żeby usiadła przy laminatowym stoliku.

– Słucham.

Kobieta, osobliwie wytworna w tej surowej przestrzeni, usiadła na jednym z metalowych składanych krzesełek. Paul stał.

– Nie tak sobie pana wyobrażałam – stwierdziła. – Nie wygląda pan jak... – Dostrzegła jego otwarcie wrogie spojrzenie i postanowiła nie

kończyć zdania. – Panie Janson, nie mamy czasu do stracenia.

– Nie wyglądam jak kto? – spytał, cedząc słowa przez zęby. – Do cholery, nie znam pani. Pominę też rażące naruszenie protokołu. Nie spytam, skąd ma pani numer mojego telefonu komórkowego i skąd dowiedziała się pani tego, co o mnie wie. Ale zanim zakończymy to spotkanie, lepiej, żebym to ja dowiedział się wszystkiego, co chcę wiedzieć.

Nawet gdyby potrzebowała jego usług jako prywatna klientka, próba kontaktu w miejscu publicznym była całkowicie niestosowna. A odwołując się do jego doświadczeń na polu chwały, choćby dawno minionych, popełniła karygodne nadużycie.

– Ma pan rację, panie Janson – powiedziała. – Rzeczywiście, źle się do tego zabrałam... Musi mi pan wybaczyć...

– Muszę? Można tak domniemywać. – Wciągnął powietrze, rejestrując zapach jej perfum: Jubilee firmy Penhaligon.

Na moment spotkali się wzrokiem. Jansonowi przeszła złość na widok jej twarzy – zmartwionych, ściągniętych ust, spojrzenia szarozielonych oczu, pełnego ponurej determinacji.

– Jak już mówiłam, mamy bardzo mało czasu.

– Ja mam mnóstwo czasu.

– Ale Peter Novak nie.

Peter Novak.

Serce mu skoczyło na dźwięk tego imienia, i pewnie tak miało być. Novak – legendarny węgierski finansista i filantrop. W zeszłym roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za wkład w rozwiązywanie konfliktów na świecie. Był założycielem i dyrektorem naczelnym Fundacji Wolności, która promowała „demokrację kierowaną” – stanowiło to jego wielką pasję – i dysponowała biurami w stolicach

całej Europy Wschodniej, a także w innych, mniej rozwiniętych częściach świata. Ale Janson pamiętał Petera Novaka z innego powodu. A powodem tym był jego dług wdzięczności wobec tego człowieka, tak ogromny, że czasem ciążył mu jak brzemię.

– Kim pani jest? – zapytał.

Skierowała na niego spojrzenie szarzielonych oczu.

– Nazywam się Marta Lang i pracuję dla Petera Novaka. Mogłabym pokazać panu wizytówkę, gdyby to miało w czymś pomóc.

Janson powoli pokręcił głową. Na wizytówce widniał zapewne nic nieznaczący tytuł, z którego miało wynikać, że Marta Lang zajmuje ważne stanowisko w Fundacji Wolności. Pracuję dla Petera Novaka – sam sposób, w jaki to powiedziała, uzmysłowił mu, jaki typ reprezentuje. Była osobą do wszystkiego, postacią kluczową, porucznikiem; każdy wielki człowiek miał kogoś takiego. Ludzie tacy jak ona woleli pozostawać w cieniu, a jednak dysponowali wielką, choć nie swoją, władzą. Jej imię i nazwisko, ledwie słyszalny akcent, nie pozostawiały wątpliwości, że pochodzi z Węgier, podobnie jak jej pracodawca.

– Co pani próbuje mi przekazać? – spytał Janson, mrużąc oczy.

– Tylko tyle, że on potrzebuje pomocy. Tak jak pan kiedyś. W Baaqlina.

W jej ustach nazwa tego zakurzonego miasteczka zabrzmiała jak zdanie, akapit, rozdział. Dla Jansona tym właśnie było.

– Nie zapomniałem – mruknął.

– Wobec tego na razie musi pan wiedzieć jedynie, że Peter Novak potrzebuje pana pomocy.

Tych kilka słów wystarczyło. Janson przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie.

– Dokąd?

– Proszę wyrzucić swoją kartę pokładową. Nasz samolot czeka na pasie startowym, możemy startować natychmiast.

– Wstała. W swojej desperacji wydawała się dziwnie silna i opanowana. – Musimy iść. Nie chcę się powtarzać, ale nie mamy czasu.

– Ja też wolałbym się nie powtarzać. Dokąd?

– To pytanie do pana.

Rozdział 2

Kiedy wchodził za nią po antypoślizgowych, aluminiowych schodkach na pokład samolotu Novaka – był to Gulfstream V – jego uwagę zwrócił napis na kadłubie, wymalowany białymi pochyłymi literami, które błyszczały na tle powłoki w kolorze indygo: *Sok kicsi sokra megy*. Węgierskie słowa, dla niego niezrozumiałe.

Na pasie startowym panował niemiłosierny hałas, huk wlotów powietrza nakładał się na niski, basowy ryk rur wydechowych. Gdy jednak zamknęły się za nimi drzwi, zapanowała całkowita cisza, jakby znaleźli się w kabine dźwiękoszczelnej.

Wnętrze samolotu było urządzone elegancko, lecz bez przepychu, jak przystało na człowieka, który nie musiał dbać o cenę, ale nie dbał też o luksusy. Dominował kolor rdzawoczerwony. Duże, obite skórą fotele klubowe ustawiono pojedynczo po obu stronach korytarza, niektóre naprzeciwko siebie, przedzielone niskimi stolikami przyśrubowanymi do podłogi. Czwórka mężczyzn i kobiet z ponurymi minami, najpewniej współpracowników Marty Lang, już siedziała z tyłu maszyny.

Marta dała mu znak, żeby zajął miejsce naprzeciw niej, z przodu kabiny pasażerskiej, po czym podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego i wymówiła cicho parę słów. Ledwie słyhać było wycie silnika, który zwiększał obroty, w miarę jak samolot kołował po pasie. Izolacja akustyczna spisywała się na medal. Obita materiałem

przegroda oddzielała ich od kabiny pilota.

– Ten napis na kadłubie... Co to znaczy?

– „Z drobiazgów może powstać coś wielkiego”. To węgierskie powiedzenie ludowe i ulubione motto Petera Novaka. Na pewno rozumie pan dlaczego.

– Nie zapomniał, skąd pochodzi.

– Cokolwiek by mówić, to dzięki węgierskiej ojczyźnie jest tym, kim jest. A Peter nie zapomina o swoich długach.

Wymowne spojrzenie.

– Ja też nie.

– Wiem o tym. Właśnie dlatego możemy na panu polegać.

– Jeśli Peter ma dla mnie zadanie, chciałbym zapoznać się z nim jak najszybciej. I wolałbym, żeby osobiście wprowadził mnie w szczegóły.

– Na razie muszę panu wystarczyć. Jestem wicedyrektorką fundacji, pracuję z nim od wielu lat.

– Nie podaję w wątpliwość pani absolutnej lojalności wobec szefa – stwierdził Janson oziębło. – Ludzie Novaka... są z tego znani.

Kilka rzędów dalej jej pracownicy pochylali się nad mapami i wykresami. O co tu chodziło? Ogarniał go coraz większy niepokój.

– Rozumiem, co pan do mnie mówi, a także czego przez grzeczność pan nie mówi. Zdaję sobie sprawę, że osoby takie jak ja postrzega się czasem jako zauroczonych przywódcą, żarliwych wyznawców. Proszę mi wierzyć: żadne z nas nie ma złudzeń. Peter Novak jest tylko śmiertelnikiem. Wiemy o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie jesteśmy wyznawcami kultu. To raczej powołanie. Proszę sobie wyobrazić, że najbogatszy znany panu człowiek jest jednocześnie najmądrzejszym znanym panu człowiekiem, do tego nadzwyczaj dobrym człowiekiem.

Dlaczego jesteśmy wobec niego lojalni? Bo on naprawdę się przejmuje, w sposób niemal nadludzki. Mówiąc po prostu: ten świat go obchodzi. Chciałby zostawić go lepszym, niż go zastał. Można dopatrywać się w tym próżności, ale jeśli tak, to obyśmy mieli więcej tak próżnych ludzi. Z podobną wizją.

– Komitet noblowski nazwał go „wizjonerem”.

– To słowo, którego używam niechętnie. Dawno się zdewaluowało. Każdy artykuł w „Fortune” ogłasza „wizjonerem” jakiegoś tytana kablówki czy producenta napojów. Ale Fundacja Wolności była wizją Novaka i tylko jego. Wierzył w demokrację bezpośrednią, kiedy to pojęcie wydawało się jedynie mrzonką. Wierzył, że społeczeństwo obywatelskie można odbudować także w tych częściach świata, gdzie osłabił je totalitaryzm i konflikty narodowościowe. Piętnaście lat temu ludzie śmiali się, kiedy mówił o swoich marzeniach. A kto teraz się śmieje? Nikt mu nie pomagał, ani Stany Zjednoczone, ani ONZ, ale to nie miało znaczenia. Zmienił świat.

– Absolutnie – zgodził się Janson poważnie.

– Wasi analitycy z Departamentu Stanu dostawali raporty o „odwiecznej wrogości etnicznej”, o konfliktach i sporach granicznych, których nie można rozwiązać i nie ma sensu nawet próbować. Ale on próbował. I bardzo często mu się udawało. Zaprowadził pokój w regionach, gdzie ludzie nawet nie pamiętali, czym jest.

Marta Lang zakrztusiła się i umilkła.

Najwyraźniej nie przywykła do tak emocjonalnych wyznań i Janson postanowił na chwilę jej ulżyć.

– Całkowicie się z panią zgadzam. Pani pracodawca jest człowiekiem walczącym o pokój dla pokoju, o demokrację dla demokracji. To wszystko prawda. Prawdą jest też, że jego prywatna

fortuna jest równa PKB wielu krajów, z którymi robi interesy.

Lang pokiwała głową.

– Orwell mawiał, że świętych należy traktować jak winnych, dopóki nie dowiedzie się ich niewinności. Novak już nieraz udowodnił, kim jest. Człowiekiem, który zawsze będzie niósł pomoc ludziom w potrzebie. Trudno byłoby wyobrazić sobie świat bez niego.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami.

– Po co tu jestem? Gdzie jest Peter Novak?

Wzięła głęboki oddech, jakby to, co miała powiedzieć, mogło jej sprawić fizyczny ból.

– Został porwany przez rebeliantów Kagama. Musi go pan uwolnić. Nazywacie to, zdaje się, „skrytym wyjściem”. W przeciwnym razie zginie tam, gdzie teraz jest. W Anurze.

Anura. Jeniec Frontu Wyzwolenia Kagamy. Jeszcze jeden powód – główny powód, bez wątpienia – dla którego wybrali właśnie jego. Anura. Miejsce, o którym myślał niemal codziennie od pięciu lat. Jego własne, osobiste piekło.

– Zaczynam rozumieć – powiedział. Zaszło mu w ustach.

– Kilka dni temu Peter Novak przybył na wyspę z zamiarem pośredniczenia w rokowaniach pokojowych między rządem a rebeliantami. Wiele wskazywało, że uda się wynegocjować pokój. Front Wyzwolenia Kagamy uznał mojego szefa za bezstronnego mediatora. Na miejsce spotkania wybrano prowincję Kenna. Delegacja buntowników zgodziła się na wiele postulatów, które wcześniej kategorycznie odrzucała. A trwałe porozumienie w Republice Anury, kładące kres fali terroru, byłoby czymś wspaniałym. Zapewne pan to rozumie.

Janson milczał, ale serce zaczęło mu łomotać.

Ich dom, umeblowany przez ambasadę, znajdował się w Ogrodach Cynamonowych w stołecznym mieście Caligo. Nadal rosło tam wiele drzew, które kiedyś porastały całą wyspę. W lekkim porannym wietrze szeleściły liście i jazgotały ptaki. Jednak tym, co przebudziło go z płytkiego snu, był cichy odgłos kaszlu dobiegający z łazienki, a potem szum wody w kranie. Helene wróciła z łazienki, energicznie szczotkując zęby. „Może powinnaś dzisiaj zostać w domu”, powiedział sennym głosem. Pokręciła głową. „Kochanie, nie bez powodu nazywają to porannymi nudnościami”, odparła z uśmiechem. „Znikają jak poranna rosa”. Zaczęła ubierać się do pracy. Pracowała w ambasadzie. Kiedy się uśmiechała, jaśniała cała jej twarz: usta, policzki, oczy—zwłaszcza oczy... Zalała go fala wspomnień

– Helene, szykująca ubrania do wyjścia do biura, studiująca raporty z Departamentu Stanu. Niebieska płócienna spódnica. Biała jedwabna bluzka. Helene otwiera na oścież okna sypialni, do środka wpada poranne, tropikalne powietrze, przesycone zapachem cynamonu, mango, migdałowców. Jej promienna twarz, zadarty nos, przejrzyste, niebieskie oczy. Gdy noce w Caligo były gorące, chłodziła go swoim ciałem. W porównaniu z jej aksamitną skórą jego własna wydawała się gruba, szorstka, zniszczona. „Weź wolny dzień, najśłodsza”, powiedział, a ona odparła: „Lepiej nie, kochany. Albo za mną zatęsknią, albo wcale, tak czy siak, nie byłoby dobrze”. Pocałowała go w czoło i wyszła. Gdyby tylko z nim została. Gdyby.

Publiczne czyny, prywatne życie – najkrwawsze z rozdroży.

Anura, wyspa na Oceanie Indyjskim, wielkości Wirginii Zachodniej, zamieszкана przez dwanaście milionów ludzi, była obdarzona rzadkim naturalnym pięknem i bogatym dziedzictwem kulturowym. Janson został tam wysłany na osiemnaście miesięcy. Kierował specjalnym oddziałem wywiadowczym, który miał dokonać niezależnej oceny sytuacji politycznej

na wyspie, a także ustalić, jakie siły z zewnątrz pomagają wywoływać zamieszki. Przez ostatnie półtorej dekady ten raj paraliżowała jedna z najgroźniejszych organizacji terrorystycznych na świecie, Front Wyzwolenia Kagamy. Tysiące młodych mężczyzn, podległych człowiekowi, którego nazywali Kalifem, nosiło skórzane wisiory z kapsułkami cyjanku, na znak, że są gotowi oddać życie za sprawę. Kalif szczególnie upodobał sobie zamachy samobójcze. Zwłaszcza jeden z nich odcisnął swoje piętno na historii wyspy: kilka lat wcześniej, podczas wiecu premiera Anury, wysadziła się w powietrze samobójczyni, młoda dziewczyna, która miała pod sari ogromną ilość materiałów wybuchowych nafaszerowanych stalowymi kulkami. Zginął premier rządu, a wraz z nim ponad sto przypadkowych osób. A potem w centrum Caligo zaczęły wybuchać furgonetki. Pierwszy z zamachów zniszczył Międzynarodowe Centrum Handlowe Anury. W kolejnym bomba w furgonetce firmy kurierskiej spowodowała śmierć kilkunastu pracowników ambasady amerykańskiej.

Była wśród nich Helene. Jeszcze jedna ofiara bezmyślnej przemocy. A nawet dwie – bo co z dzieckiem, które niebawem miało przyjść na świat?

Sparaliżowany żalem, Janson zażądał dostępu do informacji przechwyconych przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, łącznie z zapisem rozmów, jakie przywódcy partyzantów prowadzili przez telefon satelitarny. Z nagrań, pospiesznie tłumaczonych na angielski, trudno było odgadnąć słowa czy choćby kontekst, chociaż dialogi wydrukowano czarnym tuszem na białym papierze. Ale jedno nie budziło wątpliwości: triumfalny ton. Zamach bombowy na ambasadę napawał Kalifa szczególną dumą.

Helene, byłaś moim słońcem.

W samolocie Marta położyła mu dłoń na nadgarstku.

– Tak mi przykro, panie Janson. Wiem, jakie to dla pana bolesne.
– Oczywiście – odparł spokojnie. – Właśnie dlatego mnie pani wybrała.

Nie odwróciła wzroku.

– Peter Novak jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Konferencja w prowincji Kenna okazała się zwyczajną pułapką.

– Przede wszystkim to było nierozsądne – odburknął.

– Czyżby? Naturalnie, reszta świata dała sobie spokój, z wyjątkiem tych, którzy ukradkiem popierają przemoc. Ale nic tak nie dotyka Petera jak defetyzm.

Janson poczerwieniał ze złości.

– FWK nawoływał do zniszczenia Republiki Anury. FWK wierzy, że przemoc w imię rewolucji jest szlachetna. Jak można negocjować z takimi fanatykami?

– Szczegóły są banalne. Jak zawsze. Plan zakładał ostateczne przekształcenie Anury w republikę federalną, dzięki czemu poszczególne prowincje zyskałyby większą autonomię. Miało to zadośćuczynić żądaniom rebeliantów, którzy mogliby stworzyć autonomiczny rząd, przy czym obywatele Anury mieliby zapewnione prawa obywatelskie. To leżało w interesie obu stron. Było wyjściem rozsądnym. A czasem rozsądek przeważa. Peter nieraz to udowodnił.

– Sam nie wiem, czy to heroizm, czy arogancja.

– Tak łatwo je pomylić?

Janson milczał przez chwilę.

– Po prostu dajcie tym draniom, czego chcą – rzekł w końcu stłumionym głosem.

– Niczego nie chcą – odparła cicho Lang. – Poprosiliśmy, żeby podali cenę za uwolnienie Petera żywego. Zupełnie ich to nie

interesuje. Sam pan wie, jak rzadko to się zdarza. To fanatycy. Odpowiadają wciąż tak samo: Peter Novak został skazany na śmierć za zbrodnie przeciw skolonizowanym, od wyroku „nie ma odwołania”. Zna pan sunnicką tradycję świętego dnia Id ul-Kebir?

– Upamiętnia ofiarę Abrahama.

Pokiwała głową.

– Baranek ofiarny. Kalif mówi, że w tym roku uczczą ten dzień ofiarą z Petera Novaka. Zostanie ścięty w Id ul-Kebir. To w ten piątek.

– Ale dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?!

– Bo tak – powiedziała Lang. – Bo jest złowrogim agentem neokolonializmu. Tak twierdzi FWK. Bo jeśli to zrobią, świat znów o nich usłyszy, będzie się o nich mówić więcej niż przez piętnaście lat terroru. Bo człowieka, którego nazywają Kalifem, za wcześniej nauczo siadać na nocniku. Kto wie dlaczego, do cholery?! To pytanie zakłada pewien poziom racjonalności, dla terrorystów przecież niedostępny.

– Dobry Boże – westchnął Janson. – Ale jeśli zamierza w ten sposób dodać sobie splendoru, jakkolwiek to wbrew logice, dlaczego dotąd tego nie nagłośnił? Czemu media o tym nie trąbią?

– Jest sprytny. Czeką z upublicznieniem tego wydarzenia do momentu, gdy będzie faktem dokonany. W ten sposób uniknie międzynarodowych nacisków, interwencji. Zresztą wie, że nie ośmielimy się o tym pisać, bo to wykluczyłoby możliwość jakiegokolwiek porozumienia, choćby w dalekiej przyszłości.

– Dlaczego rząd potężnego kraju miałby interweniować jedynie pod presją? Szczerze mówiąc, nadal nie rozumiem, czemu rozmawia pani o tym ze mną. Sama pani powiedziała: trudno wyobrazić sobie świat bez niego. Przyjmując, że Ameryka jest ostatnim supermocarstwem na

ziemi, czemu nie zwrócić się o pomoc do Waszyngtonu?

– To właśnie zrobiliśmy w pierwszej kolejności. Dostarczyli nam informacji. I przepraszała z całego serca, że oficjalnie nie mogą pomóc w żaden inny sposób.

– Zdumiewające. Śmierć Novaka mogłaby zachwiać równowagą w wielu regionach świata, a w Waszyngtonie niczego nie cenią sobie bardziej niż stabilizacji.

– Oprócz życia amerykańskich obywateli. W Departamencie Stanu są przekonani, że w obecnej chwili każda interwencja ze strony USA mogłaby zagrozić dziesiątkom Amerykanów przebywających na terenach okupowanych przez rebeliantów.

Paul milczał przez chwilę. Dobrze znał te kalkulacje. Sam nieraz je przeprowadzał.

– Poza tym, jak wyjaśnili, jest jeszcze parę dodatkowych... komplikacji – Marta wymówiła to słowo z niesmakiem. – Na przykład sojusznicy USA z Arabii Saudyjskiej od lat po cichu popierają FWK. Amerykanie nie podchodzą do tego zbyt entuzjastycznie, ale jeśli nie będą wspierać uciskanych muzułmanów, w tym muzułmańskim bajorku zwanym Oceanem Indyjskim, stracą twarz w stosunkach z pozostałą częścią świata islamskiego. Pozostaje jeszcze kwestia Donny Hedderman.

Janson pokiwał głową.

– Studentka antropologii z Uniwersytetu Columbia. Prowadziła prace badawcze na północnym wschodzie Anury. Co było niemądre i odważne. Porwali ją rebelianci Kagama i osądzili jako agentkę CIA. Co było niemądre i nikczemne.

– Przetrzytywali ją przez dwa miesiące, w całkowitym odosobnieniu. Pomijając głośne deklaracje, rząd USA nie kiwnął

palcem w jej sprawie. Nie chcieli „komplikować i tak skomplikowanej sytuacji”.

– Zaczynam rozumieć. Skoro Stany Zjednoczone odmawiają interwencji w sprawie obywatelki amerykańskiej...

– ...to jak by to wyglądało, gdyby ratowały węgierskiego miliardera? Właśnie. Nie postawili sprawy tak otwarcie, ale dali do zrozumienia, że o to właśnie chodzi. Z punktu widzenia polityki to „argument nie do obrony”.

– I wtedy wysunęliście oczywiste kontrargumenty...

– Oraz kilka mniej oczywistych. Wypruwaliśmy z siebie żyły. Może zabrzmiało to arogancko, ale zwykle stawiamy na swoim. Jednak nie poskutkowało. Ale nie daliśmy za wygraną.

– Niech zgadnę. Odbyliście tak zwaną „szalenie dyskretną rozmowę” – podsumował Janson. – W której padło moje nazwisko.

– Wielokrotnie. Kilku wysoko postawionych urzędników Departamentu Stanu i CIA gorąco pana polecało. Nie jest pan już związany z rządem. Jest pan niezależnym agentem i ma pan międzynarodowe powiązania z ludźmi z branży, nawet jeśli obecnie zajmuje się pan czym innym. Według byłych kolegów z Wydziału Operacji Konsularnych Paul Janson „jest najlepszy na świecie w swoim fachu”. Chyba dokładnie tak to ujęli.

– Czas terażniejszy jest tutaj mylący. A więc wspomnieli, że przeszedłem na emeryturę. Ciekawe, czy powiedzieli dlaczego.

– Najważniejsze, że jest pan teraz agentem niezależnym. Rozstał się pan z Wydziałem Operacji Konsularnych pięć lat temu.

Janson przekrzywił głowę.

– W dość niezręczny sposób. Jakbym pożegnał się z kimś na ulicy, po czym odkrył, że idziemy w tym samym kierunku.

•••

Zanim odszedł z Wydziału Operacji Konsularnych, musiał odbyć liczne rozmowy, niektóre obyczajne, inne dosyć przykre, jeszcze inne wręcz burzliwe. Najlepiej zapamiętał spotkanie z podsekretarzem stanu Derekiem Collinsem. Oficjalnie Derek był dyrektorem Biura Wywiadu i Badań w Departamencie Stanu; w rzeczywistości kierował jego tajnym oddziałem – Operacji Konsularnych. Paulowi do dziś stawał przed oczami Collins ze znużeniem zdejmujący okulary w czarnych oprawkach i pocierający dłonią grzbiet nosa.

– Żał mi ciebie, Janson – westchnął. – Nigdy nie sądziłem, że to powiem. Byłeś jak maszyna. Miałeś granitową płytę zamiast serca. I nagle mówisz mi, że to, w czym jesteś najlepszy, napawa cię odrazą. Gdzie w tym sens, do cholery? Jesteś jak mistrz cukierniczy, który nagle obwieszcza, że przestał lubić słodczy. Jak pianista, który stwierdza, że nie znosi muzyki. Janson, w używaniu siły jesteś bardzo, bardzo, bardzo dobry. A teraz twierdzisz, że straciłeś na to ochotę.

– Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, Collins – odparł. – Powiedzmy, że nie mam już do tego serca.

– Ty w ogóle nie masz serca, Janson. – Collins patrzył na niego lodowato. – Dlatego robisz to, co robisz. Niech to szlag, dlatego jesteś tym, kim jesteś!

– Może. A może nie jestem tym, za kogo mnie uważasz.

Dyrektor parsknął śmiechem.

– Ech, Janson. Nie umiałbym wspiąć się na maszt. Nie potrafię pilotować łodzi patrolowej, a od patrzenia przez noktowizor dostaję choroby morskiej. Za to znam się na ludziach. W tym jestem dobry. Mówisz, że zabijanie budzi w tobie odrazę. A ja ci powiem, co sam

odkryjesz pewnego dnia: tylko w ten sposób możesz poczuć, że żyjesz.

Paul pokręcił głową. Wzdrygnął się na tę myśl i przypomniał sobie, dlaczego musi odejść, dlaczego powinien był odejść dawno temu.

– Jaki człowiek... – zaczął, po czym urwał, ogarnięty odrazą. Wziął głęboki oddech. – Jaki człowiek musi zabijać, żeby czuć, że żyje?

Wzrok Collinsa zdawał się przeszywać go na wskroś.

– Powinienem cię zapytać o to samo.

•••

Teraz, w prywatnym samolocie Novaka, Paul dopytywał:

– Jak dużo o mnie wiecie?

– Słusznie pan przypuszczał, panie Janson: pana byli pracodawcy wyjaśnili nam, że ma pan parę niedokończonych spraw z Kagama.

– Tak to nazwali? „Niedokończone sprawy”?

Lang przytaknęła.

Strzępy ubrań, odłamki kości, urwane kończyny, odrzucone siłą wybuchu. Tyle zostało z jego ukochanej. Reszta: „skolektywizowana”, jak napisał w ponurych słowach amerykański ekspert w dziedzinie medycyny sądowej. Komunia śmierci i zniszczenia, krew i części ciała ofiar nierozpoznawalne, nie do odróżnienia. Czemu? W imię czego?

– Przyjmijmy – powiedział Janson po chwili milczenia. – Mało znają się na poezji.

– Wiedzieli także, że pana nazwisko nie będzie dla nas obce.

– Baaqlina.

– Chodźmy. – Marta Lang wstała. – Przedstawię pana moim ludziom. Ich zadaniem jest pomagać panu na wszystkie możliwe sposoby. Jeśli będzie pan potrzebował jakichkolwiek informacji, dostarczą ich panu lub dowiedzą się, jak je zdobyć. Mamy akta

z danymi, przechwyconymi przez wywiad, i wszystkie istotne informacje, jakie udało nam się zebrać w tym krótkim czasie. Mapy, wykresy, plany budynków. Wszystko do pana dyspozycji.

– Jeszcze jedno – wtrącił Janson. – Znam powody, dla których zwróciła się pani o pomoc akurat do mnie, i nie mogę odmówić. Ale czy wzięła pani pod uwagę, że z tych samych powodów jestem najmniej odpowiednią osobą do tego zadania?

Marta Lang spojrzała na niego spokojnie, ale nie odpowiedziała.

• • •

Kalif, wystrojony w śnieżnobiałe szaty, przeszedł przez Wielką Salę – duże atrium na drugim piętrze we wschodnim skrzydle Kamiennego Pałacu. Wszystkie ślady po krwawej jatce usunięto. No, prawie wszystkie. Misterny wzór geometryczny na podłodze wyłożonej płytkami ceramicznymi oszpecały jedynie niewielkie rdzawe plamy na fugach, gdzie krew pozostała zbyt długo.

Zajął miejsce u szczytu długiego na dziewięć metrów stołu. Czekająca na niego herbata z upraw w prowincji Kenna. Po bokach stali członkowie osobistej ochrony, oddani mu, prości mężczyźni o baczym spojrzeniu, którzy służyli mu od lat. Delegaci Kagama – siedmiu uczestników negocjacji, zwołanych przez Petera Novaka – zostali już wezwani i mieli zjawić się lada chwila. Wszyscy dobrze się spisali. Zasygnalizowali zmęczenie walką, świadomość „nowych realiów” i uspili czujność tego wścibskiego magnata i przedstawicieli rządu gadką o „ustępstwach” i „kompromisie”. Wszystko poszło zgodnie z planem dzięki siedmiu wiarygodnym, starszym członkom Kagama. Każdy z nich cieszył się poparciem ruchu jako potencjalny rzecznik Kalifa. I dlatego mieli mu wyświadczyć jeszcze jedną,

ostatnią przysługę.

– Sahib, delegaci już są – poinformował go młody posłaniec, wstydliwie spuszczać wzrok. – Wobec tego zostań i patrz uważnie, żebyś mógł opowiedzieć innym, co zaszło w tej pięknej sali – odrzekł Kalif.

Był to w istocie rozkaz i musiał być ściśle wykonany.

W drugim końcu Wielkiej Sali rozsunięły się szerokie, mahoniowe drzwi i siedmiu mężczyzn weszło gęsiego do środka. Z wypiekami na twarzy, w pogodnych nastrojach, najwyraźniej oczekiwali, że Kalif okaże im swoją wdzięczność.

– Miło mi widzieć przed sobą ludzi, którzy tak wprawnie negocjowali z przedstawicielami Republiki Anury – powiedział Kalif głośno i wyraźnie. Wstał. – Szacowni reprezentanci Frontu Wyzwolenia Kagamy.

Siedmiu mężczyzn skłoniło się pokornie.

– To był nasz obowiązek – odezwał się najstarszy. Miał siwe włosy, lecz jego oczy błyszczały. Niecierpliwie, z drżącymi ustami wyczekiwał pochwał. – To ty jesteś architektem naszych losów. Spełniliśmy jedynie twoje majestatyczne...

– Cisza! – przerwał mu Kalif. – Szacowni członkowie Frontu Wyzwolenia Kagamy, którzy zawiedli pokładane w nich zaufanie! – Zerknął na członków swojej świty. – Patrzcie, jak ci zdrajcy uśmiechają się i mizdrzą przede mną, przed nami wszystkimi. Nie mają wstydu. Sprzedaliby nasz los za miskę soczewicy! Nigdy nie byli upoważnieni do zrobienia tego, co próbowali zrobić. Pachołki republikańskich ciemiężców, odszczepieńcy, zdrajcy sprawy, która w oczach Allaha jest święta. Każda chwila, gdy oddychają na tej ziemi, jest obrazą dla Proroka, *salla Allah u alihi wa sallam*.

Zakrzywionym palcem wskazującym dał znak członkom swojej straży, by postępowali zgodnie z instrukcjami.

Repliki i protesty zaskoczonych delegatów przerwała seria z karabinu. Padali na ziemię w spazmatycznych drgawkach. Na białych tunikach rozkwitały plamy jaskrawej czerwieni. Gdy odgłos wystrzałów rozbrzmiewał pośród sali głośnym rata-tata–tat, niczym odświętne petardy, kilku delegatów, zanim wyzionęło ducha, wrzasnęło z przerażenia, upadając do przodu jeden na drugiego.

Kalif był zawiedziony – krzyczeli ze strachu jak dziewczynki. Tacy dobrzy ludzie. Czemu nie potrafili umrzeć z godnością? Klepnął w ramię jednego ze służących.

– Mustafa, dopilnuj, by bezzwłocznie uprzątnięto ten bałagan.

Zdążyli się już przekonać, że krew, niewytarta od razu, zostaje na fugach. Kalif i jego zastępcy byli teraz panami pałacu; musieli dbać o jego utrzymanie.

– Tak jest – odparł młody mężczyzna, kłaniając się nisko. Dotknął palcami skórzanego wisiora. – Niezawodnie.

Kalif zwrócił się z kolei do najstarszego członka swojej świty – zaufanego człowieka, który zawsze na bieżąco o wszystkim go informował.

– Jak się ma nasz baranek ofiarny?

– Sahib?

– Jak czuje się więzień w swojej nowej kwaterze?

– Nie najlepiej.

– Ma żyć! – stwierdził Kalif surowo. – Cały i zdrowy.

– Odstawił na bok filiżankę z herbatą. – Jeśli umrze przedwcześnie, nie będziemy mogli go ściąć w najbliższy piątek. Byłbym niepokieszony.

– Zajmiemy się nim. Ceremonia odbędzie się zgodnie z planem. W najdrobniejszych szczegółach.

Rzeczy pozornie mało znaczące jednak miały znaczenie, jak śmierć mało znaczących delegatów. Czy ci mężczyźni rozumieli, jaką misję wypełniają, umierając? Czy byli wdzięczni za miłość, która objawiła się gradem pocisków? Kalif odczuwał wobec nich prawdziwą wdzięczność, wdzięczność za ich ofiarę. Tej ofiary nie dało się dłużej odkładać, ponieważ FWK już wysłał komunikat potępiający negocjacje jako spisek przeciw Kagama i nazywał uczestników konferencji zdrajcami. Delegatów trzeba było zastrzelić choćby po to, by komunikat brzmiał wiarygodnie. Kalif nie mógł im tego wyjaśnić wcześniej, ale miał nadzieję, że przynajmniej niektórzy domyślili się wszystkiego w chwili śmierci.

Wszystko ze sobą współgrało. Egzekucja Petera Novaka i eliminacja negocjatorów umacniały Kagama na drodze do pełnego, bezwarunkowego zwycięstwa. I pozwalały zastopować wszelkich zagranicznych intruzów – agentów neokolonializmu w humanitarnych przebraniach – którzy mogliby apelować do „bardziej umiarkowanych”, do „pragmatyków”, osłabiając żarliwość sprawiedliwych. Takie półśrodki, kompromisy, granie na zwłokę obrażały samego Proroka! Obrażały tysiące Kagama, poległych w walce. Żadnych targów. Tylko głowy zdrajców.

A wówczas świat zrozumie, że Front Wyzwolenia Kagama trzeba traktować serio, honorować jego żądania, bać się jego słów.

Rozlew krwi. Ofiara z żywej legendy. Jak inaczej zmusić do słuchania głuchy świat?

Wiedział, że wśród Kagama wieści dotrą do tych, co trzeba. Światowe media to co innego. Dla znudzonych odbiorców z Zachodu

liczyła się przede wszystkim rozrywka. Cóż, Kagama nie prowadzili swojej walki o niepodległość dla rozrywki. Kalif znał sposób myślenia ludzi Zachodu, ponieważ kiedyś żył wśród nich. Większość jego zwolenników stanowili słabo wykształceni mężczyźni, którzy lemiesz wymieniali na miecze; żaden z nich nigdy nie podróżował samolotem i mało wiedzieli o świecie poza tym, co mogli usłyszeć w mocno cenzurowanych stacjach radiowych w języku Kagama.

Kalif szanował ich czystość, ale jego własne doświadczenia sięgały daleko głębiej i nie bez powodu: trzeba było narządzi mistrza, żeby dom mistrza zburzyć. Gdy zakończył naukę w college'u Uniwersytetu Hyderabad, przez kolejne dwa lata studiował inżynierię w College Park, w Maryland. Znalazł się – jak z upodobaniem powtarzał – w jądrze ciemności. Lata spędzone w Stanach Zjednoczonych nauczyły Kalifa – Ahmada Tabariego, tak się wówczas nazywał – jak ludzie Zachodu postrzegają resztę świata. Poznał mężczyzn i kobiety, którzy dorastali w rodzinach dzierżących władzę i przywileje. Walczyli przede wszystkim o pilota do telewizora, a jedynym niebezpieczeństwem, jakie im groziło, była nuda. Dla nich miejsca takie jak Anura, Sri Lanka, Liban, Kaszmir czy Birma zostały spłaszczony do jednowymiarowej metafory, symbolu bezcelowej rzezi prymitywnych społeczeństw. Za każdym razem Zachód był „nieświadomy”. Nieświadomy współudziału, nieświadomy faktu, że w porównaniu z jego własnym barbarzyństwem każde inne wydawało się nic nieznaczące.

Ludzie Zachodu! Wiedział, że dla wielu jego zwolenników pozostawali abstrakcją – jak duchy czy wręcz demony. Ale nie dla Kalifa. Poznał ich od podszewki. Zapamiętał ich zapach. Na przykład znużonej żony prodiiekana, z którą zaznajomił się na studiach. Po

spotkaniu, zorganizowanym dla zagranicznych studentów, wyciągała od niego opowieści o ubóstwie, a kiedy mówił, rumieniła się i wybałuszała oczy. Była dobrze po trzydziestce. Znudzona blondynka. W swoim wygodnym życiu dusiła się jak w klatce. Zaczęło się od pogawędki przy miseczce ponczu, następnego dnia nalegała na kawę, potem na coś więcej. Podniecały ją jego opowieści o prześladowaniach, o niedopałkach gaszonych na jego nagiej piersi. Niewątpliwie podniecała ją egzotyka, chociaż przyznawała się tylko do fascynacji jego „intensywnością”. Kiedy wspomniał, że kiedyś przystawiono mu do genitaliów elektrody, wyglądała na przerażoną i podnieconą jednocześnie. Czy spowodowało to jakieś trwałe efekty? – spytała poważnie. Rozbawiła go jej źle udawana ciekawość. zaproponował, żeby sama się przekonała. Jej komiczny mąż z cuchnącym oddechem, stawiający stopy palcami do środka, miał wrócić dopiero za kilka godzin.

Tamtego popołudnia Ahmad odmówił *salat*, rytualną modlitwę, z jej sokami na palcach. Poszewka na poduszkę posłużyła mu za dywanik modlitewny.

Następne tygodnie były niczym intensywny kurs zachodnich obyczajów, który okazał się równie cenny jak wszystko inne, czego nauczył się w Maryland. Jego kolejne kochanki nie wiedziały o sobie nawzajem. Mówiły z lekceważeniem o swoim wygodnym życiu, ale żadnej nie przyszłoby do głowy, żeby porzucić pożądaną klatkę. Zepsute białe suki! Zerkały jednym okiem na migoczące niebieskawą poświatą ekrany telewizorów i oglądały wydarzenia dnia, trzepocząc dłońmi, żeby lakier na paznokciach szybciej wysechł. Nigdy nie działało się nic, czego amerykańska telewizja nie sprowadziłaby do trwającego ćwierć minuty skrótu wiadomości ze świata: migawki chaosu nikły

pośród materiałów o najmodniejszych dietach, zagrożeniach dla zwierząt domowych i drogich zabawkach dla małych dzieci, które po połknięciu mogły okazać się niebezpieczne. Jakże bogaty był Zachód w dobra materialne i jak ubogi duchowo! Ameryka miała być światłem przewodnim dla innych narodów? Jeśli tak, było to światło prowadzące statki na mieliznę!

Dwudziestoczteroletni absolwent studiów wyższych wrócił do rodzinnego kraju z poczuciem, że czas nagli i trzeba działać.

Niesprawiedliwość trwała już tak długo i stawała się coraz głębsza. A jedyną odpowiedzią na przemoc – wciąż to podkreślał – musiała być jeszcze większa przemoc.

• • •

Janson spędził następną godzinę, przeglądając akta. Wysłuchał też krótkich wystąpień czworga współpracowników Marty Lang. Większość materiałów świetnie znał, niektóre z analiz wręcz odwoływały się do jego własnych raportów z Caligo, składanych ponad pięć lat temu. Przedwczoraj w nocy rebelianci opanowali bazy wojskowe, minęli punkty kontrolne i praktycznie przejęli kontrolę nad prowincją Kenna. Najwyraźniej wszystko to zostało wcześniej starannie zaplanowane, łącznie z naciskami, żeby spotkanie na szczycie odbyło się właśnie tu. W najnowszym komunikacie dla swoich zwolenników FWK oficjalnie odciął się od delegatów na konferencję, nazywając ich zdrajcami, którzy działali bez upoważnienia. Oczywiście było to kłamstwo, jedno z wielu.

Pojawiło się jednak parę nowych szczegółów. Ahmad Tabari, człowiek nazywany Kalifem, w ciągu ostatnich kilku lat zyskał powszechne poparcie. Jak się okazało, niektóre z jego programów

żywnościowych zjednały mu sympatyków nawet wśród hinduskich chłopów. Nadali mu przydomek „Likwidator” – nie ze względu na skłonność do mordowania cywilów, ale dlatego że zapoczątkował kampanię na rzecz zwalczania szkodników. W rejonach kontrolowanych przez FWK podjęto radykalne środki przeciw miejscowym szczurom, *bandicota bengalensis*, szkodnikom niszczącym zboża i drób. W rzeczywistości motywem kampanii Tabariego był pewien stary przesąd. W klanie Tabarich – wielopokoleniowej rodzinie jego ojca – szczur symbolizował śmierć. Bez względu na to, ilu wersetów Koranu Ahmad Tabari nauczył się na pamięć, to pierwotne tabu odcisnęło się w sposób trwały na jego psychice.

Jednakże to kwestie praktyczne, a nie sfera psychologiczna, przykuły uwagę Jansona. Przez kolejne dwie godziny przypatrywał się uważnie szczegółowym mapom topograficznym, ziarnistym zdjęciom satelitarnym wieloetapowego ataku rebeliantów i starym planom dawnej, kolonialnej siedziby gubernatora generalnego, a jeszcze wcześniej fortecy – budowli na Wzgórzu Adama, nazwanej przez Holendrów *Steenpaleis*, Kamiennym Pałacem.

Raz po raz spoglądał na rzuty pionowe wzniesienia i Kamiennego Pałacu, analizował zarówno widok z góry, jak i plany strukturalne budynku. Jeden wniosek nie budził wątpliwości. Jeśli rząd Stanów Zjednoczonych odmówił wysłania oddziałów SEALs, w grę wchodziły nie tylko względy polityczne. Główny powód był taki, że jakakolwiek akcja bezpośrednia musiała zakończyć się klęską.

Współpracownicy Lang wiedzieli o tym. Mieli to wypisane na twarzach: ta misja po prostu nie mogła się powieść. Ale, jak się zdawało, nikt nie chciał powiedzieć tego wprost Marcie Lang. Lub może jej powiedziano, ale nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Najwyraźniej sądziła, że Peter Novak jest człowiekiem, za którego warto oddać życie. Sama tak by zrobiła. A osoby takie jak ona skłonne były poświęcić także życie innych ludzi. Czy nie miała racji? Amerykanie nieraz umierali w imię wątpliwych korzyści – po raz dziesiąty stawiając most nad Dak Nghe, niszczone za każdym razem, zanim jeszcze nastał poranek. Peter Novak był wielkim człowiekiem. Wielu zawdzięczało mu życie. Wśród nich Janson, chociaż starał się o tym nie pamiętać.

Jeśli ludzie nie chcieli ryzykować, ratując takiego apostoła oświecenia, to jak to się miało do ideałów pokoju i demokracji, którym Novak poświęcił całe swoje życie?

Nagle się wyprostował. Jednak dostrzegł pewne wyjście.

– Będziemy potrzebowali samolotów, łodzi, a przede wszystkim odpowiednich agentów – oznajmił Marcie Lang. Zmienił się ton jego głosu: już się nie wahał, teraz wydawał rozkazy. Wstał i w milczeniu chodził tam i z powrotem. Rozstrzygającym czynnikiem mieli być ludzie, nie sprzęt.

Marta Lang spojrzała wyczekująco na współpracowników.

Przynajmniej przez chwilę nie było w jej wzroku ponurego wyrazu rezygnacji.

– Mam na myśli doborowy zespół specjalistów – sprecyzował. – Najlepszych w swoim fachu. Nie ma czasu na szkolenia. To muszą być ludzie uczestniczący wcześniej w podobnych misjach. Ludzie, z którymi pracowałem i którym mogę zaufać. – Wyświetliła mu się w głowie galeria postaci. Od razu dokonał w myślach wyboru: zostało czterech. Z każdym z nich pracował w przeszłości. Do wszystkich miał bezgraniczne zaufanie. Wszyscy zawdzięczali mu życie i z pewnością pamiętali o długu honorowym. I żaden z nich – akurat tak się złożyło

– nie był obywatelem amerykańskim. W Departamencie Stanu mogli odetchnąć. Podał Lang listę. Czterech mężczyzn z czterech różnych krajów.

Nagle uderzył w blat stolika.

– Chryste! – niemal krzyknął. – Zapomniałem. Trzeba wykreślić ostatnie nazwisko. Sean Hennessy.

– Nie żyje?

– Żyje. Za kratkami. W więzieniu Jej Królewskiej Mości. Wormwood Scrubs. Aresztowany parę miesięcy temu pod zarzutem posiadania broni. Podejrzewali, że jest w IRA.

– A jest?

– Tak się składa, że nie. Wystąpił z IRA, kiedy skończył szesnaście lat. Ale żandarmeria wojskowa zachowała jego nazwisko w aktach radykałów. Pracował dla Sandline Ltd. Dbał o bezpieczeństwo w Republice Konga, gdzie wydobywali tantalit.

– I najlepiej wypełni zadanie, które chce mu pan powierzyć?

– Skłamałbym, mówiąc, że jest inaczej.

Lang wystukała jakiś numer w urządzeniu wyglądającym jak miniaturowa centrala telefoniczna, i przystawiła do ucha słuchawkę.

– Mówi Marta Lang. – Wymawiała słowa z dobitną precyzją. – Marta Lang. Proszę o weryfikację.

Minęło sześćdziesiąt długich sekund. W końcu znów się odezwała.

– Z panem Richardem proszę.

Wybrany numer z pewnością nie należał do tych w powszechnym obiegu. Ktokolwiek odebrał telefon, musiał automatycznie zakładać, że chodzi o sytuację nadzwyczajną – wyjaśnienia były tu zbędne. Weryfikacja bez wątplenia obejmowała zarówno analizę głosu, jak i sygnału telefonu, przyznawanego przez Amerykański Urząd

Normalizacyjny każdej linii telefonicznej w całej Ameryce Północnej, łącznie z tymi, które wykorzystywały połączenia satelitarne.

– Panie Richardzie – powiedziała Lang głosem już mniej lodowatym. – Mam tutaj nazwisko więźnia Jej Królewskiej Mości. Sean, S-E-A-N, Hennessy, podwójne „n”, podwójne „s”. Prawdopodobnie zatrzymany przez służbę bezpieczeństwa przed trzema miesiącami. Status: oskarżony, nie skazany, czeka na proces.

Spojrzała pytająco na Jansona, jakby prosiła o potwierdzenie. Skinął głową.

– Trzeba będzie natychmiast go zwolnić. Ma polecieć do... – urwała, jakby zmieniła zdanie. – Na lotnisku Gatwick czeka nasz samolot. Dopilnujcie, żeby Hennessy jak najszybciej znalazł się na pokładzie. Proszę o telefon za czterdzieści pięć minut. Z informacją o przewidywanym czasie przybycia.

Janson pokręcił głową ze zdumieniem. Tajemniczy „pan Richard” – to musiał być Richard Whitehead, dyrektor brytyjskiego Wydziału Śledztw Specjalnych. Jednak największe wrażenie zrobił na nim chłodny, rozkazujący ton głosu Marty Lang. Whitehead miał oddzwonić. Nie po to, by powiadomić ją, czy jej prośba zostanie uwzględniona, ale kiedy zostanie spełniona. Jako bezpośrednia zastępczyni Novaka najwyraźniej była dobrze znana przedstawicielom światowych elit politycznych. Podczas gdy on rozważał przewagę rebeliantów z Anury, ludzie Novaka najwyraźniej sami radzili sobie całkiem nieźle.

Jego podziw wzbudziła także instynktowna dbałość Lang o bezpieczeństwo operacji. Nie ujawniła portu przeznaczenia.

Samolot Fundacji Wolności na lotnisku Gatwick musiał tylko przedstawić przybliżony plan lotu. Dopiero gdy wejdzie

w międzynarodowy korytarz powietrzny, pilot pozna cel podróży wyznaczony przez Jansona: archipelag Nikobary.

Z pomocą jednego ze współpracowników Lang, mężczyzny, który nazywał się Gerald Hochschild i de facto pełnił obowiązki oficera logistyki, Janson przeglądał listę niezbędnego sprzętu wojskowego. W odpowiedzi na zamówienia Hochschild nie odpowiadał „tak” lub „nie”, mówił tylko: dwanaście godzin, cztery godziny, dwadzieścia godzin. Czas potrzebny na znalezienie i transport towaru na Nikobary.

To wszystko wydaje się zbyt proste, myślał Janson. Po chwili zrozumiał dlaczego. Kiedy grupy obrony praw człowieka organizowały konferencje, na których omawiano problem handlu bronią strzelecką w Sierra Leone czy handel helikopterami bojowymi z Kazachstanem, fundacja Novaka stosowała metody bezpośrednie, żeby wyeliminować z rynku niszczycielski sprzęt: zwyczajnie go przejmowała. Jak potwierdził Hochschild, kiedy jakiś model wycofywano z produkcji – kupowała go Fundacja Wolności. Był składowany i ostatecznie przetwarzany jako złom, bądź też – w przypadku pojazdów wojskowych – przystosowywany do potrzeb cywilów.

Trzydzieści minut później zamigotała zielona dioda w telefonie. Marta Lang podniosła słuchawkę.

– Jest w drodze? W jakim stanie? – Umilkła, po czym powiedziała:
– W takim razie planujemy start za niespełną godzinę. – Ściszyła głos.
– Jesteś kochany. Z całego serca dziękujemy. Naprawdę. Obiecuj, że pozdrowisz Gillian, dobrze? Brakowało nam ciebie w Davos. Peter nie omieszkał wspomnieć o tym premierowi! Tak. Tak. Wkrótce to nadrobimy.

Ta kobieta niejedno potrafi, pomyślał Paul z podziwem.

– Jest realna szansa, że pan Hennessy zdąży na spotkanie – oznajmiła Marta, odkładając słuchawkę.

– Chylę czoła – odparł po prostu Janson.

Słońce za oknami wyglądało jak złota kula, otulona poduszkami z białych, puszystych chmur. Lecieli na zachód i czas nadążał za nimi. Kiedy Lang spojrzała na zegarek, nie patrzyła tylko na godzinę. Sprawdzała, ile czasu zostało Peterowi Novakowi. Napotkała wzrok Jansona i milczała chwilę, zanim powiedziała:

– Cokolwiek się stanie, dziękuję.

– Za co? – zdziwił się.

– Podarował nam pan coś niezwykle cennego – odparła. – Podarował nam pan nadzieję.

Paul zaczął mamrotać coś o realiach, małych szansach, czarnych scenariuszach, ale zamilkł. Szanował szlachetny pragmatyzm. Na tym etapie misji bezpodstawna nadzieja była lepsza niż żadna.

Rozdział 3

Wspominał wydarzenia sprzed trzydziestu lat, ale równie dobrze mogły dotyczyć wczorajszego dnia. Nocami wracały do niego w snach – zawsze przed akcją, napędzane tłumionym lękiem – a chociaż zaczynały się i kończyły w różnych momentach, to pochodziły jakby z tej samej, ustawicznie obracającej się taśmy.

Baza w dżungli. W bazie biuro. W biurze biurko. Na biurku kartka papieru.

Planowany na ten dzień ogień nękający i zaporowy.

Możliwy atak raketowy Wietkongu, współrzędne terenu AT384341, między 02.00 a 03.00.

Spotkanie kadry politycznej Wietkongu, wioska Loc Ninh, BT415341, godzina 22.00.

Próba infiltracji ze strony Wietkongu, poniżej rzeki Go Noi, AT404052, między 23.00 a 01.00.

Sterna mocno sfatygowanych świstków na biurku komandora podporucznika Alana Demaresta zawierała mnóstwo podobnych doniesień. Dostarczali ich informatorzy armii Republiki Wietnamu, która następnie przekazywała je amerykańskiemu Dowództwu Pomocy Wojskowej. Zarówno informatorzy, jak i sporządzone przez nich raporty oznaczane były literą i cyfrą, zależnie od stopnia ich wiarygodności. Większość dostawała sygnaturę F/6: wiarygodność agenta nieokreślona, wiarygodność informacji nieokreślona.

„Nieokreślona”. Udany eufemizm. Doniesienia pochodziły od podwójnych agentów, sympatyków Wietkongu, płatnych informatorów, a czasem po prostu od samych wieśniaków, którzy mieli rachunki do wyrównania i wymyślili łatwy sposób, żeby ktoś za nich zniszczył poletko ryżowe sąsiada.

– I to ma być dla nas podstawa do użycia ognia artyleryjskiego – burknął Demarest do Jansona i Maguire’a.

– Wszystko to brednie. W Hanoi jakieś żółtki w okularach napisały to, żeby zamydlić nam oczy, i podesłały tym gryzipiórkom z Dowództwa. To jest, proszę panów, marnotrawstwo artylerii. Wiecie, skąd wiem? – Podniósł do góry cienki świstek i pomachał nim w powietrzu jak flagą. – Na tym papierze nie ma śladów krwi.

Z małych głośników magnetofonu 8-ścieżkowego – który Demarest darzył szczególną namiętnością – płynęły dźwięki dwunastowiecznego chorału.

– Przyprawdźcie mi pieprzonego kuriera Wietkongu – ciągnął z nachmurzoną miną. – Nie, przyprawdźcie równy tuzin. Jeśli będą mieli przy sobie papiery, przynieście je mnie. Poświadczone krwią Wietkongu. Udowodnijcie mi, że „wywiad wojskowy” to nie sprzeczność sama w sobie!

Tego wieczoru w sześciu wskoczyli do środka używanej przez Navy SEALs łodzi szturmowo-desantowej z włókna szklanego i popłynęli ciepłą, płytką rzeką Ham Luong. Wiosłowali w mulistej wodzie przez dwieście metrów, aż przybili do brzegu wyspy w kształcie gruszki. „Macie wrócić z jeńcami albo wcale”, powiedział im dowódca. Przy odrobinie szczęścia to mogło się udać: wiadomo było, że wyspę Noc Lo kontroluje Wietkong. Tyle że ostatnio szczęście rzadko im dopisywało.

Wszyscy założyli na siebie czarne piżamy, jak ich wrogowie. Żadnych identyfikatorów. Nic nie zdradzało ich stopnia, oddziału, faktu, że służyli w Navy SEALs, ani nawet bardziej istotnej informacji, że należeli do drużyny Diabłów Demaresta. Przez dwie godziny przedzierali się przez gęste zarośla wyspy, czujni na każdą oznakę obecności wroga – dźwięki, ślady stóp, zapach sosu *nuoc cham*, który Wietnamczycy dodawali do potraw.

Podzielili się na trzy pary: dwóch na przodzie, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów; dwóch z tyłu, jako tylna straż, obsługująca ciężki ukaem M60 – w razie czego mieli zapewnić ochronę.

Janson znajdował się na czele patrolu, razem z Hardawayem, wysokim, grubokościstym mężczyzną o ciemnej skórze i szeroko rozstawionych oczach, z gładko wygoloną czaszką. Za sześćdziesiąt dni Hardaway miał zakończyć służbę i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wróci do Stanów. Miesiąc wcześniej podarł rozkładówkę świerszczyka na równe kwadraty, które ponumerował. Codziennie odhaczał jeden kwadrat. Gdy wszystkie będą już zaznaczone, zamierzał zabrać ze sobą do domu dziewczynę z rozkładówki i wymienić ją na prawdziwą. W każdym razie tak wyglądał jego plan.

Tymczasem przeszli trzysta metrów w głąb lądu. Hardaway podniósł z ziemi dziwny przedmiot, zrobiony z gumy wyciętej z opony oraz płótna, i pokazał go Jansonowi z pytającym spojrzeniem. Był to but do chodzenia po błocie. Drobni partyzanci Wietkongu przemykali się w nich po bagnistym terenie, nie zostawiając śladów. Czy któryś z nich zgubił go niedawno?

Janson zarządził trzydzieści sekund ciszy. Wszyscy zamarli na swoich pozycjach, czujni na każdy nietypowy dźwięk. Wyspa Noc Lo znajdowała się w samym środku strefy ognia, gdzie wolno było

strzelać bez ograniczeń o każdej porze dnia i nocy. Zewsząd dobiegały stłumione odgłosy wystrzałów z baterii armatnich, moździerze grzmiały co pół sekundy. Z dala od zarośli, nad horyzontem, rozbłyskało białe światło. Ale po trzydziestu sekundach wydawało się pewne, że w najbliższej okolicy nic się nie dzieje.

– Wiesz, o czym czasem myślę, kiedy słyszę ogień z moździerzy? – spytał Hardaway. – Jak chór klaszcze w moim kościele. Jest w tym coś nabożnego.

– Jak ostatnie namaszczenie. Tak by powiedział Maguire – odparł Janson cicho. Zawsze bardzo lubił Hardaway, ale tego wieczoru przyjaciel wydawał się wyjątkowo roztargniony.

– Nie bez powodu nazwali go Kościołem Świętości. Przyjeźdź do Jacksonville, zabiorę cię na mszę w niedzielę. – Hardaway skłonił się i zaczął klaskać rytmicznie. – Chwalmy Pana, chwalmy Pana...

– Hardaway – upomniał go Janson, kładąc dłoń na taśmie z nabojami.

Trzask karabinu uświadomił im, że wróg odkrył ich obecność. Musieli dać nura na ziemię i natychmiast zmienić pozycję.

Hardaway jednak nie zdążył. Z jego szyi trysnął mały gejzer krwi. Zatoczył się parę metrów do przodu, jak sprinter, który minął linię mety. Potem upadł.

Podczas gdy pociski z karabinu maszynowego Maguire'a przelatywały nad ich głowami, Janson doczołgał się do Hardaway. Kula przeszła szyję w pobliżu prawego ramienia. Janson ułożył ostrożnie głowę przyjaciela; uciskał obiema rękami pulsującą ranę, rozpaczliwie próbując zatamować krwawienie.

– Chwalmy Pana – powiedział ranny słabym głosem.

Uciskanie nie pomagało. Janson poczuł, że jego koszula robi się

ciepła i mokra. Po chwili zrozumiał dlaczego. Na karku Hardawaya, niebezpiecznie blisko kręgosłupa, odkrył wylot rany, z którego sączyła się jasna krew tętnicza.

W nagłym przypływie siły ranny oderwał dłonie Jansona od swojej szyi.

– Zostaw mnie, Paul. – Chciał krzyknąć, ale zabrzmiało to jak ciche chrypienie. – Zostaw mnie!

Odczołgał się kawałek i podniósł, podpierając się ramionami. Obracał głową, próbując wypatrzyć między drzewami sylwetki agresorów.

W tej samej chwili pocisk uderzył go w brzuch, powalając na ziemię. Janson zobaczył rozerwane wnętrzności. Bez szans na ratunek. Stracił jednego z ludzi. Ilu jeszcze?

Wczołgał się za ciernisty krzak.

To była cholerna zasadzka!

Ci z Wietkongu na nich czekali.

Z wściekłością ustawił celownik i zaczął przeszukiwać pobliskie moczary i palmy. Dostrzegł trzech partyzantów, biegli ścieżką wprost na niego.

Atakują? Nie, raczej nie. Było bardziej prawdopodobne, że ostrzał z karabinu maszynowego M60 zmusił ich do zmiany pozycji. Kilka sekund później usłyszał tuż obok uderzenia kul o ziemię.

Psiakrew! Niemożliwe, żeby użyli takiej siły ognia i strzelali tak celnie, chyba że dostali cynk o planowanej akcji. Ale skąd?

Przesuwał szybko celownik karabinu, ogniskując go w różnych miejscach. Tam: chata na palach. A tuż za nią partyzant Wietkongu, celujący w niego z chińskiego AK-47. Drobny, wprawny mężczyzna, prawdopodobnie to właśnie on trafił Hardawaya.

W świetle księżycy dojrzał oczy mężczyzny, a poniżej wylot lufy karabinu. Wiedział, że obaj widzą się nawzajem. Kałasznikow może nie jest precyzyjny, ale za to pociski powodują większe obrażenia. Zobaczył, że partyzant opiera kolbę na ramieniu, szykując się do wystrzelenia serii, i w tej samej chwili umiejscowił krzyż celowniczy na jego torsie. W ciągu paru sekund jeden z nich miał zginąć.

Świat Jansona skurczył się do trzech elementów: palca, spustu, siatki nitek. W tym momencie tylko to się liczyło, tylko tyle potrzebował.

Podwójne stuknięcie – dwa starannie wymierzone strzały – i drobny mężczyzna z karabinkiem automatycznym runął na twarz.

Pytanie, ilu jeszcze ich było.

– Wyciągnijcie nas stąd, do cholery! – wrzasnął przez radio do bazy. – Potrzebujemy wsparcia! Przyślijcie łódź desantową! Przyślijcie, kurwa, cokolwiek! Byle szybko!

– Chwileczkę – rzucił operator radiostacji. Janson usłyszał w radiu głos dowódcy. – Trzymasz się, synu? – spytał Demarest.

– Spodziewali się nas, panie komandorze! – krzyknął Janson.

Po chwili głos Demaresta znów zatrzeszczał w słuchawkach.

– Oczywiście.

– Co?!

– Potraktuj to jako test, synu. Ten test pokaże, którzy z moich ludzi mają to, czego trzeba. – Jansonowi wydawało się, że słyszy w tle dźwięki chorału. – Chyba nie chcesz mi się poskarżyć na Wietkong? To tylko banda wyrośniętych dzieciaków w piżamach.

Mimo dokuczliwego tropikalnego upału Jansona przeszedł zimny dreszcz.

– Skąd wiedzieli, panie komandorze?

– Jeśli chciałeś się przekonać, jak dobrze strzelasz do celów z papieru, należało zostać w bazie w Little Creek.

– Ale Hardaway...

– Był słaby – przerwał mu komandor. – Oblał test.

• • •

„Był słaby” – słyszał w głowie głos Alana Demaresta. Ale on, Janson, nie będzie słaby. Otworzył oczy i wzdrygnął się. Samolot wylądował na wysypanym tłuczniem prowizorycznym pasie do lądowania.

Wyspa Katczal wiele lat temu została uznana przez indyjską marynarkę wojenną za obszar zamknięty. Stanowiła część strefy bezpieczeństwa, obejmującą większość archipelagu Nikobarów. Później, gdy zmieniono jej status, stała się punktem wymiany handlowej. Mango, papaje, duryn – samoloty PRC-101 i C-130 bez przerwy lądowały na tym owalnym, spalonym słońcem skrawku lądu. Janson wiedział, że jest to jedno z niewielu miejsc na świecie, gdzie nikt nawet nie mrugnie na widok nagłego pojawienia się pojazdów wojskowych i uzbrojenia.

Nikt też nie przestrzegał przepisów kontroli granicznej. Prosto z samolotu Janson pojechał jeepem do kompleksu na zachodnim brzegu. Jego ekipa pewnie już się zbierała: w burozielonym baraku z blachy falistej, wspartym na łukowatych, stalowych żebrach. Podłoga i fundamenty były z betonu, wewnątrz wyłożono prasowanym drewnem. Do baraku przylegał niewielki magazyn z prefabrykatów. Fundacja Wolności miała dyskretne biuro regionalne w Rangunie, mogła więc przysłać zawczasu ludzi, którzy przyszykowali miejsce na spotkanie.

Niewiele się zmieniło, odkąd Janson ostatnio urządził tu bazę operacyjną. Wynajmowany przez niego barak był jednym z wielu na wyspie, postawionych przez indyjskie wojsko, a obecnie porzuconych bądź przeznaczonych na cele handlowe.

Theo Katsaris już dotarł na miejsce, Paul dostrzegł go, gdy zaparkował samochód. Objęli się serdecznie. Katsaris, obywatel Grecji i jego protegowany, był prawdopodobnie najlepszym z tajnych agentów, z jakimi kiedykolwiek pracował. Janson miał jedynie zastrzeżenia do jego tolerancji – a ściślej mówiąc apetytu – na ryzyko. Pamiętał wielu śmiazków z czasów, gdy służył w Navy SEALs, znał ten typ: zwykle pochodzili z dotkniętych kryzysem miasteczek w centralnych i północno-wschodnich stanach USA, gdzie ich przyjaciele i rodzice wiedli życie bez perspektyw. Byli gotowi zrobić wszystko, byle uchronić się przed odbijaniem karty zegarowej w fabryce nitów – na przykład przedłużyć służbę na terenach kontrolowanych przez Wietkong. Ale Katsaris miał wiele powodów, by żyć, w tym niezwykle piękną żonę. Nie można go było nie lubić. Wiódł wspaniałe życie, ale nie przywiązywał do tego większej wagi. Sama jego obecność podnosiła morale, wszyscy dobrze się czuli w jego towarzystwie. Miał pogodną aurę człowieka, któremu nic złego nie może się stać.

Manuel Honwana pracował w pobliskim hangarze, stawił się natychmiast, gdy usłyszał, że Janson jest na miejscu. Kiedyś służył w siłach powietrznych Mozambiku w stopniu pułkownika. Szkolił się w Rosji i był niezrównany w niskich lotach nad górzystym, tropikalnym terenem. Pogodnie apolityczny, miał niesamowite doświadczenie w walce ze świetnie ukrytymi partyzantami. Na jego korzyść przemawiał także fakt, że nieraz robił wypadki rozklekotanym

gratem – na nic innego nie było stać jego biednego kraju. Większość młodych amerykańskich lotników wychowała się na PlayStation. Wspomagała ich cyfrowa awionika, na którą szły miliony dolarów. W rezultacie ich instynkt ulegał atrofii – byli jedynie strażnikami maszyny, bardziej technikami systemu informatycznego niż pilotami. Janson natomiast potrzebował prawdziwego pilota. Honwana potrafił gołymi rękami złożyć silnik MIG-a, używając jedynie szwajcarskiego scyzoryka, ponieważ zdarzało się, że nie miał innego wyjścia. Dobrze, gdy dysponowali niezbędnymi narzędziami. Ale nie przejmował się, gdy ich nie było. Lądowanie awaryjne nie stanowiło dla niego problemu: w misjach, w których brał udział i którymi dowodził, rzadko trafiało się porządne lądowisko.

Na koniec zjawiał się Finn Andressen, Norweg, eks-oficer norweskich sił zbrojnych szczerzący się dyplomem z geologii i wyostrzonym instynktem oceny terenu. Projektował systemy bezpieczeństwa dla kompanii węglowych na całym świecie. Przybył na miejsce w ciągu godziny, wyprzedzając nieco Seana Hennessy’ego, wszechstronnego Irlandczyka, którego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. Na przywitanie jedni serdecznie pokleпали się po ramionach, inni po prostu podali sobie ręce, zależnie od temperamentu.

Janson objaśnił im plan ataku, przedstawiając go najpierw w ogólnym zarysie, a następnie omawiając szczegóły i alternatywne rozwiązania. Gdy mężczyźni przyswajali sobie podział ról, słońce poczerwieniało, powiększyło się i zawisło nisko nad horyzontem, jakby stawało się coraz cięższe, by w końcu pod własnym ciężarem opaść ku morzu. Dla nich było niczym olbrzymia klepsydra, odliczająca czas, którego zostało tak niewiele.

Podzielili się na pary, żeby doprecyzować plan, konfrontując teorię

z rzeczywistością. Honwana i Andressen, pochyleni nad składaną drewnianą ławeczką, analizowali mapy prądów powietrznych i oceanicznych. Janson i Katsaris studiowali model

Steenpalais, Kamiennego Pałacu, wykonany z plasteliny.

Tymczasem Sean Hennessy słuchał pozostałych, podciągając się na belce nośnej – była to jedna z jego niewielu rozrywek w więzieniu Wormwood Scrubs. Paul zerknął na niego. Czy da sobie radę? Nie miał powodu sądzić inaczej. Nawet jeśli Irlandczyk był bledszy niż zwykle, jego kondycja fizyczna robiła wrażenie. Janson poddał go obmyślanej na poczekaniu próbie terenowej i z zadowoleniem stwierdził, że Hennessy wciąż ma doskonały refleks.

– Zdajesz sobie sprawę – zwrócił się Andressen do Jansona, na chwilę odrywając się od map – że w samym Kamiennym Pałacu będzie co najmniej stu żołnierzy? Jesteś pewien, że mamy dość ludzi?

– Więcej niż dość – odparł. – Gdybym potrzebował pięciuset Gurkhów, poprosiłbym o nich. Poprosiłem o tylu ludzi, ilu potrzebuję. Jeśli trzeba by ich mniej, wziąłbym mniej. Im mniej ludzi, tym mniej komplikacji.

Janson odłożył model pałacu, by przyrzeć się niezwykle szczegółowym planom, powstałym w rezultacie ogromnego wysiłku. Przygotował je w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zespół inżynierów i architektów powołany przez Fundację Wolności. Eksperti wysłuchali obszernych relacji dawnych gości pałacu. Obejrzel też mnóstwo historycznych fotografii i współczesnych zdjęć satelitarnych. Skonsultowano się także z archiwum kolonialnym w Holandii. Mimo że plany przygotowano w wielkim pośpiechu, ludzie Novaka twierdzili, że w odniesieniu do większości szczegółów są „całkiem dokładne”. Jednocześnie jednak przestrzegli, że pewne

detale, związane z rzadko wykorzystywanymi częściami pałacu, są „mniej pewne”, a analiza niektórych materiałów opiera się na domniemaniach i jest „niepewna”.

„Mniej pewne”, „niepewne” – zdaniem Jansona te słowa padały zbyt często.

Jednak czy było inne wyjście? Mapy i modele – to wszystko, czym dysponowali. Rezydencja holenderskiego gubernatora generalnego została przerobiona z dawnej fortecy położonej na wzgórzu, dziewięćdziesiąt metrów nad powierzchnią oceanu. Mury z wapienia, grube na półtora metra, miały wytrzymać kule armatnie z portugalskich okrętów wojennych sprzed wieków. Te od strony morza miały parapety, z których strzelano do wrogich szkunerów i korwet.

Wszyscy zebrani w blaszanym baraku wiedzieli dokładnie, o co idzie gra. Zdawali sobie sprawę, jakie przeszkody muszą pokonać, aby udaremnić zamiary Kalifa. Ich własna śmierć, gdyby nie uratowali Novaka, poszłaby na marne.

Przyszedł czas na odprawę. Janson wstał – napięcie nerwowe nie pozwalało mu siedzieć.

– Dobra, teraz Andressen – zakomenderował. – Kwestia terenu.

Rudobrody Skandynaw zaczął przewracać duże, ponumerowane arkusze z mapami wzniesienia, zatrzymując długi palec wskazujący na charakterystycznych punktach. Następnie powędrował palcem po masywie, nad którym górował wysoki na prawie trzy tysiące metrów szczyt Pikuru Takala, 1 dalej, ku płaskowyżom utworzonym z łupków i gnejsów. Zwrócił też uwagę na wiatry monsunowe wiejące z południowego zachodu. Na koniec postukał w powiększony obraz Wzgórza Adama i powiedział:

– Te obszary odzyskali niedawno. Nie ma mowy o zaawansowanym monitoringu. Ale ukształtowanie terenu, stanowiące naturalną osłonę, może stanowić nie lada problem.

– Proponowany tor lotu?

– Nad dżunglą Nikala. Jeśli Nawałnik Burzowy jest gotów. Nawałnik Burzowy – w pełni zasłużone przezwisko

Honwany, nadane mu dla uhonorowania jego umiejętności pilotażu. Potrafił przelatywać tuż nad ziemią, tak jak nawałnik burzowy, gatunek ptaka oceanicznego, przelatuje nad powierzchnią morza, sprawiając wrażenie, jakby biegał po wodzie.

– Nawałnik jest gotów – oznajmił Honwana. Rozchylił usta, ukazując zęby w kolorze kości słoniowej. Nie był to jednak uśmiech.

– Pamiętajcie – ciągnął Andressen – jeśli zaczekamy do czwartej rano, niemal na pewno znajdziemy się w gęstej pokrywie chmur. Tak byłoby najlepiej ze względów bezpieczeństwa.

– Mamy skakać z dużej wysokości przez gęstą pokrywę chmur? – spytał Hennessy. – Na ślepo?

– Na wiarę – odparł Skandynaw. – To będzie akt wiary. Jak przyjęcie sakramentu.

– *Begorrah*, na Boga, myślałem, że to operacja dla komandosów, nie dla kamikaze – wtrącił Hennessy. – Powiedz, Paul, co za cholerny idiota skoczy w takich warunkach?

Irlandczyk spojrział na towarzyszy, autentycznie zatroskany.

Janson zerknął na Katsarisa.

– Ty – wskazał na Greka. – I ja.

Katsaris przyglądał mu się w milczeniu przez kilka sekund.

– Jakoś to przeżyję.

– Oby Bóg cię wysłuchał – skwitował Hennessy.

Rozdział 4

Pakowanie własnego spadochronu: to był niemal rytuał, wojskowy zabobon. Po ukończeniu szkolenia każdy miał ten nawyk tak zakorzeniony jak szczotkowanie zębów czy mycie rąk.

Janson i Katsaris udali się do przyległego magazynu, żeby poczynić stosowne przygotowania. Zaczęli od rozłożenia czaszy wraz z linkami na szerokiej betonowej podłodze. Następnie spryskali silikonem linkę wyzwalającą, zawleczkę zamykającą pokrowiec i slajder. Kolejne czynności wykonywali na pamięć. Czarna czasza była wykonana z całkowicie nieprzewiewnego nylonu. Janson przeturlał się po niej, żeby wypchnąć maksymalną ilość powietrza. Wyprostował linki statecznika, po czym złożył rozplaszczoną czaszę, tak by otwierała się w odpowiednim porządku, i upewnił się, że linki pozostały na zewnątrz powłok. Na koniec upchnął spadochron w czarnym pokrowcu z siatki nylonowej, wyciskając pozostałe powietrze, i wsunął klamrę w metalowy pierścień wzmacniający.

Katsaris miał zręczniejsze palce i uwinął się dwa razy szybciej.

Odwrócił się do Jansona.

– Zróbmy szybką inspekcję broni – powiedział. – Chodźmy przyjrzeć się tym gratom.

Założeniem pracy w zespole było, że każdy podejmuje osobiste ryzyko, aby zmniejszyć ryzyko, jakie ponosi inny. Etos równości miał decydujące znaczenie: faworyzowanie kogokolwiek mogło go

zniszczyć. Dlatego, kiedy spotykali się w grupie, Janson przybierał wobec towarzyszy ton jednocześnie szorstki i przyjacielski. Ale nawet w ramach elity tworzy się inna elita – nawet w najwęższym gronie tych najlepszych zawsze jest jeden wybraniec, złoty chłopak.

Kiedyś był nim Janson, niemal trzydzieści lat temu. Minęło zaledwie kilka tygodni, odkąd zjawił się w bazie szkoleniowej Navy SEALs w Little Creek, gdy Alan Demarest wybrał go spośród szeregowców, odbywających kurs. Odtąd przenoszono go do coraz bardziej elitarnych jednostek bojowych, gdzie uczestniczył w coraz bardziej morderczych ćwiczeniach. Grupy kursantów były coraz mniejsze – kolejni jego koledzy wycofywali się, załamani wyczerpującym programem treningów – aż w końcu Demarest wyznaczył mu zajęcia indywidualne.

Twoje palce to broń! Muszą być swobodne. Połowa inteligencji wojownika znajduje się w jego rękach.

Nie ściskaj żyły, ściskaj nerw! Zapamiętaj punkty nerwowe, tak żebyś potrafił odnajdywać je palcami, nie oczami. Nie patrz – musisz je wyczuć!

Zauważyłem twój hełm nad granią. Kurwa, nie żyjesz!

Nie widzisz wyjścia? Spójrz na to inaczej. Zobacz dwa białe łabędzie zamiast jednego czarnego. Zobacz kawałek tortu zamiast tortu, w którym brakuje kawałka. Odróżniaj figurę od tła. Uruchom wyobraźnię, dzieciaku, ona cię wyzwoli. Sama siła ognia nie wystarczy. Musisz wymyślić wyjście.

Tak! Zmień myśliwego w ofiarę! Dobrze!

I tak legendarny wojownik stworzył swojego następcę. Kiedy Janson po raz pierwszy spotkał Theo Katsarisa, lata temu, wiedział – po prostu wiedział, tak jak Demarest musiał wiedzieć, gdy poznał Jansona.

Ale nawet gdyby Katsaris nie był tak niezwykle uzdolniony, umacniane przez lata więzy lojalności znaczyły więcej niż równość w boju, a przyjaźń Jansona wykraczała daleko poza kontekst misji komandoskiej. Składały się na nią wspólne wspomnienia i wzajemna wdzięczność. Prowadzili głębokie i szczere rozmowy, chociaż nie w obecności innych.

Poszli na drugi koniec magazynu, gdzie wcześniej tego dnia wyładowano broń dostarczoną przez Fundację. Katsaris szybkimi ruchami rozmontowywał i składał wybrane egzemplarze krótkiej i długiej broni palnej. Upewniał się, że wszystkie części są naoliwione, ale nie nadmiernie – palący się smar mógłby wytworzyć smugi dymu, zdradzając ich pozycję. Sprawdził, czy tłumiki zostały dobrze dokręcone. Gwinty powinny trzymać mocno, ale nie za mocno. Magazynki muszą łatwo się wsuwać, pokonując tylko nieznaczny opór, żeby były pewnie osadzone. Jeśli kolba broni jest składana, tak jak w MP5K, powinna się łatwo składać.

– Wiesz, dlaczego to robię – odezwał się Janson.

– Z dwóch powodów – powiedział Katsaris. – Z dwóch powodów, dla których zapewne nie powinieneś tego robić.

Mówiąc, wciąż pracował, a stukot i trzask metalu stanowiły rytmiczny kontrapunkt dla ich rozmowy.

– Na moim miejscu...?

– Postąpiłbym dokładnie tak samo – odparł Katsaris. Przystawił do nosa zbyt mocno nasmarowaną komorę zamkową karabinka automatycznego. – Wojskowe skrzydło Harakat al-Muqaama al-Islamiya nigdy nie zwracało skradzionego mienia.

Skradzionego mienia: zakładników, zwłaszcza tych, których podejrzewano o współpracę z amerykańskim wywiadem. Siedem lat

temu, w Baaqlina, w Libanie, Janson został schwytany przez grupę ekstremistów. Porywacze z początku sądzili, że pojмали amerykańskiego biznesmena owianego legendą. Jednak nagłe zainteresowanie osób z najwyższego szczebla wzbudziło ich podejrzenia. Negocjacje szybko się załamały w wyniku utarczek między poszczególnymi frakcjami. Tylko interwencja osób trzecich – Fundacji Wolności, jak się później okazało – zmusiła porywaczy do zmiany planów. Wypuścili go po dwunastu dniach.

– Z tego co wiemy, Novak nie miał z tym nic wspólnego. Nawet nie słyszał o całej tej historii – mówił Katsaris. – Ale to jego fundacja. *Ergo*, zawdzięczasz mu życie. Więc ta pani zaczepia cię i mówi: czas spłacić dług za Baaqlinę. Musiałeś się zgodzić.

– Czytasz we mnie jak w otwartej książce – podsumował Janson, marszcząc się w uśmiechu.

– Jasne, tyle że w zakodowanej. Zdradź mi jedno. Jak często myślisz o Helene?

Piwnie oczy wojownika patrzyły na Jansona z niezwykłą łagodnością.

– Codziennie.

– Było w niej coś magicznego, prawda? Zawsze wydawała się taka wolna.

– Wolna duchem – zgodził się Janson. – Moje przeciwieństwo, pod każdym względem.

Katsaris wysunął szczotkę z lufy. Sprawdził, czy nie ma wżerów, nagaru bądź innych usterek. Spojrzał Jansonowi prosto w oczy.

– Kiedyś coś mi powiedziałeś, Paul. Wiele lat temu. Teraz ci to powtórzę. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Nie ma zemsty. Nie na tym świecie. To tylko bajka. W naszym świecie następuje atak, po nim

odwet i kolejny odwet. Ale zemsta w czystej postaci, która pozwala wyrównać rachunki, nie istnieje.

– Wiem.

– Helene nie żyje, Paul.

– No co ty! Pewnie dlatego nie odbiera moich telefonów.

Udawana powaga niezbyt dobrze maskowała jego ból.

Katsaris nie spuszczał z niego wzroku, ale mocniej ścisnął go za ramię.

– Nic, nic ci jej nie przywróci. Rób co chcesz z fanatykami Kagama, ale pamiętaj o tym.

– To stało się pięć lat temu – mruknął Janson.

– Naprawdę czujesz, że minęło już pięć lat?

– Pamiętam, jakby to było wczoraj – wyszeptał.

To nie była rozmowa dowódcy z podwładnym. To była rozmowa z najbliższym mu na świecie człowiekiem, któremu nie potrafiłby skłamać. Odetchnął głęboko.

– Boisz się, że wpadnę w szal i ześlę gniew boży na terrorystów? Zabójców mojej żony?

– Nie – odparł Katsaris. – Boję się, że w głębi duszy chcesz wyrównać rachunki i oddać cześć Helene, pozwalając im się zabić.

Janson gwałtownie pokręcił głową, chociaż zastanawiał się, czy w tym, co powiedział Katsaris, nie było nieco prawdy.

– Nikt dzisiaj nie zginie – orzekł.

Obaj wiedzieli, że jest to raczej rytualne zapewnienie niż realna ocena prawdopodobieństwa.

– Paradoksalne jest to, że Helene zawsze darzyła Kagama prawdziwą sympatią – rzekł Janson po chwili. – Nie terrorystów, nie FWK, oczywiście, ale zwykłych Kagama, którzy znaleźli się pośród

tego wszystkiego. Gdyby żyła, pewnie pomagałaby Novakowi w jego wysiłkach na rzecz pokoju. Kalif to arcymanipulator, ale jego racją bytu są uzasadnione żale, którymi może manipulować.

– Jeśli jesteśmy tu po to, żeby zajmować się inżynierią społeczną, to mamy niewłaściwy sprzęt. – Theo przesunął paznokciem kciuka po nożu bojowym, sprawdzając jego ostrość. – Poza tym Peter Novak już tego próbował i sam widzisz, jakie są efekty. Trzeba to załatwić szybko. Wchodzimy, wychodzimy.

Paul pokiwał głową.

– O ile wszystko pójdzie dobrze, spędzimy na Anurze nie więcej niż sto minut. Z drugiej strony, jeśli masz mieć do czynienia z tymi ludźmi, może powinieneś wiedzieć o nich więcej.

– Gdyby do tego doszło – odparł ponuro Katsaris – spieprzy się wszystko, co może się spieprzyć.

•••

– Chętnie zakręcę tą ślicznotką – cmoknął z podziwem Honwana.

Razem z Jansonem i Hennessym stali w pępym hangarze. Wcześniej rozmawiali w oślepiającym słońcu i teraz z trudem przyzwyczajali wzrok do panującego mroku.

BA609 był zmiennopłatem, przystosowanym do lądowania na pokładach okrętów. Podobnie jak amerykański osprey, miał obracające się na końcach skrzydeł silniki, umożliwiające pionowy start i lądowanie. Gdy silniki znajdowały się w pozycji poziomej, zachowywał się jak klasyczny samolot. Konsorcjum Bell/Augusta zbudowało kadłub tego modelu nie z metalu, lecz z kompozytu szklano-epoksydowego. W rezultacie powstał nadzwyczaj lekki statek powietrzny, który na litrze paliwa mógł polecieć cztery razy dalej niż

konwencjonalne samoloty. Jego wielofunkcyjność miała w istotny sposób przyczynić się do powodzenia misji.

Honwana przejechał palcami po nieodblaskowej powłoce.

– Piękna rzecz.

– Niewidzialna, jeśli bogowie nam dopomogą – dodał Janson.

– Ja pomodłę się do przodków – stwierdził pilot z przekąsem.

Szkolony w Moskwie zatwardziały ateista nie był przychylnie nastawiony ani do tubylczych wierzeń, ani do szerzonych przez misjonarzy form kultu.

– Bak jest pełny. Jeśli nie przytyłeś, odkąd ostatnio pracowaliśmy razem, paliwa powinno wystarczyć na lot tam i z powrotem.

– Czyli jesteśmy bez zapasu. To znaczy... w razie czego. – Mozambijczyk patrzył na niego poważnie.

– Nie mamy wyboru. Nie ja o tym decyduję. Można powiedzieć, że to FWK dyktuje warunki. Ja tylko improwizuję, najlepiej, jak potrafię. Nie dysponujemy dobrze przemyślanym planem awaryjnym. To bardziej coś w stylu: „Hej, chłopaki, zaczynamy przedstawienie”.

– Mickey Rooney i Judy Garland w stodole – wtrącił Hennessy pośpiesznie. – Pełnej materiałów wybuchowych.

...

Północne brzegi Anury zwięzały się jak walentynkowe serduszko. Wschodni płac porastała słabo zaludniona dżungla

Nikala. Honwana leciał pionowzłotem nisko nad ziemią. Gdy znaleźli się nad morzem, maszyna wzbiła się w górę, przechylając się prawie o czterdzieści stopni.

Mimo osobliwej trajektorii lotu Honwana pilotował maszynę nadzwyczaj płynnie, wykorzystując kierunek wiatru i prąd

wstępujący. Od strony silników, ustawionych teraz poziomo, dobiegał miarowy dźwięk, coś pomiędzy buczeniem a wyciem.

Andressen i Hennessy towarzyszyli w kabinie Honwanie jako część załogi odpowiedzialna za nawigację. Dwaj spadochroniarze, oddzieleni przegrodą, siedzieli na ławkach z tyłu kadłuba. Naradzali się, ustalając ostatnie szczegóły.

Po półgodzinie lotu Katsaris sprawdził czas na wstrząsoodpornym zegarku firmy Breitling, po czym połknął sto miligramów provigilu, aby oszukać swój rytm okołodobowy i zachować czujność mimo późnej pory. W przeciwieństwie do pochodnych amfetaminy provigil nie wywoływał nadmiernego pobudzenia i przesadnej pewności siebie. Do strefy zrzutu pozostały jeszcze dwie godziny. Provigil powinien działać najsilniej podczas samej operacji. Następnie Katsaris połknął jeszcze jedną małą tabletkę mającą hamować potliwość.

Skinął w stronę dwóch grubych rur z czarnego aluminium, które Janson trzymał przy uchu.

– I to ma załatwić sprawę? – spytał.

– Och tak. Pod warunkiem że gaz nie wycieknie. Te małe cudeńka będą tryskać energią. Jak ty.

Katsaris uniósł w górę listek provigilu.

– Chcesz?

Paul pokręcił głową. Grek wiedział, co robi, ale Janson zdawał sobie sprawę, że leki mogą u różnych ludzi wywoływać nieprzewidziane skutki uboczne, i wolał nie przyjmować substancji, z którymi nie miał wcześniej do czynienia.

– Powiedz mi lepiej, Theo – zaczął, odkładając na bok cylindry i przerzucając papiery – jak się miewa twoja stara?

Teraz, kiedy byli sami, znów zwracał się do przyjaciela po imieniu.

– Moja stara? Wie, że tak ją nazywasz?

– Hej, ja pierwszy ją poznałem. Piękna Marina.

Katsaris zaśmiał się.

– Nie masz pojęcia, jak piękna. Bo teraz po prostu promienieje!

Zaakcentował ostatnie słowo.

– Chwila. Chyba nie chcesz powiedzieć...?

– To dopiero początek. Pierwszy trymestr. Trochę porannych nudności. Ale poza tym czuje się świetnie.

Janson przypomniał sobie Helene i poczuł dojmujący ucisk w piersiach.

– Ładna z nas para, no nie? – spytał Katsaris z udawaną butą, ale była to bezsporna prawda.

Theo i Marina Katsaris wyglądali jak wybrańcy bogów – stanowili doskonałe okazy śródziemnomorskiej siły i symetrii. Janson zapamiętał tydzień, który spędził z nimi w Mykonos, a zwłaszcza jedno wyjątkowe popołudnie, kiedy natknęli się na władczą dyrektorkę paryskiego domu mody, poszukującą do sesji zdjęciowej sugestywnej kombinacji skąpych kostiumów kąpielowych, białego piasku i lazurowego morza. Francuzka była przekonana, że Theo i Marina to modele, i chciała wiedzieć, z jakiej są agencji. Idealnie białe zęby, nieskazitelna, oliwkowa cera, lśniące czarne włosy – fakt, że dzięki tym cechom nie zaistnieli w jakimś handlowym przedsięwzięciu, uznała za marnotrawną obojętność wobec drogocennych zasobów naturalnych.

– A więc będziesz ojcem – stwierdził Janson. Szybko opuścił go początkowy entuzjazm.

– Chyba niezbyt się cieszysz – zauważył Katsaris.

Paul milczał przez chwilę.

- Powinieneś być mi powiedzieć.
- Czemu? To Marina jest w ciąży.
- Dobrze wiesz czemu.
- Chcieliśmy cię poinformować. Mieliśmy nadzieję, że zgodzisz się być ojcem chrzestnym.

Janson poczuł autentyczne przerażenie.

- Powinieneś być powiedzieć mi wcześniej.

Theo wzruszył ramionami.

- Uważasz, że przyszły ojciec nie powinien ryzykować. A ja myślę, Paul, że za bardzo się przejmujesz. Na razie żyję. I zdaję sobie sprawę z zagrożenia.

– Ja nie zdaję sobie sprawy z zagrożenia, do cholery! O to właśnie chodzi. Nie mam nad tym kontroli.

– Nie chcesz, żebym osierocił swoje dziecko. Wyobraź sobie, że ja też. Będę ojcem, jestem z tego powodu bardzo, bardzo szczęśliwy. Ale to nie zmieni mojego podejścia do życia. Jestem, kim jestem. Marina o tym wie. Ty o tym wiesz, dlatego mnie wybrałaś.

- Nie jestem pewien, czy wybrałbym cię, gdybym wiedział...

– Nie teraz. Wtedy. W Epidaurus.

...

Minęło raptem osiem lat, odkąd kontyngent dwudziestu żołnierzy greckiej armii odkomenderowano na ćwiczenia zorganizowane przez Wydział Operacji Konsularnych. Celem było przeszkolenie Greków w wykrywaniu i powstrzymywaniu szybko rozwijającego się handlu bronią strzelecką, w którym wykorzystywano greckie frachtowce. Na ćwiczenia wybrano losowo statek zacumowany kilka mil od wybrzeża Epidaurus. Traf chciał, że statek był wyładowany kontrabandą. Co

gorsza, na pokładzie znajdował się turecki handlarz narkotykami wraz z uzbrojoną po zęby osobistą ochroną. Pech i nieporozumienie sprawiły, że wszystko potoczyło się fatalnie. Niedoświadczeni mężczyźni po obu stronach wpadli w panikę: przełożeni z Wydziału Operacji Konsularnych mogli tylko biernie rejestrować sytuację – za pomocą cyfrowej lunety i zdalnych urządzeń podsłuchowych na skafandrach nurków – ale, niestety, znajdowali się zbyt daleko, by interweniować bez narażania bezpieczeństwa żołnierzy odbywających szkolenie.

Na niewielkiej fregacie, zakotwiczonej w odległości pół mili morskiej, Janson z przerażeniem obserwował katastrofalny rozwój wypadków. Pamiętał zwłaszcza dwadzieścia pełnych napięcia sekund, kiedy szala zwycięstwa mogła przechylić się na jedną lub drugą stronę. Dwie, równe sobie grupy uzbrojonych mężczyzn. Każda zwiększyłaby swoje szanse przeżycia, otwierając ogień jako pierwsza. Ale gdyby zaczęto strzelać z broni automatycznej, negocjacje by się skończyły. Było to coś w rodzaju samobójczej „uczciwej walki”, której rezultatem mogło być sto procent ofiar śmiertelnych po obu stronach. Przy tym nie należało liczyć na to, że straż Turka ustąpi – zostałoby to uznane za zdradę, ukaraną przez rodaków szybką śmiercią.

– Nie strzelać! – krzyknął młody Grek. Odłożył broń, jednak ten gest nie wyrażał strachu, lecz niesmak. Jego głos brzęczał w nadajniku, ale Janson wyraźnie usłyszał słowa: – Kretyni! Głupki! Niewdzięcznicy! Pracujemy dla was!

Turcy odpowiedzieli gromkim, drwiącym śmiechem, było to jednak stwierdzenie na tyle dziwaczne, że zażądali wyjaśnienia.

I otrzymali je – błyskotliwie zaimprovizowane, płynnie wygłoszone, mieszające fakty z fikcją. Młody Grek przywołał

nazwisko potężnego tureckiego magnata narkotykowego, Orhama Murata. Dla jego kartelu pracował również handlarz ze statku. Grek wytłumaczył, że dowódcy kazali jemu i innym żołnierzom przeszukać podejrzane frachtowce, ale Murat dobrze im zapłacił, żeby zapobiegli przechwyceniu jego własnych łodzi.

– Niezwykle hojny człowiek – stwierdził młody oficer tonem, w którym pobrzmiwała jednocześnie powaga i chciwość. – Tylko dzięki niemu moje dzieci jedzą trzy posiłki dziennie. Bo co nam daje rząd? Ha!

Pozostali Grecy z początku milczeli – ich powściągliwość mogła wynikać ze zwykłego strachu lub zakłopotania. Potem jednak zaczęli kiwać głowami, ponieważ dotarło do ich, że kolega opowiada tę historyjkę dla ich dobra. Opuścili broń i wbili wzrok w ziemię, by nie zwracać na siebie uwagi.

– Jeżeli kłamiesz... – warknął szef tureckich ochroniarzy.

– Mamy tylko jedną prośbę: nie podawajcie tego przez radio. Nasi przełożeni wychwytyją wszystkie morskie komunikaty. Znają wasze kody.

– Kłamstwo! – wrzasnął siwowłosy Turek. Był to sam handlarz, który w końcu zjawił się na pokładzie.

– Nie, to prawda! Naszym dowódcą pomaga rząd amerykański. Jeśli podacie komunikat przez radio, równie dobrze możecie od razu nas zastrzelić, bo kiedy wrócimy, będzie na nas czekał pluton egzekucyjny. Prawdę mówiąc, gotów jestem błagać, żebyście nas zastrzelili. Wtedy grecka armia uzna, że zginęliśmy jak bohaterowie i przyzna renty naszym rodzinom. Ale czy Orham Murat okaże się równie szczodry dla waszych wdów i dzieci, kiedy dowie się, że zniweczyliście operację, na którą poświęcił tyle czasu i pieniędzy –

zdecydujcie sami.

Nastąpiła długa, niezręczna cisza. W końcu odezwał się handlarz:

– To niedorzeczne! Gdyby mieli dostęp do naszych częstotliwości...

– Gdyby? Gdyby? Chyba nie przypadkiem dostaliśmy rozkaz wejścia na pokład pańskiego frachtowca? – Grek prychnął wzgardliwie. – Zadam jedno pytanie. Naprawdę wierzy pan w zbiegi okoliczności?

I tak oto ocalił swój oddział. Żaden przemytnik – w każdym razie żaden, któremu udaje się przeżyć dość długo – nie wierzy w zbiegi okoliczności.

Młody Grek wraz z innymi nurkami wrócili do wody i wkrótce znaleźli się na dowodzonej przez Amerykanów fregacie. Straty w ludziach: zero. Siedem godzin później flotylla okrętów wojennych osaczyła statek handlarza, grożąc otwarciem ognia artylerii. W obliczu tak przytłaczającej demonstracji siły handlarz i jego świta się poddali.

Później Janson osobiście przedstawił się młodemu Grekowi, który pod wpływem impulsu wykorzystał swoją pomysłowość, odwracając fakty – a wybór statku handlarza faktycznie był przypadkowy – i zmyślając wiarygodną historyjkę. Młody mężczyzna, Theo Katsaris, okazał się nie tylko opanowany, bystry i odważny. Był także niezwykle zwinny i w terenowych testach sprawności fizycznej zdobywał maksymalną ilość punktów. W miarę jak Janson dowiadywał się o nim więcej, zaczynał rozumieć, z jak niezwykłą osobą zetknął go los. W przeciwieństwie do większości swoich kolegów z armii Theo pochodził z dobrze sytuowanej rodziny z klasy średniej. Jego ojciec był dyplomatą średniego szczebla, który kiedyś wyjechał na placówkę do Waszyngtonu. W dzieciństwie Katsaris przez

parę lat uczył się w szkole St. Albans. Janson miał ochotę potraktować go lekceważąco, jako zwykłego młodzieńca uzależnionego od adrenaliny – niewątpliwie tak było – ale nie mógł mu odmówić autentycznej żarliwości w dążeniu do czynienia świata lepszym.

Kilka dni później umówił się na drinka ze znajomym greckim generałem, absolwentem Akademii Wojskowej Armii Stanów Zjednoczonych w Carlisle w Pensylwanii. Wyjaśnił, że poznał pewnego świetnie zapowiadającego się młodzieńca, któremu należałoby stworzyć warunki rozwoju lepsze, niż mogła zagwarantować grecka armia. Zaproponował, że weźmie go pod swoje skrzydła i będzie osobiście nadzorował jego szkolenie. W tamtym czasie kierownictwo Wydziału Operacji Konsularnych przywiązywało szczególną wagę do „partnerstwa strategicznego” – wspólnych operacji z sojusznikami NATO. Pod takimi auspicjami Wydział zyskałby na krótką metę; na dłuższą metę skorzystałaby Grecja, pozyskując kogoś, kto mógł przekazać współobywatelom swoje umiejętności i techniki w walce z terroryzmem. Przy trzecim drinku Janson dobił targu z generałem.

...

Teraz, gdy siedzieli w tyle kadłuba, Janson spojrzał na Katsarisa stalowym wzrokiem.

– Marina wie, co robisz?

– Nie wdawałem się w szczegóły, a ona nie dopytywała.

– Theo roześmiał się. – Daj spokój, ona ma więcej odwagi niż cała Ósma Dywizja greckiej armii, wiesz o tym.

– Wiem.

– Więc pozwól, że sam będę decydował. Poza tym jeśli ta operacja jest zbyt ryzykowna dla mnie, miałbyś sumienie wziąć kogoś innego na moje miejsce?

Janson tylko pokręcił głową.

– Jestem ci potrzebny – stwierdził Katsaris.

– Znalazłbym kogoś innego.

– Nie tak dobrego jak ja.

– Nie zaprzeczę.

Teraz już żaden z nich się nie uśmiechał.

– Obaj wiemy, ile dla ciebie znaczy ta operacja. To nie jest zwykłe, płatne zlecenie.

– Znów nie zaprzeczę. Zapewne wiele też znaczy dla świata.

– Mówię o Paulu Jansonie, nie o planecie Ziemia. Najpierw człowiek, potem abstrakcja, tak? Co do tego też zawsze się zgadzaliśmy. – Utkwił w przyjacielu spojrzenie piwnych oczu. – Nie zawiodę cię – dodał cicho.

Jansona dziwnie poruszyły te słowa.

– Przecież wiem.

•••

W miarę jak zbliżała się godzina zero, narastało w nich niewypowiedziane uczucie niepokoju. Przedsięwzięli wszystkie środki ostrożności. Samolot był całkowicie zaciemniony – żadnych świateł, nic, co mogłoby odbijać światło z innych źródeł. Janson i Katsaris, którzy siedzieli na parcianych pasach obok rampy, też nie mieli na sobie niczego odblaskowego. Gdy dolatywali do strefy zrzutu, włożyli kombinezony bojowe z czarnego nylonu i pomalowali twarze czarną farbą. Jeśliby zrobili to za wcześnie, groziło im przegrzanie.

Wyładowane sprzętem kamizelki niemal pękały w szwach, ale nie było wyjścia.

Przyszedł czas na pierwszą z wielkich niewiadomych. Wspólnie zaliczyli trzy tysiące skoków. Ale ten dzisiejszy miał być inny niż wszystkie.

Janson poczuł ogromne zadowolenie, kiedy odkrył, że jedyny czuły punkt kompleksu można zaatakować z góry – zamierzali spaść niepostrzeżenie wprost z nocnego nieba na sam środek dziedzińca. Z drugiej strony, czy to w ogóle było wykonalne? Opierał się wyłącznie na domniemaniach.

Żeby zjawić się na miejscu niezauważenie, powinni opaść na ziemię bezgłośnie, pośród bezgwiazdnej, bezksiężycowej nocy, typowej dla pory monsunowej. Satelitarne mapy pogodowe potwierdzały, że o czwartej rano – i przez całą następną godzinę – niebo pozostanie zasnuwane chmurami.

Jednak byli tylko ludźmi, nie bohaterami filmu szpiegowskiego. Dla powodzenia akcji musieli wykazać się nadzwyczajną precyzją przy lądowaniu. Niestety, ta sama pogoda, która gwarantowała gęstą pokrywę chmur, mogła też przynieść nieprzewidywalne wiatry – wroga precyzji. W zwykłych okolicznościach takie komplikacje skłoniłyby Jansona do zaniechania skoku.

Zbyt wiele wskazywało, że będzie to strzał w ciemno. A jednocześnie – jedyna szansa dla Petera Novaka.

Honwana otworzył luk na wysokości, którą wcześniej uzgodnili: sześciu tysięcy metrów. Powietrze na tej wysokości było lodowate, w granicach trzydziestu stopni poniżej zera. Jednak mieli być wystawieni na jego działanie stosunkowo krótko. Chroniły ich gogle, rękawiczki, kaski, przylegające ciasno jak czepki kąpielowe, oraz

nylonowe kombinezony.

Także dlatego postanowili skoczyć znad wody, a nie z okolic Kamiennego Pałacu. Opadając, zdążą pozbyć się linek wyzwalających i rękawic bez ryzyka, że zrzucone rzeczy wylądują u celu niczym ostrzegawcze ulotki.

Poza tym skok z dużej wysokości da im więcej czasu na obranie odpowiedniej pozycji – bądź też rozpaczliwe się z niej wycofanie. Nie zdążyli tego przećwiczyć, więc nie wiedzieli, czy podejmują właściwą decyzję. Jednak jakąś podjąć musieli i podjął ją Janson.

– Dobra – powiedział, zajmując pozycję. – Tylko pamiętaj: to nie będzie zwykły skok. Rób to co ja.

– To nie fair – zaprotestował Katsaris. – Zawsze jesteś pierwszy.

– Starsi mają pierwszeństwo – mruknął Janson, wchodząc na aluminiową rampę, po czym wyskoczył w atramentowe niebo.

Rozdział 5

Targany potężnym strumieniem zaśmigłowym samolotu, rzucony na boki przez przeciwprądy, Janson z trudem utrzymywał kończyny we właściwej pozycji. Swobodne spadanie, tak to nazywali, ale nie miał wrażenia, że spada. Poddawał się grawitacji, całkiem znieruchomiały – niezdolny kiwnąć palcem w obliczu potężnego, głośno świszczącego wiatru. W tym przypadku swobodne spadanie bynajmniej nie było swobodne. W dole szalał wezbrany ocean. Jeśli Janson zamierzał osiągnąć pożądaną trajektorię, musiałby kontrolować niemal każdą sekundę lotu. A jeśli kolejne dwie minuty nie przebiegną według planu, będzie mógł uznać misję za zakończoną, zanim jeszcze się rozpoczęła.

Turbulencja utrudniała kontrolę.

Niemal natychmiast po wyskoku poczuł uderzenie wiatru, po czym zaczął obracać się w kółko, z początku powoli, a potem coraz szybciej. Psiakrew! Ogarnęły go paraliżujący zawrót głowy i narastające uczucie dezorientacji – śmiertelna kombinacja na tej wysokości.

Rozprostował ramiona i nogi i wygiął ciało w łuk, opadając twarzą ku ziemi. Przestał kręcić się w kółko, zawroty głowy ustały. Ale ile czasu minęło?

Zwykle przy locie swobodnym prędkość maksymalna osiąga około 175 kilometrów na godzinę. Teraz, kiedy się ustabilizował, musiał

maksymalnie spowolnić opadanie. Przyjął pozycję pająka, rozprostowując kończyny i zginając kręgosłup w kształt litery „C”. Przez cały czas lodowaty wiatr, jakby rozwścieczony, że ktoś próbuje go okiełznać, smagał jego osprzęt i ubranie, wciskał się pod gogle i kask. Palce w rękawiczkach tak mu zdrętwiały, jakby wstrzyknięto w nie nowokainę. Powoli uniósł ku twarzy prawy nadgarstek i zerknął przez gogle na duże fosforyzujące wyświetlacze wysokościomierza i odbiornika GPS.

To była matematyka na poziomie szkoły średniej. Musiał znaleźć się w strefie zrzutu w ciągu czterdziestu sekund, które mu pozostały. Bezwładnościowy żyroskop mógł mu jedynie wskazać, czy przesuwa się we właściwym kierunku, ale nie podpowiadał, jak skorygować kurs.

Wyciągnął szyję, rozglądając się za Katsarisem.

Ani śladu. Ale to go nie dziwiło. Zresztą, jaka w ogóle była widoczność? Czy Katsaris opadał sto pięćdziesiąt metrów dalej? Piętnaście? Trzydzieści? Trzysta?

Pytanie tylko z pozoru bezsensowne: dwaj mężczyźni, opadający na oślep w gęstych, ciemnych chmurach, mogli zderzyć się ze skutkiem śmiertelnym. Takie zderzenie było mało prawdopodobne. Z drugiej strony, cała ta operacja stanowiła zaprzeczenie racjonalnej oceny prawdopodobieństwa.

Gdyby pod koniec skoku znaleźli się choćby sześć metrów od punktu przeznaczenia, mogłoby się skończyć katastrofą. A ta sama pokrywa chmur, która czyniła ich niewidocznymi, jednocześnie bardzo utrudniała precyzyjne lądowanie. W normalnych okolicznościach spadochroniarz ląduje w dobrze oznaczonej strefie zrzutu – zwykle stosuje się race naprowadzające – posługując się

wzrokiem, przy czym może korygować kierunek za pomocą linek. Doświadczony spadochroniarz wykonuje kolejne czynności właściwie instynktownie. Jednak w tym przypadku instynkt nie wystarczy. Gdy zbliżą się do ziemi na tyle, by cokolwiek widzieć, równie dobrze może być już za późno. Zamiast instynktu będą zmuszeni polegać na odbiornikach GPS przypiętych do rękawa. To tak, jakby grali w grę komputerową „Marco Polo”.

Trzydzieści pięć sekund. Ostatni moment. Należało jak najszybciej przyjąć pozycję delta.

Przeniósł ręce za siebie i próbował manewrować ramionami i dłońmi. Na nic się to nie zdało: potężny prąd powietrza uderzył go z całą siłą i zepchnął na zbyt stromy tor lotu. Janson od razu wiedział, co się stało: szybko wytracał wysokość. Zbyt szybko.

Czy coś mógł na to poradzić?

Musiał zwiększyć opór, to była jego jedyna szansa. Ale przecież powinien jak najszybciej zbliżyć się do kompleksu, o ile w ogóle miał tam dotrzeć. Jedno wykluczało drugie.

Czyżby zniweczył misję, gdy od jej wykonania dzieliły go ledwie sekundy?

Nieemożliwe.

A jednak.

Smagały go lodowate podmuchy wiatru. Tymczasem w myślach rozbrzmiewały na zmianę spokojne komendy wprawnego skoczka i harmider oskarżeń pod własnym adresem. Wiedziałaś, że to się nie uda; nie mogło się udać. Zbyt wiele niewiadomych, za dużo zmiennych. Nie panujesz nad tym. Dlaczego w ogóle się zgodziłeś? Kierowała tobą pycha? Duma z własnego profesjonalizmu? Duma jest wrogiem profesjonalizmu. Alan Demarest zawsze to powtarzał

i w tym przypadku miał rację. Duma zabija. Ta misja od początku była skazana na klęskę. Nie podjąłby się jej nikt o zdrowych zmysłach ani żadna odpowiedzialna jednostka wojskowa. Dlatego zwrócili się do ciebie.

Z kolei spokojniejszy głos przedarł się przez harmider. Pozycja.

Musiał przyjąć odpowiednią pozycję. Tak mu mówił jego własny głos sprzed lat, z czasów, gdy szkolił rekrutów do specjalnej jednostki Navy SEALs. Pozycja.

Czy da radę? Od dawna nie próbował tego manewru. I nigdy z GPS-em. Chodzi o to, aby ustawić ciało jak płat skrzydła samolotu i w ten sposób zwiększyć siłę nośną. Przez kilka sekund Janson przyspieszał, z głową w dół i rozpostartymi nieznacznie kończynami. Ugiął lekko ręce, zgiął się w pasie i wypchnął do przodu ramiona, jakby chciał się pokłonić. Złączył dłonie, odrzucił głowę do tyłu i wyprostował nogi, obciążając palce niczym tancerz baletowy.

Nic się nie zmieniło. Nadal spadał zbyt szybko.

Dopiero po dziesięciu sekundach przyspieszenia poczuł, że znów się unosi i wolniej zmierza ku ziemi. W rezultacie idealnie wykonanego manewru skoczek powinien osiągnąć kąt schodzenia bliski czterdziestu pięciu stopniom.

Teoretycznie.

Teoretycznie powinien poruszać się równie szybko w pozycji poziomej, jak i pionowej, w stosunku 1:1, w miarę jak przybliżał się do strefy lądowania.

Teoretycznie.

W rzeczywistości Janson był obciążony ekwipunkiem – miał pod kombinezonem dwadzieścia kilogramów sprzętu załadowanego do kamizelki taktycznej. W rzeczywistości liczył czterdzieści dziewięć lat

i w temperaturze poniżej zera, gdy lodowate powietrze wdzierało się pod kombinezon, sztywniały mu stawy. Ten manewr wymagał doskonałej kondycji. Nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzymają mięśnie kręgosłupa. Ilekroć zerkał na wysokościomierz i odbiornik GPS, wątpił w swoją doskonałą kondycję. Ale bez nich naprawdę opadałby na ślepo.

Postanowił oczyścić umysł, wyrzucić z myśli wszelkie niepokoje. Będzie jak maszyna, jak automat, skupiony jedynie na trajektorii lotu.

Znów spojrzał na wyświetlacze.

Na migającym odbiorniku GPS zobaczył, że zboczył z kursu. Jak daleko? Cztery stopnie, może pięć. Ułożył ramiona wzdłuż tułowia, odchylił je pod kątem czterdziestu pięciu stopni, do góry i w rezultacie zdołał powoli się obrócić.

GPS przestał migotać. Przepęłniło go niczym nieuzasadnione uczucie nadziei.

Teraz opadał we właściwym rytmie, szybując po atramentowym niebie. Dzięki poduszce powietrznej wolniej wytracał wysokość. Był zupełnie niewidoczny na tle czarnego nieba. Poddawał się prądom powietrza. Wiatr wiał mu w twarz, a jednocześnie unosił wysoko w górze, niczym ręka anioła. Wciąż żył.

Wibrowanie na nadgarstku. Alarm wysokościomierza.

Ostrzeżenie, że zbliża się do punktu, z którego nie ma odwrotu – do wysokości, poniżej której tylko jedno jest pewne: śmierć po zderzeniu z ziemią. Podręczniki ujmowały to mniej dramatycznie jako „wysokość minimalną, na której musi nastąpić otwarcie spadochronu”, i podawały tylko ogólne parametry dla skoku, w którym czasza musi się otworzyć na niewielkiej wysokości. Jeśli otworzy się zbyt nisko, skoczek uderzy w ziemię z takim impetem,

jakby jadąc lewym pasem autostrady wjechał w ciągnik z naczepą.

Mimo wszystko Janson wciąż był daleko od strefy zrzutu, dalej, niż zakładał plan. Wcześniej wyobrażał sobie, że z chwilą otwarcia spadochronu znajdzie się w bezpośrednim sąsiedztwie pałacu. Gdyby opadał z otwartym wcześniej spadochronem, byłoby mu znacznie trudniej manewrować wśród zmiennych prądów powietrza. Spływając w dół powoli, ryzykowałby, że ktoś go zauważy. Trudniej było spostrzec człowieka, spadającego z nieba z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę niż skoczka dryfującego po niebie z wielkim prostokątnym skrzydłem.

W obu przypadkach ryzykował. Musiał podjąć decyzję. Już, teraz.

Wyciągnął szyję, rozglądając się wokół. Starał się dostrzec cokolwiek w gęstej ciemności. Swobodne spadanie wywoływało w nim całkiem nowe, wcześniej mu nieznane, uczucie klaustrofobii.

I to przesądziło sprawę: pojawi się mgła. Ani on, ani czarna czasza spadochronu nie będą widoczne wśród bezgwiazdnej nocy. Wygiął ciało w pałąk, chwycił linkę wyzwalającą i pociągnął. Złożony ciasno spadochron zatrzepotał, otwierając się w powietrzu. Linki się rozciągnęły. Janson poczuł znajome szarpnięcie, jakby ktoś nagle chwycił go za ramiona i pośladki. Szum wiatru ustał nagle, jak po wciśnięciu przycisku wyłączającego głos w telewizorze.

Odrzucił linkę i spojrzał w górę, upewniając się, że czasza właściwie się rozłożyła. Z trudem rozpoznawał jej kontury na tle nocnego nieba, ledwie cztery i pół metra nad głową. W innych okolicznościach to mogłoby niepokoić. Dziś – dodawało mu otuchy.

Nagle poczuł, jak spycha go w bok inny prąd, i to tak namacalnie, jakby ktoś go blokował. Musiał bardzo ostrożnie kontrolować linki – gdyby skreślił zbyt ostro, szansa, że wyląduje w strefie zrzutu, byłaby

niewielka. Poza tym doskonale zdawał sobie sprawę, że albo postawi na szybkość, albo będzie sterował lotem: czasza spadochronu przesuwawała się najszybciej, kiedy linki sterownicze były maksymalnie naciągnięte.

Odbiornik GPS znów wskazywał, że znacznie zboczył z kursu.

Chryste, nie!

Nawet pokonując niespokojne masy powietrza, wiedział – tak jak musiał wiedzieć Katsaris – że to, co ich czeka, będzie jeszcze trudniejsze: bezszelestne, niezauważone przez nikogo lądowanie na ogrodzonym dziedzińcu. Gdyby któryś z nich popełnił błąd, naraziłby na niebezpieczeństwo także towarzysza. A nawet jeśli wykonaliby zadanie bezbłędnie, jakakolwiek z tysiąca nieprzewidzianych komplikacji mogła okazać się zabójcza. Gdyby w pobliżu centralnego dziedzińca przypadkiem znalazł się żołnierz, zginęliby. Misja zostałaby przerwana. A ten, którego chcieli uratować, najprawdopodobniej zostałby zgładzony w trybie przyspieszonym. Dla przyjaciół terrorystów było to standardowe działanie: odpowiadali na misję ratunkową, niszcząc jej cel – jak najprędzej.

Janson gwałtownym ruchem pociągnął w dół prawą linkę sterowniczą. Musiał szybko zmienić kierunek, zanim kolejny podmuch wiatru zepchnie go z wyznaczonego toru lotu. Rezultat był niemal natychmiastowy: zaczął huśtać się na wszystkie strony pod czaszą. A duży okrągły wysokościomierz potwierdził to, co czuł całym ciałem: szybkość, z jaką opadał, znacznie wzrosła.

Niedobrze. Znalazł się bliżej ziemi, niż powinien. Mimo to musiał założyć, że znów opada pod właściwym kątem. Podniósł linki sterownicze, tak że czasza rozciągnęła się na całe 23 metry kwadratowe, zyskując maksymalny opór. Był mistrzem

w manewrowaniu wokół rękawów lotniskowych, ale zważywszy na nieprzewidywalność prądów powietrza, zwykłe kalkulacje nie miały tu zastosowania. Wiedział, że znalazł się poza linią wiatru i musi skorygować kurs. Tak jak setki razy wcześniej, chwycił za uchwyty sterownicze, żeby określić kierunek dominujących prądów. W końcu odkrył, że może skręcać łagodnie po linii litery „S”, pokonując okrakiem linię wiatru, dzięki czemu za bardzo z niej nie zbaczał. Wymagało to absolutnej koncentracji, tym bardziej że znad morza wzbijały się w górę prądy termiczne, przynajmniej tak mu się zdawało. Niebo nad Anurąprzypominało konia, który nie daje się okiełznać.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Niczym maszty statku widmo z mgły wyłaniały się parapety murów obronnych i glify; stare mury z wapienia odbijały najwęższe smużki światła sączące się przez chmury. Janson był niemal wstrząśnięty tym widokiem – pierwszy raz, odkąd wyskoczył z samolotu, widział w ogóle cokolwiek. Szybko zrzucił rękawiczki i kask. W myślach powtarzał kolejne etapy manewru lądowania. Wiatr boczny. Ślizg. Baza. Ostateczne podejście.

Aby zminimalizować prędkość lądowania, należało podejść do celu pod wiatr. Silne boczne podmuchy zepchnęły go trzysta metrów w prawo, po czym zaczął opadać z wiatrem przez kolejne sto pięćdziesiąt metrów, celowo omijając punkt, w którym zamierzał wylądować. Przy podejściu miał się przesunąć o dodatkowe siedemdziesiąt pięć metrów. Był to skomplikowany, lecz konieczny manewr. Mógł spowolnić ruch do przodu, ściągając rogi czaszy za pomocą uchwytów sterowniczych, ale w efekcie zwiększyłby prędkość opadania w stopniu niedopuszczalnym. Pozostało mu wtedy liczyć na to, że wiatr sam ograniczy jego prędkość poziomą.

Gdyby musiał wykonać nagły zwrot, aby znaleźć się nad centralnym punktem dziedzińca, też niebezpiecznie zwiększyłby prędkość. Modlił się, by tak się nie stało. Ostatnie piętnaście sekund wymagało absolutnej perfekcji. Tu nie było miejsca na błąd. Wysokie mury kompleksu uniemożliwiały niskie, płytkie podejście.

Nagle poczuł gorące, wilgotne powietrze – jakby wprost z chłodni wszedł do łaźni parowej. Woda dosłownie gęstniała na jego wyziębionych kończynach. Mokrymi palcami złapał za uchwyty sterownicze i poczuł nagły przypływ adrenaliny: nie mógł pozwolić, by mu się wyslizgnęły.

Gdy uchwyty znalazły się w górze, a czasa w pełni się rozłożyła, poszybował w stronę centralnej części dziedzińca, który jawił mu się jedynie jako gra cieni. Z chwilą gdy uwolnił ręce, wyłączył przyrządy na nadgarstku, tak by ich światło nie zdradziło jego obecności.

Serce mocniej mu zabiło: za chwilę osiągnie cel, jeśli tylko mokre, śliskie palce pozwolą mu bezpiecznie opaść na ziemię.

Musiał wybrać najwłaściwszą sekundę. Teraz? Jego buty znajdowały się jakieś cztery i pół metra nad ziemią – było łatwo to stwierdzić, ponieważ od ziemi i od czaszy spadochronu dzielił go mniej więcej ten sam dystans. Nie. Nawet w obrębie murów podmuchy wiatru okazały się zbyt nieprzewidywalne. Zaczeka, aż odległość od ziemi zmniejszy się o połowę.

Teraz.

Ugiął ręce w łokciach, ściągając w dół uchwyty sterownicze, jednym, płynnym ruchem opuścił nadgarstki na wysokość ud i na chwilę zawisł nieruchomo w powietrzu. Jeszcze tylko parę metrów. Zaczął powoli opadać. Napiał mięśnie nóg i obrócił ciało ku ziemi, lekko uginając kolana. Na dwie sekundy przed samym lądowaniem

musiał zdecydować, jaką przyjąć pozycję – kolana i stopy razem czy rozstawione, czyli pozycja pionowa. Raz kozie śmierć: wylądował w pionie.

Wciąż napinając mięśnie nóg, dotknął ziemi podszwami butów. Dzięki miękkiej gumie nie hałasował. Bezszelestnie podskoczył na palcach, przygotowując się na upadek. Ale nie upadł.

Stał mocno na nogach. Na ziemi. Pośrodku dziedzińca.

Udało się.

Rozejrzał się wokół. Pośród bezgwiezdnej nocy dostrzegał jedynie kontury wielkiego, pustego dziedzińca, o długości trzy razy większej niż szerokość. W odległości kilku metrów majaczyła duża biała budowla – według planów była to stara fontanna. Znajdował się niemal w samym środku placu wielkości połowy boiska piłkarskiego, w niesamowitej ciszy. Nie stwierdził żadnych oznak poruszenia – nic, co wskazywałoby, że ktoś zauważył jego obecność.

Odpiął uprząż, zdjął kombinezon i szybko zebrał czaszę spadochronu z brukowanego dziedzińca. Będzie musiał ukryć spadochron, zanim podejmą dalsze działania. Nawet bezgwiezdna noc nie oznaczała kompletnej ciemności. Czarny nylon, niewidoczny na nocnym niebie, rzucał się w oczy na tle szarego bruku. Nie mógł go tutaj zostawić.

Ale gdzie się podział Katsaris?

Janson znów spojrzał dookoła. Czyżby Katsaris przeleciał poza dziedziniec? Wylądował na plaży, daleko w dole? Lub na ubitej drodze żwirowej prowadzącej do pałacu? Jedno i drugie miałyby fatalne konsekwencje – dla niego samego i dla pozostałych, zaangażowanych w misję.

Psiakrew! Znów wezbrały w nim gniew i strach. Jego

nieposkromiona pycha sprawiła, że planując akcję, popełnił podstawowy błąd: założył, że to, co sprawdza się na papierze, zadziała w rzeczywistości. Szanse na powodzenie wyglądały marnie. Wszyscy w zespole zdawali sobie z tego sprawę. Tyle że zbyt podziwiali jego wcześniejsze dokonania, aby wytykać mu błędy. Skok wymagał perfekcji, a na perfekcję nie było miejsca w tym upadłym świecie. Dopadło go nagle uczucie frustracji: kto, jeśli nie on, wiedział o tym lepiej? Miał wielkie szczęście, że zdołał cało wylądować.

Jego myśli przerwał cichy szelest składającej się czaszy spadochronu. Spojrzał w górę na nocne niebo: Katsaris powoli opadał na ziemię. Wylądował, koziołkując łagodnie, bezszelestnie, po czym stanął na nogi i podszedł do Jansona.

Teraz było ich dwóch.

Dwóch. Dwóch niezwykle doświadczonych, niezwykle wykwalifikowanych agentów.

I osiągnęli cel – środek dziedzińca Kamiennego Pałacu. I było to – Janson miał taką nadzieję – ostatnie miejsce, gdzie ktokolwiek spodziewałby się gości.

Było ich dwóch – przeciwko całemu batalionowi uzbrojonych partyzantów.

Mimo wszystko należało uznać, że to dobry początek.

Rozdział 6

Janson uruchomił system łączności i wyszeptał: „pst” do bezprzewodowego mikrofonu przy ustach. Stuknięcie i syk. Wojskowy rytuał.

Katsaris po cichu zdjął kombinezon, po czym ciasno związał spadochron.

Wepchnęli nylonowe czasze i kombinezony do wilgotnego basenu wielkiej kamiennej fontanny stojącej pośrodku dziedzińca. Niegdyś był to imponujący cud architektury, przepięknie wyryty w marmurze; teraz w fontannie zbierała się woda deszczowa i porastały ją glony. Na krawędziach szerokiej okrągłej sadzawki zbierał się pochłaniający światło czarny kozuch. To było to: czarne na czarnym. Nocne barwy ochronne.

Janson obszukał dłońmi kamizelkę i maskujący mundur polowy. Palcami wymacał najważniejsze elementy wyposażenia. Katsaris stanął obok i zrobił dokładnie to samo. Nawzajem sprawdzali, czy kamuflaż i strój wyglądają właściwie – rutynowe postępowanie w tego typu operacjach. Obaj lecieli dość długo we wzburzonych masach powietrza. W tym czasie wiele mogło się zdarzyć. Uderzany strumieniem zaśmigłowym, smagany bocznym wiatrem skoczek mógł znaleźć się na ziemi bez pełnego zestawu sprzętu, choćby nawet uprzednio starannie przymocowanego. Janson nauczył się tego, kiedy służył w Navy SEALs. Katsaris nauczył się od niego.

Janson obrzucił wzrokiem partnera. Na pomalowanej czarną farbą twarzy świeciły tylko białka jego oczu. Nagle zauważył jasną plamę nad prawym ramieniem. Katsaris rozdarł koszulę podczas lądowania i teraz przez dziurę prześwitywała blada skóra. Paul milcząco dał mu znak, by się nie ruszał. Wyjął z kieszeni czarną taśmę izolacyjną, zakleił dziurę i jasna plama zniknęła. Krawiectwo w strefie zrzutu, mruknał do siebie w myślach.

A jednak takie szczegóły potrafiły mieć decydujące znaczenie. W czarnych strojach byli niewidoczni w mroku dziedzińca, ale niewielki fragment odsłoniętego ciała łatwo mógłby ich zdradzić.

Janson, jeszcze na wyspie Katczal, mówił, że rebelianci nie dysponują nowoczesną techniką. Dysponowali jednak czymś, z czym żadna technika dotąd nie mogła się równać: pięcioma zmysłami czujnych istot ludzkich. Zdolnością wykrywania anomalii wzrokiem, słuchem i węchem, jakiej nie miał żaden komputer.

Podczas długiego lotu ku ziemi targały nimi lodowate wiatry. Ale tu, na dole, nawet o czwartej nad ranem panowała wysoka wilgotność i upał – dwadzieścia dziewięć stopni. Janson czuł, że zaczyna się pocić. To był prawdziwy pot, nie skroplona para z atmosfery. Wiedział, że z czasem może go zdradzić zapach jego ciała. Żywiący się mięsem człowiek Zachodu pachnie inaczej niż mieszkańcy Anury, którzy jedli głównie warzywa i rybne curry. Miał tylko nadzieję, że słona bryza przewieje zapachowe oznaki jego obecności.

Odpiął od kamizelki noktowizor i podniósł go do oczu. Duży dziedziniec wyglądał teraz jak skąpany w łagodnej zielonej poświacie. Upewnił się, że czarne, gumowe osłony okularów przylegają ciasno do twarzy, po czym zwiększył jasność obrazu – przebłyski światła z noktowizora mogłyby zaalarmować czujnego wartownika. Kiedyś

był świadkiem, jak członek grupy komandosów został zastrzelony, gdy patrol spostrzegł charakterystyczny zielony błysk i otworzył ogień niemal na ślepo. Widział też, jak pewien człowiek zginął na miejscu tylko dlatego, że miał podświetlany cyferblat.

Janson i Katsaris stanęli do siebie plecami, przeczesując przeciwległe kwadranty.

Na północnej stronie dziedzińca Paul dostrzegł trzy niewyraźne kształty, fosforyzujące na pomarańczowo. Dwa z nich pochylały się ku sobie. Nagle pomiędzy ich widmowymi sylwetkami pojawił się biały błysk. Janson wyłączył i opuścił noktowizor, żeby spojrzeć na tę scenę gołym okiem. Nawet z odległości dwudziestu metrów widział wyraźnie migocący płomień zapałki – staromodnej zapałki do kominka, jak się zdawało – którą dwaj strażnicy zapalali papierosy.

Amatorzy, pomyślał Janson. Wartownik na służbie nigdy nie powinien uruchamiać przypadkowych źródeł światła i nie powinien niczym zajmować rąk – swojej najważniejszej broni.

Z drugiej strony, kim byli ci ludzie? Głęboka przepaść dzieliła Kalifa i jego głównych strategów, szkolonych przez grupy terrorystyczne na Bliskim Wschodzie, od ich zwolenników, zwykle rekrutujących się z wiosek zamieszkałych przez niepiśmiennych chłopów.

Z pewnością byli tu także bardzo dobrze wyszkoleni wartownicy i żołnierze. Ale swoją uwagę koncentrowali na zewnątrz kompleksu. Zajmowali pozycje na parapetach murów obronnych i w wieżach strażniczych. Tym na wewnętrznym dziedzińcu powierzono stosunkowo błahe zadanie utrzymania dyscypliny. Pilnowali, by żadna napędzana marihuaną libacja nie zakłóciła snu Kalifa i członków dowództwa.

Chociaż stali bardzo blisko siebie, Katsaris szeptał do mikrofonu. Janson słyszał w słuchawce jego wzmocniony głos.

– Jeden wartownik. W południowo-wschodnim rogu. Siedzi. – Trzask. – Prawdopodobnie drzemie.

Janson odpowiedział szeptem:

– Trzech wartowników. Północna weranda. Nie śpią.

Podczas akcji uwalniania zakładnika, o czym obaj doskonale wiedzieli, szło się tam, gdzie czaili się wartownicy. Chyba że urządzono zasadzkę: w jednym miejscu widoczni strażnicy, w innym faktyczna straż i jeszcze grupka przyczajonych w odwodzie. Ale w tym przypadku nie było miejsca na wątpliwości. Plany jasno precyzowały, że loch znajduje się pod północnym murem dziedzińca.

Janson powoli przesunął się w lewo, wzdłuż muru, pod występ zachodniej werandy, i przykucnął pod balustradą. Nie mogli zbyt wiele polegać na osłonie ciemności: u człowieka pręcik siatkówki może zareagować na pojedynczy foton. Nawet pośród najczarniejszej nocy były miejsca ciemniejsze od innych. Janson i Katsaris mieli pozostać w ciemnościach tak długo, jak się da, poruszając się wzdłuż boków dziedzińca i omijając środek.

Na kilka chwil Paul całkiem znieruchomiał. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Z oddali dobiegał cichy ryk fal obmywających brzeg cypla. Poza tym odgłosy ptaków – może kormoranów – a z lasów od strony południa zgrzytliwe brzęczenie tropikalnych owadów. Nocą te właśnie dźwięki stanowiły punkt odniesienia – powinni być tego świadomi. Niemożliwością było poruszać się w absolutnej ciszy: materiał tarł o materiał, nylonowe włókna rozciągały się i kurczyły wokół kończyn. Podeszwy też dało się słyszeć, nawet te z grubej, miękkiej gumy; twarde pancerze martwych chrząszczy i cykad

chrzęściły pod stopami. Dźwiękochłonna tkanina nocy tłumiała pewne dźwięki, ale innych nie.

Paul nasłuchiwał ruchów Katsarisa, wyęzając słuch bardziej, niż zrobiłby to jakikolwiek wartownik. Nie słyszał zupełnie nic. Czy sam będzie w stanie poruszać się równie cicho?

Trzy, potem sześć metrów wzdłuż muru. Trzask zapałki i błysk płomienia: trzeci ze strażników zapalał papierosa.

Janson był dość blisko, by to zaobserwować: gruba, samozapalająca się zapałka potarta o ścianę; nad płomieniem coś, co wyglądało jak cygaretką.

Po dwudziestu sekundach rozszedł się w powietrzu zapach tytoniu – to faktycznie była cygaretką – i Janson nieco się odprężył. Błysk zapałki musiał zwięzić tęczówki wartowników, chwilowo ograniczając ostrość widzenia. Dym papierosowy praktycznie pozbawiał ich węchu. A sama czynność palenia uniemożliwiała szybką reakcję w chwili, gdy ułamki sekund decydowały o życiu lub śmierci.

Znajdował się teraz jakieś cztery i pół metra od północnej werandy. Przyjrzał się rustykalnym wapiennym murom i kratom z kutego żelaza. Dachówkę z terakoty położono niedawno – wyglądała dziwacznie w zestawieniu ze starą konstrukcją, przebudowywaną przez wieki. Cztery kondygnacje; wielkie sale na pierwszym piętrze, gdzie ołowiane ramki okien, ozdobne gzymsy i łukowate szczebliny świadczyły o przemianie portugalskiej fortecy w pretensjonalny „pałac” – tak nazwał swoją nową siedzibę holenderski suweren. W większości okien było ciemno. Przez niektóre sączyło się przyćmione światło z korytarzy. A gdzie spał dzisiaj Kalif, architekt śmierci? Janson chyba się domyślał.

To byłoby takie proste. Granat odłamkowy wrzucony do pokoju

przez okno z szybkami w ołowianych ramkach. Pocisk raketowy typu Stinger, który wybuchłby w sypialni. Ahmad Tabari zginąłby na miejscu. A z jego powłoki cielesnej nie zostałoby więcej niż z Helene. Odpędził od siebie tę myśl. Na tę fantazję nie mógł sobie pozwolić. Niezgodna z celem misji. Peter Novak był wielkim człowiekiem. Nie tylko Janson zawdzięczał mu życie. Cały świat mógł zawdzięczać mu przetrwanie. Rachunek moralny i strategiczny miał decydujące znaczenie. Ocalenie wielkiego człowieka było ważniejsze od likwidacji nikczemnego terrorysty.

Janson przeniósł wzrok z apartamentów gubernatora na północną werandę.

Cztery i pół metra dzieliło go od najbliższego strażnika. Z tej odległości widział twarze mężczyzn. Szerokie, chłopskie twarze, bezmyślne i prostackie. Wyglądali na młodszych, niż się spodziewał. Ale sam miał teraz czterdzieści dziewięć lat i był niezależnym tajnym agentem. Nie wydawaliby mu się tacy młodzi w czasach, gdy walczył na polach bitew. Mieli więcej lat niż on, kiedy uczestniczył w rajdach za Zieloną Linia w pobliżu

Kambodży. Więcej niż on, kiedy pierwszy raz zabił człowieka, a sam cudem uniknął śmierci.

Widział spierzchnięte dłonie, ale bez wątpienia zawdzięczali to uprawianiu ziemi, nie sztukom walki. Amatorzy, tak, pomyślał znowu. A jednak to go nie uspokajało. FWK był zbyt dobrze zorganizowany, by powierzyć tak cenny skarb opiece ludzi takich jak oni. Stanowili jedynie pierwszą linię obrony. Pierwszą linię obrony w sytuacji, gdy – logicznie rzecz biorąc – żadnej obrony nie potrzebowali.

A gdzie się podział Katsaris?

Janson wpatrywał się w dziedziniec, lustrując wzrokiem dwadzieścia metrów ciemności. Nic. Katsaris jakby stał się niewidzialny. Albo zniknął.

Syknął cicho do mikrofonu, starając się, by ten dźwięk nie wyróżniał się wśród nocnych odgłosów owadów i ptaków.

W odpowiedzi usłyszał szmer w słuchawce. Partner był na miejscu, gotów.

Wstępne rozpoznanie sytuacji miało decydujące znaczenie. Czy likwidując tych mężczyzn, nie narażą się na niebezpieczeństwo? Czy trzech strażnicy byli celem pułapki – wystawiono ich na wabią?

I kto nimi sterował?

Janson podniósł się z kucek i zajrzał w okna za żelazną kratą. Pot oblepiał go jak warstwa błota – wilgotność powietrza powstrzymywała parowanie. Teraz zazdrościł Katsarisowi, który połknął tabletkę hamującą potliwość. Pot bynajmniej go nie chłodził, tylko lepił się do skóry jak niechciane ubranie.

Jednocześnie martwiło go, że w ogóle jest świadom takich drobiazgów. Musiał się skupić: Kto nimi sterował?

Spojrzał przez noktowizor, kierując wizjer na żelazną kratę za plecami palących wieśniaków. Nic.

Ale zaraz, jednak coś. Pomarańczowa plamka, zbyt mała jak na ciało dorosłego człowieka. Najprawdopodobniej była to ręka kogoś, kto skrył się za kamiennym murem.

Mężczyźni na werandzie – jak należało przypuszczać – nie zdawali sobie sprawy, że mają wsparcie. Mogłoby to zmniejszyć ich i tak wątpliwą skuteczność. Tymczasem posiłki czekały w odwodzie.

Czy było ich więcej? Czyżby planowano kolejną operację?

Mało prawdopodobne. Ale niewykluczone.

Z długiej kieszeni na udzie Janson wyjął czarną aluminiową rurkę długości około trzydziestu centymetrów i średnicy dziesięciu. Gęsta metalowa siatka wewnątrz rurki uniemożliwiała znajdującemu się tam żywemu stworzeniu wydawanie dźwięków. Dziewięćdziesiąt procent czystego tlenu miało zapobiec uduszeniu w czasie operacji.

Nadszedł czas, by wywołać zamieszanie.

Janson odkręcił szczelnie zamkniętą pokrywę; powlekane teflonem rowki przesunęły się bezgłośnie. Chwycił gryzonia za długi, bezwłosy ogon i cisnął go w stronę werandy szerokim łukiem. Wielki szczur wylądował na ziemi. Wyglądało to tak, jakby w trakcie nocnych wędrówek stracił orientację i spadł z dachu.

Nastroszył czarną, lśniącą sierść i zaczął chrząkać w charakterystyczny sposób, trochę jak świnia. Wartownicy mieli gościa. Zorientowali się już po czterech sekundach. Krótka głowa, szeroki pysk, pokryty łuskami, bezwłosy ogon. Długi na trzydzieści pięć centymetrów, ważący ponad kilogram osobnik. *Bandicota bengalensis*. Dla Ahmada Tabariego całkiem dosłownie *bete noir* – obmierzłe „czarne zwierzę”.

Strażnicy Kagama zaczęli przekrzykiwać się gorączkowo w rodzimym języku drawidyjskim.

– *Ayaiyo, ange paaru, adhu yenna theridhaa?*

– *Aiyo, perichaali!*

– *Adha yepadiyaavadhu ozrikkanum.*

– *Andha vittaa, naama sethom.*

– *Anga podhu paaru.*

Gryzoń instynktownie pomknął w stronę wejścia, a wartownicy – też kierując się instynktem – próbowali go zatrzymać. Brała ich pokusa, żeby strzelać do gigantycznego szczura, ale w ten sposób

obudziliby wszystkich w pałacu i wyszliby na głupców. Co gorsza, pokazaliby, że są całkowicie nieudolni. Gdyby ich ukochany przywódca, śpiący w apartamencie gubernatora, natknął się na tego zwiastuna śmierci w swojej kwaterze, kto wie, jak by zareagował. Przerażony mógłby sam spełnić groźbę, każąc zabić wartowników, którzy wpuścili zwierzę. Pamiętali, co stało się ostatnim razem.

Całe zamieszanie wypłoszyło z kryjówki pozostałych strażników – Janson liczył, że tak właśnie się stanie. Ilu? Trzech. Nie, czterech.

Mieli amerykańskie M16, prawdopodobnie z czasów wojny w Wietnamie, gdzie stanowiły standardowe uzbrojenie piechoty. Po klęsce Południa Armia Wietnamu Północnego zgromadziła ich tysiące. Następnie trafiły na rynek międzynarodowy i stały się najpopularniejszą bronią strzelecką niedofinansowanych ruchów partyzanckich na całym świecie – takich, które kupowały na raty, odmawiały sobie wszystkiego i nie trwoniły pieniędzy na rzeczy zbędne. Wojownicy ze szkolnej kasy oszczędności. Karabiny M16 strzelały krótkimi seriami, rzadko się zacinały, a przy minimum konserwacji były dosyć odporne na rdzę, nawet w klimacie podzwrotnikowym. Janson miał dla nich szacunek – szanował każdy rodzaj broni. Wiedział też, że nie zostaną użyte bez potrzeby. Żołnierze nie hałasują o czwartej nad ranem bez wyraźnego powodu, jeśli w pobliżu śpi przywódca.

Wydobył drugiego szczura, jeszcze większego, i gdy ten zwijał się i rzucał w jego dłoniach, przytknął mu do brzucha strzykawkę z dekstroamfetaminą. Wywoływała nadpobudliwość, dzięki czemu gryzoń miał się wydać nawet bardziej zuchwały i szybszy – prawdziwa zmora dla wartowników.

Niski rzut od dołu. Szczur małymi, ostrymi pazurami jakby wczepił

się w powietrze, po czym wylądował na głowie jednego z wartowników, który wydał z siebie krótki, lecz przenikliwy okrzyk.

Janson nie spodziewał się wywołać aż tak głośnej wrzawy.

Czyżby przeholował? Jeśli ten okrzyk zaalarmował żołnierzy nieznajdujących się w północnym skrzydle, cała akcja dała skutek przeciwny do zamierzonego. Na razie nic na to nie wskazywało, chociaż strażnicy byli wyraźnie zaniepokojeni. Przesunął głowę ku krawędzi parapetu i spokojnie obserwował poruszenie i zamęt na północnej werandzie. Jego cel znajdował się tuż pod nią, ale gdyby chciał tam dotrzeć, nie miał żadnej osłony. Kamienne ścieżki, prowadzące od wschodnich i zachodnich murów kompleksu, urywały się nagle, w pół drogi.

Fakt, że strażników zdradzało światło, podczas gdy on i Katsaris pozostawali w ciemnościach, oznaczał, iż byli w pewnym stopniu chronieni. Ale nie wystarczająco: pole widzenia nawet przeciętnego człowieka rejestruje najmniejszy ruch, a światło z wewnątrz, chociaż wątłe, padało na bruk na wprost północnej werandy. Misja wymagała absolutnej ostrożności: bez względu na to, jak dobrze byli wyszkoleni i wyposażeni, Janson i Katsaris nie mogli odeprzeć szturmowi stu lub więcej partyzantów, skoszarowanych w Kamiennym Pałacu. Gdyby wykryto ich obecność, na pewno zginęliby. Prosty rachunek.

Dziesięć metrów dalej, około trzech metrów nad ziemią, na werandzie pojawił się starszy mężczyzna o szorstkiej, ciemnej, pomarszczonej skórze. Nakazał bezwzględną ciszę. Ciszę – aby nie zbudzić śpiących dowódców, którzy zamieszkali w pałacu jako jego prawdziwi, prawowici właściciele. Janson przyglądał mu się z rosnącym niepokojem. Wprawdzie mężczyzna mówił o ciszy, lecz mimika zdradzała, że nie było to jego jedyne, a nawet nie główne

zmartwienie. Najwyraźniej coś wzbudziło w nim podejrzenia, stąd czujne spojrzenie przymrużonych oczu. Szybko przenosił wzrok z przerażonych wartowników na ciemny dziedziniec w dole, to znów na okna za żelaznymi kratami. Te błyskawiczne spojrzenia dowodziły, że rozumiał specyfikę nocnego widzenia, kiedy ostrzej widzi się na odległość niż z bliska, a spojrzenie na wprost odmienia kształty pod dyktando wyobraźni. Nocą spostrzegawcze oko nigdy nie przestawało się poruszać; mózg potrafił złożyć obraz z gromadzonych przez nie migotliwych konturów.

Studiując pomarszczoną twarz, Janson wyciągnął jeszcze kilka wniosków. Mężczyzna wydawał się inteligentny, ostrożny, nieskory sądzić po pozorach. Partyzanci odnosili się do niego z szacunkiem, co ewidentnie świadczyło o jego wysokiej pozycji, podobnie jak broń zawieszona na ramieniu: rosyjski pistolet maszynowy KLIN. Dosyć pospolity, choć znacznie mniejszy przeciwnik M16. KLIN był bardziej niezawodny w przypadku strzelania krótkimi, trzystrzałowymi seriami. Jednak gorzej wyszkoleni żołnierze woleli stosować ogień ciągły.

Z pewnością będą słuchali jego rozkazów.

Janson obserwował go jeszcze przez chwilę. Mężczyzna przemawiał cicho w języku Kagama, ruchem głowy wskazując ciemny dziedziniec. Zganił palącego wartownika. Ten człowiek nie był amatorem.

Gdyby wykryto ich obecność, zginęliby. Czyżby zostali zauważeni?

Wolał zakładać, że nie. Wolał tak zakładać. Co komandor porucznik Alan Demarest powiedziałałby na takie rozumowanie, optymistyczne spekulacje, że świat dostosuje się do naszych planów operacyjnych, zamiast je pokrzyżować? Ale Demarest nie żył – zginął przed plutonem egzekucyjnym – i jeśli istniała na świecie sprawiedliwość,

smażył się w piekle. O czwartej nad ranem, w dusznym powietrzu Anury, na dziedzińcu Kamiennego Pałacu, w otoczeniu uzbrojonych po zęby terrorystów, nie było sensu oceniać szans powodzenia operacji. Jej założenia wydawały się niemal teologiczne. *Credo quia absurdum*. Wierzę, bo to absurdalne.

A starszy mężczyzna z pomarszczoną twarzą – w co wierzył? Jego pierwszego należało zlikwidować. Ale czy minęło dość czasu? Z pewnością żołnierze pełniący służbę już dowiedzieli się o zamieszaniu na dziedzińcu. Ważne, żeby dotarło do nich również, jaka była jego przyczyna: przekłęty szczur. Bo przecież pojawią się też inne hałasy. To nieuniknione. Hałasy, dla których istniało wytłumaczenie, nie mogły im zaszkodzić. Natomiast inne sprowokowałyby dalsze śledztwo i zapewne sprowadziły śmiertelne zagrożenie.

Janson wyjął z zewnętrznej kieszeni czarnego munduru dmuchawkę – pięćdziesięciocentymetrową rurkę z anodyzowanego czarno aluminium. Kieszenie i saszetki stanowiły pewien problem. Nie mogli pociągać za rzepy ani brzęczeć metalowymi zamkami, więc Paul wymienił wszystkie zapięcia na bezgłośne. Dwa magnesy, obszyte miękką, wełnianą powłoką, załatwiły sprawę: ciasno spinały klapki, ale łączyły się i rozłączały bezszelestnie.

Janson krótko streścił plan, szepcząc do mikrofonu. Unieszkodliwi wysokiego mężczyznę i strażnika z prawej. Katsaris weźmie na muszkę pozostałych. Paul podniósł do ust gumowy ustnik dmuchawki i ustawił celownik. Strzałka została specjalnie zaprojektowana do tajnych operacji: na końcu cienkiej igły znajdowała się replika osy z akrylu i folii, a w niej bolus – stężony środek obezwładniający. Sztuczny owad tylko na pierwszy rzut oka nie wzbudzał podejrzeń,

ale w sprzyjających okolicznościach trafiony osobnik nie miał szans, by przyjrzeć mu się bliżej. Janson dmuchnął w ustnik z całych sił, szybko włożył drugą strzałkę, ponownie wystrzelił i przykucnął.

Wysoki mężczyzna złapał się za szyję, wyciągnął igłę i spojrzał na nią w przyćmionym świetle. Czyżby wyjął ją, zanim środek został wstrzyknięty? Przedmiot wizualnie i w dotyku przypominał dużego, żądłowego owada: sztywny szkielet zewnętrzny, paski. Tylko waga się nie zgadzała, zwłaszcza gdy nadal wypełniał go środek obezwładniający – cytrynian fentanylu. Pomarszczony mężczyzna przyglądał mu się wściekle, po czym spojrzał wprost na Jansona. Skupił wzrok i było jasne, że pomimo ciemności dostrzegł jego sylwetkę.

Sięgnął do kabury po broń. Niemal w tej samej chwili się przewrócił i spadł z werandy. Janson usłyszał głuchy odgłos ciała uderzającego o bruk. Dwaj inni nieprzytomni wartownicy również osunęli się na ziemię.

Po lewej stronie dziedzińca, niedaleko od Jansona, dwaj młodszy strażnicy zaczęli pokrzykiwać nieskładnie. Zrozumieli, że coś jest nie tak. Czyżby Katsaris jeszcze ich nie zlikwidował?

Zastosowanie środka obezwładniającego nie było jedynie humanitarnym sposobem zadawania śmierci. Nieliczni ludzie mieli doświadczenie z fentanylem; przez dziesięć sekund sądzili, że użądlił ich owad. Natomiast użycie broni palnej nie pozostawiało żadnych wątpliwości: jeśli strzał z pistoletu z tłumikiem nie spowodował natychmiastowej utraty przytomności – czyli kula nie przeszła przez śródmózgowie – krzyki ofiary zakłócały nocną ciszę, stawiając wszystkich na nogi. W przypadku ukradkowego ataku z bliskiej odległości można było zastosować uduszenie, hamując jednocześnie

dopływ krwi i powietrza, ale tutaj nie wchodziło to w grę. Niewątpliwie użycie strzałek rodziło pewne ryzyko, lecz w tym przypadku optymalna taktyka nie zakładała wyboru rozwiązania najlepszego z możliwych, lecz najlepszego z dostępnych.

Janson wycelował dmuchawkę w dwóch trajkocących strażników i już miał wystrzelić kolejną strzałkę, gdy obaj padli na ziemię nieprzytomni; Katsaris w końcu ich trafił.

Znów zapanowała cisza, zakłócana jedynie krakaniem srok i krzykiem mew, brzęczeniem chrząszczy i cykaniem cykad. Brzmiało to nieźle. Brzmiało tak, jakby uporali się z problemem. Wrócili więc do czujnego wyczekiwania.

Jednak bezpieczeństwo, jakie właśnie sobie zapewnili, mogło prysnąć w każdej chwili. Z przechwyconych informacji i zdjęć satelitarnych wynikało, że zmiana warty nie nastąpi wcześniej niż za godzinę, ale nie mieli żadnych gwarancji, że plan się nie zmienił. Teraz liczyła się każda minuta.

Obaj agenci podbiegli pod północną werandę, przemykając się w mroku między grubymi filarami, stojącymi w odstępach jednego metra. Według planów okrągła kamienna pokrywa znajdowała się w połowie północnego muru, tuż pod ścianą głównego budynku. Janson na oślep macał ziemię, przesuwał rękami po tłuczniowych fundamentach tam, gdzie stykały się ze ścianą. Nagle coś szturchnęło go w rękę i prześlizgnęło się po niej jak naprężony, gumowy szlauch. Odskoczył do tyłu. Wąż! Większość gatunków na wyspie nie stanowiła zagrożenia, jednak dość często można było spotkać węże jadowite, na przykład efę piaskową lub niemrawca indyjskiego. Janson wyjął z kieszeni spodni nóż bojowy i machnął nim w stronę gada. Nóż napotkał w powietrzu opór – najwidoczniej w coś trafił – i Paul po

cichu przytknął go do ściany. Muskularne, prężne ciało sflaczało, rażone ostrym jak brzytwa ostrzem.

– Znalazłem – wyszeptał Theo, który stał niedaleko.

Janson włączył małą latarkę na podczerwień i zawiesił na szyi noktowizor, zmieniając tryb z nocnego na podczerwony.

Theo przykucnął przed dużą kamienną płytą. Grota w podziemiach pełniła przez lata wiele różnych funkcji. Przede wszystkim więziono w niej jeńców. Niekiedy służyła za magazyn żywności lub broni. Pod włazem znajdował się pionowy korytarz, który wykorzystywano jako zsyp. Pokrywę zaprojektowano w taki sposób, aby łatwo się zdejmowała, ale z biegiem lat sprawa się skomplikowała. Dobrze, jeśli w ogóle da się ją przesunąć.

Po obu stronach były uchwyty dla dłoni. Theo pociągnął za jeden z nich i zapierając się silnymi nogami, próbował podnieść płytę. Nic. Janson usłyszał tylko jego zduszone stęknienie.

Dołączył do niego, kucając po drugiej stronie. Umieścił obie dłonie w specjalnym otworze, zaparł się nogami i z całej siły napiął ramiona. Słyszał, jak partner powoli wypuszcza powietrze, ciągnąc za uchwyt z maksymalnym wysiłkiem.

Nic.

– Przekreć – szepnął Janson.

– To nie słoik z oliwkami – mruknął Theo, ale odpowiednio zmienił pozycję.

Zaparł się o pionową ścianę, zacisnął dłonie na uchwytach i nacisnął na pokrywę z całych sił. Paul próbował ją obracać w tym samym kierunku, zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

W końcu coś drgnęło: kamień zazgrzytał, z początku ledwo słyszalnie, ale niewątpliwie zaczął się przemieszczać. Janson

z miejsca pojął, o co chodzi. Okrągłe łożysko, w którym umieszczono pokrywę, wykonano z wypalanej gliny; z biegiem lat wapień ulegał erozji w tropikalnej wilgoci, a połączone cząstki różnych substancji utworzyły naturalną zaprawę. W rezultacie pokrywa została jakby zacementowana. Teraz, gdy naruszyli spoiwo, pójdzie już łatwo.

Znów przykucnęli, próbując podnieść pokrywę jednym skoordynowanym ruchem. Była gruba na dwadzieścia centymetrów i niewiarygodnie ciężka, prawdopodobnie podnosiło ją czterech siłaczy, nie dwóch. Ale nie stanowiło to wyzwania ponad ich siły. Zaparli się, poluzowali wieko i ostrożnie odsunęli je na bok.

Janson spojrział w dół. Tuż pod pokrywą zauważył kratę. Z podziemi dobiegały ludzkie głosy.

Niewyraźne, owszem, ale też dosyć beztroskie. Zwykle złość, lęk, wesołość, szyderstwo, podniecenie zdradzał głos – ton głosu. Słowa same w sobie stanowiły tylko ozdobniki, bardziej lub mniej przekonujące. Ucząc się technik przesłuchiwania, musieli usłyszeć między słowami charakterystyczny ton. Dźwięki dobiegające z lochu nie były głosami jeńców – tego Janson był pewien. A jeśli ktoś znajdował się w lochu, nie będąc więźniem, to znaczyło, że go pilnował. A więc to głosy strażników. Bezpośredniego wroga.

Paul położył się płasko na ziemi i przystawił ucho do kraty. Powietrze z podziemnego lochu chłodziło mu twarz. Wyczuł dym papierosowy. Z początku słyszał tylko niezrozumiały potok słów, ale teraz potrafił rozróżnić poszczególne głosy kilku mężczyzn. Ilu? Tego jeszcze nie wiedział. Zresztą nie mógł zakładać, że głosów jest tyle samo, ilu strażników.

Korytarz prowadził kilka metrów w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni, po czym wił się i skręcał już nieco łagodniej.

W przytłumionym świetle, sączącym się z dołu przez kratę, trudno było cokolwiek zobaczyć.

Paul podał Jansonowi kamerę światłowodową, która wyglądała jak puderniczka z dołączonym do niej długim kablem. Paul przykucnął, opierając plecy o grubo ciosany wapień, i zaczął powoli opuszczać kabel przez kratę. Kabel miał grubość zwykłego przewodu telefonicznego i końcówkę niewiele większą od łebka zapałki. Wewnątrz znajdowały się włókna światłowodowe, które przesyłały obraz na ekran o wymiarach trzy na pięć cali. Janson nie spuszczał wzroku z małego wyświetlacza, ostrożnie wprowadzając kabel do otworu. Gdyby ktoś spostrzegł przewód i zorientował się, co to jest, byłoby po misji. Ekran wypełniały szare cienie, z każdą chwilą coraz jaśniejsze. Nagle pojawił się obraz: widziane z góry, słabo oświetlone pomieszczenie. Janson podciągnął kabel o parę centymetrów. Widok był teraz częściowo zasłonięty, ale nie na tyle, by pomieszczenie zniknęło z ekranu. Końcówka kabla zawisała najpewniej tuż nad końcem szybu – mało prawdopodobne, żeby ktoś ją zauważył. Po pięciu sekundach automatyczny fokus urządzenia ustawił maksymalną ostrość i jasność obrazu.

– Ilu? – spytał Katsaris.

– Niedobrze – powiedział Janson.

– Ilu?

Paul dotknął palcem przycisku, który obracał końcówkę z kamerą.

– Siedemnastu strażników. Uzbrojonych po zęby. Ale kto by tam liczył.

– Cholera – mruknął Theo.

– Popieram.

– Gdybyśmy ich widzieli, spuścilibyśmy draniom lanie.

– Ale nie widzimy.
– To może zrzucimy granat odłamkowy?
– Tylko tego nam potrzeba, żeby jeden człowiek ocalał, a więzień zginął – burknął Janson. – Rozmawialiśmy o tym. Lepiej rusz dupę i biegnij do wejścia A.

Wejście A, jak to określały plany, od dawna nieużywane, prowadziło do lochu od tyłu. To była kluczowa część operacji: gdy więzień zostanie wyprowadzony, stosunkowo cichy fosforowy granat wrzucony przez otwór do tunelu wyeliminuje strażników.

– Przyjąłem – rzekł Katsaris. – Jeśli jest tam, gdzie powinno być, wrócę za trzy minuty. Mam nadzieję, że przez ten czas coś wymyślisz.

– Wracaj szybko – odparł Janson z roztargnieniem. Dostrajał ostrość manualnie, od czasu do czasu zmieniając kąt ustawienia kamery.

Przez siwą mgłę dymu papierosowego dostrzegł, że strażnicy siedzą wokół dwóch stolików i grają w karty. W końcu należało to do podstawowych rozrywek żołnierzy. Silni, uzbrojeni mężczyźni, którzy decydowali o życiu i śmierci, zbroili się przeciw najbardziej natarczywemu z wrogów, czasowi, w talie cienkich, laminowanych kart. Sam w czasach służby wojskowej grał w karty mnóstwo razy.

Przyglądał się swobodnym ruchom strażników, rozdaniom i zrzutkom. Znał tę grę. Kiedyś w dżungli na Mauritiusie grał w nią przez wiele godzin. Nazywała się „proter” i była lokalną odmianą remika. A ponieważ znał tę grę, jego uwagę zwrócił młody mężczyzna – osiemnasto-, dziewiętnastoletni? – który siedział przy większym ze stolików i przyciągał wzrok pozostałych, nieufny, ale też pełen podziwu.

Młody mężczyzna rozejrzał się wokół. Odślonił w uśmiechu równe,

białe zęby. Na pokrytej trądzikiem twarzy pojawił się chytry wyraz zwycięstwa.

Janson znał tę grę. I nie chodziło tylko o protera. Znał grę, w którą grał ten chłopak: maksymalne ryzyko, maksymalna wygrana. W końcu grali w nią obaj.

Wartownik miał przewieszony przez ramię bandolier z nabojami większego kalibru; z pasa na piersi zwisał Ruger Mini-14, ale o krzesło stał oparty cięższy karabin automatyczny – Janson nie zdołał rozpoznać typu – i bez wątpienia to właśnie do niego przeznaczone były tamte naboje. Ten zestaw broni wskazywał, że chłopak pełnił rolę przywódczą, nie tylko w grze w karty. Potarł knykcie o niebieską chustkę zawiązaną na głowie i zgarnął stertę kart.

Janson usłyszał pełne niedowierzania okrzyki pozostałych graczy.

Na tym etapie było to posunięcie osobliwie ryzykowne – chyba że gracz miał pewność, iż zaraz pozbędzie się kart. Pewność, która brała się z nadzwyczajnego zmysłu obserwacji i doskonałej pamięci.

Żołnierze przy mniejszym stoliku przerwali grę i stłoczyli się wokół chłopaka. Gdy wstawali, Janson zauważył, że każdy miał karabin i co najmniej jeden pistolet. Broń wyglądała na wysłużoną, ale dobrze utrzymaną.

Młody wykladał karty na stół jedną po drugiej, w bezbłędnych sekwensach. Przypominało to grę w bilard, w której mistrz umieszcza w łuzie kolejne bile, jakby grał sam ze sobą. Kiedy chłopak skończył, nie została mu ani jedna karta. Odrzucił głowę do tyłu i uśmiechnął się szeroko. Trzynaście kart: najwyraźniej jego koledzy nie widzieli wcześniej niczego podobnego, bo zaczęli głośno klaskać – złość z powodu porażki przerodziła się w podziw dla zręczności, z jaką zostali pokonani.

Prosta gra. Przywódca partyzantów Kagama, a jednocześnie mistrz gry w protera. Czy okaże się równie zręczny w obsłudze karabinu opartego o krzesło?

Na ekranie Janson dostrzegł jego skupione spojrzenie. Nastąpiło kolejne rozdanie. Paul wiedział, kto wygra, jeżeli gra dobiegnie końca.

Zauważył także, że mężczyźni na dole nie są prostymi chłopami, lecz zaprawionymi w boju żołnierzami. Świadczył o tym choćby sposób, w jaki nosili broń. Znali się na rzeczy. Gdyby znaleźli się pod ostrzałem, mając ledwie parę sekund na przegrupowanie, każdy z nich zapewne zdołałby wyprowadzić więźnia. Z przechwyconych informacji, z którymi Janson się zapoznał, wynikało, że takie właśnie dostali instrukcje.

Zrobił najazd na twarz chłopaka z trądzikiem, po czym obrócił kamerę. Siedemnastu zaprawionych w boju wojowników, a dodatkowo przynajmniej jeden z nich miał niemal nadludzki zmysł obserwacji i doskonałą pamięć.

– Jesteśmy udupieni – rzucił Katsaris do mikrofonu. Bez emocji i na temat.

– Zaraz będę – odpowiedział Janson.

Wciągnął kamerę w głąb tunelu. Poczował ucisk w żołądku.

Wyprostował się na tyle, na ile pozwalała ograniczona przestrzeń. Za długo siedział w kucki i teraz bolały go stawy. Prawda wyglądała tak, że był za stary na taką wyprawę. Za stary co najmniej o dziesięć lat. Dlaczego postanowił odegrać tę rolę, najniebezpieczniejszą i najbardziej wymagającą? Tłumaczył sobie, że jako jedyny wbrew przeciwnościom będzie skłonny podjąć to wyzwanie. Albo raczej że jeśli nie on, to tym bardziej nikt inny. Powtarzał sobie również, że

dzięki swojemu doświadczeniu najlepiej nadaje się do tej misji; że jako autor planu zdoła szybko go skorygować w razie konieczności. Ale czy nie powodowała nim próżność? Czy nie chciał udowodnić sobie, że wciąż potrafi? Czy tak rozpaczliwie pragnął anulować dług honorowy wobec Petera Novaka, że podjął decyzję, która w ostatecznym rozrachunku mogła zagrozić życiu Petera Novaka i jego własnemu? Dręczyły go wątpliwości, musiał się uspokoić. *Czysty jak łąza, chłodny jak lód.* Tę mantrę często powtarzał w czasie długich dni i nocy, które spędzał w męczarniach i strachu w obozie jenieckim w Wietnamie.

Katsaris stał dokładnie tam, gdzie według planów mieli znaleźć drugie wejście – wejście, dzięki któremu cała operacja w ogóle była możliwa.

- Jest tam, gdzie powinno być – powiedział. – Widać zarys klapy.
- Dobra wiadomość. Lubię dobre wiadomości.
- Jest zamurowane.
- Zła wiadomość. Nie znoszę złych wiadomości.
- Mur wygląda solidnie. Postawiono go nie wcześniej niż trzydzieści lat temu. Może piwnice zalewała woda, stąd ten pomysł. Kto wie? W każdym razie wejście A nie istnieje.

Janson poczuł w żołądku jeszcze silniejszy ucisk. *Czysty jak łąza, chłodny jak lód.*

- Żaden problem – stwierdził. – Coś wymyślimy.

A jednak to był problem, a on nie miał żadnego pomysłu. Wiedział jednak, że jako dowódca nie może wpadać w panikę.

Podjęli się tej misji, mając jedynie wyrywkową wiedzę. Z przechwyconych informacji wynikało, że Peter Novak jest przetrzymywany w lochu z czasów kolonialnych. Zdrowy rozsądek

podpowiadał, że będzie pilnie strzeżony. Założyli, że dostaną się drogą powietrzną. Ale poza tym? Janson ani razu nie rozważał możliwości podejścia do lochu od frontu, co w równym stopniu naraziłoby ratowników i więźnia. Plan wydawał się wykonalny tylko pod jednym warunkiem: równoczesnego uwolnienia więźnia i obezwładnienia strażników. Ale nie było tylnego wejścia. Plan okazał się niewykonalny.

– Chodź – powiedział Janson. – Coś ci pokażę.

Gdy wracali z Katsarisem do otworu nad lochem, męczyły go galopujące myśli. Zaświtało mu w głowie pewne rozwiązanie. Jeszcze niejasne, mętne, mimo wszystko lepsze niż nic. Nawet promyk nadziei był lepszy niż nic.

Manewrując kablem, ustawił kamerę tak, że na ekranie, zamiast żołnierza siedzącego przy stole, pojawiły się zniszczone schodki na drugim końcu pomieszczenia.

– Schody – rzekł. – Podest. Szyb. Półka.

Od podestu w połowie schodów odchodziła betonowa półka.

– Dobudowana niedawno. Dziesięć, dwadzieścia lat temu, gdy wymieniano hydraulikę.

– Nie dostaniemy się tam niezauważeni.

– Niekoniecznie. Z podestu na półkę przejdziemy błyskawicznie. Wokół wisi chmura dymu z papierosów, a wszyscy są cholernie pochłonięci grą w protera. Nadal będziemy mogli działać równocześnie. Tyle że oprócz głównego wejścia wykorzystamy tunel.

– I to jest twój plan awaryjny? – odpalił Katsaris. – Improwizujesz jak kwintet Milesa Davisa! Jezu, Paul, czy to misja, czy jam session?

– Theo? – Była to prośba o zrozumienie.

– Jaką masz gwarancję, że nie zastaniesz tam samotnego strażnika,

który pilnuje więzienia?

– Każdy bliski kontakt z Peterem Novakiem stanowi potencjalne zagrożenie. FWK o tym wie. Będą go strzec, ale nie pozwolą, by kontaktował się z którymkolwiek z buntowników.

– Czego się boją? Że dźgnie kogoś spinką do mankietu?

– Boją się jego słów, Theo. W biednym kraju obietnice plutokraty brzmią niebezpiecznie. Mogą pomóc w ucieczce bardziej niż piła do metalu. Dlatego strażnicy zostali skupieni w pewnej odległości od więźnia. Na wypadek, gdyby miał nawiązać bliższą relację z pojedynczym wartownikiem. Kto wie, co wtedy mogłoby się stać? Pamiętaj, Theo, dochód na głowę wynosi tu mniej niż siedemset dolarów rocznie. Wyobraź sobie, że strażnik Kagama wdaje się w pogawędkę z człowiekiem posiadającym dziesiątki miliardów. Zrób kalkulację. Wszyscy wiedzą, że Peter Novak nie rzuca słów na wiatr. Powiedzmy, że jesteś powstańcem Kagama i Novak mówi ci, że zrobi z ciebie krezusa. Zaczнеш się zastanawiać – to leży w ludzkiej naturze. Zapal ideologiczny niektórych uodporni na taką pokusę, tak jest w przypadku Kalifa. Ale nie wszystkich, żaden dowódca nie może na to liczyć. Zatem LDNZ – Lepiej Dmuchać Na Zimne. Strzec, owszem, ale też izolować. Tak jest bezpieczniej.

Katsaris uśmiechnął się niespodziewanie.

– W porządku, szefie, proszę o rozkaz wymarszu – rzekł.

Obaj wyzbyli się strachu; ogarnął ich dziwny spokój, przynajmniej na chwilę.

Żeby podnieść kratę, potrzeba było siły ich obu, a oprócz wysiłku wymagało to maksymalnej ostrożności. Janson czuł, że jego mięśnie i stawy zdecydowanie odmawiają posłuszeństwa. Trzeszczały. Taka prawda. Beretta w kaburze na udzie wbijała mu się w ciało. Na

twarzy, pomalowanej wodoodporną farbą, zbierały się kropelki potu – spływając do oczu, powodowały pieczenie. Czuł się słaby. Naprężone mięśnie bolały, i to teraz, gdy ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był ból fizyczny. Wiele lat temu, w ogniu walki, nieraz czuł się jak automat do zabijania.

Teraz stał się aż nadto ludzki. Pod wpływem potu nylonowy kombinezon lepił się do kolan, krocza, pach i łokci.

Przyszła mu do głowy upokarzająca myśl: może mógłby zostać przy włączniku i pozwolić, by Katsaris robił swoje? Po chwili wahania wdrapał się po ścianie nośnej z tęcznią na wąską, prostokątną wnękę, biegnącą od wewnętrznej krawędzi werandy. Był to rodzaj rynny, jednej z kilku znajdujących się pod dachem. Dzięki nim podczas rzęsistych deszczy pory monsunowej woda nie gromadziła się na piętrze. Gdy prześlizgiwał się przez szeroką na czterdzieści pięć centymetrów wnękę, stwierdził, że ma problemy z oddychaniem. Z wysiłku? Ze strachu? Katsaris pochwalił jego plan. Obaj wiedzieli, że kłamie. To nie był dobry plan. Ale innego nie mieli.

Ignorując skurcz mięśni, Janson zszedł na dół korytarzem przylegającym do sali recepcyjnej w północnym skrzydle. Przypomniawszy sobie plany: z korytarza w lewo, sześć metrów. Drzwi będą na końcu. Dyskretne. Kamień, przykryty drewnem. Niczym się nie wyróżniały, ale prowadziły w otchłań. Dwa krzesła po bokach były puste. Żołnierze nadal leżeli nieprzytomni pod werandą. Tak samo jak dwaj inni, którzy wcześniej obserwowali korytarz. Siedmiu z głowy. Zostało jeszcze siedemnastu.

Serce zabiło mu szybciej, gdy stanął przy drzwiach. Zamek wyglądał na bardzo stary i robił wrażenie atrapy. Jeśli intruz dotarł aż tutaj, taki zamek nie mógł go powstrzymać. Po bliższym zbadaniu

okazał się cienkim jak opłatek zamkiem zapadkowym, prawdopodobnie z połowy ubiegłego wieku. Janson wiedział, że w zamkach tego typu umieszczano płaskie, prostokątne płytki metalu, nie bolce, a sprężyny znajdowały się w bębnie. Wyjął mały klucz nasadowy, który kształtem przypominał młotek dentystyczny, ale był niewiele większy od zapałki. Umieścił zakrzywiony koniec w dziurce od klucza, manewrując nim tak, by wyczuć moment obrotowy. Krok po kroku, przekręcał kolejne zapadki. Po dziesięciu sekundach puściły. Ale zamka nadal nie dało się otworzyć. Janson posłużył się kolejnym narzędziem – drutem z utwardzanej stali, cienkim, lecz nieelastycznym. Zaczął obracać nim zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Wstrzymując oddech, manewrował obydwoma narzędziami, aż usłyszał kliknięcie. Pociągnął drzwi do siebie. Otworzyły się z łatwością, miały dobrze naoliwione zawiasy. Musiały być dobrze naoliwione: gdy się otworzyły, zobaczył, że są grube na czterdzieści pięć centymetrów. Gubernator generalny wprawdzie umieścił loch pod swoim apartamentem, lecz nie życzył sobie słyszeć choćby echa jęków dochodzących z dołu.

Janson otworzył drzwi nieco szerzej i stanął trzydzieści centymetrów od progu, na wypadek gdyby ktoś się za nimi czał.

Powoli, ostrożnie upewnił się, że przynajmniej w bezpośredniej bliskości nie ma nikogo. Przeszedł przez drzwi i stanął na gładkiej kamiennej płycie podestu. Taśmą izolacyjną przymocował do drzwi mosiężny języczek, żeby się nie zatrasnęły.

Ruszył w dół po schodach. Przynajmniej wykonano je z kamienia i nie skrzypiały jak drewniane. Ale gdy zszedł kawałek, napotkał kolejną przeszkodę: stalowe pręty kraty na zawiasach.

W przeciwieństwie do kamiennych drzwi krata – podobna do tych, jakie spuszczano w bramie twierdzy – ustąpiła bez problemu, lecz bynajmniej nie bezgłośnie.

Otworzyła się z charakterystycznym zgrzytem metalu trącego o kamień, którego strażnicy na dole nie mogli nie usłyszeć.

O dziwo, nie zareagowali. Dlaczego? Czyżby także stanowili cel pozorny? Kolejne wabiki – tym razem całe stadko?

Przebiegły mu przez głowę chaotyczne myśli. Po chwili usłyszeli: *Theyilai!*

Jego znajomość języka nie wykraczała poza poziom rozmówek, ale pamiętał to słowo: „herbata”. Strażnicy na kogoś czekali – na kogoś, kto miał im przynieść herbatę. Dlatego nie zaniepokoił ich hałas. Z drugiej strony, jeśli herbata wkrótce się nie pojawi, mogą nabrać podejrzeń.

Teraz widział na własne oczy część pomieszczenia, które pokazywała kamera. Było oświetlone pojedynczą, gołą żarówką. Słyszał gwar głosów, gra w karty szła pełną parą. Dym z papierosów, unoszący się nad schodami, wskazywał, że paliło jednocześnie kilkunastu ludzi.

Siedemnastu strażników pilnowało jednego człowieka. Nic dziwnego, że nie kłopotali się o bezpieczeństwo.

Janson pomyślał o młodym mistrzu gry w protera z FWK – grał o najwyższą stawkę, co oznaczało klęskę albo triumf. Nic pomiędzy.

Teraz należało wybrać odpowiedni moment. Paul wiedział, że Katsaris, ze stosunkowo cichym granatem termitowym w ręku, czeka na jego rozkaz. Zwykle regulaminy przewidywały użycie granatu hukowo-błyskowego, ale głośna eksplozja zaalarmowałaby innych. Jeśli zmobilizowano by żołnierzy z koszar, szanse powodzenia misji

zmniejszyłyby się z nikłych do zerowych.

Katsaris i Janson mieli ze sobą zmodyfikowane MP5K – pistolety maszynowe firmy Heckler&Koch o wadze dwóch kilogramów, z krótką lufą, składaną kolbą i tłumikiem. W magazynkach mieściło się trzydzieści nabojów półpłaszczowych, stosowanych na krótkich dystansach i we wnętrzach. Pociski Hydra-Shok, kalibru 9 mm, rzadko rykoszetowały i niszczyły każdy rodzaj tkanki, jaki napotykały na swojej drodze, nie tyle przebijając, co rozrywając ludzkie wnętrzości. Towarzysze Jansona z Navy SEALs nadali tej broni – o szybkostrzelności teoretycznej 900 strzałów na minutę – nazwę „szczotki do sprzątnia”. Była cicha, czego nie dało się powiedzieć o jękach rażonych nią ofiar. Jednakże masywne drzwi zapewniały dobrą izolację akustyczną, a grocie oddzielało od piętra parę metrów kamienia.

Janson zszedł sześć schodków w dół, po czym przeskoczył na betonową półkę, głęboką mniej więcej na metr. Jak należało się spodziewać, pokrywał ją gąszcz rurek z PCW i izolowanych przewodów elektrycznych, ale udało mu się wylądować bezszelestnie. Na razie wszystko szło dobrze. Strażnicy wpatrywali się w karty – żaden nie zerkał na strop.

Janson przywarł płasko do ściany i zaczął ostrożnie, pomalutku przesuwać się wzdłuż półki. Oddalając się od schodów, zyskiwał lepszą pozycję strzelecką. Zdoła też szybciej dotrzeć do celi Petera Novaka. Z drugiej strony, bynajmniej nie była to pozycja idealna: żołnierze siedzący przy większym ze stołów mogli go zobaczyć, gdyby spojrzeli w górę na zacienioną półkę. Jednak po co mieliby patrzeć?

– *Veda theyilai?*

Mistrz gry w protera, siedzący u szczytu stołu, studiował swoje

karty. Zadał pytanie nieco poirytowanym tonem, jednocześnie przewracając oczami. Czyżby coś zauważył?

Po chwili znów podniósł wzrok i spojrzał czujnie na półkę nad głową, pogrążoną w ciemnościach. Sięgnął po broń – karabin Ruger Mini-14.

Janson nie mylił się co do jego zmysłu obserwacji. Przeszedł go dreszcz. Został namierzony.

– Teraz! – szepnął do mikrofonu, kładąc się na brzuchu w głębi betonowej półki.

Włożył polaryzujące okulary balistyczne, odbezpieczył broń i przełączył na tryb automatyczny.

Młody mężczyzna raptownie wstał od stołu, krzycząc coś w języku Kagama. Zaczął strzelać, celując w miejsce, gdzie przed chwilą dostrzegł intruza. Jeden z pocisków uderzył w beton dosłownie parę centymetrów od głowy Paula. Drugi rozerwał rurę biegnącą nieopodal.

Nagle mroczne pomieszczenie rozbłysło olśniewającym światłem i zapłonęło żarem – do groty wpadł wolno spalający się granat termitowy. Niczym miniaturowe słońce oślepił nawet tych, którzy odwracali wzrok, światłem wielokrotnie jaśniejszym od iskier spawarki. Oślepiło strażników, tym bardziej że dotąd przebywali w półmroku. Strzelali na oślep w stronę Jansona, ale nie byli w stanie go trafić.

Przez niemal czarne szkła okularów Janson obserwował żołnierzy, jak w całkowitym chaosie zakrywają oczy dłońmi i ramionami, strzelając przy tym gdzie popadnie.

Mimo wszystko nawet strzał na ślepo mógł okazać się zabójczy. Podczas gdy w całym pomieszczeniu rozbłyskiwało nadnaturalnie

jasne światło, Janson odpowiadał ogniem, wystrzelivując precyzyjnymi seriami grad kul. Opróżnił magazynek z trzydziestoma nabojami i załadował następny. Pomieszczenie w dole rozbrzmiewało okrzykami.

Na schodach pojawił się Katsaris w ciemnych okularach. Zeskakiwał w dół susami. MP5K cicho terkotał, w miarę jak Katsaris ostrzeliwał partyzantów z coraz to innego kąta.

W kilka sekund było po wszystkim. Paul pomyślał, że niewielu z nich miało okazję choćby spojrzeć w twarz przeciwnikowi. Zostali wymordowani bezosobowo, za pomocą zasilanej magazynkiem, pracującej bez zakłóceń broni automatycznej, wystrzelivującej piętnaście pocisków na sekundę. Serie z MP5K nie tylko okazały się śmiertelne, ale też, dzięki wmontowanemu tłumikowi, niesamowicie ciche. Janson dopiero po chwili uświadomił sobie, co mu przypominał ich stłumiony dźwięk: tasowanie talii kart. Nie taki dźwięk powinien towarzyszyć zabijaniu, pomyślał. Akt tak wielkiej wagi domagał się mniej banalnej ścieżki dźwiękowej.

Zapanowała osobliwa cisza. Powrócił półmrok. Agenci zdjęli okulary. Goła czterdziestowatowa żarówka wciąż świeciła, nienaruszona. Strażnicy nie mieli tyle szczęścia. Ich ciała leżały bezwładnie na ziemi, jak przyszpilone półpłaszczowymi pociskami, które spełniły swoją rolę zgodnie z przeznaczeniem: uderzały z całą siłą, niszcząc wszystkie niezbędne do życia organy. Gdy Janson podszedł bliżej, zobaczył, że niektórzy z żołnierzy padli nieżywi, zanim zdążyli odbezpieczyć karabinki.

Czy ktoś jeszcze się ruszał? Dopiero po chwili spostrzegł, że po podłodze czołga się młody mężczyzna, który w tak zdumiewający sposób rozegrał partię protera. To on spojrzał w górę na betonową

półkę. Miał zakrwawiony brzuch, ale wyciągał ręce po rewolwer leżącego obok, nieżyjącego już żołnierza.

Janson wystrzelił jeszcze jedną serię. Jakby tasował talię kart życia. Chłopak znieruchomiał.

Grota zamieniła się w rzeźnię, obrzydliwie cuchnącą krwią i pozostałościami z przewodów pokarmowych. Janson znał ten smród aż nazbyt dobrze: smród życia, któremu położono kres.

Chryste. Boże. To była rzeź, masakra. Sam tego dokonał? Kim się teraz stał? Przypomniały mu się wyniki testu sprawnościowego sprzed lat, słowa, które teraz brzmiały drwiąco: czy faktycznie znalazł się „w swoim żywiole”? Wrócił pamięcią do rozmowy z Derekiem Collinsem.

Nie masz serca, Janson. Dlatego robisz to, co robisz. Niech to szlag, dlatego jesteś tym, kim jesteś.

Może. A może nie jestem tym, za kogo mnie uważasz?

Mówisz, że zabijanie budzi w tobie odrazę. A ja ci powiem, co sam odkryjesz pewnego dnia: tylko w ten sposób możesz poczuć, że żyjesz.

Jaki człowiek musi zabijać, żeby czuć, że żyje?

Więc jakim był człowiekiem?

Poczuł, jak w gardle zbiera mu się zółć. Czyżby stracił ikrę? Czy zmienił się tak bardzo, że nie potrafił wykonać zadania, którego się podjął? A może po prostu dawno już wypadł z obiegu i zmiękła mu skóra.

Chciało mu się wymiotować. Ale nie mógł sobie na to pozwolić. Nie przy Theo, ukochanym protegowanym. Nie w środku misji. Nie teraz. Nie będzie sobie pobażał.

Teraz doszła do głosu chłodna, trzeźwa myśl: w końcu ofiarami byli żołnierze. Gotowi poświęcić życie. Należeli do grupy terrorystycznej, która porwała człowieka o międzynarodowej sławie i uroczyście

przysięgła go zgładzić. Strzegąc cywila, niesłusznie przetrzymywanego, znaleźli się na linii ognia. Ahmadowi Tabariemu, Kalifowi, przyrzekli oddać życie dla sprawy – i oddali. Janson jedynie przystał na ich propozycję.

– Chodźmy stąd! – zawołał do Katsarisa.

Mógł rozważać w myślach usprawiedliwienia, przyznawać, że nie były bezzasadne, jednak nadal nie mógł znieść widoku rzezi.

Odraza, jaką czuł, stanowiła jego jedyne pocieszenie. Obserwować taką przemoc ze spokojem potrafili tylko terroryści, ekstremiści, fanatycy – ludzie, z którymi walczył przez całe życie, z narastającą obawą, że w pewnym sensie staje się jednym z nich. Niezależnie od tego, co zrobił, fakt, że ten widok go przerażał, wskazywał, że jeszcze nie zmienił się w potwora.

Zeskoczył zwinnie z betonowej półki i dołączył do Katsarisa czekającego przy żelaznych drzwiach lochu. Spostrzegł, że podeszwy butów partnera – tak jak jego własne – były umazane krwią. Szybko odwrócił wzrok.

– Będę pełnić honory domu – oznajmił Theo. Miał w ręku duży pęk starych kluczy, odebrany jednemu z zabitych strażników.

Trzy klucze. Trzy zasuwki. Drzwi się otworzyły. Weszli do ciasnego, ciemnego pomieszczenia. Wilgotne, nieruchome powietrze cuchnęło niemożliwie potem i wymiotami. Nie dochodziło tu światło żarówki z grotu i trudno było zobaczyć cokolwiek.

Katsaris przełączył latarkę z podczerwieni na zwykłe, białe światło. Mocny snop rozjaśnił ciemności.

Nasłuchiwali w milczeniu.

Gdzieś z mroku usłyszeli czyjś oddech.

Wąski korytarz się rozszerzał. Przyjrzeni się, jak zbudowano

dwustuletni loch. Rząd nieprawdopodobnie grubych żelaznych prętów, w odległości zaledwie metra od kamiennych murów. Ustawione co dwa i pół metra murowane ściany oddzielające pojedyncze cele. Żadnych okien, żadnych źródeł światła. Na kamiennych przegrodach umieszczono kiedyś kilka lamp naftowych – można się było tylko domyślać, jak oświetlano loch, gdy jeszcze go używano.

Janson wzdrygnął się na myśl o potwornościach minionych wieków. Za jakie przestępstwa wtrącano ludzi do lochu gubernatora generalnego? Przecież nie po to, by karać zwykłe akty agresji między tubylcami: tradycyjnie wodzowie wiosek sami rozwiązywali takie konflikty, niekiedy tylko zachęceni do stosowania bardziej „cywilizowanych” kar. Nie, do lochu kolonialnego suwerena trafiali buntownicy, którzy sprzeciwiali się cudzoziemskim rządóm, wierząc, że tubylcy potrafią sami zadbać o swoje sprawy, wolni od dominacji upadającego imperium holenderskiego.

A teraz inni buntownicy przejęli loch, nie po to, aby go zburzyć, a jedynie wykorzystać dla własnych celów. Tak wyglądała gorzka i niezaprzeczalna prawda: ci, którzy zdobyli Bastylę, jak było do przewidzenia, szybko znaleźli dla niej nowe zastosowanie.

Za kratą panowała ciemność. Katsaris oświetlił latarką kąt celi i wtedy go zobaczyli.

Mężczyznę.

Mężczyzna chyba nie ucieszył się na ich widok. Przywarł płasko do ściany, trzęsąc się ze strachu. Gdy oświetlił go snop światła, opadł na ziemię i przykucnął w rogu, niczym przerażone zwierzę, które ma nadzieję zniknąć.

– Peter Novak? – spytał cicho Janson.

Mężczyzna zakrył twarz rękami, jak dziecko wierzące, że jeśli samo nie widzi, nie można go zobaczyć.

Nagle Paul zrozumiał. Jak teraz wyglądał, z pomalowaną na czarno twarzą, uzbrojony, w pełnym ekwipunku i butach ociekających krwią? Jak wybawca? Czy jak agresor?

Katsaris wciąż oświetlał latarką skulonego ze strachu mężczyznę. Był ubrany w niedorzecznie elegancką, popelinową koszulę. Sztywną jednak nie od krochmalu z francuskiej pralni, ale od brudu i zaschniętej krwi.

Janson wziął głęboki oddech i wypowiedział na głos słowa, które wcześniej wypowiadał tylko w wyobraźni:

– Panie Novak, nazywam się Paul Janson. Kiedyś uratował mi pan życie. Jestem tu, aby się odwdziaczyć.

Rozdział 7

Przez kilka długich sekund mężczyzna trwał w bezruchu. W końcu podniósł głowę i wciąż siedząc w kucki, spojrzał wprost w światło latarki. Katsaris szybko skierował ją w inną stronę, żeby go nie oślepić.

Janson nie wierzył własnym oczom.

Miał przed sobą człowieka, którego podobizna zdobiła okładki niezliczonych czasopism i gazet codziennych. Człowieka równie kochanego przez ludzi jak papież – a w tych świeckich czasach może nawet bardziej. Gęsta czupryna włosów, wciąż bardziej czarnych niż siwych, opadała mu na czoło. Wydatne, niemal azjatyckie kości policzkowe. Peter Novak. Laureat zeszłorocznej Pokojowej Nagrody Nobla. Filantrop, jakiego dotąd nie znał świat.

Tak powszechnie znajoma twarz w takich okolicznościach – to było tym bardziej wstrząsające. Głębokie sińce pod oczami; przerażony wzrok niegdyś nadzwyczaj stanowczego człowieka. Gdy mężczyzna niepewnie stawał na nogi, Paul zauważył, że drży na całym ciele. Trzęsły mu się ręce. Nawet ciemne brwi nieznacznie drgały.

Janson znał to spojrzenie – spojrzenie człowieka bez nadziei. Sam kiedyś wyglądał podobnie. Baaqlina. Pokryte pyłem miasteczko w Libanie. Porywacze, którym nienawiść odebrała człowieczeństwo. Nigdy nie zapomniał antracytowej czerni ich wzroku, ich serc. Baaqlina. Wyznaczone mu przez los miejsce śmierci – był o tym

głęboko przekonany. Oczywiście, w końcu został uwolniony, dzięki interwencji Fundacji Wolności. Czy jakieś pieniądze przeszły z ręki do ręki? Nigdy się tego nie dowiedział. Jednak nawet po uwolnieniu nie przestał się zastanawiać, czy jego los naprawdę się odwrócił, czy też wyrok został tylko odroczone. Te myśli, te uczucia były głęboko irracjonalne, a on nigdy nie zwierzył się z nich nikomu. Ale być może pewnego dnia podzielił się nimi z Peterem Novakiem. Novak zrozumie, że przeżył coś, co wcześniej przeżywali inni, i niewykluczone, że odnajdzie w tym pocieszenie. Przynajmniej tyle Janson był mu winien. Nie, przecież zawdzięczał mu wszystko. Tak jak tysiące, a może miliony innych ludzi.

Peter Novak zjechał pół świata, aby pomóc w rozwiązaniu krwawego konfliktu. Tymczasem ktoś jego samego uwikłał w krwawy konflikt. Ktoś, kto za to zapłaci.

Janson poczuł, jak wzbiera w nim serdeczność dla nieszczęsnego więźnia, a wraz z nią gniew wobec tych, którzy tak okrutnie go potraktowali. Przez większość życia uciekał od takich uczuć. Miał reputację chłodnego, opanowanego, zrównoważonego, wolnego od emocji. Dlatego nazywano go „Maszyną”. Niektórzy wręcz czuli się przy nim nieswojo; inni z kolei pokładali w nim pełne, niewzruszone zaufanie. Ale Janson wiedział: przecież nie był z kamienia. Potrafił jedynie zinternalizować pewne uczucia. Rzadko okazywał strach, ponieważ za bardzo się bał. Dusił w sobie emocje, ponieważ za bardzo go spalały. Zwłaszcza po zamachu bombowym w Caligo, gdy stracił jedyną osobę, która nadawała sens jego życiu. Trudno kochać, gdy ktoś inny mógł tak łatwo odebrać mu miłość. Trudno ufać, gdy tak łatwo było stracić zaufanie. Wiele lat temu podziwiał nad wyraz pewnego człowieka, a ten człowiek go zdradził. Nie tylko jego –

zdradził całą ludzkość.

Helene powiedziała mu kiedyś, że jest poszukiwaczem. Poszukiwania zakończone – odparł. – Znalazłem ciebie. Ucałował czule jej czoło, oczy, nos, usta, szyję. Ale jej chodziło o coś innego. O to, że poszukiwał znaczenia, czegoś lub kogoś większego od siebie samego. Teraz przyszło mu do głowy, że może szukał Petera Novaka.

Peter Novak: wrak człowieka, sądząc po jego udręczonym spojrzeniu. Wrak człowieka, a jednocześnie święty. Zapewne faktycznie był genialnym ekonomistą, nieraz cytowano jego prace teoretyczne. Może także królem Midasem dwudziestego pierwszego wieku, rozpieszczonym playboyem w rodzaju Szahdżahana, imperatora z dynastii Mogołów, budowniczego Tadż Mahal. Ale interesowały go losy świata, który chciał zostawić lepszym, niż go zastał.

– Przyszliśmy po pana – powiedział Janson.

Więzień zrobił niepewny krok w ich stronę. Odrzucił w tył ramiona, jakby chciał napompować powietrzem płuca. Najwyraźniej z trudem wypowiadał słowa.

– Przyszlście po mnie – wychrypiał. Chyba nie odzywał się od wielu dni.

Co mu zrobili? Osłabili jego ciało czy ducha? Ciało – Janson wiedział z doświadczenia – goiło się szybciej. Novak oddychał z trudem, co wskazywało na zapalenie płuc – przekrwionych w wyniku wdychania wilgotnego, nieruchomego, pełnego zarazków powietrza. Słowa, jakie następnie padły z jego ust, wydawały się bez sensu.

– Pracujecie dla niego – rzekł. – To jasne. On twierdzi, że jest jedynym! Wie, że kiedy mnie zabraknie, nikt go nie powstrzyma!

Wyrzucał z siebie zdania z gorączkowym pospiechem. Tym trudniej było je pojąć.

– Pracujemy dla pana – stwierdził Janson. – Przyszliśmy pana uwolnić.

Spoglądał na nich rozbieganym wzrokiem, jakby w oszołomieniu.

– Nie możecie go powstrzymać!

– Kogo? Kogo nie możemy powstrzymać?

– Petera Novaka!

– Pan jest Peterem Novakiem.

– Tak! Oczywiście.

Splótł dłonie na piersi i stanął wyprostowany jak dyplomata na oficjalnym zebraniu.

Czyżby postradał zmysły?

– Przyszliśmy po pana – powtórzył Janson.

Katsaris tymczasem odnalazł klucz pasujący do celi więźnia. Otworzył kratę. Novak z początku się nie poruszył. Paul przyjrzał się jego źrenicom – nieszczęśnik mógł być pod wpływem środków farmakologicznych. Jednak najwyraźniej odurzyło go jedynie traumatyczne doświadczenie niewoli. Od trzech dni przebywał w kompletnych ciemnościach. Na pewno podawano mu wodę i jedzenie, ale pozbawiono go nadziei.

Janson bez trudu rozpoznał u niego symptomy psychozy pourazowej – sam częściowo ich doświadczył w zapyłonym, libańskim miasteczku. Ludzie spodziewali się na ogół, że uwolniony zakładnik z wdzięczności padnie na kolana lub od razu dołączy do swoich wybawców, jak to miało miejsce w filmach. W rzeczywistości rzadko tak się zdarzało.

Theo spojrzał na Jansona z niepokojem, stukając w tarczę zegarka.

Każda dodatkowa minuta zwiększała zagrożenie.

– Może pan iść o własnych siłach? – spytał Janson tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

Po chwili Novak odpowiedział:

– Tak. Chyba tak.

– Musimy stąd wyjść.

– Nie.

– Proszę. Nie mamy czasu.

Więzień prawdopodobnie miał mętlik w głowie i czuł się zdezorientowany, jak to zwykle bywa z uwolnionymi jeńcami. A może chodziło o coś więcej? Syndrom sztokholmski? Czyżby doszedł do głosu jego słynny kompas sympatii moralnych?

– Nie... Jest ktoś jeszcze! – wyszeptał.

– O czym pan mówi? – wtrącił się Theo.

– Ktoś jeszcze tu jest. – Zakasłał. – Jeszcze jeden jeniec.

– Kto? – dopytywał Katsaris.

– Amerykanka. – Novak wskazał na celę w końcu korytarza. – Bez niej nie wyjdę.

– To niemożliwe! – zawołał Katsaris.

– Jeśli ją tu zostawicie, zginie. Od razu ją zabiją! – Z początku spojrzał na nich błagalnie, potem władczo. Odchrząknął, zwilżył spierzchnięte usta i zaczerpnął powietrza. – Nie chcę jej mieć na sumieniu. – Mówił perfekcyjnym angielskim. Tylko w tle pobrzmiwało nikłe echo węgierskiego akcentu. Znów odetchnął z wysiłkiem. – Wy też nie chcecie.

Janson obserwował, jak więzień, krok po kroku, odzyskuje panowanie nad sobą. Jego ciemne, przenikliwe oczy przypomniały mu, że Novak nie jest zwykłym człowiekiem, lecz arystokratą,

przywykłym do rządzenia światem według własnego widzimisię. Miał do tego dar, dar, który wykorzystywał w ramach swojej niezwyklej szczodrośliwości.

Paul wytrzymał jego uporczywe spojrzenie.

– A jeśli nie uda się nam...

– Będziecie musieli mnie także zostawić.

Wypowiedział te słowa niewyraźnie, lecz zdecydowanie. Janson przyglądał mu się z niedowierzaniem.

Przez twarz Novaka przebiegł skurcz.

– Wątpię, czy wasz plan uwzględnia, że zakładnik nie zechce zostać uwolniony.

Najwyraźniej jego umysł wciąż pracował piekielnie szybko. Z miejsca rozegrał kartę taktyczną, dając im do zrozumienia, że dalsza dyskusja jest bezprzedmiotowa.

Agenci spojrzeli po sobie.

– Theo – odezwał się Janson cichym głosem. – Idź po nią. Katsaris skinął głową niechętnie. Nagle obaj zamarli. Jakiś odgłos w tle.

Zgrzyt stali o kamień.

Znajomy odgłos stalowej kraty, którą otworzyli, żeby wejść do lochu.

Janson przypomniał sobie wesoły okrzyk żołnierza: *Theyilai*.

Spodziewali się gościa, który miał im przynieść herbatę.

Agenci przeszli z lochu do sąsiedniego, zlanego krwią pomieszczenia. Usłyszeli brzęk kluczy, a następnie ich oczom ukazała się taca z poobijanym metalowym dzbankiem i kilkoma piramidkami glinianych filiżanek.

Janson zobaczył dłonie podtrzymujące tacę – nadzwyczaj drobne dłonie. A potem mężczyznę, który wcale nie był mężczyzną.

To był chłopiec. Gdyby Paul miał zgadywać, dałby mu osiem lat. Duże oczy, skóra w kolorze mokki, krótkie czarne włosy. Nie włożył koszuli, a jedynie niebieskie szorty z madrasu. Za duże tenisówki w zestawieniu ze szczupłymi łydkami nadawały mu szczenięcy wygląd. Chłopiec skupił wzrok na kolejnym schodku – powierzono mu ważne zadanie i musiał uważać, żeby nie stracić równowagi. Nie wolno mu było niczego upuścić ani rozlać.

W dwóch trzecich schodów nagle przystanął. Prawdopodobnie zaalarmował go dziwny zapach albo może cisza.

Podniósł głowę i zobaczył strażników leżących na ziemi w kałużach krzepnącej krwi i Janson usłyszał jego stłumiony okrzyk. Chłopiec mimowolnie upuścił tacę. Swoją cenną tacę. Tacę, którą strażnicy mieli powitać z taką wdzięcznością i radością. Gdy toczyła się w dół po schodach, filiżanki roztrzaskiwały się o kamień, a parujący napój z dzbanka rozpryskiwał się na wszystkie strony. Janson obserwował tę scenę jakby w zwolnionym tempie.

Wszystko pospadało. Wszystko się rozlało. Miała jeszcze polać się krew.

Janson wiedział dokładnie, co musi zrobić. Pozostawiony sam sobie, chłopiec uciekłby i powiadomił innych. Niestety, nie mieli wyboru. Jednym płynnym ruchem Janson wycelował do chłopca ze swojego wyłumionego pistoletu maszynowego.

Do chłopca, który spojrzał na niego wielkimi, przestraszonymi oczami.

Do ośmiolatka z buzią wygiętą w podkówkę. Do niewinnego dziecka, któremu nie pozostawiono żadnego wyboru w kwestii życiowych decyzji.

Nie do bojownika. Nie do spiskowca. Nie do buntownika. Chłopiec

nie miał z tym nic wspólnego.

Chłopiec. Uzbrojony – w co? W dzbanek z gorącą miętową herbatą?

Nieważne. Instrukcje określały to jasno: zaangażowany, niebiorący udziału w walce. Janson wiedział, co robić.

Ale nie jego ręka. Odmawiała wykonania rozkazu. Nie był w stanie pociągnąć za spust.

Stał bez ruchu, dosłownie zamarł, jak jeszcze nigdy w życiu, chociaż myśli wirowały mu w głowie. „Standardowy regulamin taktyczny”, który wymagał takich ofiar, napawał go odrazą absolutną, a teraz wręcz paraliżował.

Chłopiec odwrócił się i pobiegł do góry, przeskakując po dwa stopnie naraz – z powrotem na piętro, z powrotem ku bezpieczeństwu.

Tyle że jego bezpieczeństwo oznaczało ich śmierć! Fala oskarżeń pod własnym adresem zalała Jansona jak lawa: dwie sekundy sentymentalizmu przekreśliły szanse powodzenia całej misji.

Chłopiec uderzył na alarm. Darowując mu życie, Janson podpisał wyrok śmierci na Petera Novaka. Na Theo Katsarisa. Na siebie. A całkiem możliwe, że również na innych uczestników misji.

Popęłił rażąco, niewybaczalny błąd. W rzeczywistości stał się mordercą niejednego chłopca, lecz wielu osób. Powędrował zbolałym wzrokiem od Novaka do Katsarisa. Pierwszego darzył podziwem, jak nikogo innego na świecie; drugiego kochał jak syna. Misja skończona. Sabotażu dokonała zbłąkana siła, której najmniej by się spodziewał: on sam.

Theo przemknął obok, zostawiając ślady stóp w kałużach krwi. Jednym susem dopadł schodów, przeskakując między krzesłami i ciałami zmarłych. Chłopiec musiał już prawie dosięgać drzwi na

korytarz, gdy Katsaris wymierzył do niego prosto w serce. Nawet po tym, jak rozbłysnął wylot lufy, nie zmienił wyćwiczonej pozycji strzeleckiej: podtrzymywał rękę z pistoletem i wyglądał na kogoś, kto nie chybi. Wyglądał jak żołnierz strzelający do osoby, która nie może odpowiedzieć ogniem, ale której pod żadnym pozorem nie wolno darować życia.

Janson patrzył przez chwilę zamglonym wzrokiem. Potem, gdy znów odzyskał ostrość widzenia, zobaczył, jak bezwładne ciało turla się w dół po schodach, niemal koziółkując.

Spoczęło u podnóża schodów, niczym porzucona szmaciana lalka.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że głowa chłopca leży na metalowej tacy, którą wcześniej tak dumnie niósł przed sobą. Na miękkich, dziecięcych ustach utworzył się pęcherzyk śliny.

Serce biło mu mocno, lecz powoli. Czuł do siebie głęboką odrazę: o mały włos nie dopuścił do katastrofy. Fakt, że stało się coś nieuniknionego, również napawał go wstrętem. Marność tego wszystkiego. Rozrzutność w kwestii, która nie miała sobie równych na tej ziemi: ludzkiego życia. Ludzie tacy jak Derek Collins nigdy tego nie rozumieją. Janson pamiętał, dlaczego odszedł ze służby. Ktoś musiał podejmować decyzje takie jak ta. Ale on już nie chciał.

Katsaris spojrzał na niego pytająco, zdziwionymi oczami. Dlaczego nic nie zrobiłeś? Co cię powstrzymało?

Wzruszyło go, że w jego wzroku dostrzegł zdumienie, nie wyrzut. Theo powinien był wściec się na niego, tak jak Janson wściekał się na siebie. Tylko uwielbienie dla mentora mogło sprawić, że żołnierz obraca gniew w zadziwienie i niedowierzanie.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział Janson.

Katsaris skinął na schody – wyjście przewidziane w skorygowanym

planie.

Ale to Janson przygotowywał plany i wiedział, kiedy trzeba będzie je zrewidować ze względu na dobro misji.

– Teraz to zbyt niebezpieczne. Trzeba znaleźć inne wyjście.

Czy Theo jeszcze raz zaufa jego ocenie sytuacji? Misja pozbawiona dowódcy zawsze jest skazana na klęskę. Janson musiał pokazać, że panuje nad sytuacją.

– Skupmy się na tym, co najważniejsze – polecił. – Amerykanka.

Dwie minuty później Katsaris dłubał w zamku kolejnej celi. Paul zajrzał do środka. Żelazna krata otworzyła się ze zgrzytem.

W świetle latarki zobaczyli potargane włosy, dawniej zapewne blond.

– Proszę, nie róbcie mi krzywdy – zajęczała kobieta, kuląc się w swojej celi. – Proszę, nie róbcie mi krzywdy!

– Zabieramy cię do domu – oznajmił Theo, kierując w jej stronę światło latarki, tak by mogli ocenić, w jakim jest stanie.

Donna Hedderman, studentka antropologii. Janson od razu rozpoznał jej twarz. Gdy partyzanci z Frontu Wyzwolenia Kagama zdobyli Kamienny Pałac, najwidoczniej wtrącili do lochu także młodą Amerykankę. Zapewne uznali, że dwoje szeroko znanych w świecie zakładników łatwiej upilnują w jednym miejscu.

Hedderman była grubokościstą kobietą z szerokim nosem i krągłymi policzkami. Mocno zbudowana, nawet po siedemdziesięciu dniach niewoli niezbyt zeszczuplała. Jak większość terrorystów, FWK dobrze karmił swoich jeńców. Stanowiło to wynik brutalnej kalkulacji: osłabiony głodem więzień mógł zachorować i umrzeć. Umierając, wymknąłby się władzy FWK – nie można go było stracić.

Mimo wszystko Donna Hedderman przeszła piekło, o czym

świadczyła blada, przezroczysta cera, zmierzwione włosy, szeroko otwarte oczy. Janson oglądał w gazetach jej zdjęcia ilustrujące artykuły o zaginięciu. Okrągła, promienna, niemal cherubinkowa twarz. „Pełna życia” – tak o niej pisano. A jednak tygodnie niewoli odebrały jej wszystkie te cechy. FWK nazwał ją w swoim komunikacie agentką amerykańskiego wywiadu. Wykluczały to, naturalnie, jej lewicowe poglądy. Jak mało kto rozumiała ciężką dolę Kagama, ale FWK gardził sentymentami, które nie wspierały rewolucji. Współczucie eliminowało strach, a na strachu Kalif opierał swą władzę.

Po dłuższym milczeniu spytała drżącym głosem:

– Dla kogo pracujecie?

– Dla pana Novaka – odparł Janson. Spojrzał na niego z ukosa.

– Tak – potwierdził Novak. – To nasi przyjaciele.

Hedderman dźwignęła się na nogi i ruszyła ku otwartej kracie.

Miała obrzękłe kończyny i niepewnie stawiała kroki.

Janson po cichu naradzał się z Katsarisem.

– Jest inny sposób, chyba bezpieczniejszy. Ale będziemy musieli wspólnie zmobilizować środki. Obaj mamy po trzydzieści gramów semteksu. Teraz trzeba go użyć.

Niewielka ilość semteksu, wraz z detonatorem, stanowiła standardowe wyposażenie w niestandardowych misjach.

Theo przyjrzał mu się uważnie, po czym pokiwał głową. Ton głosu Jansona – szczegółowość wydawanych instrukcji – z jakiegoś powodu dodały mu otuchy. Paul bynajmniej nie stracił ikry. A jeśli już, to tylko na chwilę. Janson wciąż był Jansonem.

– Lampy naftowe. – Paul skinął w ich stronę. – Zanim założono elektryczność, stanowiły główne źródło światła. Gubernator generalny

miał w piwnicy zapas nafty, zaopatrywany z zewnątrz. Musiał mieć zbiornik.

– Mogli go odciąć – zauważył Theo. – Zamurować.

– Możliwe. Ale bardziej prawdopodobne, że pokrył się rdzą. Pod fundamentami jest mnóstwo przestrzeni. Całkiem niepotrzebnej.

– Mnóstwo, to prawda. Ale jak go znajdziemy?

– Według planów zbiornik znajduje się mniej więcej dwieście metrów od północno-zachodniej ściany nośnej. Z początku nie wiedziałem, co to jest, ale teraz to do mnie dotarło.

– Trochę daleko – zauważył Theo. – Nie wiem, czy dziewczyna da radę dojść.

Donna chwyciła się żelaznych prętów, żeby nie stracić równowagi. Czas spędzony w niewoli najwyraźniej osłabił jej mięśnie, a zważywszy na wciąż imponujące kształty, tym trudniej jej było ustać na nogach.

Novak zerknął na nią, po czym odwrócił wzrok, wyraźnie zakłopotany.

Janson potrafił sobie wyobrazić, jaka relacja łączyła tych dwoje przerażonych więźniów, którzy nie widzieli się nawzajem, ale mogli się komunikować – szepcząc przez rury, wystukując kody na metalowych prętach, przekazując sobie notatki nabazgrane na skrawkach szmat lub papieru.

– Pobiegnij przodem, Theo. Daj mi znać, jak coś znajdziesz. Wtedy ich przyprowadzę.

Minęły ledwie trzy minuty, gdy usłyszał w słuchawkach triumfalny okrzyk Katsarisa:

– Mam!

Janson spojrzał na zegarek: dalsza zwłoka stwarzała

niebezpieczeństwo. Kiedy przybędzie następny kontyngent strażników, by zmienić dotychczas pełniących wartę? Kiedy znów usłyszą zgrzyt metalu o kamień?

Ruszył z uwolnionymi zawilgoconym podziemnym korytarzem, który prowadził do starego zbiornika z naftą. Hedderman wspierała się na jego ramieniu, a mimo to szła powoli, wyraźnie obolała. Nie takie wybrałby karty, ale takie dostał w tym rozdaniu.

Zbiornik, od dawna nieużywany, znajdował się za żelaznymi drzwiami z ołowianym kołnierzem, zapewniającym szczelne zamknięcie.

– Nie ma czasu – powiedział Janson. – Trzeba rozwalić to cholerstwo. Zawiasy są przerdzewiałe. Wystarczy im pomóc.

Wziął rozbieg i naparł na drzwi, wyrzucając w górę stopę. Gdyby drzwi nie ustąpiły, z pewnością doznałby urazu kości. Ale puściły: runęły na ziemię w chmurze pyłu i rdzy.

Janson zakasłał.

– Wyciągaj semteks – rozkazał.

Wielkimi krokami przeszedł przez pomieszczenie, gdzie niegdyś składowano naftę. Miedzianą komorę wciąż wypełniał jej zapach. Szyjkę wlewu pokrywał stwardniały, smolisty osad, który zalegał także na ścianach, chociaż zbiornika nie używano od dziesięcioleci.

Janson uderzył kolbą peemu w zewnętrzną ścianę. Rozległ się głuchy, metaliczny dźwięk. To było to. Zbiornik wystawał około półtora metra nad ziemię, chyba że osunął się z biegiem lat.

Katsaris okleił pordzewiały, żelazny otwór spustowy białawym kitem wielkości kulki gumy do żucia, po czym wetknął do środka dwa identyczne srebrne druciki. Ich przeciwległe końce były wpięte w małą, okrągłą baterię litową, podobną do tych, jakie stosowano

w zegarkach i aparatach słuchowych. Bateria zwisała nisko i Katsaris postanowił wcisnąć ją w semteks, żeby nie wypadła.

Tymczasem Paul naszykował swoją kulkę semteksu i przez chwilę zastanawiał się nad miejscem, gdzie powinna nastąpić druga eksplozja. Odpowiednie umiejscowienie ładunku miało decydujące znaczenie – nie mogli sobie pozwolić na fuszerkę. Dotychczas chroniły ich mury lochu, oddzielone wieloma warstwami kamienia od pozostałej części północnego skrzydła. Nawet odgłosów strzelaniny nie słyszał nikt z wyjątkiem jej ofiar. Nie mogli jednak opuścić podziemi bezgłośnie. Eksplozja wstrząśnie całym Kamiennym Pałacem, stawiając na nogi wszystkich mieszkańców wielkiego kompleksu. Rebelianci nie będą mieli wątpliwości, gdzie nastąpił wybuch i dokąd wysłać odsiecz. Janson musiał wybrać taką drogę ucieczki, na której nie napotkają żadnych przeszkód, w przeciwnym razie ich wysiłki pójdą na marne.

Umieścił swoją porcję semteksu w rogu miedzianej ściany zbiornika, w miejscu, gdzie stykała się z zaokrągloną pokrywą – niecały metr nad ładunkiem Katsarisa.

Semteks odkleił się, ale Janson zdołał go złapać, zanim spadł na ziemię. Biały kit nie trzymał się tłustej powierzchni.

Co teraz? Wyjął nóż, żeby zeskrobać lepki osad z powierzchni. Po chwili ostrze nie nadawało się już do niczego, ale za to w świetle małej latarki mignął błyszczący, pożłobiony metal.

Przytknął do niego kulkę semteksu, stroną niezabrudzoną tłuszczem. Trzymała się, chociaż wyglądało na to, że może odpaść w każdej chwili.

– Cofnąć się! – krzyknął Janson.

Wyszli na zewnątrz. Paul obejrzał się za siebie, żeby upewnić się, że

materiał wybuchowy wciąż jest na swoim miejscu. Kiedy dołączyli do zakładników, którzy czekali za załomem korytarza, jednocześnie nacisnęli przyciski w urządzeniu sterującym, aktywując baterie.

Nastąpiła ogłuszająca eksplozja. Huknęło tak, jakby ogromna ilość głośników basowych o mocy czterdziestu tysięcy watów sprzęgła się równocześnie. Dosięgła ich fala uderzeniowa, wprawiając w drganie nawet gałki oczne. W powietrzu kłębił się biały dym, w którym poczuli znajomy smród semteksu – ale także coś jeszcze: słony zapach morskiej bryzy. Droga na zewnątrz stała otworem.

Jeśli dane im będzie przeżyć.

Rozdział 8

Ile czasu minie, zanim FWK zmobilizuje wszystkie swoje siły? Dwie minuty? Mniej? Ilu strażników pozostawało na służbie? Ilu na parapetach murów obronnych?

Wkrótce mieli się tego dowiedzieć.

W wyniku eksplozji runęła ciężka kamienna ściana, a wszędzie wokół leżały porzrzucone grube, poszarpane odłamki metalu. Ale w świetle latarki Theo zobaczyli to, co obiecywał zapach morskiej bryzy: otwór na tyle szeroki, że mogli wydostać się przezeń na zewnątrz. Pierwszy ruszył Katsaris. Janson miał iść na końcu. Pomiedzy nimi – osłabieni zakładnicy, którym należało pomóc przebrnąć przez gruzowisko.

Niespełna dwie minuty później wszyscy czworo znaleźli się już na zewnątrz. Morskie powietrze pachniało tu intensywniej, nocne niebo pojaśniało – chmury rozstępowały się powoli. Widać było gwiazdy i skrawek księżyca.

Tylko że teraz wcale nie tęsknili za nocną poświatą. Udało im się wyjść z lochu, lecz nie odzyskali wolności.

Jeszcze nie.

Janson wraz z innymi stanął przy murze z wapienia. Starał się określić ich dokładną pozycję. Bryza oczyściła mu nozdrza z dokuczliwego zapachu krwi zastrzelonych i zwierzęcego odoru niemytych ciał.

Pod wapiennymi murami pod pewnymi względami było bezpieczniej niż na obszarze położonym w większej odległości od pałacu. Na parapetach murów obronnych od strony morza czekali uzbrojeni mężczyźni – niektórzy z nich obsługiwali ciężką artylerię. Właśnie w tym celu zbudowano parapety: aby ostrzeliwać z nich korbety i szkunery należące do obcych imperiów. Im dalej odejdą, tym bardziej będą narażeni na ogień.

– Jest pan w stanie pobiec? – spytał Janson Novaka.

– Niedaleko?

– Tak. Tylko kawałeczek – odparł Janson uspokajająco.

– Postaram się – rzekł miliarder, wysuwając szczękę na znak zdecydowania.

Miał sześćdziesiąt parę lat, przebywał w niewoli w okropnych warunkach, a jednak nie poddawał się dzięki silnej woli.

Jansona uspokoiła jego determinacja. Gorzej było z dziewczyną. Sprawiała wrażenie osoby, która w każdej chwili mogła dostać hysterii. W dodatku była zbyt ciężka, by zdołał przetrzucić ją sobie przez bark.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Hej – powiedział. – Nikt cię nie będzie do niczego zmuszał. Rozumiesz?

Jęknęła, patrząc na niego błagalnie. Widok komandosa z pomalowaną na czarno twarzą chyba nie podnosił jej na duchu.

– Teraz się skup, dobrze? – Wskazał występ skalny, jakieś pół metra dalej, gdzie cypel kończył się stromym urwiskiem. Niska, rozchwiana barierka, pomalowana łuszczącą się białą farbą, stanowiła raczej symboliczne ogrodzenie niż fizyczną przeszkodę. – Tam teraz pobiegniemy.

Nie wdawał się w szczegóły – nie chciał jej przestraszyć. Nie powiedział, że będą musieli zeskoczyć z urwiska, zwieszając się na linach, do łodzi czekającej na wezbranych wodach osiemdziesiąt metrów niżej.

Katsaris i Novak pobiegli na skraj klifu. Janson, wraz z oddychającą chrapliwie dziewczyną, powoli ruszył za nimi.

W szarym świetle świtu urwisko wyglądało jak kraniec świata. Grań jasnej skały, a za nią nicość – całkowita i absolutna.

Ta właśnie nicość była ich celem. Właściwie – ich jedynym ratunkiem.

O ile zdążą na czas.

– Znajdź kotwę! – zawołał Janson do Katsarisa.

Klif tworzyły gnejsy – twarda, metamorficzna, omszała skała. W występach skalnych dało się zauważyć nieliczne naturalne chwytły i stopnie. Korzystając z nich, można było opuścić się szybciej i bezpieczniej niż za pomocą haków i karabinków. Pewnymi ruchami zręcznych dłoni Katsaris nawinał linę na sterczące wyłomy skalne, zawiązując pętlę tak, że utworzyły się dwa sznury. Gdyby jeden z nich pękł – w wyniku tarcia o kamień lub trafiony pociskiem – pozostawał jeszcze drugi. Janson miał ze sobą impregnowaną linę firmy Beal, grubości 9,4 mm, w miarę elastyczną i dość wytrzymałą.

Katsaris mocował kotwę. Tymczasem Janson szybko zakładał Novakowi nylonową uprząż, upewniając się, że szelki i pas są dobrze zapięte. Trudno było to nazwać kontrolowanym zejściem: w tym przypadku decydował sprzęt, nie człowiek. A sprzęt zabrali najprostszy – musieli ograniczyć ilość i wagę ekwipunku. Ósemka miała zwiększyć siłę hamowania liny. Był to prosty przyrząd z polerowanej stali, mniejszy od dłoni, składający się z dwóch kólek,

większego i mniejszego. Żadnych ruchomych części. Prosty w obsłudze.

Katsaris przełożył linę przez większe kółko i zawiązał pętlę. Mniejsze kółko przypiął karabińczykiem do upręży Novaka. To skądinąd prymitywne rozwiązanie zapewniało dostateczne tarcie i pozwalało bezpiecznie kontrolować tempo zejścia.

Z narożnej wieży nad parapetem muru obronnego strażnik wystrzelił w ich kierunku serię z karabinu.

Zauważył ich.

– Chryste, Janson, nie ma czasu! – krzyknął Katsaris.

Ale Janson mógł zagrać na zwłokę – miał minutę, może mniej.

Odczepił od kamizelki granat ogłuszający i cisnął w stronę wieży strażniczej. Granat zakreślił łuk w powietrzu i wpadł do środka.

Janson zrzucił z urwiska zwój liny. Novak musiał się pospieszyć, inaczej nie byłby bezpieczny. Tylko płynne zejście bez przystanków dawało mu jakieś szanse.

Niestety, strażnik w wieży okazał się zwinny i wprawny. W ostatniej chwili schwycił i odrzucił granat, który wybuchł w powietrzu. Błysk eksplozji, niczym reflektor z wieży strażniczej, wydobył z mroku sylwetki czterech osób na krawędzi urwiska – łatwy cel ataku.

– Co teraz? – spytał Novak. – Nie umiem się wspinać.

– Skacz! – ponaglił Katsaris. – Już!

– Zwariowaliście?! – wrzasnął Novak, przerażony czarną nicością w dole.

Katsaris raptownie dźwignął wielkiego mężczyznę i ostrożnie, żeby samemu nie stracić równowagi, oderwał go od zbocza.

Było to niezbyt eleganckie. Ale nie mieli innego wyjścia.

Dobroczyńca ludzkości nie potrafił przyswoić sobie i wykonać nawet najbardziej podstawowych instrukcji: mógł jedynie przemieścić się w pionie w sposób względnie kontrolowany. A przewieszka dawała gwarancję, że będzie w bezpiecznej odległości od ściany.

Janson słyszał, jak lina przechodzi przez ósemkę i ześlizguje się powoli, unosząc uwolnionego mężczyznę bezpiecznie ponad obmywanymi przez wodę skałami. Strome urwisko stanowiło teraz jego najlepszą ochronę. Nawet gdyby pociski przelatowały mu nad głową, nie mogły go dosięgnąć. Novak nic nie musiał robić, wystarczyła siła grawitacji.

Zespół B, czekający w łodzi u podnóża klifu, miał zatroszczyć się o resztę.

Urwisko od wieków chroniło kompleks pałacowy przed atakiem od strony morza, chociaż skały i mielizna i tak nie pozwalały okrętom wojennym podpłynąć zbyt blisko. Położenie fortecy wybrano doskonale. A jednocześnie te same czynniki obronne dawały osłonę intruzom.

Peter Novak był prawie na miejscu. Gorzej z pozostałą trójką.

Janson i Katsaris mogli bez trudu zejść z urwiska. Ale co z Donna? Nie dysponowali zapasową uprzężą ani dodatkowym sprzętem asekuracyjnym. Agenci wymienili długie spojrzenia. Bez słów uzgodnili plan, opracowany po cichu w akcie desperacji.

Theo znów zaczął wiązać pętlę, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie: szlag by trafił tę Amerykankę! Jednak porzucenie jej tutaj w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Po kolejnej serii z karabinu spadł na nich grad odłamków skalnych. Nie mieli czasu do stracenia.

Za chwilę coraz więcej wartowników zacznie ostrzeliwać cypel. Bez

wątpienia ciemność i mgła utrudniały im celowanie, bo serie szły gdzieś w bok. Rebelianci mieli jednak zdecydowaną przewagę liczebną. Uderzyły kolejne kule. Ile czasu im zostało?

– Przypnij się – nakazał Janson Katsarisowi.

Tymczasem zakładał kobiecie własną uprząż. Nylonowe pasy ciasno opinały jej uda i okazałą talię. W pośpiechu przypiął ósemkę. Popchnął Hedderman niezbyt delikatnie, tak że poleciała w dół.

Janson został bez uprząży i przyrządu zjazdowego. Stanął przodem do kotwy zamocowanej przez Theo, przerzucił linę wokół lewego pośladka i biodra, poprowadził ją przez tułów i nad prawym ramieniem, i znów w dół, przez plecy, tak że złapał koniec lewą ręką. Lina oplatała go teraz, tworząc literę „S”. Będzie schodził w dół, kierując prawą ręką, a lewą regulując prędkość. Odchylając do tyłu lewą ręką, mógł przyspieszać. Przyciskając ją do biodra – zwalniał. Nylonowy kombinezon chronił go przed otarciem. Mimo wszystko nie miał złudzeń: kiedyś na ćwiczeniach zjeżdżał bez uprząży i było to doświadczenie niezwykle bolesne.

– Na pewno dasz radę? – spytał Katsaris sceptycznie.

– Pewnie – odparł Janson. – Robiłem to już wcześniej.

I miał nadzieję, że nie będzie musiał tego robić nigdy więcej.

Kilka kolejnych serii z karabinu posypało się na klif niczym grad ołowiu. Skała odległa od ich stóp ledwo kilka centymetrów eksplodowała. Odłamki smagnęły Jansona w twarz. Nie było czasu.

– Utknęłam! – Jękliwy głos Donny Hedderman dobiegł gdzieś z dołu.

– Zaraz ci pomożemy! – zawołał do niej Janson.

Razem z Katsarisem ostrożnie oderwali się od skały. Zgięci w pasie, obaj trzymali nogi prostopadle do stromej ściany, w miarę możliwości

starając się faktycznie „schodzić” w dół. Dla Jansona to zejście okazało się koszmarem: nylonowy kombinezon był mocny, ale pozbawiony ochraniaczy i lina wrzynała mu się w ciało. Mógł zmniejszyć jej nacisk tylko wtedy, gdy mocniej napinał i tak już obolałe mięśnie.

– Ratunku! – Drżący głos kobiety odbijał się echem od urwiska.

Znaleźli Hedderman na jednej trzeciej wysokości i wtedy zobaczyli, co się stało. Długie, zmatowiałe włosy zaplątały się w ósemkę. Należało przewidzieć takie niebezpieczeństwo. Katsaris wyjął nóż. Odpychając się nogami od ściany, zdołał zbliżyć się do kobiety, która wrzasnęła przeraźliwie. Jednym ruchem noża wyswobodził jej głowę. Ale włosów było więcej, sytuacja mogła się powtórzyć. Theo uwolnił jedną rękę i zablokował linę.

– Spokojnie – powiedział.

Zbliżył się jeszcze kawałeczek. Chwycił w garść włosy i obcinał kosmyki jeden po drugim, ignorując głośnie okrzyki protestu. Fryzura wyglądała teraz mało atrakcyjnie, ale z punktu widzenia bezpieczeństwa spełniała wszystkie warunki.

Janson starał się nadążyć za innymi, zaciskając zęby, w miarę jak lina się naprężała. W pewnym momencie zacisnęła się wokół klatki piersiowej niczym pyton, utrudniając oddychanie. Po chwili wbiła się w pośladki. Schodzenie „na żywca”, bez uprząży, wydało mu się równie naturalne jak poród siłami natury. Można było skończyć z bólu. Ledwie poruszał rękami, ale gdyby puścił linę, upadłby wprost na skały.

Musiał wytrzymać jeszcze trochę. Musiał pamiętać o tym, że u podnóża klifu czekają na nich pozostali uczestnicy misji – w ultralekkiej, nadmuchiwanej łodzi, która przyleciała ich BA609.

Wypoczęci i gotowi. Janson wraz z innymi będą z nimi bezpieczni. Jeśli tylko zdołają do nich dotrzeć.

Czysty jak woda, chłodny jak lód.

Sekundy wlokły się jak godziny. Słyszał odgłosy z łodzi – Peter Novak został uwolniony z uprzęży i wciągnięty na pokład.

Należało zwiększyć tempo. Liny znaczyły drogę ich ucieczki. Gdyby wartownicy je odcięli, wszyscy troje runęliby w przepaść. Zabiliby się na miejscu. Sprzyjała im ciemność i mgła, ale czas był potężnym wrogiem.

Tylko szybkość dawała im teraz szanse na przeżycie. Jak najszybciej wyplątać się z lin i wejść na łódź.

Ile czasu minęło? Czterdzieści sekund? Pięćdziesiąt? Minuta?

W chwili gdy poczuł, że mięśnie całkiem odmawiają mu posłuszeństwa, ktoś go pochwycił i w końcu wyplątał się z liny ubezpieczającej, która okazała się narzędziem tortury. Zajął miejsce w płaskodennej łodzi i się rozejrzał. Było ich sześcioro. Novak. Hedderman. Katsaris. Andressen. Honwana. Hennessy miał pilotować samolot w zastępstwie Honwany.

Silnik zawył: nadmuchiwana łódź z usztywnionym kadłubem

– Sea Force 490 – odbiła od skał. Ruszyli na południe, z początku trzymając się blisko brzegu, a następnie wypłynęli na pogrążone we mgle wody oceanu. Wartownikom trudno byłoby wypatrzyć łódź przy tak słabej widoczności. Zresztą szybko znalazła się poza zasięgiem ognia ich karabinów.

– Wszystko zgodnie z planem – powiadomił Andressen Hennessy’ego, który czekał w BA609. – Plus jeden dodatkowy gość.

Gdzieś za nimi kilka pocisków uderzyło w wodę. Wystrzelono je z desperacji, na pokaz. Jednak zabłąkane kule mogły czasem osiągnąć

taki sam efekt, jak precyzyjnie wymierzone strzały.

Dopiero gdy znaleźli się osiemset metrów od brzegu, przestali słyszeć strzały powstańców – niewątpliwie nadal prowadzili ogień, choćby z poczucia frustracji, jednak teraz fale oceanu zagłuszały huk.

Łódź kołysała się rytmicznie. Silnik pracował pełną parą, musieli zмагаć się z monsunowymi prądami. Gdy wybrzeże Anury stopniowo nikło we mgle, Janson pomyślał, że maleńka w istocie łódź z gumy i metalu, punkcik na tle ogromnego, pustego oceanu, z punktu widzenia przyszłych losów ludzkości miała na pokładzie cargo wielkiej wagi.

Peter Novak stał zwrócony przodem do kierunku, w którym płynęli. Po zaciśniętych szczękach widać było, że odzyskuje poczucie własnej tożsamości, własnego ja. Ale jego twarz nie wyrażała niczego – myślami był gdzie indziej. Mgiełka drobnych kropeł morskiej wody skrzyła się na jego włosach i policzkach; popelinową koszulę ochlapywało piana. Od czasu do czasu przeczesywał palcami gęstą czuprynę.

Hedderman, zwinięta w kłębek, ukryła twarz w dłoniach. Janson wiedział, że minie dużo czasu, nim dojdzie do siebie. Tych dwoje wpadło w szpony FWK w radykalnie różnych okolicznościach i reagowali zupełnie inaczej.

Towarzysze Jansona także milczeli, zatopieni w myślach. Lub może rozważali kolejne etapy operacji.

Czy rebelianci ruszą za nimi w pościg motorówką? Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Dla kogoś pozbawionego umiejętności wspinaczkowych Wzgórze Adama stanowiło potężną przeszkodę.

Jeszcze zanim dostrzegli samolot, usłyszeli warkot śmigieł. Od celu wciąż dzieliło ich ćwierć mili otwartego morza. Andressen spojrzał na

zegarek i zwiększył obroty. Byli w operacyjnym niedoczasie: uwolnienie zakładników znacznie się przedłużyło. Mała łódź podskakiwała na falach jak dryfujące drewno, ale potężny silnik zaburtowy pozwalał im płynąć mniej więcej w prostej linii. W końcu ujrzeli samolot. Czekał na pływającym lądowisku – wielkiej połaci samonadmuchującej się czarnej gumy. Pod wpływem ruchu śmigieł ustawionych ku niebu morze burzyło się wokół niego. Hennessy, który miał pilotować maszynę w drodze powrotnej, żeby Honwana mógł odpocząć, sprawdzał hydraulikę.

Matowy kadłub samolotu rysował się teraz na tle nieba w nikłym świetle nowego dnia. Nad horyzontem pojawiła się różowa smuga, która kilka minut później rozbłysła intensywnym blaskiem. Zaczęło świtać, chmury niemal całkiem ustąpiły. Ciemny fiolet nieba przechodził w głęboki błękit. Świt nad Oceanem Indyjskim. Dla Petera Novaka – pierwszy świt od wielu dni.

Hennessy otworzył okno w kabinie.

– Kim w ogóle jest ta kobieta?! – zawołał do Jansona głosem pełnym napięcia.

– Słyszałeś o Donnie Hedderman?

– Matko kochana, Janson! Była mowa o jednym zakładniku. Nie ma miejsca dla dwojga. Niech to szlag, paliwa zostało na styk. Jeśli weźmiemy na pokład dodatkowe pięćdziesiąt kilogramów ładunku, paliwo skończy się, zanim wylądujemy.

– Rozumiem.

– Ja myślę. W końcu to był twój plan. Jezu! Gdzie jeszcze mogę lądować?

Paul pokręcił głową.

– Nie ma nigdzie bliżej bezpiecznego miejsca. Nie ma alternatywy.

– I co teraz zrobimy?

– Ja zostanę – odparł Janson. – W łodzi jest dość paliwa, dopłynę do Sri Lanki. – Hennessy spojrział na niego z niedowierzaniem. – Przy zmniejszonej prędkości, wykorzystując prądy – uzupełnił. – Zaufaj mi, wiem, co robię.

– Sri Lanka nie jest bezpieczna. Sam to mówiłeś, na litość boską.

– Nie dla Novaka, o to mi chodziło. Dam sobie radę. Byłem przygotowany na różne ewentualności.

Blefował. Akurat tej ewentualności nie wziął pod uwagę.

Wprowadzili zasapaną, charkoczącą Donnę Hedderman na pokład samolotu. Miała poczerwieniałą twarz i ubranie mokre od morskiej bryzy.

– Panie Janson? – Nowak przemówił wysokim, wyraźnym głosem, który przebił się przez pulsujące dudnienie silnika. – Jest pan bardzo odważnym człowiekiem. Patrzę na pana z pokorą, co zwykle nie przychodzi mi łatwo. – Ścisnął Jansona za ramię. – Nigdy o tym nie zapomnę.

Paul skłonił głowę, po czym spojrział Novakowi prosto w piwne oczy.

– Proszę, żeby pan zapomniał. Proszę o to ze względów bezpieczeństwa, mojego własnego i moich ludzi. – Była to odpowiedź zawodowca. A Janson był zawodowcem.

– Dobry z pana człowiek – stwierdził tamten po dłuższym milczeniu.

Katsaris pomógł mu wejść po schodkach na pokład, po czym wrócił do Paula.

Staął naprzeciw niego z poważną miną.

– Ja zostanę. Ty polecisz.

– Nie, przyjacielu – powiedział Janson.

– Proszę. – Grek nie ustępował. – Jesteś im potrzebny. Dowodzisz misją, tak? Na wypadek, gdyby coś poszło źle.

– Teraz już wszystko pójdzie dobrze – odparł Paul. – Novak jest pod dobrą opieką.

– Sto mil na otwartym morzu w nadmuchiwanej łódce. To nie są żarty – stwierdził Katsaris lodowatym tonem.

– Chcesz powiedzieć, że jestem za stary, żeby trochę sobie pożeglować?

Theo potrząsnął głową bez uśmiechu.

– Proszę, Paul. To ja powinienem zostać.

Jego czarne włosy lśniły w świetle brzasku.

– Nie, do cholery! – wybuchnął Janson w przypiływie złości. – Ja zdecydowałem, ja wszystko schrzaniłem, moja wina. Żaden członek mojego zespołu nie będzie ryzykował zamiast mnie. Rozmowa skończona.

Była to kwestia dumy – w mrocznym świecie tajnych agentów przejaw męstwa i honoru. Katsaris przełknął ślinę. Więcej nie protestował, ale minę miał wciąż zmartwioną.

Janson zredukował obroty silnika: ograniczając prędkość, zmniejszy spalanie. Na kompasie w zegarku sprawdził kierunek.

Za trzy, może cztery godziny dopłynie do brzegów południowo-wschodniej Sri Lanki. Znał tam łącznika, który mógł zawieźć go ciężarówką na międzynarodowe lotnisko Colombo. O ile znów nie znalazło się w rękach Tamilskich Tygrysów. To nie było idealne wyjście. Ale znów – najlepsze z możliwych.

Patrzył, jak mały, turkusowy samolot wznosi się w powietrze, rysując na niebie zygzakowaty wzór. Wykorzystując przeważające

wiatry, osiągał wysokość odpowiednią dla dłuższego lotu na Katczal.

Poranne niebo przybrało piękny kolor błękitu, niemal identyczny jak odcień kadłuba maszyny. Gdy Janson obserwował jego płynny lot, ogarnęły go nagle spokój i uczucie ulgi.

Pozwolił sobie na chwilę samozadowolenia. Wbrew wszelkim oczekiwaniom – wygrali. Peter Novak był wolny. Zbrodniarze fanatycy stracili swojego wspaniałego jeńca i zostali upokorzeni. Janson rozparł się w łodzi, wpatrzony w samolot, który wznosił się coraz wyżej, obracając się wokół osi. Wyglądał niemal jak żywe stworzenie – śmigający w powietrzu owad.

Chcąc dopłynąć do nadmorskich równin Sri Lanki w małej łodzi, musiał zachować ostrożność. Mógł napotkać po drodze piaszczyste mierzeje stanowiące poważne zagrożenie. Ale z lotniska Colombo miał bezpośredni lot do Bombaju, a stamtąd bez trudu wróci do Stanów. Zapamiętał prywatny numer telefonu Marty Lang, podobnie jak Katsaris. Mogli się z nią skontaktować, gdziekolwiek by była. Łódź nie została wyposażona w odpowiedni system łączności, ale wiedział, że Katsaris przejmie dowodzenie i za kilka minut powiadomi zastępczynię Novaka, że misja zakończyła się pomyślnie. Janson chciał osobiście przekazać jej tę wiadomość, ale Katsaris miał do tego równe prawo: był integralną częścią operacji i w nadzwyczajny sposób przyczynił się do jej powodzenia.

Jak znał Fundację Wolności, na przyłot BA609 czekała już u wybrzeży Katczal cała powietrzna flotylla. Nadal obserwował, jak imponująca maszyna płynnie wznosi się coraz wyżej.

I nagle – nie! Niemożliwe, to musiało być złudzenie optyczne! Zobaczył błysk, oślepiające płomienie eksplozji, a potem smugę dymu. Pulsująca biel rozjaśniła poranne niebo, a zaraz potem rozbłysło inne

światło: żółtawy płomień paliwa. Drobne fragmenty kadłuba powoli opadały na powierzchnię wody.

Nie! Chryste, tylko nie to!

Przez kilka długich sekund Janson był jak sparaliżowany. Zamknął oczy i znów je otworzył. Czyżby tylko to sobie wyobraził?

Oderwane śmigło obracało się leniwie w powietrzu, zanim spadło do wody.

Dobry Boże.

Takiej katastrofy nie widział nigdy wcześniej. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce. Theo. Theo Katsaris był dla niego prawie jak syn. Kochał go jak syna. Kochali się nawzajem. „Ja zostanę”, prosił, a Janson, powodowany próżnością, dumą

– Janson mu odmówił.

Theo zginął. Spłonął na jego oczach.

Jak w kalejdoskopie, mignęły mu przed oczami twarze pozostałych: małomówny, zrównoważony Manuel Honwana. Andressen: lojalny, metodyczny, solidny, opanowany. Czasem traktowany lekceważąco, bo całkiem wyzbyty szacunku dla samego siebie. Sean Hennessy, którego kazał uwolnić z angielskiego więzienia, by wysłać go na śmierć. Donna Hedderman – nieszczęsna Amerykanka, uszczęśliwiająca innych na siłę.

Zginęli wszyscy. Przez niego.

I Peter Novak. Największy filantrop nowego wieku. Olbrzym pośród maluczkich. Mediator. Człowiek, który kiedyś uratował mu życie. Cel ich misji.

Zginął.

Spopielony tysiąc metrów nad Oceanem Indyjskim.

Wraz z nastaniem świtu niewiarygodny triumf zmienił się

w koszmar.

Wiedział, że to nie przypadek, nie awaria silnika. Eksplozję paliwa poprzedził o kilka sekund inny wybuch. To, co się stało, było wynikiem przebiegłego planu. Zamordowano czterech jego najlepszych ludzi. Oraz człowieka, który w dobroci nie miał sobie równych na świecie.

Co się stało, do cholery? Kto mógł wymyślić coś podobnego? Kiedy?

I dlaczego? Na litość boską, dlaczego?!

Opadł na dno łodzi, sparaliżowany bólem, poczuciem bezsensu, wściekłością. Na otwartym morzu czuł się przez chwilę jak w krypcie. Serce pękało mu z żalu. Z trudem oddychał. Czuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Wzburzone morze jakby go przyzywało, obiecując antidotum w postaci wiecznego zapomnienia. Był znękany, udęczony, przerażony – i mógł położyć temu kres.

Ale to nie wchodziło w rachubę.

Oddałby życie za każdego z nich. Wiedział to teraz.

To nie wchodziło w rachubę.

Tylko on przeżył.

Zaczął mechanicznie, na trzeźwo, analizować fakty, kierując się twardą, lodowatą logiką: wystąpił przeciwko grupie fanatyków, by ulec sile znacznie potworniejszej. Oburzenie niemal zmroziło mu duszę. Uczucia takie jak przygnębienie i żal musiały ustąpić w obliczu absolutnego i nieugiętego pragnienia sprawiedliwości, i to ono zastąpiło wszystkie inne emocje. Tylko on przeżył – przeżył, by dociec prawdy.

Odpowiedzieć na pytanie: dlaczego.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 9

Waszyngton

– Główna dyrektywa jest tajna – oznajmił mężczyzna z Agencji Wywiadu Obronnego pozostałym zgromadzonym. Miał gęste, ciemne brwi, szerokie bary i muskularne ramiona. Wyglądał na pracownika fizycznego. W rzeczywistości Douglas Albright był intelektualistą skłonny do refleksji. Obronił dwa doktoraty: z nauk politycznych i z podstaw teorii gier. – Tajność jest priorytetem numer jeden, dwa i trzy. Nie chcę w tej kwestii nieporozumień.

Nikt nie spodziewał się nieporozumień: spotkanie zwołano w nietypowym miejscu, w najszybszym możliwym czasie. Międzynarodowe Centrum Meridian mieściło się na Crescent Place, w pobliżu Szesnastej Ulicy. Nijaki, choć okazały budynek w neoklasycystycznym stylu – typowy dla urzędniczej zabudowy Waszyngtonu – nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego dyskretny wdzięk opierał się w dużej mierze na osobliwym statusie: nie należał do rządu federalnego – centrum reklamowało się jako oświatowa i kulturalna organizacja non profit, jednak nieoficjalnie pełniło przede wszystkim funkcje rządowe. Eleganckie drzwi frontowe wykonano z rzeźbionego dębu, ale ważniejsze było boczne wejście, dostępne jedynie z prywatnego podjazdu, dzięki czemu rozmaici dygnitarze podjeżdżali i wyjeżdżali, nie zwracając niczyjej uwagi. W położonym niespełna półtora kilometra od Białego Domu centrum mogły się

odbywać pewne spotkania, zwłaszcza te międzyresortowe, dla których nie było specjalnego uzasadnienia. Spotkania te nie wymagały formalnych raportów, jakich zwykle, ze względów bezpieczeństwa, życzył sobie Biały Dom, komitet wykonawczy, Pentagon oraz rozmaite agencje wywiadowcze. Odbywały się więc, oficjalnie w ogóle się nie odbywając.

Wokół niewielkiego stołu konferencyjnego siedziało pięciu mężczyzn o szarych twarzach. Pracowali w tej samej branży, ale – zważywszy na strukturę agencji rządowych – w zwykłych okolicznościach nie mieliby powodu się spotykać. Rzecz jasna, program, który ich tu zgromadził, nie należał do zwykłych, a okoliczności mogły okazać się dramatyczne.

W przeciwieństwie do swoich tytułarnych przełożonych nie byli mianowani; pracowali dożywotnio, zajmując się programami, które przeciągały się poza czas trwania jakiegokolwiek administracji. Działali w porozumieniu z ludźmi pełniącymi swoje obowiązki w ramach czteroletniej kadencji. Podlegali im bezpośrednio, ale horyzont ich odpowiedzialności, tak jak ją pojmowali, sięgał znacznie dalej.

Naprzeciwko mężczyzny z AWO siedział wicedyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Miał wysokie, gładkie czoło i drobną, ściągniętą twarz. Był dumny z tego, że zawsze – niezależnie od okoliczności – zachowywał spokój, teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej: zaczynały mu puszczać nerwy.

– Tajność, tak, charakter dyrektywy jest jasny – powiedział cicho. – Charakter obiektu niekoniecznie.

– Paul Elie Janson – odchrząknął podsekretarz stanu, który oficjalnie pełnił funkcję dyrektora Biura Wywiadowczo-Badawczego w Departamencie Stanu. Wcześniej się nie odzywał. Był atletycznie

zbudowanym mężczyzną o gładko ogolonej twarzy i zmierzwionych włosach koloru słomy. Grube okulary w czarnych oprawkach dodawały mu powagi. Przetrwiał już niejeden kryzys, dlatego pozostali z uwagą słuchali jego opinii w poszczególnych kwestiach. – Janson, jak pamiętacie, był jednym z naszych. Akta, które otrzymaliście, są nieco okrojone. Przepraszam za to, ale w takiej postaci zwykle do nas docierają. Nie mieliśmy dość czasu, żeby lepiej się przygotować. W każdym razie dają ogólny wgląd w sytuację.

– To ta jedna z waszych cholernych maszyn do zabijania, prawda, Derek? – odezwał się Albright, spoglądając spode łba na podsekretarza stanu. Wprawdzie piastował wysokie stanowisko w administracji, ale zajmował się działem analiz, nie tajnymi operacjami, i był analitykiem do szpiku kości. Głęboko zakorzeniona nieufność, jaką ludzie jemu podobni darzyli agentów operacyjnych, często znajdowała uzasadnienie. – Tworzycie te bezduszne roboty, wypuszczacie je w świat, a potem ktoś inny musi posprzątać bałagan. Nie rozumiem tylko, w co on pogrywa.

Mężczyzna z Departamentu Stanu poczerwieniał ze złości.

– Wzięliście pod uwagę możliwość, że ktoś pogrywa z nim? – Surowe spojrzenie. – Wyciąganie pochopnych wniosków może okazać się groźne. Wolę nie zakładać z góry, że Janson jest zdrajcą.

– Chodzi o to, że nie mamy pewności – powiedział po chwili Sanford Hildreth z ABN. Zwrócił się do mężczyzny siedzącego obok – informatyka, który w młodości zyskał reputację cudownego dziecka, gdy niemal samodzielnie opracował nowy projekt wywiadowczej bazy danych dla CIA. – Kaz, czy coś przeoczyliśmy?

Kazuo Onishi pokręcił głową. Ukończył Kalifornijski Uniwersytet Technologiczny, dorastał w południowej Kalifornii i mówił

z tamtejszym akcentem, przez co wydawał się bardziej nieskrępowany, niż był w rzeczywistości.

– Mogę jedynie stwierdzić, że pojawiły się pewne anomalie, sugerujące naruszenie firewalla. Niestety, nie jestem w stanie zidentyfikować sprawcy. W każdym razie jeszcze nie.

– Przyjmijmy, że masz rację, Derek – ciągnął Hildreth. – Jeśli tak, współczuję mu z całego serca. Nic, absolutnie nic nie może zagrozić programowi. Doug słusznie powiedział: to jest główna dyrektywa. Bezwzględna i kategoryczna. Inaczej to już koniec Pax Americana. W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy ten Janson wiedział, co robi. Ale raczej nie ma pojęcia, w co wdepnął. – Podniósł do ust filiżankę kawy i upił łyk. Miał nadzieję, że nikt nie zauważył drżenia jego ręki, gdy odstawiał filiżankę na spodeczek. – I nigdy się tego nie dowie.

Zabrzmiało to bardziej jak oświadczenie niż spostrzeżenie.

– Z tym mogę się zgodzić – rzekł mężczyzna z Departamentu Stanu.
– Czy powiadomiono Charlotte?

Charlotte Ainsley była doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego i główną ich łączniczką z Białym Domem.

– Powiadomimy ją jeszcze dzisiaj – odparł mężczyzna z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. – Ale czy nie ma innych dopuszczalnych opcji?

– W tej chwili? Wszedł na grząski grunt. Nie mogliśmy mu pomóc, nawet gdybyśmy chcieli.

– Pójdzie łatwiej, jeśli nie będzie się bronił – stwierdził analityk z Agencji Wywiadu Obronnego.

– Bez wątplenia – zgodził się Derek Collins. – Ale znam go, będzie walczył. Do upadłego.

– Wobec tego trzeba przedsięwziąć nadzwyczajne środki – skwitował analityk. – Jeżeli nasz program zostanie ujawniony, jeśli choćby jeden jego procent wyjdzie na światło dzienne, to nie tylko my polegniemy. Zostanie zniszczone wszystko, co nam tutaj leży na sercu. Wszystko. Cofniemy się w czasie o dwadzieścia lat, a to byłby jeszcze najlepszy scenariusz. Równie dobrze możemy obiecywać gruszki na wierzbie albo liczyć na wygraną na loterii. Bardziej prawdopodobny rezultat to kolejna wojna światowa. Tyle że tym razem przegramy.

– Biedaczysko – mruknął wicedyrektor ABN, kartkując akta Jansona. – Tkwi w tym gównie po uszy.

Podsekretarz stanu omal się nie wzdrygnął.

– Żebyś wiedział – stwierdził ponuro. – I my też.

Ateny

Grecy nazywali to *nefos*. Smog – tak zachodnia cywilizacja obdarowała swoją kolebkę. Uwięziony w kręgu gór, spychany w dół w wyniku inwersji temperatury, zakwaszał powietrze, przyspieszając niszczenie zabytków, i podrażniał oczy i płuca czterech milionów mieszkańców miasta. W gorsze dni spowijał Ateny trującym obłokiem. To był właśnie jeden z gorszych dni.

Janson przyleciał z Bombaju bezpośrednio do Aten, na terminal wschodni międzynarodowego lotniska Ellinikon. Czuł wewnątrz martwość; poruszał się jak zombie w garniturze, mechanicznie wykonując swoje obowiązki. *Miałeś granitową płytę zamiast serca.* Gdyby tak było naprawdę.

Wielokrotnie wydzwaniał do Marty Lang. Bez skutku. Doprowadzało go to do szału. Twierdziła, że pod numer, który mu

dała, dodzwoni się zawsze i o każdej porze. Połączy się bezpośrednio z jej gabinetem, z jej prywatną linią, a jeśli nie odbierze po trzech sygnałach, połączenie zostanie przekierowane na telefon komórkowy. Podkreślała, że ten numer znają tylko trzy osoby. Ale w słuchawce odzywał się elektroniczny warkot. Janson kontaktował się z regionalnymi centralami Fundacji Wolności w Nowym Jorku, Amsterdamie, Bukareszcie. „Pani Lang jest nieosiągalna”, informowali go aksamitnym głosem jej podwładni. Nie dawał za wygraną. Mówił, że to pilne. Że oddzwania. Jest osobistym przyjacielem. Chodzi o sprawę niezwyklej wagi. Chodzi o Petera Novaka. Próbował wszystkiego, naprzykrzał się do niemożliwości, ale nie posunął się ani o krok dalej.

„Wiadomość zostanie przekazana” – za każdym razem słyszał niezmiennie tę samą, zgrabną konstrukcję w stronie biernej. Jednak nikt nie mógł przekazać prawdziwej wiadomości, słów potwornej, druzgocącej prawdy. Co miał im powiedzieć? Że Peter Novak nie żyje? Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek w fundacji wiedział o jego śmierci, a Janson nie zamierzał zdradzać się z tą wiedzą.

Przechodząc przez terminal, słyszał z głośników lotniska wszechobecną amerykańską gwiazdę pop i jej wszechobecny hit z popularnego, amerykańskiego filmu. Tak miała teraz wyglądać rzeczywistość zagranicznego turysty: rozmyta globalną jednorodnością, otoczona kulturalnym pęcherzem.

„Wiadomość zostanie przekazana”.

To było nie do zniesienia! Gdzie ona się podziała?! Ją też zabili? Czy może – ta myśl uderzyła w niego nagle obuchem – sama stanowiła część tego potwornego, niezgłębionego spisku? Czyżby Novak zginął z rąk członka lub członków swojej własnej organizacji?

Janson nie mógł automatycznie odrzucić tej hipotezy, chociaż wynikała z niej przerażająca konstatacja: on sam okazał się tylko pionkiem w grze. Zamiast ocalić człowieka, który kiedyś uratował mu życie, posłużył za narzędzie jego zniszczenia. Ale to przecież zakrawało na obłąd! To w ogóle nie miało sensu. Po co zabijać człowieka z wyrokiem śmierci?

Janson wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do Mets – dzielnicy Aten położonej na południowy zachód od stadionu olimpijskiego. Czekало go trudne zadanie: musiał powiedzieć Marinie Katsaris, co się stało. Powiedzieć jej o tym osobiście, a ta perspektywa całkiem go przytłaczała.

Lotnisko znajdowało się około dziesięciu kilometrów od centrum Aten. Janson, siedząc niewygodnie na tylnym siedzeniu, gdzie nie mógł rozprostować długich nóg, rozglądał się wokół zmęczonym wzrokiem. Szosa prowadząca z lotniska na przedmieściach Glifada do ateńskiej aglomeracji na wzgórzu przypominała taśmociąg pełen samochodów. Nagromadzenie spalin z rur wydechowych potęgowało ogólny zaduch.

W okienku taksometru zauważył małe „2”. Napotkał wzrok kierowcy, przysadzistego mężczyzny z ciemnym zarostem, jakiego nigdy nie udaje się zgolić do końca.

– Mamy jeszcze kogoś w bagażniku? – zagadnął Janson.

– W bagażniku? – Taksówkarz był rozbawiony. I dumny ze swojej znajomości angielskiego. – Ha! Nie zauważyłem nikogo, kiedy ostatnio sprawdzałem! Czemu pan pyta?

– Bo na tylnym siedzeniu oprócz mnie nie ma nikogo. Zastanawiałem się, dlaczego żąda pan zapłaty za dwóch pasażerów.

– Mój błąd – orzekł kierowca po chwili, wyraźnie tracąc humor.

Z ponurą miną nastawił na nowo taksometr. Nie tylko miał zażądać niższej opłaty, ale też stracił tych kilka drachm, które dotąd nabił.

Janson wzruszył ramionami. Stara sztuczka ateńskich taksówkarzy. Najwyraźniej kierowca uznał, że pasażer jest zbyt zmęczony i roztargniony, żeby zauważyć ten banalny przekręt.

Z powodu korków w centrum stolicy ostatnie dwa kilometry jechali dłużej niż wcześniejszych osiem. Dzielnica Mets powstała na stromym wzgórzu. Architektura przedwojennych domów – zbudowanych, zanim miasto znacznie się rozrosło – nawiązywała do wcześniejszych, przyjemniejszych czasów. Budynki w piaskowym kolorze w większości pokryte dachówką miały czerwone okiennice. Za murami domów kryły się osłonięte podwórka z roślinami w donicach i spiralnymi schodkami. Dom Katsarisa stał przy wąskiej uliczce w pobliżu Voulgareos, zaledwie sześć przecznic od stadionu olimpijskiego.

Janson odprawił kierowcę, zapłaciwszy mu dwa i pół tysiąca drachm, zadzwonił do drzwi i czekał, na wpół łudząc się, że nikogo nie zastanie.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast, a w progu stała Marina – dokładnie taka, jaką zapamiętał, może tylko jeszcze piękniejsza. Janson przyglądał się jej wydatnym kościom policzkowym, miodowej cerze, nieruchomym, piwnym oczom, prostym, jedwabistym, czarnym włosom. Nieznacznie powiększony brzuch prawie nie rzucał się w oczy pod luźną sukienką z surowego jedwabiu.

– Paul! – zawołała radośnie. Jednak radość szybko ustąpiła, gdy Marina zobaczyła jego minę. Pobladła gwałtownie. – Nie – wyszeptała.

Janson milczał, ale jego wymizerowana twarz była jak otwarta

księga.

– Nie – powtórzyła.

Zaczęła drzeć na całym ciele. Jej rysy wykrzywiły się, najpierw w bólu, potem w gniewie. Wszedł za nią do środka. Odwróciła się, uderzając go w twarz. I potem jeszcze, i jeszcze – młóciła rękami, jakby starała się unieważnić prawdę, która miała zniszczyć cały jej świat.

Bolesne ciosy były niczym w obliczu jej złości i rozpacz. W końcu chwycił ją za przeguby.

– Marina – powiedział głosem pełnym bólu. – Marina, proszę.

Spojrzała na niego tak, jakby siłą woli mogła sprawić, by zniknął, a wraz z nim druzgocąca wiadomość, którą przyniósł.

– Marina, nie potrafię wyrazić, jak mi przykro. – W takich chwilach wszystko brzmiało banalnie, nawet jeśli płynęło z głębi serca. Zacisnął powieki, szukając w myślach słów pocieszenia. – Theo do końca był bohaterem. – Zabrzmiało to drętw. Ból Mariny i jego własny dosłownie go roznosił. – Nikt nie mógł mu dorównać. A rzeczy, których dokonał...

– *Mpa! Thee mou.* – Wyrwała się raptownie z jego objęć i wybiegła na balkon nad małym dziedzińcem. – Nic nie rozumiesz! Mam to gdzieś! Mam gdzieś operacje tajnych agentów, mam gdzieś wszystkich tych bohaterów i ich zabawy w kowbojów i Indian! Mam to gdzieś!

– Nie zawsze tak było...

– Masz rację – przyznała. – Kiedyś sama się w to bawiłam...

– Jezu, to, co zrobiłaś w Bosforze... Nadzwyczajna historia. Operacja miała miejsce sześć lat temu, zanim Marina odeszła z greckiej służby wywiadowczej. Tajny skład broni, przeznaczony dla grupy *17 Noemvri* – organizacji terrorystycznej pod nazwą „17

listopada” – przechwycono, po czym zatrzymano potencjalnych kupców.

– Znam osoby z branży, które wciąż wspominają tę akcję.

– Tyle że potem zadajesz sobie pytanie: czy to cokolwiek zmieniło?

– Ocaliłaś życie wielu ludzi!

– Czyżby? Przechwyciliśmy jeden statek z bronią. Na jego miejsce pojawił się kolejny. Ceny wzrosły, wynagrodzenie dealerów także.

– Theo widział to inaczej... – zaproponował cicho Janson.

– Theo nigdy nie patrzył na to w ten sposób, to prawda. – Głos jej zdrzął. – I nigdy już nie spojrzy.

– Sądzisz, że to moja wina.

– Moja wina.

– Marina, nie.

– To ja pozwoliłam mu jechać. Gdybym się uparła, zostałaby w domu. Masz wątpliwości? Ale nie nalegałam. Bo nawet gdyby teraz został, byłby kolejny raz, i jeszcze jeden, i znowu. A gdyby nie pojechał na misję – gdyby już nigdy nie miał pojechać na misję – to także by go zabiło. Theo był zawodowcem. Wiem o tym, Paul. Był z siebie taki dumny. Uważasz, że powinnam mu to odebrać?

– Wszyscy dokonujemy wyborów.

– Jak miałam mu udowodnić, że jest wielki także w innych dziedzinach? Że jest dobrym człowiekiem? Że będzie fantastycznym ojcem?

– Był fantastycznym przyjacielem.

– Był, dla ciebie – powiedziała Marina. – A ty dla niego?

– Nie wiem.

– On ciebie uwielbiał, Paul. Dlatego się zdecydował.

– Wiem o tym – powiedział Janson bezbarwnym głosem. –

Naprawdę.

– Byłeś dla niego całym światem.

Paul milczał przez chwilę.

– Tak mi przykro, Marina.

– Ty nas połączyłeś. A teraz nas rozdzielisz. Bo tylko śmierć mogła nas rozdzielić. – Marina patrzyła na niego błagalnie ciemnymi oczami.

Nagle coś w niej pękło. Zaniósła się szlochem niemal zwierzęcym, dzikim i niepowstrzymanym. Przez kilka minut płacz wstrząsał całym jej ciałem. Potem usiadła na czarnym lakierowanym krześle, w otoczeniu drobnych akcesoriów domowej codzienności, które zgromadzili z Theo. Ręcznie tkany dywan. Jasna, niedawno odnowiona, drewniana podłoga – mały, przytulny dom, gdzie wiodła życie wraz z mężem, gdzie razem szykowali się na przyjęcie nowego życia. Janson pomyślał, że pustoszona przez wojnę wyspa na Oceanie Indyjskim na swój sposób ich obu, jego i Theo, pozbawiła ojcostwa.

– Nie chciałam, żeby wyjeżdżał – powiedziała Marina. – Tak, nigdy nie chciałam, żeby wyjeżdżał.

Miała zaczerwienioną twarz i zaślinione, opuchnięte usta. Gniew w pewnym stopniu dodawał jej siły, a kiedy przeminął, całkiem się załamała.

– Wiem. – Janson z trudem nad sobą panował. Widząc, jak Marina zaczyna osuwać się na krześle, objął ją ramionami i mocno przytulił.

– Marina. – Wymówił jej imię jak szeptane błaganie.

Uliczka za panoramicznym oknem kąpała się w słońcu, a klaksony sfrustrowanych kierowców – szum późnego miejskiego popołudnia – brzmiały niemal swojsko. Rzesze mieszkańców spieszyły do domów, do swoich bliskich: mężczyzn, kobiet, synów, córek – geometrii życia

rodzinnego.

Spojrzała na niego przez łzy.

– Kogoś uratował? Kogoś ocalił? Powiedz, że nie zginął na darmo. Powiedz, że ocalił komuś życie. Paul!

Siedział nieruchomo na krześle z plecionym oparciem.

– Wyjaśnij mi, co się stało – poprosiła, jakby znajomość szczegółów tego wydarzenia miała pomóc jej pozostać przy zdrowych zmysłach.

Minęła minuta, zanim wziął się w garść i odzyskał głos. Opowiedział jej dokładnie, co się wydarzyło. W końcu po to tu przyjechał. On jeden wiedział, jak zginął Theo. Marina też chciała, musiała wiedzieć. Gdy mówił, coraz dobitniej docierało do niego, jak niewiele wnoszą jego wyjaśnienia. Tyle było niewiadomych. Tyle pytań, na które nie znajdował odpowiedzi.

Wiedział jednak, że je znajdzie albo zginie, próbując.

•••

Hotel Spyrios, położony kilka przecznic od placu Syntagma, zbudowano w nijakim stylu, typowym dla międzynarodowych kurortów turystycznych: wykończone trawertynem windy, drzwi w mahoniowych okleinach, niezbyt wygodne meble, zaprojektowane tak, by atrakcyjnie prezentowały się w broszurach.

– Pański pokój będzie gotów za pięć minut – poinformował go mężczyzna w recepcji, starannie dobierając słowa. – Proszę poczekać w holu, zaraz się panem zajmujemy. Pięć minut, nie więcej.

Pięć minut, mierzone według czasu ateńskiego, przeciągnęło się do dziesięciu, ale w końcu Janson otrzymał kartę magnetyczną i udał się na dziewiąte piętro do swojego pokoju. Automatycznie wykonał rytualne czynności: włożył kartę do otworu w drzwiach, poczekał, aż

zapali się zielona dioda, przekreślił gałkę i popchnął ciężkie drzwi.

Czuł się przytłoczony i nie była to kwestia ciężkiego bagażu. Miał obolałe ramiona i barki. Spotkanie z Mariną okazało się pod każdym względem tak bolesne, jak się spodziewał. Poczucie straty zbliżyło ich do siebie, ale tylko na chwilę. To Janson ponosił odpowiedzialność za śmierć Theo i nie mógł przed tym uciec, a ból, przeżywany osobno, dokuczał podwójnie. Marina nie potrafiła pojąć, jak bardzo czuł się osamotniony, jak udreńczony poczuciem winy.

W pokoju unosił się zapach potu, co znaczyło, że sprzątaczką dopiero co wyszła. A zasłony były zaciągnięte, chociaż o tej porze dnia powinny być rozsunięte. W swoim roztargnieniu Janson nie wyciągnął oczywistych wniosków. Żal jakby oddzielił go od świata zwiewną tkaniną.

Dopiero gdy przyzwyczał wzrok do światła, zauważył mężczyznę siedzącego tyłem do okna w tapicerowanym fotelu.

Podskoczył, sięgając po broń, której nie miał.

– Dawno nie byliśmy razem na drinku, Paul – rzucił z fotela intruz.

Janson rozpoznał jego przesłodzony, nadskakujący ton. Płynną angielszczyznę z ledwie słyszalnym greckim akcentem. Nikos Andros.

Naszła go fala wspomnień, w większości niemiłych.

– Czuję się urażony. Przyjeżdżasz do Aten, a ja nic o tym nie wiem – ciągnął Andros, wstając z fotela i robiąc krok w stronę Jansona. – Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że zadzwonisz i zaprosisz mnie na drinka, wzniesiemy kieliszeczek ouzo za dawne dobre czasy. Nie?

Okrągłe policzki, małe, rozbiegane oczka: Nikos Andros należał do innej epoki w życiu Jansona. Do rozdziału, który zamknął, odchodząc ze służby.

– Nie obchodzi mnie, jak się tu dostałeś. Pytanie brzmi, jak chcesz się wydostać – powiedział Janson bez cienia sympatii. – Najszybciej będzie przez balkon, dziewięć pięter w dół.

– Czy tak się rozmawia z przyjacielem?

Andros miał ciemne, krótko obcięte włosy. Zawsze nosił wytworne, starannie wyprasowane ubrania: czarna marynarka była uszyta z kaszmiru, ciemnogrnatowa koszula z jedwabiu, buty z miękkiej, gładkiej cielęcej skóry. Janson zauważył długi paznokieć na jego małym palcu – modni ateńczycy okazywali w ten sposób pogardę dla pracy fizycznej.

– Z przyjacielem? Nikos, robiliśmy razem interesy. Ale to już przeszłość. Wątpię, czy masz do sprzedania coś, co chciałbym kupić.

– Nie wysłuchasz nawet prezentacji? Widzę, że się spieszysz. Nieważne. Obecnie zajmuję się działalnością charytatywną. Nie przyszedłem sprzedawać ci informacji. Przyszedłem przekazać ci informację. Za darmo.

W Grecji Nikos Andros był znanym konserwatorem skarbów narodowych. Jako kurator Muzeum Archeologicznego w Pireusie i orędownik ochrony zabytków, często cytowany, gdy dyskutowano o powrocie do kraju utraconych reliktyw przeszłości – uparcie postulował sprowadzenie do Grecji z Londynu Marmurów Elgina. Mieszkał w neoklasycystycznej willi w zielonej, podmiejskiej dzielnicy Kifissia, położonej u stóp góry Pentelejkon, i uchodził za barwną postać ateńskiej elity. Jego erudycja w dziedzinie archeologii klasycznej sprawiała, że chętnie zapraszano go na salony w całej Europie. Ponieważ żył w dobrobycie i nierzadko robił aluzje do rodzinnej fortuny, budził powszechny szacunek, jakim Grecy tradycyjnie obdarzali *anthropos kales anatrophes* – człowieka dobrze

urodzonego.

Janson wiedział, że wytworny kurator dorastał w Salonikach jako syn sklepikarza. Wiedział również, że jego z trudem wywalczona pozycja społeczna pomagała mu w tajnej działalności informatora podczas zimnej wojny. Ateny w owym czasie stanowiły główny ośrodek siatki zarówno CIA, jak i KGB. Przez cieśninę Bosfor przemycano szpiegów, a z Półwyspu Egejskiego przeprowadzano skomplikowane manewry z udziałem sąsiednich krajów Azji Mniejszej. Androsa w ogóle nie obchodziła wielka gra supermocarstw: nie opowiadał się za żadną ze stron, tak jak pośrednik handlowy nie preferuje żadnego z klientów.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia – warknął Janson – to mów i wynoś się stąd do diabła.

– Rozczarowujesz mnie – odparł Andros. – Zawsze miałem cię za człowieka wyrafinowanego, obytego w świecie, kulturalnego. Zawsze żywiłem dla ciebie szacunek. Wolałem transakcje z tobą niż z kimkolwiek innym.

Janson ze swojej strony wspominał transakcje z Androsem jako wyjątkowy koszmar. Szło mu o wiele prościej z ludźmi, którzy znali wartość towaru i zadowalali się uczciwą wymianą. Ale Androsowi nie wystarczyło zapłacić – trzeba mu było schlebiać, przymilać się, nadskakiwać. Wiecznie domagał się rzadkich odmian ouzo. No i jeszcze te jego dziwki, młode kobiety, a czasem mężczyźni, towarzyszący mu w najmniej odpowiednich momentach. Dbał jedynie o własne potrzeby i mało go obchodziło, czy nie naraża bezpieczeństwa innych, bądź całej siatki, z którą się kontaktował.

Było oczywiste, że Nikos Andros dorobił się majątku na zimnowojennych spekulacjach. Janson wobec takich ludzi czuł

pogardę. Nie mógł jej okazywać, dopóki potrzebował ich towarów czy usług, ale te czasy dawno minęły.

– Kto cię przysłał? – spytał.

– Ojej – westchnął Andros. – Teraz zachowujesz się jak *koinos eglimatias*, zwykły oprych, niebezpieczny dla siebie i innych. Wiesz, twoi znajomi dzielą się na tych, którzy sądzą, że zmieniłeś się od czasów Wietnamu... i na tych, którzy wiedzą, że nie zmieniłeś się ani trochę.

Janson zeszywniał.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Poczuł, jak krew uderza mu do głowy.

– Czyżby? Narobiłeś sobie wtedy sporo wrogów, a ścieżka kariery niektórych jest podobna do twojej. Są tacy, którzy nie umieją ci wybaczyć. Podczas moich podróży poznałem osobiście kilku, którzy po paru kieliszkach ouzo przyznają, że uważają cię za potwora. Podobno złożyłeś zeznania obciążające dowódcę. W rezultacie został stracony za zbrodnie wojenne – chociaż to, co robiłeś, było równie potworne albo gorsze. Masz osobliwe poczucie sprawiedliwości. Ciekawe, że ciebie ono akurat nie dotyczy.

Janson postąpił krok do przodu, oparł dłoń na piersi Androsa i pchnął go na ścianę. Różne myśli kotłowały mu się w głowie, ale uciszył je siłą woli. Musiał się skupić.

– Co takiego miałeś mi przekazać, Andros?

Zobaczył w oczach przeciwnika przebłysk nienawiści i zdał sobie sprawę, że tamten odwzajemnia jego pogardę.

– Twoi byli pracodawcy chcą się z tobą widzieć.

– Kto tak twierdzi?

– Miałem tylko przekazać wiadomość. Zależy im, żebyś wiedział, że

musicie porozmawiać. Chcą, żebyś się stawił.

Stawił. Zgrabna metafora. Andros wiedział, o czym mówi. Stawić się – czyli oddać się do dyspozycji amerykańskich władz, poddać się analizom, przesłuchaniom, inwigilacji.

– To nie ma sensu. Gdyby chcieli, żebym się stawił, nie informowaliby o tym zdemoralizowanego socjopaty. Możesz pracować dla każdego. Bardzo chciałbym wiedzieć, kto faktycznie wydaje ci polecenia. Bo jesteś tylko chłopcem na posyłki.

– Chłopcem na posyłki, mówisz.

– Tylko na tyle cię stać.

Andros uśmiechnął się. Wokół jego oczu pojawiła się siateczka zmarszczek.

– Pamiętasz okoliczności pierwszego maratonu? W piątym wieku przed naszą erą Persowie przypuścili atak na portowe miasto Maraton. Posłaniec o imieniu Filippides pobiegł do Aten, by zwołać wojsko. Armia grecka, czterokrotnie mniejsza, przypuściła szturm i coś, co wyglądało na atak samobójczy, przyniosło zdumiewające zwycięstwo. Zginęły tysiące Persów. Pozostali wsiedli na swoje statki, żeby zaatakować Ateny bezpośrednio. Znów trzeba było wysłać tajną wiadomość: poinformować o zwycięstwie i mającym nastąpić ataku. Znów powierzono tę misję posłańcowi. Pamiętaj, że Filippides w ciężkiej zbroi przez cały poranek walczył na polu bitwy. Wszystko jedno. Pobiegł do Aten. Biegł co sił w nogach ponad czterdzieści kilometrów, przekazał wiadomość, po czym padł martwy. Chłopiec na posyłki to u nas całkiem stara tradycja.

– Niespodziewany atak i tajne wiadomości. Rozumiem, czemu podoba ci się ta historia. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego zwrócili się z tym do ciebie?

– Ponieważ, przyjacielu, akurat byłem pod ręką. – Andros znów się uśmiechnął. – Lubię sobie wyobrazać, że właśnie te słowa wydyszał starożytny posłaniec, zanim padł na ziemię. Nie, Janson, nic nie rozumiesz. W tym przypadku wiadomość jest przeznaczona dla tego, kto potrafi rozpoznać nadawcę. Wysłano tysiące gołębi pocztowych, ale tylko ten jeden doleciał. Twój dawny kolega najwyraźniej stracił trop, skoro dopiero teraz odkryli, że tu jesteś. Potrzebowali mnie, mojej sieci kontaktów.

A w tej części miasta nie ma hotelu, tawerny, *kapheneion* czy *ouzeri*, gdzie bym ich nie miał. Rozpuściłem wici i dowiedziałem się, czego trzeba. Sądzisz, że amerykański attache zadziałałby równie szybko? – Andros odstłonił w uśmiechu rząd równych, ostrych zębów drapieżnika. – Na twoim miejscu bardziej niż posłańcem przejąłbym się wiadomością. Widzisz, chcą z tobą mówić, bo musisz im coś wyjaśnić.

– Co takiego?

Andros westchnął ciężko, dramatycznie.

– Pojawiły się wątpliwości co do twojej ostatniej akcji. – Wzruszył ramionami. – Posłuchaj, nie wiem, o co chodzi. Powtarzam tylko to, co usłyszałem. Jak podstarzały aktor w *epitheorisi* – tak nazywamy opery mydlane.

Janson roześmiał się pogardliwie.

– Kłamiesz.

– To niegrzeczne z twojej strony.

– Nie wierzę, żeby moi dawni pracodawcy powierzyli ci takie zadanie.

– Bo jestem *outheteros*? Bezstronny? Ależ zmieniłem się, tak jak ty. Jestem teraz innym człowiekiem.

– Ty? Innym człowiekiem? – zadrwił Janson. – Ani innym, ani człowiekiem.

Andros zeszywniał.

– Twoi dawni pracodawcy... są teraz moimi.

– Kolejne kłamstwo.

– Nie. My, Grecy, jesteśmy ludźmi rynku. *Agora*. Ale rynek nie istnieje bez konkurencji. Wolny rynek, konkurencja – tak? Wciąż to deklarują nasi politycy. Świat bardzo się zmienił przez ostatnich dziesięć lat. Dawniej panowała ożywiona konkurencja. Teraz *agora* jest w naszych rękach. Masz rynek na własność i nazywasz go wolnym. – Przekrzywił głowę. – Co robić? Moi klienci ze Wschodu mają puste portfele. Ich wywiad interesuje jedynie, czy w Moskwie starczy opału na zimę. Nie stać ich na zbytki, jakie oferuję.

– W KGB jest dość twardogłowych, którzy nadal chcieliby korzystać z twoich usług.

– Co mi po twardogłowych bez twardej waluty? W końcu trzeba zdecydować, za kim się jest. Sam to mówiłeś, pamiętam. Wybrałem... jak to się ładnie nazywa? Wybrałem zielone.

– Zawsze tak wybierałeś. Wierny byłeś tylko pieniądзом.

– Doprawdy, ranią mnie twoje słowa. – Uniósł brwi. – Robisz ze mnie tandeciarza.

– W co ty grasz? Chcesz mnie przekonać, że jesteś teraz na liście płac amerykańskiego wywiadu?

Andros przewrócił oczami w wyrazie gniewu i niedowierzania.

– Sądzisz, że rozpowiadałbym na prawo i lewo o współpracy z tym miłym, puszystym supermocarstwem? Wyobrażasz sobie Greka, który chełpi się czymś takim?

– Czemu nie? To przydałoby ci powagi, zacząłbyś się liczyć

w grze...

– Nie, Paul. Zrobiłbym z siebie *Americanofilos*, pachółka Wuja Sama.

– Co w tym złego?

Andros pokręcił głową z politowaniem.

– Ktoś inny mógłby się tak okłamywać. Ale ty? Grecy nienawidzą Ameryki nie za to, co robi, ale za to, czym jest. Grecy nienawidzą Wuja Sama. Może nie powinna mnie dziwić twoja naiwność. Wy, Amerykanie, nigdy nie potrafiliście pojąć, że ktokolwiek może się wam przeciwstawić. Tak bardzo chcecie być kochani, że nie rozumiecie, czemu kocha was tak niewiele. Dlaczego ludzie nienawidzą Ameryki? Spytaj sam siebie. A może to cię przerasta? Facet w ciężkich buciorach zastanawia się, czemu uciekają przed nim mrówki. Przecież nic do nich nie ma!

Janson milczał przez chwilę. Jeśli Andros rzeczywiście zgadał się z wywiadem, to nie po to, żeby się tym chełpić. W to akurat wierzył. Ale poza tym?

– W każdym razie – ciągnął Andros – wyjaśniłem twoim dawnym kolegom, że łączą nas wyjątkowo serdeczne stosunki. Nieprzemijająca przyjaźń i zaufanie od lat.

To było do niego podobne: gładka mowa, wymyślone na poczekaniu kłamstwa, puste obietnice. Janson potrafił to sobie wyobrazić. Skoro Andros usłyszał, że trzeba nawiązać kontakt, szybko się o to postarał. *Słowa zaufanego przyjaciela nie wzbudzą podejrzeń* – tak zapewne powiedział łącznikowi.

Janson przyglądał się nieproszonemu gościowi, czując narastające napięcie. „Chcą, żebyś się stawił”.

Po co? Tych słów nie używano bez przyczyny. Popęlniłby błąd,

lekceważąc je.

– Nie mówisz mi wszystkiego – stwierdził.

– Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia – odparł Andros.

– Powiedziałeś, co miałeś powiedzieć. Teraz czekam na resztę.

Andros wzruszył ramionami.

– Słyszałem to i owo.

– Tak?

Pokręcił głową.

– Nie pracuję dla ciebie. Nie płacisz, nie ma towaru.

– Ty skurwysynu! – wybuchnął Janson. – Mów, co wiesz, albo...

– Albo? Co zrobisz? Zastrzelisz mnie? Opuścisz pokój hotelowy, splamiony krwią rzetelnego współpracownika amerykańskiego wywiadu? To z pewnością oczyści atmosferę.

Jason patrzył na niego przez chwilę.

– Nigdy bym cię nie zastrzelił, Nikos. Ale inny agent twoich nowych mocodawców raczej się nie zawaha. Zwłaszcza jeśli dowie się o twoich powiązaniach z *Noemvri*.

Aluzja do osławionej greckiej grupy terrorystycznej pod nazwą „17 listopada”, od dawna rozpracowywanej przez wywiad amerykański, wywołała natychmiastową reakcję.

– Nie mam z nimi nic wspólnego! – warknął Andros.

– To powiedz im o tym. Na pewno ci uwierzą.

– Jesteś nieznośny, naprawdę. To czysty wymysł! Nie jest tajemnicą, że sprzeciwiałem się pułkownikom, ale powiązania z terrorystami? To niedorzeczne. To oszczerstwo.

– Tak. – Na ustach Jansona błąkał się słaby uśmiech.

– Cóż... – Andros wiercił się niespokojnie. – Na pewno nie uwierzą

tobie.

– Przecież to nie wyszłoby ode mnie. Nie wątpisz chyba, że wciąż potrafię przechytrzyć system? Spędziłem wiele lat w kontrwywiadzie. Wiem, jak puścić w obieg informację, tak by nigdy nie wyśledzono, że pochodzi ode mnie, i by krok po kroku nabierała wiarygodności.

– Opowiadasz brednie.

– Członek greckiego parlamentu zwierza się innemu. Ten drugi przypadkiem pracuje dla CIA. Zapis ich rozmowy trafia wiadomymi kanałami do szefa lokalnej komórki. Nawiasem mówiąc, ten facet nie zapomniał, że terroryści z „17 Listopada” zamordowali jednego z jego poprzedników. Wiarygodność źródła: wysoka. Wiarygodność informacji: wysoka. Przy twoim nazwisku pojawia się znak zapytania. Teraz twoi mocodawcy mają twarde orzechy do zgryzienia. Nawet nikła możliwość, że ktoś powiązany z „17 listopada” pobierał amerykańskie fundusze, spowodowałyby skandal w środowisku. To byłby koniec kariery dla wszystkich w to zamieszanych. Jako oficer prowadzący możesz zarządzić śledztwo. Ale czy naprawdę chcesz ryzykować? Bo jeśli wynik okaże się pozytywny, pozostali oficerowie wywiadu będą musieli osobiście podciąć sobie gardła. Pojawi się wewnętrzny raport, dowodzący, że antyamerykańscy terroryści napychają sobie kieszenie pieniędzmi amerykańskich podatników. Wobec tego czy jest inne wyjście? – Janson przez cały czas nie spuszczał wzroku z Androsa. – Bezpieczne wyjście? Wypadek? Może jedna z tych dziwek, które zabierasz do domu, przyniesie ze sobą specjalną zabawkę i tej nocy już się nie obudzisz. „Kurator zabytków umiera na serce” – po takiej wiadomości wszyscy odetchną z ulgą. Możesz też paść ofiarą zbrodni, bandyckiego napadu na ulicy. Albo twój płatny partner homoseksualny okaże się bardziej brutalny, niż

tego chciałeś.

– To śmieszne – mruknął Andros bez przekonania.

– Z drugiej strony, niewykluczone, że zapadnie decyzja, żeby wykreślić cię z listy płac, zatrzeć wszystkie ślady i zostawić cię w spokoju. W gruncie rzeczy to całkiem prawdopodobne. – Janson umilkł na chwilę. – Byłbyś skłonny na to liczyć? Andros zaciskał i rozwierał szczęki; na jego czole pokazała się nabrzmiała żyła.

– Podobno – odezwał się w końcu – chcą wiedzieć, skąd na twoim koncie na Kajmanach wzięło się szesnaście milionów dolarów. Bank Monte Verde. Szesnaście milionów dolarów, których nie było tam jeszcze kilka dni temu.

– Kolejne kłamstwa! – ryknął Janson.

– Nie! – Andros patrzył na niego błagalnie, a strach w jego oczach wydawał się całkiem realny. – Nie wiem, czy to prawda, ale oni tak twierdzą. I to nie jest kłamstwo.

Paul odetchnął głęboko i posłał mu twarde spojrzenie.

– Wynoś się – rzekł. – Mdli mnie na twój widok. Andros bez słowa wypadł z pokoju, najwyraźniej przerażony, że musiał wyjawić, co wie. Może zresztą zdawał sobie sprawę, że Janson kazał mu wyjść na wypadek, gdyby w złości miał się posunąć do rękoczynów.

Janson został sam. Myśli kłębiły mu się w głowie. Kompletny absurd. Andros był zawodowym kłamcą, ale ta wiadomość – sugestia, że ukrył ogromną fortunę – miała całkiem inny wymiar. Jeszcze bardziej niepokojąco brzmiała wzmianka o koncie na Kajmanach – Janson faktycznie posiadał rachunek w banku Monte Verde, jednak zawsze trzymał to w tajemnicy. Konto nie figurowało w żadnym oficjalnym rejestrze, nikt nie miał do niego dostępu. Skąd Andros wiedział o tym rachunku?

I co właściwie robił Nikos Andros?

Janson włączył trzyzakresowy notes elektroniczny i wpisał odpowiednie numery, żeby uzyskać połączenie internetowe z bankiem na Kajmanach. Sygnał został dwustronnie zakodowany. Urządzenie Jansona losowo generowało pasmo, które nigdy się nie powtarzało. Przechwycenie wiadomości było niemożliwe. Kodowanie zajmowało 1024 bity i proces przebiegał powoli, ale po dziesięciu minutach Janson uzyskał dostęp do najnowszej historii rachunku.

Kiedy logował się ostatnio, na koncie znajdowało się siedemset tysięcy dolarów.

Teraz – szesnaście milionów siedemset tysięcy.

Jak to możliwe? Rachunek był zabezpieczony przed nieautoryzowanymi wpłatami i wypłatami.

„Chcą, żebyś się stawił”.

Te słowa wróciły do niego z ostrością brzytwy.

Przez kolejnych trzydzieści minut wertował transfery, potwierdzone jego własnym, niepowtarzalnym, cyfrowym podpisem, ciągiem znanych tylko jemu liczb. Był to cyfrowy „klucz”, do którego nawet bank nie miał dostępu. Niemożliwe. A jednak. Elektroniczny rejestr zdarzeń nie pozostawiał wątpliwości: Janson sam autoryzował odbiór szesnastu milionów dolarów. Pieniądze wpłynęły na konto w dwóch ratach po osiem milionów. Pierwszą ratę zaksięgowano cztery dni temu. Drugą wczoraj o 19.21 czasu wschodnioamerykańskiego.

Mniej więcej kwadrans po śmierci Petera Novaka.

Rozdział 10

W pokoju zrobiło się duszno, ściany zdawały się napierać na siebie. Janson musiał zorientować się w swoim położeniu, musiał wyjść na zewnątrz. Wokół placu Syntagma rozlokowały się liczne kioski i sklepiki, im bliżej serca placu, tym droższe i bardziej wykwintne. Jednak nawet tutaj kłuły w oczy symbole globalizacji: Wendy's, McDonald, Arby's. Paul szedł przed siebie, mijając neoklasycystyczne fasady dziewiętnastowiecznych budynków osmańskich, w których obecnie mieściły się głównie instytucje państwowe. Przemierzył ulice Herodysa Attyka i Vassilissis Sofias, i przystanął przed Vouli, siedzibą greckiego Parlamentu – masywną, płowozółtą budowlą z małymi oknami i długim portykiem. Na zewnątrz stali dumnie strażnicy *evzones* z bagnetami na karabinach, w kiltach i rdzawoczerwonych czapkach z frędzlami. Płyty z brązu upamiętniały dawno zapomniane zwycięstwa.

Postanowił poszukać chłodniejszego, czystsze powietrza w Ogrodach Narodowych, tuż obok Parlamentu. Między drzewami i krzewami stały wyblakłe posągi, szemrały małe fontanny z rybkami. W altankach rezydowały setki zdziczałych kotów. Wiele z nich miało na brzuchach twarde, jakby powiększone sutki. Dziwna rzecz: można było po prostu ich nie zauważać. Ale gdy raz zwrócił na nie uwagę, dostrzegał je wszędzie.

Skinął głową siwowłosemu mężczyźnie, który siedział na ławce

i zdawał się patrzeć w jego stronę. Mężczyzna szybko odwrócił wzrok – za szybko, zważywszy na typową grecką życzliwość. Jansonowi najwyraźniej puszczały nerwy, lękał się własnego cienia.

Zawrócił do Omonia, nieco obskurnej dzielnicy na północny zachód od placu Syntagma. Znał tam człowieka prowadzącego bardzo specyficzne interesy. Szybko minął Stadion, sklepiki i *kapheneion*. Ponownie, zamiast znajomego, napotkał człowieka, który na jego widok szybko odwrócił twarz. Czyżby mu się przywidziało? Odtworzył w myślach zapamiętane obrazy. Zwyczajnie ubrany mężczyzna obserwował go spod przymrużonych powiek na skrzyżowaniu, po czym spojrzał w inną stronę. Nieco zbyt gwałtownie, jak tajniak, który wie, że obiekt inwigilacji nie powinien zobaczyć go z bliska.

Teraz stał się nadzwyczaj czujny. Przecnicę dalej zauważył kobietę wpatrującą się w wystawę sklepu z biżuterią. Ale znów było w tym coś dziwnego: promienie słońca padały tak, że zamiast witryny sklepu mogła widzieć jedynie odbłask w szybie. Gdyby faktycznie chciała przyjrzeć się naszyjnikom i bransoletkom, musiałaby stanąć pod innym kątem, tyłem do słońca. Chwilę wcześniej inny potencjalny klient zdjął kapelusz z szerokim rondem, żeby przesłonić słońce i zajrzeć do środka. Ale jego też interesowało tylko to, co odbijało się w szybie.

Instynkt wyraźnie go ostrzegał: chodzili za nim. Uzmysłowił sobie, że powinien był zwrócić uwagę na parę przed kwiaciarnią naprzeciwko hotelu, ostentacyjnie studiującą dużą mapę, która skrywała ich twarze. Osobliwie dużą mapę. Większość pieszych turystów zadowalała się mniejszymi, kieszonkowymi wersjami.

Co tu się działo, do diabła?

Wszedł na targ rzeźniczy w ogromnym, dziewiętnastowiecznym budynku z kutymi ornamentami na froncie. Na kruszonym lodzie leżały lśniące organy: serca, wątroby, żołądki. Całe tusze krów, świń i drobiu wisały na hakach do góry nogami, tworząc groteskowy obraz.

Janson rzucał wokół niespokojne spojrzenia. Po lewej, kilka stoisk dalej, klient oglądał boczek – tego samego mężczyznę widział wcześniej w Ogrodach Narodowych. Nie dając po sobie poznać, że go zdemaskował, Paul przeszedł szybkim krokiem na drugą stronę stoiska. Mięso zwisające z haków rzeźnickich umocowanych na długim, stalowym pręcie tworzyło osobliwą kurtynę. Spomiędzy dwóch tusz baranich obserwował siwowłosego klienta, który prędko stracił zainteresowanie wieprzowiną. Rzekomy klient ruszył wzdłuż przejścia, próbując zajrzeć na drugą stronę. Janson chwycił tylne racice jednej z większych sztuk i gdy siwowłosa mężczyzna znalazł się naprzeciwko, z całej siły pchnął połąć mięsa w jego stronę. Mężczyzna upadł jak długi na stertę cielęcych flaków.

Rozległy się głośne okrzyki po grecku. Janson, korzystając z zamieszania, szybko przeszedł na drugi koniec targu i wypadł na ulicę. Ruszył w kierunku pobliskiego domu towarowego Lambropouli Bros. na rogu ulic Eolou i Lykourgou.

Trzypiętrowy budynek zbudowano ze szkła i betonu dekoracyjnego, imitującego stiuki. Janson przystanął przed wejściem i spojrzał w szybę. Zauważył mężczyznę w luźnej żółtej wiatrówce, kręcącego się obok sklepu z artykułami skórzanymi po przeciwnej stronie ulicy. Paul wszedł do środka i skierował się do męskiego działu odzieżowego na końcu parteru. Oglądał garnitury, przez cały czas zerkając na zegarek i małe, zamontowane na suficie lustro, które

miały zniechęcić potencjalnych złodziei. Minęło pięć minut. Nawet jeśli wszystkie wyjścia są pod obserwacją, żaden agent nie pozwoli śledzonemu obiektowi zniknąć na całe pięć minut. Ryzyko nieprzewidzianego zdarzenia jest zbyt duże.

I rzeczywiście, mężczyzna w żółtej wiatrówce był już w środku. Przechadzał się między stoiskami, aż spostrzegł Jansona. Zajął pozycję przy chromowanej witrynie z perfumami. W odbiciu szyby mógł łatwo zauważyć, że Janson próbuje opuścić sklep tylnym wyjściem.

Paul zabrał garnitur i koszulę do przymierzalni w głębi sklepu.

I czekał. W sklepie najwyraźniej brakowało personelu, sprzedawcę otaczało więcej klientów, niż był w stanie obsłużyć, i nie wydawało się, żeby miał tęsknić za Jansonem.

Ale tajniak owszem, zatęskni. Zacznie się z rosnącym niepokojem zastanawiać, czemu to trwa tak długo i czy obserwowany obiekt przypadkiem nie uciekł wyjściem dla personelu. Będzie musiał wejść do przymierzalni i osobiście to sprawdzić.

Trzy minuty później tak się stało. Przez szparę w drzwiach przymierzalni Janson zobaczył mężczyznę w żółtej wiatrówce z parą spodni khaki zarzuconych na ramię. Najwidoczniej odczekał, aż wąski korytarz przymierzalni będzie pusty. Jednak była to sytuacja, którą mogli wykorzystać obaj. Gdy mężczyzna znalazł się pod jego drzwiami, Janson otworzył je raptownie, napierając na nie z całej siły. Wyskoczył i wciągnął zaskoczonych mężczyznę w głąb wnęki i dalej, do pomieszczenia tylko dla personelu.

Musiał działać szybko, zanim ktoś, kto usłyszał hałas, przyjdzie sprawdzić, co się dzieje.

– Jedno słowo i po tobie – syknął Janson do prześladowcy,

przystawiając niewielki nóż do jego arterii szyjnej.

Mimo panującego w magazynie półmroku dostrzegł w uchu mężczyzny słuchawkę i kabel schowany pod ubraniem. Rozerwał koszulę i odłączył cienki przewód wpięty w komunikator radiowy w kieszeni spodni. Potem przyjrzał się dokładnie plastikowej bransoletce na przegubie mężczyzny. W rzeczywistości był to transponder sygnalizujący jego pozycję komuś, kto dowodził całą akcją.

Tamci wykorzystywali dość prosty system inwigilacji: przedsięwzięcie najwyraźniej zorganizowano w pośpiechu i ad hoc, wykorzystując dostępne w danej chwili instrumentarium. To samo dało się powiedzieć o potencjale ludzkim – śledziły go osoby w pewnym stopniu wyszkolone, lecz albo nie dość doświadczone, albo dawno niezatrudniane do podobnych zadań, albo jedno i drugie. To była rezerwa. Janson zmierzył mężczyznę wzrokiem: ogorzała twarz, delikatne ręce. Znał ten typ – żołnierz piechoty morskiej, który zbyt długo siedział za biurkiem, nie zwracając na siebie uwagi. Pomocnik wezwany w nagłej potrzebie.

– Dlaczego mnie śledziłeś? – spytał Janson.

– Nie wiem – powiedział mężczyzna, wybałuszając oczy. Wyglądał na trzydzieści parę lat.

– Dlaczego?!

– Kazali mi. Nie mówili dlaczego. Miałem tylko obserwować, nie wtrącać się.

– Oni?

– Przecież to jasne.

– Szef bezpieczeństwa w konsulacie – stwierdził Janson, przyglądając się agentowi. – Jesteś z piechoty morskiej.

Mężczyzna przytaknął.

– Ilu was jest?

– Tylko ja.

– Wkurzasz mnie. – Janson sztywnymi palcami dźgnął go pod żuchwą, prosto w nerw podjęzykowy. Wiedział, że ból będzie nie do zniesienia. Jednocześnie zakrył mu dłonią usta. – Ilu? – powtórzył.

Po chwili cofnął rękę, pozwalając mężczyźnie mówić.

– Sześciu – wydyszał tamten, sztywny z bólu i strachu.

Janson wypytywałby go dłużej, gdyby miał więcej czasu. Ale jeśli transponder nie wysyłał sygnału, mogło to wzbudzić niepokój pozostałych. Zresztą podejrzewał, że facet nie ma nic więcej do powiedzenia. Przydzielono go do sekcji antyterrorystycznej bez uprzedzenia i zbędnych wyjaśnień. Zwykle tak się działo w nagłych przypadkach.

Co im nawygadywał Nikos Andros?

Ze strzępów bawełnianej koszuli typu Oxford Janson zrobił prowizoryczny knebel. Bransoletkę zabrał ze sobą.

Znał się na transponderach. Używano ich do wspomagania komunikatorów Arrex, które notorycznie zawodziły, zwłaszcza w mieście. Co więcej, komunikacja słowna nie zawsze była możliwa bądź odpowiednia w danej sytuacji. Transpondery pozwalały szefowi misji kontrolować ruchy poszczególnych współpracowników – każdy z nich jawił się jako pulsująca kropka na wyświetlaczu LCD. Jeśli ktoś zniknął z radaru, śledząc wybrany obiekt, pozostali wiedzieli, gdzie go szukać, nawet jeśli nie otrzymali ustnych instrukcji.

Janson włożył żółtą wiatrówkę i szarą czapeczkę agenta i wybiegł bocznym wyjściem z domu towarowego.

Mężczyzna dorównywał mu wzrostem i wagą. Obserwowany

z pewnej odległości, Janson niczym się od niego nie różnił. Musiał jednak szybko się oddalić. Ruszył ulicami Eolou, Praxitelous i Lekka, ze świadomością, że ktoś cały czas go śledzi.

Co im nawygadywał Andros?

I skąd się wzięły pieniądze na jego koncie na Kajmanach? Czyżby ktoś go wrabiał? Jeśli tak, to, zaiste, niebanalnym kosztem. Kto mógł mieć dostęp do takich pieniędzy? Z pewnością nie agencja rządowa. Ale wyższy urzędnik Fundacji Wolności... Pojawiło się odwieczne pytanie: *Cui bono?* Komu to miało przynieść pożytek?

Skoro zabrakło Novaka, kto w Fundacji Wolności zyskałby na jego śmierci? Czy Novak zginął, bo był bliski odkrycia gigantycznych nadużyć w ramach własnej organizacji, nadużyć, które wcześniej umknęły uwadze jego i Marty Lang?

Po chodniku biegł mały dziki kot – Janson znów znalazł się w pobliżu kociej stolicy Aten, Ogrodów Narodowych. Dogonił kotka.

Kilku przechodniów przyjrzało mu się dziwnie.

– Greta! – zawołał. Podniósł z ziemi szare kocię i przytulił. – Zgubiłaś obrozę!

Zatrzasnął zamknięcie transpondera na szyi zwierzaka. Bransoleta pasowała idealnie. Kiedy Janson doszedł do ogrodów, uwolnił wściekle wrywającego się kota. Zwierzę natychmiast pobiegło w krzaki w poszukiwaniu gryzoni. Janson wszedł do drewnianej chatki, w której mieściły się toalety, i wrzucił czapkę i żółtą wiatrówkę do czarnego, stalowego pojemnika na śmieci.

Kilka minut później jechał już trolejbusem nr 1. Nic nie wskazywało na to, że ktoś go śledzi. Agenci wkrótce zbiorą się w kocim rajku pośrodku ogrodów. O ile znał sektor ateński, w raportach wykażą się nieprzeciętną pomysłowością, żeby zachować

twarz.

Sektor ateński... Z końcem lat siedemdziesiątych spędził tu więcej czasu, niżby chciał. Teraz łamał sobie głowę, próbując przywołać w pamięci kogoś, kto mógłby mu wyjaśnić, co tu jest grane – kto znał kulisy sprawy. Wiele osób miało u niego dług wdzięczności. Nadszedł czas zapłaty.

Najpierw przypomniał sobie twarz, chwilę potem nazwisko: pracownik biurowy ateńskiej komórki CIA, facet w średnim wieku. Zajmował niewielki gabinet na trzecim piętrze ambasady amerykańskiej, która mieściła się w alei Vassilissis Sofias pod numerem 91, niedaleko Muzeum Bizantyjskiego.

Nelson Agger – znajomy typ. Karierowicz z nerwicą żołądka, pozbawiony głębszych przekonań. Absolwent Uniwersytetu Northwestern, gdzie zrobił dyplom z nauk politycznych. Chociaż dobre oceny i rekomendacje gwarantowały mu udział w kilku programach doktoranckich, to jednak nie zapewniały stypendium ani zniżki chesnego, bez których nie mógł sobie pozwolić na kontynuowanie studiów. Musiał postarać się o wsparcie finansowe poza uczelnią – z pomocą przyszła fundacja Departamentu Stanu.

Kiedy zdobył odpowiednie kwalifikacje, zaczął pracę jako analityk, wykazując się mistrzowską znajomością niepisanych reguł w sztuce tworzenia raportów. Jego raporty – Janson widział kilka – były zawsze nienagane, bezpieczne, autorytatywne. Ich zasadniczą pustkę maskował dźwięczny ton. Zawierały dekoracyjne zwroty, takie jak „obecny trend prawdopodobnie się utrzyma”, i sprytnie zastosowane przysłowki typu „coraz wyraźniej”. Tak więc przedstawiały trendy bez ryzyka błędnej oceny sytuacji. „Królowi Fahdowi będzie coraz trudniej utrzymać kontrolę”, przewidywał comiesięczny raport

o sytuacji w Arabii Saudyjskiej. Fakt, że potentat przez lata pazurami trzymał się władzy, dopóki nie dostał udaru – a rządził prawie dwadzieścia lat – bynajmniej nie stawiał autora raportu w kłopotliwym położeniu; w końcu Agger nigdy nie twierdził, że król Fahd straci kontrolę w jakimś konkretnym momencie. W kwestii Somalii Agger napisał kiedyś, że „sytuacja i okoliczności nie są jeszcze na tyle jasne, by charakter nowego rządu bądź polityki, jaką ostatecznie przyjmie, dało się precyzyjnie określić”. Analiza okazała się trafna – absolutnie trafna i nieobciążona znaczeniem.

Chudy, łysiejący, wymizerowany Nelson Agger należał do ludzi, których agenci operacyjni często lekceważyli. Ale nawet jeśli nie wykazywał się nadmierną odwagą, nadrabiał sprytem w walce o własną pozycję. Potrafił zadbać o stołek.

Pomijając to wszystko, trudno było go nie lubić. Janson nie potrafił wytłumaczyć, czemu tak dobrze się dogadywali. Na pewno nie bez znaczenia pozostawał fakt, że Agger nie miał co do siebie złudzeń. Owszem, był cynikiem, lecz w przeciwieństwie do moralizujących oportunistów – roiło się od nich w Departamencie Stanu – nigdy tego nie ukrywał, w każdym razie nie przed Jansonem. Bardziej niebezpieczni okazywali się ci, którzy mówiąc o wielkich planach, patrzyli zimnymi oczami. Agger może nie przysparzał chwały swojej profesji, ale robił chyba więcej dobrego niż złego.

Gdyby jednak Janson miał być szczery, musiałby przyznać, że ich współpraca dobrze się układała, ponieważ Agger lubił go i podziwiał. Pracownicy biurowi, sfrustrowani swoją mało znaczącą rolą w systemie, zwykle traktowali protekcjonalnie agentów operacyjnych. Ale Agger, który kiedyś żartobliwie określił się mianem „tchórzliwego dziwaka”, nigdy nie ukrywał podziwu dla Jansona.

Ani, jeśli o to chodzi, wdzięczności. W minionych latach Janson od czasu do czasu dbał o to, by Agger jako pierwszy otrzymywał pewne informacje. Dzięki temu mógł pisać raporty cechujące się bardzo trafnymi przewidywaniami w stosunku do napływających później danych. Analizy wywiadowcze cechowała powszechna mierność i taka asysta wystarczała, żeby oficer zasłynął z doskonałych wyników.

Nelson Agger był człowiekiem, który mógł mu teraz pomóc. Bez względu na wady, powszechnie znane w środowisku międzynarodowego wywiadu, miał niezwykle wyczulony słuch: wiedział, kto ma poparcie, a kto nie, kto prawdopodobnie straci stanowisko i kto awansuje. Fakt, że był kopalnią plotek – chociaż nigdy nie dorobił się opinii plotkarza – dobrze świadczył o jego instynkcie politycznym. Analityk mógł rzucić nieco światła na bieżące wydarzenia. Mała, zwarta komórka CIA z pewnością wiedziała o wszystkim, co działo się w Atenach.

Janson usiadł z tyłu kawiarni przy Vassilissis Sofias, naprzeciwko budynku ambasady amerykańskiej. Zamówił mocną, słodką kawę, jaką zwykle piją atenczy, i zadzwonił na centralę.

- Dział handlowy – odezwał się głos w słuchawce.
- Z Aggerem poproszę.

W ciągu następnych kilku sekund rozległy się szумы i trzaski, co oznaczało, że rozmowa zostanie nagrana i zapisana.

- Mogę spytać, kto dzwoni?
- Alexander – odparł Janson. – Richard Alexander.

Minęła jeszcze chwila. W końcu odezwał się Agger.

– Dawno już nie słyzałem tego nazwiska – stwierdził bezbarwnym, zagadkowym tonem. – Cieszę się, że wreszcie je słyżę.

– Miałbyś ochotę na kieliszek retsiny? – spytał Janson jakby od niechcienia. – Dasz radę się teraz wyrwać? W tawernie na Lakhitos.

– Wpadłem na lepszy pomysł – przerwał mu analityk. – Kawiarnia na ulicy Papadhima. W Kaladze. Na pewno pamiętasz. To trochę daleko, ale mają wyśmienitą kuchnię.

Janson poczuł przypływ adrenaliny – Agger zbyt szybko wyszedł z kontrpropozycją. Poza tym obaj wiedzieli, że jedzenie w Kaladze jest podłe. Było tematem ich ostatniej rozmowy, cztery lata temu. „Najgorsze w mieście”, stwierdził analityk, zielony na twarzy, przełykając podejrzane kalmary.

Próbował mu przekazać, że obaj muszą przedsięwziąć środki ostrożności.

– Świetny pomysł – stwierdził Janson z przekonaniem, na wypadek gdyby ktoś przysłuchiwał się rozmowie teraz lub wkrótce. – Masz komórkę?

– Kto jej nie ma w Atenach?

– Miej ją przy sobie. Gdyby coś mnie zatrzymało, dam ci znać.

– Bardzo dobrze – powiedział Agger. – Baaardzo dobrze.

Z kawiarni przy Vassilissis Sofias Janson obserwował, jak analityk wychodzi bocznymi drzwiami i rusza przed siebie ulicą w stronę szpitala marynarki wojennej, i dalej pasażem prowadzącym do Kalagi.

Zaraz potem potwierdziły się jego obawy: w ślad za Aggerem podążyli kobieta i mężczyzna, którzy nagle wyłonili się z nijakiego, szarego budynku przylegającego do ambasady. Nelson Agger miał ogon.

A ponieważ większość czasu spędzał za biurkiem, brakowało mu podstawowego doświadczenia, żeby to przewidzieć.

Ktokolwiek podsłuchiwał ich rozmowę telefoniczną, z pewnością

rozpoznał legendarne nazwisko i zareagował natychmiast. Powiązania Jansona z analitykiem bez wątpienia nie były tajemnicą i spodziewano się, że zechce nawiązać kontakt.

Agger dołączył do pieszych zmierzających w kierunku Parko Euftherias, a mężczyzna i kobieta wmieszali się w tłum.

Kalaga nie była bezpieczna. Spotkanie musiało się odbyć w miejscu, które sam wyznaczy. Janson zostawił pod filiżanką zwitek banknotów i ruszył w stronę Lykabettus, najwyższego wzgórza w Atenach. Jego zalesione zbocze wyrastało nad miastem jak ogromna zielona kopuła. Na nieoficjalne spotkanie nadawało się równie dobrze jak każde inne miejsce. Z punktu widzenia turysty jego atutem był zapierający dech w piersiach widok na miasto. Z punktu widzenia Jansona – położenie: śledzący go ludzie nie mieli gdzie się przyzaić, tak by nie zostali zdemaskowani. Zwłaszcza jeśli on pierwszy znajdzie dobry punkt obserwacyjny. Zabrał ze sobą tylko niewielką lornetkę. I zaczynał się niepokoić, że to może nie wystarczyć. Czyżby popadał w paranoję?

Kolej linowa kursowała co dwadzieścia minut z przystanku w alei Ploutarkhou w ekskluzywnej dzielnicy Kolonaki. Czujny na wszelkie oznaki zainteresowania, Janson wjechał kolejką na sam szczyt, mijając po drodze zadbane tarasy. Trzysta metrów nad miastem, z dala od wszechobecnego smogu, można było wreszcie odetchnąć pełną piersią. Na szczycie roiło się od kafejek i punktów widokowych. Nad otoczeniem górowała niewielka, biała, dziewiętnastowieczna kaplica Agiosa Geórgiosa – świętego Jerzego.

Janson zadzwonił do Aggera na komórkę.

– Zmiana planów, stary – oznajmił.

– Podobno zmiany są korzystne.

Janson milczał przez chwilę. Czy powinien mu powiedzieć

o ogonie? Sądząc po lekkim drzeniu w jego głosie, lepiej nie. Nelson nie potrafiłby pozbyć się ogona, a próbując nieudolnie, tym bardziej by się wystawił. Poza tym świadomość, że jest śledzony, zapewne tylko by go zdenerwowała – mógłby się przestraszyć i czmychnąć z powrotem do biura. Lepiej pokierować go tak, by chcąc nie chcąc, zgubił prześladowców.

– Masz czym pisać? – spytał Janson.

– Całe życie nie robię nic innego – westchnął analityk.

– Słuchaj uważnie, przyjacielu. Pojedziesz tymi tramwajami. – Janson przedstawił mu szczegółowy plan podróży z przesiadkami.

– To trochę naokoło – stwierdził Agger.

– Zaufaj mi – odparł Janson.

Obiekt nie może się zorientować, że jest śledzony: tą podstawową zasadą kierują się zawodowi tajniacy. W takich sytuacjach agenci wolą przerwać akcję, niż ryzykować zdemaskowanie.

– Dobra – mruknął Agger tonem człowieka, który wie, że wdepnął w gówno po uszy. – Jasne.

– Wsiądziesz z kolejki i pójdziesz ścieżką prowadzącą do teatru. Spotkamy się przed fontanną Eliasza.

– To zajmie mi... nie wiem... godzinę?

– Do zobaczenia.

Janson starał się nie wystraszyć Aggera – facet i tak reagował nerwowo, nawet bardziej niż zwykle, co nie rokowało najlepiej. Zrobił się nader przezorny, co przyniesie efekt przeciwny do zamierzonego – wyczulony na szczegóły, zewsząd będzie się spodziewał zagrożenia.

Janson przeszedł się obok kafejki na zboczu wzgórza – pogodnej knajpki z plastikowymi krzesłkami w kolorze jasnozielonym, z brzoskwiniowymi obrusami i wyłożonym kafelkami tarasem.

W pobliżu znajdował się ogród rzeźb, pełen współczesnych marmurowych posągów. Między nimi wałęsała się para wątłych nastolatków w za luźnych białych podkoszulkach powiewających na wietrze. Starsza kobieta z torebką czerstwej pity karmiła i tak przekarmione gołębie.

Janson zajął pozycję w gęstym zagajniku sosen i przyglądał się wszystkim dokładnie. W parne dni wielu ateńczyków szukało tu wytchnienia od upału i piekącego w oczy *nephos*. Zauważył parę Japończyków. Mężczyzna dzierżył w dłoni miniaturową wideokamerę – pomysłowy wynalazek odchodzącej w przeszłość ery elektroniki użytkowej. Filmował żonę na malowniczym tle – miała u stóp całe Ateny.

W ciągu kolejnych pięciu, dziesięciu, piętnastu minut coraz więcej ludzi pojawiało się jakby w przypadkowej procesji. Ale nie wszystko wyglądało na przypadek. Po jego lewej stronie mężczyzna w fartuchu malarskim zamaszystymi ruchami szkicował krajobraz. Janson przyjrzał się przez lornetkę jego silnym, umięśnionym dłoniom: w jednej trzymał kawałek węgla, którym gryzmolił niezgrabne zawijasy. Nie wyglądało na to, żeby faktycznie interesował go pejzaż. Janson zrobił zbliżenie jego twarzy i ogarnął go niepokój. To nie był jeden z napotkanych wcześniej Amerykanów. Gruby kark, martwe spojrzenie – patrzył na profesjonalnego płatnego zabójcę. Ciarki przeszły mu po plecach.

Spostrzegł innego mężczyznę trzymającego w ręku gazetę. Był ubrany w jasnoszary garnitur, jak biznesmen, z okularami na nosie. Poruszał ustami. Nie czytał na głos, bo kiedy oderwał wzrok od gazety, wciąż mówił. Najwyraźniej przekazywał wiadomość współnikowi dysponującemu odbiornikiem. Mikrofon mógł mieć

ukryty w krawacie lub w klapie marynarki.

Kto jeszcze?

Rudowłosa kobieta w zielonej bawełnianej sukience? Nie, dreptała za nią dziesięcioro maluchów. Nauczycielka na szkolnej wycieczce. Agentka nie ryzykowałaby wyprawy z grupą małych dzieci, które robią wokół siebie sporo zamieszania i zachowują się w sposób nieprzewidywalny.

Sto pięćdziesiąt metrów nad fontanną, miejscem spotkania z Aggerem o czwartej, Janson nie przestawał obserwować otoczenia. Przeczesał wzrokiem zwirowe ścieżki i dzikie, zapuszczone krzaki.

Wniosek: nieudolnych Amerykanów, których działania bardziej przypominały zabawę w berka, zastąpili miejscowi zawodowcy, dobrze znający teren.

Ale jakie dostali rozkazy?

Przyglądał się postaciom na pochyłym zboczu, wyczulony na wszelkie nietypowe zachowania. Biznesmen drzemał z podbródkiem opartym na piersi – wyglądało to na poobiednią sjęstę, ale zdradzał go fakt, że od czasu do czasu poruszał ustami. Szeptał coś do nadajnika, choćby dla zabicia nudy.

Dwaj mężczyźni, których namierzył, biznesmen z gazetą i artysta ze szkicownikiem, byli Grekami, nie Amerykanami – sugerowały to rysy twarzy, ubiór, a nawet postura. I język: Janson niezbyt dobrze czytał z ruchu warg, ale dałby sobie uciąć rękę, że mężczyzna mówi po grecku, nie po angielsku.

Na litość boską, po co ta obława? Nawet jeśli istniały obciążające go dowody, to jeszcze nie przesądzało sprawy. Pracował dwadzieścia pięć lat dla jednej z najtajniejszych agencji amerykańskiego wywiadu. Prześwietlono go na wylot.

Gdyby chciał zbić fortunę, mógł to zrobić dawno temu, na sto różnych sposobów. Teraz jednak, jak się zdawało, przypisywano mu wszystko, co najgorsze, i nikt nie zaprzętał sobie głowy, żeby zakwestionować ewentualne dowody przeciw niemu.

Co się zmieniło? Chodziło o coś, co zrobił lub podejrzewano, że zrobił? O coś, co wiedział? Tak czy inaczej, stanowił teraz zagrożenie dla strategów w Waszyngtonie, na drugim końcu świata.

Kto jeszcze tu był? Oślepiały go padające ukośnie promienie słońca, mimo to lustrował każdy skrawek terenu w zasięgu wzroku, kwadrat po kwadracie, aż rozboleły go oczy.

O czwartej dostrzegł Aggera, który szedł w stronę fontanny, wyraźnie zaniepokojony. Granatową lnianą marynarkę przerzucił przez ramię, niebieska koszula w prążki nosiła ślady potu. Wydelikacowany analityk rzadko opuszczał klimatyzowane wnętrza biura i mieszkania i ta wyprawa musiała go niezłe zmęczyć.

Janson obserwował go z zagajnika. Nelson usiadł na długiej marmurowej ławce obok fontanny. Zasapany, rozglądał się wokół za dawnym kompanem od kieliszka.

Paul przykucnął.

Mężczyzna ze szkicownikiem. Najemnik? Tajny agent? Niepokoiło go, że to Grek. W mieście bez wątpienia śledzili go Amerykanie z wywiadu wojskowego ambasady. Niekoniecznie amatorzy, ale też nie wyszkoleni zawodowcy. Zapewne jednak najlepsi, jakich udało się zmobilizować w tak krótkim czasie. Nie mogli wcześniej wiedzieć o jego przyjeździe. Podjął decyzję pod wpływem chwili, zaledwie dwanaście godzin temu.

Ale Grecy? Kim byli? Bo z pewnością nie pracownikami CIA. Zawodowcami, którzy dostali zlecenie z zewnątrz? Trzymanymi na

dystans, dopóki nie będą potrzebni? Często oznaczało to wyrok, którego nie mogli przecież wykonać oficjalni agenci służby bezpieczeństwa.

Oczywiście, były to jedynie spekulacje. Nie mieli podstaw do wydania wyroku. W każdym razie – jeszcze nie.

Janson przeczołgał się na brzuchu pod opuszczoną altaną i dalej, wzdłuż długiego muru z łupków, wśród gęstych krzaków i ostrych źdźbeł trawy, które łaskotały go w nos. Przed nim wyrastały kępy wysokich chwastów. Starał się nimi nie poruszać, żeby nie zdradzić swojej obecności. Dwie minuty później na chwilę wystawił głowę ponad mur. Znajdował się teraz tuż za rzekomym artystą, który tymczasem wstał. Kawałek węgla niedbale upuścił na ziemię jak niedopałek papierosa.

Greki stał plecami do niego – jak na młodego malarza był potężnie zbudowany. Patrzył wprost na Aggera wciąż siedzącego na marmurowej ławce przy fontannie. Mężczyzna napiął mięśnie, jakby szykował się do ataku, i sięgnął ręką pod luźną koszulę przypominającą kaftan.

Janson podniósł z ziemi duży kawałek łupka. Udało mu się zrobić to bezszelestnie – jakikolwiek niespodziewany hałas, taki jak zgrzyt kamienia, natychmiast zaalarmowałby Greka. Podniósł kamień nad głowę i zamachnął się z całej siły, celując w kark. Trafiony chciał obrócić głowę, ale zatoczył się i upadł. Janson przeskoczył przez murek, chwycił go za włosy i zatkał ramieniem usta. Przerzucił go na drugą stronę muru i powalił na plecy.

Wyszarpnął ze spodni mężczyzny walthera P99 i dostrzegł, że pistolet ma dokręcony perforowany cylinder. Broń z tłumikiem – przeznaczona do skrytego użycia, nie do straszenia. Facet był

zawodowcem, miał profesjonalny sprzęt. Janson przejechał palcami po haftowanym kołnierzyku, próbując wymacać mikrofon. Musiał się upewnić, że przycisk przekaźnika nie został aktywowany. Przewrócił materiał na drugą stronę i zobaczył mały, niebiesko-czarny, plastikowy krążek z miedzianym drucikiem.

– Powiedz koledze, że to pilne – wyszeptał Janson. Wiedział, że tego zadania nie powierzono by komuś, kto nie znał angielskiego i mógł źle zrozumieć rozkazy. – Zostaliście zdemaskowani! Niech wie!

– *Den omilo tin Agglik* – odezwał się mężczyzna.

Janson przyduślił go kolanem. Grek zaczął się krztusić.

– Nie mówisz po angielsku? Tym bardziej mam powód, żeby cię zabić.

Tamten wybałuszył oczy.

– Nie! Proszę, zrobię, co każesz.

– I pamiętaj. *Katalaveno ellinika*. Rozumiem po grecku.

Trochę faktycznie rozumiał.

Greki aktywował mikrofon i zaczął mówić, głosem coraz bardziej nagłym, w miarę jak Janson coraz bardziej przyciskał pistolet do jego skroni.

Gdy wiadomość została przekazana, Paul rzucił greckim zabójcą o mur. Pechowiec uderzył głową – miał pozostać nieprzytomny przez następną godzinę, może dwie.

Janson zobaczył przez lornetkę, że „biznesmen” w jasnoszarym garniturze i okularach raptownie wstał i ruszył w stronę altany. Sposób, w jaki trzymał złożoną gazetę, sugerował, że coś pod nią ma. Wszedł do altany, rozglądając się wokół nieufnie. Mocniej zacisnął dłoń na egzemplarzu *Eleftherotypia*, ateńskiej gazety codziennej.

Paul zerknął na zegarek. Czas uciekał. Agger, zaniepokojony, lada

chwila mógł zdecydować, że wraca do biura. Zresztą tak nakazywała procedura, gdy ktoś nie stawił się na spotkanie: nie należało czekać zbyt długo.

Janson szybko zajął pozycję. Gdy nadszedł drugi zabójca, rzucił się na niego z pistoletem. Wybił mu zęby i roztrzaskał kości twarzy. „Biznesmen” bluznął krwią, która spłynęła na białą koszulę i marynarkę. Gazeta upadła na ziemię, a wraz z nią broń z tłumikiem. Paul odwrócił klapę marynarki i zobaczył mały, niebiesko-czarny krążek, identyczny jak ten u „artysty”.

Schował walthera za pas i starł z dłoni plamkę krwi. Czuł, że ogarnia go wewnętrzna pustka. Kilka dni temu dopadło go to wszystko, od czego dawno chciał uciec: przemoc, podstępne wybiegi, śmiertelne pułapki – zakorzenione nawyki wielu lat służby, z której odszedł na własne życzenie. Mimo wszystko w tej chwili nie powinien pograżać się w otchłani wspomnień. Musiał się skupić, musiał intensywnie myśleć, działać.

Czy byli inni? Nikogo nie zauważył, ale pewności nie miał. Turysta z Japonii? Możliwe. Ale mało prawdopodobne.

Czas podjąć ryzyko.

Podszedł do spoconego Aggera, który wciąż siedział na marmurowej ławeczce.

– Paul! Bogu dzięki! Już się martwiłem, że coś ci się stało.

– Korki na Vas Sofias. Zapomniałem, że tak dają się we znaki o tej porze. – Janson nie chciał go na razie niepokoić. Analityk żył w świecie kabli i klawiatury – takie spotkanie wykraczało poza sferę jego zwykłej aktywności, o ile wręcz nie naruszało procedury. Nawet kontakt z byłym oficerem służby bezpieczeństwa wymagał, zgodnie z regulaminem, natychmiastowej reakcji w postaci raportu z zapisem

rozmowy. Zgadząc się na to spotkanie, Agger nagiął reguły i strzępił nerwy.

– Boże, te wszystkie przesiadki... Przecież nie jestem szpiegiem! – Błady uśmiech. – Dobra, nic nie mów. Posłuchaj, Paul, tak się cieszę, że zadzwoniłeś. Martwiłem się o ciebie, naprawdę. Nie uwierzyłybyś, co o tobie gadają.

– Powoli, przyjacielu.

Aggerowi jakby udzieliły się opanowanie i spokój Jansona.

– To wszystko na pewno da się wytłumaczyć. Nie wiem, co to za sprawa, ale prędzej czy później rozejdzie się po kościach. Waszyngtońskich biurokratów zostaw mnie. Zaufaj mi: znam tych gryzipiórków.

Janson roześmiał się, żeby dodać koledze otuchy.

– Od rana wiedziałem, że coś się święci. Mijałem stadion i zobaczyłem coś w rodzaju klasowego spotkania pracowników wywiadu ambasady. Nie miałem pojęcia, że jestem tak popularny.

– To idiotyczne, Paul – stwierdził Agger – ale mówią, że przyjąłeś zlecenie, którego nie powinieneś był przyjąć.

– I?

– Chcą wiedzieć, dla kogo pracujesz. I dlaczego. Niektórzy sądzą, że na to pytanie jest szesnaście milionów odpowiedzi.

– Boże wszechmogący! Jak mogą tak myśleć? Zawsze byłem pewniakiem.

Analitik przyjrzał mu się uważnie.

– Mnie nie musisz tego mówić. Posłuchaj, teraz wszyscy popadli w paranoję. Ale to da się wyjaśnić. – Niemal nieśmiało dorzucił: – A więc to prawda, że przyjąłeś to zlecenie?

– Tak. Zgłosili się do mnie ludzie Petera Novaka. Byłem mu coś

winien. Zresztą odesłał ich do mnie Departament Stanu.

– Tylko, widzisz, Departament Stanu temu zaprzecza.

– Co takiego?

Nelson wzruszył ramionami.

– Zaprzeczają. Tak samo agencja. Nie mają pojęcia, co zaszło na wyspie Anura. Pobieżne raporty wydają się sprzeczne. Ale mówi się, że wzięłeś grubą kasę za to, żeby Peter Novak nigdy nie opuścił wyspy żywy.

– Szalony pomysł.

– Ciekawe, że używasz tego słowa. – Analityk znów bezradnie wzruszył ramionami. – Podobno oszalałeś, chociaż nazywają to bardziej fachowo. Dysocjacja osobowości. Stres pourazowy.

– Uważasz mnie za wariata?

– Nie – odparł szybko Agger. – Oczywiście, że nie. – Nastąpiło krępujące milczenie. – Ale wszyscy wiemy, przez co przeszedłeś. Torturowany przez wiele miesięcy. Bity, głodzony... Jezu, po czymś takim musiało ci się pomieszać w głowie. Prędzej czy później... Chryste, po tym, co ci zrobili... – Cichszym głosem dodał: – Co sam robiłeś...

Paul poczuł ciarki na plecach.

– Nelson? Co próbujesz mi powiedzieć?

– Tylko tyle, że wielu ludzi martwi się o ciebie. Najbardziej ci na końcu wywiadowczego łańcucha pokarmowego.

Czyżby naprawdę uznali, że zwariował? Jeśli tak, to nie mogli pozwolić, by pozostał na wolności. Z jego wiedzą, znajomością procedur, informatorów, nadal działających siatek? Gdyby sypnął, lata pracy poszłyby na marne. Janson znał sposób rozumowania byłych zwierzchników.

Słońce wciąż prażyło, ale przeszedł go zimny dreszcz.

Agger poruszył się niespokojnie.

– Nie znam się na tym. Ostrzegali mnie, że będziesz na pozór wiarygodny, przekonujący, opanowany. Poza wszystkim innym szesnastu milionom trudno się oprzeć. Ale może to tylko moje zdanie.

– Nie mam pojęcia, skąd się wzięły te pieniądze – powiedział Janson. – Może Fundacja Wolności wypłaca honorarium w specyficzny sposób. Wspominali o rekompensacie. Ale niczego nie negocjowałem, nie rozmawialiśmy o szczegółach. Przecież nie zrobiłem tego dla pieniędzy. To był dług honorowy. Rozumiesz to, prawda?

– Paul, przyjacielu. Chciałbym to wyjaśnić i zrobię, co w mojej mocy, przecież wiesz. Ale musisz mi pomóc, muszę poznać fakty. Kiedy skontaktowali się z tobą ludzie Novaka?

– W poniedziałek. Czterdzieści osiem godzin po jego uprowadzeniu.

– A kiedy wpłynęło pierwsze osiem milionów?

– Do czego zmierzasz?

– Pierwsze osiem milionów wpłynęło, zanim się z tobą skontaktowali. Zanim się zgodziłeś. Zanim dowiedzieli się, że uwolnienie zakładnika w ogóle będzie możliwe. To nie ma sensu.

– Pytaliście o to w fundacji?

– Paul, oni w ogóle nic o tobie nie wiedzą. Nie wiedzą o uprowadzeniu. Nie wiedzą nawet, że ich szef nie żyje.

– Nie powiedzieliście im?

– Nie.

– Dlaczego?

– Rozkaz z góry. Mamy zbierać informacje, a nie rozpowszechniać. W tej kwestii otrzymaliśmy ścisłe instrukcje. A propos zbierania

informacji: właśnie dlatego chcą, żebyś się stawił. To jedyny sposób. W przeciwnym razie mogą powziąć pewne przypuszczenia... I odpowiednio zadziałać... Mam mówić dalej?

– Jezu – szepnął Janson.

– Zaufaj mi, Paul. Wszystko da się załatwić. Ale musisz się stawić.

Nie ma innego wyjścia.

Janson przyjrzał mu się czujnie. Trudno było nie zauważyć, że w trakcie rozmowy analityk wyraźnie się odprężył.

– Zastanowię się.

– Czyli nie – skwitował Agger. – To niedobrze.

Sięgnął pod marynarkę i jakby mimochodem wymacał dziurkę od guzika.

Wzywał posiłki.

Janson wyrwał mu klapę marynarki. Zobaczył znajomy niebiesko-czarny krążek. Zdrętwiał.

Grecy nie tylko go śledzili. Stanowili wsparcie. Mieli go uprowadzić.

– Teraz pytanie do ciebie. Kiedy przyszedł rozkaz?

– Rozkaz? Nie pamiętam.

– Kiedy?

Janson stanął naprzeciw rozmówcy tak, by przechodnie nie widzieli, co robi, i wycelował w niego pistolet.

– Chryste, Paul! Jezu! – krzyknął Agger. – Co ty wyprawiasz? Przyszedłem, żeby ci pomóc!

– Kiedy? – Janson przyłożył lufę do jego kościstej piersi.

– Dziesięć godzin temu – odpowiedział szybko analityk. – O dwudziestej drugiej dwadzieścia trzy czasu wschodnioamerykańskiego.

Agger rozejrzał się wokół, niezdolny ukryć narastającej konsternacji.

– Jakie dostałeś rozkazy na wypadek, gdybym odmówił? Kazali ci mnie zabić? – Przycisnął walthera do mostka.

– Przestań! – zawołał Agger. – To boli!

Wołał głośno, jakby w panice. Może nie dysponował doświadczeniem z pracy w terenie, jednak nie był też zupełnym amatorem. Jego okrzyki miały zaalarmować innych agentów pozostających w zasięgu głosu.

– Spodziewasz się jeszcze kogoś?

– Nie wiem, o czym mówisz – skłamał bez mrugnięcia powieką.

– Powinienem być cię uprzedzić: twoich greckich kompanów coś zatrzymało na dłużej.

– Ty cholerny gnojku! – wybuchnął analityk, biały z wściekłości.

– Na pewno przeproszą. Jak tylko odzyskają przytomność. Agger zmrużył oczy.

– Chryste. To prawda, co mówią. Postradałeś rozum.

Rozdział 11

W obskurnej tawernie portowej panował półmrok. Deski podłogowe wypaczyły się od rozlewanych latami alkoholi; proste drewniane krzesła i stołki były porysowane i ponacinane przez niedbałych klientów, którzy pewnie nierzadko wdawali się w bijatyki. Janson podszedł powoli do długiego, pokrytego blachą cynkową baru, przyzwyczajając wzrok do ciemności. W lewym rogu pił w samotności ponury marynarz. Nie był to, oczywiście, jedyny marynarz w tym miejscu, ale Paul stwierdził, że przyjdzie mu najłatwiej jego akurat zagadnąć. Nie mógł dłużej czekać. Musiał natychmiast wydostać się z Grecji.

Jakiś czas temu znów wykonał czynność, która powoli stawała się nieznośnym rytuałem: zadzwonił na prywatny numer Marty Lang. Bez skutku.

„Nie wiedzą nawet, że ich szef nie żyje”, stwierdził Agger.

Był jednak ktoś, kto dysponował odpowiednią wiedzą i mógł podzielić się nią z Jansonem. Oczywiście, należało wpierw przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności, przez wzgląd na siebie i człowieka, którego zamierzał odwiedzić.

Wielki Port w Pireusie zajmował dużą, kolistą zatokę zdającą się trzymać w objęciach ocean – Jansonowi przypominała kajdany, otwarte lub właśnie się zamykające. Wszystko jedno, w końcu przywiodła go tutaj konieczność. Nie miał zamiaru sygnalizować

swoich ruchów potencjalnym agentom.

Od paru godzin rozważał w myślach rozmaite sposoby na wydostanie się z Grecji i jeden po drugim odrzucał. Na lotnisku w Atenach i wokół niego z pewnością roіło się już od agentów. Podobnie w Salonikach i w innych większych portach lotniczych. Podróż z prawdziwym paszportem w ogóle nie wchodziła w rachubę: zważywszy na zaangażowanie ambasady, istniało poważne ryzyko, że we wszystkich punktach granicznych już na niego czekali. A kiedy wybrał się do znajomego fałszerza dokumentów, który prowadził sklep papierniczy w dzielnicy Omónia, też zastał na miejscu czekających w pogotowiu agentów. Musiał zrezygnować z wizyty, nie chcąc narażać Greka i siebie. W rezultacie postanowił zwrócić się do kogoś, kto znał się na przewozach międzynarodowych i potrafił przymknąć oko na formalności.

Garnitur Jansona wyglądał nedorzecznie w barze Perigaili, ale rozsupłany krawat zwisał niedbale, a jego właściciel sprawiał wrażenie zagubionego i przybitego. Poruszał się niepewnie, chwiejnym krokiem. *Zdecyduj, jaką chcesz zagrać rolę, i odpowiednio się ubierz.* Odgrywał rolę zamożnego biznesmena w tarapatach. Gdyby to nie zadziałało, w dwie minuty przebrałby się w toalecie za kogoś zupełnie innego.

Usiadł na stołku obok marynarza i spojrzał na niego z ukosa: dobrze zbudowany, chociaż nieco otyły. Niewątpliwie był żarłokiem, ale też siłaczem. Czy znał angielski?

– Cholerna albańska suka – mruknął Janson pod nosem, ale tak, by mężczyzna go usłyszał. Zdawał sobie sprawę, że temat mniejszości etnicznych – zwłaszcza Cyganów i Albańczyków – to dobry sposób na nawiązanie rozmowy. W Grecji nadal przywiązywano wagę do

kwestii czystości krwi.

Marynarz odwrócił się i odchrząknął. Oczy miał przekrwione, ale spojrzał na Jansona czujnym wzrokiem: co robił w tej spelunie facet w takim ubraniu?

– Wszystko mi zabrała – ciągnął Janson. – Jestem splukany.

Dał znak barmanowi, że prosi o następną kolejkę.

– *Shqiptar* sprzątnęła ci kasę? – spytał marynarz. Może nie ze współczuciem, ale za to z nutką rozbawienia. Zawsze coś.

– Akurat kasa mi jeszcze została. Ale poza tym... Chcesz posłuchać?

– Zauważył naszywkę na mundurze: ZTK – Zjednoczony Transport Kontenerowy. – Jeszcze jedno piwo! – zawołał do barmana.

– A może kieliszek metaxy? – zaryzykował marynarz.

– Jasne! Metaxa! Podwójna, dla nas obu!

Marynarz sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze znał doki i nabrzeża Morza Egejskiego, i specyfikę tamtejszych interesów.

Barman podał im dwa kieliszki metaxy – bezbarwnej, przyprawionej anyżkiem. Janson poprosił o szklankę wody. Barman spojrzał na niego z nachmurzoną miną, po czym postawił przed nim szklankę z żółtego szkła, napełnioną w jednej trzeciej letnią wodą z kranu. Bar przecież nie utrzymałby się, pojąc klientów wodą, nie licząc tej, która uzupełniała zawartość butelek z alkoholem.

Janson zaczął opowiadać nowemu kompanowi, jak popijał ouzo w oczekiwaniu na prom w Zea Marina.

– Dopiero co wyszedłem ze spotkania. Przeciągnęło się do pięciu godzin. Sam rozumiesz. Negocjowaliśmy porozumienie, którego nie udawało się osiągnąć od wielu miesięcy. Dlatego mnie tutaj przysłali. Miejscowi, no wiesz... Nie można im ufać. Nigdy nie wiadomo, dla kogo naprawdę pracują.

– A czym dokładnie zajmuje się twoja firma, jeśli mogę spytać?

Janson szybko rozejrzał się wokół. Jego wzrok padł na ceramiczną popielniczkę z glazurowanej gliny.

– Ceramiką – odparł. – Produkujemy ceramiczne rozpórki do urządzeń elektrycznych. – Roześmiał się. – Zabawne, co? Nieciekawe zajęcie, ale ktoś to musi robić.

– A ta dziwka... – dopytywał marynarz, połykając trunek jak wodę.

– No właśnie. Siedzę w hotelu totalnie rozjechany... Sam rozumiesz. I ta dziewczyna dosłownie na mnie wchodzi, i myślę sobie: kurwa, co tam. Rozumiesz, chcę się rozluźnić, no nie? A ona prowadzi mnie do jakiejś nory, kilka pięter w dół, i sam nie wiem kiedy...

– Budzisz się splukany?

– Właśnie! – Janson skinął na barmana, żeby zamówić jeszcze jedną kolejkę. – Chyba przysnąłem, a ona w tym czasie przetrząsnęła mi kieszenie. Szczęście, że nie znalazła pieniędzy, były zaszyte w pasku. Musiałaby mnie przewrócić na plecy, a wtedy pewnie bym się obudził. Ale zabrała paszport, karty kredytowe... – Janson pijackim gestem chwycił się za palec serdeczny, sugerując, że zniknęła z niego obrączka. Oddychał ciężko, jakby wciąż przeżywał ten koszmar.

– Powinieneś to zgłosić w *astynomia*. Policja portowa dobrze zna te dziwki.

Janson zasłonił twarz.

– Nie da rady. Za duże ryzyko. Złożę doniesienie i dobiorą mi się do dupy. Dlatego nie poszedłem do ambasady. W firmie panują konserwatywne obyczaje. Nie mogą o niczym wiedzieć, zaraz by się rozeszło. Pewnie mi nie uwierzysz, ale muszę bronić swojej reputacji. A żona... O Jezu! – Nagle oczy wypełniły mu się łzami. – Nie może się o tym dowiedzieć!

– Czyli że jesteście szyci. – Marynarz zmierzył go wzrokiem.

– Jestem idiotą! Co ja sobie myślałem?

Wychylił kieliszek metaxy, napełniając policzki słodkim trunkiem, po czym obrócił się na stołku i podniósł do ust żółtą szklankę. Tylko wprawny obserwator zauważyłby, że wody w szklance dziwnym trafem przybywało.

– Pewnie i myślałeś, ale nie głową – stwierdził filozoficznie marynarz.

– Gdybym tylko mógł się dostać do Izmiru, wszystko bym odkręcił. Mamy tam centralę regionalną.

Mężczyzna odsunął się raptownie.

– Jesteś Turkiem?

– Turkiem? Boże, nie. – Janson zmarszczył nos z odrazą.

– Skąd ten pomysł? A może ty...?

Marynarz w odpowiedzi splunął na podłogę.

Dawne antagonizmy dotąd nie osłabły, przynajmniej w Pireusie.

– To międzynarodowa firma. Jestem obywatelem Kanady, ale mamy klientów na całym świecie. Nie pójdę na policję ani do ambasady. Ta przygoda mogłaby mnie zniszczyć. Wy, Grecy, jesteście życiowi, rozumiecie ludzką naturę, ale ludzie, z którymi pracuję, tacy nie są. Chodzi o to, że gdybym dostał się do Izmiru, mógłbym zapomnieć o tym koszmarze. Jak będzie trzeba, popłynę choćby żabką! – Cisnął szklankę z grubym dnem na bar i pomachał barmanowi przed nosem pięćdziesięciotysięcznym banknotem na znak, żeby przyniósł następną kolejkę.

Barman spojrzał na banknot i pokręcił głową.

– *Ehete mipos pio psila?*

Żądał banknotu o mniejszym nominale.

Janson przyjrzał się badawczo papierkowi, jak pijak, który widzi nieostro. To była równowartość ponad stu dolarów.

– Och, przepraszam – mruknął, odkładając banknot. W zamian wręczył barmanowi cztery greckie banknoty o nominale jednego tysiąca.

Tak jak się spodziewał, jego towarzysz zauważył pomyłkę. Z miejsca się ożywił, wykazując nagłe zainteresowanie trudnym położeniem Jansona.

– Kawał drogi do przepłynięcia – stwierdził z wymuszonym śmiechem. – Może dałoby się znaleźć inny sposób.

Janson spojrzał na niego błagalnie.

– Myślisz?

– Transport specjalny. Bez wygód. I dosyć kosztowny.

– Naprawdę mógłbyś zabrać mnie do Izmiru? Zapłacę dwa i pół tysiąca dolarów, amerykańskich, nie kanadyjskich.

Marynarz przyjrzał mu się uważnie, jakby szacował, ile jest wart.

– Będę potrzebował pomocników.

– Dwa i pół tysiąca tylko dla ciebie, za samo załatwienie sprawy. Oprócz tego pokryję wszystkie inne koszty.

– Zaczekaj tu – rzucił marynarz. Przypływ chciwości nieco go otrzeźwił. – Idę zadzwonić.

Janson bębnił palcami po blacie w niecierpliwym oczekiwaniu. Odgrywał pijanego, ale wzburzenia nie musiał udawać. Po kilku długich minutach marynarz wrócił.

– Rozmawiałem ze znajomym kapitanem. Mówi, że jak wniesiesz na pokład narkotyki, wrzuci cię do morza bez kamizelki ratunkowej.

– Skądże znowu! – krzyknął Janson, przerażony. – Żadnych narkotyków!

– Albańska dziwka ci ukradła? – spytał cierpko mężczyzna.

– No wiesz! – Janson podniósł głos, nie kryjąc oburzenia: urażony biznesmen bez poczucia humoru. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Żartuję. – Marynarz opamiętał się, pomny na swoją zapłatę. – Ale obiecałem kapitanowi, że przekażę ci ostrzeżenie. – Umilkł na chwilę.

– To licencjonowany kontenerowiec, jak mój. Wypływa o czwartej rano. Dobija na miejsce numer sześć w porcie w Izmirze po czterech godzinach. Dalej radzisz sobie sam. I nie mów nikomu, jak się tam dostałeś. – Przesunął palcem po szyi w symbolicznym geście. – To bardzo ważne. Druga ważna rzecz: zapłacisz kapitanowi tysiąc dolarów. Pirs dwudziesty trzeci. Będę na miejscu, żeby was sobie przedstawić.

Janson skinął głową. Schował ręce pod kontuarem i odliczył kilka banknotów o dużym nominale.

– Drugą połowę dostaniesz rano, kiedy spotkamy się w porcie.

Marynarzowi zaświeciły się oczy.

– Zgoda. Aha, jeszcze jedno. Jeśli kapitan spyta, ile mi zapłaciłeś, odejmij jedno zero, dobrze, przyjacielu?

– Ratusz mi życie – westchnął Janson.

Marynarz objął palcami zwitek banknotów, zachwycony ich grubością i ciężarem. Uśmiechnął się.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Janson pokręcił głową w roztargnieniu, po czym chwycił swój palec serdeczny.

– Powiem jej, że zostałem napadnięty.

– Powiedz swojej żonie, że napadła cię Albanka – poradził mężczyzna. – Kto by w to nie uwierzył?

•••

Później, już na lotnisku w Izmirze, Janson wciąż nie mógł się nadziwić, jak osobliwie skuteczne są tego rodzaju podstępny. Ludzie obdarzali drugą osobę zaufaniem, kiedy przedstawiała się jako niegodna zaufania. Ktoś, kto padł ofiarą własnej chciwości lub chuci, łatwiej zjednywał sobie sympatię niż ktoś uczciwy, kto po prostu miał pecha. Janson stał teraz skruszony przed przewodnikiem angielskiej wycieczki, powtarzając nieco zmienioną wersję historii, którą wcześniej opowiedział marynarzowi.

– Nie trzeba było brykać z niegrzecznymi dziewczynkami – skwitował przewodnik. Miał wystający mostek i płatynową, kudłatą czuprynę. Uśmiechał się bez współczucia, a wręcz nieco okrutnie. – Oj, łobuz z pana.

Na plastikowej plakietce widniało imię i nazwisko mężczyzny, a wyżej, wydrukowane jaskrawymi literami, nazwa i slogan reklamowy taniego biura podróży, dla którego pracował: *Holiday Express – dobra zabawa wliczona w cenę!*

– Byłem pijany w dupę! – obruszył się Janson, przybierając akcent charakterystyczny dla niezamożnej klasy średniej z okolic Londynu. – Cholerni Turcy. Dziewczyna obiecywała mi „prywatny show”. Myślałem, że chodziło jej o taniec brzucha!

– Akurat – odparł mężczyzna z chytrym uśmiechem. – Takie z pana niewiniątko.

Po kilku dniach przymusowego zabawiania stadka turystów najwidoczniej cieszył się, że dla odmiany może klientowi wetknąć szpilę.

– Ale żeby tak po prostu mnie zostawić! Rozumiem, że to był wyjazd zorganizowany, dobrze, ale porzucili mnie tutaj, zdanego na własne siły, jakbym w ogóle ich nie obchodził!

– Zdarza się. Któryś z chłopaków idzie w tango i znika. Trudno oczekiwać, żeby cała grupa spóźniła się na samolot z powodu jednej osoby. Musimy być rozsądni.

– Pieprzona dziwka. A ze mnie też cholerny idiota. – Janson uderzył w ton skruchy. – Chyba nie myślałem głową.

– Kto z nas jest bez grzechu? – odparł mężczyzna, już nieco łagodniej. – Jak pan się nazywa?

– Cavanaugh. Richard Cavanaugh.

Paul spędził całe dwadzieścia minut w kafejce internetowej na ulicy Kibris Sehiteri, by wyszukać listę pasażerów biura Holiday Express.

– No tak... Dicky Cavanaugh leci na wakacje do Turcji i dostaje niezłą nauczkę... – Docinki pod adresem nieszczęsnego klienta, który z powodu pechowej przygody nie mógł złożyć oficjalnej skargi, najwyraźniej poprawiały facetowi humor.

Janson spojrzał na niego spode łba.

Przewodnik z platynową czupryną zadzwonił z sieci Vodaphone do oddziału Thomasa Cooka w Izmirze. Wyjaśnił kłopotliwe położenie klienta, pomijając pikantne szczegóły. Dwukrotnie powtórzył nazwisko. Pozostał na linii przez kolejnych dziesięć minut, coraz mniej mówiąc, a więcej słuchając.

Kiedy się rozłączył, pokręcił głową i się roześmiał.

– Ha! Mówią, że przyleciał pan na Stansted dwie godziny temu, razem ze swoją grupą.

– Jasna cholera! – Janson popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Zdarza się – stwierdził filozoficznie mężczyzna, delektując się swoją życiową mądrością. – Zdarza się. Na liście pasażerów jest dwadzieścia osób z wycieczki. Nikomu nie chce się tego sprawdzać, więc komputer rejestruje dwadzieścia. W komercyjnych liniach to by

się nie zdarzyło, ale czarterowe nie są równie sumienne. Ups! Proszę nie mówić szefowi, że tak powiedziałem. „Niskie ceny, wysoka jakość” – to nasze motto. Gdyby komputer miał rację, hulałby pan teraz po swoim zakładzie optycznym w Uxbridge, zamiast dygotać w pieprzonym Izmirze, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś zobaczy pan dom rodzinny. – Zerknął na niego z ukosa. – Dobra była chociaż?

– Słucham?

– Tamta laseczka? Dobra była?

Janson się spieszył.

– Właśnie to jest w tym wszystkim najtragiczniejsze: tak strasznie się upiłem, że nic nie pamiętam.

Mężczyzna ścisnął go za ramię.

– Myślę, że tym razem uda mi się wydobyć pana z tarapatów – stwierdził. – Ale na przyszłość proszę pamiętać: nie zajmujemy się turystyką seksualną. Zastanów się, stary, zanim zdejmiesz spodnie. Jak mówi moja dziewczyna, ostrożnie, bo wydlubiesz komuś oko! – Zaryczał ze śmiechu, zadowolony z ordynarnego dowcipu. – I pomyśleć, że prowadzi pan zakład optyczny!

– Wolę nazwę „salon” – stwierdził Janson lodowato, wcielając się w rolę dumnego przedsiębiorcy. – Jest pan pewien, że nie będę miał żadnych problemów na Stansted?

– Żadnych. Widzi pan, to właśnie próbuję panu powiedzieć. – Przewodnik zniżył głos. – Holiday Express wszystkiego dopilnuje. Rozumiemy się? Pomożemy panu.

Janson z wdzięcznością pokiwał głową, chociaż doskonale wiedział, skąd wziął się ten nagły odruch altruizmu: telefon przewodnika z pewnością wywołał panikę w biurach firmy. Fortel Jansona, zgodnie z założeniem, postawił w trudnej sytuacji organizatora wycieczki,

który w sposób oczywisty wprowadził w błąd brytyjski urząd celny, twierdząc, że niejaki Richard Cavanaugh, zamieszkały w Uxbridge przy Culvert Lane 43, przekroczył granicę Zjednoczonego Królestwa. Jedynym sposobem na uniknięcie audytu i zachowanie licencji było dopilnować, aby Richard Cavanaugh faktycznie znalazł się w Wielkiej Brytanii – bez zbędnych formalności i niewygodnych pytań. Przewodnik sprokurował dla niego tymczasowe papiery

– „Pilny transport/Personel lotniczy”. Zwykle posługiwano się nimi w nagłych przypadkach medycznych. Prymitywna zagrywka, ale miała załatwić sprawę. Holiday Express naprawi swój błąd, a „Dickie” Cavanaugh zdąży do domu na kolację.

Przewodnik zarechotał, wręczając mu żółtopomarańczowe papiery.

– Tak pijany, że nic nie pamiętam, he? Nic tylko usiąść i płakać.

Janson wraz z przewodnikiem polecili do Stambułu małym czarterowym samolotem. Tam, po dwóch godzinach oczekiwania, przesiedli się do większej maszyny, która miała przetransportować trzy grupy turystów Holiday Express na lotnisko Stansted, na północ od Londynu. Cavanaugh za każdym razem machał żółtymi kartkami z Izmiru, a przedstawiciel biura osobiście eskortował go na pokład. Najwyraźniej dostali polecenie z centrali: zajmijcie się tym głupkiem albo będą kłopoty.

Lot trwał trzy godziny. Optyk z Uxbridge, znękany niefortunną przygodą, nie szukał towarzystwa. Zresztą jego poza samolubnego nieszczęśnika odstręczała potencjalnych rozmówców. Nieliczni, którzy słyszeli o jego kłopotach, widzieli w nim zwykłego sztywniaka, który poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie zgrzeszy.

Gdzieś nad Europą oczy same mu się zamknęły. Zapadł w drzemkę, a potem w głęboki sen, chociaż wiedział, jakie napotka w nim duchy.

•••

To było trzydzieści lat temu, a jakby teraz. W odległej dżungli, a jakby tutaj. Wyprawa do Noc Lo zakończyła się fiaskiem. Bezzwłocznie, nawet się nie myjąc, udał się wprost do siedziby Demaresta. Komandor podporucznik chciał się z nim widzieć natychmiast.

Brudny i spocony po trudach walki, stanął przed Demarestem, który w zamyśleniu pochylał się nad biurkiem. Z głośników płynęły dźwięki chorału gregoriańskiego, osobliwie prostej, powolnej melodii.

Demarest w końcu na niego spojrział.

– Rozumiesz, co się tam wydarzyło?

– Panie komandorze?

– Jeśli to nic nie znaczy, to wydarzyło się bez powodu. Nie w takim świecie chcemy żyć. Trzeba nadać temu znaczenie.

– Powiedziałem panu. Oni się nas spodziewali.

– No to wszystko jasne, prawda?

– Nie wydawał się pan... nie wydaje się pan zaskoczony.

– Zaskoczony? Nie. Musiałem coś sprawdzić. Musiałem się upewnić. Noc Lo to był eksperyment. Jeśli mamy przekazać plany wtargnięcia na teren wroga lokalnym łącznikom, jakie mogą być tego konsekwencje? Jakie informacje zostaną przekazane miejscowym rebeliantom? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Przynajmniej dowiedzieliśmy się czegoś. Wróg chce nas zniszczyć – pragnie naszej klęski całym sercem, duszą i umysłem. A jakie mamy atuty? Hordę przymusowo oddelegowanych urzędników, którym wydaje się, że nadal pracują w ratuszu. Kilka godzin temu cudem uniknąłeś śmierci. Czy Noc Lo to klęska, czy zwycięstwo? Trudno stwierdzić, co?

– Na pewno nie zwycięstwo, panie komandorze.

– Hardaway zginął, bo był słaby. Już to mówiłem. Ty żyjesz. Wiedziałem, że przeżyjesz, jesteś silny. Jak twój ojciec – o ile pamiętam, brał udział w desancie na Czerwoną Plażę. Jak wuj, który w lasach i wąwozach Szumawy polował na oficerów Wehrmachtu z wysłużoną strzelbą myśliwską. Partyzanci z Europy Wschodniej... Nie ma bardziej zaciekłych wojowników. Też miałem wuja z tamtych stron. Wojna pokazuje nam, kim naprawdę jesteśmy, Paul. Mam nadzieję, że dzisiaj dowiedziałeś się czegoś o sobie. Czegoś, co ja wiedziałem dawno temu, jeszcze w Little Creek.

Komandor podporucznik Demarest wziął do ręki leżącą na biurku książkę z oślimi uszami.

– Pamiętasz Emersona? – Zaczął czytać na głos. – „Człowiek wielki zawsze pragnie być mały. Siedząc na miękkich poduszkach korzyści i przywilejów, szybko usypia. Ale zmuszony do działania, znękany, pokonany, ma okazję, żeby nauczyć się czegoś o sobie. Testuje swoje męstwo. Poznaje fakty. Leczy się z ignorancji i szaleństwa zarozumiałości”. Z pewnością Ralph Waldo wiedział, co mówi, nie sądzisz?

– Chciałbym w to wierzyć, panie komandorze.

– Pole bitwy to sprawdzian. Giniesz albo rodzisz się na nowo. I nie traktuj tego jako metafory. Czy matka opowiadała ci kiedyś, w jakich trudach cię rodziła? Kobiety rozumieją ten nieznośny ból. Wiedzą, że życie – ich własne, ale też ich rodziców, dziadków, pradziadków – całe ludzkie istnienie kumuluje się w jednym, mokrym, śliskim, rozwrzeszczanym bycie. Poród to nic przyjemnego. Dziewięć miesięcy radości, a na końcu ból. Człowiek rodzi się w syfie – płyn owodniowy, rozciągnięte trzewia, kał, mocz, krew. I pośród tego wszystkiego –

hej, to właśnie ty. Chwila niewyobrażalnej męki. Tak, poród to agonia, ale to właśnie ból nadaje mu znaczenie. Patrzę teraz na ciebie, jak stoisz tu przede mną i ciągle przeżywasz śmierć towarzysza. Patrzę ci w oczy i widzę żołnierza, który narodził się na nowo.

Janson spoglądał na dowódcę w niemym zdumieniu, przerażony, a jednocześnie zafascynowany.

Demarest wstał, nie odrywając wzroku od podwładnego. Położył mu dłoń na ramieniu.

– O co chodzi w tej wojnie? Dupki z Departamentu Stanu, absolwenci prestiżowych uczelni, udają, że znają odpowiedź. Ale ich gadka to tylko szum, bezsensowne racjonalizacje. Każdy konflikt wygląda tak samo. Na polu bitwy przechodzisz test. W ciągu ostatnich czterech godzin doświadczyłeś więcej zapału i zmęczenia, więcej bólu i rozkoszy, więcej czystej adrenaliny, niż jest dane zwykłym śmiertelnikom. Żyjesz, w przeciwieństwie do nieszczęsnych zombie, którzy w swoich praktycznych samochodach dziękują Bogu, że ominął ich twój los. Ale to oni potracili dusze. Całe dni spędzają, porównując ceny polędwicy wołowej i proszków do prania. Zastanawiają się, czy wezwać hydraulika, czy samemu naprawić ciekący kran. Są martwi w środku i nawet o tym nie wiedzą. – Dowódcy płonęły oczy.

– O co chodzi w tej wojnie? Zabijasz tych, którzy chcieli zabić ciebie. Co się stało? Zwycięstwo, klęska – to nie jest miara. Powiem ci, co się stało. Omal nie zginąłeś. Teraz już wiesz, co znaczy żyć.

Rozdział 12

Wielka biała ciężarówka wyładowana tarcicą skręciła z ruchliwej autostrady M11 i wjechała do Cambridge na Queen's Road. Zaparkowała obok kilku tirów ze sprzętem budowlanym przeznaczonym do prac remontowych. Duży, starzejący się Uniwersytet Cambridge wiecznie wymagał remontów i renowacji.

Kiedy kierowca zatrzymał się na parkingu, mężczyzna, którego podwiózł, podziękował mu serdecznie i wysiadł. Był ubrany w ciemnoszary kombinezon roboczy, ale nie wybierał się do pracy. Na chwilę zniknął w przenośnej toalecie stojącej przy placu budowy. Na niebieskich, plastikowych drzwiach widniał slogan firmy budowlanej z West Yorkshire: „Liderzy w dziedzinie innowacji”. Mężczyzna wyszedł z toalety w popielatej, tweedowej marynarce w jodełkę. Takie przebranie nie rzucało się w oczy w położonej na wschód od Queen's Road części miasta, zwanej The Backs. Tu, wzdłuż nadrzecznego pasa zieleni, wyrastały najstarsze budynki uniwersytetu: King's College, Clare, Trinity Hall, a także cel jego podróży – Trinity College. Minęła raptem godzina, odkąd Paul Janson wylądował na lotnisku Stansted, a już prawie zdążył o tym zapomnieć.

W ciągu minionej doby naopowiadał tyle kłamstw, posługując się tyloma różnymi akcentami, że w końcu rozboleła go głowa. Wkrótce jednak miał się spotkać z kimś, kto rozwieje mgłę mistyfikacji. Z kim

będzie mógł rozmawiać w zaufaniu. Kto prawdopodobnie, jak nikt inny, posiada dogłębną wiedzę na temat tego, co się wydarzyło. Jego ostatnia deska ratunku: Angus Fielding, błyskotliwy profesor Trinity College.

Janson był jego studentem we wczesnych latach siedemdziesiątych, jako stypendysta Fundacji Marshalla. Profesor o łagodnym usposobieniu i rozbawionych oczach prowadził seminarium z historii gospodarczej. Jego niepospolity umysł zafascynował Jansona, profesor z kolei autentycznie zainteresował się swoim nietypowym uczniem. Paul nie chciał angażować Fieldinga w swoje niebezpieczne śledztwo, ale nie miał wyboru. Dawny opiekun i mentor, ekspert w dziedzinie globalnych systemów finansowych, należał do powołanego przez Petera Novaka zespołu ekspertów mającego pokierować Fundacją Wolności. Od niedawna pełnił też funkcję dziekana Trinity College.

Na Trinity Bridge naszła Jansona fala wspomnień – wspomnień innego czasu, czasu nauki, leczenia ran, odpoczynku. Wszystko wokół przypominało mu tamten złoty okres w jego życiu. Trawniki, gotycka architektura, a nawet wiosłarze z długimi wiosłami, sunący rzeką Cam pod kamiennymi łukami mostów i zwisającymi koronami wierzb płaczących. Kiedy doszedł do college'u, wietrzne dzwoneczki pamięci zabrzęczały jeszcze głośniej. Przodem do rzeki stała jadalnia, zbudowana na początku siedemnastego wieku, i wspaniała biblioteka ze strzelistymi sklepieniami i łukami. Trinity College reprezentował nie tylko jedną z najbardziej prestiżowych uczelni w Cambridge, ale też najbogatszą: w rzeczywistości był drugim największym właścicielem ziemskim w Wielkiej Brytanii, zaraz po królowej. Janson minął jadalnię i wszedł na żwirowy plac przed domem dziekana.

Zadzwoił do drzwi. Służąca uchyliła okno.

– Przyszedłeś do dziekana, kochanieńki?

– W rzeczy samej.

– Trochę się pospieszyłeś, co? Nic nie szkodzi, skarbie. Zajdź od frontu, zaraz ci otworzę.

Najwyraźniej wzięła go za kogoś innego, kto był o tej porze umówiony na spotkanie.

Nikt tu nie dbał o nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Kobieta nawet nie spytała go o nazwisko. Cambridge niewiele się zmieniło od lat siedemdziesiątych, kiedy tu studiował.

Szerokie, wyłożone czerwoną wykładziną schody w domu dziekana prowadziły obok galerii portretów, przedstawiających luminarzy sprzed wieków: brodaty George Trevelyan, gładko ogolony William Whewell, Christopher Wordsworth w gronostajach. Na piętrze po lewej stronie znajdował się salon z różową wykładziną i białą boazerią, która stanowiła tło dla wiszących na ścianach obrazów. Drzwi z salonu prowadziły do znacznie większego pokoju. Tu ciemną podłogę z desek przykrywały duże orientalne dywany. Jansona powitał od progu wielki stojący portret królowej Elżbiety I, namalowany za jej życia, z niezwykłą dbałością oddający szczegóły sukni i znacznie mniej staranny w przedstawieniu zniszczonej twarzy. Z sąsiedniej ściany spoglądał władczy Isaac Newton w brązowej peruce. Na tych dwoje patrzył bezwstydnie uśmiechnięty czternastolatek, niejaki lord Gloucester. Była to zatem jedna z najbardziej imponujących kolekcji poza Narodową Galerią Portretu – parada przedstawicieli bardzo szczególnej elity, politycznej i intelektualnej, która kształtowała przyszłość kraju, kierowała jego historią i w pewnym stopniu odpowiadała zarówno za jego

osiągnięcia, jak i porażki. Rumiane oblicza należały w większości do epok minionych, a jednak pasowałyby tutaj portret Petera Novaka. Jak większość urodzonych przywódców, powodował się wewnętrznym obowiązkiem, głębokim i głęboko moralnym poczuciem misji.

Janson jak urzeczony przyglądał się twarzom dawno zmarłych władców i doradców, i drgnął, usłyszawszy za plecami chrząknięcie.

– Wielkie nieba, to naprawdę ty! – zawołał Angus Fielding głosem na wpół piskliwym, na wpół pohukującym. – Wybacz, przyglądałem ci się, jak patrzysz na portrety, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ale te ramiona, ten chód... Drogi chłopcze, ile to czasu minęło? Co za cudowna niespodzianka! Gilly powiedziała mi, że gość umówiony na dziesiątą już przyszedł, więc szykowałem się na rozmowę z pewnym mało obiecującym studentem. Adam Smith, Condorcet i tak dalej. Jak mawiała lady Asquith, ma całkiem błyskotliwy umysł, dopóki nie zacznie myśleć. Uratowałeś mnie!

W promieniach słońca prześwitujących przez chmury dawny mentor Jansona wyglądał trochę jak w aureoli. Miał pożłobioną zmarszczkami twarz i przerzedzone siwe włosy, ale sylwetkę wciąż szczupłą i smukłą. W jasnoniebieskich oczach tliły się iskierki rozbawienia, jak u kogoś, kto trzyma w sekrecie dobry żart – nieokreślony, kosmiczny żart – i jest gotów się nim podzielić. Fielding zbliżał się do siedemdziesiątki. Nie był postawnym mężczyzną, ale roztaczał wokół siebie aurę wielkości.

– Chodźmy, drogi chłopcze.

Poprowadził Jansona krótkim korytarzem – mijając po drodze surową sekretarkę w średnim wieku – do obszernego gabinetu z dużym oknem panoramicznym, z którego rozciągał się widok na Wielki Dziedziniec. Na prostych, białych półkach piętrzyły się stosy

książek, czasopism i kopii artykułów profesora. Ich tytuły brzmiały nader uczenie: „Zagrożenia dla globalnego systemu finansowego: ocena makroekonomiczna”. „Banki centralne – płynność środków finansowych w obcej walucie. Potrzeba klarowności”. „Nowa ocena globalnych rynków ryzyka”. „Strukturalne aspekty płynności rynkowej oraz ich konsekwencje dla stabilności finansowej”. Na stoliku w rogu leżała pozółkła kopia „Dalekowschodniego przeglądu ekonomicznego”. Na okładce, pod zdjęciem Petera Novaka, widniał nagłówek: „PIENIĄDZE MOGĄ ZMIENIĆ ŚWIAT”.

– Przepraszam za ten bałagan – powiedział profesor, zdejmując stertę papierów z czarnego krzesła przy biurku. – Wiesz, w pewnym sensie cieszę się, że nie powiadomiłeś mnie o swojej wizycie. Gdybyś mnie uprzedził, pewnie wystroiłbym się w pawie piórka, jak to mówią, i obaj bylibyśmy zawiedzeni. Wszyscy uważają, że powinienem zwolnić kucharkę, ale biedactwo pracuje tu niemal od czasów Stuartów. Nie mam serca jej odesłać, a może to mój żołądek się temu sprzeciwia? Jej przekąski są ponoć toksyczne. To tylko *eminence grise*, szara eminencja, powtarzam kolegom, na co ripostują: „emanacja tłuszczu!”. Nasze wyposażenie to osobliwa kombinacja obfitości i oszczędności, czyli bylejakość. Niełatwo się przyzwyczaić. Zresztą sam to pamiętasz ze swoich studenckich czasów. To jak zabawa w berka: dla dziecka nie ma wspanialszej rozrywki, a po latach, jako dorośli, zastanawiamy się, co w tym zabawnego. – Klepnął Jansona w ramię. – Berek!

Potok słów, kłębowisko myśli, rozbawiony wzrok – to był ten sam Angus Fielding, na przemian bystry i swawolny. Jego oczy widziały więcej, niż miał ochotę zdradzić, a profesorska swada mogła równie dobrze stanowić skuteczny kamuflaż. Będąc członkiem wydziału

ekonomii, który wykształcił takich absolwentów jak Marshall, Keynes, lord Kaldor i Sen, Angusa Fieldinga znano w świecie nie tylko jako eksperta od systemów finansowych. Należał do Klubu Wtorkowego – grupy intelektualistów i analityków, blisko związanych z brytyjskim wywiadem. Na wczesnym etapie kariery naukowej Fielding jako doradca MI6 rozpracowywał rynki bloku wschodniego.

– Angus – odezwał się Janson cichym, schrypniętym głosem.

– Otwórzmy butelkę bordeau! – zawołał dziekan. – Wiem, że jest wcześniej, ale są tu przecież zapasy! Wyjrzyj przez okno. Widzisz Wielki Dziedziniec? Nie wiem, czy pamiętasz, ale pod nim jest duża piwniczka z winami. Biegnie tuż pod dziedzińcem i ogrodami college’u. Istne katakumby czerwonego wina! Winny Fort Knox! Mamy tu intendenta z grubym pękiem kluczy. On jeden mógłby nas wpuścić do środka. Nadęty kapcan. No i jest cała komisja do spraw win, podzielona na frakcje, jak była Jugosławia, tyle że jeszcze mniej skłonna do rokowań pokojowych. – Zawołał na sekretarkę. – Możemy prosić o butelkę Lynch Bages, rocznik osiemdziesiąty drugi? Zdaje się, że została jedna z wczorajszego wieczoru.

– Angus. – Janson ponowił próbę. – Chciałbym z tobą porozmawiać o Peterze Novaku.

Fielding nadstawił uszu.

– Masz wiadomości od niego?

– Raczej o nim.

Fielding umilkł.

– Poczułem nagle przeciąg – rzekł po chwili. – Powiew lodowatego powietrza. – Pociągnął się za ucho.

– Może nie słyszałeś... – zaczął Janson niepewnie.

– Nie całkiem rozumiem...

– Angus – powiedział Janson. – Peter Novak nie żyje.

Dziekan Trinity College zbladł. Przez kilka długich sekund wpatrywał się w gościa. Potem osunął się na drewniane krzesło z ażurowym oparciem, jakby uszło z niego powietrze.

– Od dawna krążą fałszywe pogłoski o jego śmierci – stwierdził bez przekonania.

Paul usiadł obok niego.

– Widziałem, jak zginął.

Wydawało się, że Angus Fielding nagle opadł z sił. Teraz wyglądał na swoje lata.

– To niemożliwe – wyszeptał. – Nie może być.

– Widziałem, jak zginął – powtórzył Janson.

Opowiedział Fieldingowi o wydarzeniach na wyspie Anura.

Gdy mówił o eksplozji, przeszył go ból i brakło mu tchu. Angus tylko kiwał głową, z twarzą pozbawioną wyrazu i półprzymkniętymi oczami, jakby słuchał ucznia, czytającego referat.

Janson kiedyś był jego uczniem – ale nie zwyczajnym, pucułowatym dzieciakiem ze szkoły z internatem, który z plecakiem pełnym książek z oślimi uszami i popsutych długopisów pedałuje starymi uliczkami. Kiedy dzięki wsparciu Fundacji Marshalla przyjechał do Trinity, wyglądał jak wrak człowieka. Wychudzony, z ziemistą cerą, leczył rany na wyniszczonym ciele i zdruzgotanej duszy – rezultat półtorarocznej męki w obozie jenieckim i przeżytych tortur. Był rok 1974. Miał nadzieję zacząć tam, gdzie skończył, czyli na nowo studiować historię gospodarczą, tak jak wcześniej na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor. SEALs wkroczyli do świata akademickiego. Z początku obawiał się, że nie będzie tam pasował. Ale czy szkolenie wojskowe nie wykształciło w nim umiejętności

adaptowania się w każdym otoczeniu, jakiegokolwiek by ono było? Książki kodowe i mapy topograficzne zastąpił tekstami historycznymi i formułami ekonomicznymi. Zabrał się do nich z taką samą zawziętością, determinacją i niecierpliwością.

W mieszkaniu Fieldinga w Neville Court, gdy Janson omawiał zadany temat, profesor zdawał się przysypiać. Nagle jednak otwierał oczy, mrugał i wykazywał słabe punkty jego argumentacji. Pewnego razu Janson analizował konsekwencje gospodarcze ekspansjonizmu Bismarcka z punktu widzenia żołnierza pospolitego ruszenia. Dopiero kiedy skończył, Fielding jakby przebudził się ze snu. Ni stąd, ni zowąd sypnął gradem pytań. Jak odróżnić ekspansjonizm od konsolidacji regionu? Jakie były opóźnione konsekwencje ekonomiczne aneksji księstw Schleswig i Holstein, mającej miejsce kilka lat wcześniej? A te liczby, na których oparł swoje przesłanki co do dewaluacji marki między 1873 a 1877 rokiem – chyba nie korzystałeś z opracowania Hodgemana, prawda, młody człowieku? Biedny, stary Hodgeman wszystko pokręcił, ale czego się spodziewać po naukowcach z Oksfordu? Przykro mi, drogi chłopcze, muszę odrzucić twoje przesłanki. Zanim wzniesiesz gmach, upewnij się, na jakim gruncie go stawiasz.

Fielding miał przenikliwy umysł, był kulturalny, opanowany, może tylko trochę roztrzepany. Lubił cytować pewien wers z Szekspira, o przyjacielu, który uśmiecha się, chowając nóż za pazuchą, i wprawdzie nie był hipokrytą, ale ten cytat trafnie charakteryzował jego temperament naukowy. Dopiero kilka miesięcy po tym, jak Janson rozpoczął naukę, profesor przyznał niefrasobliwie, że nieprzypadkowo wziął go pod swoje skrzydła. Przyjaciele Fieldinga w Waszyngtonie byli pod wrażeniem młodego żołnierza, który

wykazał się niezwykłym hartem ducha i ponadprzeciętnymi zdolnościami. Chcieli, by profesor miał na niego oko. Janson do dziś nie wiedział, czy to profesor zwerbował go do Wydziału Operacji Konsularnych, czy może tylko zasugerował mu pewne kroki, pozwalając, by Janson sam zdecydował. Pamiętał ich długie rozmowy o wojnach „w słusznej sprawie”, o konflikcie realizmu z idealizmem w ramach ogólnie usankcjonowanej przemocy. Czy profesor wypytywał Jansona o poglądy tylko po to, by przetestować jego zdolności analityczne? Czy też w subtelny sposób te poglądy modyfikował, aby ponownie nakłonić zdruzgotanego młodego mężczyznę do służby ojczyźnie?

Teraz Fielding wytarł chusteczką oczy wilgotne od łez.

– To był fantastyczny człowiek, Paul. Może dzisiaj nie używa się już takich słów, ale nigdy nie znałem nikogo podobnego. Boże. Ta wyobraźnia, błyskotliwość, empatia... Petera Novaka trzeba uznać za kogoś absolutnie nadzwyczajnego. Miałem ogromne szczęście, że go znałem. Wszyscy mieliśmy szczęście, że w naszym stuleciu narodził się ktoś taki. – Na chwilę zasłonił twarz dłońmi. – Plotę bez sensu. Głupieję na starość. Och, Paul, wiesz, że nie uprawiam kultu bohaterów. Ale Peter Novak... Jakby przybył z innej, lepszej planety. Podczas gdy my wszyscy skakaliśmy sobie do oczu, on jeden wydawał się przedstawicielem nowej rasy, która ostatecznie nauczyła się godzić serce z rozumem, zapał z dobrocią. Był kimś więcej niż specem od liczb. Rozumiał ludzi, troszczył się o nich. Ten sam szósty zmysł, pozwalający mu wygrywać na giełdzie i przewidywać wahania ludzkiej pazerności, równocześnie kierował go na tory najpilniejszych potrzeb społecznych. Ale jeśli spytasz, czemu sprowadzał sobie na głowę problemy, które wszyscy inni uznawali za niemożliwe do

rozwiązania, musisz odłożyć na bok logikę. Wielkie umysły rodzą się rzadko. Wielkie serca jeszcze rzadziej. A Peter Novak miał wielkie serce. Był filantropem w dosłownym znaczeniu: kochał dobroć.

Fielding wydmuchał nos i zamrugał oczami. Starał się trzymać emocje na wodzy.

– Tyle mu zawdzięczałem – wyszeptał Janson. Stańło mu przed oczami pokryte pyłem miasteczko Baaqlina.

– Jak cały świat – skwitował Fielding. – Dlatego powiedziałem, że to niemożliwe. Nie chodzi o fakty, chodzi o konsekwencje. On nie może umrzeć. Zbyt wiele zależy od niego. W tylu miejscach na świecie był gwarantem pokoju i stabilizacji. Gdyby zginął, wraz z nim zginęłyby tysiące ludzi, ofiar rzezi i prześladowań. Kurdowie, Hutu, Romowie, wszyscy pogardzani tego świata. Chrześcijanie w Sudanie, muzułmanie na Filipinach, Indianie w Hondurasie, separatyści Diola w Senegalii... Ale po co w ogóle tworzyć taką listę *damnes de la terre*? Zło nie zniknie z tego świata. Oni w końcu wygrają.

Fielding nagle nie tylko się postarzał, ale też wyraźnie się skurczył. Opuściły go siły witalne.

– Może uda się powstrzymać to zło – rzekł cicho Janson.

Profesor posłał mu zgnębione spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że Ameryka, nieudolnie jak zwykle, weźmie sprawy w swoje ręce? Może nawet sądzisz, że spoczywa na niej taki obowiązek. To zdumiewające: dotąd nie pojęliście, jak świat nienawidzi Ameryki? Skończyła się zimna wojna. Ale odtąd wielu ludzi żyje w przekonaniu, że znaleźli się pod amerykańską okupacją gospodarczą. Mówicie „globalizacja”, a oni słyszą „amerykanizacja”. Oglądacie w telewizji antyamerykańskie demonstracje w Malezji i Indonezji, protesty w Melbourne i w Seattle. We Francji obrzucają

łotem restauracje McDonalda. Waszym zdaniem to tylko osobliwe „incydenty”. Ale nie, wręcz przeciwnie. To zapowiedź huraganu, pierwsze krople zwiastujące oberwanie chmury.

Janson pokiwał głową. Nieraz już słyszał takie opinie, nawet całkiem niedawno.

– Ktoś powiedział mi ostatnio, że ludzie nienawidzą Ameryki nie za to, co robi, ale za to, czym jest.

– I właśnie dlatego Peter Novak pełnił rolę nie do przecenienia. Nie da się go zastąpić. – Profesor mówił z coraz większą żarliwością. – Nie był Amerykaninem i nie służył amerykańskim interesom. Wszyscy wiedzieli, że odrzucił umizgi rządu Stanów Zjednoczonych. Rozgniewał urzędników z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bo wolał kierować się własnym instynktem, a przede wszystkim – sumieniem. Potrafił powiedzieć wprost, że idziemy złą drogą. Że rynki bez moralności upadną. Potrafił mówić tak, żeby ludzie go słuchali. Przekonywał, że magia rynku to za mało: potrzebujemy moralnego drogowskazu i zaangażowania, żeby dojść do celu. – Głos mu się załamał. Musiał przełknąć ślinę. – Dlatego mówiłem, że ten człowiek nie może zginąć.

– Ale zginął.

Fielding kołysał się rytmicznie na krześle. Przez chwilę milczał. W końcu otworzył szeroko jasnoniebieskie oczy.

– Dziwne. Nie było żadnych wiadomości na ten temat. Ani o porwaniu, ani o morderstwie. Bardzo dziwne. Fakty, które mi przedstawiłeś, niczego nie wyjaśniają.

Profesor spojrzął w posępne niebo, zawieszony nad wspaniałym, wiekowym dziedzińcem. Niskie chmury z mokradeł i grubo ciosany portlandzki kamień – widok niezmienny od wieków.

– Chyba miałem nadzieję, że mi w tym pomożesz – mruknął Janson. – Pytanie brzmi, kto pragnąłby śmierci Petera Novaka?

Profesor powoli pokręcił głową.

– Pytanie brzmi, niestety, kto by jej nie pragnął. – Wyglądało na to, że Fielding uruchomił zaawansowane procesy myślowe: miał skupione spojrzenie i napiętą twarz. – Przesadzam, oczywiście. Nieliczni śmiertelnicy tak zapracowali sobie na miłość i wdzięczność bliźnich. A jednak. A jednak. *La grande benevolenza attira la grande malevolenza*, jak napisał Boccaccio. Wielka dobroć zawsze przyciąga wielką wrogość.

– Wytłumacz mi coś. Przed chwilą powiedziałeś „oni”. „Oni wygrają”. Kogo miałeś na myśli?

– Co wiesz o pochodzeniu Petera Novaka?

– Niewiele. Poza tym, że dorastał na Węgrzech w czasie wojny.

– Pochodził z arystokratycznej rodziny, co w owych czasach niekoniecznie oznaczało przywileje. Ocalał jako jeden z niewielu mieszkańców miasteczka, które zostało zrównane z ziemią w rezultacie bitwy między wojskami Hitlera i Stalina. Ojciec Novaka, dość tajemniczy węgierski arystokrata, w latach czterdziestych, zanim uciekł z kraju, pracował w rządzie Miklósa Kallaya. Podobno wręcz obsesyjnie bał się o bezpieczeństwo jedynego syna. Narobił sobie wrogów, którzy, jak przypuszczał, mogli próbować się zemścić na jego potomku. Stary arystokrata może i był paranoikiem, ale – jak mówi stare porzekadło – nawet paranoicy mają wrogów.

– To było ponad pół wieku temu. Kogo teraz obchodzi, co jego ojciec robił w latach czterdziestych?

Fielding posłał mu surowe, profesorskie spojrzenie.

– Najwidoczniej nie spędziłeś na Węgrzech dość czasu – stwierdził.

– A to tam wciąż mieszkają jego najwięksi wielbiciel i najzacieklejsi wrogowie. Naturalnie, wszędzie na świecie znajdziesz miliony ludzi, którzy czują się ofiarami sukcesów Novaka jako finansisty. Wielu zwykłych mieszkańców południowo-wschodniej Azji obwinia go za niski kurs swojej waluty, a ich niezadowolenie podsycają demagodzy.

– Obwinia bezpodstawnie, twoim zdaniem?

– Nawet jeśli Novak jest największym spekulantem w historii, to nikt nie potępiał tych praktyk dobitniej niż on. Nawoływał do unifikacji walutowej, która uniemożliwiłaby tego rodzaju spekulacje – trudno przyjąć, że był adwokatem swoich własnych interesów. Wręcz przeciwnie. Oczywiście, ktoś mógłby uznać, że to Anglia najbardziej odczuła jego spekulacyjne inicjatywy, przynajmniej z początku. Pamiętasz, co się działo w latach osiemdziesiątych. Nastąpił wielki kryzys walutowy, wszyscy zastanawiali się, które z krajów europejskich obniżą kursy swoich walut. Novak wyłożył miliony, kierując się przecuciem, że funt poleci na łeb, na szyję. Faktycznie tak się stało, a jego fundusz Elektra niemal potroił wzrost. Niewiarygodny wyczyn! Nasz ówczesny premier zaangażował wtedy MI6, żeby co nieco poszperali. Ostatecznie prowadzący tę sprawę oficer powiedział gazecie „Daily Telegraph”, że – cytuję – „jedynym prawem, jakie zostało złamane, jest prawo statystyki”. Jasne, kiedy w Malezji gwałtownie spadł ringgit, a Novak po raz kolejny zarobił krocie, tamtejsi politycy nie okazywali zachwyty. Pojawiło się mnóstwo dziwnych opowieści o podejrzanych manipulacjach tajemniczego cudzoziemca. Pytasz, kto pragnąłby jego śmierci, tymczasem lista osób, które źle mu życzyły, jest długa. Chiny: tam przedstawiciele rządu starców niczego tak się nie boją, jak „demokracji bezpośredniej”, będącej przecież pasją Novaka. Wiedzą,

że chciałby w Chinach zaprowadzić demokrację. Są potężnymi wrogami. Europa Wschodnia: jedna wielka klika potentatów, byłych sługusów komunizmu, którzy dorobili się na „prywatyzacji” przedsiębiorstw. Kampanie antykorupcyjne, jakie Fundacja Wolności inicjuje na ich własnym podwórku, są dla nich bezpośrednim zagrożeniem. Na pewno tego nie zlekceważą. Tak jak mówiłem: czyniąc dobro, zagrażamy pewnym ludziom, zwłaszcza tym, którzy prosperują dzięki głęboko zakorzenionej wrogości i systematycznej korupcji. Pytałeś, kto to są „oni”. Lepiej ci tego nie wyjaśnię.

Janson spostrzegł, że Fielding stara się usiąść prosto, próbuje wziąć się w garść, trzymać fason.

– Byłeś w jego zespole ekspertów – zagaił. – Jak to wyglądało?

Fielding wzruszył ramionami.

– Od czasu do czasu prosił mnie o opinię. Mniej więcej raz w miesiącu rozmawialiśmy przez telefon. Mniej więcej raz w roku spotykaliśmy się osobiście. W gruncie rzeczy mogłem nauczyć się od niego więcej niż on ode mnie. Ale potrafił słuchać jak nikt inny. I nigdy niczego nie udawał, a jeśli już, to tylko tyle, że wie mniej, niż naprawdę wiedział. Zawsze niepokoiły go niezamierzone konsekwencje akcji humanitarnych. Martwił się, czy pomoc humanitarna w ostateczności nie spowoduje jeszcze większego cierpienia, czy wsparcie, przeznaczone dla uchodźców, nie wesprze reżimu, który spowodował, że uciekli z kraju. Wiedział, że nie zawsze ma słuszość. Powtarzał, że może się mylić. Taką wyznawał zasadę: całą naszą dotychczasową wiedzę musimy wciąż oceniać na nowo, a jeśli trzeba – odrzucić.

Gabinet dziekana spowiły długie, niewyraźne cienie. Sączące się przez chmury światło późnego poranka okryło chłodną poświatą

kaplicę college'u. Janson liczył, że zawęzi swoje śledztwo do kilku podejrzanych, tymczasem Fielding przedstawił mu aż nazbyt wiele możliwości.

– Mówisz, że spotykaliście się sporadycznie.

– Novak nie miał ustalonych nawyków. Ale nie był samotnikiem. Bardziej nomadą. Wiódł życie wędrowne, jak Epikrates z Heraklei, mędrzec starożytności.

– Na światową centralę fundacji wybrał Amsterdam.

– Prinsengracht jedenaście dwadzieścia trzy. Jego pracownicy zawsze ze smutkiem mawiali: Jaka jest różnica między Bogiem a Novakiem? Bóg jest wszędzie. Novak jest wszędzie, z wyjątkiem Amsterdamu.

Janson zmarszczył brwi.

– Novak miał też innych doradców, których nazwiska nigdy nie pojawiały się w mediach. Być może ktoś z nich wiedział o czymś ważnym, może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Fundacja nabrała wody w usta. Do nikogo nie mogę się dodzwonić, nikt nic nie wie. Dlatego przyjechałem do ciebie. Muszę się skontaktować z bliskimi współpracownikami Novaka. Z kimś, kto być może wypadł z zaufanego grona doradców. Nie da się wykluczyć, że Novak zginął z rąk najbliższych współpracowników.

Fielding uniósł brwi.

– Równie dobrze mógłbyś założyć, że wykończyli go twoi współpracownicy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pytałeś o wrogów Petera Novaka. Mówiłem, że są na całym świecie. Pozwól, że poruszę niewdzięczny temat... Na ile ufasz własnemu rządowi?

Jego głos zabrzmiał lodowato jak stal i miękko jak jedwab.

– Chyba nie mówisz serio – obruszył się Janson.

Wiedział jednak, że Fielding, stały bywalec słynnego Klubu Wtorkowego, nie rzuca słów na wiatr.

– Po prostu pytam – ciągnął profesor ostrożnie – czy jest możliwe, że twoi dawni koledzy z Wydziału Operacji Konsularnych mają z tym coś wspólnego?

Janson wzdrygnął się. Od czasu wydarzeń w Atenach zadawał sobie to samo, pozornie bezzasadne pytanie.

– Ale czemu? W jaki sposób?

Czy to było możliwe?

Fielding poruszył się niespokojnie na krześle. Przesunął palcami po skórzanym obiciu.

– Niczego nie twierdzę. Niczego nie sugeruję. Pytam. Ale weź to pod uwagę. Peter Novak stał się potężniejszy niż niejedno suwerenne mocarstwo. Kto wie, czy, rozmyślnie lub nie, sabotował pewne operacje, niweczył jakieś plany, zagrażał czyimś biurokratycznym zapędom, wszedł w drogę potężnym graczom... – Fielding zakreślił ręką w powietrzu, sugerując ogrom niejasnych ewentualności. – Czy jakiś amerykański strateg nie uznał przypadkiem, że Novak jest zbyt potężny i jako niezależny aktor na scenie politycznej stwarza zbyt duże zagrożenie?

Spekulacje profesora były aż nadto przekonujące. Marta Lang rozmawiała z wysoko postawionymi ludźmi w Departamencie Stanu. Nalegali, żeby zatrudniła Jansona. Z tego co wiedział, dostarczyli jej współpracownikom informacji i sprzętu. Naturalnie została zobowiązana do dyskrecji – „ze względów politycznych”, którymi ponoć tak bardzo pogardzała. Janson nie musiał się orientować, skąd

wzięli sprzęt. Lang nie miała powodu nie dotrzymać słowa. Z kim konkretnie się dogadała? Nie padły żadne nazwiska. Ponoć go znali bądź o nim słyszeli. Kto? Najpewniej Wydział Operacji Konsularnych. A przelewy do banku na Kajmanach? Paul sądził dotychczas, że jego dawni pracodawcy nie wiedzą o koncie, ale przecież rząd amerykański, jeśli tylko chciał, mógł w subtelny sposób wywierać presję na zagraniczne instytucje bankowe, gdy w grę wchodziły rachunki obywateli amerykańskich. Kto, jak nie wysoko postawieni członkowie amerykańskiego wywiadu, miałyby odpowiednie kompetencje, żeby ingerować w jego finanse? Janson pamiętał, że jego odejściu ze służby towarzyszyła niezdrowa atmosfera. Z jego wiedzą o nadal istniejących siatkach i znajomością procedur niewątpliwie stanowił potencjalne zagrożenie.

Czy to było możliwe?

W jaki sposób uknuto spisek? Czy szybko myślący taktyk wykorzystał po prostu nadarzającą się wielką szansę, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu? Pozbyć się wścibskiego potentata i oskarżyć o jego śmierć niepokornego byłego agenta? Ale dlaczego w takim razie mieliby przeszkodzić ekstremistom Kagama w realizacji ich ogłoszonego wcześniej planu? Tak byłoby łatwiej, wygodniej: można by obwieścić światu, że fanatyczni mordercy spełnili swoją obietnicę. Tyle tylko, że...

Rozległ się przytłumiony dźwięk staroświeckiego, mosiężnego dzwonka: ktoś czekał przy tylnych drzwiach, prowadzących do poczekalni przed gabinetem dziekana.

Fielding ocknął się z własnych rozmyślań i wstał.

– Wybacz, muszę wyjść na chwilę. Zaraz wracam – powiedział. – Nieszczęsny student. Zupełnie nie w porę, ale trudno.

Janson, pozostawiony sam sobie, zaczął od nowa analizować fakty. Założmy, że Stany Zjednoczone nie robią nic, świat nie robi nic, Novak ginie. Dyplomaci i urzędnicy, z którymi konsultowała się Marta Lang, zwracali uwagę na ryzyko związane z amerykańską interwencją. Z drugiej strony, bierność też niosła ze sobą ryzyko – ryzyko politycznej kompromitacji. Może Novak miał wielu potencjalnych wrogów, jak twierdził Fielding, ale też cieszył się powszechną sympatią. Gdyby zginął, rzesze ludzi zastanawiałyby się, dlaczego Stany Zjednoczone odmówiły pomocy temu świeckiemu świętemu, gdy znalazł się w krytycznej sytuacji. Fundacja Wolności mogłaby dodatkowo nagłośnić sprawę, ostro potępiając rząd amerykański za to, że nie zaofiarował im żadnego wsparcia. Łatwo było sobie wyobrazić konsekwencje: serie przesłuchań w Kongresie, reportaże telewizyjne, publikacje prasowe. Słowa z przeszłości znów rozbrzmiałyby echem w całym kraju: „Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek nic nie robił”. Narastające oburzenie, zrujnowane kariery. Bezpieczna w założeniu ścieżka, najeżona odłamkami rozbitego szkła.

A jeśli istniało inne wytłumaczenie?

Fundacja Wolności, jak zwykle działając w pojedynkę, sama organizuje międzynarodową drużynę komandosów, którzy mają podjąć zuchwałą próbę uwolnienia zakładnika. Jeśli coś pójdzie nie tak, sami sobie będą winni. Urzędnicy średniego szczebla w Departamencie Stanu ujawniają sprawę zaufanym dziennikarzom, a ci następnie cytują ich jako „nieujawnione źródła”. *Współpracownicy Novaka z miejsca odrzucili naszą ofertę pomocy. Być może nie chcieli narażać na szwank reputacji szefa jako człowieka niezależnego. Podsekretarz stanu jest absolutnie zdruzgotany ostatnimi wydarzeniami,*

podobnie jak my wszyscy. Ale jak mamy pomagać ludziom, którzy kategorycznie odmawiają przyjęcia pomocy? Czy to z ich strony arogancja? Niewykluczone. W końcu od początku była wyróżnikiem działań Fundacji Wolności. Dobrze poinformowani reporterzy z całego świata – z „New York Timesa”, „Washington Post”, agencyjnych serwisów prasowych – nadsyłają kolejne depesze, pełne wiadomości z pierwszej ręki. Wiemy z dobrze poinformowanych źródeł, że wzgardzono propozycją pomocy...

Myśli galopowały mu w głowie. Czy taki scenariusz był jedynie wytworem jego wyobraźni? Nie miał pojęcia, nie mógł wiedzieć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Ale rozumiał, że nie powinien go wykluczać.

„Zaraz” Fieldinga przeciągnęło się do trzech minut, a kiedy wrócił i cicho zamknął za sobą drzwi, wyglądał jakoś dziwnie.

– Wspomniany wcześniej student – powiedział nieco piskliwym tonem. – Hardy Hal, tak go nazywam. Próbuje rozwiązać paradoks Condorceta. Nie potrafię go przekonać, że paradoksy nie są po to, żeby je rozwiązywać.

Jansonowi ciarki przebiegły po plecach. Dziekan zachowywał się inaczej niż wcześniej. Przemawiał oschłym tonem i wyraźnie drżały mu ręce. Coś najwyraźniej głęboko go poruszyło.

Podszedł do mównicy, na której leżał gruby słownik. Nie byle jaki słownik – wydany w 1759 roku pierwszy egzemplarz słownika Samuela Johnsona z ozdobnymi, złotymi literkami A-G na grzbiecie. Paul pamiętał tę księgę jeszcze z czasów studenckich.

– Sprawdzę tylko jedną rzecz – rzucił Fielding. Ale Janson usłyszał w jego głosie napięcie. I nie chodziło o żalobę, poczucie straty. Raczej niepokój, trwogę.

Skąd to drzenie, szorstki głos? I coś jeszcze.

Angus Fielding unikał jego spojrzenia. Było to dosyć typowe dla większości ludzi, ale nigdy dla niego. Profesor zawsze patrzył rozmówcy prosto w oczy. Paul odruchowo sięgnął ręką za siebie.

Tymczasem Fielding, odwrócony do niego tyłem, otworzył słownik. Janson patrzył na niego jak zahipnotyzowany.

Dziekan Trinity College obrócił się szybko z powrotem. W drżącej dłoni trzymał mały pistolet. Za jego plecami Janson dostrzegł otwór wycięty w welinowych stronicach. Najwyraźniej profesor ukrywał tam broń. Broń, z której teraz celował w Jansona.

– Po co tu przyszedłeś? – spytał, patrząc mu wreszcie prosto w oczy.

Paul dostrzegł w jego spojrzeniu żądzę mordu i zamarł.

– Novak był dobrym człowiekiem – powiedział Fielding drżącym głosem, jakby przemawiał z otchłani czasu. – Być może wielkim człowiekiem. Właśnie się dowiedziałem, że go zamordowałeś!

Rozdział 13

Starzejący się profesor na chwilę spuścił wzrok. Z trudem oddychał. Janson też trzymał w dłoni broń – broń, którą płynnym ruchem wydobył z kabury na plecach, gdy jego podświadomość zarejestrowała coś, co do świadomości docierało z trudem.

Janson napiął kurek. Przez kilka długich sekund stali naprzeciw siebie w milczeniu.

Ktokolwiek złożył wizytę Fieldingowi, z pewnością nie był to nieszczęsny student historii gospodarczej.

– Od „A” do „G” – mruknął Janson. – Bardzo a propos. „A” jak amunicja, „G” jak gnat. Lepiej odłóż ten eksponat. Nie jest ci z nim do twarzy.

Profesor prychnął.

– Mnie też zabijesz?

– Och, na litość boską, Angus! Chyba nie chcesz powiedzieć, że twój błyskotliwy umysł nagle cię zawodzi. Przecież to nie ma sensu!

– Pieprzysz! Przysłali cię tutaj. Jesteś zdrajcą. Chciałeś się pozbyć wszystkich, którzy dość dobrze cię znali. „Maszyna do zabijania”, tak o tobie mówili. Homerycki epitet, z upodobaniem cytowany przez twoich mocodawców. Owszem, kontaktowałem się z moimi amerykańskimi odpowiednikami. Ale dotąd nigdy nie dawałem im wiary. Twoja przebiegłość doprawdy wzbudza podziw. Stary wyjadacz z ciebie. Naprawdę dobrze udawałeś żal. Dałem się nabrać.

I nawet się tego nie wstydzę.

– Chciałem się tylko dowiedzieć...

– Jak namierzyć współpracowników Novaka? Żeby ich też zabić! – Profesor był wzburzony. – „Wąskie grono”, tak ich nazwałeś. A gdybyś zdobył potrzebne informacje, mógłbyś mieć pewność, że misja Petera na tej planecie dobiegła końca. – Uśmiechnął się zimnym, straszliwym uśmiechem, ukazując przebarwione, nierówne zęby. – Powinienem był się domyślić twoich zamiarów, kiedy spytałeś, kto to są „oni”. Przecież właśnie dla nich pracujesz.

– Przed chwilą z kimś się widziałeś. Z kim? – Janson poczerwieniał ze złości. Nie posiadał się ze zdumienia i nie spuszczał wzroku z małego pistoletu dziekana – Webleya kalibru.22, najmniejszej i najłatwiejszej do ukrycia broni, jaką posługiwali się brytyjscy agenci wywiadu w latach sześćdziesiątych. – Z kim, do cholery?!

– Chciałbyś wiedzieć, co? Żeby dopisać kolejne nazwisko do swojej krwawej listy!

– Czy ty się słyszysz, Angus? To jakiś obłąd! Czemu miałbym...?

– To wasza taktyka, prawda? Zawsze znajdzie się luźna nitka, którą trzeba nawlec. Albo obciąć.

– Do diabła, Angus. Przecież mnie znasz!

– Czyżby? – Profesor i jego dawny uczeń wciąż do siebie mierzyli. – Czy ktokolwiek z nas naprawdę kiedyś cię poznał?

Fielding przemawiał afektowanym tonem, pełnym lęku i odrazy. Nie udawał. Był święcie przekonany, że Janson jest zdrajcą. Śmiertelnie niebezpiecznym.

A Janson nie miał nic na swoją obronę.

W końcu jak wyglądały fakty?

To on był świadkiem tego, co się stało. To on kierował operacją,

która doprowadziła do śmierci Novaka. Na jego konto wpłynęło kilkanaście milionów dolarów – i nie potrafił tego wyjaśnić. Za śmierć Novaka z pewnością odpowiadały potężne siły. Czy było nie do pomyślenia – czy nie było wręcz prawdopodobne – że powierzą zadanie komuś takiemu jak Janson, rozczarowanemu eksagentowi o ponadprzeciętnych zdolnościach?

Janson potrafił sobie wyobrazić swój profil psychologiczny stworzony przez eksperta. Okrutne dzieciństwo chłopca zdradzonego przez ojca. Jak głęboko zapadło mu w pamięć? Czy te emocje mogły rozbudzić się na nowo? Jego mocodawcy nigdy nie mówili o tym wprost, ale potrafił czytać w ich oczach. Bez przerwy poddawano go testom na osobowość: test Myers-Briggs, test apercpcji tematycznej, profil osobowości Aristosa – wszystkie powinny wykazać rysy na jego psychice. „Przemoc to coś, w czym jesteś bardzo, bardzo, bardzo dobry”, orzekł Derek Collins lodowatym tonem. Dlatego Janson stał się nieoceniony dla swoich mocodawców, i także dlatego główni stratedzy traktowali go z wielką rezerwą. Dopóki zwalczał wrogów niczym sprawne działo artyleryjskie, był darem niebios. Ale gdyby miał się zwrócić przeciw dawnym szkoleniowcom, którzy się nim posłużyli, mógł się okazać ich nemezis.

Wróciło do niego nieuchwytnie wspomnienie sprzed dziesięciu lat. „Janson jest jak wściekły pies, który zerwał się ze smyczy. Trzeba go uśpić”. Wręczono mu akta: nazwiska, możliwe ruchy, lista ograniczeń. Zapamiętać i spalić. Mieli zbyt dużo do stracenia, żeby bawić się w sąd wojskowy czy „postępowanie dyscyplinarne”. Agent Janson pozbawił życia kilku dobrych ludzi, kilku dawnych kolegów i towarzyszy. Dostanie odprawę w postaci pocisku małego kalibru wystrzelonego w tył głowy. Ciało zostanie znalezione w bagażniku

samochoodu należącego do rosyjskiego bossa mafijnego, który też makabrycznie skończył. Świat dowie się – o ile w ogóle kogoś to obejdzie – że ofiarą stał się przebywający w Moskwie amerykański biznesmen próbujący przechytrzyć kontrahentów, a ci w rewanżu wystawili mu za to słony rachunek.

Wściekłego psa, który zerwał się ze smyczy, trzeba unieszkodliwić: rutynowe działanie. Janson doskonale zdawał sobie z tego sprawę – sam parokrotnie otrzymał zlecenie wykonania egzekucji.

– Nie potrafię odwieść cię od twoich podejrzeń, Angus – powiedział, starannie dobierając słowa. – Nie wiem, kto się z tobą skontaktował, więc trudno mi ocenić wiarygodność tego źródła. Zdumiewające, jak błyskawicznie ten ktoś zdołał przekazać ci wiadomość. Zdumiewające, że wystarczyło z jego strony kilka słów zapewnienia, żebyś skierował broń przeciw człowiekowi, którego znasz od lat, protegowanemu i przyjacielowi.

– Podobnie jak Madame de Stael, jesteś „nieznośnie poprawny”. Bardziej nieznośny niż poprawny. – Fielding uśmiechnął się blade. – Ale nie próbuj silić się na polemikę. To nie kolokwium.

Janson przyjrzał się uważnie postarzałej twarzy profesora. Miał przed sobą człowieka, który drżał przed podstępny przeciwnikiem – a jednocześnie nie był do końca pewien, czy właściwie ocenia sytuację. Jego wzrok wyrażał wątpliwości. *Całą naszą dotychczasową wiedzę musimy wciąż oceniać na nowo, a jeśli trzeba – odrzucić.* Wciąż celowali do siebie.

– Mówiłeś kiedyś, że dysputy akademickie są tak zaciekle, bo ich uczestnicy nie mają wiele do stracenia. – Jansona ogarnął dziwny spokój przejawiający się w tonie jego głosu. – Cóż, wszystko się zmienia. Sam wiesz, że wielu ludzi chciało mnie zabić. Jedni dla

pieniędzy, inni z uzasadnionych powodów, a w każdym razie zrozumiących. Większość jednak nie miała dobrego powodu. Na wojnie nie zastanawiasz się, po co zabijasz. Ale potem tak. Jeśli kogoś skrzywdzisz, masz nadzieję, że zrobiłeś to nie bez racji. Nie wiem dokładnie, o co tu chodzi, ale jestem pewien, że ktoś cię okłamał. Dlatego trudno mi dłużej się na ciebie wściekać. Boże, Angus, spójrz na siebie. Nie powinieneś tu stać z bronią w ręku. Ani ja. Ktoś sprawił, że zapomnieliśmy, kim jesteśmy. – Pokręcił głową powoli, ze smutkiem. – Chcesz pociągnąć za spust? Lepiej, żebyś miał pewność, że postępujesz słusznie. Masz pewność, Angus? Nie sądzę.

– Nieraz przyjmowałeś błędne założenia.

– Daj spokój, Angus – ciągnął Janson łagodnie. – Co powiedział Oliver Cromwell? „Błagam was w imieniu Chrystusa, byście wzięli pod uwagę, że możecie się mylić” – zacytował cierpko.

– Te słowa zawsze dla mnie brzmiały ironicznie – stwierdził Fielding – zwłaszcza że wypowiedział je człowiek, który, ze szkodą dla swojego kraju, był zasadniczo niezdolny do zwątpienia w siebie.

Janson złożył broń w otwartej dłoni i nie spuszczać wzroku z profesora, wyciągnął ku niemu rękę.

– Jeśli zamierzasz mnie zastrzelić, użyj tego. Ten twój grat może urwać ci palce.

Dłoń Fieldinga drżała coraz mocniej. Zapanowało nieznośne milczenie.

– Weź – nakazał Janson tonem reprimendy.

Dziekan Trinity College czuł się rozdarty. Z jednej strony – wielki filantrop, którego tak bardzo szanował. Z drugiej – dawny uczeń, któremu był tak oddany. Tyle przynajmniej Janson potrafił wyczytać z poszarzałej, pomarszczonej, zbolalej twarzy starego profesora.

– Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą – mruknął w końcu Fielding, opuszczając broń.

Janson nie wiedział, czy tymi słowami profesor pobłogosławił go, czy przeklął.

•••

Czterej mężczyźni i kobieta siedzieli wokół stołu w Centrum Meridian. Ich sekretarki i sekretarze informowali petentów, że szefów nie ma. Fryzjer, recital fortepianowy dziecka, dawno odkładana wizyta u dentysty. Ewentualna inspekcja kalendarzy i notatek służbowych ujawniłaby jedynie zwyczajne, codzienne sprawy osobiste i rodzinne, jakimi czasem muszą się zająć nawet najwyżej postawieni urzędnicy organów wykonawczych. Niewidoczne szczeliny w napiętym harmonogramie stanowiły niszę, w której mogli bezpiecznie omawiać kryzysową sytuację. Program Möbius zmienił świat; jego ujawnienie – gdyby dowiedzieli się o nim ludzie o wrogich zamiarach – przypuszczalnie doprowadziłoby do jego zniszczenia.

– Nie powinniśmy zakładać najgorszego – stwierdziła nienagannie ubrana, czarnoskóra kobieta o okrągłej twarzy i wnikliwym spojrzeniu. Charlotte Ainsley była doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Pierwszy raz, odkąd zaczął się kryzys, uczestniczyła w takim spotkaniu, ale Sanford Hildreth, wicedyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, informował ją o sytuacji na bieżąco.

– Jeszcze tydzień temu powiedziałbym to samo – odezwał się Kazuo Onishi, informatyk.

W sformalizowanym świecie waszyngtońskiej biurokracji ludzie tacy jak przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Narodowego

zajmowali znacznie wyższe szczeble niż spec od komputerów z CIA. Jednak absolutnie tajny charakter programu, w połączeniu z obecnym kryzysem, stworzył małą, sztuczną demokrację, demokrację łodzi ratunkowej. Żadna opinia nie znaczyła więcej tylko dlatego, że wygłosiła ją osoba wyższej rangi. Liczyła się siła perswazji.

– Ach, życie tak nagle się komplikuje... – zaczął Sanford Hildreth.

– Daruj sobie – uciął Douglas Albright, wicedyrektor Agencji Wywiadu Obronnego, opierając na stole grube przedramiona. – Co wiemy? Co mówią najnowsze raporty?

– Zniknął – powiedział mężczyzna z ABN, masując wysokie czoło kciukiem i palcem wskazującym. – Już go mieliśmy, ale się wywinął.

– Niemożliwe. – Wiceszef AWO zmarszczył brwi.

– Nie znacie Jansona – wtrącił Derek Collins, podsekretarz stanu i dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych.

– Na szczęście dla nas, Derek – odparł Albright. – Ten facet to pieprzony golem. Wiecie, co to golem? Moja babcia mi opowiadała. Lalka ulepiona z gliny z pomocą złych duchów, która zmienia się w potwora. Taka żydowska wersja historii o Frankensteinie.

– Golem – powtórzył Collins. – Ciekawe. Faktycznie, mamy do czynienia z golemem, ale z pewnością nie jest nim Janson.

Wzburzeni szefowie siatki szpiegowskiej niespodziewanie umilkli.

– Z całym szacunkiem – odezwał się w końcu Hildreth – uważam, że musimy wrócić do kwestii zasadniczych. Czy istnieje ryzyko ujawnienia programu? Czy należy założyć, że ujawni go Janson?

– Jak w ogóle mogliśmy doprowadzić do tej sytuacji?

– Albright westchnął ciężko.

– Zawsze to samo – stwierdziła Charlotte Ainsley. – Mieliśmy dać się przelecieć, a daliśmy się zerznąć. – Błądziła brązowymi oczami po

twarzach zebranych. – Może coś nam umknęło. Zerknijmy jeszcze raz do jego akt. – Zwróciła się do podsekretarza stanu. – Tylko najważniejsze punkty.

– Paul Elie Janson – przeczytał Collins. Miał na nosie okulary w czarnych plastikowych oprawkach. – Dorastał w Norfolk, w Connecticut. Chodził do szkoły w Kent. Matka, Anna Klima, emigrantka z ówczesnej Czechosłowacji. Tłumaczka literatury, blisko związana z pisarzami opozycyjnymi. Przyjechała z wizytą do kuzynki z New Haven i już nigdy nie wróciła do kraju. Pisała wiersze po czesku i po angielsku, kilka opublikowała w „The New Yorker”. Ojciec, Alec Janson, dyrektor firmy ubezpieczeniowej, wiceprezes spółki Dalkey Group. W 1969 w gorącej wodzie kąpany Paul opuszcza Uniwersytet Michigan, nie ukończywszy studiów, i wstępuje do marynarki. Okazuje się, że ma talent wojskowy i sprawdza się w boju. Przenoszą go do Navy SEALs. Był najmłodszym komandosem w historii jednostki. Przydzielony do kontrwywiadu. Błyskawiczna kariera.

– Chwileczkę – wtrącił mężczyzna z AWO. – Wybitnie uzdolniony. Wychowany w ciepłarnianych warunkach. Jak trafił do Parszywej Dwunastki? To nie pasuje do profilu.

– Całe jego życie nie pasuje do profilu – zareplikował Derek Collins. – Potrzebujecie opinii psychiatrów? Może buntował się przeciw ojcu? Nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko. Może nasłuchiwał się opowieści o czeskim wujku, bohaterze ruchu oporu likwidującym nazistów w lasach i wąwozach Szumawy? Tata też nie był takim znowu palantem. W czasie drugiej wojny światowej stary Alec służył w piechocie morskiej. *Semper fidelis*. Wojował, zanim został biznesmenem. Powiedzmy, że Paul, chociaż lalusz z dobrego domu,

odziedziczył po nim zdolności. Mówią, że bitwę o Waterloo wygrało Eton. Czy to też „nie pasuje do profilu”?

Analitik z AWO lekko poczerwieniał na twarzy.

– Staram się jedynie rozpracować człowieka, który wymknął się wszechobecnej i wszechmocnej CIA, jakby był niewidzialny.

– Dostaliśmy ostrzeżenie w ostatniej chwili. Decyzję podjęto pod wpływem impulsu. Nasi chłopcy musieli się zmobilizować w ciągu kilku minut – powiedział Clayton Ackerley z CIA. Miał rzadkie, rozwichrzone rude włosy, łzawiące niebieskie oczy i wyblakłą opaleniznę. – Zważywszy na okoliczności, spisali się bardzo dobrze.

– Przyjdzie czas na wzajemne oskarżenia – ucięła Charlotte Ainsley, spoglądając znad okularów karcącym wzrokiem.

– Teraz nie pora na to. Mów dalej, Derek. Nadal nie bardzo rozumiem.

– Służył w Czwartej Drużynie Navy SEALs. Już podczas pierwszej akcji zdobył Krzyż Marynarki – rzekł Collins. Jego wzrok padł na pożółkłą kartkę. Podał ją innym.

Uwagi urzędowe odnośnie do przydatności żołnierza 20 listopada 1970

Porucznik Janson z połączonych oddziałów Navy SEALs i Oddziału Specjalnego A-8 wykazał się nadzwyczajnymi zdolnościami – wnikliwą oceną sytuacji, wiedzą taktyczną, kreatywnością i wyobraźnią, dzięki czemu potrafił błyskawicznie przeprowadzić atak na siły wroga, jednocześnie ryzykując minimalne straty. Porucznik Janson niezwykle łatwo przystosowuje się do nowych okoliczności, reaguje wyjątkowo szybko na zmieniającą się sytuację i dobrze znosi ciężką próbę wojennej rzeczywistości. Jako oficer wykazuje cechy przywódcze, wzbudza powszechny szacunek.

Kapitan Harold Brady, oficer oceniający

Porucznik Janson wykazuje się bardzo wysokim potencjałem. W sytuacjach zagrożenia jego

wyszkolenie bojowe i umiejętność improwizacji okazują się wręcz wybitne. Osobiście będę pilnował, by jego ponadprzeciętne zdolności zostały wykorzystane.

Komandor podporucznik [REDACTED] oficer zatwierdzający

– Takich opinii są setki. Facet bierze udział w jednej akcji po drugiej, bez przerwy. A potem długo nic. Trafił do obozu jenieckiego. Wiosną 1971 roku schwytyany przez Wietkong. Półtora roku w niewoli, w koszmarnych warunkach.

– A dokładnie? – spytała Charlotte Ainsley.

– Torturowany. Wielokrotnie. Głodzony. Przetrzymywany w klatce. Nie w celi, ale w klatce, w dużej klatce, jak dla ptaków, wysokiej na niecałe dwa metry, szerokiej na metr. Kiedy go znaleźliśmy, ważył trzydzieści osiem kilo. Był tak chudy, że któregoś dnia kajdanki zsunęły mu się z rąk. Trzy razy próbował uciec. W końcu mu się udało.

– Czy traktowano w ten sposób innych jeńców?

– Nie – odparł podsekretarz stanu. – Ale żaden tak uparcie nie próbował ucieczki. Wiedzieli, że jest z kontrwywiadu, więc za wszelką cenę starali się wydobyć od niego informacje. Wściekali się, że nie mogą nic wskórać. Miał szczęście, że w ogóle przeżył. Miał cholerne szczęście.

– Ale jednak dał się złapać – zauważyła Ainsley.

– No właśnie, tu sprawy się komplikują. Janson sądził, że go wrobiono. Że Wietkong wiedział o akcji i urządził na niego zasadzkę.

– Kto miałby im w tym pomóc? – spytała kobieta.

– Jego dowódca.

– Faktycznie, po tym incydencie wyrażał się o protegowanym nieco mniej entuzjastycznie.

Wydobyła z akt ostatnią kartkę i przeczytała na głos:

Wprawdzie porucznik Janson nadal wykazuje pełen profesjonalizm, jednak zmienił się jego stosunek do przywództwa. Zarówno na ćwiczeniach, jak i podczas służby nie wymaga od podwładnych wystarczających umiejętności i przymyka oko na oczywiste niedociągnięcia. Bardziej zajmuje go dobro podwładnych niż ich zdolność osiągnięcia celów misji. Lojalność wobec swoich ludzi przestania mu szerszą wizję.

– Tu chodzi o coś więcej, niż na pozór się wydaje – powiedział Collins. – Nic dziwnego, że ochłodły stosunki między nimi.

– Nie rozumiem?

– Janson zagroził, że na niego doniesie. Chciał go oskarżyć o zbrodnie wojenne.

– Wybaczcie, powinnam była o tym wiedzieć. Ale o co poszło? Wielki wojownik załamał się psychicznie?

– Nie, podejrzenia Jansona okazały się trafne. Kiedy wrócił do kraju i wyszedł ze szpitala, zrobił z tego aferę. W ramach swoich szeregów, oczywiście. Chciał, żeby jego dowódca stanął przed sądem wojskowym.

– I?

Podsekretarz stanu spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę nie słyszeliście o tym?

– Nie ma sensu tego drążyć. Mów, co masz do powiedzenia.

– Nie wiesz, kto był dowódcą Jansona?

Kobieta pokręciła głową, wpatrując się w niego skupionym wzrokiem.

– Niejaki Alan Demarest. A może powinienem powiedzieć: komandor podporucznik Demarest.

– „Teraz widzę, powiedział ślepiec” – burknęła z południowym akcentem, jak zawsze w chwilach wielkiego stresu. – Dotarliśmy do źródeł Nilu.

– Janson dostaje stypendium rządowe, studiuje w Cambridge. Ostatecznie jednak wraca na pokład: ląduje w Wydziale Operacji Konsularnych – zakończył podsekretarz jakby mimochodem.

– Czyli zostaje twoim podwładnym.

– Tak. W pewnym sensie. – Ton głosu Collinsa zdradzał więcej niż słowa, ale wszyscy rozumieli, o co chodzi: Janson nie był najbardziej subordynowanym z podwładnych.

– Zaraz, nie tak prędko – powstrzymała ich Ainsley. – W obozie jenieckim w Wietnamie musiał przeżyć piekło. Może po tym wszystkim już nigdy nie doszedł do siebie.

– Jeśli chodzi o kondycję fizyczną, stał się silniejszy niż kiedykolwiek przedtem...

– Nie chodzi mi o sprawność fizyczną czy umysłową. Ale takie doświadczenie zostawia niezatarte ślady na psychice. Rysy, pęknięcia, słabe punkty. Jak na ceramicznym naczyniu. Coś, czego nie widać, dopóki nie wydarzy się kolejny dramat. Wtedy człowiek pęka, łamie się, rozbija na kawałki. Z dobrego staje się zły.

Podsekretarz stanu sceptycznie uniósł brwi.

– Rozumiem, że opieramy się na przypuszczeniach – ciągnęła Ainsley bez zająknięcia. – Ale czy stać nas na popełnianie błędów? Owszem, nie znamy wszystkich faktów. Tu jednak zgadzam się z Dougiem. Pytanie brzmi: czy Janson pracuje dla nas, czy przeciw nam? Jedno wiemy na pewno: nie pracuje dla nas.

– To prawda – wtrącił Collins. – Mimo wszystko...

– Na „mimo wszystko” przyjdzie jeszcze czas. Teraz to niestosowna pora.

– Janson jest jak zmienna, której nie potrafimy kontrolować – stwierdził Albright. – W i tak skomplikowanej i zagmatwanej

macierzy prawdopodobieństwa. Dla optymalizacji celów należy tę zmienną usunąć.

– Zmienna! – obruszył się Collins. – Przypadkiem ten człowiek przez trzydzieści lat służył krajowi. Zabawne. W naszym świecie im wznioślejsze słowa, tym niższe pobudki.

– Daj spokój, Derek. Nikt nie ma brudniejszych rąk od ciebie. Z wyjątkiem twojego Jansona. Twojej cholernej maszyny do zabijania. – Mężczyzna z AWO rzucił mu gniewne spojrzenie. – Trzeba odplacić mu pięknym za nadobne. Czy wyrażam się jasno?

Podsekretarz stanu poprawił na nosie czarne, plastikowe okulary i odwzajemnił wrogie spojrzenie. Mimo to było jasne, skąd wieje wiatr.

– Nie będzie łatwo go sprzątnąć – podkreślił agent z CIA. Nadal boleśnie odczuwał swoją porażkę w Atenach. – W walce wręcz nie ma sobie równych. Może wyrządzić poważne szkody.

– Cały wywiad słyszał doniesienia o wydarzeniach na Anurze, aczkolwiek niepotwierdzone – powiedział Collins. – Zarówno wasi agenci z pierwszej linii, jak i moi. – Spojrzał na mężczyznę z CIA, a potem na Albrighta. – Może wasi kowboje spróbują jeszcze raz.

– Znasz zasady, Derek – stwierdziła Ainsley. – Każdy sprząta po sobie. Nie chcę powtórki z Aten. Nikt nie zna jego metod lepiej niż kadra, która go wyszkoliła. Twój szefowie z pewnością są przygotowani na różne ewentualności.

– Jasne – zgodził się Derek. – Tyle tylko, że nikt nie ma pojęcia, o co tu chodzi.

– To zupełnie tak jak my.

– Rozumiem.

Decyzja została podjęta, narada zakończona.

– Wyślemy specjalny zespół świetnie wyszkolonych snajperów, którzy załatwią sprawę dyskretnie. Mają doskonałe wyniki. Nikt nie da im rady. – Zamrugał szarymi oczami, myśląc o nieprzerwanej serii sukcesów wspomnianej drużyny. – Dotąd nikt nie dał rady – dodał cicho.

– Czyli rozkaz likwidacji?

– Obecne rozkazy brzmią: namierzyć, obserwować, czekać.

– Wykonać rozkaz likwidacji. To nasza wspólna decyzja. Pana Jansona nie da się uratować. Macie zielone światło.

– Nie będę się spierał. Ale ludzie powinni zdawać sobie sprawę z ryzyka – nie ustępował podsekretarz stanu.

– I kto to mówi? – spytał ironicznie analityk z AWO. – Sam stworzyłeś to cholerne ryzyko!

– Wszyscy działamy w warunkach stresu – wtrącił Hildreth dla załagodzenia sytuacji.

Analityk skrzyżował ramiona na piersi. Znów spojrzał nienawistnie na podsekretarza stanu Dereka Collinsa.

– Ty go stworzyłeś – oznajmił. – Dla dobra nas wszystkich lepiej go zniszcz.

Rozdział 14

Na londyńskiej Jermyn Street roiło się od ludzi, których gonił czas lub wręcz przeciwnie – mieli go w nadmiarze. Zastępca dyrektora banku NatWest gnał co sił w nogach na służbowy lunch z młodszym wiceprezesem Międzynarodowego Funduszu Powierniczego. Wiedział, że nie powinien być odbierać ostatniego telefonu. Jeśli się spóźni, będzie mógł pożegnać się z pracą... Muskularny przedstawiciel handlowy firmy Whitehall-Robins spieszył się na spotkanie z pewną kobietą, którą poderwał w barze zeszłego wieczoru. Był przygotowany na rozczarowanie. Światło dnia zwykle dodawało dobrych dziesięć lat zdzirom wyglądającym tak zmysłowo i apetycznie w półmroku bankietowych sal. Ale chłop przecież musiał jakoś sobie radzić. Może wstąpi jeszcze do kiosku. Jeśli zjawi się punktualnie, gotowa pomyśleć, że mu zależy... Zanedbywana żona amerykańskiego biznesmena, pracoholika, ścisła kurczowo trzy torby z drogimi, choć mało eleganckimi ciuchami, których najpewniej nigdy nie włożyłaby na siebie w Stanach. Ale płacąc platynową kartą męża, w pewnym stopniu dała upust złości, że ją tu ściągnął. Dopiero za siedem godzin mieli razem obejrzeć *Pułapkę na myszy* – już trzeci raz w tym tygodniu... Główny rzeczoznawca westminsterskiego urzędu skarbowego przepychał się w tłumie pieszych, spoglądając na zegarek: wiadomo było, że te głupki z Lloyda nie traktują poważnie spóźniających...

Paul Janson przemierzał Jermyn Street sprężystym krokiem, pośród klientów oglądających wystawy, biurokratów i biznesmenów. W granatowym garniturze i krawacie w kropki sprawiał wrażenie zmęczonego, ale opanowanego. Pasował tu – komunikował to całą twarzą i ciałem.

Spoglądał mimochodem na górujące nad ulicą szyldy i neony, owalne i prostokątne. Stare firmy z tradycją – Floris, Hilditch&Key, Irwin – konkurowały z nowoczesnymi, jak Ermenegildo Zegna. Ulicą w ślimaczym tempie przesuwały się piętrowe czerwone autobusy, czarne taksówki i samochody dostawcze – istne reklamy na kółkach: „Integron: globalne rozwiązania”. „Vodafone: witaj w świecie mobilnej społeczności”. Skręcił w lewo w St. James’s Street, minął Brookesa i White’a, i skierował się na Pall Mall. Nie zatrzymał się jednak tam, dokąd zmierzał – poszedł dalej, czujnie lustrując wzrokiem okolice. Znajome widoki: Klub Marynarki, pieśczośliwie zwany „Ścierką”, Klub Reformatorski, Królewski Automobilklub. Na Waterloo Square powitały go te same, stare postaci z brązu. Przy cokole pomnika Edwarda VII na koniu stały zaparkowane motocykle – niezamierzony komentarz na temat zmieniających się sposobów podróżowania. John lord Lawrence, namiestnik Indii w czasach wiktoriańskich, patrzył dumnie przed siebie, jak ktoś, kto wie, że był bardzo dobrze znany tym nielicznym, którzy go znali. W wielkopańskiej pozie siedział sir John Fox Burgoyne, feldmarszałek, bohater wojen o niepodległość Hiszpanii i krymskiej. „Ta wojna jest niewiarygodnie popularna”, stwierdziła królowa Wiktoria, a jej powiedzenie stało się później synonimem bezsensownego cierpienia. Bohater wojny krymskiej? Wojny, która wybuchła z powodu nieudolności dyplomatów i trwała z powodu

nieudolności wojska?

Paul powędrował wzrokiem do celu swej wyprawy: klubu „Ateneum” na rogu Waterloo Place. Kremowy budynek z dużych kamiennych bloków, z wysokim kolumnowym portykiem i wzorowanym na Partenonie fryzem, stanowił typowy przykład architektury neoklasycystycznej z początku dziewiętnastego wieku. Z boku zamontowana była kamera monitoringu. Znad frontowych filarów spoglądała bogini Atena, cała w złocie. Bogini mądrości – niczego na świecie nie brakowało tak bardzo. Janson zawrócił i znów ruszył przed siebie, tym razem w przeciwnym kierunku, mijając po drodze czerwoną furgonetkę poczty brytyjskiej, konsulat Papui-Nowej Gwinei, biurowiec. W oddali, nad niewidocznym placem budowy, majaczył czerwonopomarańczowy dźwig.

Wciąż wracał myślami do wydarzeń w Trinity College.

O mały włos wpadłby w zasadzkę. Nie dlatego, że ktoś go śledził – to raczej profesor znalazł się pod stałą obserwacją. Mimo wszystko zasięg siatki i szybkość reakcji zrobiły na nim wrażenie. Nic już nie było oczywiste.

Agenci mogli czaić się wszędzie. Musiał rejestrować każdy drobiazg, na który normalnie nie zwróciłby uwagi. Ciężarówki, zaparkowane w dziwnych miejscach. Samochody jadące zbyt wolno lub zbyt szybko. Wzrok przechodnia, utkwiony w nim zbyt długo lub odwrócony zbyt prędko. Sprzęt budowlany w miejscu, gdzie nie było placu budowy. Nic nie powinno teraz umknąć jego uwadze.

Czy mógł czuć się bezpiecznie? Nie miał rozstrzygających dowodów. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy czerwona furgonetka faktycznie należała do poczty. Ale instynkt podpowiadał mu, że zdoła wejść do klubu niezauważony. Sam nie wybrałby tego miejsca na

spotkanie. Jednak w obecnej sytuacji warto było umówić się z Grigorijem Bermanem – na swoich warunkach. Parki miejskie zapewniały swobodę ruchów – dlatego stanowiły popularne miejsca spotkań – jednakże tę swobodę mogli wykorzystać także agenci. W staroświeckim klubie dla dżentelmenów trudno byłoby ukryć nieznaną twarz. Janson miał wejść do klubu jako gość członka. Wątpił, czy ktoś z ekipy prowadzącej inwigilację mógłby się dostać do środka.

W budce przy drzwiach frontowych siedział umundurowany strażnik. Janson przedstawił się i wymienił nazwisko członka klubu, z którym był umówiony. Następnie przeszedł do wyłożonego marmurem foyer, otoczonego wielkimi, połączanymi kolumnami w stylu korynckim. Po prawej stronie znajdowała się palarnia, wypełniona małymi, okrągłymi stolikami, nad którymi zwisały żyrandole. Po lewej – duża sala jadalniana. Na wprost, za morzem czerwono-złotej wykładziny, szerokie marmurowe schody prowadziły do biblioteki, gdzie można było się napić kawy i przejrzeć czasopisma z całego świata. Janson usiadł przy jednej z kolumn na obitej skórą ławie, pod portretami Matthew Arnolda i sir Humphry’ego Davy’ego.

Klub Ateneum. Miejsce spotkań elity, politycznej i kulturalnej.

Niezwykłe miejsce na spotkanie z bardzo niezwykłym człowiekiem.

Grigorij Berman, nawet jeśli zapoznał się pobieżnie z moralnością, wolał trzymać ją na dystans. Jako księgowy w byłym Związku Radzieckim zbił fortunę, pracując dla mafii. Przynajmniej w tym czasie zajmował się skomplikowanym procesem prania pieniędzy. Na przestrzeni lat zorganizował gęstą siatkę międzynarodowych korporacji, które „przerabiały” nielegalne zyski mafii, dzięki czemu można je było ukryć przed władzami. Kilka lat wcześniej Janson

rozmyślnie pomógł mu wymknąć się z obławy, zorganizowanej przez Wydział Operacji Konsularnych. Zatrzymano wówczas kilkunastu międzynarodowych przestępców, ale dzięki Jansonowi – co rozwścieczyło niektórych jego kolegów – spec od finansów zwiął.

Janson bynajmniej nie kierował się kaprysem, lecz rozsądkiem. Skoro Berman wiedział, że oficer wywiadu pozwolił mu uciec, był mu coś winien. Tym samym Rosjanin przestał być przeciwnikiem, a stał się cennym nabytkiem. Jansonowi mógł się przydać ktoś, kto rozumiał zawilóści prania brudnych pieniędzy na skalę międzynarodową. Co więcej, Berman w swoich manipulacjach wykazywał się niezwykłym sprytem. Władzom byłoby trudno zgromadzić przeciw niemu dowody. A jeśli i tak miał się wywinąć, lepiej, żeby przy okazji pozostał dłużnikiem Jansona.

I coś jeszcze: Paul przejrzał setki przechwyconych informacji, poznał nazwiska głównych architektów całego projektu, w większości bezwzględnych, groźnych bandytów. Berman rozmyślnie izolował się od szczegółów. Był niefrasobliwie amoralny, ale nie z gruntu zły. Nie miał nic przeciwko okradaniu ludzi z pieniędzy, lecz potrafił wspaniałomyślnie dzielić się swoimi. Janson w pewnym momencie najzwyczajniej polubił tego prowadzącego światowe życie łajdaka.

– Paulie! – zagrzemiał tubalnym głosem niedźwiedziowaty mężczyzna, rozpościerając szeroko ramiona.

Janson wstał, na chwilę znikając w objęciach potężnego Rosjanina. Berman w ogóle nie pasował do stereotypu księgowego: nad wyraz emocjonalny, łączył namiętność do przedmiotów z pasją życia.

– Pozwól, że cię wyściskam – powiedział, całując Jansona w oba policzki. Typowy Berman: niezależnie od okoliczności, zamiast chłodnej rezerwy człowieka pod presją demonstrował butę

ekspansywnego bon vivanta.

Miał na sobie szyty na miarę, prążkowany garnitur z kaszmiru i delikatnie pachniał wodą Geo F. Trumpers, ponoć szczególnie lubianą przez samego księcia Walii. W sposób nieco karykaturalny starał się być w każdym calu angielskim dżentelmenem i trzeba przyznać, że udawało mu się całkiem nieźle. W rozmowie posługiwał się mnóstwem typowo brytyjskich idiomów, zdarzały mu się zabawne malapropizmy i – jak to określał Janson – „bermanizmy”. Ale chociaż był nieco komiczny, Janson darzył go szczególną sympatią. Pełen sprzeczności Berman potrafił być wręcz ujmujący – jednocześnie chytry i prostoduszny, zawsze miał na oku nowy przekręt i z entuzjazmem dzielił się swoimi pomysłami.

– Wyglądasz bardzo elegancko i... jesteś chyba dobrze odżywiony – stwierdził Janson.

Grigorij poklepał się po wydatnym brzuchu.

– W środku wyglądam mizernie. Chodźmy coś zjeść. Migiem!

Objął Jansona ramieniem i poprowadził do sali jadalnianej.

Kelnerzy w wytwornych strojach powitali tryskającego energią Rosjanina radosnymi uśmiechami, kłaniając się w pas i prowadząc go wprost do stolika. Chociaż regulamin klubu zabraniał dawania napiwków, było jasne, że Berman miał sposób, żeby okazać im swoją wspaniałomyślność.

– Tutejszy łosoś gotowany na parze jest najlepszy na świecie – stwierdził Berman, opadając na wyściełane krzesło. Często mawiał, że coś jest najlepsze na świecie, z upodobaniem sięgał po superlatywy. – Ale nie, zamów homara *a la nage*. To strzał w dziesiątkę. Polecam też szkocką kuropatwę. Albo jedno i drugie. Jesteś strasznie chudy. Jak Wioletta w trzecim akcie *Traviaty*. Trzeba

cię trochę utuczyć.

Skinieniem głowy przywołał kelnera od win.

– To Puligny-Montrachet, które piłem wczoraj... Poprosimy o butelkę, Freddy. – Zwrócił się do Jansona: – Najlepsze. Sam się przekonasz.

– Przyznam, że jestem nieco zaskoczony. Ulokowałeś się wygodnie w samym sercu brytyjskiego establishmentu.

– Taki drań jak ja, prawda? Niemożliwe, żeby przyjęli mnie do klubu! – Zarechotał, trzęsąc brzuchem, po czym dodał ściszym głosem: – Przy okazji, to niezła historia. Jakies dwa lata temu zaprosił mnie do siebie lord Sherwyn. Akurat grałem w bilard z pewnym miłym dżentelmenem...

Berman często udzielał pożyczek ludziom w potrzebie, zwłaszcza prowadzącym rozpustny tryb życia potomkom czcigodnego baronostwa. Ludziom, zdaniem Bermana, wpływowym. Z jego punktu widzenia były to rozsądne inwestycje.

– Opowiesz mi o tym następnym razem – powiedział Janson bez emocji, ale znacząco. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie zacząć bębnić palcami po stole.

Ale Rosjanin nie dał się zniechęcić.

– Chyba za dużo wypił. Ogrywał mnie na duże sumy, więc podwoiłem stawkę...

Paul pokiwał głową. Znał ten scenariusz. Lekko wstawiony brytyjski arystokrata ogrywa na wielkie sumy pozornie schlanego w trupa Rosjanina z nieograniczonym zapasem gotówki. Spitego Rosjanina przez cały wieczór sprawiającego wrażenie, że nie wie, którym końcem kija uderza w bile. Ostatnia rozgrywka. Brytyjski dżentelmen za chwilę wygra fortunę. Pewnie już marzy, że wykupi sąsiedni

apartament w Kensington. Albo pałacyk na wsi, który od lat wynajmuje wraz z rodziną. Wprost nie wierzy we własne szczęście. Ale przecież nigdy nie wiadomo, prawda? Niechętnie przyjęte zaproszenie do gry – ciągnęła się za nim zła opinia, jednak jego nazwisko nadal otwierało wszystkie drzwi – miało w śmieszny sposób przynieść mu kupę pieniędzy.

Pijany Rosjanin niespodziewanie trzeźwieje. Spokojnie chwyta za kij, niczym koncertmistrz, sięgający po smyczek. Marzenie o fortunie ustępuje widmu bankructwa.

– Ale Paul, ten gość, z którym grałem! Nigdy byś nie zgadł! Guy Baskerton, honorowy członek palestry! – Baskerton był wpływowym prawnikiem, doradcą królowej, przewodniczył rządowej komisji do spraw sztuki. Zadufany w sobie urzędas z wąsem a la David Niven i „znaczącym” spojrzeniem, typowym dla nieco roztargnionych przedstawicieli swojej klasy. Berman po prostu musiał go ograć.

– Zaczynam rozumieć – powiedział Janson głosem bardziej zrelaksowanym, niż sugerowałyby targające nim emocje. Zamierzał poprosić Rosjanina o wielką przysługę. Nie mógł pozwolić sobie na władczy ton. Ani na desperacki. Tamten zaraz by to wykorzystał i zamiast spłacić dług, obciążyłby go kredytem. – Niech zgadnę. To on decyduje, kogo przyjąć do klubu Ateneum.

– Lepiej! Jest przewodniczącym klubu!

– I dlatego wybiera ciebie na członka. Setki tysięcy funtów długu honorowego, którego nie jest w stanie spłacić. – Janson próbował nieco skrócić tę historię. – Co w tym złego? Przecież wspaniałomyślnie darowujesz mu ten dług. Nie posiada się z wdzięczności. Następnego dnia spotykacie się w „Sheekey”...

Janson przez cały czas czujnie obserwował innych gości i personel.

– Grigorij nie chodzić do „Sheekey”. Nie jeść ryba. Tylko pić jak ryba! Nie, spotkaliśmy się w Ivy, to był zbieg okoliczności.

– Jasne. Bo przecież nie przekupiłeś nikogo, żeby wpuścił cię na bankiet. I nie namawiałeś utytułowanych przyjaciół, żeby przyprowadzili na przyjęcie honorowego członka palestry.

Berman podniósł ręce do góry, przykładając do siebie nadgarstki.

– Przejrzałeś mnie, glino!

Uśmiechnął się od ucha do ucha. Cieszył się, gdy ktoś odkrywał jego machinacje, a Janson był w tym nadzwyczaj dobry.

– Grigorij – zaczął Janson poważniejszym tonem. – Przychodzę do ciebie w ważnej sprawie, która, mam nadzieję, zainteresuje cię nieco bardziej.

Rosjanin spojrzał na niego wyczekująco.

– Grigorij zamienia się w słuch – oznajmił, wkładając do ust kęs kurczaka z owocami.

Janson z grubsza opisał mu sytuację: przelew opiewający na szesnaście milionów dolarów, zdeponowany w banku na Kajmanach, bez wiedzy właściciela rachunku, ale zatwierdzony jego elektronicznym podpisem, którego nie powinien znać nikt inny. Sprytne posunięcie. Ale może jednocześnie trop? Czy ktoś, kto dokonał transferu, pozostawił po sobie cyfrowe odciski palców?

Berman wydawał się całkowicie pochłonięty jedzeniem i wtrącał jedynie komentarze natury kulinarnej: risotto okazało się najlepsze na świecie, a tarta z syropem najznakomitsza, spróbuj, sam się przekonasz. Nie rozumiem, czemu angielską kuchnię traktuje się tak niesprawiedliwie!

Jakkolwiek zdawkowo brzmiały jego uwagi, widać było, że opowieść Jansona żywo go zainteresowała. W końcu odłożył widelec.

– Co Grigorij wie o praniu brudnych pieniędzy? – spytał tonem urażonej niewinności, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Czego Grigorij nie wie o praniu brudnych pieniędzy! Ha! To, co wiem, ledwie pomieściłaby Biblioteka Brytyjska. Wam, Amerykanom, wydaje się, że wiecie. Nic nie wiecie. Amerykanie mieszkają w dużych domach, których fundamenty zjadają termyty. W Moskwie mówimy: sytuacja dramatyczna, ale do opanowania. Zdajesz sobie sprawę, ile brudnych pieniędzy co roku trafia do Ameryki i z Ameryki za granicę? Trzysta miliardów. Więcej, niż wynosi PKB większości krajów. Transakcje bankowe przez internet, tak? Jak to sprawdzić? Wiesz, ile codziennie przechodzi przez banki amerykańskie?

– Zgaduję, że mi powiesz.

– Dwa biliony dolarów. To dopiero prawdziwe pieniądze! – Berman wesoło uderzył w stół. – Wszystko idzie przez internet. Gdzie ukryć ziarnko piasku tak, żeby nikt go nie znalazł? Na plaży. Dziesięć lat temu zgarnęliście moich dawnych kumpli. Zimne dranie, *niekulturny*, co dojednego, nie płakałem po nich. Ale co wam to dało? Grigorij Berman założył więcej firm niż amerykański przedsiębiorca Jim Clark!

– Lewych firm, Grigorij. Istniały tylko na papierze.

– Ale dzisiaj tamci ludzie idą o krok dalej. Kupują prawdziwe firmy. Towarzystwa ubezpieczeniowe w Austrii, banki w Rosji, przedsiębiorstwa przewozowe w Chile. Pieniądze wędrują tam i z powrotem, ale czyje, kiedy, skąd, dokąd? Kto je powstrzyma? Wasz rząd? Ministerstwo Finansów? Ma nawet swoje organy ścigania. W pasażu handlowym ze striptizem na przedmieściach Wirginii. – Obfity brzuch Bermana zatrząsł się od śmiechu. – Nazywają ten budynek „Deską sedesową”. Czy ktoś w ogóle traktuje ich serio?

Pamiętasz historię Sun Minga? Przyjeżdża do Ameryki, mówi, że jest stolarzem. Pożycza z Banku Chin sto sześćdziesiąt milionów dolarów. Łatwizna! Drukujesz garść kontraktów importowych, potwierdzenia z agencji, kwity załadunku, licencje eksportowe, i proszę bardzo! Autoryzacja? Owszem. Transfer? Tak! Sun Ming wpłaca pieniądze do banku. Jednemu z urzędników mówi, że gra na giełdzie w Hongkongu. Drugiemu – że sprzedaje filtry do papierosów. Trzeciemu – że tekstylia! Szybko, bezboleśnie. Z Chin do Ameryki, z Ameryki do Australii. Trzeba wtopić się w tłum. Zanurzyć w strumieniu handlowców takich jak ty. Ziarnko piasku na plaży. Amerykanie nigdy go nie złapali. Fiskus ma pilnować pieniędzy, ale nikt im nie daje pieniędzy!? Przecież minister finansów nie chce osłabić pozycji banków! Przez twój kraj codziennie przepływa czterysta tysięcy transferów. Cyfrowe hasła, przekazy z banku do banku. Amerykanie nie złapali Sun Minga. Ale Australijczykom się udało.

– Mniejsza plaża?

– Lepsze komputery. Szukaj wzorów we wzorach. Czegoś nietypowego.

– Dziwnego czy po prostu śmiesznego?

– Jest różnica? – spytał Berman. Podniósł do ust kawałek tarty z syropem i jęknął z rozkoszą. – Tydzień temu byłem w wieży na Canary Wharf. Widziałeś ją kiedyś? Pięćdziesiąt pięter. Najwyższy budynek w Londynie. Praktycznie zrujnował braci Reichman, ale co tam, Grigorij w niego nie inwestował. Więc jestem tam z wizytą u rosyjskiej przyjaciółki, Ludmiły – spodobałaby ci się: ma piersi jak dwie kopuły, niejedna bazylika może się schować. Jesteśmy na czterdziestym którymś piętrze, wyglądam przez okno, przepiękna

perspektywa, i zgadnij, co widzę.

– Banknot unoszący się w powietrzu?

– Motyla – oznajmił Berman z zaskakującą stanowczością. – Czemu akurat motyla? Co robi motyl na wysokości czterdziestego piętra, w środku miasta? Zdumiewające. Nie rosną tam kwiaty. Motyl nie ma tam nic do roboty. A jednak: motyl.

– Dziękuję ci, Grigorij, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Teraz już wszystko jasne.

– Zawsze szukaj motyla. Pośrodku niczego, tam, gdzie nie ma prawa być. Kiedy patrzysz na kaskadę cyfr, spytaj sam siebie: czy nie ma tam motyla? Zawsze go znajdziesz. Trzepocze skrzydłami. Musisz tylko umieć patrzeć.

– Rozumiem – powiedział Janson. – Pomożesz mi?

Berman spojrzał żałośnie na resztki tarty z syropem, po czym się ożywił.

– Zagrasz ze mną w snookera? Niedaleko jest takie miejsce...

– *Niet.*

– Czemu nie?

– Bo oszukujesz.

Rosjanin wesoło wzruszył ramionami.

– Grigorij sądzi, że tak jest ciekawiej. Snooker wymaga wprawy. Oszustwo wymaga wprawy. Czemu nazywamy to oszustwem?

Cały Berman. Janson zmiażdżył go wzrokiem.

– Dobrze już, dobrze! – zawołał Grigorij, podnosząc ręce do góry. – Zabieram cię w moje skromne progi, *da?* Mam w domu superkomputer IBM, RS/6000 SP. Poszukamy motyla.

– Znajdziemy motyla – powiedział Janson łagodnym tonem, ale z wyraźnym naciskiem.

Berman prowadził w Londynie wystawne życie. Dzięki swojemu sprytowi zgromadził fortunę większą niż którykolwiek z jego dawnych mocodawców. Ale gdyby dziesięć lat temu Janson nie pozwolił mu uciec, jego losy mogły potoczyć się całkiem inaczej. Paul nie musiał przypominać mu faktów – Rosjanin doskonale je pamiętał. Nikt lepiej nie rozumiał pojęć długu i kredytu niż ten zażywny eksksięgowy.

Fort Meade, Maryland

Sanford Hildreth jak zwykle się spóźniał. Danny Callahan był jego kierowcą od trzech lat i zdziwiłby się, gdyby szef zjawił się punktualnie.

Callahan należał do małego zespołu szoferów, przydzielonych najważniejszym oficerom wywiadu Stanów Zjednoczonych. Każdego z nich regularnie poddawano rygorystycznej weryfikacji. Żaden nie miał żony ani dzieci. Wszyscy przeszli zaawansowane szkolenie – nie tylko bojowe, także w zakresie bezpieczeństwa i natychmiastowego odwrotu. Dostali wyraźne, jednoznaczne instrukcje: strzec pasażera z narażeniem życia. Pasażerami byli mężczyźni znający wszystkie tajemnice państwowe, od których w dużym stopniu zależały losy kraju.

Czarne, długie limuzyny, jakimi ich wożono, zostały solidnie opancerzone; burty wzmocniono stalowymi płytami, a przyciemniane szyby mogły wytrzymać uderzenie pocisku kalibru.45, wystrzelonego z najbliższej odległości. Opony się samouszczelniały, można je było także w każdej chwili dopompować; ich struktura zapobiegała szybkiemu ulatnianiu się powietrza. Jednak w kwestii bezpieczeństwa pasażera najistotniejszą rolę odgrywał nie samochód, lecz kierowca.

Danny był jednym z trzech szoferów, których zwykle przydzielano wicedyrektorowi Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale Sanford „Sandy” Hildreth nie ukrywał, że preferuje właśnie jego. Danny znał wszystkie skróty. Danny wiedział, kiedy może przekroczyć dozwoloną prędkość. Danny potrafił zawieźć go z Fort Meade do domu dziesięć, piętnaście minut szybciej niż inni. A z punktu widzenia Hildretha dodatkową rekomendacją stanowił zapewne fakt, że Danny został odznaczony na wojnie w Zatoce. Wicedyrektor nigdy nie walczył na froncie, ale darzył szacunkiem tych, którzy walczyli. Rzadko rozmawiali – zazwyczaj oddzielała ich elektrycznie przesuwana nieprzezroczysta, dźwiękoszczelna przegroda. Ale pewnego razu, rok temu, Hildreth – z nudów lub może z potrzeby oderwania się od problemów – nawiązał rozmowę. Danny opowiedział mu, że w liceum grał w piłkę, a jego drużyna zdobyła mistrzostwo stanu Indiana. Szefowi to się chyba spodobało.

– Obrońca, powiadasz. Nadal wyglądasz na zawodnika – stwierdził.
– Kiedyś musisz mi zdradzić, jak dbasz o kondycję.

Hildreth sam był drobnej budowy, ale lubił się otaczać rośliymi mężczyznami. Przypuszczalnie podobało mu się, że jako człowiek mizernego wzrostu może komenderować większymi od siebie, że są jego pachołkami. Albo może czuł się przy nich bezpiecznie.

Danny Callahan zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Hildreth miał się zjawić przed szóstą trzydzieści. Tymczasem minęła siódma piętnaście. Nic nowego. Szef często spóźniał się trzy kwadranse. Czasem nawet godzinę.

Usłyszał w słuchawce głos dyspozytora:

– Koziorożec nadchodzi.

Hildreth był w drodze.

Callahan zaparkował przed wyjściem z lewej strony ogromnego, przeszklonego budynku, w którym mieściła się Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Spadły pierwsze krople deszczu. Szofer czekał. Gdy zobaczył pasażera, wysiadł i stanął obok samochodu.

– Danny. – Wicedyrektor skinął mu głową na powitanie. Światło halogenowych reflektorów odbijało się od jego wysokiego czoła. Na mizernej twarzy pojawił się zdawkowy uśmiech.

– Doktor Hildreth – rzekł Callahan.

Przeczytał kiedyś w „Washington Post”, że Hildreth ma doktorat ze stosunków międzynarodowych. Od tej pory nazywał go „doktorem” i miał wrażenie, że wicedyrektorowi bardzo odpowiada ten zaszczytny tytuł. Callahan otworzył mu tylne drzwi, po czym zamknął je z profesjonalnym wyczuciem.

Wkrótce rozpadało się na dobre, zaczął wiać silny wiatr. W ulewnym deszczu światła innych samochodów wydawały się dziwnie zniekształcone. Do Mason Falls pozostało pięćdziesiąt kilometrów, Callahan znał drogę na pamięć: zjazd z Savage Road na szosę numer 295, szybki przejazd 395 przez Potomac, bulwar Arlington.

Po kwadransie dostrzegł w lusterku wstecznym migające czerwone światła policyjnego radiowozu. Przez chwilę sądził, że policja go wyminie, ale najwyraźniej wzywała go, żeby się zatrzymał.

Nieemożliwe. A jednak. Wokół nie było innych samochodów. Co, u diabła?

Wprawdzie przekroczył szybkość o ponad piętnaście kilometrów, ale policjanci z drogówki musieli widzieć rządowe tablice rejestracyjne – powinni dać mu spokój. Nadgorliwy nowicjusz? Callahan z przyjemnością przywołałby go do porządku. Tyle że

Hildreth był nieprzewidywalny: mógł się zezłościć, że szofer przekroczył prędkość, chociaż zawsze powtarzał, jak bardzo jest mu wdzięczny, że tak szybko odstawia go do domu. Jednak nikt nie lubił, gdy zatrzymywała go policja. Hildreth być może uzna, że wina leży po jego stronie, i postawi mu krechę w raporcie.

Danny zjechał na utwardzone pobocze. Radiowóz zatrzymał się tuż za nim.

Gdy policjant w niebieskim, błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym podszedł do samochodu, szofer opuścił szybę.

– Z jaką prędkością pan jechał?

Callahan pokazał mu dwie laminowane, plastikowe karty.

– Proszę spojrzeć, panie władzo. Chyba nie chce pan nas dłużej zatrzymywać.

– Faktycznie, przepraszam. Nie miałem pojęcia.

Wydawał się autentycznie speszony. Dziwne, bo najwyraźniej nie był żółtodziobem. Na oko czterdziestoletni, ze spłaszczonym nosem boksera i wąską blizną biegnącą wzdłuż szczęki.

– Następnym razem proszę dobrze się przyjrzeć tablicom rejestracyjnym – rzucił Callahan znudzonym tonem służbisty. – SXT: transport federalny, klauzula największego uprzywilejowania.

Policjant wydarł kartkę z notesu.

– Już po sprawie. Zgadza się pan?

– Oczywiście.

– Nie chowamy urazy? – Gliniarz wydawał się nieco przestraszony. Wyciągnął rękę w geście pojednania. – Szanuję waszą pracę.

Danny westchnął. Wysunął rękę przez szybę, żeby ucisnąć dłoń policjantowi. Ale ten, zamiast odwzajemnić uścisk, chwycił go za nadgarstek. Callahan zamarł. Cholera!

– Przepraszam, stary. To przez ten sygnet – rzekł policjant, nie zmieniając pozycji.

– Co jest, kurwa...

Danny nagle poczuł, że słabnie.

Mężczyzna w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym odblokował drzwi od środka i pociągnął za klamkę.

Callahan był zdumiony, wręcz oburzony. Chciał coś powiedzieć... ale nie mógł wydobyć słowa. Chciał odepchnąć intruza... ale nie potrafił poruszyć ręką. A kiedy drzwi się otworzyły, poczuł, że bezwładnie osuwa się na ziemię.

– Spokojnie, stary. – Mężczyzna w płaszczu zaśmiał się sympatycznie. Złapał go, zanim upadł na ziemię, po czym upchnął na miejscu pasażera po prawej stronie.

Usiadł za kierownicą. Danny patrzył na niego bezradnie.

Kontrolki interkomu migają niebieskim światłem. Z głośników dobiegał skrzeczący głos: „Danny? Co się dzieje?”. Hildreth, niewidoczny za ciemną szybą, zaczął się niepokoić.

Mężczyzna zablokował tylne drzwi. Wrzucił bieg i ruszył w stronę mostu Arlington Memorial.

– Pewnie nie wiesz, co się z tobą dzieje – odezwał się przyjacielskim tonem. – Anektyna. Bloker neuromięśniowy. Stosowany podczas operacji. Czasem podają go ludziom podłączonym do respiratorów, żeby za bardzo się nie rzucali. Dziwne uczucie, prawda? Jesteś zupełnie przytomny, ale nie możesz się ruszyć. Przepona pracuje, serce bije, nawet poruszasz oczami. Ale mięśnie masz zwiotczałe. A wyniki ekspertyzy sądowej niczego nie wykażą.

Opuścił do połowy tylne szyby. Z interkomu dobiegł kolejny skrzek. Mężczyzna wyłączył głos.

– Twój pasażer pewnie się zastanawia, dlaczego otworzyłeś okna, skoro leje deszcz?

O co tu chodziło, do cholery?

Callahan próbował unieść palec wskazujący. Starał się z całych sił, jakby wyciskał sztangę ważącą trzykrotnie tyle co on. Palec zdrzął nieznacznie, to wszystko. Danny poczuł się całkowicie bezradny. Widział, słyszał, ale nie mógł się poruszyć.

Na moście było pusto i kierowca wcisnął gaz do dechy. Potężny, trzystukonny silnik gwałtownie przyspieszył. Limuzyna rozpędziła się, przecinając na ukos dwa pasy ruchu. Kierowca ignorował natarczywe stukanie zza ciemnej przegrody. Wielka, opancerzona maszyna uderzyła z impetem w barierkę i poszybowała ku rzece.

Zderzenie z wodą było znacznie potężniejsze, niż Danny się spodziewał. Poleciał do przodu, uwięziony w pasach. Usłyszał trzask: prawdopodobnie pękło mu żebro. Fotel kierowcy został wyposażony w czteropunktowe pasy, jak w samochodach rajdowych, i Callahan wiedział, że w przypadku mężczyzny w płaszczu przeciwdeszczowym siła uderzenia bezpiecznie się rozłożyła. Samochód w szybkim tempie zanurzał się w mętne głębiny Potomaku. Mężczyzna odpiął pasy i opuścił szybę, następnie uwolnił z pasów Callahana i przeciągnął go na fotel kierowcy.

Danny czuł się jak szmaciana lalka. Bezwładny i bezsilny. Jednak widział. Myślał. Rozumiał, czemu kierowca zostawił tylne szyby lekko uchylone.

Gliniarz, który nie był gliniarzem, wyłączył silnik, wyślizgnął się przez otwarte okno i błyskawicznie popłynął ku powierzchni.

Ani Callahan, ani Hildreth nie mieli takiej możliwości – Callahana sparaliżowało, a Hildreth został uwięziony na tylnym siedzeniu, gdzie

przez uchylone okna szybko wlewała się woda. Jego ultrabezpieczny środek lokomocji zamienił się w kryptę.

Samochód początkowo opadał na dno maską do góry, prawdopodobnie dlatego, że woda zalała już część pasażerską. Teraz wlewała się przez okno kierowcy i liczne mniejsze otwory, wypełniając cały pojazd. Jej poziom raptownie się podnosił: sięgała Danny'emu do piersi, do szyi, brody. I wyżej.

Oddychał przez nos. Ile sekund jeszcze mu zostało?

Nagle wszystkie pytania złożyły się w jedno: kto odważył się zrobić coś takiego?

Woda sączyła mu się do nosa i ust, ściekała do płuc. Czuł, że się dusi, i było to doznanie wstrząsające. Tonał. Nie mógł zaczerpnąć powietrza. Pomyślał o wuju Jimmym, który umierał na rozedmę płuc, siedząc w fotelu z dwiema przezroczystymi, plastikowymi rurkami w nosie. Butla z tlenem towarzyszyła mu wszędzie, jak niegdyś wierny labrador. Wyobraził sobie, że wydostaje się z samochodu i wypływa na powierzchnię. A potem oddycha czystym powietrzem. Wyobraził sobie, że biega po bieżni wokół liceum w West Lafayette w Indianie, ale wtedy zaczął wciągać wodę jeszcze szybciej. Z nosa i ust wypływał pulsujący strumień pęcherzyków powietrza.

Coraz boleśniej odczuwał brak tchu.

W miarę jak opadał coraz głębiej, ciśnienie w bębenkach stawało się nie do zniesienia, potęgując straszliwe uczucie duszności. Mimo wszystko to coś znaczyło: wciąż żył. Śmierć nie była bolesna, ale ostatnie podrygi życia, jego pożegnalne skurcze, rozpaczliwa walka o przetrwanie – tak.

Chciał się rzucić do przodu, młócić dłońmi, wierzgać. W myślach wzburzał rękami wodę. Ale tylko w myślach. Jego kończyny drgały

słabo, nic więcej.

Przypomniawszy sobie słowa mężczyzny i pewne rzeczy wydały mu się nagle aż nadto oczywiste. *Strzec pasażera z narażeniem życia*. To już nie miało znaczenia. Kiedy samochód zostanie wydobyty z rzeki, obaj będą martwi. Dwóch topielców. Kierowca, ogłuszony siłą uderzenia, utopiony na swoim fotelu. Pasażer, ofiara nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa. Pozostanie pytanie, czemu Callahan zjechał z mostu.

Ale padało, nawierzchnia była śliska, a Callahan przecież nieraz przekraczał dozwoloną prędkość.

Winą obciążą posłańca, jak zawsze.

A więc tak to miało się skończyć. Myślał o wszystkim, co mu w życiu nie wyszło. O stypendium sportowym w drużynie stanowej, którego nie dostał, ponieważ akurat nie grał, kiedy łowca talentów zjawił się w West Lafayette. A potem, z powodu kontuzji kolana, trener nie pozwolił mu grać w mistrzostwach regionalnych i stanowych. Myślał o mieszkaniu, które planowali kupić z Irene, dopóki się nie okazało, że nie starczy im pieniędzy na zaliczkę, a ojciec nie chciał mu pomóc. Stary wściekł się, że bez porozumienia z nim zakładali, że się dołożą, wobec czego stracili też zadatek, co odczuli bardzo boleśnie. Wkrótce potem Irene odeszła od niego i nawet nie miał jej tego za złe, chociaż przecież się starał. Myślał o pięknym upokorzeniu setek odrzuconych podań o pracę. „Bez szans na awans” – tak go określano, a chociaż robił, co mógł, ta etykieta przyłgnęła do niego jak klej z nalepki na zderzak, którego nie da się zeskrobać. Wystarczyło jedno spojrzenie i wszystko było jasne.

Teraz nie miał już nawet siły wyobrazić sobie, że jest gdzie indziej. Był... tam, gdzie był.

Zmarznięty, mokry, bez tchu, przerażony. Powoli opuszczała go

świadomość, zawężona do przebłysku kilku zasadniczych myśli.

Myślał: każdy musi umrzeć. Ale nikt nie powinien umierać w ten sposób.

Myślał: To już nie potrwa długo, to nie może dłużej trwać, nie może.

I myślał: Dlaczego?

Rozdział 15

Berthwick House, „skromne progi” Rosjanina, okazał się wytworną, georgiańską rezydencją z czerwonej cegły, położoną na obrzeżach Regent’s Park. Trzypiętrowe gmaszysko z mansardowymi oknami w łupkowym dachu szczyliło się aż trzema kominami. Ochrona była jednocześnie dyskretna i wyraźna. Rezydencję otaczał wysoki na trzy metry parkan z kutego żelaza, z ostro zakończonymi prętami przypominającymi włócznie. Nad podjazdem zamontowano kamerę wideo w emaliowanej obudowie. Gdy Berman wjeżdżał malinowym bentleyem na teren posiadłości, strażnik w małej stróżówce z szacunkiem skinął mu głową.

Przestronną recepcję pomalowano na kolor koralowy. Stały tu liczne kopie antyków: fotele, wysokie komody i stoliki do gry w szachy, pokryte grubą warstwą lakieru i bejcy, która nadawała im osobliwy, pomarańczowy odcień. Dwa duże obrazy w złoconych ramach, przedstawiające sceny polowania, na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie wybitnych, osiemnastowiecznych płócien, jednak z bliska wyglądały jak kopie z domu towarowego, wykonane w pośpiechu przez studenta sztuk pięknych.

– Podoba się? – Berman, dumny jak paw, wskazał ręką bezładną mieszaninę anglofilskich podróbek.

– Brak mi słów – odparł Janson.

– Jak na planie filmu, *da?* – Kolejny szeroki gest.

– *Da.*

– To wszystko naprawdę pochodzi z planu filmowego – oznajmił Berman, z zachwytem klaszcząc w dłonie. – Grigorij przyjechał na plan filmu spółki Merchant-Ivory, ostatniego dnia zdjęć. Wypisał czek dla kierownika produkcji. Kupił wszystko. Przywiózł do domu. Teraz mieszka jak w filmie. Wiadomo, że Merchant i Ivory robią najlepsze filmy o wyższych sferach. Dla Grigorija najlepsze jest wystarczająco dobre. – Zachichotał z zadowoleniem.

– Po Grigoriju Bermanie nie spodziewałbym się niczego innego.

To tłumaczyło osobliwy wystrój: wszystko było cudaczne, przesadzone, ponieważ zostało zaprojektowane na potrzeby filmu: miało dobrze się prezentować przy odpowiednim oświetleniu, w obiektywie z filtrem.

– Mam też kamerdynera. Pan Grigorij Berman, biedny moskwianin, który spędził dzieciństwo w kolejkach do GUM-u, dorobił się kamerdynera.

Wspomniany mężczyzna stał nieruchomo w odległym końcu holu, ubrany w czarny, długi surdut i sztywną koszulę z piki. Był człowiekiem okazałej postury, miał wydatny tors, długą brodę i przerzedzone włosy, zaczesane gładko do tyłu. Zaróżowione policzki nadawały mu pewnej jowialności, która kłóciła się z ponurą postawą.

– Pan Giles French – przedstawił go Berman. – Służący. Pan French zatroszczy się o wszystkie twoje potrzeby.

– Naprawdę tak się nazywa?

– Nie, naprawdę nazywa się Tony Thwaite. Czy to ważne? Nie podobało mi się, więc nazwałem go imieniem i nazwiskiem z najlepszego amerykańskiego programu telewizyjnego.

Brodaty mężczyzna uroczyście skinął głową.

– Do usług – rzekł z afektowanym akcentem.

– Pan French – ciągnął Berman – przyniesie nam herbatę. I... – Urwał, jakby się namyślał albo nie mógł sobie przypomnieć, co podaje się do herbaty. – Kawior? – Jego głos zabrzmiał niepewnie. W odpowiedzi kamerdyner niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. – Nie, zaraz – Berman się poprawił. – Kanapki z ogórkiem.

– Tak jest, proszę pana.

– Albo nie. Przynieś nam babeczki. Te upieczone przez kucharkę. Z gęstą śmietaną i dżemem truskawkowym.

– Doskonale, proszę pana. Już się robi.

Berman uśmiechnął się promiennie, jak dziecko mogące się pobawić wymarzoną zabawką. Dla niego Berthwick House był jak domek dla lalek, w którym stworzył cudaczną parodię wystawnego życia angielskich wyższych sfer, w rozkosznie kiczowatym stylu.

– Powiedz, co naprawdę o tym myślisz. – Gospodarz powiódł ręką dookoła.

– Nie do opisanania.

– Serio? – Berman uszczypnął się w policzek. – Czy tylko tak mówisz? Jesteś kochany! Powiniennem poznać cię z Ludmiłą. Zwiedzisz z nią cały świat bez wychodzenia z łóżka.

Gdy przechodzili głównym korytarzem obok niewielkiego pomieszczenia, Janson zatrzymał się przed dużym, świecącym, poważnie wyglądającym urządzeniem z wbudowanym monitorem wideo, klawiaturą i dwoma czarnymi głośnikami. Wskazał na nie z szacunkiem.

– RS sześć zero zero zero?

– To? Skądże. Sprzęt do karaoke. Komputery są w piwnicy.

Zeszli po krętych schodach do wyłożonego wykładziną pokoju,

w którym znajdowało się kilka komputerowych stacji roboczych. Emitowały dużo ciepła, więc w pozbawionym okien pomieszczeniu było nieznośnie gorąco. Dwa małe wiatraki elektryczne chłodziły powietrze. Kamerdyner przyniósł im herbatę i babeczki ułożone na fajansowych talerzykach. Ustawił je na narożnym stoliku, wraz z ceramicznymi dzbanuszkami ze śmietaną i dżemem, po czym bezszelestnie się oddalił.

Berman spojrzał pożądliwie na babeczki i zasiadł przy klawiaturze, żeby aktywować serię programów penetrujących zapory systemowe. Przez kilka minut analizował wyniki, po czym zwrócił się do Jansona.

– A teraz powiedz mi w sekrecie, w co właściwie mnie pakujesz.

Janson milczał, długo się namyślając, zanim wyjawiał Bermanowi zasadnicze elementy swojej kłopotliwej sytuacji. Wiedział, że gaduły jego pokroju potrafią czasem dochować sekretu jak nikt inny, zależnie od motywów, jakie nimi kierują. Grigorij słuchał bez komentarza, bez żadnej widocznej reakcji. W końcu wzruszył ramionami i uruchomił program.

Minęła kolejna minuta. Berman spojrzał na Jansona.

– Grigorij niezbyt zachęcony. Programy niech popracują, może z czasem coś się pokaże.

– Jak długo to potrwa?

– Trzeba włączyć maszynę na dwadzieścia cztery godziny, skoordynować z globalną siecią przetwarzania równoległego innych komputerów, i a nuż... – Berman odwrócił wzrok. – Osiem miesięcy? Nie, raczej dziewięć. Jak ciąża.

– Żartujesz.

– Chcesz, żeby Grigorij zrobił coś, czego nie zrobi nikt inny? Musisz dostarczyć Grigorijowi liczby, których nie ma nikt inny. Znasz

sekwencję publicznego klucza do rachunku, *da?* Jeśli go użyjemy, mamy przewagę. W przeciwnym razie trzeba czekać. Aż dziecko się urodzi. Dziewięć miesięcy.

Janson niechętnie podał mu sekwencję liczb stanowiącą kod do jego rachunku – kod przesyłany po otrzymaniu informacji, znany jedynie bankowi i właścicielowi rachunku.

Berman wystukał na klawiaturze kolejne cyfry i po dziesięciu sekundach na ekranie komputera pojawiły się przedziwne kombinacje liczb, przesuwane się w dół jak napisy końcowe w filmie.

– Liczby niezrozumiałe – stwierdził Berman. – Trzeba rozpoznać wzór. Poszukać motyla.

– Znaleźć motyla – powiedział Janson z naciskiem.

– Ha! – prychnął Berman. – Ty, *moj drug*, jesteś jak omlet niespodzianka: z wierzchu słodki i miękki, w środku twardy i zimny. Brr! Brr! – Wykonał gest ramionami, jakby owionął go arktyczny chłód. Przez kolejnych pięć minut studiował sekwencje kodów z wielkim przejęciem, całkowicie pochłonięty.

W końcu przeczytał na głos serię cyfr.

– Mamy motyla... pięć cztery sześć siedem zero zero jeden zero zero osiem siedem. To nasz motyl.

– Nic mi nie mówią te cyfry.

– Za to mnie mówią wszystko – stwierdził Berman. – Piękne blondynki, brudne kanały, ciemne kawiarnie, w których pali się haszysz, kobiety z Europy Wschodniej w oknach wystawowych, jak manekiny w seksownej bieliźnie.

Janson zamrugał oczami.

– Amsterdam. Znalazłeś kod transferowy z Amsterdamu.

– *Da!* Kod transferowy z Amsterdamu. Pojawia się zbyt często, to

nie może być przypadek. Twoja dobra wróżka korzysta z banku w Amsterdamie.

– Z którego?

– Ależ jesteś niemożliwy! – stwierdził Berman z dezaprobatą. – Daj diabłu palec, a on całą rękę chwyta. Żadnym sposobem nie uda się ustalić konkretnego rachunku, chyba że... *Niet*. To wykluczone.

– Chyba że...?

– Prywatny kod dostępu? – Berman wzdrygnął się, jakby za samą tę myśl miał dostać po łapach. – Można użyć cyfr jak klucza do puszek sardynek, otwierać powoli, odkręcać, przekręcać... To działa.

Żeby móc wpłacać i wypłacać pieniądze, należało posłużyć się osobistym kodem, autoryzować transakcję za pomocą sekwencji cyfr znanych jedynie posiadaczowi rachunku. Ten kod nie pojawiał się w żadnych przekazach. Stanowił osobną, ultrabezpieczną, cyfrową ścieżkę, chroniąc zarówno bank, jak i klienta.

– Naprawdę sądzisz, że powierzę ci swoje osobiste hasło?

– *Niet* – odparł Berman, wzruszając ramionami.

– Mogę ci zaufać?

Rosjanin zaśmiał się gromkim śmiechem.

– *Niet!* Za kogo ty mnie masz? Nie jestem harcerzem! Prywatne hasło ma być prywatne! Nikt nie może go znać. Dlatego tak się nazywa. Wszyscy jesteśmy śmiertelnikami. Grigorij Berman bardziej niż inni. – Podniósł wzrok na Jansona. – Zachowaj je dla siebie, proszę.

Zabrzmiało to jak błaganie.

Paul milczał przez chwilę. Rosjanin mawiał, że potrafi się oprzeć wszystkiemu, z wyjątkiem pokusy. Gdyby poznał prywatne hasło Jansona, pokusa byłaby ogromna: mógłby wyprowadzić pieniądze

z jego konta za pomocą kilku kliknięć. Ale jakim kosztem? Berman uwielbiał swoje życie w Anglii. Wiedział, że gdyby Amerykanin stał się jego wrogiem, straciłby majątek i pozycję. I żadne groźby nie były tu konieczne. Czy nie dlatego się wahał? Wolał nie znać hasła, bo rozumiał, że tej pokusie nie może ulec – nie chciał się obudzić następnego dnia ze świadomością, że zostawił na stoliku pokaźną sumę pieniędzy.

Janson wyrecytował piętnastocyfrowy kod i patrzył, jak Berman wystukuje cyfry na klawiaturze. Rosjanin był teraz wyraźnie bledszy, napięty. Najwidoczniej zmagął się sam ze sobą. Jednak już po chwili udało mu się nawiązać połączenie z kilkunastoma instytucjami finansowymi: przekopał się przez mainframe banku Monte Verde, wyszukując podpisy cyfrowe, które identyfikowały stronę dokonującą transakcji.

Minęło kilka minut. Ciszę zakłócały jedynie przytłumione kliknięcia i szum wentylatorów. Berman wstał.

– *Da!* – powiedział. – ING. Bank holenderskiej Grupy ING. Dawniej znany jako Nederlandsche Middenstandsbank.

– Coś więcej?

– Piękna nowa siedziba w Amsterdamie. Zarządzają z taką sprawnością, że nikt nie daje rady tam pracować. Drugi największy bank w kraju. A kobiety w Amsterdamie – najpiękniejsze na całym świecie.

– Grigorij... – zaczął Janson.

– Musisz poznać Gretchen. Zabawić się z Gretchen w podróż dookoła świata. Wylatasz sobie mnóstwo mil. Gretchen jest przyjaciółką Grigorija. Przyjaciółką strudzonych podróżnych. Umawia się tylko na mieście, ale ma bardzo rozsądne ceny. Powiesz jej, że

jesteś przyjacielem Grigorija. Dam ci jej numer. Łatwiejszy do zapamiętania niż kod transferowy do ING. Ha!

– Nie wiem, czy nie doszliśmy do ściany. Ustaliłeś nazwę banku. Można bardziej zawęzić poszukiwania?

– Bardzo trudne – stwierdził gospodarz, ostrożnie zatapiając zęby w babeczce, jakby mogła się odgryźć. – Tak naprawdę kucharka nie piecze babeczek – dodał tonem krępującego wyznania. – Tylko mówi, że piecze. Wiem, że kupuje gotowe w Sainsbury's. Któregoś dnia zobaczyłem w śmieciach opakowanie. No cóż. Wyszło szydło z worka. Nic nie powiedziałem. Każdy musi odnosić swoje małe zwycięstwa, inaczej nikt nie będzie szczęśliwy.

– Skupmy się na tym, żeby ja był szczęśliwy. Mówiłeś, że uzyskanie informacji o rachunku okaże się bardzo trudne. Ale trudne nie znaczy niemożliwe. A nie polecisz mi kogoś innego?

Niedźwiedziowaty gospodarz chyba poczuł się urażony.

– Dla Grigorija Bermana nie ma rzeczy niemożliwych. – Czujnie rozejrzał się wokół, po czym dodał do herbaty kopiałą łyżeczkę dżemu i zamieszał. – Kamerdyner nie może zobaczyć – szepnął konfidencyjnie. – To rosyjski zwyczaj. Pan French by nie zrozumiał. Byłby wstrząśnięty.

Janson przewrócił oczami. Biedny Grigorij Berman: więzień własnej służby.

– Obawiam się, że nie mam więcej czasu – mruknął.

Gospodarz wstał z miną winowajcy i niechętnie podreptał z powrotem do komputera.

– To okropnie nudne – jęknął, niczym duże dziecko, które odciąga się od zabawek do tabliczki mnożenia.

Tymczasem Janson uzyskał bezpośrednie połączenie z bankiem

Monte Verde na swoim notesie elektronicznym.

Kwadrans później Berman, spocony z wysiłku, nagle podniósł wzrok i odwrócił się do niego.

– Załatwione. – Spostrzegł notes w ręku Jansona. – Zmieniasz prywatny klucz?

Paul wcisnął klawisz, właśnie to robiąc.

– Bogu dzięki! – Berman zerwał się na równe nogi. – W przeciwnym razie mógłbym się złamać i zrobić coś bardzo, bardzo złego. Dziś, jutro, za miesiąc, lunatykując w środku nocy! Kto to wie? Znać prywatny klucz i nie zrobić z niego użytku? To byłoby jak... – Podciągnął spodnie.

– Tak, Grigorij – wtrącił Janson uprzejmie. – Doskonale rozumiem. A teraz mów. Czego dowiedziałeś się o płatniku?

– To chyba jakiś żart – odparł Berman z uśmiechem.

– Jak to? – spytał Janson, nastawiając uszu.

– Odnalazłem rachunek, z którego dokonano przelewu. Bardzo trudne, nawet z kluczem do puszki sardynek. Musiałem użyć tajnych kodów jednorazowych, niemałym kosztem, jeśli chcesz wiedzieć. Jak w tej amerykańskiej piosence, *What I Did for Love, da?* – Zanucił kilka taktów. Janson spiorunował go wzrokiem. – Odwrócony algorytm asymetryczny. Software do wybierania danych poluje na wzory, szuka sygnału, ukrytego w hałasie... Bardzo trudne...

– Grigorij, przyjacielu. Nie opowiadaj mi całej *Wojny i pokoju*. Wolałbym streszczenie.

Rosjanin wzruszył ramionami, nieco dotknięty.

– Zaawansowany program komputerowy to cyfrowy odpowiednik triathlonu. Poziom olimpijski. Nie potrzeba NRD-owskich sterydów, żeby ustalić rachunek nadawcy.

Jansonowi serce zabiło mocniej.

– Jesteś prawdziwym czarodziejem.

– To naprawdę zabrzmiało jak żart – powtórzył Berman.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Berman uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Kto ci zapłacił za zabicie Petera Novaka? Peter Novak.

•••

Kiedy Ahmad Tabari ze swoim małym konwojem w końcu dotarł na obóz szkoleniowy, poczuł prawdziwą ulgę. Od dawna wiedział, że na szczęście w podróży nie ma co liczyć. Wprawdzie wiele godzin spędził na medytacjach, to jednak odczuwał trudy długiej wędrówki. Kalif najpierw poleciał do Asmary w Erytrei. Tam nikt nie spodziewałby się znaleźć przywódcy Frontu Wyzwolenia Kagama. Następnie popłynął motorówką na północ wzdłuż wybrzeży Morza Czerwonego, by ostatecznie znaleźć się na granicy Pustyni Nubijskiej w północnym Sudanie. Kilka godzin później sudańscy przewodnicy przeprowadzili go przez pustynię do obozu przy granicy z Erytreą. Stąd do Mekki było ledwie kilkaset kilometrów, tyle samo do Medyny. Z bólem serca myślał, że nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko tych świętych miejsc, a mimo to nie mógł znaleźć się tam, gdzie Prorok – niech będzie błogosławiony – stąpił za życia. Jednak jak zawsze przyjął wolę bożą, umocniony słuszością sprawy. Mimo ostatnich komplikacji w prowincji Kenna wciąż pozostawał przywódcą w walce z korupcją Zachodu, z okrucieństwem i grabieżczą polityką, którą nazywano „naturalną”. Modlił się, żeby każdy jego wybór, każdy czyn przybliżał ojczyznę do chwili, gdy jej obywatele na powrót złączą się z *ummah*, ludem Islamu, słusznie nazywając go Kalifem.

W obozie powitali go zarówno gładko ogoleni młodzieńcy, jak i starcy z siwymi brodami. Poczuł więc braterstwa ze współwyznawcami. Wyschnięta, bura ziemia w niczym nie przypominała tętniących życiem tropików ojczystego kraju, ale bracia z pustyni mieli w sobie zapał, gorliwość i oddanie, jakich często brakowało zwolennikom Kagama. Jałowa ziemia mimo wszystko rozkwitała prawami Allaha. Pustynnych przywódców pochłaniały ich własne kampanie – w Czeczenii, Kazachstanie, Algierii, na Filipinach. Wiedzieli jednak, że każdy z tych konfliktów to jedynie potyczka w prawdziwie wielkiej bitwie. Dlatego liczył na ich wsparcie – tym bardziej że kiedyś sam ich wspierał. Z bożą pomocą, wspólnymi siłami, mieli pewnego dnia odzyskać dla Allaha całą ziemię.

Przede wszystkim musiał pozwolić gospodarzom, żeby zadziwili go swoimi metodami. Oczywiście, wiedział o nich wcześniej. Każdy przywódca zbrojnej organizacji znał ze słyszenia ten uniwersytet terroru. To tutaj, przy milczącej aprobacie władz Chartumu, członkowie sekretnego bractwa uczyli się tajników nowej wojny. W wykutych w skale bunkrach pracowały pełną parą komputery. W bazach danych miały plany elektrowni, rafinerii, lotnisk, kolei i obiektów wojskowych w wielu krajach. Codziennie wyszukiwały w sieci kolejne tajemnice, które Zachód tak bez troski udostępniał. Tu, na modelu przeciętnego amerykańskiego miasta, można było przećwiczyć działania wojenne w terenie zabudowanym: blokowanie dróg, szturmowanie budynków. Tu można było nauczyć się sztuki inwigilacji, metod zamachów i setek sposobów na skonstruowanie bomby z materiałów powszechnie dostępnych w każdym amerykańskim sklepie z artykułami przemysłowymi. Kalif wędrował od stanowiska do stanowiska z tym samym, pozbawionym humoru

uśmiechem. Traktowali go jak dygnitarza składającego oficjalną wizytę, zapewne w ten sam sposób witali prezydenta Sudanu. Wiedzieli, tak jak on, że pewnego dnia obejmie władzę w swoim kraju. To była tylko kwestia czasu.

Czuł się zmęczony. Ale nie miał kiedy odpocząć. Zakończyły się wieczorne modły. Za chwilę zaczynało się spotkanie.

Usiedli w namiocie na płaskich poduszkach, rozrzuconych na wyłożonej tkaniną podłodze. Pili herbatę z prostych, glinianych kubków. Rozmowa, jakkolwiek serdeczna, ograniczała się do ogólników. Wszyscy zdawali sobie sprawę z nadzwyczaj napiętej sytuacji – zdumiewającym sukcesom Kalifa towarzyszyły nieprzerwane kontrataki ze strony Republiki Anury, w wyniku których ponosił upokarzające porażki. Wiadomo było, że ta sytuacja się nie zmieni, jeżeli Kalif nie otrzyma wsparcia. Kagama bezskutecznie próbowali – co rodziło poczucie frustracji – pozyskać do pomocy Pośrednika. Pośrednik nie tylko odmawiał im wsparcia, ale wręcz nalegał, żeby Kalif zaprzestał działań odwetowych! Och, perfidia niewiernych! W dodatku kolejne próby nawiązania ponownego kontaktu z Pośrednikiem, w celu przekonania go o nieugiętości Kalifa w dążeniu do sprawiedliwości, spełzły na niczym. Kontakt urwał się całkowicie w tajemniczy sposób. Dlatego Kalif przyjechał tutaj.

W końcu usłyszeli warkot wojskowego helikoptera. Powietrze drgało od uderzeń turbiny. Przywódcy obozu spojrzeli na siebie i na Kalifa.

Przybył gość, na którego czekali: Al-Mustashar, Doradca.

Pułkownik Ibrahim Maghur był człowiekiem światowym i jego powiązania z powstańcami miały z konieczności charakter poufny.

Bądź co bądź zajmował wysoką pozycję w libijskim wywiadzie, a Trypolis oficjalnie wypierał się bezpośrednich związków z terroryzmem. Jednak wielu wpływowych członków reżimu wspierało braci walczących z zachodnim imperializmem, w dyskretny sposób ofiarowując im pomoc. Jednym z takich ludzi był właśnie Ibrahim Maghur. Przy okazji swoich wizyt w obozie dostarczał partyzantom cennych informacji libijskiego wywiadu. Określał z maksymalną dokładnością pozycje wroga i proponował najwłaściwsze techniki zamachów. Przywoził mapy terenu i szczegółowe zdjęcia satelitarne, dzięki którym bojownicy o wolność zyskiwali znaczną przewagę. Przekazywał im wyposażenie wojskowe i broń. W przeciwieństwie do wielu członków zepsutej, dekadencjonalnej libijskiej elity Ibrahim Maghur był człowiekiem prawdziwej wiary. Już nieraz pomagał powstańcom realizować ich mordercze zamiary i tak miało być i tym razem.

Pułkownik wysiadł z helikoptera i zamaszystym krokiem ruszył do obozu. Wyłonił się z kurzawy piasku i powitał ukłonem przywódców Islamskiego Dżihadu, którzy wyszli mu na spotkanie.

Napotkał wzrok Ahmada Tabariego; przed nim także się skłonił, wyciągając rękę. Przyglądał mu się przenikliwie, a jednocześnie z szacunkiem.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać cię, bracie – powiedział.

– Widać było wolą Proroka, abyśmy zostali sobie przedstawieni – odparł Tabari.

– Bracie, twoje sukcesy militarne są zdumiewające, doprawdy olśniewające. Zaslugują na wzmiankę w podręcznikach – ciągnął pułkownik. – Osobiście jestem gorliwym badaczem historii.

– Podobnie jak ja – stwierdził szef rebeliantów Kagama.

W przyćmionym świetle pustynnego wieczoru jego hebanowa twarz wydawała się czarna jak węgiel. – Moje studia wskazują, że terytoria szybko zawłaszczone można równie szybko odzyskać. A co ty o tym myślisz?

– Że historię tworzą ludzie wielcy. Wyglądasz, bracie, na wielkiego człowieka. Prawdziwy Kalif, w rzeczy samej.

– Prorok hojnie mnie obdarzył – skwitował Tabari, który nie zamierzał tracić czasu na fałszywą pokorę.

– Jednak wielcy ludzie mają wielkich wrogów – orzekł oficer libijskiego wywiadu. – Musisz być, bracie, bardzo ostrożny. Zaiste, bardzo ostrożny. Stanowisz zagrożenie dla potęg, które nie cofną się przed niczym, żeby cię zniszczyć.

– Ostrożność czasem paraliżuje – odrzekł Tabari.

– To prawda. Ale nie takich jak ty, bracie. Twoja odwaga leży u podstaw wielkości, jest gwarancją waszej sprawy, jej przetrwania i ostatecznego zwycięstwa, w wyniku którego ustanowicie własny kalifat. Trzeba tylko wybrać odpowiedni moment i właściwe cele.

Rozejrzał się po urzeczonych twarzach pięciu najwyższych rangą członków Islamskiego Dżihadu, po czym znów zwrócił się do sławnego przywódcy Frontu Wyzwolenia Kagama.

– Chodźmy – rzekł. – Przejdziemy się, Kalifie. Tylko my dwaj.

– Rady Al-Mustashara to bezcenny skarb – odezwał się jeden z gospodarzy. – Idź z nim, Kalifie.

Gdy spacerowali wokół pustynnego obozowiska, powiał chłodny, porywisty wiatr, wydymając długie szaty Kalifa.

– Zapewniam cię, bracie, że obecne komplikacje bardzo szybko przeminą – powiedział cicho libijski pułkownik. – Mogę wiele dla was zrobić, podobnie jak niektórzy nasi sojusznicy w Islamskiej Republice

Mensuru. Wkrótce wszystko pójdzie jak po maśle.

Przybysz z Anury posłał wojownikowi pustyni ponury półuśmiech.

– Poleje się morze krwi – dodał Ibrahim Maghur z poważną miną. –
Krwii niewiernych.

– Morze krwi niewiernych – powtórzył Kalif.

Te słowa uspokoiły go i podniosły na duchu.

• • •

– Skąd to możesz wiedzieć, do cholery? – spytał Janson.

– Zestawienia tabularyczne bankowych indeksów transakcyjnych –
odparł Berman, energicznie mieszając herbatę. – Kody nie kłamią.

– Nie rozumiem?

– Szesnaście milionów dolarów przelano z rachunku Petera Novaka.

– Jak? Skąd?

– Już mówiłem. Z banku ING. Z Amsterdamu. Gdzie jest centrala
Fundacji Wolności?

– W Amsterdamie.

– Czyli nie jesteś zaskoczony.

– Sugerujesz, że siedząc w lochu na Anurze, Peter Novak
autoryzował przelew na kwotę szesnastu milionów dolarów na
nieznany mu rachunek, którego przypadkiem jestem właścicielem? To
nie ma sensu.

– Mógł go autoryzować wcześniej. To prawdopodobne. Nie mógł
autoryzować później.

– Nie pora na żarty, Grigorij. To jakiś obłąd.

– Powiedziałem ci tylko, kto jest właścicielem rachunku.

– Czy ktoś inny mógł zyskać dostęp do rachunku Novaka, składać
zlecenia w jego imieniu?

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Kody potwierdzają jedynie, kto jest właścicielem rachunku. A kto ma do niego dostęp? Tego nie wiem. Modemy nie przechowują takich informacji. Pełnomocnictw udziela bank, zgodnie z instrukcjami właściciela rachunku. Końcowe cyfry numeru konta wskazują, że jest powiązane z Fundacją Wolności. Odpowiednie papiery ma bank i centrala. – Berman z niesmakiem wymówił słowo „papiery”. Podobnie odnosił się do dawniejszych instrumentów finansowych: dyrektyw i warunków, jakich nie dało się zredukować do jednostek i zer.

– To nie ma sensu.

– Ale są dolary! – Grigorij zaśmiał się beztrósco. – Gdyby ktoś wpłacił szesnaście milionów na konto Grigorija, Grigorij nie należałby na przegląd dentystyczny darowanego konia. – Rozłożył bezradnie ręce. – Nie potrafię ci wyjaśnić nic więcej.

Czy Petera Novaka zdradził ktoś z najbliższego otoczenia? A jeśli tak, to kto? Wysoko postawiony członek organizacji? Marta Lang? Mówiła o nim tkliwie i z szacunkiem. Co samo w sobie niczego nie dowodziło poza tym, że mogła mieć talent aktorski. Nie ulegało wątpliwości jedynie to, że ktoś, kto zdradził Novaka, potrafił zaskarbić sobie jego zaufanie. Czyli był mistrzem oszustwa, wirtuozem chytrości, wytrwałości i kłamstwa. Ale co zamierzał osiągnąć?

– Chodź ze mną – rzekł Berman. – Pokażę ci dom.

Otoczył gościa ramieniem i poprowadził na górę po schodach.

Przeszli wspaniałym korytarzem do przestronnej, jasnej kuchni. Grigorij przyłożył palec do ust.

– Pan French nie chciałby widzieć nas w kuchni. Ale każdy

Rosjanin wie, że w kuchni bije serce domu.

Gospodarz podszedł do błyszczącego zlewozmywaka ze stali nierdzewnej. Z okna rozciągał się widok na przepięknie utrzymany ogród różany. Tuż za nim aż kłuła w oczy bujna zieleń Regent's Park.

– Popatrz tylko. Prawie dwieście hektarów w samym sercu Londynu. Praktycznie to moje podwórko. – Podniósł do ust dyszę kranu, jakby to był mikrofon. – Ktoś zostawił na deszczu babeczki. Nie wiem, jak to zniosę. – Przyciągnął do siebie Jansona, jakby mieli wystąpić w duecie. Wyrazistym gestem podniósł rękę do góry, niczym śpiewak operowy w dramatycznej scenie.

Nagle rozległ się brzęk szkła. Berman urwał w pół zdania, jakby brakło mu tchu. Chwilę później osunął się na podłogę.

Na jego dłoni pojawił się ledwie widoczny czerwony punkcik. Na piersi nieco większy, pulsujący krwią.

– Jezu Chryste! – krzyknął Janson.

Czas na chwilę się zatrzymał.

Paul spojrzał na Bermana, który leżał na szarych kafelkach, ogłuszony i znieruchomiały. Potem wyrzwał przez okno. Nie zauważył niczego niepokojącego. Popołudniowe słońce otulało złotymi promieniami zadbane krzewy róż. Spośród ciemnozielonych liści wyzierały różowe i białe pąki. Błękitne niebo znaczyły jasne cętki obłoków.

To było niemożliwe, a jednak się wydarzyło. Janson nie potrafił tego pojąć. Usłyszał kroki kamerdynera – najwyraźniej zaalarmował go okrzyk gościa. Mężczyzna błyskawicznie odciągnął rannego od okna. Pierwszorzędna reakcja. On także wyrzwał na zewnątrz. W rękę trzymał już pistolet H&K P7. Amator mógłby wystrzelić na pokaz, ale służący tego nie zrobił. Zobaczył to samo co Janson. Wymienili

spojrzenia pełne konsternacji. Chwilę później obaj wycofali się na korytarz. Jak najdalej od okien. Berman charczał, z trudem oddychając. Palcami odszukał ranę na piersi.

– Skurwysyn – wychrypiał. – *Twoju mać!*

Drżące palce prawej ręki macały ranę z pełną determinacją. Szukał kuli. W końcu wyszarpał z piersi zgniecioną masę mosiądzu i ołowiu.

– Proszę posłuchać – zwrócił się Janson do kamerdynera. – Wiem, że to dla pana szok, ale musi pan się opanować, musi pan wziąć się w garść, panie...

– Thwaite. Odsłużyłem piętnaście lat w jednostce antyterrorystycznej. To nie był napad rabunkowy, obaj o tym wiemy. Chodzi o coś innego.

– W jednostce antyterrorystycznej, tak?

– Pan Berman może jest nieco stuknięty, ale nie jest głupcem. Człowiek taki jak on ma wielu wrogów. Byliśmy przygotowani na różne sytuacje. Ale ta kula przyleciała znikąd. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Jak to się stało?

Janson miał pustkę w głowie – pustkę, którą jednak po chwili zaczęły wypełniać eliptyczne krzywe i kąty proste. Scenę postrzelenia Bermana, której przed chwilą był świadkiem, zastąpiły przesuwane się schematy geometryczne.

Zaczął błyskawicznie analizować dane. Połączył punkt, gdzie kula przeszła podniesioną do góry rękę Bermana, z raną na piersi, gdzieś nad sercem. Kąt podniesienia między tymi dwoma punktami wynosił mniej więcej trzydzieści pięć stopni. Ale w pobliżu pod tym kątem niczego nie było widać.

Ergo: pocisk nie został wystrzelony z bliska.

Potwierdzała to masa zgniecionej metalu, którą Berman wydobyl z rany. To musial byc strzal z duzej odleglosci, wprost do celu. Gdyby oddano go z niewielkiej odleglosci, na przyklad stu metrow, kula przeszylaby ciało Bermana na wylot. Stopien zniszczenia pocisku i jego rozmiar: to tu kryla sie najistotniejsza informacja.

Janson schylin sie i podniost brylke metalu. Co to bylo? Waga okolo 40-45 gramow, mosiezny plaszcz. Pocisk wniknal mniej wiecej na piec centymetrow. Gdyby trafil w glowe, Berman zginalby na miejscu. Niestety, krwotok z pluc mogl rowniez prowadzic do smierci. Z jaka sila uderzyl? Stu trzydziestu, dwustu siedemdziesieciu dzuli?

Opór powietrza zmniejszył siłę uderzenia w stosunku odwrotnym do odległości, jaką pokonał pocisk. Im większa prędkość, tym większy opór powietrza, czyli siła oporu, tak więc nie był to prosty stosunek liniowy. Wyznaczenie stosunku prędkości do odległości wymagało zastosowania równania różniczkowego pierwszego rzędu i liczby Reynoldsa – być może Alan Demarest mógłby rozwiązać to w pamięci, być może Berman także – ale Janson musiał oprzeć się na swojej wyćwiczonej intuicji. Oszacował, że pocisk wystrzelono z odległości tysiąca dwustu metrów.

Przywołał w myślach pobliską panoramę nieba: palladiańskie dachy Hanover Terrace, okrągłą kopułę londyńskiego meczetu... I minaret – wysoką, smukłą wieżę z małym balkonem, z którego muezin zwoływał wiernych na modlitwę. Jako obiekt mało znaczący prawdopodobnie nie była strzeżona, zawodowiec bez problemu zdołałby się dostać do środka. Jeśli przybliżone obliczenia Jansona były trafne, właśnie tak to wyglądało.

Wszystko to przypominało jakiś koszmar. Snajper zajął stanowisko na balkonie minaretu – z perspektywy Berthwick House był to ledwie

punkcik na horyzoncie – i czekał na właściwy moment, kiedy ofiara pokaże się w oknie. Miał mnóstwo czasu, żeby obliczyć właściwy kąt i trajektorię. Ale ilu ludzi potrafiło oddać taki strzał? Może czterdziestu na całym świecie. Paru Rosjan. Norweski snajper, który rok temu w Moskwie zajął pierwsze miejsce w międzynarodowych zawodach. Kilku Izraelczyków, posługujących się karabinami Galil kalibru 7,62 mm. Garstka Amerykanów.

Zawodowy strzelec wyborowy posiadał nie tylko niesamowite umiejętności, ale też niesamowitą cierpliwość. Musiał być przygotowany na liczne niewiadome. W przypadku strzału z dużej odległości nawet niespodziewany podmuch wiatru potrafił znieść pocisk o parę metrów od celu. Obiekt mógł nieoczekiwanie się poruszyć – w tym przypadku Berman podniósł rękę po tym, jak oddano strzał. Każdy snajper musiał brać pod uwagę taką możliwość. I musiał być bardziej cierpliwy niż jego cel.

Kto był celem?

Kamerdyner zakładał, że Berman, jego pracodawca. Jansona nie dziwiło, że przyjął takie założenie. Ale mógł się mylić. Paul przypomniał sobie, jak Berman objął go ramieniem i przyciągnął do siebie. Pocisk, który trafił Rosjanina, przeleciał niecałe czterdzieści centymetrów od głowy Jansona.

Czterdzieści centymetrów. Na dystansie tysiąca dwustu metrów takie odchylenie to nic. Niezależnie od tego, czy snajper trafił, czy spudłował, celność strzału wydawała się wręcz niewiarygodna. A rozsądek podpowiadał, że to Janson był celem ataku. Stanowił jedyny nowy element w całej scenerii.

Usłyszał sygnał karetki, którą wezwał Thwaite, i poczuł, że Berman ciągnie go za nogawkę. Leżał na podłodze, niezdarnie próbując coś

mu przekazać, zwrócić na siebie uwagę.

– Janson – wydusił, jakby usta miał pełne wody.

Jego pulchna twarz zbladła, nabierając cielistego koloru. Z kącika ust sączyła się na brodę cienka strużka krwi. Przez ranę w piersi uciekało powietrze. Berman przyłożył do rany prawą dłoń. Lewą rękę uniósł szelmowskim gestem, grożąc Jansonowi palcem wskazującym.

– Powiedz prawdę: koszula od Turnbulla i Assera nadaje się do śmieci?

Zamiast zwykłego rechotu zaniósł się mokrym kaszlem. Przynajmniej jedno płuco wypełniło się krwią i wkrótce miało się zapaść.

– Pamięta lepsze czasy – odparł łagodnie Janson, ogarnięty nagłą czułością wobec tego żywiołowego ekscentryka, specja od lewych finansów.

– Dorwij skurwysyna, który to zrobił. *Da?*

– *Da* – potwierdził Janson chropawym głosem.

Rozdział 16

Thwaite podszedł do Jansona.

– Kimkolwiek pan jest, pan Berman musiał panu ufać – powiedział cicho. – Inaczej nie zaprosiłby pana do domu. Ale teraz proszę się zbierać. – Posłał mu kpiarskie spojrzenie. – Im szybciej, tym lepiej.

Paul prędko ruszył w stronę tylnego wyjścia. Przeszedł po dębowym parkiecie obok osiemnastowiecznego francuskiego *panneau*, wykonanego kilkadziesiąt lat temu na zamówienie dziedziczki fortuny Woolworthów. Parę minut później przeskoczył przez parkan z kutego żelaza i znalazł się po wschodniej stronie Regent's Park. „Prawie dwieście hektarów w samym sercu Londynu. Praktycznie to moje podwórko”, powiedział Berman.

Czy Janson był tu bezpieczny?

Pewności nie miał, ale tylko tu mógł się schować. Strzelec na balkonie minaretu z łatwością namierzyłby każdego, kto wychodziłby z Berthwick House innym wyjściem, jednak większa część parku pozostawała poza jego polem widzenia.

Poza tym Janson dobrze znał tę okolicę. Kiedy studiował w Cambridge, pewien jego znajomy mieszkał w sąsiedztwie Marylebone. Często chodzili na długie spacery po tej rozległej enklawie zieleni, podobnej do nowojorskiego Central Parku. Nad jej częścią górował neoklasycystyczny majestat Hanover Terrace z georgiańskimi fasadami w kremowym odcieniu i błękitnymi,

ozdobnymi fryzami. Ale park sam w sobie stanowił jakby odrębny świat. Na wodzie roiło się od łabędzi i dziwnych, nietutejszych gatunków ptaków. Brzegi stawów, częściowo wybetonowane, gdzie indziej chlupotały o kępy bagiennych trzcin. Na asfaltowej ścieżce gołębie walczyły o okruszki z łabędziami. Przystrzyżone rzędy bukszpanów tworzyły naturalną, gęstą, zieloną granicę. Na małym drewnianym kiosku wisiało czerwone koło ratunkowe.

Na tym olbrzymim terenie, pośród drzew i trawników, boisk i kortów tenisowych, Janson zawsze znajdował wytchnienie. Jezioro, po którym pływały łódki, rozciągało się jak ameba, a na końcu zwięzało w obramowany rabatami strumień przepływający pod mostem York Bridge w południowej części parku. Natomiast w samym jego sercu zachwycał ogród królowej Marii, pełen egzotycznej roślinności i rzadkich gatunków ptaków – dyskretny azyl dla dzikiej natury i wrażliwych samotników. Regent's Park, spuścizna po architekcie królewskim Johnie Nashu, stanowił odzwierciedlenie arkadyjskiej wizji Anglii, która, być może, nigdy nie istniała – enklawę pośrodku metropolii, jednocześnie sielską i starannie wypielegnowaną.

Janson biegł truchtem wśród drzew w stronę jeziora. Starał się pozbierać myśli i pojąć sens niezrozumiałego ataku niewidzialnego strzelca. Ale nawet biegnąc, zwracał baczność uwagę na otoczenie. Czuł ogromne napięcie.

Na ile był bezpieczny?

Czy miał do czynienia z pojedynczym snajperem? Mało prawdopodobne. Ten atak z pewnością wymagał drobiazgowych przygotowań. Strzelców wyborowych musiało być więcej, każdy ze swojego stanowiska namierzał inne skrzydło domu. Bezpośrednia

okolica bez wątplenia była dobrze strzeżona, jak zapewniał Thwaite, ale przed atakiem snajpera trudno skutecznie się obronić.

A jeśli w pobliżu czyhali inni snajperzy, to gdzie?

I co to za jedni?

Sam fakt, że w tym sielankowym azylu groziło mu niebezpieczeństwo, napawał go przerażeniem. Zwolnił i spojrzał na olbrzymią wierzbę, której gałęzie opadały ku wodzie. Takie drzewo musiało liczyć sobie ze sto lat. Z pewnością patrzył na nie, kiedy odwiedzał park ćwierć wieku temu. Przetrwało rządy laburzystów i torysów, Lloyda George'a i Margaret Thatcher, bombardowanie Londynu i reglamentację żywności, kryzysy i czasy rozkwitu.

Kiedy podszedł bliżej, w grubym pniu pojawiła się nagle biała plama. Coś stuknęło: w pomarszczoną korę uderzył pocisk.

Pocisk, który znów o mało nie trafił go w głowę. Niesamowita celność powtarzalnego karabinu snajperskiego.

Przyspieszył, wyciągnął szyję, ale nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał, było uderzenie pocisku w drzewo. Nie towarzyszył mu huk wystrzału. Prawdopodobnie broń wyposażono w tłumik. Ale nawet karabin z tłumikiem nie jest całkiem bezgłośny. Coś jednak słyhać, może niezbyt wyraźnie, ale słyhać – przypomina to trzask bicia. Janson dobrze znał ten dźwięk. Fakt, że tego nie zarejestrował, świadczył o jednym: strzał padł z dużej odległości. Gdyby strzelec znajdował się sto metrów od niego, odgłos strzału stłumiłyby liście i pobliskie parkowe hałasy. Wniosek? Deptał mu po piętach nadzwyczaj wprawny snajper.

Albo nawet kilku.

Gdzie szukać schronienia? Nie miał pojęcia. Strach znowu złapał go za gardło.

Kilka kroków przed nim w górę wzbiła się ziemia – kolejny chybiony strzał. Oddany z bardzo dużej odległości do ruchomego celu. Chybiony o dziesięć metrów robiłby wystarczająco duże wrażenie. Ale ten pocisk padł zaledwie metr od niego. Zdumiewające. I przerażające.

Musiał być w ciągłym ruchu. Tylko w ten sposób mógł utrudnić działanie niewidocznym prześladowcom. W dodatku nie wolno mu było biec stałym tempem: dobrze wyszkolony snajper potrafił obliczyć prędkość, z jaką porusza się obiekt.

Proste ćwiczenie: strzelić do celu, który porusza się z określoną prędkością w określonym kierunku, biorąc pod uwagę odległość i prędkość. Należało odmierzyć kilka stopni w lewo od postaci na celowniku, a następnie wystrzelić tam, gdzie cel znajdzie w chwili, gdy dosięgnie go pocisk – a nie tam, gdzie jest w chwili naciśnięcia na spust.

Pozostawała jeszcze istotna kwestia rozlokowania strzelców. Z jednej strony – ruch poprzeczny, prędkość poprzeczna. Z drugiej – ruch, który oddalał bądź przybliżał cel. Praktycznie bez znaczenia: pocisk i tak miał dosięgnąć ofiary.

Janson nie wiedział, ilu jest snajperów ani gdzie zajęli stanowiska. Dlatego nie potrafił przewidzieć, skąd padnie kolejny strzał. Ogień flankowy, ze skrzydeł, wymagał zajęcia pozycji w linii – snajperzy o tak wybitnych umiejętnościach musieli być świadomi, że jeśli przestrzelą, mogą trafić przypadkowego przechodnia lub któregoś ze swoich.

Snajperzy. Gdzie się pochowali? Ostatnie dwa strzały padły z południowego zachodu, gdzie dostrzegał jedynie kępę drzew.

Przyspieszył kroku, rozglądając się wokół. Normalność tego miejsca

w osobliwy sposób przydawała mu grozy. W parku nie było tłumów, ale trochę ludzi się jednak kręciło. Jakiś chłopak kołysał się w rytm muzyki z walkmana. Młoda kobieta z wózkiem plotkowała z przyjaciółką. W oddali słyszał radosne okrzyki dzieciaków, pływających łódeczkami po płytkiej, specjalnie dla nich wydzielonej części stawu. Zakochani, jak to zwykle zakochani, spacerowali wśród zagajników, trzymając się za ręce. W swoim własnym świecie. I on w swoim. Dzielili jego terytorium bez świadomości, że stąpają po śliskim gruncie. Czego mieliby się bać?

Tu tkwił geniusz całej operacji. Bezgłośny strzał snajpera nie zaalarmowałby nikogo. Drobnny odprysk kory, darni, zawirowanie w wodzie, chwilowe, nierzucające się w oczy – kto by to zauważył?

Regent's Park, ta oaza spokoju, zmieniła się w pole śmierci, i nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Nikt, oprócz potencjalnej ofiary.

Gdzie szukać schronienia? To pytanie dręczyło go z coraz większą natarczywością.

Miał pewną przewagę: jego akcja wyprzedzała ich reakcję. Tylko on wiedział, co zrobi za chwilę. Tamci mogli jedynie reagować. Ale gdyby w jakiś sposób potrafili uwarunkować jego działania, ograniczyć swobodę jego ruchów, natychmiast by tę przewagę utracił.

Biegł teraz zygzakiem, żeby utrudnić strzelcom celowanie.

– Ćwiczy pan pracę nóg? – spytał rozbawiony staruszek z gładko zaczesanymi siwymi włosami. – Całkiem nieźle! Jeszcze zagra pan w Manchester United! – zadrwił, jakby zwracał się do kogoś niespełna rozumu.

Janson faktycznie mógł sprawiać wrażenie idioty: wykonywał przedziwne, nieskoordynowane ruchy, biegając, jakby na oślep, to

w lewo, to w prawo.

Nagle przyspieszył i wpadł w tłum przechodniów zmierzających na York Bridge. Dostrzegł tam estradę, która, jak mu się zdawało, stanowiła niezłą ochronę przed zabójcami.

Biegając wzdłuż jeziora, wyminął starszą kobietę, która karmiła wygłodniałe gołębie. Ich wielkie stado wzbiło się w powietrze w gęstej chmurze pierza. Nagle jeden z gołębi runął na ziemię jak kamień. Trafiony zbłąkaną kulą, o czym świadczyła brocząca krwią rana. Zbłąkaną? Przeznaczoną dla Jansona.

Nikt niczego nie zauważył. Wszyscy prócz niego cieszyli się pięknym dniem na łonie natury.

Gdy przebiegał drewnianym mostkiem, z barierki z suchym trzaskiem strzeliły wióry. Niewiarygodny strzał. Jeszcze chwila i będzie po nim.

Popęnił błąd, kierując się na most – świadczyły o tym ostatnie dwa strzały. Z punktu widzenia snajpera ten ruch zmieniał jedynie parametry odległości, ale nie kąta, a dystans było łatwiej skorygować. Janson musiał wziąć to pod uwagę – jeśli chciał przeżyć.

Wbiegł między korty tenisowe ogrodzone gęstą siatką. Na wprost dostrzegł ośmiokątny pawilon ze sztucznie postarzanych desek. Była to jakaś szansa, ale i ryzyko: gdyby to on teraz polował, odgadłby, że obiekt właśnie tutaj poszuka schronienia, i strzelałby w tym kierunku. Dlatego nie mógł pobiec wprost do pawilonu. Ominął go szerokim łukiem i dopiero gdy znalazł się w pewnej odległości, zawrócił i biegnąc zygzakiem, dopadł do ściany budynku. Odpoczywał przez chwilę w jego cieniu, ponieważ pawilon stanowił barierę, która dzieliła go od kępy drzew, gdzie ulokowali się snajperzy.

Metr od jego lewej stopy wystrzelił w górę fragment darni.

Niemożliwe!

Ależ tak, całkiem możliwe. Dał się ponieść pobożnym życzeniom, zakładając, że snajperzy zajęli stanowiska wyłącznie wśród wysokich drzew nad jeziorem. To miało sens: profesjonalni strzelcy zwykle ustawiali się tyłem do słońca, częściowo dlatego, że zyskiwali wtedy lepszą widoczność, ale też – co nawet ważniejsze – żeby nie zdradził ich odbłask celownika. Ostatni strzał sugerował, że pocisk wystrzelono z tego samego kierunku. Jednak wysoki pawilon osłoniłby go przed snajperem ulokowanym na drzewie. Zlustrował wzrokiem horyzont, pełen złych przeczuć.

Daleko, bardzo daleko: stalowa krata dźwigu wysokości dwudziestu, może trzydziestu pięter. Plac budowy na Rossmore Road. Odległość – ponad tysiąc dwieście metrów.

Chryste! Nieprawdopodobne.

Ewidentnie znalazł się na celowniku. Przy odpowiedniej optyce i perfekcyjnym strzelcu... Tak, to było możliwe – dla strzelca wyborowego najwyższej klasy.

Pognał z powrotem do pawilonu, chociaż zdawał sobie sprawę, że znajdzie tu tylko chwilowe schronienie. Teraz już cała ekipa snajperów znała jego dokładne położenie. Im więcej czasu spędzi w pawilonie, tym bardziej skoordynowany i skuteczny atak nastąpi, gdy będzie próbował wyjść. Tamci mogli grać na zwłokę. Nie żeby musieli. Wystarczyło połączyć się przez radio, żeby wezwać „spacerowicza” – tak nazywano w branży pieszych pomocników. Spacerowicz w tweedowej marynarce uzbrojony w pistolet z tłumikiem mógłby go zastrzelić, ukryć broń i kontynuować przechadzkę, nie zwracając niczyjej uwagi. Kryjówka Jansona tylko z pozoru wyglądała na bezpieczną. Z każdą kolejną chwilą rosło

ryzyko, a szanse ucieczki malały.

Musiał myśleć. Działać. Wzbierało w nim uczucie irytacji. Niech to szlag, nie chciał dłużej być celem na treningu strzeleckim. Miał dość! Jeśli tu zostanie, chwilowo bezpieczny, za pięć minut to się zmieni. Bezruch oznaczał śmierć. Nie chciał zginąć skulony ze strachu za parkowym pawilonem, w oczekiwaniu na kulę z ziemi czy z powietrza.

Ofiara musiała zmienić się w myśliwego, tropiony w tropiącego. Przynajmniej spróbuje. Nie miał innej możliwości.

Fakty: polowali na niego snajperzy o nadzwyczajnych umiejętnościach. Jednak rozlokowano ich w taki sposób, że chcąc nie chcąc, zdawali sprawdzian z tych umiejętności. Wszystkie strzały oddano z dużej odległości, więc każdy strzelec powinien brać pod uwagę dziesiątki zmiennych – lekki wiatr, gałązkę na linii strzału – które mogły zmienić trajektorię lotu pocisku. Przy dużych odległościach nawet pozornie nieistotne czynniki nabierały ogromnego znaczenia. Poza tym snajperzy najwyraźniej uważali, żeby nie trafić postronnych osób. Z Bermanem było inaczej: bez wątplenia wzięli go za współnika Jansona. Jego śmierć nie miała znaczenia, a może wręcz uznano, że jest korzystna dla misji.

Pytanie: dlaczego strzelano z tak dużych odległości? Najbardziej wkurzał go fakt, że nie widział swoich prześladowców. Trzymali się z daleka. Ale czemu?

Ponieważ albo oni – albo ich zleceniodawcy – nie chcieli ryzykować. Ponieważ się go bali.

Chryste! To wszystko wyjaśniało. Takie dostali rozkazy: za wszelką cenę unikać bezpośredniego kontaktu. Obiekt nieprzewidywalny i niebezpieczny w walce wręcz. Należało go zlikwidować

z bezpiecznej odległości.

Nasuwał się nieunikniony wniosek, sprzeczny z intuicją: taktyka uników, zwiększanie dystansu do agresora przynosiło skutek odwrotny do zamierzonego.

Musiał odkryć wroga, zbliżyć się do niego. Czy mógł to zrobić, nie ryzykując życia?

Na kamiennej ścieżce biegnącej wokół ogrodu królowej Marii krępa kobieta w dzinsowej spódnicy podała córeczce lornetkę. Miała bladą, lecz miejscami zaróżowioną twarz – niegdysiejsi zalotnicy pewnie nazywali ją „angielską różą”. Jednak rumieniec, dodający jej uroku w młodości, z latami nabrał sztuczności i bynajmniej nie zniknął, gdy stygły emocje.

– Widzisz tego z niebieskimi skrzydełkami? To drozd.

Dziewczynka, na oko siedmioletnia, patrzyła przez lornetkę, nic nie rozumiejąc. To był profesjonalny sprzęt, dziesięciokrotne powiększenie – kobieta widocznie pasjonowała się podglądaniem ptaków, typowo brytyjską rozrywką, i pragnęła zapoznać córkę z niesamowitym światem dzikiego ptactwa.

– Mamusiu, ja nic nie widzę – jęknęła dziewczynka.

Matka schyliła się, żeby skorygować ustawienie okularów.

– Spróbuj teraz.

– Mamo! Gdzie jest ten ptak?!

Natura sprzyjała Jansonowi: powiała lekka bryza, szeleszcząc liśćmi drzew. Strzelec wyborowy musiał uważać na wiatr, zwłaszcza gdy wiał w porywach, co mogło zmienić tor lotu pocisku. W takich warunkach należało wziąć poprawkę „na wiatr”. Jego prędkość określało się na podstawie prostych obserwacji: wiatr wiejący z prędkością sześciu kilometrów na godzinę lekko muska twarz;

między osiem i dwanaście – liście na drzewach nieustannie się poruszają; przy dwudziestu mniejsze drzewa zaczynają się kołysać. Poza tym należało ustalić kierunek wiatru. Bezpośredni wiatr boczny występował rzadko. Na większym dystansie często wiało z różnych kierunków. Co więcej, wiatry wiejące nisko często różniły się od tych, które odczuwał snajper. Wykonanie koniecznych obliczeń, zanim wiatr się zmieni, było nierealne. Wszystko to w istotny sposób zmniejszało celność strzału. Jeśli snajperzy mieli wybór – a mieli – Janson wiedział, że zaczekają, aż wiatr ucichnie.

Podszedł do matki i córki. Serce waliło mu jak młotem. Był świadom towarzyszącej mu śmiertelnej aureoli, ale musiał postawić na szacunek, jaki profesjonalni snajperzy mieli sami dla siebie. Strzelcy wyborowi tej klasy szcycili się swoją precyzją. Trafienie przypadkowych osób wyglądałoby jak niedopuszczalna amatorszczyzna. A wiatr wciąż wiał.

– Przepraszam panią – zwrócił się do kobiety. – Czy mógłbym na chwilę pożyczyć lornetkę?

Puścił oko do dziewczynki, która z miejsca wybuchnęła płaczem.

– Nie, mamusiu! – wrzasnęła. – Lornetka jest moja, moja, moja!

– Tylko na chwileczkę. – Uśmiechnął się, próbując ukryć desperację. W myślach odliczał sekundy.

– Nie płacz, skarbie – rzekła kobieta, głaszcząc purpurową buzię dziewczynki. – Mama kupi ci lizaka, chcesz? – Odwróciła się do Jansona. – Viola jest bardzo wrażliwym dzieckiem – stwierdziła chłodno. – Nieźle ją pan nastraszył.

– Przepraszam...

– Proszę nas zostawić.

– A gdybym powiedział, że to sprawa życia i śmierci? – Janson

zdobył się na – miał nadzieję – ujmujący uśmiech.

– O Boże, wy jankesi! Wydaje się wam, że cały ten cholerny świat należy do was. Odpowiedź brzmi: nie.

Minęło zbyt dużo sekund. Wiatr ucichł. Janson wyobrażał sobie snajpera, którego nie widział: ukrytego wśród liści na mocnej gałęzi albo na platformie dźwigu. Stalowa krata i układ hydrauliczny ograniczały kołysanie do minimum. Gdziekolwiek się ulokował, jego najważniejszym kamuflażem był całkowity bezruch.

Janson znał z autopsji przerażająco chłodną, pozbawioną zbędnych myśli jasność umysłu snajpera. W bazie w Little Creek odbył intensywne szkolenie, po czym musiał przeciwiczyć nabyte umiejętności w terenie. Spędzał całe popołudnia z remingtonem 700, którego łoże spoczywało na dwóch workach z piaskiem. Czekał na ruch w celowniku – oznakę, że cel się wyłania. W słuchawkach słyszał głos Demaresta – łagodnie instruujący, dodający otuchy. „Poczujesz to, zanim zobaczysz. Poczuj to. Odpręż się, zanim oddasz strzał”. Jakże był zaskoczony, gdy strzelił i trafił w cel. Nigdy nie osiągnął takiej perfekcji jak jego obecni prześladowcy, ale radził sobie całkiem nieźle, zresztą nie miał wyboru. A fakt, że kiedyś znajdował się po drugiej stronie celownika, teraz tym bardziej wyprowadzał go z równowagi.

Wiedział, co widzą tamci. Wiedział, co myślą.

Świat strzelca wyborowego ogranicza się do okrągłego obrazu w lunecie i do relacji między ruchomym celem a nitkami krzyża. Pewnie ma karabin Remington 700 albo M40A1. Policzek przylega do kolby. Karabin stał się przedłużeniem jego ciała. Strzelec bierze głęboki wdech i wypuszcza z płuc całe powietrze. Bierze kolejny wdech i wypuszcza powietrze w połowie. Dalmierz laserowy

wyznacza precyzyjną odległość. W krzyżu nitek prostokąt – tułów ofiary. Kolejny wdech, wydech, palec pięści spust...

Janson przykucnął obok płaczącej dziewczynki.

– Hej – uśmiechnął się. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie lubimy cię – burknęła.

Jego osobiście? Amerykanów w ogóle? Kto pojąłby umysł siedmiolatki?

Janson delikatnie zdjął jej z szyi lornetkę i oddalił się szybkim krokiem.

– Mamusiu!!!

Zabrzmiało to trochę jak wrzask, trochę jak jęk.

– Co pan wyprawia, do cholery?! – zagrzmiała matka, czerwona na twarzy.

Janson mocniej ścisnął lornetkę i pomknął w stronę drewnianej estrady, położonej dwieście metrów dalej. Za każdym razem, gdy przyjmował nową pozycję, strzelcy musieli zmieniać ustawienia w bębnach lunet. Kobieta rzuciła się za nim z dziką determinacją. Zostawiła dziecko i biegła, wyszarpując coś z torebki.

Gaz pieprzowy. Kątem oka Janson dostrzegł jej wściekłą minę. Prawdziwa Mary Poppins, dotknięta chorobą szalonych krów.

– Niech cię diabli wezmą! – krzyczała. – Niech to szlag! Niech cię szlag trafi!

W okolicy roiło się od podobnych jej spacerowiczów. Typowi Brytyjczycy – w kaloszach, z atlasami ptaków upchniętymi w obszernych torbach na ramię jedzący cukierki z ekstraktem z drożdży i przesiąknięci zapachem tostów.

Janson się odwrócił. Kobieta była blisko, w wyciągniętej ręce trzymała pojemnik z gazem. Wykrzywiła się w nienawistnym

grymasie, gotowa trysnąć mu sprayem w twarz.

Nagle rozległ się dziwny dźwięk. Pojemnik eksplodował w chmurze pyłu, trafiony pociskiem.

Kobieta stanęła jak wmurowana. Nigdy wcześniej nie widziała skutków przebicia pojemnika pod ciśnieniem. Obłok gazu osiadł jej na twarzy.

– Uszkodzony, co? – rzucił Janson przez ramię.

Kobieta, z mocno załzawionymi oczami, odwróciła się na pięcie i zaczęła biec w przeciwną stronę, krztusząc się i kaszląc. Janson zobaczył jeszcze, jak wskakuje do jeziora, w nadziei, że woda złagodzi uczucie pieczenia.

W drewniany podest estrady uderzył kolejny pocisk – jak dotąd najbliższy celu. Snajperzy posługujący się precyzyjnymi karabinami powtarzalnymi strzelali celniej, lecz z mniejszą częstotliwością, niż gdyby posiadali broń samopowtarzalną. Janson wczołgał się pod estradę, przed którą ustawiono w równych rzędach plastikowe krzeselka. Wieczorem miał się odbyć koncert.

Schowany pod estradą, był w dalszym ciągu narażony na trafienie, ale przynajmniej tamci nie widzieli go dokładnie. Dzięki temu mógł zyskać na czasie, a właśnie czasu potrzebował teraz najbardziej.

Ustawił ostrość w lornetce, lustrując otoczenie w oślepiającym słońcu popołudnia.

Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. W jaskrawym świetle wysięgnik dźwigu wyglądał jak płonąca zapalka. Także drzewa kapały się w świetlistej poświacie.

Drzewa. Dęby, buki, kasztany, jesiony... Miały powyginane gałęzie i nieforemne korony. Sto, może dwieście drzew. Które było najwyższe? Które najgęściejsze? Przypatrywał się chwilę i w końcu

wybrał dwa. Dostroił ostrość.

Liście. Gałęzie. Konary. I...

Poczuł mrowienie na plecach.

Liście trzepotały, mniejsze gałęzie kołysały się nieznacznie – wiał lekki wiatr, więc nie było w tym nic dziwnego. Jednak instykt go nie zawodził: to, co podpowiadała intuicja, szybko zracjonalizował umysł. Jeden z konarów wydawał się zbyt gruby, by chwiać się pod wpływem tak słabych podmuchów. A jednak poruszał się. Dlaczego? Przecież nie pod ciężarem czmychającej wiewiórki? Czy może człowieka?

Albo to wcale nie był konar.

W ostrym słońcu Janson słabo rozróżniał szczegóły, chociaż wciąż poprawiał ostrość. Spróbował wywołać obraz myślami – tej sztuczki nauczył się w Drużynie Diabłów Demaresta. Konar, gałęzie, liście... Możliwe, lecz niezadowalające. Zamaskowany karabin wśród liści, przykryty gałązkami? Kiedy zobaczył to oczami wyobraźni, nagle wszystkie najdrobniejsze elementy zaczęły do siebie pasować. Efekt Gestalt.

Nienaturalnie prosty konar w istocie był zamaskowanym gałązkami karabinem. Drobną, ciemną plamką na końcu konaru to nie zasmolowana rana w drzewie, lecz wylot lufy.

Pięćset metrów dzieliło go od człowieka, który wpatrywał się w celownik z mocnym postanowieniem uśmiercenia go jednym celnym strzałem.

„Idę po ciebie – pomyślał Janson. – I nie zobaczysz mnie, dopóki cię nie dopadnę”.

Na pobliskie boisko zmierzała drużyna piłkarzy. Gdy przechodzili obok niego, Janson wmieszał się między nich. Wiedział, że z dużej

odległości będzie trudno go namierzyć w tłumie wysokich, atletycznych mężczyzn.

Jezioro zwężało się i zmieniało w strumyk. Gdy przechodzili przez drewniany mostek, Janson wskoczył do wody. Czy snajperzy go widzieli? Całkiem możliwe, że nie. Wypuścił z płuc całe powietrze i zanurkował w ciemnej, mętnej wodzie, trzymając się blisko dna. Jeśli udało mu się ich zmylić, będą nadal obserwowali grupkę sportowców. Celowniki o dużej mocy miały z konieczności ograniczone pole widzenia. Nie pozwalały na jednoczesne śledzenie piłkarzy i przeczesywanie okolicy. Janson nie wiedział, ile czasu minie, zanim jego prześladowcy zorientują się, że nie ma go w tłumie.

Kiedy przepłynął na południowy brzeg strumienia, wgramolił się na wyasfaltowany brzeg i dał nura w bukowy zagajnik. Nawet jeśli znalazł się teraz poza zasięgiem snajperów, to tylko na chwilę. Jeden błąd i znów będą go mieli. Ten najgęściej zadrzewiony fragment Regent's Park przywodził wspomnienie z manewrów ćwiczebnych w Thon Doc Kinh.

Wcześniej z pewnej odległości przyglądał się drzewom i wybrał najwyższe. Teraz musiał z bliska zaznajomić się z terenem, który nie tak dawno obserwował przez lornetkę.

O tej porze park zwykle pustoszał. Miało to swoje wady i zalety, ale on musiał wykorzystać zalety. Przyjść optymistyczny punkt widzenia. Oceniając sytuację na trzeźwo, mógłby poddać się zwątpieniu, przestać wierzyć w siebie. To tylko zwiększyłoby szanse tych, którzy na niego polowali.

Podbiegł do najbliższego drzewa, odczekał chwilę i dopadł następnego. Czy nie narobił za dużo hałasu? Czy nadal pozostawał niewidoczny?

Instynkt podpowiadał mu, że znalazł się pod drzewem, na którym ulokował się jeden ze snajperów.

Celność wymaga nadzwyczajnej koncentracji. A koncentracja oznacza całkowite wyłączenie wszystkich zbędnych bodźców. Wiedział o tym z doświadczenia. Widzenie lunetowe nie zależało jedynie od dostępnego pola widzenia. To była kwestia psychiki. Teraz musiał to wykorzystać.

Piłkarze przeszli przez most i minęli ceglasty budynek Regent's College, gdzie mieściła się szkoła baptystów. Na miejscu snajpera zaczęłyby się niepokoić: grupka zdążyła się rozpiezchnąć, a po nim nie było ani śladu. Z pewnością strzelec zakładał, że Janson ukrył się w ceglanym budynku. Co, oczywiście, nie stanowiło problemu. Mógł zaczekać.

Snajper musiał teraz intensywnie przeczesywać teren. Kontaktował się przez radio z przełożonymi. Nie wiedział jednak, co dzieje się na ziemi tuż pod nim. To wszystko działało na korzyść Jansona.

Zaczął wspinać się na drzewo tak cicho, jak tylko potrafił. Powoli, lecz miarowo. Gdy znalazł się na wysokości około trzech metrów, niemal zaparło mu dech w piersiach: nie tylko karabin był doskonale zamaskowany. Cała platforma, na której ulokował się snajper, okazała się sztuczną konstrukcją. Co prawda wyglądała niewiarygodnie realistycznie, ale z bliska widać było, że przymocowano ją do pnia za pomocą stalowego drutu, obręczy, śrub i sworzni pomalowanych burą farbą. Ogromna dbałość o szczegóły. Tylko kilka agencji tak się starało. Wśród nich był Wydział Operacji Konsularnych.

Dosięgnął konstrukcji i gwałtownym szarpnięciem wyrwał główną śrubę. Stalowa lina ześlizgnęła się z pnia. Gniazdo snajpera nagle się zatrzęsło.

Usłyszał stłumione przekleństwo, a po chwili cała platforma runęła na ziemię, łamiąc po drodze kilka gałęzi.

Janson dostrzegł pod drzewem postać snajpera w zielonym stroju. Smukły chłopak – wyjątkowy talent, bez wątpienia – leżał na ziemi, chwilowo ogłuszony upadkiem. Paul płynnie zsunął się z pnia, przygwoździł strzelca, siadając na nim okrakiem, i wyrwał mu broń z rąk.

– Cholera! – zaklął chłopak dźwięcznym, młodzieńczym głosem.

Janson trzymał przed sobą ponadmetrowej długości karabin, którym trudno było manewrować przy tak małej odległości. Zmodyfikowany M40A1 – powtarzalny karabin wyborowy, stuningowany w Quantico przez specjalnie szkolonych rusznikarzy z jednostki snajperskiej korpusu amerykańskiej piechoty morskiej.

– Zamiana ról – powiedział cicho.

Zacisnął kołnierz kurtki snajpera wokół jego szyi i zerwał nadajnik. Mężczyzna wciąż leżał na brzuchu. Janson zwrócił uwagę na jego krótkie, nastroszone, ciemne włosy, smukłe nogi i wąskie ramiona, które niespecjalnie przydawały mu męskości. Obmacał go i wyjął zza paska mały kieszonkowy pistolet Beretta Tomcat.

– Zabierz te cholerne łapy – syknął strzelec, przewracając się na plecy i patrząc na niego z wyrazem czystej furii.

– Chryste – wyszeptał Janson mimowolnie. – Jesteś...

– Co?!

Wyzywające, gniewne spojrzenie.

Janson pokręcił głową. Snajper próbował się wyswobodzić, ale Janson przygwoździł go do ziemi. Znów spotkali się wzrokiem.

Genialny strzelec wyborowy, gibki, zręczny, silny – okazał się kobietą.

Rozdział 17

Jak dzikie zwierzę znów rzuciła się na niego, wściekle próbując wyrwać mu pistolet. Janson cofnął się zwinnie i oparł kciuk na bezpieczniku.

Kobieta nie spuszczała wzroku z pistoletu.

– Jesteś bez szans, Janson – stwierdziła. – Mogłeś przechytrzyć tamtych tłustych dupków z ambasady. Ale tym razem wysłali najlepszych.

W jej głosie pobrzmiwał akcent typowy dla regionu Appalachów, a chociaż siliła się na swobodny ton, nie potrafiła ukryć napięcia.

Czy swoją brawurą próbowała go zniechęcić, czy dodać sobie odwagi?

Uśmiechnął się chłodno.

– Pozwól, że przedstawię ci bardzo rozsądną propozycję: albo się dogadamy, albo cię zabiję.

Prychnęła.

– Sądzisz, że będę numerem czterdzieści siedem? Nie łudź się, staruszku.

– Nie rozumiem?

– Byłabym czterdziesta siódma. – Kiedy nie odpowiadał, dodała: – Sprzątnąłeś czterdzieści sześć osób, prawda? Przynajmniej oficjalnie, w walce.

Jansona zmroziło. Liczba się zgadzała – chociaż nigdy nie stanowiła

powodu do dumy, a z biegiem czasu przysparzała mu tylko cierpienia. Ale znało ją niewielu.

– Po kolei – rzekł. – Skąd jesteś?

– A jak ci się zdaje?

– Tylko bez wygłupów. – Przycisnął do jej przepony lufę karabinu. Zakaszłała.

– Tak jak ty... kiedyś.

– Wydział Operacji Konsularnych.

– Zgadłeś.

Odłożył karabin. Przeznaczony dla oczekującego w zasadzce strzelca, przy ponadmetrowej długości i wadze prawie siedmiu kilogramów był za duży i zbyt nieporęczny, żeby co chwilę przekładać go z miejsca na miejsce.

– Wobec tego musisz być członkiem jednostki snajperskiej Lambda. Przytaknęła.

– Niezawodnej jednostki – podkreśliła.

Mówiła prawdę. A to oznaczało jedno: wydano rozkaz likwidacji. Wydział Operacji Konsularnych wystosował wytyczne dla elitarniej brygady specjalistów: zabić. Wyeliminować z zachowaniem wszelkich środków ostrożności.

Karabin był ewidentnie dobrze konserwowany i na swój sposób piękny. W magazynku mieściło się pięć naboarów. Janson otworzył komorę, wyjął nabój i zagwizdał cicho.

Tajemnica rozwikłana: trzymał w ręku nabój Whisper.458, produkowany przez firmę SSK Industries, z prawie czterdziestogramowym pociskiem typu Winchester Magnum o niskim oporze czołowym. Takie pociski powoli wytracały szybkość, zachowując dużą energię nawet przy odległościach przekraczających

tysiąc sześćset metrów. Jednak najbardziej niezwykle było to, że pocisk wylatywał z prędkością poddźwiękową, co eliminowało trzask wystrzału, typowy dla pocisków naddźwiękowych. Stąd nazwa: Whisper, czyli „szepc”. W połączeniu z tłumikiem niesłyszalny z dystansu kilkudziesięciu metrów.

– Dobrze, koleżanko – powiedział Janson, pozostając mimo wszystko pod wrażeniem jej opanowania. – Muszę wiedzieć, gdzie są pozostali. I nie próbuj wciskać mi kitu.

Kilkoma szybkimi ruchami wyjął magazynek i wrzucił karabin między splecione gałęzie. Wycelował do dziewczyny z pistoletu.

Przez kilka długich chwil mierzyła go niechętnym wzrokiem. Janson przyglądał się jej obojętnie. Mógłby ją zabić bez żadnych skrupułów. Miała szczęście, że dotąd tego nie zrobił.

– Jest jeszcze jeden... – zaczęła.

Była jego przeciwniczką, ale przy odrobinie szczęścia mógł przeciągnąć ją na swoją stronę, wykorzystać jako tarczę ochronną i źródło informacji. Wiedziała, gdzie ulokowali się pozostali snajperzy.

No i kłamała jak z nut.

Trzepnął ją w skroń lufą pistoletu.

– Wolałbym nie budować naszej relacji na kłamstwach – powiedział. – Z mojego punktu widzenia jesteś zwykłą morderczynią. Nie dość, że omal mnie nie zastrzełaś, to jeszcze naraziłaś życie niewinnych ludzi.

– Akurat – burknęła. – Wiedziałam, co robię. Brałam pod uwagę margines błędu. Metr dwadzieścia. Żaden mój pocisk nie przekroczył tej granicy. Przechodnie byli bezpieczni. Wszyscy, z wyjątkiem ciebie.

To, co mówiła, potwierdzało jego wcześniejsze obserwacje.

Przynajmniej w tej kwestii nie kłamała. Ale celność tak doskonała z odległości ponad pięciuset metrów. To czyniło z niej absolutne zjawisko.

– No dobrze. Zaczailście się w linii. Byłoby bez sensu ulokować innego snajpera w odległości pięćdziesięciu metrów od ciebie. Ale wiem, że w okolicy jest ich jeszcze co najmniej trzech. Nie wspominając o tym na dźwigu... i jeszcze dwóch na drzewach.

– Skoro tak twierdzisz...

– Podziwiam twoją dyskrecję. Ale jeśli na nic nie przydasz mi się żywa, będę musiał cię zabić.

Odbezpieczył pistolet, muskając spust palcem wskazującym.

– Dobrze już, dobrze – wyrwało jej się. – Dogadajmy się.

Zgodziła się stanowczo zbyt szybko.

– Zapomnij, kochana. Nie ufam ci. – Bawił się bezpiecznikiem, trzymając palec na spuście. – Gotowa na strzał z bliska?

– Nie, zaczekaj. – Dziewczyna chyba na serio się przestraszyła. – Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Jeśli skłamię, zabijesz mnie.

– To moja gra i moje zasady. Powiesz mi, gdzie jest najbliższy snajper. Podejdziemy tam. Jeśli się mylisz, zginiesz. Jeżeli snajper zmienił pozycję bez powiadomienia pozostałych – twój pech. Zginiesz. Jeśli mnie zdradzisz, zginiesz. Pamiętaj: znam system, instrukcje, protokoły. Jestem autorem części z nich.

Dziewczyna wstała niepewnie.

– Dobrze. Twoja gra, twoje zasady. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że pracujemy osobno. Kamuflaż wykluczał partnerstwo, więc każdy działa na własną rękę. Po drugie, mamy strzelca wyborowego na dachu Hanover Terrace.

Janson przypomniał sobie majestatyczny, neoklasycystyczny

budynek górujący nad parkiem – mieszkało tam wielu brytyjskich oficjeli. Biało-niebieski fryz nad architrawem, białe kolumny, kremowa fasada. Snajper musiałby zająć stanowisko za tralkami. Kolejne kłamstwo. Inaczej Janson już by nie żył.

– Rusz głową, skarbie – rzekł. – Snajper ulokowany na balustradzie dawno by mnie sprzątnął. Poza tym spostrzegłaby go ekipa remontująca dachy na Cumberland Terrace. Sama brałaś pod uwagę to stanowisko, ale się rozmyśliłaś. – Znów trzepnął ją mocno. Zatoczyła się do tyłu. – Kiepsko to wygląda. Jeszcze jedno kłamstwo i zginiesz.

Opuściła głowę.

– Musiałam przynajmniej spróbować – mruknęła.

– Macie kogoś przy Park Road?

Chwilę milczała. Wiedziała, że Janson wie. Nie było sensu wykręcać się od odpowiedzi.

– Ehrenhalt jest na balkonie minaretu – przyznała.

Janson pokiwał głową.

– A z lewej?

– Spójrz przez lornetkę – powiedziała. – Zobacz sam, skoro mi nie ufasz. Strzelec B zajmuje pozycję trzysta metrów dalej na północny zachód. – Był tam niski, ceglany budynek telekomunikacji. – Na dachu. Wysokość nie jest optymalna, dlatego dotąd nie oddał celnego strzału. Ale gdybyś próbował opuścić park przez Jubilee Gate, już byś nie żył. Rozstawiliśmy ludzi na dole – na Baker Street, Gloucester Street i na York Terrace Way. To „spacerowicze” z glockami. Dwaj strzelcy wyborowi kontrolują na całej długości Regent’s Canal. Jest jeszcze jeden na dachu Regent’s College. Mieliśmy nadzieję, że będziesz tam szukał schronienia. Z odległości dwustu metrów wszyscy

mamy stuprocentową skuteczność przy strzale w głowę.

„Mieliśmy nadzieję, że będziesz tam szukał schronienia”.

O mały włos.

Janson odwzorował w myślach pozycje, które podała. To brzmiało wiarygodnie. Osobiście rozlokowałby snajperów w ten sam sposób.

Zaciskając mocno dłoń na pistolecie, spojrzął przez odebraną jej lornetkę – model Swarovski 12x50. Wspomniany przez nią bunkier był jedną z typowych miejskich budowli, na które zwykle nie zwraca się uwagi. Dobre stanowisko. Czy ktoś faktycznie tam się zaczął? Budynek zasłaniały gęste korony drzew, ale udało mu się dojrzeć jego fragment. Snajper? Przyjrzał się z uwagą. Coś tam było... Rękawiczka? But? Nie miał pojęcia.

– Idziemy – oznajmił raptownie, chwytając dziewczynę za rękę.

Z każdą chwilą pozostali strzelcy mogli zacząć analizować sytuację. Gdyby doszli do wniosku, że Janson znalazł się poza zasięgiem, na pewno by się przegrupowali, co diametralnie zmieniłoby jego położenie.

– Rozumiem – prychnęła dziewczyna. – Powtórka z obozu

Hamasu w Syrii, niedaleko Qael-Gita. Wzięłeś jako zakładnika jednego z wartowników, zmusiłeś go, żeby zdradził ci, gdzie czeka następny, od tego drugiego też wyciągnąłeś potrzebne informacje, i w ten sposób w niecałe dwadzieścia minut rozpracowałeś całą straż.

– Skąd o tym wiesz, do cholery? – spytał Janson, zaskoczony.

Mało kto znał takie szczegóły operacyjne, nawet wewnątrz organizacji.

– Zdziwiłbyś się, co jeszcze o tobie wiem – powiedziała.

Janson szedł wielkimi krokami przez trawnik, wlokąc ją za sobą. Dziewczyna głośno szurała butami. Oczywiście celowo.

– Ciszej! – ostrzegł ją. – Bo pomyślę, że nie chcesz współpracować.

Posłuchała. Zaczęła stąpać ostrożnie, omijając liście i gałęzie. Potrafiła poruszać się bezszelestnie – wszyscy w jej zespole zostali odpowiednio przeszkoleni.

Gdy doszli na skraj parku, dobiegł ich hałas ulicy i smród spalin. Znajdowali się w samym sercu Londynu, na zielonym trawniku, założonym niemal dwa wieki temu i od tamtej pory troskliwie pielęgnowanym. Czyżby ta starannie przystrzyżona murawa miała nasiąknąć jego krwią?

Znaleźli się przed niewielkim budynkiem. Janson przyłożył palec do ust.

– Tylko cicho!

Ścisnął w dłoni pistolet. Schylił się i dał jej znak, żeby zrobiła to samo. Na dachu ceglanego niskiego baraku leżał na brzuchu snajper. Teraz Paul widział go dokładnie. Lewą ręką podtrzymywał karabin. Żaden strzelec nigdy nie opierał lufy o podpórkę – to zakłócało naturalne drgania, przez co strzał był nieprecyzyjny. Mężczyzna, w pełni skoncentrowany, patrzył przez lunetę. Oparty na lewym łokciu, nieznacznie korygował pole widzenia. Miał wyprostowane ramiona. Stopka kolby dotykała zagłębienia nad obojczykiem, a łożo karabinu spoczywało na lewej dłoni. Modelowa pozycja.

– Victor! – krzyknęła nagle dziewczyna.

Snajper poderwał się gwałtownie, obrócił karabin i wystrzelił na oślep. Janson odskoczył w bok, ciągnąc dziewczynę za sobą. Kilkom sekundami dopadł baraku, podskoczył, błyskawicznym ruchem chwycił za lufę i wyrwał karabin. Mężczyzna pospiesznie sięgnął po pistolet, wychylając się, ale Janson zamachnął się i z całej siły rąbnął go kolbą w głowę. Snajper osunął się na ziemię nieprzytomny.

Dziewczyna z impetem rzuciła się na Jansona. Gdyby odebrała mu berettę, wszystko by się zmieniło. Janson w ostatniej chwili zrobił unik. Złapała go za połą mokrej marynarki i walnęła kolaniem w krocze. Kiedy pochylił się w obronnym geście, zacisnęła dłoń w pięść. Pistolet poszybował w powietrze.

Oboje cofnęli się o kilka kroków.

Dziewczyna przyjęła klasyczną pozycję do walki: uniesiona lewa ręka, zgięta prostopadle do ciała, blokowała ewentualny atak. Cios nożem tylko zraniłby skórę, odbijając się od kości. Najważniejsze mięśnie, tętnice i ścięgna zostały dobrze osłonięte. Prawa ręka zwisała wzdłuż tułowia. Dziewczyna trzymała w niej mały nóż – najwidoczniej ukryła w bucie. Janson nie zauważył, kiedy go wyjęła. Była dobra. Szybkością i zwinnością biła go na głowę.

Gdyby się na nią rzucił, zraniłaby go w rękę, skutecznie kontrując. Sytuacja jak z podręcznika.

Fakt, że była tak dobrze wyszkolona, dziwnym trafem go uspokajał. Przecwiczyl w myślach najbliższe dziesięć sekund, przewidując jej kolejne ruchy. Świetne wyszkolenie stanowiło ojej słabości. Janson wiedział, co ona robi, ponieważ wiedział, czego ją nauczono. Sam uczył dokładnie tych samych technik. A dwadzieścia pięć lat, które spędził w terenie, dodatkowo dawało mu przewagę. Znał więcej chwytów i uderzeń, miał większe doświadczenie, potrafił się obronić.

– Tata zawsze mi powtarzał, żeby nie używać noża podczas strzelaniny – rzuciła. – Sama nie wiem. Zawsze mam go przy sobie na wszelki wypadek i jeszcze nigdy źle na tym nie wyszłam.

Trzymała rękojeść noża jak smyczek, swobodnie, lecz pewnie.

I sprawiała wrażenie osoby, która umie się nim posłużyć z powalającą precyzją.

Janson niespodziewanie rzucił się do przodu, chwytając ją za wyciągniętą rękę. Tak jak przewidział, podniosła do góry nóż, a wtedy z całej siły uderzył ją w nadgarstek, mierząc precyzyjnie w nerw środkowy, mniej więcej dwa i pół centymetra od nasady dłoni. Dziewczyna mimowolnie rozprostowała palce i upuściła nóż.

Paul schylił się, żeby go podnieść, jednak w tej samej chwili złapała go za ramię i wbiła kciuk w mięsień czworoboczny, paraliżując całą rękę. Poczuł dojmujący ból. Szkolenie zatriumfowało nad instynktem – jego przeciwniczka była niesamowicie waleczna. Boleśnie uderzył ją nogą w prawe kolano. Straciła równowagę i zatoczyła się do tyłu, tyle że Janson też się zachwiał i w rezultacie przewrócił na nią.

Czuł ciepło jej spoconego ciała. Napinała mięśnie, wijąc się i wierzgając jak doświadczony zapaśnik. Silnymi udami przytrzymał jej nogi, ale ręce miała wolne i mogła mu zrobić krzywdę. Uderzyła go w splot ramienny – wiązkę nerwów, biegnących od ramienia do kręgów szyjnych. Zaparł się łokciami i całym ciężarem brutalnie przygwoździł jej ręce do ziemi.

Widział z bliska jej twarz wykrzywioną gniewem i –jak mu się zdawało – odrazą do samej siebie za to, że tak łatwo się poddała.

Zobaczył, jak napina mięśnie szyi, i domyślił się, że chce złamać mu nos, uderzając czołem. Musiał ją unieruchomić. Czuł ciepło jej oddechu.

– Ty naprawdę chcesz mnie zabić, prawda? – stwierdził niemal z rozbawieniem.

– Nie, no co ty – odparła tonem pełnym sarkazmu. – Jeśli o mnie chodzi, to tylko gra wstępna.

Wierzała z całych sił. O mały włos mu się wyrwała.

– Co ci powiedzieli? O mnie?

Przez kilka chwil oddychała ciężko, z trudem łapiąc oddech.

– Że z ciebie ostatni łajdak – wydyszała. – Zdradziłeś wszystko, co kiedykolwiek miało dla ciebie znaczenie. Zabijałeś dla pieniędzy. Nie ma gorszych od ciebie.

– Gówno prawda.

– Akurat! Wystawiłeś do wiatru wszystkich. Sprzedałeś agencję, sprzedałeś swój kraj. Zginęli przez ciebie najlepsi ludzie.

– Czyżby? Jak to tłumaczą?

– Postradałeś rozum. Albo zawsze byłeś gnidą. Nieważne. Każdy dzień twojego życia zagraża życiu nas wszystkich.

– Tak ci powiedzieli?

– Bo to prawda – wydyszała, spluwając. Znów szarpnęła całym ciałem, próbując się wyswobodzić. – Cholera. Przynajmniej nie śmierdzi ci z ust. Mam to szczęście. Co teraz? Zabijesz mnie? Czy będziemy się pieprzyć na sucho?

– Nie pochlebiaj sobie. Taka z ciebie spryciara i wierzysz we wszystko, co mówią? – Janson odchrząknął. – W sumie to żaden wstyd. Kiedyś też im wierzyłem.

Stykali się czołami, nosami, niemalże ustami: osobliwa, niepokojąca bliskość między dwojgiem śmiertelnych wrogów.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Chcesz mi sprzedać inną wersję? Słucham. Nie mogę zrobić nic więcej.

Mimo to raz jeszcze próbowała go z siebie zrzucić.

– Wrobili mnie. Przez ponad dwadzieścia lat pracowałem w Wydziale Operacji Konsularnych. Zresztą sama wiesz. Dużo o mnie wiesz. Czy to wszystko, co ci naopowiadali, pasuje do profilu?

Milczała przez chwilę.

– Jak to udowodnisz? Jeśli to nieprawda, co o tobie mówią, spróbuj mnie przekonać. Trudno mi teraz z tobą negocjować. Ale chciałabym wiedzieć, po prostu.

Po raz pierwszy nie usłyszał w jej głosie wrogości. Tym razem się z nim nie droczyła. Być może jego własny ton sprawił, że nagle zaczęła wątpić w to wszystko, czego się o nim dowiedziała.

Odetchnął głęboko. Znów ta dziwna, niechciana intymność.

Dziewczyna nieco się rozluźniła.

– Dobra, a teraz złaż ze mnie – burknęła. – Przecież ci nie ucieknę, wcześniej byś mnie trafił. Słucham, mów dalej.

Upewnił się, że całkiem rozluźniła ciało, i podjął decyzję: postanowił jej zaufać. Zsunął się z niej jednym, płynnym ruchem. Nie zapomniał jednak o pistolecie – beretta wciąż leżała pod jesionem. Szybko podniósł i schował pistolet za pasem.

Dziewczyna chwiejnie stanęła na nogi. Uśmiechnęła się chłodno.

– Masz pistolet, czy może...

– Mam pistolet – uciął ostro. – Coś ci powiem. Kiedyś byłem taki jak ty. Nazywali mnie maszyną do zabijania. Tą maszyną sterowali inni. Sądziłem, że mam swój własny rozum, że sam podejmuję decyzje. Ale prawda wyglądała inaczej. W rzeczywistości byłem tylko marionetką.

– Co ty powiesz! – wtrąciła. – Interesują mnie konkrety, nie sentymentalne rozważania.

– Dobrze. – Janson westchnął, przywołując dawne wspomnienie. – Szpieg, namierzony w Sztokholmie...

Nagle przypomniał sobie tego mężczyznę. Rozmyte rysy, pulchna twarz – miękki urzędas, który życie spędzał za biurkiem. Przerażony. Śmiertelnie. Cienie pod oczami zdradzały bezsenność i ogólne

wyczerpanie. W lunecie celownika Janson widział wrak człowieka. Mężczyzna nerwowo poruszał ustami. Ale czego tak się bał? Wykonywał rutynowe zadanie. Inni agenci bez problemu załatwiali sprawę, kilka bądź kilkanaście razy w roku zostawiając wiadomości w skrzynce kontaktowej, bez śladu zdenerwowania. Ale w oczach tego człowieka malował się strach i nienawiść do samego siebie. A kiedy odwrócił się do towarzysza – Rosjanina, będącego domniemanym kontaktem – na jego twarzy, zamiast chciwości czy wdzięczności, odmalowała się odraza.

– Sztokholm – rzuciła dziewczyna. – Maj. Rok osiemdziesiąty trzeci. Na twoich oczach agent nawiązał kontakt z KGB. Sprzątnąłeś go na miejscu. Celny strzał jak na amatora.

Z dachu mieszkania w parkową ławkę, dwie przecznice dalej.

– Chwileczkę – zaprotestował. Wkurzało go, że tyle o nim wie. – Opisujesz to na podstawie moich własnych raportów. Skąd miałem wiedzieć, że to zdrajca? Tak mi powiedziano. A KGB? Rozpoznałem twarz, ale dane dostałem od mocodawców. Może się mylili.

– Czyli to nie był oficer KGB?

– Był. Nazywał się Siergiej Kuźmin. Ale ten przestraszony mężczyzna, który się z nim spotkał, okazał się Bogu ducha winny. Zaszantażowano go. Nie miał dla KGB żadnych istotnych informacji. Chciał przekonać oficera KGB, że nic dla niego nie ma, że jako urzędnik niższego szczebla nie dysponuje cennymi informacjami. Chciał mu powiedzieć, żeby spadał, po prostu. Bez względu na konsekwencje.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z jego żoną. Chociaż nie musiałem.

– Skąd wiedziałeś, że mówi prawdę?

– Wiedziałem. Po prostu. – Wzruszył ramionami. – Nazwij to wyćwiczoną intuicją. Może nie sprawdza się na sto procent, ale na dziewięćdziesiąt.

– Dlaczego nie napisałeś o tym w raporcie?

– Bo dla tych, którzy zlecili mi to zadanie, nie było to żadną nowością. Im chodziło o coś innego. Chcieli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, dać do zrozumienia dyplomatom na całym świecie, że kontakty z wrogami mogą ich dużo kosztować. Miałem im udowodnić jak dużo.

– A po drugie?

– Szwed zdążył przekazać informacje KGB. Zabijając go, daliśmy im do zrozumienia, że wiemy o przecieku. Cenne dane dotarły tam, gdzie trzeba – posłaliśmy spreparowane informacje. Bo to wszystko było zaaranżowane. Ale śmierć Szweda uwiarygodniła cały spisek.

– Więc wygraliście.

– Czyja wiem? Kuźmina awansowali. Ale wyłączmy kamerę i zadajmy sobie pytanie: czy to cokolwiek zmieniło? W tej konkretnej sprawie zmyliliśmy KGB, ale ostatecznie co z tego wynikło? Czy facet musiał zginąć? Miał żonę. Gdyby żył, doczekałby się dzieci i wnuków. Świętowaliby razem Boże Narodzenie, piliby grzane wino, wyjeżdżaliby na narty... – Urwał. – Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak sentymentalnie. Jesteś za młoda, żeby zrozumieć. Chodzi o to, że czasem nam wszystkim wciskają stek kłamstw. Czasem nawet nasi mocodawcy działają w dobrej wierze. Zapewne tak było w twoim przypadku.

– Jezu – wyszeptała. – Teraz rozumiem. Naprawdę. Kazali ci zdjąć tego Szweda, nie tłumacząc nawet dlaczego?

– Kazali mi go zabić, bo kontaktował się z Kuźminem. To wszystko

było zmanipulowane. Ja sam zostałem zmanipulowany. Czasem dyrektywa co innego mówi, co innego znaczy.

– Teraz dopiero zadałeś mi bobu.

– Nie chciałem mącić ci w głowie. Chciałem tylko, żebyś się nad tym zastanowiła.

– Na jedno wychodzi – stwierdziła. – Ale dlaczego? Dlaczego wydali na ciebie wyrok?

– Też mnie to interesuje.

– W wydziale byłeś legendą, zwłaszcza wśród młodych. Nie masz pojęcia, Janson... Nie masz pojęcia, co przeżyliśmy, kiedy powiedziano nam, że jesteś zdrajcą. To było takie... demoralizujące. Przecież nie wymyśliliby tego ot tak sobie...

– Ot tak sobie? Nie. Nie tak działa agencja. Większość ludzi kłamie, żeby ratować własną skórę. Albo żeby wyjść na lepszych, niż naprawdę są. Przypisują sobie nie swoje zasługi. Albo winę zrzucają na innych. Czasem mają dużo szczęścia i wychodzi na to, że osiągnęli coś dzięki własnym umiejętnościom. Ale tego rodzaju kłamstwa mnie nie niepokoją. Niepokoją mnie kłamstwa „w dobrej wierze”. Te, które rozpowszechniają dla tak zwanych wyższych celów. Poświęcając maluczkich w imię lepszej sprawy. – Jego głos przepełniała gorycz. – Nie znoszę kłamców przemawiających w imię większego dobra. W ich własnym mniemaniu.

– Chwila! – Dziewczyna przeczesła dłonią włosy. – Nie nadążam. Jeśli zamierzają z ciebie zrobić kozła ofiarnego, muszą mieć jakieś powody?

– Pewnie tak jest. Z ich punktu widzenia. Z punktu widzenia korzyści dla agencji.

– Wcześniej wspomniałeś o swoim profilu. Przypadkiem sporo

wiem na ten temat. Masz rację. Coś tu nie pasuje. Albo nie byłeś tak dobry, jak mówiono, albo nie jesteś taki zły, jak mówią teraz.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Mogę cię o coś spytać? Czy operację Lambdy autoryzował rząd brytyjski?

– Nie było czasu na dyplomatyczne zabiegi.

– Rozumiem – powiedział Janson. – Wobec tego musisz podjąć decyzję.

– Ale dyrektywa...

– Chodzi o moje życie. Oczywiście, że mam w tym interes. Ty także. Taką lekcję dostałem od losu.

Dziewczyna przez chwilę sprawiała wrażenie speszzonej.

– Dobrze, spójrz jeszcze raz przez lornetkę. Na wysokim drzewie obok wejścia na Primrose Hill zobaczysz snajpera C.

Janson podniósł do oczu lornetkę i przez moment wpatrywał się w listowie. Przypomniawszy sobie słowa Angusa Fieldinga: „Na ile ufasz własnemu rządowi?”. Była w tym pewna logika. Co jeśli za śmierć Petera Novaka odpowiadał Wydział Operacji Konsularnych, być może we współpracy z agentem ze ścisłego grona fundacji? To tłumaczyłoby, dlaczego Stany Zjednoczone oficjalnie odmówiły udziału w operacji uwolnienia zakładnika. Ale kto wpłacił na konto szesnaście milionów dolarów? A jeśli Wydział – bądź inna agencja rządowa – zlecił zabójstwo Novaka, to czemu? Czemu Novak miałby stanowić aż takie zagrożenie? Tu tkwił najważniejszy element łamigłówki, Janson zdawał sobie z tego sprawę. Łamigłówki, którą musiał rozwiązać nie tylko dlatego, że tak dyktowało mu wewnętrzne poczucie sprawiedliwości, ale też dlatego, że chciał przeżyć.

Jego myśli przerwał potężny cios w głowę. Zatoczył się do tyłu,

ogłuszony, oszołomiony.

Dziewczyna. Stała na wprost niego, trzymając w dłoni gruby stalowy pręt zbrojeniowy. Zakrwawiony. Musiała wyciągnąć go ze sterty materiałów budowlanych za barakiem.

– Jak to mówią, każde narzędzie może posłużyć za broń, wystarczy mocno trzymać.

Kolejny cios tym razem trafił go powyżej ucha. Stalowy pręt odskoczył z głuchym odgłosem metalu uderzającego o kość. Zakreśliło mu się w głowie.

– Ostrzegali nas, że potrafisz kłamać jak z nut – warknęła dziewczyna.

Przez czerwoną mgiełkę krwi widział jej wykrzywioną nienawiścią twarz.

Niech to szlag! W chwili gdy należało zachować czujność, dał się zwieść kłamliwym pozorom współczucia. Tymczasem dziewczyna tylko grała na zwłokę, czekając na odpowiedni moment. Wystrychnęła go na dudka.

Leżał na ziemi. Krew pulsowała mu w skroniach niczym silnik parowy. Półprzytomny, chciał sięgnąć po pistolet, ale było za późno. Dziewczyna pobiegła przed siebie co sił w nogach.

Uderzenie spowodowało przynajmniej lekki wstrząs mózgu. Przez najbliższych kilka minut na pewno nie stanie na nogi. A po niej za chwilę nie będzie ani śladu. Wróg czy sprzymierzeniec, to już nie miało znaczenia.

Zbierało mu się na mdłości, a jednocześnie ogarnęło go uczucie dojmującej pustki. Czy mógł komuś zaufać? Kto wystąpił przeciw niemu?

A on sam, po której stał stronie?

Wiedział jedno: był sam. Raczej nie mógł liczyć na sojuszników. O ile w ogóle na to zasługiwał. Kobieta snajper wierzyła, że jest winny. Czy na jej miejscu postąpiłby inaczej?

Spojrzał na zegarek, spróbował wstać i w tej samej chwili stracił przytomność.

•••

– Próba łączności.

– Potwierdzam. Odbiór.

W Wietnamie rzadko było cicho. Strefa walki rozbrzmiewała kaskadą dźwięków. Dudniła artyleria, świszczwały race rozświetlające niebo oślepiającym blaskiem. Powietrze przecinały zygzaki pocisków smugowych, huczały helikoptery, migotały światła odrzutowców. Po pewnym czasie wydawało się to tak naturalne jak hałas uliczny w godzinie szczytu. Ale dowódca nauczył ich rozpoznawać dźwięki, które w tym znajomym szumie były obce.

Janson obserwował przez lunetę bagienne trawy i drzewa palmowe. W końcu namierzył polanę z dwiema maleńkimi chatami. Przy ognisku siedzieli w kucki dwaj partyzanci Wietkongu. Czy przygotowywali miny? Trzy dni wcześniej Mendez wpadł na jedną z nich. Zaraz po wybuchu wystrzeliła raca oświetlająca, która z głośnym świstem opadała ku ziemi na małym spadochronie, oblewając ich upiorną, białą poświatą. Nie mogli sobie pozwolić na kolejny błąd.

Janson wywołał przez radio Demaresta. Namierzonych co najmniej dwóch partyzantów Wietkongu. Odległość: trzysta metrów. Czekam na instrukcje.

Czekam na instrukcje.

Czekam na instrukcje.

W słuchawkach rozległy się trzaski. Po chwili usłyszał głos Demaresta.

– Ostrożnie z tym towarem. Przetransportować dwa kilometry na północ od bazy. Potraktować jak kruchy kryształ. Żadnych pęknięć, otarć, zadrapań. Dasz radę?

– Panie komandorze...?

– Schwytać, nie robiąc krzywdy. Nie rozumiesz po angielsku? Mogę powtórzyć to samo w siedmiu innych językach.

– Nie trzeba, panie komandorze. Zrozumiałem. Nie wiem tylko, jak uda nam się...

– Znajdziesz sposób, Janson.

– Dziękuję za zaufanie, ale...

– Nie ma za co. Ja znalazłbym sposób. A coś mi mówi, że jesteśmy do siebie bardzo podobni.

...

Zamiast tropikalnych pnączy wymacał palcami równo przyszyżoną trawę. Z trudem otworzył oczy. Omiótł wzrokiem zieloną równinę parku i spojrzał na zegarek. Minęły dwie minuty. Zachowanie świadomości wiązało się z dużym wysiłkiem, ale musiał go podjąć.

Różne myśli, które przebiegały mu przez głowę, wyparła jedna, najważniejsza: nie miał czasu.

Z pewnością snajperzy odkryli, że wyeliminował dwoje z nich. Świadczył o tym choćby brak sygnału radiowego. Będą penetrować okolice. Kręciło mu się w głowie, krew boleśnie pulsowała w skroniach, zdołał jednak przedrzeć się przez swoisty tor przeszkód

w postaci stożkowatych cisów i dotarł do Hanover Gate.

Z czarnej taksówki gramoliło się starsze małżeństwo Amerykanów.

– Mówiłam ci, żebyś nie dawał napiwków – strofowała męża kobieta. Miała sporą nadwagę i sprawiała wrażenie osoby cierpiącej na chroniczną niestrawność. – Jesteśmy w Anglii. Tu się nie daje napiwków.

Jaskrawa, pomarańczowa szminka podkreślała zmarszczki wokół jej ust.

– Bzdura – gderał mężczyzna. – Co ty tam wiesz. Na niczym się nie znasz, ale zawsze musisz się wymądrzać.

Ostrożnie oglądał nieznanome banknoty w portfelu, niczym archeolog rozwijający starożytny zwój papirusu.

– Sylvio, masz może banknot dziesięciofuntowy?

Kobieta otworzyła portmonetkę i przyglądała się badawczo zawartości. Trwało to całe wieki.

Janson czuł, jak wzbiera w nim frustracja – w zasięgu wzroku nie było innej taksówki.

– Hej – zwrócił się do Amerykanów. – Ja zapłacę.

Spojrzeli na niego z nieskrywaną podejrzliwością.

– Zapłacę – powtórzył Janson. Chwilami wciąż widział nieostro. – To żaden problem. Mam dzisiaj taki gest i... trochę mi się spieszy.

Mężczyzna i kobieta wymienili szybkie spojrzenia.

– Sylvio, ten pan mówi, że zapłaci...

– Słyszałam, co powiedział – odparła z irytacją. – Podziękuj mu.

– A gdzie jest haczyk? – spytał staruszek, ściągając wąskie usta.

– Chodzi o to, żebyście wreszcie wysiedli.

Wytoczyli się na chodnik i stanęli przy samochodzie, mrugając ze zdziwieniem. Janson wślizgnął się do przestronnego wnętrza

tradycyjnej londyńskiej taksówki.

– Chwileczkę! – zawołała za nim kobieta. – Nasze torby! Miałam dwie torby z zakupami. – Wymawiała słowa powoli, nadąsanym tonem.

Paul znalazł dwie torby ze sklepu Marks&Spencer, otworzył drzwi i rzucił jej pod nogi.

– Dokąd jedziemy, szefie? – spytał kierowca. Zerknął na nowego pasażera w lusterku wstecznym i skrzywił się. – Paskudne rozcięcie.

– Tylko tak wygląda – mruknął Janson.

– Niech pan nie zabrudzi tapicerki – dodał taksówkarz gderliwie.

Paul wsunął przez szybkę banknot stu funtów.

– Tak to rozumiem. – Kierowca rozchmurzył się. – Jesteś woźnicą, a ja konikiem, pogoń mnie bacikiem, śmigniemy kłusikiem. – Był wyraźnie ucieszony swoją rymowanką.

Janson poprosił go, żeby zatrzymał się po drodze w dwóch miejscach.

– W porządziu.

Intensywne i jednostajne pulsowanie w skroniach przypominało pracę wiertarki udarowej. Janson wyjął chustkę i zawiązał ją sobie na głowie, żeby zatamować krwawienie.

– Możemy już jechać?

Wyjrzał przez tylną szybę, na której w lewym dolnym rogu, parę centymetrów od jego głowy, w jednej chwili wykwitła pajęczyna stłuczonego szkła. W środku tkwił pocisk poddźwiękowy.

– Matko święta! – krzyknął kierowca.

– Gaz do dechy – zakomenderował Janson, co było chyba zbyt późno. Pochylił się na swoim siedzeniu.

– Się robi – mruknął taksówkarz.

Silnik nagle przebudził się do życia. Janson wsunął przez szybę kolejny banknot o nominale stu funtów.

– Nie będzie więcej kłopotów? – spytał kierowca, przyglądając mu się podejrzliwie.

Jechali prawym pasem Marylebone Road.

– Absolutnie żadnych – odparł Janson ponuro. – Proszę mi zaufać. Pójdzie jak z płatka.

•••

Nie wydawało mu się. Patrzyła na niego.

Kazuo Onishi rozejrzał się po zadymionym barze dla singli, po czym utkwiał wzrok w prawie pustym kuflu piwa. Dziewczyna wyglądała olśniewająco: długie blond włosy, zadarty nosek, figlarny uśmiech. Jak to możliwe, że siedziała przy barze sama?

– Kaz, czy mi się zdaje, czy ta ślicznotka zagięła na ciebie parol?

A więc to była prawda. Nawet Dexter, jego kumpel, to zauważył.

Onishi uśmiechnął się drwiąco.

– Nie rozumiem, czemu to cię dziwi? Kobiety umieją rozpoznać prawdziwego mężczyznę.

– Jasne. I pewnie dlatego zawsze wracasz do domu sam – skwitował Dexter Fillmore, czarnoskóry okularnik, który także nie miał szczęścia do kobiet.

Poznali się na studiach w Kalifornii. Nigdy nie rozmawiali o pracy – obaj działali w wywiadzie, więc był to temat tabu – ale w sprawach sercowych mogli być ze sobą szczerzy.

– Jako kawaler do wzięcia spełniam wszystkie niezbędne warunki. Nieźle zarabiam. Panny powinny ustawiać się do mnie w kolejce – narzekał Onishi.

– Możesz sobie pomarzyć – chichotał Fillmore.

Jednak tym razem chyba mu się poszczęściło. Kobieta nie odpuszczała.

– Niech rozsądzi arbiter – zażartował Onishi. – To ewidentny faul!

– Daj spokój, zawsze powtarzasz, że liczy się osobowość – droczył się z nim Dexter. – A o niej przecież nic nie wiesz!

– Zdziwiłbyś się. To wielka osobowość – stwierdził Onishi. – Wyczuwam ją na kilometr.

– Jasne. W dodatku tak pięknie wypełnia ten obcisły sweterek.

Tymczasem kobieta szła ku niemu, wdzięcznie trzymając w dłoni szklaneczkę z drinkiem. Chyba wreszcie dopisało mu szczęście.

– Mogę się przysiąść? – spytała, wskazując pusty stółek obok niego.

Usiadła, stawiając szklanekę koło kufła z piwem. Pokazała gestem kelnerce, że prosi o następną kolejkę.

– Zwykle tego nie robię. Czekałam na byłego chłopaka, mamy do obgadania parę spraw. Barmanka mnie nie lubi, nie wiem czemu...

– Niemożliwe – bąknął Onishi z niewinną miną. – A gdzie ten chłopak?

– Były chłopak – podkreśliła. – Właśnie zadzwonił na komórkę. Ponoć coś mu wypadło. Nieważne. I tak niczego się po nim nie spodziewałam. Przestanie dzwonić, jak znajdzie sobie nową dziewczynę. – Posłała mu olśniewający uśmiech. – Albo gdy ja znajdę nowego chłopaka.

Dexter Fillmore dopił piwo i zakasłał.

– Idę po camele. Coś wam kupić?

– Paczkę dla mnie – rzucił Onishi.

Kiedy Fillmore zniknął, dziewczyna odwróciła się do niego z rozbawioną miną.

– Palisz camele?

– A ty niepaląca, tak?

– Wprost przeciwnie. Chcesz spróbować czegoś lepszego niż ten szajs z maszyny? Palłeś kiedyś bałkańskie *sobranje*? To dopiero papieros!

– Co takiego?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej metalową papierošnicę. W Źrodku leżały rzędkim czarne papierosy bez filtra ze złotymi końcówkami.

– Prosto z poczty dyplomatycznej – powiedziała, częstując go. – Spróbuj. – W jej dłoni, jak wyczarowana, pojawiła się zapalniczka.

Dziewczyna ma zręczne ręce, pomyślał Onishi, zaciągając się głęboko. To wiele obiecywało. Poza tym ulżyło mu, że nie zaczęła od pytań w stylu: „Czym się zajmujesz?”. Zawsze odpowiadał, że „pracuje dla rządu jako analityk systemowy”. Zwykle to wystarczało. Ale gdyby ktoś dopytywał, miał jeszcze w zanadrzu baj eczkę o „platformie sprzętowej” w Ministerstwach Rolnictwa i Transportu. Zalaatywało taką nudą, że nikt nie drażył tematu. Zresztą ostatnią rzeczą, o której chciałby rozmawiać, była praca. Ta prawdziwa. Żył ostatnio w takim stresie, że gdy wchodził do biura, sztywniały mu ramiona. Od jakiegoś czasu prześladował ich niewypowiedziany pech. Tyle harówki przez te wszystkie lata – i nagle całego programu o mało szlag nie trafił. Pieprzony Möbius. Onishi musiał teraz poszukać szczęścia w innych dziedzinach życia. Psiakrew, zasługiwał na szczęście.

Gęsty dym wypełniał mu płuca. Piękna blondynka błędziła wzrokiem po jego twarzy jak urzeczona. Z głośników popłynęła piosenka z najnowszego kinowego hitu o drugiej wojnie światowej. Onishi uwielbiał ten kawałek. Poczłł błogość w sercu.

Zakaszłał.

– Mocne.

– Tak powinien smakować papieros – stwierdziła dziewczyna. Mówiła z lekkim akcentem, którego nie rozpoznawał. – No dalej, bądź mężczyzną.

Onishi sztachnął się papierosem.

– Założę się, że nigdy takich nie paliłeś.

– Trochę cierpkie – zauważył niepewnie.

– Nie cierpkie, tylko mocne. Większość amerykańskich papierosów smakuje jak papier maszynowy.

Onishi przytaknął. Zakręciło mu się w głowie. To musiał być naprawdę mocny tytoń. Zrobiło mu się gorąco i zaczął się pocić.

– O, biedactwo – zmartwiła się blondynka. – Może powinieneś wyjść na powietrze.

– Tak, to chyba dobrze mi zrobi – zgodził się Onishi.

– Chodź, przejdziemy się kawałek.

Sięgnął po portfel, ale dziewczyna szybko położyła na barze banknot dwudziestodolarowy, a on nie czuł się na siłach, żeby protestować. Dexter pewnie będzie się zastanawiał, gdzie przepadł. Później mu to wyjaśni.

Na zewnątrz, w rześkim powietrzu, zawroty głowy nie mijały.

Blondynka ścisnęła go za rękę w pokrzepiającym geście. W świetle latarni wydawała się jeszcze piękniejsza – albo może był to efekt oszołomienia.

– Ledwie trzymasz się na nogach – stwierdziła.

– To prawda. – Uśmiechał się głupkowato, ale nic nie mógł na to poradzić.

Cmoknęła z udawaną dezaprobatą.

– Taki byczek jak ty i powalił cię jeden bałkański papieros?

Zaraz, powiedziała „byczek”? To brzmiało obiecująco.

Wreszcie jakaś optymistyczna perspektywa w jego popapranym życiu seksualnym. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Jednocześnie stwierdził, że ma w głowie dziwny mętnik, chociaż niezbyt go to obeszło.

– Zabiorę cię na przejażdżkę – zaproponowała dziewczyna.

Słyszał ją jak z oddali, a jakiś wewnętrzny głos podpowiadał:

„To nie jest dobry pomysł, Kaz”. Ale nie potrafił jej odmówić.

Pojedzie z piękną nieznajomą. Zrobi, co mu każe. Będzie jej.

Jak przez mgłę docierało do niego, że dziewczyna płynnie zmienia biegi w niebieskim kabriolecie, prowadząc pewnie i szybko, jak ktoś, kto ma plan do wykonania.

– Ubawisz się jak nigdy w życiu, Kazuo – stwierdziła. Nachyliła się, żeby zablokować drzwi, przy okazji muskając dłonią jego krocze.

Błysnęła mu w głowie myśl: „Nie mówiłem jej, jak mam na imię”. Po chwili jeszcze jedna: „Dzieje się ze mną coś niedobrego”. Zaraz potem wszystkie myśli pochłonęła czarna otchłań.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 18

Chasyd ścisnął nerwowo sztywną, wysłużoną teczkę. Powłócząc nogami niczym wiekowy staruszek, podszedł do relingu w dziobowej części górnego pokładu. Wyglądał na przestraszonego, ale wynikało to, być może, z ogólnego usposobienia – na promie Stena Line HSS nie działo się nic niepokojącego. Olbrzymi, dwukadłubowy katamaran w niespełna dwie godziny pokonywał odległość z Harwich do Hoek van Holland, skąd specjalnie podstawiane pociągi zabierały podróżnych na główny dworzec Amsterdamu. Ekspresowy rejs statkiem obfitował w liczne wygody. Pasażerowie mieli do dyspozycji kilka barów, dwie restauracje, sklepy i kino. Jednak chasyd z teczką nie sprawiał wrażenia osoby, która byłaby skłonna korzystać z rozrywek. Wyglądał jak typowy handlarz brylantami, chyba nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Nie interesowały go luksusy, jakich dostarczał innym. Był jak abstynent zarządzający gorzelnią. Inni pasażerowie zerkali na niego i szybko odwracali wzrok, żeby, broń Boże, nie nabrał żadnych podejrzeń.

Słona bryza targała jego długą, siwą brodę i pejsy. Czarny wełniany płaszcz i czarne spodnie łopotały na wietrze, ale okrągły kapelusz trzymał się mocno na głowie. Mężczyzna wpatrywał się w grafitowe niebo i szarozielone morze. Widok nie był porywający, lecz najwyraźniej koił jego zmysły.

Janson wiedział z doświadczenia, że wyróżniając się, można

całkiem zniknąć w tłumie. Od kleju, którym posmarował brodę, swędziały go policzki, a w wełnianym płaszczu pocił się niemiłosiernie. Ale w tym przebraniu łatwo mu było udawać niepokój, a tym samym odgrywać swoją rolę. Chłodna bryza łagodziła uczucie gorąca. Nikt nie miał powodu podejrzewać, że nie jest tym, za kogo się podawał. Co jakiś czas wyjmował z kieszeni zdjęcie zmarłego rabina Schneersona, którego chasydzi na całym świecie uznawali za mesjasza, i spoglądał na nie z pobożnością. Takie drobiazgi też miały znaczenie.

Obrócił się powoli na dźwięk kroków. Serce podeszło mu do gardła. Mężczyzna w kapeluszu z okrągłym rondem, przyodziany w surową czerń. Chasyd. Prawdziwy chasyd. Potencjalny sprzymierzeniec. „Jesteś tym, kogo udajesz”, powiedział sobie Janson. Mantra szpiegów na całym świecie.

Mężczyzna, niższy od Jansona, na oko czterdziestoletni, uśmiechnął się.

– *Voos hurst zich?* – spytał, lekko przekrzywiając głowę. Miał rudawe włosy i bladoniebieskie oczy, którymi spoglądał zza plastikowych oprawek, dostępnych w ramach ubezpieczenia. Pod pachą trzymał niewielką skórzaną aktówkę.

Janson skinął mu na powitanie, ściskając przed sobą teczkę. Uśmiechnął się niepewnie, choć przyjaźnie, na tyle, na ile pozwalała mu przyklejona broda. Co miał mu odpowiedzieć? Niektórzy ludzie władali płynnie wieloma językami. Jak Alan Demarest. Janson mówił trochę po niemiecku, po francusku i po czesku – jego matka była Czeszką. Teraz szukał w myślach choćby linijki w jidysz. Należało przewidzieć taką ewentualność. Musiał odwieść od rozmowy potencjalnego towarzysza. Przez moment wyobrażał sobie, że

wyrzuca go za burtę. Jednak po chwili złapał się za gardło, kręcąc głową:

– Zapalenie krtani – wychrypiął cicho, naśladowując akcent ze wschodniej części Londynu.

– *Ir filt zich besser?* – spytał mężczyzna, przyglądając mu się życzliwie.

Najwyraźniej czuł się samotny i pragnął nawiązać kontakt z człowiekiem, w którym zobaczył bratnią duszę.

Janson zaniósł się kaszlem.

– Przepraszam – sapnął. – Bardzo zaraźliwe.

Chasyd cofnął się o kilka kroków, zaniepokojony. Skłonił się, splatając dłonie.

– Szalom Alejhem. Pozostań w pokoju. – Na pożegnanie podniósł drżącą rękę i wycofał się grzecznie, lecz w pośpiechu.

Janson znów stanął na dziobie. Lekka bryza przyjemnie go chłodziła. Wiemy więcej, niż wiemy, zwykł napominać Demarest. W tym przypadku chyba naprawdę tak było. Jeśli odpowiednio połączy wszystkie dotąd znane mu fakty, może posunąć się do przodu w swoim śledztwie.

Wiedział, że tajny wydział amerykańskiej administracji skazał go na śmierć. Że w wyniku skomplikowanych manipulacji komputerowych na jego konto wpłynęła olbrzymia suma pieniędzy. Wszystko miało wskazywać, że zapłacono mu za zabicie Petera Novaka.

Czy mógł w jakiś sposób wykorzystać te pieniądze? Wewnętrzny głos ostrzegał go, żeby tego nie robił. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Dopóki nie odkryje tajemniczego źródła ich pochodzenia – rozstrzygającego dowodu w sprawie. Zresztą nie wykluczał, że pieniądze zostały zabezpieczone swego rodzaju informatyczną miną

pułapką i każda próba ich podjęcia zdradzi wrogom jego aktualne miejsce pobytu. Co znów przywodziło na myśl pytanie, kim byli owi wrogowie.

„Po czyjej stronie jesteś, Marto Lang?”. Przed wejściem na prom znów próbował się z nią skontaktować. Znów bez skutku. Czyżby należała do morderczego spisku? A może stała się ofiarą intrygi, która kosztowała Novaka życie? Została porwana, może też już nie żyła? Janson poprosił dawnego przyjaciela mieszkającego na Manhattanie – weterana wywiadu na emeryturze – żeby rozglądał się za nią w nowojorskiej siedzibie fundacji. Jak dotąd, nic nie wskazywało na to, żeby pojawiła się w budynku na Czterdziestej Ulicy. Musiała być gdzie indziej – ale gdzie?

Podobnie jak Fielding, Janson uważał za osobliwe, że śmierć Novaka nie została nigdzie odnotowana. W powszechnej opinii ani porwanie, ani zabójstwo w ogóle nie miały miejsca. Czyżby ujawnienie tej niewyobrażalnej tragedii mogło zagrozić planom pewnych członków Fundacji Wolności? Ale jak długo zamierzali to ukrywać? Janson pamiętał pogłoski, według których śmierć Deng Xiaopinga ogłoszono dopiero po ośmiu dniach. W tym czasie reżim rozstrzygał kwestię sukcesji, a nie chciał ryzykować, że społeczeństwo choćby przez chwilę będzie trwało w niepewności. Czy podobnie było w przypadku fundacji? Dysponowała przecież ogromną fortuną Novaka, albo przynajmniej większą jej częścią, tak więc jego śmierć nie powinna mieć wpływu na jej finanse. Grigorij Berman odkrył, że przelew dokonano w Amsterdamie z konta fundacji założonego przez Petera Novaka. Kto zdołałby zorganizować coś takiego?

Novak był niezwykle wpływowym człowiekiem – i musiał mieć równie wpływowych wrogów. Janson zakładał, że wrogowie Novaka

byli też jego wrogami. A wynik tego piekielnego równania wskazywał na bardzo wielu. Mogli być wszędzie. Fielding, zanim zmienił front, wskazał kilku konkretnych przeciwników. „Oligarchowie” skorumpowanych, plutokratycznych reżimów, zwłaszcza z Europy Wschodniej, przypuszczalnie dogadali się z kliką amerykańskich strategów, którzy rosnące wpływy Novaka obserwowali z niepokojem i zazdrością. Jego śmierć leżała w ich wspólnym interesie. Dlaczego ludzie nienawidzą Ameryki? – pytał go Nikos Andros. Nie było jednoznacznej odpowiedzi. Tych, którzy czuli się przez nią zdominowani, przepełniała uraza i niezadowolenie. Ameryka nie była łagodnym niewiniątkiem: w swoich wysiłkach na rzecz globalnej supremacji potrafiła być bezwzględna. Osoby odpowiedzialne za jej politykę zagraniczną mogły dostrzegać zagrożenie w działaniach autentycznego dobroczyńcy, choćby dlatego, że te działania pozostawały poza ich kontrolą. Fielding: „Wszyscy wiedzieli, że odrzucił umizgi rządu Stanów

Zjednoczonych. Rozgniewał urzędników z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bo wołał kierować się własnym instynktem, a przede wszystkim – sumieniem”. Jak daleko mogli posunąć się w swoim gniewie stratedzy z Waszyngtonu – krótkowzroczni zwolennicy polityki unilateralnej, zaślepieni żądzą władzy, którą mylnie uznawali za patriotyzm? To nie było najpiękniejsze oblicze Ameryki, tak ujawniała się gorsza część jej natury. Naiwnością byłoby sądzić, że establishment nie jest zdolny do takich posunięć. Komandor podporucznik Alan Demarest uważał się za prawdziwego Amerykanina, ale według Jansona w obrzydliwy sposób okłamywał sam siebie. A jeśli podobni Demarestowi ludzie na całym świecie mieli rację? Jeżeli faktycznie reprezentowali nie Amerykę jako taką,

lecz jej część, Amerykę, z którą stykali się mieszkańcy krajów targanych konfliktami? Janson zamknął oczy, ale nie potrafił wygnać z pamięci koszmarnych obrazów, jakie do dziś prześladowały go i dręczyły.

• • •

– Nie, nie przyprowadzaj ich – rozkazał komandor podporucznik. Janson słyszał w ubłoconych słuchawkach dźwięki chorału. – Zaraz tam będę.

– To nie jest konieczne, panie komandorze – odparł Janson. – Jeńcy są porządnie związani, zgodnie z rozkazem. Cali i zdrowi, ale skrepowani.

– Domyślam się, że nie było łatwo. Ale nie dziwi mnie, że sprostałeś wyzwaniu, Janson.

– Transport nie stanowi problemu, panie komandorze.

– Wobec tego – rzekł Demarest – zabierz ich do Candle Bog.

Tak Amerykanie nazywali polanę w dżungli, położoną cztery kilometry na północ od głównej bazy. Miesiąc wcześniej amerykańscy zwiadowcy natknęli się tam na parę baraków i trzech mężczyzn, których zidentyfikowali jako kurierów Wietkongu. Wywiązała się strzelanina. Jeden z żołnierzy amerykańskich został ranny, wszyscy trzej partyzanci zginęli. Ranny żołnierz niedokładnie wymówił wietnamską nazwę okolicy, Quan Ho Bok, jako Candle Bog, i tak już zostało.

Transport jeńców do Candle Bog zajął dwie godziny. Demarest już na nich czekał. W jeepie na miejscu kierowcy siedział jego szef sztabu, Tom Bewick.

Janson zauważył, że jeńcy są spragnieni. Ponieważ mieli związane

ręce, po kolei przytknął obu do ust swoją manierkę. Mimo strachu i niepewności z wdzięcznością wypili wodę. Pozwolił im położyć się na ziemi między dwiema chatkami.

– Dobra robota, Janson – pochwalił go Demarest.

– Humanitarne traktowanie jeńców wojennych, zgodnie z Konwencją Genewską – odparł Janson. – Szkoda, że wróg nie bierze z nas przykładu.

Demarest zachichotał.

– Zabawny jesteś, chłopczyku. – Zwrócił się do Bewicka: – Tom, mógłbyś...? Czyń honory domu.

Błada twarz oficera wyglądała jak rzeźba w drewnie, z prymitywnie wyciętymi otworami na oczy i usta. Nos mały, wąski, spiczasty. Nieregularne smugi opalenizny potęgowały efekt – wyglądały jak słoje drewna. Tom poruszał się szybko i sprawnie, ale bardziej nerwowo niż płynnie. Janson miał nieodparte wrażenie, że Bewick jest marionetką w rękach Demaresta.

Oficer podszedł do jeńca, wyjął duży nóż i zaczął przecinać więzy.

– Muszą poczuć się swobodnie – wyjaśnił Demarest.

Szybko okazało się, że Bewick niekoniecznie chce ich wyswobodzić. Zawiązał na kostkach i przegubach jeńców nylonową linkę, a następnie przeciągnął aż do pali, na których stały obie chaty. Sprawdził, czy linka jest mocno naciągnięta. Wietnamczycy leżeli na ziemi z rozpostartymi szeroko kończynami, całkiem bezbronni. Miało to wywołać efekt psychologiczny.

Janson poczuł skurcz w żołądku.

– Panie komandorze...?

– Nic nie mów – uciął Demarest. – Tylko patrz. Patrz i ucz się. To stara zasada: poznaj, przećwicz, nauczaj.

Demarest podszedł do jednego z jeńców. Czule pogłaskał go po policzku.

– *Tôi mén ban* – powiedział. Poklepał się w pierś i powtórzył po angielsku: – Lubię cię.

Dwaj Wietnamczycy spojrzeli po sobie w niemym zdumieniu.

– Rozumiecie po angielsku? Właściwie to nie ma znaczenia, bo mówię po wietnamsku.

Jeden z nich w końcu ośmielił się odezwać.

– Tak – wykrztusił ściśniętym głosem.

Oficer nagroził go uśmiechem.

– Tak myślałem. – Palcem wskazującym przejechał po czole i nosie mężczyzny. Zatrzymał go na ustach. – Lubię cię. Wszyscy jesteście dla mnie natchnieniem. Bo wam zależy. A to mnie kręci. Macie ideały. Jesteście gotowi walczyć do upadłego. Ilu *nguai My* zabiliście? Ilu Amerykanów?

– My nie zabijają! – wyrwało się drugiemu z jeńców.

– Jasne, wy tylko uprawiacie ziemię – ciągnął Demarest aksamitnym głosem.

– Uprawiać ziemię.

– Przecież nie jesteście partyzantami Wietkongu, tylko zwykłymi, uczciwymi, pracowitymi rybakami, prawda?

– *Dúng*. – Prawda.

– Czyli jednak nie rolnikami?

Dwaj jeńcy wydawali się speszeni.

– Nie Wietkong – odezwał się błagalnie jeden z nich.

– To nie jest twój towarzysz broni? – Demarest wskazał drugiego z jeńców.

– Tylko przyjaciel.

– Ach tak. Przyjacieli.

– Tak.

– Lubi cię. Pomagacie sobie.

– Pomagacie.

– Dużo wycierpieliście, prawda?

– Dużo cierpienie.

– To tak jak nasz zbawiciel, Jezus Chrystus. Wiecie, że umarł za nasze grzechy? Chcecie wiedzieć, jak umarł? Tak? Śmiało, mówcie! Opowiem wam. Albo nie. Lepiej wam pokażę.

– Nie rozumieć?

Demarest odwrócił się do szefa sztabu.

– Tom, do czego to podobne, żeby ci dwaj wciąż leżeli na ziemi?

Bewick skinął głową. Na jego drewnianej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Wysoko podciągnął nylonowe liny. Dwaj jeńcy zawiśli na nich w powietrzu ze stłumionym okrzykiem przerażenia.

– *Xin loi* – rzucił Demarest. Tak mi przykro. Wietnamczycy cierpieli katusze. Ich wyciągnięte kończyny wyłamywały się ze stawów. Z trudem oddychali.

Janson poczerwieniał na twarzy.

– Panie komandorze – powiedział ostro. – Mogę prosić pana na słowo? Na osobności?

Demarest podszedł do niego.

– Razi cię ten widok? Będziesz musiał się przyzwyczaić – stwierdził ze spokojem. – Chyba nie kwestionujesz decyzji dowództwa?

– Pan ich torturuje.

– Tak sądzisz? – Demarest pokręcił głową ze wstrętem. – Kapitanie Bewick, porucznik Janson jest zdenerwowany. Musi go pan powstrzymać, wszelkimi możliwymi sposobami.

– Tak jest.

Bewick wymierzył pistolet w głowę Jansona.

Demarest skierował się do jeepa i włączył kasetę z chorałem. Z małych głośników popłynęła muzyka.

– Hildegarda z Bingen – rzucił Demarest, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Większość życia spędziła w klasztorze, który sama założyła, w dwunastym wieku. Pewnego dnia, gdy miała czterdzieści dwa lata, nawiedził ją Bóg. Została najznakomitszą kompozytorką swoich czasów. Za każdym razem zasiadała do pracy, cierpiąc niewyobrażalny ból. Nazywała go biczem bożym. Dopiero gdy ból doprowadzał ją do granic halucynacji, potrafiła tworzyć. Antyfony, *canti plani*, religijne traktaty. Hildegarda tworzyła pod wpływem cierpienia. Pod wpływem cierpienia śpiewała. – Zwrócił się do drugiego z jeńców, który pocił się obficie. Oddychał z cichym jękiem, jak zdychające zwierzę. – Myślałem, że to cię odpręży – dodał, wsłuchując się w pieśń.

Sanctus es unguendo

Periculose fractos:

Sanctus es tergendō

Fetida vulnera.

Demarest stanął nad jeńcem.

– Spójrz mi w oczy.

Wyciągnął z kabury przy pasie mały nóż i zrobił niewielkie nacięcie w brzuchu Wietnamczyka.

– Ty też zaczniesz śpiewać.

Mężczyzna wrzasnął z bólu.

– No, to dopiero tortura! – zawołał Demarest do Jansona. – Co mam

ci powiedzieć? Że boli mnie to tak samo jak ich? – Zwrócił się do wrzeszczącego jeńca. – Sądzisz, że zostaniesz bohaterem? Nie łudź się. Nawet jeśli, żaden z twoich ludzi nigdy się o tym nie dowie. Osobiście tego dopilnuję. Twoje męstwo pójdzie na marne. Widzisz, jestem bardzo złym człowiekiem. Uważacie, że Amerykanie to mięczaki. Myślicie, że nas przeczekacie. Że wpadniemy w sidła własnej biurokracji. Myślicie tak dlatego, że dotąd nie spotkaliście Alana Demaresta. Jedną z najbardziej przebiegłych sztuczek szatana było przekonanie człowieka, że szatan nie istnieje. Spójrz mi w oczy, przyjacielu rybaku – ja istnieję. Też jestem rybakiem. Rybakiem, który łowi cudze dusze.

Alan Demarest postradał zmysły. Nie, gorzej: zachował całkowitą przytomność umysłu, kontrolował swoje czyny i rozumiał konsekwencje. A jednocześnie był pozbawiony sumienia. Stał się potworem. Błyskotliwym, charyzmatycznym potworem.

– Spójrz mi w oczy – powtórzył, zbliżając twarz do wijącego się w agonii mężczyzny. – Z kim się kontaktujesz? Kto jest twoim informatorem?

– Uprawiam ziemię! – zajęczał nieszczęśnik. Oczy nabiegły mu krwią, pocił się, z trudem łapiąc oddech. – Nie Wietkong!

Demarest ściągnął z niego spodnie, odsłaniając genitalia.

– Wykręcanie się od odpowiedzi jest karalne – oznajmił znudzonym tonem. – Czas na przewody rozruchowe.

Jansonowi żołądek poszedł do gardła. Schylił się i zwymiotował.

– Nie ma się czego wstydzić, synu. To jest jak operacja – uspokoił go Demarest. – Za pierwszym razem będziesz nieco wstrząśnięty. Ale z czasem przywykniesz. Jak mówi Emerson, kiedy wielki człowiek znajdzie się pod presją, „dreńczony, pokonany, ma szansę czegoś się

nauczyć”.

Zwrócił się do Bewicka.

– Odpalę silnik – powiedział. – A ty ich rozruszaj. Niech mówią. W przeciwnym razie czeka ich baaardzo bolesna śmierć.

Spojrzał na wykrzywioną twarz Jansona.

– Nie przejmuj się – rzucił. – Jego towarzysz przeżyje. Ktoś musi przekazać innym Wietnamczykom, jak się kończy zadzieranie z *nguoi My*.

Mrugnął do Jansona, jakby zapraszał go do tej koszmarnej, rozpustnej zabawy. Ilu żołnierzy, wypalonych, zobojętniałych na cierpienie w rezultacie długiej służby na wojnie, przyjęło to zaproszenie? W fanatycznej walce zatracili dusze. Przypomniał sobie refren piosenki: *Dokąd zmierzasz? Naprawdę chcesz tam iść?*

Naprawdę chcesz tam iść?

Prinsengracht, być może najprzyjemniejsza z ulic starego Amsterdamu położonych nad kanałami, szczyciła się piękną, siedemnastowieczną architekturą. Fasady domów na pierwszy rzut oka przypominały równy wachlarz identycznych figur z papieru. Jednak przy bliższym spojrzeniu każdy z wysokich, wąskich, ceglanych budynków różnił się od innych. Ich szczyty zaprojektowano w najdrobniejszych szczegółach: trójkątne, schodkowe, wolutowe, łamane. Ponieważ wewnętrzne schody były na ogół wąskie i strome, większość domów miała wystające parapety, co umożliwiała wciąganie mebli na wyższe piętra za pomocą specjalnych wind. Wiele budynków miało niby-mansardy i misterne belkowania. Z prostych cegieł zwieszały się festony. Za domami ukrywały się dyskretne *hofjes*, wewnętrzne dziedzińce. W tak zwanym złotym wieku mieszkańcy Amsterdamu szczycili się prostotą, która z czasem stała się wręcz

ostentacyjna.

Paul szedł ulicą, ubrany w lekką kurtkę zapinaną na zamek błyskawiczny i solidne półbuty – jak większość przechodniów. Trzymał ręce w kieszeniach, czujnie rozglądając się wokół. Czy ktoś go śledził? Jak dotąd nic na to nie wskazywało. Ale wiedział z doświadczenia, że gdyby został namierzony, błyskawicznie zmobilizowano by miejscowych agentów. Zawsze miej plan awaryjny, powtarzał Demarest. I chociaż wspomnienie dowódcy napawało go odrazą, była to cenna rada. Jak sekrety władzy Dżyngis Chana, pomyślał z goryczą.

Kilka przecznic od tak zwanego Złotego Zakrętu natrafił na skupisko barek mieszkalnych, zakotwiczonych na rdzawych, mulistych wodach kanału. Te pływające domy stały się wizytówką Amsterdamu w latach pięćdziesiątych, w rezultacie braku mieszkań. Kilka dekad później rada miejska zakazała kotwiczenia nowym barkom, ale tym, które cumowały przy brzegu od dawna, pozwolono zostać, pod warunkiem że ich właściciele uiszczali coroczną opłatę.

Janson bacznie przyglądał się wszystkim po kolei. Ta najbliższe niego przypominała długi, oszalowany parterowy domek z małym odpowietrznikiem na dachu z czerwonej blachy falistej. Inna wyglądała jak wysoka, pływająca oranżeria – długie szklane panele były od wewnątrz częściowo przysłonięte, tak by mieszkańcy mieli nieco prywatności. Kolejna barka wyróżniała się wymyślnym płotkiem wokół płaskiego pokładu. Na kamiennych konstrukcjach, przypominających karmniki dla ptaków, stały dwie latarenki. Skrzynki z pelargoniami świadczyły o dbałości lokatora.

W końcu dostrzegł znajomą, pomalowaną na niebiesko kabinę, która sprawiała wrażenie opuszczonej. Doniczki wokół niej były

puste, a małe okienka pokryły się sadzą. Na pokładzie obok kabiny stała stara, drewniana ławka. Nierówne deski niskiego, szerokiego pokładu wypaczyły się pod wpływem wilgoci. Barka została zakotwiczona w pobliżu niewielkiego parkingu. Janson zbliżył się do niej z bijącym sercem. Wiele lat minęło, odkąd zaglądał tu ostatnio. Być może łódź zmieniła właściciela? Ale nie – poczuł w powietrzu charakterystyczny, żywiczny zapach marihuany. Wskoczył na pokład i podszedł do drzwi kabiny. Tak jak przypuszczał, były otwarte.

W rogu pokrytej cętkami świątła kabiny mężczyzna z długimi, siwymi włosami pochylał się nad dużym, kwadratowym arkuszem papieru. W obu dłoniach trzymał pastele, które zamaszystymi ruchami nanosił na papier. Obok tubki z czerwoną farbą tlił się skręt.

– Ani kroku, skurwielu – powiedział cicho Janson.

Barry Cooper odwrócił się powoli, chichocząc, jakby spodziewał się zobaczyć starego znajomego, ale na widok gościa szybko się zreflektował.

– Hej, tylko spokojnie, tak? Luzik? Spoko?

Na jego twarzy zagościł głupkowaty półuśmiech, ale pytanie zabrzmiało całkiem serio.

– Spoko, Barry.

Mężczyzna wyraźnie się odpreżył. Rozpostarł szeroko ramiona, ukazując poplamione farbą wnętrze dłoni.

– Chodź tu, kochany, niech cię uściskam. Ile to lat minęło?

Niech mnie, Jezu.

W mowie Coopera zawsze roiło się od dziwacznym idiomów – trochę ze środowiska ćpunów, trochę z amerykańskich sitcomów – a lata spędzone za granicą – niemal ćwierć wieku – dodatkowo utrwaliły ten językowy miszmasz.

– Dużo za dużo – odparł Janson. – Albo może nie dość dużo. Jak myślisz?

Mieli za sobą burzliwą historię. Żaden z nich nigdy w pełni nie rozumiał drugiego, rozumieli jednak obaj dość, by stosunki między nimi dobrze się układały.

– Zrobię kawy – zaproponował Cooper.

– Chętnie się napiję. – Janson usiadł na sfatygowanej brązowej kanapie i rozejrzał się wokół.

Niewiele się tu zmieniło. Cooper wprawdzie się postarzał, ale w sposób, który nie zaskakiwał. Splątane ciemne włosy, kiedyś tylko poprzetykane siwizną, teraz całkiem posiwiały. Wokół oczu pojawiła się siateczka kurzych łapek, a zmarszczki biegnące od nosa do kącików ust zamieniły się w głębokie bruzdy. Czoło przecinały poziome i pionowe linie. A jednak to był Barry Cooper, ten sam Barry Cooper, trochę straszny, nieco szalony, a w gruncie rzeczy ani jedno, ani drugie. W młodości różnie bywało. Na początku lat siedemdziesiątych porzucił studencki radykalizm na rzecz działań prawdziwie wywrotowych i w efekcie został członkiem grupy Weather Underground. Obalić system! W tamtych czasach te słowa padały na dzień dobry. W college’u w Madison, w stanie Wisconsin, Cooper przyłączył się do ludzi sprytniejszych i bardziej przekonujących od siebie, którzy potrafili jego nieokreślone obawy względem Władzy przekuć na ekstremizm czystej wody. Niewinne żarty, mające irytować stróżów prawa, ustąpiły miejsca aktom przemocy.

Cooper od jakiegoś czasu przemieszkiwał w nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village, gdy pewnego dnia przedwcześnie wybuchła bomba, konstruowana przez jednego z członków grupy. Cooper

akurat brał prysznic. Wyszedł z łazienki usmolony, pokryty sadzą, ale cały i zdrow. Chwilę wałęsał się po mieszkaniu, ogłuszony, po czym został aresztowany. Wypuścili go za kaucją, jednak wkrótce policja znalazła jego odciski palców na miejscu kolejnego zamachu, w laboratorium uniwersyteckim w Evanston. Bomba wybuchła w nocy, szczęśliwym trafem nie było ofiar, ale przecież w pobliżu mógł czuwać wartownik. Postawiono mu nowe zarzuty: usiłowanie zabójstwa, spisek antyrządowy. Cooper miał wrócić do więzienia, ale tymczasem zdążył uciec z kraju, najpierw do Kanady, potem do Europy.

I tu rozpoczął nowy rozdział w swojej osobliwej karierze. Mocno przesadzone doniesienia na jego temat, rozpowszechniane przez amerykański wymiar sprawiedliwości, ochoczo łyknęła radykalna lewica – środowisko związane z Andreasem Baaderem i Ulrike Meinhof, oficjalnie zwane Frakcją Czerwonej Armii, mniej oficjalnie – grupą Baader-Meinhof. A także niewielka organizacja pod nazwą Ruch 2 Czerwca i włoskie Czerwone Brygady. Lewicowcy, upojeni romantyczną ideą miejskiego powstania, widzieli w kudłatym Amerykaninie współczesnego Jesse Jamesa, który stanie na czele rewolucji. Z zadowoleniem powitali go w swoich kręgach, notabene targanych wewnętrznymi sporami, prosząc o rady w kwestiach taktycznych. Barry’emu pochlebiało ich zainteresowanie, ale niechętnie uczestniczył w spotkaniach. Miał sporą wiedzę o różnych odmianach marihuany – potrafił, na przykład, odróżnić maui sinsemilla od acapulco red – jednak nie rajcowały go praktyczne aspekty rewolucji. Wbrew opiniom Interpolu, nie był mózgiem przestępczych grup lewicowych, a jedynie obibokiem, którego kręciły konopie i seks. Zwykle był zbyt najarany, żeby pojąć argumentację

nowych towarzyszy, którzy studenckie figle brali za zapowiedź agresywnych ataków, mających na celu obalenie systemu. W zaprzyjaźnionym gronie wypowiadał tajemnicze formuły. Jego powściągliwość i deklarowana wprost obojętność tylko podsycala ich gorliwość: być może ten amerykański terrorysta nie ufał im albo nie traktował dość poważnie. Odkrywali przed nim tajne plany, próbowali go zachęcić: bezpieczna kryjówka we wschodnim

Berlinie, komórka organizacji w Monachium zapewniająca wsparcie finansowe, oficer Bundesrepublik, który zaopatrywał kochankę w niezbędne uzbrojenie.

Z czasem Barry Cooper poczuł się osaczony. Męczyła go nie tylko cała ta maskarada – mierzyły go coraz częstsze akty przemocy. Pewnego dnia, po zamachu bombowym w stuttgarckim metrze, do którego przyznały się tak zwane Komórki Rewolucyjne, zobaczył w gazecie listę zabitych. Udając dziennikarza, odwiedził matkę jednej z ofiar. To doświadczenie – spotkanie twarzą w twarz z ludzkim wymiarem wielkiej rewolucji – raz na zawsze pozbawiło go złudzeń.

Janson poznał go wkrótce potem. Miał przeniknąć do mrocznego świata tajnych organizacji terrorystycznych. Szukał ludzi wiernych tradycjom zachodniej cywilizacji, ludzi, którzy nadal hołowali staroświeckiej, mieszczańskiej moralności. Nie bardzo wierzył w związki Barry'ego Coopera z terrorystami. Znał jego profil. Żartowniś, kawalarz, błazen – owszem. Ale nie zabójca. Rozrywkowy gość, który przypadkiem zadał się z nieodpowiednim towarzystwem.

Już wtedy Cooper mieszkał w Amsterdamie, na tej samej barce. Zarabiał na życie, sprzedając turystom kolorowe, kiczowate widoczki starówki. Sprawiał wrażenie faceta zbyt długo i zbyt często palącego trawkę: nawet kiedy nie był na haju, wydawał się nieco

nieprzytomny, choć przy tym prostoduszny. Nie zaprzyjaźnili się od razu. Za bardzo różnili się od siebie. Ale Cooper w końcu docenił fakt, że jego gość, reprezentant rządu Stanów Zjednoczonych, ani mu nie schlebiał, ani nie groził. Wyglądał jak typowy żołnierz piechoty morskiej, lecz zachowywał się inaczej. Ujął go swoją powściągliwością i bezpośredniością. Kiedy Cooper wdał się w dyskusję o nierównościach społecznych Zachodu, Janson – specjalista od nauk politycznych – chętnie podjął temat. Odnosił się krytycznie do zachodnich demokracji, ale jednocześnie odrzucał odczłowieczone uproszczenia terrorystów, o których mówił wprost, w sposób demaskatorski. „Nasze społeczeństwo sprzeniewierza się ludzkości, postępując zgodnie z deklarowanymi przez siebie ideałami. A twoi przyjaciele? Sprzeniewierzają się ludzkości, postępując zgodnie z deklarowanymi przez siebie ideałami”. Czy wybór był taki trudny?

„To głębokie, co mówisz”, stwierdził szczerze Barry Cooper. „Głębokie”: refleksyjna uwaga osób płytkich. Ale jeśli Cooper był płytki, to właśnie ta jego płytkość ocaliła go przed najgorszymi pokusami ze strony skrajnej lewicy. A informacje, których dostarczył, okazały się zgubne dla kilkunastu najgroźniejszych komórek. Ich bezpieczne domy opieczętowano, przywódców aresztowano. Udało się ustalić i zablokować ich źródła finansowania – a wszystko to dzięki pomocy ćpuna z kolorowej barki. W tym względzie rację mieli bezwzględni liderzy, pozujący na rzeczników rewolucyjnej awangardy: mały człowiek może dużo zmienić.

W zamian za informacje Departament Stanu po cichu odstąpił od wniosku o ekstradycję.

Janson popijał gorącą kawę z kubka umazanego farbą akrylową.

– Przyjechałeś, żeby pokręcić się po okolicy, prawda? – spytał Cooper. – I nic ode mnie nie chcesz?

Żarcik, który przetrwał od czasu ich pierwszych rozmów, ćwierć wieku temu.

– Mógłbym u ciebie przenocować?

– *Mi casa es su casa, amigo* – odparł Cooper.

Podniósł do ust skręta. Janson nigdy nie był pewien, czy marihuana jeszcze w ogóle na niego działała, czy też dawka podtrzymująca tylko przywracała go do stanu, który można by uznać za normalny.

– Prawdę mówiąc, brakuje mi towarzystwa – stwierdził Cooper przez zasłonę dymu. – Doris mnie zostawiła. Mówiłem ci?

– Nawet nie wiedziałem, że była jakaś Doris – odrzekł Janson. – Barry, nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Ach tak. – Cooper zmarszczył czoło, próbując zebrać myśli. Najwidoczniej szukał ciągu dalszego. I dlatego... I dlatego... I dlatego... Silnik umysłu obracał się, lecz nie zaskakiwał. W końcu podniósł palec wskazujący. – Wobec tego... Nieważne.

Doszedł do wniosku, że ktoś, kogo nie widział od ośmiu lat, nie będzie ciekaw historii związku, który trwał przez ostatnich sześć tygodni. Ale chyba ucieszył się, że zareagował właściwie, bo odchylił się do tyłu z rozbijającym uśmiechem.

– Hej, stary, naprawdę cieszę się, że cię widzę. – Szturchnął Jansona w ramię. – Współlokatorze! – dodał. – Jak za dawnych czasów. Felix i Oscar.

Janson skrzywił się – ramię miał wciąż obolałe po bójce w Regent's Park.

– Wszystko w porządku, stary? – gospodarz przyjrzał mu się z troską.

– Tak, tak – odparł Janson. – Ale tym razem wolałbym, żeby nikt nie wiedział o mojej wizycie. *Comprende?*

– *Comprendo mio maximo* – powiedział Cooper w ulubionym, wymyślonym przez siebie języku, będącym mieszanką hiszpańskiego, włoskiego i szkolnej łaciny – z trybami, aspektami i czasami własnego autorstwa. Cooper był jak postać drugoplanowa z powieści przygodowych Huntera S. Thompsona. Przeszedł długą drogę, mimo wszystko pozostając sobą.

– Chodźmy na spacer – zaproponował Janson.

– Super – zgodził się Barry.

Latarnie uliczne świeciły jasno, trzymając na dystans wieczorne niebo. Szli wzdłuż Złotego Zakrętu w Herengracht. Kiedyś był to ulubiony adres konstruktorów statków i kupców, którzy prosperowali trzysta lat temu, w amsterdamskim „złotym wieku”. Obecnie większość wspaniałych posiadłości należała do banków, muzeów, wydawnictw, konsulatów. Srebrna poświata przydawała siedemnastowiecznym budynkom szczególnego blasku, wydobywając różnice między nimi. Jeden z domów zbudowano na modłę francuską – fasadę z piaskowca zdobiły akanty i woluty. Inny, z ponurej, ciemnej cegły, za jedyną ozdobę miał trójkątny szczyt. Zaokrąglone gzymsy, modyliony, kwiatony, ozdobne wsporniki, wole oczy. Janson wszędzie dostrzegał zakamarki, w których mógł się czaić ukryty obserwator. Nawet półki sterczące z belek stropowych w ciemności wyglądały groźnie.

– Więc oglądasz te ulice codziennie – odezwał się.

– Codziennie, stary – odparł Cooper. – Żyję z tego. Rysuję to, co widzę. Tylko trochę inaczej. Scenki uliczne, czasem jeden z pałaców. Albo kościół. Turyści lubią kościoły.

– Mógłbym zamówić u ciebie obraz?

Cooper się ożywił.

– Naprawdę?

– Jest taka rezydencja na rogu Prinsengracht i Leidsestraat. Wiesz, o której mówię?

– Masz dobry gust. To istne cudencko.

Kamienica powstała z połączenia trzech sąsiadujących ze sobą budynków, ale fasadę zrekonstruowano w taki sposób, jakby od początku była to pojedyncza rezydencja. Pod trójkątnym frontonem biegł rząd ośmiu żłobkowanych kolumn korynckich. Siedem okien wykuszowych wychodziło na ulicę. Ściany ozdobił czerwony tynk i ciosany kamień. Światowa centrala Fundacji Wolności w każdą cegłę miała wpisaną historię.

– Myślisz, że mógłbyś to zrobić teraz? Z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów?

Omam nie wjechał w nich rozpedzony rowerzysta, jadący pod prąd ulicą jednokierunkową.

– Nigdy nie sądziłem, że podobają ci się moje prace. Odnosiłeś się do nich z rezerwą. W ogóle cię nie ruszały.

– W najdrobniejszych szczegółach, Barry – podkreślił Janson. – I jeszcze z tyłu. Od strony Lange Leidsedwardsstraat.

– Otworzę nowe pudełko pastelii – ucieszył się Cooper. – Specjalnie dla ciebie.

Rowerzyści i artyści uliczni: dwie kategorie ludzi, których na amsterdamskiej starówce właściwie nie zauważano. Cooper mógł usiąść na chodniku na wprost siedziby Fundacji Wolności i nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Siadał tak w różnych miejscach od dwudziestu paru lat. Wtapiał się w pejzaż, bo stanowił jego część.

•••

Godzinę później, gdy wrócili na barcę, Janson przyglądał się szkicom. Nie był zbudowany. Mógł wejść do środka na kilka sposobów, ale wszędzie byłby na widoku. Zresztą w całym budynku znajdowały się prawdopodobnie wysokiej klasy czujniki ruchu. Od strony ruchliwej Lange Leidsedwardsstraat też nie miał możliwości dostać się do wewnątrz ukradkiem.

Z reguły uciekano się do dwóch sposobów, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Po pierwsze, odosobnienie: zamek na zboczu góry, podziemna krypta. Po drugie, bliskie sąsiedztwo innych ludzi: budynek w środku miasta, gdzie intruz z pewnością zostanie dostrzeżony. Siedziba Fundacji Wolności niewątpliwie miała ten atut – zwracała uwagę setek przechodniów, zarówno turystów, jak i rdzennych mieszkańców miasta. Fakt, że była na widoku, stanowił jej najlepszą ochronę.

Janson czuł na sobie złość. Posługiwał się oklepanymi schematami, odwoływał do rozwiązań, które sprawdzały się, owszem – kiedyś. Teraz nie wystarczały. Musiał zmienić tok myślenia.

Niczym z zaświatów powróciły do niego słowa Demaresta: „Nie widzisz wyjścia? Spójrz na to inaczej. Zobacz dwa białe łabędzie zamiast jednego czarnego. Zobacz kawałek ciasta zamiast ciasta, w którym brakuje kawałka. Odróżniaj figurę od tła. Zapanuj nad wyobraźnią, dzieciaku. Ona cię wyzwoli”.

Zamknął oczy na kilka sekund. Uruchomił wyobraźnię. Musiał zaryzykować, musiał się odkryć, jeśli chciał pozostać w ukryciu. Pokrętna logika, ale nie miał innego wyjścia. Nie mógł dostać się do budynku ukradkiem. Wobec tego wejdzie głównym wejściem, w sposób rzucający się w oczy. Ta konkretna operacja, zamiast

dyskrecji, wymagała arogancji.

Zerknął jeszcze raz na szkice.

– Masz gazetę?

Cooper podreptał w kąt. Triumfalnym gestem zademonstrował poplamiony farbą egzemplarz „De Volksrant”.

– Coś po angielsku?

– W Holandii wydają gazety po holendersku – wyjaśnił Barry chrapliwie. – Popieprzone, no nie?

– Fakt – przyznał Janson. Zerknął na tytuły. Ze swoją znajomością niemieckiego był w stanie zrozumieć ich ogólny sens. Przewrócił kolumnę. Jego uwagę zwrócił krótki tekst na drugiej stronie.

– Tutaj – rzekł, stukając palcem. – Możesz mi to przetłumaczyć?

– Nie ma sprawy. – Cooper przez chwilę wpatrywał się nieprzytomnie w litery. – To nie moja działka, ale czekaj... Wspominałeś, że twoja matka jest Czeszką...

– Była. Nie żyje.

– Ale gafa. To okropne. Zmarła nagle?

– Miałem wtedy piętnaście lat, Barry. Zdążyłem się z tym pogodzić.

Gospodarz milczał przez chwilę. W tym czasie jego umysł najwyraźniej przetwarzał dane.

– Aha. Moja mama umarła rok temu. Kurwa, nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb. Byłem zdruzgotany. Przyskrzyniliby mnie na granicy, bez sensu. Ale byłem zdruzgotany.

– Przykro mi – powiedział Janson.

Cooper zaczął czytać artykuł, mozolnie tłumacząc z holenderskiego na angielski. Na pozór nie była to pasjonująca lektura: czeski minister spraw zagranicznych miał się spotkać w Hadze z innymi ministrami, po drodze odwiedzając Amsterdam, gdzie czekali na niego

przedstawiciele giełdy i członkowie finansjery, z którymi zamierzał omówić nowe czesko-holenderskie przedsięwzięcia. Kolejna błaha wizyta przedstawiciela kraju mającego nadzieję przyciągnąć inwestorów.

Holandia była bogata, Czechy biedne. Sto, dwieście, trzysta lat temu pewnie wyglądało to podobnie. Czechy nic na tym nie skorzystają. Ale Janson – owszem.

– Idziemy na zakupy – oznajmił nagle, wstając.

Cooper nie wydawał się zaskoczony tą propozycją. W jego zakręconej wizji świata było miejsce na przypadkowość.

– Spoko – mruknął. – Szamka?

– Ciuchy – sprecyzował Janson. – Z górnej półki.

– Ach tak. – Barry wydawał się nieco rozczarowany. – Znam jedno takie miejsce. Sam tam nie chodzę. Drogo. To kilka przecznic stąd, na Nieuwezijds Voorburgwal, obok Zapory.

– Świetnie – ucieszył się Janson. – Pójdiesz ze mną? Mogę potrzebować tłumacza.

W gruncie rzeczy chodziło o to, że jeśli ktoś go obserwował, zapewne nie spodziewał się, że Janson pojawi się z towarzystwem.

– Z chęcią – odparł Cooper. – Ale każdy tu rozumie mowę MasterCard.

Budynek Magna Plaza wzniesiono sto lat temu. Z początku mieściła się tu poczta, jednak bogate zdobienia, sklepienie sufity, wspaniałe tynki, kordonowe gzymsy i galeryjki wydawały się zbyt strojne jak na tak banalną instytucję. Dopiero gdy urządzono tu centrum handlowe, cały ten przepych znalazł uzasadnienie. Na galerii ulokowało się czterdzieści sklepów. W ekskluzywnym butik z męskimi ubraniami Janson przymierzył garnitur od Ungara w rozmiarze 53. Cena:

równowartość dwóch tysięcy dolarów. Przy jego symetrycznej budowie nawet zwykłe garnitury z sieciówek leżały na nim jak szyte na miarę. Ten leżał jak ulał.

Sprzedawca ze sztywnymi od żelu włosami zbliżył się do nich posuwistym krokiem, po czym przyssał się niczym pijawka do amerykańskiego klienta.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, garnitur leży idealnie – rzucił przymilnym tonem. Pracując w sklepie z takimi metkami, musiał być usługowym lizusem. – Materiał wspaniale się układa. To piękny garnitur. Bardzo elegancki. Szykowny, ale subtelny. – Jak wielu Holendrów, mówił po angielsku prawie bez akcentu.

Janson spojrzał na swojego towarzysza. Jego zaczerwienione, rozbiegane oczy wskazywały, że umysł wciąż miał zamglony.

– Mówi, że jego zdaniem garnitur dobrze leży – rzekł Cooper.

– Rozmawiamy po angielsku, Barry. Nie musisz tłumaczyć. – Janson zwrócił się do sprzedawcy. – Zakładam, że przyjmiecie gotówkę. Jeśli skróćcie na miejscu mankiety, kupuję. Jeżeli nie, trudno.

– Mamy tu wprawdzie krawca, ale zwykle poprawki wykonujemy gdzie indziej. Na jutro mógłbym zamówić kuriera...

– Przykro mi. – Janson odwrócił się do wyjścia.

– Chwileczkę. – Sprzedawca chyba pożałował znacznej prowizji od sprzedaży. – To da się załatwić. Porozmawiam z krawcem. Za dziesięć minut będziemy gotowi. Wszystkiego dopilnuję. Jak to mówicie w Stanach: nasz klient, nasz pan.

– Jakże miło mi to słyszeć – powiedział Janson.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł sprzedawca.

Waszyngton

Postawny mężczyzna w rdzawoczerwonym krawacie zatrzymał taksówkę na rogu ulic Osiemnastej i M, w pobliżu baru z grillem. Kierowca nosił na głowie turban i słuchał radia. Jego nowy pasażer był elegancko ubrany i nieco otyły. Wyciskał na leżąco ponad sto trzydzieści kilogramów, ale nie stronił od piwa i steków. Zresztą, czemu miałyby zmieniać swoje przyzwyczajenia? Był dobry w tym, co robił, jego klienci nigdy się nie skarżyli. Nie musiał dorabiać na boku jako model.

– Do Cleveland Park – rzucił. – Macomb Street 34.

Sikh powtórzył adres i zapisał go na podkładce. Ruszyli.

Celem podróży okazał się ponury, opuszczony supermarket, zamknięty na głucho i zabity deskami.

– To na pewno tutaj? – spytał taksówkarz.

– Och tak. Mógłby pan podjechać na parking od tyłu? Muszę coś odebrać.

– Oczywiście, proszę pana.

Kiedy samochód wjeżdżał za niski budynek z cegły i szkła, serce pasażera zabiło mocniej. Nie wolno mu było spaprać tej roboty. Mógł się jej podjąć każdy. Ale nikt nie był równie staranny.

– Świetnie – powiedział.

Nachylił się, błyskawicznym ruchem założył garotę na szyję kierowcy i mocno pociągnął. Sikh sapnął chrapliwie, wybałuszył oczy i wywalił język. Pasażer wiedział, że utrata świadomości nastąpi szybko, ale nie mógł na tym poprzestać. Żeby wywołać śmierć przez uduszenie, potrzeba było jeszcze dziesięciu sekund maksymalnego nacisku.

Schował garotę do górnej kieszeni, wywlekł z samochodu

bezwładne ciało, po czym umieścił je w bagażniku obok koła zapasowego, kabli rozruchowych i zadziwiającej liczby koców. Nauczony przykrym doświadczeniem wiedział, że trzeba jak najszybciej usunąć ciało z fotela kierowcy – nagłej śmierci towarzyszyły czasem niekontrolowane czynności fizjologiczne. Nie miał teraz głowy do czyszczenia tapicerki.

W kieszeni zabrzączał telefon BlackBerry – znak, że obiekt się przemieścił.

Zerknął na zegarek. Zostało mu niewiele czasu.

Komuś innemu jeszcze mniej.

• • •

Głos w słuchawce podał mu dokładne współrzędne. Pasażer, teraz w roli taksówkarza, wyprowadził samochód na Dupont Circle. Był informowany na bieżąco o kolejnych ruchach kobiety. Jeśli zależało mu na wykonaniu zadania, wszystko trzeba idealnie zgrać w czasie.

Przed domem towarowym kłębił się niewielki tłumek. Czarnoskóra kobieta miała na sobie granatową kurtkę o marynarskim kroju i złotą jedwabną apaszkę, luźno zawiązaną wokół szyi. W rękę ścisnęła torbę z eleganckim logo luksusowego butik.

Cała jego świadomość ograniczyła się teraz do jej sylwetki, coraz większej i wyraźniejszej. Dodał gazu i gwałtownie obrócił kierownicę w prawo.

Gdy taksówka wjechała na chodnik, rozległy się okrzyki niedowierzania, przechodzące stopniowo w chór przerażonych przechodniów.

Znów ta osobliwa bliskość: wystraszona twarz kobiety, jak kochanki nachylającej się do pocałunku. Gdy uderzył w nią przednim

zderzakiem z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, poleciała na maskę, a kiedy zahamował, ciało wystrzeliło w powietrze, by ostatecznie upaść na ruchliwe skrzyżowanie. Kierowca furgonetki zahamował z piskiem, ale nie zdołał ominąć ciała, na którym pozostały ślady opon.

Taksówkę znaleziono jeszcze tego samego dnia, porzuconą w bocznej uliczce w południowej części miasta. Nieciekawą okolicę zaśmiecały potłuczone butelki po piwie, zużyte fiolki i plastikowe strzykawki. Okoliczna młodzież potraktowała taksówkę jak cenne znalezisko. Kiedy przybyła policja, wóz miał wyrwane dekle, tablicę rejestracyjną i radio. Tylko ciało w bagażniku pozostało nietknięte.

Rozdział 19

Pomijając lokalizację – naprzeciwko siedziby Fundacji Wolności – niewielki dom nad kanałem, *voorhuis*, niczym specjalnym się nie wyróżniał. Ratko Pavić wprawnym okiem ocenił funkcjonalność wnętrza. W powietrzu unosił się słaby, słodkawy zapach. Grochówka? Zapewne ugotowana zeszłego wieczoru, ale jej woń jakby wniknęła w ściany. Zmarszczył nos z odrazą. Przynajmniej nikt nie będzie tu więcej przyrządzać żadnych potraw. Pomyślał o dwóch ciałach leżących w wannie, w łazience na piętrze. Krew nadal spływała do przewodów kanalizacyjnych. Nie męczyły go wyrzuty sumienia. Dwoje starszych ludzi – zatrudnili się do pilnowania domu, gdy właściciele wyjechali na Korfu. Przeszkadzali. Z pewnością dbali o powierzoną im nieruchomość, ale musiał się ich pozbyć. W słusznej sprawie. Usadowiony w ciemnym pokoju przy małym, kwadratowym okienku, miał doskonały widok na kamienicę naprzeciwko, a z dwóch mikrofonów wyposażonych w paraboliczne anteny docierały do niego dość wyraźnie rozmowy z holu.

Mimo wszystko to był nużący poranek. Pracownicy administracji stawiali się na miejscu między ósmą a dziewiątą trzydzieści. Umówieni goście przybywali w godzinach popołudniowych: najpierw urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych, zaraz potem zastępcy ministrów szkolnictwa, kultury i nauki. Wysokiego komisarza z ONZ do spraw uchodźców zastąpił dyrektor wydziału „zrównoważonego

rozwoju”, a potem jeszcze inny, z Europejskiej Komisji Gospodarczej. Partnerzy Ratka czujnie im się przyglądali. Jeden z nich, Simić, ulokował się na dachu *voorhuis*, na wysokości trzech pięter. Ale żaden dotąd nie namierzył Paula Jansona. Co w sumie nie dziwiło. Obserwacja za dnia raczej nie miała sensu. Z drugiej strony, agent Janson był nieprzewidywalny, ponieważ działał w sposób... no właśnie, nieprzewidywalny.

Ta w gruncie rzeczy monotonna robota wymagała umiejętności trzymania się w cieniu i to najbardziej pasowało Ratkowi, odkąd został strzelcem wyborowym. Zygzakowata blizna, biegnąca od prawego oka do podbródka, blizna, która płonęła czerwienią w chwilach gniewu, czyniła jego twarz zbyt rozpoznawalną. Dlatego wolał się nie pokazywać. Został naznaczony – właśnie ta myśl przyszła mu do głowy, gdy napastnik rzucił się na niego z nożem do skrobania ryb. Bardziej dojmująca niż piekący ból była świadomość, że już nigdy nie będzie mógł pracować jako tajny agent w terenie. Oczywiście, jako snajper pozostawał równie niewidoczny jak jego karabin z tłumikiem, w każdej chwili gotów do strzału. Tymczasem mijały godziny i zastanawiał się, czy ta chwila kiedykolwiek nadejdzie.

W ramach rozrywki od czasu do czasu kierował lunetę na drobną, rudowłosą recepcjonistkę. Przyglądał się jej pośladkom, kiedy się nachylała, i czuł mrowienie w łądźwiach. Ta dziewczyna go podniecała, o tak. Przypomniła sobie bośniackie kobiety, z którymi zabawiał się kilka lat temu wraz z innymi żołnierzami – pamiętał ich twarze, wykrzywione nienawiścią, w wyrazie tak podobnym do seksualnego uniesienia. Wystarczyło trochę wyobraźni. Najbardziej podniecał go fakt, że były całkowicie bezsilne. Wcześniej z żadną

kobietą nie doświadczył niczego podobnego. Nie miało znaczenia, że cuchnęło mu z ust i śmierdział – one po prostu nic nie mogły zrobić. Wiedziały, że muszą ulec, poddać się służalczo, bo inaczej będą świadkami egzekucji swoich rodziców, mężów i dzieci, a na końcu same zostaną rozstrzelane.

Dostrajając ostrość, wyobrażał sobie teraz rudą recepcjonistkę związaną, przyciśniętą do materaca, z oczami w słupek; jej bladą miękkość, zniewoloną jego potężnym ciałem.

Ratko nie potrzebował lunety, żeby dostrzec kawalkadę trzech czarnych mercedesów, które sunęły dostojnie ulicami Stadhouderskade i Leidsestraat, by ostatecznie zatrzymać się przed siedzibą Fundacji Wolności. Szofer w liberii wysiadł z limuzyny i otworzył tylne drzwi. Z samochodu wyłonił się mężczyzna w ciemnym garniturze, rogowych okularach i pilśniowym kapeluszu. Przystanął na chwilę, podziwiając majestat południowo-zachodniej części Prinsengracht. Mężczyzna w liberii – najwyraźniej człowiek do wszystkiego – nacisnął dzwonek przy rzeźbionym wejściu. Dziesięć sekund później drzwi się otworzyły.

– Minister spraw zagranicznych Republiki Czeskiej – zaanonsował gościa mężczyzna. – Pan Jan Kubelik.

W słuchawkach trochę trzeszczało, ale głos był dobrze słyszalny.

Minister powiedział kilka słów po czesku, po czym gestem odprawił szofera, który zawrócił do limuzyny.

Mężczyzna w eleganckim granatowym garniturze zwrócił się do recepcjonistki:

– Mam wrażenie, że moja wizyta jest dla państwa zaskoczeniem.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Ależ skąd, panie ministrze. Bardzo nam miło.

Ratko uśmiechnął się. Pół godziny wcześniej pracownicy fundacji wpadli w panikę na wieść o tym, że nowo wybrany minister spraw zagranicznych stawi się na spotkanie z dyrektorem wykonawczym w umówionym terminie. W zdenerwowaniu porównywali notatki – wyglądało na to, że nigdzie nie odnotowano tej wizyty. Nikt nie chciał się przyznać do tego zaniedbania, jednak ktoś zaważył sprawę. Ratko obserwował przez lunetę konsternację rudej recepcjonistki. „Nie dalej jak dwa tygodnie temu umówiłaś na tę samą godzinę ministra spraw zagranicznych Szwecji i przedstawiciela ONZ do spraw rozbrojenia”, zgromiła wyjątkowo tępą sekretarkę. Tamta broniła się, twierdząc, że to nie ona zawiniła, ale pewne wahanie w jej głosie było równoznaczne z przyznaniem się do winy. Inna próbowała jej bronić, utrzymując, że prawdopodobnie zawiniła czeska biurokracja. Ale taka sugestia byłaby, oczywiście, rażącym naruszeniem protokołu.

Ratko patrzył, jak recepcjonistka prowadzi ministra do eleganckiej poczekalni. Przestał widzieć i słyszeć wyraźnie. Włączył elektroniczne wzmocnienie obrazu i podkreślił sygnał w mikrofonie, eliminując szumy.

– Dyrektor zaraz pana przyjmie – oznajmiła recepcjonistka. Znów słyszał ją bez zakłóceń.

– Bardzo pani uprzejma – stwierdził nonszalancko czeski dyplomata, zdejmując kapelusz. – Piękna rezydencja. Czy mógłbym podejrzeć to i owo?

– Będziemy zaszczytzeni – odparła recepcjonistka, jakby recytowała z pamięci.

No tak – pewnie szuka inspiracji wnętrzarskich dla żony. Kiedy wróci do ponurego pałacu prezydenckiego w Pradze, będzie miał co

opowiadać kolegom.

Jako żołnierz armii jugosłowiańskiej Ratko brał kiedyś udział w manewrach wojskowych państw Układu Warszawskiego – było to dawno, jeszcze zanim Jugosławia rozpadła się na sześć odrębnych państw. Poznał wtedy kilku Czechów. Zawsze wydawali mu się dość zarozumiali, nie miał też o nich najlepszego zdania.

Jego uwagę zwrócił mężczyzna, który wolnym krokiem przechadzał się przed siedzibą fundacji. Czy Janson okazałby się aż tak zuchwały? Nie, mężczyzna wyglądał raczej na turystę. Przystanął obok niskiej barierki nad kanałem i wyjął z kieszeni mapę.

Ratko przyjrzał mu się przez lunetę. Kąt nie był idealny, ale wystarczający, żeby Ratko spostrzegł swoją pomyłkę: szczupła sylwetka, krótkie włosy... Janson, nawet w przebraniu doskonałym, mimo wszystko nie wyglądałby na dwudziestoparoletnią kobietę.

Snajper poczuł przyjemny dreszcz.

...

Janson omiół wzrokiem przepięknie urządzone poczekalnię. W kwadratowych wnękach wisiały w symetrycznym porządku obrazy mistrzów holenderskiego renesansu. Gzyms kominka wyrzeźbiono z błękitnego marmuru. Wnętrze idealnie oddawało charakter holenderskiej rezydencji: z dala od oczu ciekawskich sławetny ideał nordyckiej prostoty odkładano do lamusa.

Nie jest źle, pomyślał Janson. Cooper zdołał się ogarnąć, a w tym idiotycznym przebraniu świetnie wczuwał się w rolę, nie popadając w przesadę. Poruszał się sztywno i oficjalnie, przemawiał pompatycznie, służalczym tonem – w każdym calu oddany sługa bardzo ważnej osobistości. Janson zakładał, że nikt nie będzie

wiedział, jak naprawdę wygląda czeski minister spraw zagranicznych, mianowany ledwie dwa tygodnie temu. Poza tym Fundacja Wolności nie miała powodu interesować się Republiką Czeską.

Janson nawet nie musiał się przebierać: trochę brylantyny, staromodne oprawki, popularne w Europie Wschodniej, garnitur w rodzaju tych, jakie nosili dyplomaci na całym kontynencie... I sposób bycia, jednocześnie życzliwy i władczy. Naturalnie, pomagało czeskie pochodzenie jego matki: Janson potrafił mówić po angielsku z czeskim akcentem. Wszyscy wiedzieli, że w kraju takim jak Holandia czeski dyplomata posługuje się angielszczyzną.

Zerknął znad okularów na rudowłosą recepcjonistkę.

– A Peter Novak? – zagadnął. – Jest tutaj?

Drobna kobieta uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Och, nie. Większość czasu spędza w rozjazdach, podróżując po całym świecie. Czasem nie widzimy go całymi tygodniami.

Wcześniej Janson zastanawiał się, czy zastanie pracowników fundacji pogrążonych w żałobie. Ale Agger nie mylił się: najwidoczniej dotąd nie mieli pojęcia, co się wydarzyło.

– No cóż – rzekł Janson. – Troszczy się o cały świat, prawda?

– Można tak powiedzieć. Ale jest tu dziś jego żona. Susanna Novak. Koordynuje program rozwoju organizacji pozarządowych.

Janson pokiwał głową. Novak nie chciał, żeby członkowie jego rodziny znajdowali się w centrum zainteresowania, być może z obawy przed porwaniem. Sam był osobą publiczną, ponieważ wymagała tego jego działalność. Dlatego od czasu do czasu zgadzał się wystąpić w mediach. Jednak od lat dawał do zrozumienia dziennikarzom, że nie jest gwiazdorem Hollywood, i nie chce, aby ktokolwiek z rodziny ponosił koszty jego sławy. Z reguły media szanowały jego wolę. Tym

bardziej że wybrał na siedzibę Amsterdam – mieszczańskie tradycje miasta skutecznie chroniły prywatność tego wielkiego człowieka.

W ukryciu, choć na widoku.

– A tam? – Janson wskazał drzwi z lewej strony głównego korytarza.

– Gabinet Petera Novaka – wyjaśniła recepcjonistka. – Do którego z pewnością by pana zaprosił, gdyby był na miejscu. Należałoby na spotkanie.

Otworzyła drzwi i skinęła głową na obraz wiszący na ścianie naprzeciw wejścia.

– Van Dyck – oznajmiła z dumą. – Wspaniały, nie sądzi pan?

Portret przedstawiał siedemnastowiecznego arystokratę. Dominowała w nim paleta zgaszonych brązów i niebieskości, ale wydawał się pełen barw.

Janson zapalił światło, podszedł do obrazu i chwilę mu się przyglądał.

– Nadzwyczajny – zachwycił się. – To jeden z moich ulubionych malarzy. W Czechach też mamy się czym pochwalić. Ale, między nami mówiąc, takich skarbów Praga nie posiada.

Sięgnął ukradkiem do kieszeni i wybrał wcześniej zaprogramowany numer w komórce. W recepcji zadzwonił telefon.

– Przepraszam na chwilę – rzekła dziewczyna.

– Oczywiście.

Gdy kobieta pospieszyła do recepcji, Janson szybko przewertował papiery, poukładane w równych stertach na biurku Novaka i na kredensie. W większości były to pisma z przeróżnych wpływowych instytucji, w tym z kilku holenderskich ministerstw. Jedna z kopert zwróciła jego szczególną uwagę, przywołując mgliste wspomnienia.

Nadruk na kopercie: UNITECH. Pamiętał tę nazwę. Jako Paul Janson, konsultant do spraw bezpieczeństwa korporacyjnego, czy jako Paul Janson, były agent Wydziału Operacji Konsularnych?

– Pan minister Kubelik?

– Tak?

Stała przed nim wysoka, uśmiechnięta blondynka.

– Jestem żoną Petera Novaka. Miło mi powitać pana w jego imieniu. Dyrektor jest jeszcze na spotkaniu z ambasadorem Holandii przy ONZ, ale wkrótce do nas dołączy – oznajmiła z neutralnym amerykańskim akcentem.

Była piękną kobietą w typie Grace Kelly, jednocześnie ponętą i niedostępną. Perłowa szminka może nie przystawała do wizerunku bizneswoman, lecz niewątpliwie przydawała jej uroku, podobnie jak obcisły kostium, zmysłowo opinający kształty.

Tak nie wygląda kobieta w żałobie. Nie mogła wiedzieć. Nie wiedziała. Jak to możliwe?

Janson uklonił się. Czy czeski dyplomata pocałowałby ją w rękę? Nie, chyba wystarczy uścisk dłoni. Jednak nie potrafił oderwać od niej wzroku. Kogoś mu przypominała. Niesamowite podobieństwo. Błękitno-zielone oczy, długie, smukłe palce...

Czy to możliwe, że widział ją niedawno? Gdzie? W Grecji? W Anglii? Przelotnie, tak że zarejestrowała to tylko jego podświadomość?

– Jest pani Amerykanką?

Wzruszyła ramionami.

– Obywatelką świata. Jak Peter.

– Jak się miewa nasz wspaniały dobroczyńca? – spytał z pewnym wahaniem.

– Jak zwykle – odparła po chwili milczenia. – Ale miło, że pan pyta, doktorze Kubelik. – Przyglądała mu się z figlarnym uśmiechem, niemal zalotnie. Z pewnością miała spore doświadczenie w uwodzeniu zagranicznych dyplomatów.

Janson pokiwał głową.

– Jak to mawiamy w Czechach, lepiej nic nie zmieniać, niż zmieniać na gorsze. Taka ludowa mądrość.

– Chodźmy – rzekła. – Zaprowadzę pana na górę do sali konferencyjnej.

Piętro urządzone z mniejszym przepychem, wręcz przytulnie. Pomieszczenia były tu znacznie niższe, a wystrój mniej wystawny. Okna sali konferencyjnej wychodziły na kanał. Słońce późnego poranka rysowało się ukośnymi promieniami na długim stole z drewna tekowego. Jansona powitał w progu niewysoki mężczyzna ze starannie przyczesanymi, siwymi włosami.

– Doktor Tilsen – przedstawił się. – Oficjalnie dyrektor wykonawczy na Europę. To trochę mylące, prawda? – Zaśmiał się oschle. – Właściwie powinienem być powiedzieć: dyrektor programowy...

– Z doktorem Tilsenem będzie pan bezpieczny – zapewniła Susanna Novak. – W każdym razie bardziej niż ze mną – dodała dwuznacznie.

Janson usiadł. O czym właściwie miał rozmawiać z tym urzędnikiem o bladej twarzy?

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę z charakteru mojej wizyty – zaczął niepewnie.

– Tak sędzę – odparł Tilsen. – Czeski rząd od lat wspiera nasze inicjatywy. W mniejszym lub większym stopniu. Jesteśmy świadomi, że nie wszystkie nasze działania są na rękę pewnym krajom.

– Właśnie – zgodził się Janson. – Słuszna uwaga. Zastanawiam się

jednak, czy moi poprzednicy nie podejmowali decyzji zbyt pochopnie. Być może nasza współpraca mogłaby się układać bardziej harmonijnie.

– Bylibyśmy zobowiązani.

– Gdyby przedstawił mi pan w zarysie wasze najbliższe projekty dotyczące Republiki Czeskiej, mógłbym przybliżyć tę kwestię moim współpracownikom.

– W takim razie pozwolę sobie pokrótce naszkicować sytuację.

Tilsen uśmiechnął się niepewnie. Jako profesjonalny mówca, przez kolejnych trzydzieści minut próbował zająć Jansona opisem potencjalnych inicjatyw, programów, projektów. Jego słowa szybko zlały się w potok jałowej nowomowy, pełnej mętnych sloganów: organizacje pozarządowe, ożywienie instytucji prodemokratycznych, promowanie wartości i praktyk społeczeństwa otwartego... Mówił powoli, rozwlekłe i wkrótce Janson całkiem zgubił wątek. Potakiwał od czasu do czasu ze sztucznym uśmiechem, ale myślami błądził gdzie indziej. Czy żona Petera Novaka uczestniczyła w spisku? Czy miała coś wspólnego z jego śmiercią? To było nie do pomyślenia, ale jak inaczej wytłumaczyć jej zachowanie?

A doktor Tilsen? Pozornie szczery, pozbawiony wyobraźni, pełen najlepszych intencji, tylko trochę zadufany w sobie. Czy taki człowiek mógł być częścią nikczemnej intrygi, mającej na celu zniszczenie największego dobroczyńcy tego niedoskonałego świata? Janson przyglądał się jego nierównym, wyszczerbionym, przebarwionym zębom i zadowolonej minie. Tilsen z uciechą przytakiwał sam sobie. Czy Paul patrzył na uosobienie zła? Mało prawdopodobne.

Ktoś zapukał do drzwi. W progu stała rudowłosa recepcjonistka.

– Bardzo przepraszam, doktorze Tilsen. Telefon z kancelarii

premiera.

– Pan wybaczy. – Tilsen wstał.

– Nic nie szkodzi – powiedział Janson.

Przyjrzał się bacznie meblom w gabinecie, po czym podszedł do okna z widokiem na kanał.

Nagle przeszedł go zimny dreszcz. Nawet nie wiedział czemu. Kątem oka dostrzegł coś dziwnego. Instynkt znów go ostrzegął, zanim umysł zdefiniował zagrożenie.

Chryste! W domu naprzeciwko mignęła sylwetka przyczajonego mężczyzny. Snajperzy nieraz popełniali ten błąd: w miarę jak słońce wędrowało po niebie, zmieniał się układ cieni, zdradzając pozycję strzelca, który dotąd był niewidoczny. Janson zobaczył odbłask lunety.

Zlustrował wzrokiem okap i okienka mansardowe. Jedno z nich niedawno wyczyszczono – ktoś chciał przez nie lepiej widzieć.

Belka, stercząca z dachu. Wyglądała dziwnie. Dopiero po chwili zrozumiał, że to nie belka, lecz zarys karabinu.

Czyżby zwodziła go wyobraźnia? Czyżby wszędzie dostrzegał potencjalne niebezpieczeństwo, jak dziecko, które w ciemności widzi potwory? Poczul pulsowanie w obolałej skroni. Ale przecież nie bał się duchów.

Nagle mała kwadratowa szybka w oknie rozprysła się na kawałki, a z parkietu poleciały drzazgi. Trafiona pociskiem, pękła druga szybka, a zaraz potem kolejna. Na stół konferencyjny posypały się odłamki szkła.

W ścianie na wprost okna pojawiły się zygzakowate szpary. Kolejny pocisk przeleciał tuż nad jego głową. Janson padł na podłogę i przeczołgał się do drzwi.

I przez cały ten czas żadnego huku wystrzałów. Karabin z tłumikiem. Właściwie nie powinno go to dziwić.

Jednak niespodziewanie rozległ się wybuch. Towarzyszył mu pisk opon. I trzask drzwi samochodu.

Gdzieś z wnętrza budynku dobiegły histeryczne okrzyki.

Obłąd!

Tuż obok niego spadł bezgłośny grad pocisków trafiających w ściany, sufit, podłogę i kryształowy żyrandol. Niektóre z nich z paskudnym świstem rykoszetowały.

Krew pulsowała mu w skroniach coraz boleśniej, tak że z trudem skupiał wzrok.

Jednak musiał się skoncentrować, musiał! Skąd ten atak, a właściwie dwa, niezależne od siebie?

Atakowały dwa różne zespoły. Nie koordynując swoich działań.

Pani Novak. To ona go zdemaskowała, teraz był tego pewien. Przejrzała go i grała na zwłokę. Stąd to figlarne spojrzenie. Należała do Nich.

Powinien się ukryć w rezydencji, w jednym z gabinetów. Ale będą go szukać, na pewno. Czyli nie był tu bezpieczny. Wydzwonił Barry'ego.

W głosie Coopera usłyszał wyraźne zdenerwowanie.

– Jezu, Paul! Co tu jest grane?! To wygląda jak bitwa o Midway!

– Widzisz coś szczególnego?

– To znaczy? No dobra, jest paru gości w wojskowych mundurach.

Wyglądają nieciekawie. To nie są pacyfiści, Paul!

– Posłuchaj, Barry, limuzyna ma kuloodporne szyby, tak? W środku będziesz bezpieczny. Ale stawisz się na dany sygnał, rozumiemy się?

Janson rzucił się do drzwi. Zaczął zbiegać po schodach na parter.

Na podeście między piętami zauważył strażnika. Ochroniarz podchodził do okna, sięgając do kabury. Nagle pistolet wypadł mu z ręki, a nad lewą brwią pojawiła się czerwona plama, z której trysnęła krew. Mężczyzna jeszcze przez chwilę stał wyprostowany, jakby zamienił się w słup soli. Powoli, jak w swoistym *danse macabre*, zaczął poruszać nogami, po czym runął na stary chiński dywan. Janson podbiegł do niego i pochwycił pistolet.

– Panie ministrze! – zawołała rudowłosa recepcjonistka. – Wszyscy mamy przenieść się do tylnej dobudówki. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale... – Zdumiona, urwała na widok dygnitarza, który turlał się w dół po schodach w kontrolowany sposób.

Janson stoczył się błyskawicznie tuż pod drzwi frontowe. Musiał działać szybko.

– Proszę rzucić mi kapelusz.

– Słucham?!

– Kapelusz. Cholerny kapelusz! – Spokojniejszym tonem dodał: – Jest metr od pani lewej ręki. Proszę mi go rzucić.

Recepcjonistka posłusznie wykonała polecenie, jakby miała do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem, po czym uciekła na tył rezydencji.

Mały, czysty kwadracik w przybrudzonej szybie okienka: to tam ukrywał się snajper.

Musiał użyć grubych, drewnianych drzwi jako ruchomej tarczy. Skoczył na nogi, przekreślił gałkę i lekko uchylił drzwi.

Dwa głuche odgłosy. Dwa pociski wbiły się w grube drewno. Pociski, które trafiłyby go, gdyby wyszedł na ulicę.

Uchylił drzwi na szerokość czterdziestu pięciu centymetrów. Tyle powinno wystarczyć. Wyczyszczony, iskrzący się kwadracik w szybie

– przy odrobinie szczęścia mógł w niego trafić nawet z pistoletu.

Jego wrogowie byli uzbrojeni w karabiny z lunetami, on nie. Jednak nawet lunety miały swoje ograniczenia. Im większe zbliżenie, tym bardziej ograniczone pole widzenia. A regulacja ostrości, kiedy cel raptownie się przemieszczał, zajmowała od dziesięciu do dwudziestu cennych sekund.

Przeczołgał się do miejsca, gdzie na jasnoniebieskim dywanie, pociemniałym od krwi, leżał zastrzelony strażnik, i wytaszczył ciało do holu. Wiedział, że ochroni go ponad metrowej grubości ściana z cegieł, znajdująca się pod oknem. Wyjął chusteczkę i szybko wytarł krew z twarzy mężczyzny. Zarzucił mu na ramiona swoją marynarkę i wcisnął na głowę pilśniowy kapelusz. Złapał mocno za włosy na karku, ustawiając głowę w odpowiedniej pozycji, i błyskawicznym ruchem wypchnął ją na zewnątrz przez uchylone drzwi, po czym zaczął nią obracać, naśladując gesty człowieka, który ostrożnie wyciąga szyję, żeby się rozejrzeć.

Snajperowi głowa miała mignąć przelotnie, widziana z profilu, z daleka.

Padły dwa strzały, potwierdzając jego najgorsze obawy. Głowę martwego mężczyzny przeszyły dwa pociski dużego kalibru, wystrzelone z różnych kierunków.

Minie co najmniej sekunda, zanim snajperzy przeładują karabiny i będą gotowi oddać kolejne strzały. Janson zerwał się z miejsca i wyprostował plecy. Zapewne wciąż celowali w punkt, gdzie pojawiła się głowa nieżyjącego strażnika. Głowa Jansona będzie znacznie wyżej. Musiał precyzyjnie wycelować i strzelić niemal natychmiast.

Czas stanął w miejscu.

Paul wyjrzał na zewnątrz, namierzył błyszczący kwadracik w szybie

i wystrzelił kolejno trzy pociski. Przy odrobinie szczęścia miał szanse przynajmniej zniszczyć sprzęt snajpera. Pistolet szarpnął, Janson schował się za drzwi. Zza stłuczonej szyby ktoś bluznął stekiem przekleństw – znak, że w coś trafił.

Przypuszczalnie udało mu się zlikwidować jedno ze stanowisk. Ale ile jeszcze ich było? Przyjrzał się ranom postrzałowym w głowie strażnika. Jeden z pocisków nadleciał stromym torem z wysoka, ewidentnie z domu naprzeciwko. Drugi, który przeszył kość policzkową, wystrzelono pod ostrym kątem, z sąsiedniej kamienicy po prawej stronie.

Mógłby przywołać Coopera w opancerzonej limuzynie, jednak gdyby pokazał się choćby na chwilę – zważywszy, że w pobliżu czaił się snajper – zapewne zginąłby na miejscu. Co najmniej jedna osoba miała na celowniku ganek kamienicy.

Janson gwałtownym ruchem podrzucił ciało strażnika do góry, tak by pokazało się w oknie od frontu. Reakcja nastąpiła natychmiast. Rozległ się huk, posypało się szkło. Po chwili uderzyło jeszcze kilka pocisków. Ile było karabinów wycelowanych w dom, ilu snajperów czekających, by oddać perfekcyjny strzał? Przynajmniej pięciu, może więcej.

Dobry Boże. Trwał zmasowany atak na siedzibę Petera Novaka. Czyżby spowodowała go jego wizyta? To bez sensu. Ale właściwie wszystko wydawało się bez sensu.

Jednego był pewien: musiał opuścić dom. Ale nie od frontu. Ruszył schodami na górę. Z pierwszego na drugie piętro prowadziły węższe schodki. Janson stanął przed jakimiś drzwiami. Ile czasu mu zostało? Szarpnął za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Otworzył je kopniakiem i znalazł się w prywatnym gabinecie.

Biurko. Kredens, wypełniony tekturowymi kopertami ultrabezpiecznej, ultradrogiej poczty kurierskiej Caslon Couriers. Obok – czarna metalowa szafa na dokumenty. Też zamknięta na klucz, ale otworzył ją bez trudu. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo dokumentów licznych organizacji pozarządowych. Zauważył też kwity ze słoweńskich i rumuńskich bibliotek. A także korespondencję z UNITECH. Tak, ta nazwa coś mu mówiła, ale teraz nie miał głowy, żeby o tym myśleć. Jedyńm imperatywem było przeżyć – na tym musiał się teraz skupić. Minęło trzydzieści sekund. Wbiegł po schodach jeszcze wyżej, po czym wspiął się po drabinie na strych. Panowała tu duchota, jednak gdzieś, poniżej krokwi, musiało być okienko. Jego jedyna szansa. Po chwili odnalazł je i wygramolił się na dach – bardziej stromy, niż się spodziewał. Musiał przytrzymać się komina, niczym ogromnego drzewa w dżungli, za którym mógł się ukryć.

Zlustrował wzrokiem pobliskie dachy w poszukiwaniu swoich oprawców. Zakładał, że nie będą go wypatrywać na tej wysokości.

Czyżby?

Na jeszcze wyższym dachu naprzeciwko, po przekątnej, dojrzał śmiertelnie niebezpieczną brunetkę z Regent's Park. Tam omal go nie trafiła z dużej odległości. Teraz znajdowała się ledwie trzydzieści metrów od niego. Nie mogła chybić. Nie chybiła, strzelając do groteskowej kukły, którą wystawił za drzwi – teraz już wiedział, że to ona strzelała.

Odwrócił głowę i zamarł. Po lewej stronie, na sąsiednim dachu, zobaczył drugiego snajpera. Dzieliło ich dziesięć metrów.

Snajper usłyszał, jak Janson czołga się po spadzistym dachu, i obrócił ku niemu lufę karabinu.

Dziewczyna, zaalarmowana, podniosła do oczu lunetkę. Paul znów poczuł bolesne pulsowanie w skroni.

Znalazł się między dwojgiem strzelców wyborowych, uzbrojony jedynie w pistolet. Zobaczył, jak dziewczyna mruży oczy. Spojrzał w czarną otchłań lufy. Patrzył na swoją śmierć.

Nie mogła nie trafić.

Rozdział 20

Skupił na niej wzrok. Chciał patrzeć śmierci prosto w oczy.

W twarzy dziewczyny dostrzegł konsternację – obróciła lufę karabinu trochę w lewo i nacisnęła na spust.

Snajper na sąsiednim dachu wygiął ciało w łuk i zleciał kilka metrów w dół, niczym kamienny gargulec.

O co tu chodziło, do cholery?

Niemal momentalnie rozbrzmiał ogień z broni automatycznej – wycelowany nie w niego, lecz w nią. Ozdobny gzyms rozprysnął się w obłoku pyłu.

Czyżby ktoś przybył mu w sukurs?

Rozwiązywał w myślach geometryczne równania. Dwa różne zespoły, tak jak przypuszczał. Jeden ewidentnie przysłany przez Wydział Operacji Konsularnych. A drugi? Posługiwał się odmienną bronią. To nie byli zwykli żołnierze, tylko najemnicy. Jak się domyślał, z Europy Wschodniej.

Kto ich najął?

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Jeśli to powiedzenie było prawdziwe, Janson mógł liczyć na wielu przyjaciół. Ale czy było prawdziwe?

Strzelec z rosyjskim karabinkiem automatycznym AKS-74U mierzył z dachu do dziewczyny.

– Hej! – zawołał do niego Janson.

Był dość blisko, by zauważyć jego prostacką gębę, blisko osadzone oczy i dwudniowy zarost. Zabójca wyszczerzył zęby w uśmiechu, obracając ku niemu lufę.

W dach uderzyła seria pocisków. Janson sturlał się nieco niżej. Odłamek kamienia świsnął mu koło ucha. Kolejny ranił go w czoło. Piekło wnętrze dłoni, którą przytrzymał się wyszczerbionych dachówek. W końcu rąbnął o balustradę. Pod wpływem uderzenia doznał lekkiego wstrząsu i na chwilę stracił orientację. Jednak byłoby gorzej, gdyby poleciał z wysokiego dachu wprost na chodnik.

Zewsząd dobiegały krzyki. Otumaniony, słyszał je z różnym nasileniem, raz głośniejsze, raz cichsze, momentami słabe jak echo.

Co się właściwie stało? Dziewczyna miała go na celowniku. Miała go.

Dlaczego nie strzeliła?

A pozostali? Kim byli? Angus Fielding wspomniał o tajemniczych wrogach, jakich Novak narobił sobie wśród skorumpowanych oligarchów z Europy Wschodniej. Czyżby przysłali tu swoją prywatną milicję? Wiele na to wskazywało.

Najwidoczniej kazano im zlikwidować Jansona. A przy okazji snajperów z Wydziału Operacji Konsularnych. Dlaczego?

Nie miał czasu na rozmyślanie. Wetknął pistolet pomiędzy ozdoby tralki z piaskowca i oddał dwa szybkie strzały. Mężczyzna uzbrojony w AKS-74U zatoczył się do tyłu, dziwnie bulgocząc. Jeden z pocisków przedziurawił mu gardło, z którego trysnęła fontanna krwi. Runął na dachówki wraz z bronią, zawieszoną na nylonowym pasie.

Dla Jansona ten karabinek mógł oznaczać ocalenie – gdyby udało mu się go przechwycić.

Stanął na balustradzie i przeskoczył na dach sąsiedniego domu.

Miał cel: zdobyć AKS-74U, prosty, niezawodny, szybkostrzelny karabinek. Wylądował niezgrabnie – w lewej kostce poczuł dojmujący ból, jakby raził go prąd. Zaledwie kilka centymetrów od jego głowy przeleciał pocisk. Rzucił się na dach obok zastrzelonego faceta. Poczuł w nozdrzach znajomy zapach krwi. Dosięgnął kałasznikowa i szybko przeciął nożem nylonowy pas. Nie zmieniając pozycji, wyciągnął szycję, żeby rozeznać się w sytuacji.

Pozornie regularny układ dachów mógł wprowadzać w błąd. Tylko na pierwszy rzut oka łączyły się pod kątem prostym. Równoległe położenie gzymsów okazało się jedynie złudzeniem. A okapy też nie były równe. Gzymsy i balustrady, wielokrotnie przebudowywane, osiadały i przesuwwały się w sposób niedostrzegalny dla oka. Janson wiedział, że ludzki mózg zwykle eliminuje tego typu drobne różnice, w ramach oszczędnej gospodarki poznawczej. Jednak w przypadku toru lotu pocisku, każda nieregularność nabierała kolosalnego znaczenia. Oko i intuicję musiały zastąpić bardziej precyzyjne instrumenty: dalmierz, luneta, celownik.

Janson obszukał martwego mężczyznę. Znalazł przy nim niewielkie urządzenie z dwoma regulowanymi lusterkami. Były przytwierdzone do składanego teleskopowo pręta, podobnego do anteny radia tranzystorowego – pożyteczne wyposażenie miejskich komandosów. Janson ustawił lusterka i wyciągnął pręt. Wystawiając go nad gzyms, mógł ocenić bieżące zagrożenia bez narażania się na trafienie.

Nie był to precyzyjny instrument – miał wrażenie, że zamiast lasera posługuje się węzem strażackim.

To, co zobaczył, nie napawało optymizmem. Śmiertelnie niebezpieczna brunetka pozostawała na stanowisku. Wprawdzie chroniły go teraz geometryczne linie dachów, szczytów i okapów, ale

z pewnością spostrzegłaby każdy ruch, a nie mógł zmienić pozycji, chcąc pozostać niezauważonym.

W komin uderzył pocisk. Odprysł fragment kilkusetletniej cegły. Janson obrócił przypominające peryskop urządzenie, żeby zobaczyć, kto strzelał. Na sąsiednim dachu stał jego dawny kolega z Wydziału Operacji Konsularnych, z karabinem snajperskim M40. Szeroki nos, rozbiegane oczy – Stephen Holmes, stara szkoła. Fachowiec.

Paul przesunął się ostrożnie, pochyłony za trójkątnym szczytem budynku, po czym wspiał się na pochyłą część dachu. Jeśli nie chciał zginąć, następny ruch musiał wykonać perfekcyjnie. Trzymając głowę nisko, podniósł lufę AKS-74U ponad linię dachu. Kierował się obrazem, który mignął mu na chwilę w niby-peryskopie. Wystrzelił serię w stronę karabinu snajperskiego. Rozległ się szczęk metalu – pociski trafiły w łożę broni wykonane z polimerów i lufę. Udało się.

Wychylił głowę i wystrzelił drugą serię – tym razem celując z większą precyzją. Pociski ze stalowymi rdzeniami przebiły łożę karabinu Holmesa.

Holmes był teraz bezbronny. Spojrzał na Jansona z rezygnacją i znużeniem człowieka przekonanego, że za chwilę umrze.

Janson pokręcił głową z odrazą. Holmes nie zaliczał się do jego wrogów, nawet jeśli tak sądził. Wyciągnął szyję i wyjrzał przez otwór w misternie rzeźbionym, półokrągłym frontonie. Po przekątnej naprzeciwko dostrzegł ciemnowłosą snajperkę. Czy szykowała się, żeby zlikwidować go teraz doskonałym dubletem, swoim znakiem firmowym? Widziała, co się stało, zdawała sobie sprawę, że jej partner został rozbrojony i że musi go zastąpić. Czy zaczeka, aż Janson wyłoni się zza drugiego szczytu? Otwór we frontonie był zbyt wąski i głęboki – precyzyjny strzał po przekątnej nie wchodził

w rachubę. Musiała jeszcze zaczekać. Zresztą czas był największym sprzymierzeńcem snajpera – i śmiertelnym wrogiem Jansona.

Zmrużył oczy, skupiając wzrok na jej twarzy. Dziewczyna nie przyjęła pozycji strzeleckiej; opuściła nieco karabin i wpatrywała się niepewnie w kolegę. Chwilę później Janson dostrzegł za jej plecami jakiś ruch. Gorzej: drzwi poddasza otworzyły się gwałtownie i nagle za drobną brunetką wyrósł istny olbrzym. Uderzył ją w głowę – Janson nie widział dokładnie czym, ale to mogła być kolba karabinu. Dziewczyna osunęła się bezwładnie na gzyms, najwidoczniej nieprzytomna. Olbrzym chwycił jej broń i wystrzelił w prawo trzy pociski. Zduszony okrzyk z sąsiedniego dachu oznaczał, że przynajmniej jeden z nich trafił w cel. Stephen Holmes.

Janson zaryzykował szybkie spojrzenie w tamtym kierunku. To, co zobaczył, autentycznie nim wstrząsnęło: strzały, oddane jakby mimochodem, okazały się zadziwiająco precyzyjne. Pociski dużego kalibru roztrzaskały szczękę Holmesa. Krew spływała na bluzę. Nieszczęśnik wydał z siebie głośny charkot – ni to kaszel, ni stłumiony krzyk. Ostatnie tchnienie. Potem przewrócił się i stoczył z dachu na gzyms. Janson widział przez ozdobną kamieniarzę jego martwe, piwne oczy.

Olbrzym nie zjawił się jednak, by go wybawić – tyle Janson wiedział na pewno. Wystrzelił grad kul w stronę zwałistego mężczyzny. W ten sposób przynajmniej zmusił go, by przykucnął, choćby na moment. Chwytając się kamiennych elementów, Janson szybko zszedł na dół po ścianie kamienicy i znalazł się poza zasięgiem wzroku olbrzyma. Cicho zeskoczył na chodnik w zacienionej uliczce i – schowany za dwoma metalowymi pojemnikami na śmiecie – czekał, co się stanie.

Przeciwnik okazał się szybki i zdumiewająco zwinny jak na mężczyznę takich rozmiarów. Wypadł na ulicę przez drzwi frontowe budynku, ciągnąc za sobą jak worek nieprzytomną dziewczynę. Na policzku miał szkaradną bliznę, groteskową pamiątkę burzliwej przeszłości. Rozglądał się czujnie małymi, świńskimi oczkami.

Podbiegł do niego drugi, podobnie ubrany. Janson słyszał, jak rozmawiają w obcym języku. Ale nie, nie całkiem obcym. Wyteżył słuch i w końcu sobie przypomniał: to był serbsko-chorwacki. Daleki kuzyn czeskiego; Janson potrafił sporo wyłapać, gdy się skupił.

Z rykiem silnika podjechał niewielki sedan. Mężczyźni podniesionymi głosami wymienili jeszcze parę zdań, po czym wskoczyli na tylne siedzenie i wciągnęli za sobą dziewczynę. W oddali zawyły policyjne syreny.

Zabójcy najwyraźniej uciekali w obawie przed policją. Paru innych władowało się do SUV-a i także odjechało.

Janson – poturbowany, pokrwawiony – doczołgał się do uliczki, w której czekał Barry w opancerzonej limuzynie.

Nieszczęśnik pocił się niemiłosiernie i wybałuszał oczy z niedowierzaniem.

– Trzeba cię zabrać do szpitala! – stwierdził wstrząśnięty.

Janson milczał przez chwilę. Zamknął oczy. Próbował przypomnieć sobie słowa, które usłyszał. *Korte Prinsengracht... Centraal Station... Westerdok... Oosterdok...*

– Jedziemy na Dworzec Centralny – oznajmił.

– Będziemy mieć na ogonie połowę policji z całego Amsterdamu.

Zaczęło mżyć. Cooper włączył wycieraczki.

– Ruszaj – nakazał Janson.

Barry pokiwał głową i z piskiem opon ruszył Prinsengracht na

północ. Gdy dojechali do mostu nad Brouwersgracht, stało się jasne, że nie ściga ich policja.

– Serbscy najemnicy – mruknął Janson. – Ale kto ich najął?

– Serbscy najemnicy? Nie strasz mnie, stary. Udam, że tego nie słyszałem.

Dworzec Centralny zbudowano na sztucznej wyspie między Korte Prinsengracht a Westerdok, gdzie mieściły się głównie opuszczone magazyny. Ale to nie tam zmierzał olbrzym z kompanami. Ich celem okazały się budynki przemysłowe na południe od dworca, położone z dala od głównej drogi. Nocami gromadzili się tam narkomani, w ciągu dnia było pusto.

– Jedź, jedź! Prosto! – wrzasnął Janson, nagle całkiem oprzytomniały.

– Chciałeś na Dworzec Centralny...

– Tak! Po prawej, na nabrzeżu, jest dawny magazyn, to jakieś pięćset metrów stąd. Gaz do dechy!

Limuzyna śmignęła obok parkingu przed dworcem i pomknęła zrujnowaną nawierzchnią w stronę, gdzie lata temu kwitły interesy. Z czasem większość przedsiębiorstw przeniosła się na północ Amsterdamu. Tu pozostały jedynie upiorne konstrukcje z cegieł, betonu i blachy falistej.

Nagle wyrosło przed nimi ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym. Cooper zatrzymał samochód. Janson wysiadł. Ogrodzenie postawiono dawno temu, siatka pokryła się rdzą. Ale gałka w dużym prostokątnym zamku, błyszcząca, bez śladów użytkowania – była nowa.

Janson usłyszał przytłumione okrzyki.

Szybko wyjął z kieszeni mały wytrych i zabrał się do pracy.

Umieścił końcówkę w zamku, płynnym ruchem zagłębił w rowkach i przekręcił. Szybkość miała tu decydujące znaczenie: należało przekręcić wytrych, zanim sprężyna zwolni górny bolec.

Wyczuł palcami, że bolec odskoczył. Przekręcił wytrych w tym jednym ułamku sekundy, kiedy oba bolce nie były ustawione w linii prostej. Udało mu się otworzyć bramę.

Pomachał do Coopera, gestem dając mu znak, by zaparkował jakieś sto metrów dalej, za pordzewiałym, porzuconym wagonem.

Podbiegł do wielkiego hangaru ze stali i przywarł płasko do ściany, nasłuchując.

Zajrzał do środka. W półmroku dojrzał dziewczynę, przywiązaną liną okrętową do betonowego słupa. Zdarto z niej ubranie.

– Nie bawi mnie to – warknęła, ale jej brawura tylko maskowała strach.

Na wprost niej majaczyła sylwetka olbrzyma z zygzakowatą blizną. Trzasnął ją dłonią w twarz. Uderzyła głową o betonowy słup. Mężczyzna wyjął nóż i rozciął jej stanik.

– Nie waż się mnie tknąć, skurwielu! – wrzasnęła.

– Bo co? – spytał gardłowym głosem.

Roześmiał się, poluzowując pas.

– Na twoim miejscu nie chciałbym rozgniewać Ratka – odezwał się jego towarzysz. Trzymał w ręku długi nóż, którego ostrze lśniło w ciemności. – Woli żywe dziwki. Ale nie jest wybredny.

Dziewczyna wydała z siebie pisk mrozący krew w żyłach. Z czystego, zwierzęcego strachu? Janson podejrzewał, że chodziło o coś więcej: wbrew wszystkiemu liczyła na to, że ktoś ją usłyszy.

Tymczasem wiatr i dudnienie pobliskich barek tłumili wszelkie odgłosy.

W ciemnym wnętrzu opuszczonego magazynu Janson dostrzegł sylwetkę samochodu, którym tamci przyjechali. Słyszał tykanie stygnącego silnika.

Mężczyzna znów ją uderzył. I uderzał dalej, rytmicznie. To nie było przesłuchanie, lecz wstęp do seksualnego rytuału

– Janson uświadomił to sobie z narastającym przerażeniem. Zabójca zdjął spodnie. Śmierć dziewczyny miało poprzedzić upokorzenie.

Nagle zamarł. Za plecami usłyszał cichy, lecz natarczywy głos.

– Rzuć broń.

Serbski akcent.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą szczupłego mężczyznę w złotych oprawkach na orlim nosie. Ubrany w wyprasowane spodnie w kolorze khaki i białą koszulę, Serb swobodnym ruchem wyjął broń i przystawił mu lufę do czoła.

Zasadzka.

– Rzuć broń – powtórzył mężczyzna.

Janson upuścił pistolet na cement. Miał lufę przytkniętą do czoła – to nie wyglądało na zaproszenie do negocjacji. Powietrze znów przeszył rozzwierający krzyk dziewczyny. Tym razem głos jej drżał, co mogło oznaczać przemożny strach. Albo wściekłość.

Mężczyzna w złotych oprawkach uśmiechnął się ponuro.

– Amerykańska dziwka śpiewa. Ratko, zanim zabija, lubi się pieprzyć. Wrzaski jeszcze bardziej go podniecają. Ciebie, niestety, nie czeka nic przyjemnego. Zresztą, sam się przekonasz. Ratko zaraz skończy. Ona też. I ty – jeśli ci się poszczęści.

– Dlaczego? Na litość boską, dlaczego? – spytał Janson cicho, nagłym tonem.

– To takie amerykańskie pytanie – odparł Serb. Wydawał się bardziej obyty niż olbrzym, choć w równym stopniu pozbawiony emocji. Prawdopodobnie to on dowodził operacją.

– Ale to my będziemy zadawać pytania. A jeśli nie odpowiesz w sposób zadowalający, umrzesz potwornie bolesną śmiercią, zanim twoje ciało zniknie w wodach *Oosterdok*.

– A jeśli odpowiem na wszystkie pytania?

– Potraktujemy cię litościwie: zginiesz szybko. O, przepraszam. Spodziewałeś się innych opcji? – Mężczyzna wyduł wąskie usta w wyrazie pogardy. – Amerykanie! Zawsze żądacie niemożliwego. Zawsze czegoś wam mało. Ale ja, panie Janson, nie jestem Amerykaninem. Proponuję tylko dwa wyjścia: śmierć w męczarniach lub szybką śmierć.

Ton jego głosu zdawał się zmieniać powietrze w lód.

Dziewczyna znów wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Janson wykrzywił twarz w wyrazie przerażenia.

– Proszę – niemal zaskomlał. – Zrobię wszystko... – W widoczny sposób zadrżał.

Mężczyzna uśmiechnął się z satysfakcją, sadystycznie.

Nagle Janson ugiął drżące kolana i opadł na ziemię, z plecami wyprostowanymi jak struna. Jednocześnie prawą dłonią chwycił mężczyznę za nadgarstek.

Serb przestał się uśmiechać, gdy Paul wykręcił mu rękę. Mężczyzna wrzasnął z bólu, ale Janson nie ustąpił: obalił go na beton i przyszpilił do podłoża. Usłyszał trzask kości wyłamywanych ze stawów. Serb ryknął głośno, jego ból mieszał się z niedowierzaniem. Janson rzucił się na niego i z całej siły napał prawym kolanem na klatkę piersiową, łamiąc co najmniej dwa żebra. Tamten ledwie dyszał, oczy zasły mu

łzami. Złamane żebra musiały sprawiać mu okrutny ból.

Słyszając odgłos kroków swoich towarzyszy, spróbował wyrwać zwichniętą rękę, w której miał broń, ale Janson przygwoździł ją lewym kolanem, po czym zacisnął prawą dłoń na jego szyi. Lekko uniósł mu głowę i kilka razy walnął nią o beton, aż mężczyzna zwiotczał. Janson odebrał mu broń i natychmiast oddał dwa strzały – jeden w stronę osiłka biegnącego ku niemu z pistoletem, drugi do brodacza uzbrojonego w pistolet maszynowy. Obaj padli na ziemię.

Jego następnym celem był Ratko, jednak zanim zdołał się do niego zbliżyć, o ziemię uderzył grad pocisków z AKS-74U. Wokół poleciały iskry. Najwidoczniej strzały oddano z pomostu, a w rezultacie powstała zaporę nie do przebycia. Ratko szybko podciągnął spodnie i odwrócił się do Jansona. Skądinąd pokaźna czterdziestkapiątka niemal ginęła w jego wielkiej dłoni.

Janson dał nura za betonowy słup. Zgodnie z jego oczekiwaniami, mężczyzna na pomoście zmienił pozycję, żeby zyskać lepszy kąt strzału. Jednocześnie się odsłonił. Gdy Janson ostrożnie wyjrzał zza słupa, mignęła mu jego sylwetka: niski, krępy, pyzaty, wyglądał jak zrośnięty ze swoim krótkim kałasznikowem. W słup uderzyła krótka seria. Janson wystawił rękę i strzelił na oślep. Usłyszał brzęk metalu, co znaczyło, że chybił, trafiając w stalową barierkę. Jednak odgłos kroków na pomoście pozwolił mu ustalić dokładną pozycję mężczyzny. Oddał jeszcze trzy strzały, lecz znów chybił celu.

Psiakrew! Czego się spodziewał? Przecież nie mógł namierzyć tamtego, samemu nie wystawiając się na śmiertelne strzały.

Półmrok hangaru na moment rozjaśniło światło – ktoś wszedł bocznymi drzwiami.

Janson usłyszał tupot nóg, a zaraz potem padła kolejna seria z AKS-

74U, tym razem skierowana nie w niego, lecz w niewidocznego intruza.

– O kurde! O kurde! – Usłyszał głos Barry’ego Coopera.

Janson nie dowierzał swoim zmysłom: Barry Cooper ośmielił się wejść do opuszczonego hangaru!

– Barry, co ty wyprawiasz, do diabła?!

– Właśnie sam się zastanawiam. Usłyszałem strzelaninę, przestraszyłem się i przybiegłem, żeby się tu schować. Głupie, nie?

– Szczerze? Głupie.

Kolejna seria wznieciła snop iskier na betonowej posadzce.

Janson wyjrzał zza słupa, żeby rozeznać się w sytuacji. Barry kulił się za wielkim stalowym bębniem, a mężczyzna na pomoście znów przymierzał się do strzału.

– Nie wiem, co robić – jęknął żałośnie Cooper.

– Barry, zrób to, co zrobiłbym ja.

– Dobra.

Rozległ się pojedynczy strzał. Krępy mężczyzna na pomoście zeszywniał.

– Mam cię, skurwielu! *Make love, not war!* – wrzasnął Barry, opróżniając cały magazynek.

Janson wychylił się zza słupa i strzelił do kolejnego kompana Ratka, który zbliżał się z nożem do związanej dziewczyny.

– *Sranje!* – zaklął tamten. Kula trafiła go w ramię. Stęknął, upuścił nóż i osunął się bezwładnie na ziemię.

Dziewczyna stopą przysunęła nóż do siebie. Zaklinowała go między piętami i drżąc z wysiłku, powoli podniosła z podłogi.

Olbrzym najwyraźniej wahał się między dwoma celami: Jansonem i Cooperem.

– Rzuć broń, Ratko! – krzyknął Janson.

– Pierdol się! – Serb splunął i strzelił do Barry’ego.

– Niech to szlag! – wrzasnął Cooper, wypuszczając z ręki pistolet. Pocisk przeszył biceps i dolną część klatki piersiowej. Jęcząc z bólu, ukrył się za rzędem stalowych bębnow, w pobliżu bocznego wejścia.

– W porządku, Barry?! – zawołał Janson.

Znów musiał się wycofać za betonowy słup.

Chwila ciszy.

– Nie wiem, Paul – odrzekł tamten słabym głosem. – Boli jak jasna cholera. W dodatku zdradziłem pacyfistyczne ideały. Pewnie będę musiał zostać weganinem, żeby odzyskać dobrą karmę.

– Mimo wszystko to był świetny strzał. Nauczyle cię tego w Weather Underground?

– Nie, na obozie letnim YMCA – odparł Cooper z zakłopotaniem. – Strzelaliśmy z wiatrówki.

– Dasz radę prowadzić?

– W wyścigu w Indianapolis raczej bym nie wystartował. Ale tak, chyba tak.

– To posłuchaj uważnie. Wsiądziesz do samochodu i pojedziesz do szpitala.

– Ale co z...?

– O mnie się nie martw. Spieprzaj stąd, ale już!

Wystrzał z czterdziestkiolbrzyma rozbrzmiał głośnym echem w stalowym hangarze. Obok nogi Jansona wylądował odłamek betonu.

Znalazł się w impasie.

Pojedynek miał się rozegrać między dwoma mężczyznami, którzy nie mieli nic do stracenia. Nic – prócz życia.

Janson nie ośmieliłby się strzelać na oślepa, ponieważ mógłby ranić dziewczynę. Cofnął się o kilka kroków, żeby dobrze widzieć Serba. Ratko przytrzymał dłoń z pistoletem drugą ręką, co pozwalało na bardziej precyzyjny strzał. Stał tyłem do dziewczyny, nagły błysk stali uświadomił Jansonowi, że nie była tak bezbronna, jak mu się zdawało.

Zanim zdążył zareagować, pochyliła się do przodu i wolną ręką chwyciła rękojęć noża, który wcześniej, niemal nadludzkim wysiłkiem, zdołała podnieść na wysokość ud. Trzymając ostrze poziomo przed sobą, wbiła nóż w plecy olbrzymu.

Szok zmazał z jego ohydnie poharatanej twarzy groźny wyraz. Janson postąpił krok do przodu. Ratko strzelił, ale za wysoko. Jansonowi został jeszcze tylko jeden nabój – nie mógł chybić.

Chwycił broń oburącz i oddał ten ostatni strzał, mierząc prosto w serce.

– Pierdolę twoją matkę – wymamrotał jeszcze Serb, po czym runął na twarz, martwy.

Janson podszedł do dziewczyny. Ogarnęła go wściekłość i odraza na widok jej podartego ubrania, siniaków i czerwonych śladów na ciele, które jakiś sadysta obmacywał i uciskał jak modelinę.

Bez słowa wyciągnął nóż z pleców olbrzymu i przeciął linę.

Dziewczyna osunęła się na podłogę, z plecami opartymi o słup, jakby nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa. Przyciągnęła do siebie kolana, objęła je ramionami i oparła głowę na rękach.

Janson zniknął na chwilę. Wrócił z białą koszulą i spodniami w kolorze khaki, które wcześniej miał na sobie mężczyzna w okularach.

– Weź – powiedział. – Ubierz się.

W końcu podniosła głowę i Janson zobaczył, że twarz ma mokrą od łez.

– Nie rozumiem – wyszeptała, kręcąc głową.

– Na Museumplein dziewiętnaście jest konsulat amerykański. Zajmą się tobą.

– Uratowałeś mnie – stwierdziła dziwnie głuchym głosem. – Przyjechałeś po mnie. Dlaczego, do cholery, to zrobiłeś?

– Nie przyjechałem po ciebie – odburknął. – Przyjechałem po nich.

– Nie kłam. Proszę cię, nie kłam. – Głos jej zadrżał. Wyglądało na to, że zaniesie się szlochem, jednak zaczęła mówić, połykając łzy, kurczowo uczipiona strzepów chłodnego profesjonalizmu. – Gdybyś chciał któregoś z nich przesłuchać, mogłeś go stąd zabrać żywego. Ale nie zrobiłeś tego. Bo gdybyś to zrobił, zabiliby mnie.

– Jedź do konsulatu – przerwał jej Janson. – Złóż raport. Znasz zasady.

– Odpowiedz mi, do cholery! – Otarła łzy gwałtownym, desperackim gestem. W szoku, poturbowana, mimo wszystko wstydziała się swojej słabości, bezbronności. Spróbowała wstać, ale mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa i znów osunęła się na ziemię.

– Dlaczego nie sprzątnąłeś Steve’a Holmesa? Wszystko widziałam. Mogłeś go zastrzelić. Powinieneś był go zastrzelić. Tak nas szkolą. Ale ty tylko go rozbroiłeś. Czemu? – Zakasłała. W miejsce zamierzonego, buńczucznego uśmiechu pojawił się ledwie grymas.

– Może chybiłem. Może zabrakło mi amunicji.

Czerwona na twarzy, pokręciła głową powoli.

– Myślisz, że nie udźwignę prawdy? Sama nie wiem. Ale na pewno nie zniosę więcej kłamstw.

– Museumplein dziewiętnaście – powtórzył Janson.

– Nie zostawiaj mnie tu – poprosiła łamiącym się głosem.

– Boję się. O gościach takich jak oni nie uczyli nas na szkoleniu. Nie mam pojęcia, kim byli, skąd, czego chcieli. Wiem tylko, że musisz mi pomóc.

– Pomogą ci w konsulacie.

Janson ruszył do wyjścia.

– Nie odchodź, Janson! Trzy razy omal cię nie zabiłam! Jesteś mi winien wyjaśnienie!

– Masz zadanie do wykonania – rzucił. – Wracaj do pracy.

– Nie mogę. Nic nie rozumiesz? – spytała ochryple. Kobiecie, która jeszcze niedawno była gotowa go zastrzelić, nagle niemal odjęło mowę. – Miałam cię zabić. Nie potrafię tego zrobić. Nie potrafię! – Roześmiała się gorzko.

Powoli wstała, przytrzymując się betonowego słupa.

– Teraz posłuchaj uważnie. W Regent's Park spotkałam pewnego Amerykanina. Opowiedział mi wariacką historyjkę: że ludzie z Wydziału Operacji Konsularnych dali się, czyja wiem... zmanipulować. Że facet, którego kazano nam zlikwidować, tak naprawdę nie jest złym człowiekiem. Nie uwierzyłam, bo gdyby tak było, świat wywróciłby się do góry nogami. Potrafisz to zrozumieć? Jeśli nie możesz ufać ludziom wydającym ci rozkazy, to wszystko jest bez sensu. Złożyłam raport, pro forma. Po czym dzwoni do mnie... nie, nie szef. Szef szefa. Przypomina, że Paul Janson jest notorycznym kłamcą i czy aby mnie nie przekonał? A teraz trzęsę się ze strachu w tym cholernym hangarze, Bóg wie gdzie, i myślę sobie, że jeśli kiedykolwiek zechcę poznać prawdę, na pewno nie usłyszę jej od moich przełożonych.

I myślę sobie, że jedynym człowiekiem, który powie mi prawdę,

jest ten, na którego teraz patrzę. – Drżąc na całym ciele, zaczęła wkładać na siebie przyniesione ubranie. – Ten sam, którego przez ostatnie dwie doby próbowałam wykończyć.

– Przeżyłaś szok. Nie jesteś sobą. Tyle.

– Jeszcze nie skończyłam, Janson. – Oblizła spękane wargi. Na jej ciele wykwitły obrzęki po uderzeniach.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Musisz mi pomóc. Musisz... mi to wszystko wytłumaczyć.

Już nie wiem, co jest kłamstwem, a co nie. – Oczy znów nabiegły jej łzami. Otarła twarz z zażenowaniem. – Muszę się znaleźć w bezpiecznym miejscu.

Janson zamrugął oczami.

– W bezpiecznym miejscu? To znaczy jak najdalej ode mnie. Przy mnie na pewno nie będziesz bezpieczna. Tego jednego jestem pewien. Mam cię zawieźć do szpitala?

Posłała mu gniewne spojrzenie.

– Do szpitala? Żeby mnie dopadli? Bo tam na pewno mnie znajdą.

Janson wzruszył ramionami. Miała rację.

– Powiedz mi, do cholery, o co tu chodzi! – Postąpiła niepewnie w jego stronę.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Mogę ci pomóc. Sporo wiem. Znam plany. Nazwiska. Wiem, kto spiskuje przeciwko tobie.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji – upomniał ją, nie bez życzliwości.

– Proszę. – Spojrzała na niego ze smutkiem, jak ktoś, kto w swoim życiu zawodowym dotąd nie doświadczył chwili zwątpienia. Ktoś, komu dotychczas obca była niepewność.

– Nie ma mowy – uciął Janson. – Za chwilę ukradnę samochód.

Będziesz współwinna przestępstwa. Wyrażam się jasno?

– Ja ukradnę samochód – powiedziała chropawym głosem. – Posłuchaj, nie wiem, co teraz zamierzasz. Nie obchodzi mnie to. Ale jeśli mi teraz uciekniesz, nigdy nie poznam prawdy. Muszę poznać prawdę.

– Nie.

– Proszę...

Znów poczuł bolesne pulsowanie w skroni. Zabrać ją ze sobą to czyste szaleństwo.

Ale może była w nim metoda.

•••

– O Jezu! O Jezu! – lamentował Clayton Ackerley z zarządu operacji CIA. Głos brzmiał czysto i wydawał się autentycznie przepełniony strachem. – Sprzątają nas jeden po drugim!

– O czym ty mówisz? – spytał Douglas Albright, tonem buńczuczny, choć jednocześnie ostrożny.

– Nie słyszałeś?

– O Charlotte? Tak. Okropny wypadek. I okropny cios dla nas wszystkich.

– Nie słyszałeś!

– Chwila. O czym ty mówisz?

– Sandy Hildreth!

– Nie!

– Utopili jego limuzynę. Cholerną, opancerzoną limuzynę! Znalaziono ją na dnie Potomacu. Razem z Sandym na tylnym siedzeniu. Utonął!

Nastąpiło długie milczenie.

- Jezu. To niemożliwe.
- Właśnie przeglądam policyjne raporty.
- I to nie był wypadek? Jakiś straszliwy zbieg okoliczności?
- Wypadek? Jasne, tak tu jest napisane. Kierowca przekroczył dozwoloną prędkość, świadkowie widzieli, jak samochód przebił barierkę. Zupełnie jak z Charlotte: taksówkarz stracił kontrolę nad pojazdem, spowodował wypadek i zbiegł. No i jeszcze Onishi.
- Co takiego?!
- Znaleźli jego ciało dziś rano.
- Dobry Boże!
- Na rogu Czwartej i L. W północno-wschodniej części miasta.
- Co tam robił, do cholery?!
- W raporcie coronera znalazła się informacja, że miał we krwi fencyklidynę. PCP, anielski pył. I jeszcze inne świństwa. Według oficjalnej wersji, przedawkował. Znalezione go na ulicy przed metą z kokainą. „To nagminne”, stwierdził jeden z gliniarzy.
- Kaz? Niemożliwe!
- Oczywiście, że niemożliwe! Ale tak to wygląda. Faktem jest, że w ciągu doby wyeliminowano trzech najważniejszych członków programu!
- Chryste! To prawda. Jednego po drugim. Kto będzie następny? Ja? Ty? Derek? Sekretarz stanu? Prezydent?
- Rozmawiałem ze wszystkimi. Starają się nie panikować, co wychodzi im tak sobie. Wszyscy jesteśmy na celowniku. Na liście gatunków zagrożonych wyginięciem!
- Przecież to nie ma sensu! – wybuchnął Albright. – Nikt o nas nie wie. Nic nas nie łączy! Nic, prócz najpilniej strzeżonej tajemnicy rządu Stanów Zjednoczonych!

– Uściślijmy. Nawet jeśli nikt o nas nie wie, nikt spoza programu,
ON wie...

– Chyba nie chcesz powiedzieć...

– Wiesz, o kim mówię.

– Chryste. Co myśmy zrobili? Co myśmy zrobili?!!

– On nie tylko zerwał się ze smyczy. Teraz kąsa każdego, kto kiedyś
go na niej prowadził.

Rozdział 21

Słońce prześwitywało przez morwy i konary sosen, które opiekuńczo rozpostarły się nad domkiem. Janson, wracając z zakupami z pobliskiej wioski, wprost nie mógł się nadziwić, jak idealnie budynek wtapia się w otoczenie. Kupił w kiosku kilka gazet: „Il Piccolo”, „Corriere delle Alpi”, „La Repubblica”. Dom, zbudowany z surowego kamienia, wewnątrz okazał się bardzo przytulny. Gładka boazeria na ścianach, terakota w ciepłych kolorach, freski i malowidła na suficie zdawały się pochodzić z zamierzchłych czasów, kiedy życie było prostsze.

Janson wszedł do sypialni. Dziewczyna jeszcze spała. Przyłożył jej na czoło świeży, zimny kompres. Gorączka stopniowo spadała – czas i antybiotyki robiły swoje. Czas leczył także jego własne rany. Podróż do Lombardii zajęła im całą noc i część następnego poranka. Dziewczyna przebudziła się dopiero pod koniec drogi. Krajobraz wokół wyglądał jak z pocztówki: żółte pola kukurydzy, kępy kasztanów i topoli, stare kościoły ze spiczastymi wieżyczkami, winnice, zamki na zboczach gór. Horyzont przesłaniała szaroniebieska ściana Alp. Gdy dojechali na miejsce, okazało się, że dziewczyna ucierpiała bardziej, niż się zdawało na pierwszy rzut oka.

Rzucała się przez sen, dręczona koszmarami. Jęczała, młóćąc powietrze rękoma.

Położył jej na czoło chustę zamoczoną w zimnej wodzie.

Poruszyła się i cicho zakwiliła. Po chwili zakasłała i otworzyła oczy. Janson sięgnął po dzbanek stojący przy łóżku, nalał wody i przystawił jej szklankę do ust. Wcześniej, kiedy upiła łyk wody, znów zapadała w głęboki sen. Jednak tym razem nie zamknęła oczu. Wpatrywała się w niego.

– Jeszcze... – wyszeptała.

Dolał wody do szklanki. Piła spokojnie, miarowo, bez jego pomocy. Powoli wracała do świata żywych. Skupiła na nim wzrok.

– Gdzie? – spytała jednym słowem, by nie nadwerężyć sił.

– Jesteśmy w domku mojego przyjaciela – powiedział. – W Lombardii, jakieś piętnaście kilometrów na południe od jeziora Como. Jesteśmy tu bezpieczni.

Zauważył, że sińce na jej ciele jeszcze się pogłębiły, lecz był to znak, że się goją. Poza tym, nie ujmowały jej urody.

– Jak długo... tutaj?

– Trzy dni.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, niepokojem, lękiem. Po chwili znów opuściły ją siły i zapadła w sen.

Kilka godzin później wrócił, żeby po prostu na nią popatrzeć. Zastanawiała się, gdzie jest. Zastanawiała się, czemu tu jest. Janson zadawał sobie te same pytania. Dlaczego w ogóle zabrał ją ze sobą? Nie było mu łatwo podjąć tę decyzję. Dotąd kierował się trzeźwym rozumowaniem. Dzięki temu wciąż żył. Oczywiście, nie należało wykluczyć, że dziewczyna mu się przyda. Ale rozsądek podpowiadał jednocześnie, że może przynieść mu zgubę. Zabierając ją ze sobą, kierował się emocjami. Emocjami, które mogły kosztować czyjeś życie. I co z tego, że szukali jej w Amsterdamie? Przecież kilkakrotnie próbowała go zabić. „Muszę poznać prawdę”, powiedziała. I to nie

było kłamstwo.

Dużo wycierpiała – tym bardziej że dotąd wydawało się jej, że jest niezniszczalna. Wiedział, jak to jest, wiedział z doświadczenia. Nie chodziło o gwałt na ciele, lecz o poczucie własnej wartości, tożsamość.

Przyłożył jej do czoła świeży kompres. Znów się poruszyła.

Tym razem przesunęła po twarzy palcami, obmacując ślady po uderzeniach. Wydawała się zawstydzona.

– Pewnie niewiele pamiętasz – odezwał się Janson. – To normalne przy takich obrażeniach. Ale czas leczy rany.

Podał jej szklankę wody.

– Paskudnie się czuję – wymamrotała ochryple. Piła łapczywie.

– Widywałem gorsze przypadki – mruknął.

Zasłoniła twarz rękami i przekreśliła się na bok, odwracając się od niego, jakby zawstydzona swoim wyglądem. Parę minut później spytała:

– Przyjechaliśmy tu limuzyną?

– Nie. Została w Amsterdamie. Nie pamiętasz?

– Na zderzaku był lokalizator – powiedziała, wodząc wzrokiem po suficie, na którym wśród obłoków harcowały barokowe cherubiny.

– Tak myślałem.

– Nie chcę, żeby nas znaleźli – wyszeptała.

Janson delikatnie pogładził ją po policzku.

– Naprawdę? Skąd ta zmiana?

Milczała przez chwilę. Potem ostrożnie usiadła na łóżku. Miała zagniewaną twarz.

– Okłamali mnie – rzekła cicho. – Okłamali – powtórzyła głosem, który zabrzmiał lodowato.

– Ludzie zawsze będą kłamać – stwierdził Janson.

– Wrobili mnie. – Zadrżała. Z zimna lub może z wściekłości.

– Nie, to raczej mnie wrobili – stwierdził Janson ze spokojem.

Napełnił szklanke. Patrzył, jak dziewczyna podnosi ją do spierzchniętych ust i opróżnia jednym haustem.

– Wszystko jedno. – Zamyśliła się. – Przychodzi mi do głowy tylko jedno słowo: zdrada.

– Czujesz się zdradzona? – spytał.

Zasłoniła twarz dłonią, a z jej ust popłynął potok słów.

– Kazali mi cię zabić, ale z jakiegoś powodu nie czuję się winna. Jestem przede wszystkim... wkurwiona. Jestem wściekła. – Głos uwiązał jej w gardle. – I tak cholernie mi wstyd. Dałam się nabrać jak pierwsza naiwna. I zaczynam się zastanawiać nad wszystkim, co do tej pory uważałam za oczywiste, bo teraz już nie wiem, jak jest naprawdę. Znasz to uczucie?

– Tak – odparł po prostu.

Umilkła na moment.

– Patrzysz na mnie jak na ranne zwierzę – stwierdziła po chwili.

– Może oboje jesteśmy jak zranione zwierzęta – powiedział łagodnie. – Śmiertelnie niebezpieczne.

• • •

Kiedy dziewczyna odpoczywała, Janson zszedł na dół do pokoju, w którym właściciel domu, Alasdair Swift, urządził gabinet. Na biurku leżała sterta artykułów ściągniętych z internetu. Wszystkie dotyczyły Petera Novaka – opisywały życie wielkiego filantropa.

Janson ślęczał nad nimi obsesyjnie w poszukiwaniu czegoś, czego wiedział, że prawdopodobnie nie znajdzie: klucza, wskazówki,

przypadkowego faktu o dużym znaczeniu. Czegoś – czegokolwiek – co tłumaczyłoby, dlaczego ten niezwykły człowiek został zamordowany. Czegoś, co zawęziłoby jego śledztwo. Szukał rymu – szczegółu, dla większości ludzi nic nieznaczącego – który współbrzmiałby z czymś, co przechowywał w zakamarkach podświadomości. Wiemy więcej, niż wiemy, lubił powtarzać Demarest: nasz umysł magazynuje fakty, których świadomie nie potrafimy odczytać. Janson był otwarty na różne możliwości – nie próbował za wszelką cenę rozwiązać łamigłówek, lecz miał nadzieję przyswoić jak najwięcej danych, nie przyjmując z góry żadnych osądów. Przelotna wzmianka o rozgoryczonym konkurencie w interesach?

O skrywanej niechęci w kręgach finansowych bądź międzynarodowych? O problemach ojca na Węgrzech? O wrogu dotąd nierozpoznanym? Janson nie wiedział, czego szuka. Gdyby sądził, że wie, mógłby przegapić istotne szczegóły, których nie brał pod uwagę.

Wrogowie Novaka byli jego wrogami. Czy tym założeniem nie pochlebiał sobie zbyt? Ale jeśli faktycznie to prawda, to co jeszcze mieli ze sobą wspólnego? *Wiemy więcej, niż wiemy.* Janson czytał bez końca, aż rozbolały go oczy, tymczasem odnosił wrażenie, że wie coraz mniej. Od czasu do czasu podkreślał jakiś fragment, chociaż uderzające było, jak mało różniły się treścią poszczególne artykuły. Niezliczone interpretacje podbojów finansowych Novaka, niezliczone opisy jego dzieciństwa na Węgrzech w czasie wojny, niezliczone pochwały jego humanitarnej pasji. W „Przeglądzie Gospodarczym Dalekiego Wschodu” przeczytał:

W grudniu 1992 roku ogłosił kolejny ambitny program, przeznaczając sto milionów dolarów na wsparcie dla naukowców z byłego Związku Radzieckiego. Program miał na celu

zatrzymanie w kraju radzieckich naukowców, którzy coraz liczniej przyjmowali lukratywne posady w państwach takich, jak Irak, Syria i Libia. To jeden z lepszych przykładów działalności Novaka: podczas gdy Europa i Stany Zjednoczone załamywały ręce nad odpływem talentów naukowych z dawnego supermocarstwa, Novak znalazł rozwiązanie, by temu zaradzić.

„Prawdę mówiąc, łatwiej przychodzi mi zarabianie pieniędzy, niż ich wydawanie”, wyznaje Novak z uśmiechem. Nadal żyje skromnie. Każdy dzień zaczyna od spartańskiego śniadania, na które zjada kaszę, ostentacyjnie unika luksusowych kurortów i wystawnego stylu życia plutokratów.

Nawet tak drobne szczegóły, jak codzienne jedzenie kaszy, przewijały się na okrągło we wszystkich artykułach. Zapewne miały na celu „ubarwienie” postaci – jedno z głównych dziennikarskich przykazań. Co jakiś czas pojawiały się wzmianki o śledztwie w sprawie udziału Novaka w brytyjskiej „Czarnej Środzie” i wniosek, sformułowany przez szefa MI6, w formie cytatu, który przywołał Fielding: „Jedynym prawem, jakie zostało złamane, jest prawo statystyki”. Równie często cytowano wypowiedź Novaka, w której tłumaczył swoją powściągliwość wobec prasy: „Kontakty z dziennikarzami można porównać do tańca z dobermanem: nigdy nie wiadomo, czy polize cię po twarzy, czy skoczy do gardła”. We wszystkich artykułach powracały pełne uznania komentarze mężów stanu o roli Novaka w odbudowie społeczeństwa obywatelskiego i rozwiązywaniu konfliktów. W rezultacie mogło się wydawać, że całe akapity dziennikarskiej prozy powstawały według jednej sztancy. Londyński „Guardian” pisał:

„Kiedyś lekceważono Petera Novaka”, mówi Walter Horowitz, były ambasador USA w Rosji. „Teraz Novak jest potężnym graczem. To człowiek niezależny. Nie zważa na układy,

robi swoje i nie ma cierpliwości do rządu. Jako jedyny obywatel ma własną politykę zagraniczną.

I wprowadza w życie jej założenia". Horowitz wyraża opinię, która coraz częściej przeważa w kręgach dyplomatycznych: obecne rządy nie mają ani środków, ani woli politycznej, aby realizować pewne inicjatywy, a tę próżnię wypełniają prywatni potentaci w rodzaju Petera Novaka.

Podsekretarz w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, Jaako Torvalds, stwierdza: „Novak to przyjazna, pokojowa, niezależna instytucja, w zasadzie samoistny rząd. W ONZ koordynujemy działania w niespokojnych rejonach świata z Niemcami, Francją, Wielką Brytanią, Rosją – oraz z Peterem Novakiem”.

W podobnym tonie pisze „Newsweek”

Co odróżnia węgierskiego potentata od innych? Ogromna pewność siebie, widoczna zarówno w sposobie bycia, jak i w jego wypowiedziach. „Nie zajmuję się sprawami państwowymi dla zabawy”, przekonuje Novak, którego wykwinna garderoba nie kłóci się z pełną wigoru postawą. Już tyle razy wygrywał w potyczkach ze światowymi rynkami, że w tej dziedzinie trudno mu znaleźć kolejne wyzwania. Natomiast udział w odbudowie społeczeństwa obywatelskiego w niestabilnych regionach, takich jak Bośnia czy republiki Azji Środkowej – to nie lada wyzwanie, nawet dla Petera Novaka.

Ślęczał nad tymi tekstami od kilku godzin, gdy niespodziewanie usłyszał odgłos bosych stóp na terakocie. Dziewczyna we frotowym szlafroku w końcu wyszła z sypialni. Janson wstał. Miał istny mętlik w głowie: nazwiska, daty, fakty, ale jak dotąd nic, co przybliżyłoby go do rozwiązania zagadki.

– Całkiem fajne miejsce.

Jansonowi ulżyło, że może zrobić sobie przerwę.

– Trzy wieki temu był tu klasztor. Ale popadł w ruinę i niemal całkiem zarósł lasem. Mój przyjaciel kupił tę ziemię i włożył sporo

pieniędzy, żeby odzyskać, co się dało, i urządzić tu dom.

Podobał mu się zwłaszcza nie sam dom, lecz jego położenie na odludziu. Z okien roztaczał się widok na skalisty górski szczyt, wyrastający ponad korony drzew. Nagi, szary kamień na tle bujnej zieleni – z tej odległości drzewa wyglądały jak mech porastający skałę. Po błękitnym niebie fruwały małe, czarne ptaki – zataczały kręgi, wirowały w powietrzu, nurkowały, pozornie bez celu. Za domem żelazna pergola, porośnięta dzikim winem, sąsiadowała z prastarą kampanilą – jedną z niewielu pozostałości po dawnym klasztorze.

– Tam, skąd pochodzę, nie ma takich miejsc.

– Podczas remontu Alasdair odkrył freski na ścianach. Przeniósł też malowidła z okolicznych zdewastowanych willi.

Przyznaję, remontując sufit, trochę zaszalał...

– Przyśniły mi się te cholerne małe nietoperze.

– To tylko małe anioły. Nie krzywdzą ludzi. Pomyśl o tym w ten sposób.

– Co to za przyjaciel?

– Biznesmen z Montrealu. „Przyjaciel” to za dużo powiedziane. Gdyby ten dom faktycznie należał do przyjaciela, trzymałbym się od niego z daleka, żeby go nie narażać. Alasdair Swift to ktoś, komu kiedyś wyświadczyłem przysługę. Zawsze namawiał mnie, żebym się tu zatrzymał, kiedy będę w północnych Włoszech. Sam spędza tu kilka tygodni w lipcu, poza tym dom stoi pusty. Pomyślałem, że dobrze nam posłuży. Antena satelitarna, szerokopasmowy internet – wszystko, czego potrzebuje współczesny biznesmen, tak?

– Wszystko oprócz kawy – zauważyła.

– W kuchni jest kawa. Zaparzysz?

– Kiepski pomysł. Wierz mi.

– Nie będę grymasił.

Wytrzymała jego spojrzenie z ponurą miną.

– Nie umiem gotować. Nie umiem nawet zaparzyć kawy. Mogłabym skłamać, mówiąc, że to z powodu moich feministycznych przekonań. Ale prawda jest taka, że nie mam o tym pojęcia. Nic wielkiego. Moja mama umarła, kiedy byłam mała.

– Tym bardziej powinnaś nauczyć się gotować.

– Nie znasz mojego taty. Nie chciał, żebym kręciła się po kuchni. Jakbym nie szanowała pamięci mamy, czy coś w tym rodzaju. Nauczył mnie korzystać z mikrofal.

Janson wzruszył ramionami.

– Wrzątek. Kawa. Dojdiesz do tego.

Zarumieniła się.

– Z drugiej strony – ciągnęła – cholernie dobrze strzelam.

I podobno świetnie sprawdzam się w terenie. W inwigilacji. Mogłabym ci pomóc, gdybyś się zgodził. A zachowujesz się tak, jakbyś miał w głowie piasek i trociny.

Janson wybuchnął śmiechem.

Ne spodziewała się takiej reakcji.

– Mój tata tak mówił – wyznała z zakłopotaniem. – Nie przekreślaj mnie, proszę. Jeszcze mogę ci się przydać. Wiesz o tym.

– Nic o tobie nie wiem.

Przyjrzał się jej wyrazistym, regularnym rysom, wydatnym kościom policzkowym, pełnym ustom. Prawie nie dostrzegwał siniaków i obrzęków.

– Jessica Kincaid. – Wyciągnęła do niego rękę. – Zrób kawy. Usiądziemy i porozmawiamy jak należy.

Napili się gorącej kawy, zjedli jajka sadzone i wiejski chleb, który odłamywali dużymi kawałkami z okrągłego bochenka. Janson wreszcie dowiedział się czegoś o swojej niedosłej zabójczyni. Dorastała w stanie Kentucky, w Red Creek – niewielkiej wiosce, gdzie jej ojciec miał jedyną w okolicy stację benzynową, a większość pieniędzy trwoniał w miejscowym sklepie myśliwskim.

– Zawsze chciał mieć syna – wyjaśniła. – I przez większość czasu traktował mnie jak syna. Pierwszy raz zabrał mnie na polowanie, kiedy miałam pięć czy sześć lat. Upierał się, żebym uprawiała sport, naprawiała samochody i trafiała kaczkę pojedynczym strzałem.

– Mała Annie Oakley.

Żachnęła się.

– Chłopcy w szkole tak na mnie wołali. Chyba czuli przede mną respekt.

– Zaczynam rozumieć. Samochód się psuje, narzeczony zasuwa do najbliższej budki telefonicznej, tymczasem ty naprawiasz gaźnik i po kilku minutach silnik budzi się do życia.

– Coś w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Chyba się nie obrazisz, jeśli powiem, że nie pasujesz do wydziału.

– Do Red Creek też nie pasowałam. Skończyłam szkołę w wieku szesnastu lat. Następnego dnia wzięłam ze stacji trochę kasy i wsiadłam do autobusu. W plecaku miałam mnóstwo czytań ze stojaka, w większości o agentach FBI i podobnych. Wsiadłam w Lexington. Może nie uwierzysz, ale nigdy wcześniej tam nie byłam. W ogóle nigdzie nie byłam. Ojciec nie pozwalał. Lexington wydało mi się ogromne. Poszłam prosto do biura FBI. W recepcji siedziała gruba paniusia. Przymiliłam się do niej, żeby dała mi formularz do wypełnienia. Ja, niezdarna nastolatka, skóra i kości... głównie kości...

I nagle zjawia się gość, agent federalny, a ja trzepoczę powiekami jak wariatka. Pyta, czy zostałam zaproszona na rozmowę, a ja na to, że jeśli mnie zaprosi, nie pożałuje. – Zarumieniła się. – Byłam taka młoda. Nie wiedziałam nawet, że aby zostać agentem, trzeba skończyć studia. A ten facet, i jeszcze drugi w granatowym garniturze, podśmiewają się ze mnie. Dzień płynie leniwie, nic się nie dzieje. Mówię im, że dobrze strzelam. Gdzie wyceluję, tam trafiam. Jeden z nich, wesoły jak szczygieł, prowadzi mnie do piwnicy, mają tam strzelnicę. Myślał, że blefuję, i chciał dać mi nauczkę. Na strzelnicy każą mi włożyć okulary ochronne, ochraniacze na uszy, pytają, czy kiedykolwiek miałam w ręku dwudziestkędwójkę...

– Niech zgadnę. Trafiłaś w dziesiątkę.

– No. W dziesiątkę. Cztery strzały, cztery dziesiątki. Gościom odjęło mowę. Wyciągali coraz to nowe cele, a ja za każdym razem trafiałam. Zwiększyli odległość, dali mi karabin i znów pokazałam im, na co mnie stać.

– Dostałaś pracę.

– Niezupełnie. Przyjęli mnie na szkolenie. Musiałam w przyspieszonym tempie zrobić dyplom. Przeczytać mnóstwo książek. To nie było trudne.

– Pewnie. Nie dla bystrej dziewczyny ze smarem pod paznokciami i kordytem we włosach...

– W bazie w Quantico poszło mi jak z płatką. Potrafiłam wspiąć się po linie najszybciej ze wszystkich. Wspinaczka, skok na pierwsze piętro i przez płot... Ciołki z drużyny futbolowej nie mogły za mną nadążyć. Złożyłam podanie o pracę w Wydziale

Bezpieczeństwa Narodowego FBI. Przyjęli mnie. Parę lat później, podczas pewnej akcji, namierzyli mnie agenci z Operacji

Konsularnych. Tyle.

– To zupełnie jak Lana Turner, którą odkryto, gdy piła wodę z saturatora – stwierdził Janson. – Tylko czemu mam wrażenie, że pominęłaś najciekawszą część tej historii?

– No tak, w szczegółach wygląda to trochę gorzej. Jestem na stanowisku snajperskim w Chicago. Chodzi o obserwację. Zabawna historia. Szpiegostwo przemysłowe, tyle że szpieg pracuje dla Chińskiej Republiki Ludowej. Ta operacja to oczko w głowie Wydziału Operacji Konsularnych, federalni tylko zapewniają wsparcie. Moim zadaniem jest obserwować. Ale sytuacja wymyka się spod kontroli. Facet ucieka. Wiemy, że ma przy sobie od cholery mikrofilmów, nie możemy pozwolić mu zwiać. Jakimś cudem wymknął się obławie w lobby hotelowym i pędzi ulicą do samochodu. Jeśli odjedzie, już go nie zdejmujemy. Nikt nie przewidział takiego rozwoju wypadków. Postanawiam rozwalić klamkę w samochodzie. Proszę o pozwolenie. Dowódca mówi „nie”. Uważają, że to zbyt niebezpieczne. Jeśli niechcący trafię w obiekt, ryzykujemy incydent na międzynarodową skalę. Cholera, chce chronić własną dupę! Wiem, że nie chybię! Zero ryzyka. On mnie nie zna, ale rozkazuje: „Wstrzymać ogień!”. Czerwone światło. Zaprześcić działań.

– Mimo wszystko strzelasz.

– Strzelam, pocisk trafia w klamkę. Facet nie może dostać się do samochodu. Robi w portki ze strachu. Modli się do Przewodniczącego. Dopadają go nasi chłopcy. Gość ma przy sobie mikrofilmy, odbiorniki, nadajniki, co chcesz.

– Czyli uratowałaś sytuację.

– No i wywalili mnie. „Działanie wbrew rozkazom” i takie tam. Dwa miesiące w zawieszeniu, potem postępowanie dyscyplinarne.

A tymczasem zgłosili się do mnie ci z Wydziału z gadką w stylu, że podoba im się, jak pracuję, i czy nie chciałabym podróżować po świecie, wiodąc życie pełne przygód.

– Aha – powiedział Janson. – Chyba rozumiem.

Sam kiedyś zajmował się rekrutacją agentów. Najprawdopodobniej sprawdzili wcześniej jej wyniki i raporty z pracy w terenie – musiały robić imponujące wrażenie, bo Wydział Operacji Konsularnych generalnie miał kiepskie mniemanie o federalnych. Kiedy odkryto u niej wielki talent, ktoś z Wydziału zapewne pociągnął za odpowiednie sznurki i uzgodnił z FBI, że zostanie zawieszona, żeby łatwiej było ją przenieść. Chcieli, żeby znalazła się u nich, i tak też się stało. Załatwili wszystko tak, żeby mieć pewność, że dziewczyna skwapliwie przyjmie ich ofertę. Scenariusz, który przedstawiła Jessica Kincaid, wydawał się całkiem prawdopodobny, ale niekompletny.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziała nieśmiało. – Kiedy wstąpiłam do Wydziału, najpierw przesłam intensywne szkolenie. A potem każdy z rekrutów musiał przedstawić pracę z historii...

– Ach tak, „Biografię szpiega”. I kogo wybrałaś na swojego bohatera? Matę Hari?

– Nie. Pewnego legendarnego agenta terenowego o nazwisku Janson. Paul Janson. Przeprowadziłam gruntowną analizę jego technik i strategii.

– Żartujesz.

Janson ułożył drewno w kamiennym kominku i wetknął między polana pomięte kawałki włoskich gazet. Dobrze wysuszone drwa szybko zajęły się ogniem. W górę buchnął równy płomień.

– Naprawdę jesteś niesamowity, co mam ci powiedzieć? Ale odkryłam też pewne twoje błędy, pewną... słabość – stwierdziła

z lekkim rozbawieniem.

Janson pociągnął długi łyk gorącej, mocnej kawy.

– W osiemdziesiątym szóstym, przed walką Ricka Fraziera z Michaeliem Spinksem trener Fraziera ogłosił boksterskiemu światu, że odkrył „słaby punkt” Spinksa. Wiele na ten temat dyskutowano i spekulowano. Potem Rick Frazier wyszedł na ring i został znokautowany w drugiej rundzie. – Janson uśmiechnął się. – O jakiej słabości mówisz?

Jessica Kincaid zrobiła poważną minę.

– Dlatego mnie wybrali. Żebym cię zastrzeliła.

– Wybitna biografka Paula Jansona. Ktoś, kto potrafi przewidzieć każdy jego ruch lepiej niż inni. Logiczne. Dyrektor wydziału zapewne był z siebie dumny, że tak sprytnie to wymyślił.

– Jasne. Ale to ja wpadłam na pomysł, żeby obserwować dom Grigorija Bermana. I żeby zaczekać na ciebie w Amsterdamie. Wiele osób sądziło, że będziesz próbował przedostać się do Stanów. Ale nie ja.

– Nie, nie ty, absolwentka studiów nad Jansonem.

Umilkła na chwilę, wpatrzona w fusy na dnie kubka.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Zawsze się nad tym zastanawiałam. W dziewięćdziesiątym namierzyłeś Jamala Nadu, mózg potężnej siatki terrorystycznej. Wiarygodny raport z zaufanego źródła wskazał ci miejsce jego kryjówki w Ammanie. Wiedziałeś, jakim samochodem będzie podróżował. Do samochodu podchodzi obdarty żebrak w łachmanach. Próbują go przegonić. Żebrak pada na kolana, przeprasza, idzie dalej. A tym żebrakiem jest Paul Janson, nasz doktor J., który kłaniając się

uniżenie w pas, umieścił pod samochodem ładunek wybuchowy.

Patrzył na nią beznamiętnie.

– Godzinę później Jamal Nadu wsiada do samochodu. A wraz z nim cztery luksusowe prostytutki, które wynajął na tę noc. Zawiadamiasz centralę, że zaistniały nowe okoliczności, jednak nie ma zgody na przerwanie operacji. W raporcie piszesz, że próbowałeś wysadzić samochód, ale zawiódł detonator. Plan udaremniła usterka techniczna.

– Zdarza się.

– Nie tobie. Widzisz, dlatego nigdy nie wierzyłam w oficjalną wersję. Zawsze byłeś cholernym perfekcjonistą. Sam skonstruowałeś detonator. Dwa dni później Jamal Nadu wraca ze spotkania z grupą Libijczyków, gdy nagle mózg wypływa mu na kołnierzyk, ponieważ ktoś jednym celnym strzałem rozwalił mu łeb. W raporcie sugerujesz, że sprzątnął go rywal z Hamasu.

– Do czego zmierzasz?

– Cztery kobiety, Bogu ducha winne. Agent nie miał sumienia ich zgładzić. Nie miał powodu. Skoro już namierzył sukinsyna, mógł go zlikwidować w inny sposób, bez strat wśród osób postronnych. Ale może w wydziale planowania myśleli inaczej. Może zależało im na spektakularnej akcji i mieli gdzieś cztery kurwy. Więc urządziłeś to tak, żeby byli zadowoleni.

– Dalej?

– Pytanie brzmi: w świecie tajnych agentów zlikwidowanie bardzo złego gościa, jakim był Nadu, może stanowić o dalszej karierze. Kto chciałby sprzątnąć faceta, nie przypisując sobie zasługi za dobrze wykonane zadanie?

– Ty mi wyjaśnij.

– Ktoś, kto nie chce, żeby oficer prowadzący operację ogłosił wielkie zwycięstwo.

– Wobec tego powiedz mi coś jeszcze, skoro tyle wiesz o tej operacji. Kto nią dowodził?

– Szef, Derek Collins. W tamtym czasie zarządzał sektorem bliskowschodnim.

– W takim razie to do niego powinnaś kierować pytania o procedury.

– Nieważne – mruknęła z nachmurzoną miną. – Chodzi o to, że nie mogłam cię rozgryźć.

– To znaczy?

– Właśnie dlatego głowiłam się nad tą historią z Jamalem. Bo nie wiem, co tobą powoduje. Nie potrafię złożyć do kupy tego, co widziałam, z tym, co słyszałam. Do cholery, jasne, że nie jesteś ministrantem. Podobno w Wietnamie robiłeś przerażające rzeczy...

– Włóż to między bajki – przerwał jej ze złością, jednocześnie zaskoczony swoją gwałtowną reakcją.

– Powtarzam tylko, co mówią. Wygląda na to, że maczałeś palce w niezłym gównie.

– Ludzie wymyślają różne historie. – Próbował zachować spokój, ale nie bardzo mu to wychodziło. Sam nie do końca rozumiał dlaczego.

Spojrzała na niego dziwnie.

– W porządku. Wierzę ci. Ostatecznie jesteś jedynym facetem, który wie, co naprawdę się tam wydarzyło.

Janson przełożył polana pogrzebaczem. Sosnowe drwa zaskwierczały, zasyczały, a w izbie zapachniało dymem z kominka. Słońce powoli chowało się za wierzchołkiem góry.

– Mam nadzieję, że nie obrazi się pani, jeśli spytam, ile ma pani lat, panno Kincaid.

Jej twarz złagodniała w złotej poświacie kominka.

– Mów mi Jessie. Dwadzieścia dziewięć.

– Mógłbym mieć córkę w twoim wieku.

– Masz tyle lat, na ile się czujesz.

– Jeśli to prawda, byłbym Matuzalemem.

– Nie przesadzaj. To tylko liczby.

– W twoim przypadku to liczba pierwsza. Ze mną jest inaczej. – Przerzucił pogrzebaczem czerwone węgle w kominku. Zapłonęły żółtym ogniem. Pomyślał o Amsterdamie. – Teraz pytanie do ciebie. Unitech. Mówi ci to coś?

– Jasne. To nasi. Teoretycznie rzecz biorąc, niezależna jednostka korporacyjna.

– Wydział używa jej jako przykrywki?

– Tak. A co do niezależności... – przeczesła palcami krótkie, nastroszone włosy.

– Rozumiem.

Janson powoli zaczął sobie przypominać: spółka Unitech przez kilka lat odgrywała marginalną rolę w pewnych przedsięwzięciach. Na przykład wypełniała luki w niejasnej przeszłości tajnych agentów, wydając im fałszywe świadectwa pracy. Przekazywała fundusze osobom odgrywającym niewielką rolę w poważnych operacjach.

– Ktoś z Unitech koresponduje z dyrektorem wykonawczym

Fundacji Wolności, proponując wsparcie logistyczne programów oświatowych w Europie Wschodniej. Dlaczego?

– Dobre pytanie.

– Założmy, że ktoś, pewna grupa osób, szuka sposobu, żeby zbliżyć

się do Petera Novaka. Dowiedzieć się, gdzie aktualnie przebywa.

– Ktoś? Chcesz powiedzieć, że to Wydział go sprzątnął? Moi pracodawcy?

– Raczej zaaranżował jego zabójstwo. Zadbał o sprzyjające okoliczności.

– Ale po co? Dlaczego? To nie ma sensu.

Rzeczywiście, trudno było znaleźć w tym jakiś sens. Czy Wydział Operacji Konsularnych faktycznie zaaranżował śmierć Novaka? I dlaczego dotąd nigdzie tego nie odnotowano? Wszystko to wydawało się coraz dziwniejsze: najbliżsi współpracownicy Novaka zdawali się nie mieć o niczym pojęcia.

– Co czytasz? – Jessie wskazała stertę wydruków na biurku.

– Materiały na temat Novaka. Ściągnąłem z internetu.

– Naprawdę sądzisz, że w oficjalnych publikacjach może zawierać się jakaś cenna informacja? – spytała.

– Chyba nie wierzysz, że agenci sami, w tajemniczy sposób, zbierają informacje, które później umieszczają w raportach o sytuacji za granicą? Co najmniej połowę znajdują w lokalnych gazetach.

– Jakbym nie wiedziała. Ale masz tylko dwoje oczu...

– A ty chciałaś wywiercić mi dziurę na trzecie...

Zignorowała ten przytyk.

– Nie dasz rady sam przez to przebrnąć. Podzielmy się. Przyda się druga para oczu.

Zasiedli razem do lektury. Jansona w końcu ogarnęło znużenie – musiał się przespać, coraz trudniej było mu skupić wzrok na gęsto zadrukowanych stronach. Wstał i przeciągnął się.

– Idę się zdrzemnąć – powiedział.

– W nocy robi się chłodno. Na pewno nie przyda ci się termofor? –

spytała, wyciągając do niego rękę. Niby żartowała, ale patrzyła poważnie.

Janson uniósł brwi.

– Termofor nie wystarczy, żeby rozgrzać stare kości – rzucił beztrąsko. – Chyba zrezygnuję.

– Masz rację. – W jej głosie zabrzmiała nutka rozczarowania. – Posiedzę jeszcze trochę nad tymi papierami.

– Dobra dziewczynka. – Puścił do niej oko i powlókł się na górę do sypialni.

Poczuł się strasznie zmęczony. Wiedział, że zaśnie szybko, ale spać dobrze nie będzie.

• • •

W dżungli była baza. W bazie biuro. W biurze biurko. Przy biurku siedział mężczyzna.

Jego dowódca. Człowiek, który nauczył go niemal wszystkiego.

Janson stanął naprzeciw niego.

Z małych głośników ośmiościeżkowego magnetofonu komandora podporucznika płynęły dźwięki dwunastowiecznego chorału świętej Hildegardy.

– Chciałeś się ze mną widzieć, synu? – Pulchna twarz Demaresta zastygła w wyrazie niezmaconego spokoju. Wyglądał tak, jakby naprawdę nie miał pojęcia, po co Janson do niego przyszedł.

– Zamierzam złożyć raport, panie komandorze.

– Oczywiście. To standardowe postępowanie po przeprowadzonej akcji.

– Raport dotyczący pana. Ze szczegółowym opisem wykroczenia przeciw artykułowi pięćdziesiątemu trzeciemu o traktowaniu jeńców

wojennych.

– Och. O to chodzi. – Demarest milczał przez chwilę. – Sądzisz, że byłem niedelikatny wobec tego żółtka?

– Panie komandorze? – Janson podniósł głos z niedowierzaniem.

– I nie domyślasz się czemu? Jasne, składaj raport. Mam dość na głowie. Widzisz, podczas gdy ty wypełniasz papierki, ja kombinuję, jak uratować życie sześciu naszych ludzi. Sześciu żołnierzy, których bardzo dobrze znasz, ponieważ nimi dowodzisz. Czy raczej dowodziłeś.

– Nie rozumiem?

– Ludzie z twojego oddziału zostali wzięci do niewoli w pobliżu Lon Duc Than. Mieli do wykonania zadanie specjalne, wspólną misję zwiadowczą z Siłami Specjalnymi Piechoty Morskiej. To się układa w całość. Jedno wielkie, cholerne sito.

– Dlaczego nie powiadomiono mnie o operacji?

– Bo nigdzie cię nie było przez całe popołudnie. Co, nawiasem mówiąc, stanowi naruszenie artykułu piętnastego. Mieliśmy łaskawie na ciebie poczekać? A teraz nagle się zjawiasz, bo nie możesz znaleźć temperówki.

– Panie komandorze. Proszę o pozwolenie na rozmowę.

– Odmawiam – warknął Demarest. – Rób, co chcesz, do cholery. Ale pamiętaj, że pojmano twoich ludzi, ludzi, którzy zawierzili ci swoje życie, i to ty powinieneś ich uwolnić, jeśli w ogóle ci na nich zależy. Twoim zdaniem potraktowałem bezdusznie i nieludzko dwóch partyzantów Wietkongu. Miałem powód, do diabła! Straciłem przez nich dość żołnierzy. Co się stało w Noc Lo? Zasadzka, powiedziałaś. Pułapka. No jasne, że tak. Operację zatwierdziło Dowództwo Wsparcia Militarne, jak zwykle, ale ktoś sypanął żółtkom. Kolejny

przeciek. To się dzieje bez przerwy, za każdym razem któryś z naszych ginie. Widziałeś, jak umierał Hardaway, prawda? Kołysałeś go w ramionach, kiedy wykrwawiał się na śmierć. Za kilka dni miał wracać do domu, tymczasem rozwalili go na twoich oczach! Jak się z tym czujesz, żołnierzu? Wzrusza cię to, czy wkurwia? W ogóle masz jaja? Może ci to umknęło, ale pracujemy w kontrwywiadzie, Janson. Nie pozwolę, żeby moich ludzi dymali kurierzy Wietkongu mający wtyki w Dowództwie.

– Demarest ani razu nie podniósł głosu, ale to tylko zwiększało wagę jego słów. – Podstawowym nakazem oficera jest dbać o ludzi, którymi dowodzi. A kiedy w grę wchodzi życie moich żołnierzy, zrobię wszystko – wszystko, co służy naszym celom – żeby ich chronić. Mam w dupie, co o mnie napiszesz. Ale jeśli czujesz się żołnierzem, mężczyzną, najpierw uratujesz swoich ludzi. To jest twój obowiązek. A potem rób, co ci dyktuje twoje wrażliwe, biurokratyczne serduszko. – Dowódca splótł ręce na piersi. – No więc?

– Proszę o współrzędne.

Demarest pokiwał głową poważnie i podał Jansonowi niebieską kartkę, gęsto zapisaną danymi operacyjnymi.

– Helikopter jest gotów. – Spojrzał na duży okrągły zegar zawieszony na wprost biurka. – Maszyna odlatuje za piętnaście minut. Mam nadzieję, że razem z tobą.

•••

Głosy.

Nie, głos.

Cichy głos kogoś, kto nie chce, by go słyszano. A jednak niósł się po domu.

Janson otworzył oczy. Mrok sypialni rozświetlała poświata księżycy. Ogarnął go narastający niepokój.

Gość? Wydział Operacji Konsularnych miał swoje biuro w konsulacie generalnym w Mediolanie, przy Via Principe Amedeo – zaledwie pięćdziesiąt minut jazdy samochodem. Czyżby Jessie skontaktowała się z nimi? Janson wstał, sięgnął po marynarkę i wymacał kieszenie. Telefon zniknął.

Mogła go zabrać, gdy spał. Lub może zostawił go na dole? Włożył szlafrok, wyjął spod poduszki pistolet i zaczął skradać się w stronę, skąd dobiegał głos.

Głos Jessie.

W połowie kamiennych schodów przystanął i rozejrzał się wokół. W gabinecie paliło się światło. Kontrast pomiędzy jasno oświetlonym pomieszczeniem a mrokiem panującym na zewnątrz pozwalał mu pozostać niezauważonym. Zszedł niżej i zobaczył w gabinecie dziewczynę. Stała przodem do ściany z telefonem przy uchu.

Poczuł ucisk w żołądku. Właśnie tego się obawiał.

Z rozmowy, której strzępy słyszał przez otwarte drzwi, wynikało, że Jessie skontaktowała się z kimś z Wydziału Operacji Konsularnych w Waszyngtonie. Podeszedł bliżej.

– Czyli rozkaz ten sam. Zlikwidować.

Upewniała się, czy wyrok na niego pozostaje w mocy. Dreszcz przeszedł mu po plecach. Nie zostawiła mu wyboru.

Musiał zrobić to, co należało zrobić już wcześniej. Zabić. Albo zginać. Dziewczyna była zawodową zabójczynią. Podobnie jak on, kiedyś. Podobnie jak ludzie, dla których pracowała. To nie miało znaczenia. Musiał się jej pozbyć. Sentyment i pobożne życzenia, jej zwodnicza gadanina – to wszystko na chwilę przesłoniło mu prawdę.

Przez otwarte okno dobiegał zgrzytliwy dźwięk cykad. Janson przełożył pistolet do prawej dłoni i wodził nim za Jessie chodzącą teraz tam i z powrotem po gabinecie. Był pewien tego, co za chwilę zrobi, a jednocześnie ta pewność przepelniała go wstrętem, odrazą do samego siebie. Zabić albo zginąć – koszmarna alternatywa, o której myślał, że należy do przeszłości. Tymczasem prawda, ostateczna prawda, wynikająca z całej jego zawodowej kariery, wyglądała jeszcze gorzej: zabić i zginąć.

– Co mówią doniesienia? – pytała Jessie. – Macie najnowsze dane, czy pracujecie na ślepo?

Janson przyjrzał się jej chłodnym okiem. Drobna, lecz umięśniona sylwetka, krągłe biodra i pełne piersi. Na swój sposób była piękną kobietą. I wiedział, na co ją stać. Zdumiewające umiejętności strzeleckie, niezwykła siła i zręczność, przenikliwość umysłu. Urodzona morderczyni, której nic nie powstrzyma.

– Czy chłopcy są na stanowiskach, czy tylko grzeją tyłki? – Mówiła cicho, ale dobitnie, niemal władczym tonem. – Chryste! Na to nie ma usprawiedliwienia. Jak teraz wyglądamy? Cholera, to prawda, co mówią: umiesz liczyć, licz na siebie. Co się z wami dzieje?

Za chwilę zimny, stalowy pocisk roztrzaska kolejną czaszkę, zakończy czyjeś życie, zamieniając je w gnijącą materię, z której powstało. To nie był postęp, wręcz przeciwnie. Theo i inni – w imię czego zginęli? Janson wściekał się, tak, również na siebie, ale co to zmieniało? Dziewczyna także zginie – w alpejskiej posiadłości, wartej pięć milionów dolarów, w dalekim kraju, którego nigdy nie widziała. Zginie z jego rąk i będzie to jedyna chwila intymności między nimi.

– Gdzie jest? Gdzie jest?! Mnie pytasz? – Jessica Kincaid urwała, by po chwili podjąć rozmowę: – Idioci, jeszcze na to nie wpadliście?

W Monako. Nie, nie mam wątpliwości. Novak ma tam dom. Nie, Janson nie mówił tego wprost, ale słyszałam, jak żartuje przez telefon z przyjaciółką, która tam mieszka. Coś o grze w bakarata. Rusz głową, dobrze? Pracujecie w wywiadzie, czy może się mylę?

Kłamała.

Kłamała ze względu na niego.

Schował pistolet i ogarnęło go niemal oszałamiające poczucie ulgi, tak intensywne, że aż się zdumiał. Pytali o jego miejsce pobytu, a ona skłamała, żeby go chronić. Wybrała, po której jest stronie.

– Nie mów nikomu, że dzwoniłam, dobrze? To prywatna rozmowa. Między nami dwojgiem, kochanie. Zapisz to na swoje konto, nie pogniewam się. Powiedz im... Nie wiem, powiedz, że jestem w śpiączce, a leczenie w szpitalu w Holandii jest bardzo kosztowne, bo nie mam ubezpieczenia. Jak znam życie, raczej nie będą się spieszyć z płaceniem.

Chwilę później się rozłączyła, a na widok Jansona stanęła jak wryta.

– Kochanie? – spytał znudzonym głosem.

– Niech cię szlag! – wrzasnęła. – Szpiegujesz mnie? Odkąd to słynny Paul Janson zachowuje się jak zwykły podglądacz?

– Zszedłem na dół, żeby napić się mleka.

– Akurat. – Posłała mu gniewne spojrzenie. Po chwili wyjaśniła: – Taki grubas z Departamentu Stanu. Całe życie siedzi za biurkiem. Nawet miły. Chyba mu się podobam, bo na mój widok ślini się jak głodny pies. Nie do wiary. Ale naprawdę dziwne jest to, czego dowiedziałam się o Pumie.

– O Pumie?

– To kryptonim Novaka. A ciebie nazywamy Sokołem. Bo pewnie

chciałeś zapytać? Jeśli chodzi o Pumę... Są przekonani, że żyje.

– Bo nie było nekrologu w „New York Timesie”?

– Oficjalna wersja jest taka, że wziąłeś pieniądze, żeby zaaranżować jego śmierć, ale ci się nie udało.

Janson pokręcił głową ze smutkiem.

– Widziałem, jak zginął – powiedział. – Boże, wolałbym, żeby było inaczej.

– Zaraz. Chcesz za wszelką cenę wziąć na siebie winę za coś, czego nie zrobiłeś?

– Twój kolega albo kpi sobie, albo nie ma o niczym pojęcia. – Przewrócił oczami. – I to wszystko za pieniądze podatników.

– Podobno Novak pojawił się dziś w telewizji. Mamy tu CNN? Zdążymy obejrzeć skrót wiadomości.

Włączyła telewizor z dużym ekranem i odszukała CNN. Po chwili spostrzegła czystą kasetę wideo, włożyła ją do magnetowidu i wcisnęła przycisk nagrywania.

Maleją zyski Rezerwy Federalnej. Narasta konflikt między Koreą Północną a Południową. Ostatni krzyk mody wśród młodych Japończyków. Fala protestów przeciw żywności modyfikowanej genetycznie ogarnęła Wielką Brytanię. Minęło czterdzieści minut. Jeszcze trzyminutowy minireportaż o kobiecie, która w Kalkucie otworzyła ośrodek dla chorych na AIDS. Domorośla Matka Teresa, tak ją nazywano. Wczoraj oficjalnie uhonorowano jej wysiłki, dlatego pojawiła się w wiadomościach. Pewien dystyngowany mężczyzna wręczał jej nagrodę specjalną. Jednocześnie wspomniano, że wspomógł finansowo budowę ośrodka.

Peter Novak.

Nieżyjący, wielki Peter Novak.

Janson wpatrywał się w ekran jak oniemiały. Telewizyjny trik, czy może te sceny nakręcono znacznie wcześniej?

Musiał obejrzyć jeszcze raz.

Przewinęli taśmę. To był Peter Novak, bez wątpienia. Uśmiechnięty, przemawiał do mikrofonu. „Jest takie węgierskie przysłowie, moje ulubione: *Sokkicsi sokra megy*. Z drobiazgów może powstać coś wielkiego. Ta niezwykła kobieta, poprzez liczne, drobne akty dobroci i wielkiego serca, dała światu coś wielkiego, i czuję się zaszczycony, że wolno mi osobiście wręczyć jej tę nagrodę...”.

Z pewnością dało się to jakoś wytłumaczyć. Ale jak?

Obejrzelili materiał jeszcze raz, klatka po klatce.

– Zatrzymaj – poprosiła Jessie za trzecim razem.

Po ceremonii Novak udzielał wywiadu. Siedział za biurkiem, zasłanym papierami. Jessie pobiegła do kuchni. Wróciła z egzemplarzem „The Economist”, który Janson kupił w kiosku tego ranka.

– Data się zgadza – powiedziała.

Wśród papierów na biurku Novaka leżała identyczna gazeta. Materiał nagrano – nie było co do tego wątpliwości – po katastrofie na Anurze.

Ale jeśli Peter Novak żył, to kto wtedy zginął?

A jeśli Novak zginął, kto wystąpił w telewizji?

Jansonowi zakręciło się w głowie.

Obłąd!

Kogo zobaczyli w wiadomościach? Bliźniaka? Oszusta?

Czy Novaka zamordowano i zastąpiono sobowtórem? To po prostu nie mieściło się w głowie. Kto mógł zaplanować coś takiego?

I kto jeszcze o tym wiedział? Sięgnął po telefon. Wystukał numery

najbliższych współpracowników Novaka, w Nowym Jorku i Amsterdamie. Pilna wiadomość. Sprawa życia i śmierci.

Dzwonił bez końca, próbując wszystkiego. Bez skutku. Wciąż to samo: znudzony, flegmatyczny, beznamiętny głos w słuchawce: wiadomość zostanie przekazana. Czy ktoś odpowie? Nie wiadomo. Gdzie przebywa Peter Novak? Nie wiadomo. Marta Lang – jeżeli w ogóle tak się nazywała – nie wiadomo.

Kwadrans później Janson złapał się za głowę w desperackim geście. Nie pojmował tego wszystkiego. Z nim samym działo się coś niepokojącego. Podniósł wzrok. Jessie Kincaid patrzyła na niego urażona.

– Proszę cię tylko o jedno. Nie okłamuj mnie. Nasłuchałam się dość kłamstw, sama dość ich naopowiadałam. Jeśli chodzi o Anurę, wiem tylko tyle, ile mi powiedziałeś. Wyjaśnij mi: w co mam wierzyć? Komu mam wierzyć?

– Wiem, co widziałem.

– Ja też. – Skinęła głową w stronę telewizora.

– To znaczy? Nie wierzysz mi?

– Chcę ci uwierzyć. – Wzięła głęboki oddech. – Chcę uwierzyć komukolwiek.

Janson milczał przez dłuższą chwilę.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – W porządku. Posłuchaj, zamówię taksówkę. Pojedziesz do Mediolanu. Złożysz raport. Odetchną z ulgą, gdy się pojawisz. Nie mają drugiego takiego snajpera. A ja zniknę, zanim wrócisz tu z ekipą sprzątającą.

– Chwileczkę.

– Tak będzie najlepiej.

– Dla kogo?

– Dla nas obojga.

– Mów za siebie. Nie za nas. – Chodziła tam i z powrotem po gabinecie. – Dobra, skurwielu – rzuciła w końcu. – Widziałeś, co widziałeś. Ja też. Chryste, to wszystko jest pokopane! – Zachichotała. – Nie rób tego na pierwszej randce, bo powiedzą, że jesteś łatwa!

Janson pogrzyżył się w myślach. Peter Novak. Kim w ogóle był ten człowiek legenda, który niczym meteor wychynął z niebytu, by zabłysnąć w świetle reflektorów? Tyle pytań bez odpowiedzi. Żołądek podchodził mu do gardła. Janson cisnął do kominka kubek, który roztrzaskał się o kamień. Przez chwilę poczuł się lepiej. Tylko przez chwilę.

Opadł na zniszczony skórzany fotel obok kominka. Jessie stanęła za nim, masując mu obolałe ramiona.

– Nie chcę przysparzać ci stresu–powiedziała. – Ale jeśli mamy dowiedzieć się czegoś więcej, musimy stąd wyjechać. Tak czy inaczej, wkrótce nas znajdą. Dysponują odpowiednim sprzętem, zdjęciami satelitarnymi, technikami, którzy pracują całą dobę. Namierzą samochód. Dotąd nic nie znaleźli, ale to tylko kwestia czasu. Skontaktują się, z kim trzeba. Przyjrzą się zdjęciom z granicy. Dopadną nas, prędzej czy później.

Miała rację. *Sok kicsi sokra megy*. „Z drobiazgów może powstać coś wielkiego”. Węgierska mądrość ludowa. Czy ich drobne wysiłki, jego i Jessie, przyniosą wielki efekt? Przypomniał sobie słowa Fieldinga: „To tam wciąż mieszkają jego najwięksi wielbiciel i najzacieklejsi wrogowie”. A co mówiła Marta Lang? „Ukształtował go jego kraj. Peter pamięta o swoich długach”.

Jego kraj.

A konkretnie? Kto?

Węgry. Tam Janson musiał pojechać.

Tam mógł znaleźć wrogów Petera Novaka – tych, którzy znali go najdłużej i najlepiej.

– Czy mi się zdaje, czy właśnie podjąłeś decyzję? – spytała nieśmiało.

Pokiwał głową.

– A ty?

– Nie wiem, o co pytasz.

– Rozważam swój kolejny krok. Pytam, jaki będzie twój? Wrócisz do Wydziału?

– Jak myślisz?

– Powiedz.

– Dobra, pozwól, że cię oświecę. Jeśli teraz zgłoszę się do szefa, wylatuję z terenu co najmniej na rok, być może na zawsze. Pominę fakt, że czeka mnie dłuższa „rozmowa”. Znam procedury, wiem, czego się spodziewać. Ale nawet nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie wiem, na czym stoję. W co i komu wierzyć. Wiem za dużo i nie dość dużo. Z obu tych powodów nie mogę wrócić. Muszę iść do przodu.

– Iść do przodu? Tym bardziej nie powinnaś zadawać się ze mną. Wiesz o tym. Już ci mówiłem.

– Posłuchaj. Wszystko ma swoją cenę. Jeśli się zgodzisz, pójde z tobą. Jeśli nie – i tak będę ci deptać po piętach.

– Nawet nie wiesz, dokąd się wybieram.

– Skarbie, to nie ma znaczenia. – Jessie przeciągnęła się, rozprostowując mięśnie i stawy. – Dokąd się wybierasz?

– Na Węgry – odparł z wahaniem. – Tam gdzie wszystko się zaczęło.

– Na Węgry – powtórzyła w zamyśleniu.

Janson wstał.

– Chcesz jechać ze mną? Proszę bardzo. Ale pamiętaj: jeśli skontaktujesz się z Wydziałem, nie żyjesz. I to nie ja cię zlikwiduję. Przestrzegasz moich reguł. W przeciwnym razie...

– Dobra – przerwała mu. – Przestań mnie pouczać, rozumiem.

Spojrzał na nią chłodnym okiem, oceniając jej przydatność jako żołnierza i agentki. Potrzebował wsparcia, co do tego nie było wątpliwości. Nie wiedział, co ich czeka. Jeśli w działaniu z nim miała być w połowie tak skuteczna jak w działaniu przeciw niemu, stanowiła potężny atut.

Przed snem musiał jeszcze wykonać mnóstwo telefonów, wskrzesić niejedną legendę, wytyczyć ścieżkę.

Dokąd miała prowadzić? Tego, oczywiście, nie potrafił przewidzieć. Ale co im zostało? Niezależnie od ryzyka, tylko w ten sposób mogli rozwikłać tajemnicę, jaką był Peter Novak.

Rozdział 22

Zakładał przynętę.

Ale ta myśl wcale go nie uspokajała. Wiedział, jak często wpada się we własne sieci. Na tym etapie jego podstawową bronią miało być opanowanie. Dlatego musiał uważać na pułapki niepokoju i zbytnej pewności siebie. Pierwsza mogła oznaczać paraliż, druga – głupotę.

Na miejsce akcji wybrał kurort Lillafüred znajdujący się kilka kilometrów na zachód od centrum Miskolca. W rejonie Lillafüred był tylko jeden godny uwagi budynek, w którym mieścił się hotel Palace. Położony przy deptaku Elżbiety; na zadrzewionych brzegach jeziora Hamori, otoczony leśną polaną, przypominał o dawnej, feudalnej Europie pałaców i parków, dla której w gruncie rzeczy stanowił hołd – wybudowany w latach dwudziestych pałacyk myśliwski powstał dla upamiętnienia minionej świetności Węgier. Projekt opracowano w czasach rządów admirała Horthyego. Z kolei restauracja Król Matthias przywoływała wspomnienie piętnastowiecznego węgierskiego wojownika i władcy, który poprowadził swój naród do wielkości, okupionej krwią wrogów. Po upadku komunizmu pałac został odnowiony i odzyskał dawny blask. Obecnie przyciągał wczasowiczów i biznesmenów z całego kraju. Projekt, zrodzony z imperialnej pychy, zdominowała siła jeszcze potężniejsza: konsumpcjonizm.

Paul Janson przemierzył pewnym krokiem bogato udekorowane

lobby i zszedł na dół, do restauracji urządzonej w podziemiach. Pod wpływem napięcia czuł skurcz w żołądku i w ogóle nie miał ochoty najedzenie. Ale jakakolwiek oznaka nerwowości mogłaby go zdradzić.

Powitał go maître d'hôtel.

– Adam Kurzweil – przedstawił się Janson, modulując głos.

Starał się mówić ze szkolnym angielskim akcentem, charakterystycznym zarówno dla wykształconych obywateli Brytyjskiej Wspólnoty Narodów – Zimbabwe, Kenii, Afryki Południowej, Indii – jak i zamożnych Europejczyków, którzy wcześniej rozpoczynali naukę języków. „Kurzweil” był ubrany w prążkowany garnitur i szkarłatny krawat, i poruszał się z wyniosłą manierą biznesmena, który przywykł, że spełnia się wszystkie jego życzenia.

Maître d'hôtel, we fraku, z czarnymi, zaczesanymi do tyłu, wypomadowanymi włosami, przyjrzał mu się bystrym, taksującym wzrokiem, po czym zmarszczył twarz w zawodowym uśmiechu.

– Pański gość już czeka – oznajmił i dodał, zwracając się do stojącej obok niego młodej kobiety: – Zaprowadź pana do stolika.

Janson skinął głową.

– Dziękuję – powiedział.

Jak się okazało, gość wybrał dyskretny stolik w rogu z dwiema ławami. Był człowiekiem przedsiębiorczym i ostrożnym – inaczej nie przetrwałby w swojej branży tak długo.

Podchodząc do stolika, Janson skupił się na swojej roli. Pierwsze wrażenie bywało decydujące. Sandor Lakatos, z którym się umówił, będzie podejrzliwy. Jako Kurzweil Janson musiał być podejrzliwy jeszcze bardziej. Wiedział, że to najskuteczniejszy środek zaradczy.

Lakatos okazał się drobnym, zgarbionym mężczyzną; w rezultacie skrzywienia górnej części kręgosłupa jego głowa dziwnie opadała do

przodu. Okrągłe policzki, kartoflowaty nos i indycza szyja, jakby zrosnięta z podbródkiem, nadawały jego głowie kształt gruszki. Ogólnie rzecz biorąc, miał wygląd utracjusza.

Był też jednym z największych handlarzy bronią w Europie Środkowej. Zbił fortunę w czasie, gdy obowiązywało embargo na dostawy broni do Serbii. Lakatos na początku miał jedynie firmę przewozową. Transportował produkty rolne, a potem pasmanterię. Profil biznesu i jego infrastruktura wymagały tylko nieznacznych modyfikacji, gdy postanowił zająć się handlem bronią. Fakt, że w ogóle zgodził się spotkać z Adamem Kurzweilem, potwierdzał to, co dodatkowo przesądziło o jego sukcesie: niepowstrzymaną chciwość.

Janson starannie przygotował się do tego spotkania. Wskrzesał dawną legendę – kanadyjskiego szefa firmy ochroniarskiej, a właściwie prywatnej milicji. Zadzwoił do kilku biznesmenów, którzy kilka lat temu wycofali się z branży, i wszystkim zostawił tę samą wiadomość: niejaki Adam Kurzweil, reprezentujący klienta nieżyczącego sobie, by jego nazwisko zostało ujawnione, poszukuje kontrahenta do nadzwyczaj poważnej, lukratywnej transakcji. Kanadyjczyka wymyślonego kiedyś przez Jansona na własny użytek, bez porozumienia z Wydziałem, zapamiętano z sympatią: zwykle trzymał się w cieniu, rzadko dawał o sobie znać. Mimo to ludzie, z którymi się skontaktował, odnieśli się do jego propozycji niechętnie. Zdążyli się wzbogacić, woleli być teraz ostrożni, iść do przodu, nie oglądając się. Ale w ograniczonym świecie handlarzy bronią wieść o poważnym kupcu musiała szybko się rozejść. Taka transakcja gwarantowała niezłą prowizję. Janson nie zamierzał osobiście kontaktować się z Lakatosem, wystarczyło, że nawiązał kontakt z ludźmi z jego otoczenia. Na przykład z pewnym biznesmenem

z Bratysławy, któremu bliskie powiązania z rządem zapewniały nietykalność. Biznesmen chciał wiedzieć, dlaczego niejaki Adam Kurzweil nie skontaktuje się z Lakatosem bezpośrednio. W odpowiedzi usłyszał, że Kurzweil jest człowiekiem podejrzliwym, który nie ufa nikomu, kto nie ma odpowiedniego poręczenia. Lakatos, z tego, co słyszał Kurzweil, nie należał do ludzi godnych zaufania. On i jego klienci nie mogli ryzykować transakcji z człowiekiem, o którym nic nie wiadomo. A tak na marginesie, czy Lakatos nie był po prostu drobnym oszustem?

Tak jak przewidywał, jego krytyczna opinia wkrótce dotarła do Węgra, który srodze się obruszył. Niegodny zaufania? Nic o nim nie wiadomo? Nie jest godnym kontrahentem dla Adama Kurzweila? Ten to dopiero tajemnicza postać! Nigdy wcześniej o nim nie słyszał! Jednocześnie przeprowadził praktyczne kalkulacje. Narazić swoje dobre imię? Wykluczone. Musiał zastopować te kalumnie. Musiał spotkać się z tym człowiekiem.

Ale kim w ogóle był ten Kurzweil? Kanadyjski inwestor migał się od odpowiedzi. Na pewno wiedział więcej, niż zamierzał zdradzić. „To naprawdę znakomity klient, tyle mogę powiedzieć”. Tymczasem w ciągu kilku godzin komórka Jansona zarejestrowała dziesiątki wiadomości potwierdzających wiarygodność Lakatosa – facet najwyraźniej zmobilizował swoich popleczników. W końcu Kanadyjczyk zmiękł – Kurzweil postanowił niedługo odwiedzić Miskolc i ewentualnie mógł spotkać się z Lakatosem, który miał w pobliżu rezydencję. Z jednym zastrzeżeniem: pan Kurzweil jest bardzo nieufny. Niewykluczone, że jednak odmówi.

Janson udawał niechęć, ale w rzeczywistości nie mógł się doczekać spotkania. Wiedział, że jeśli ktokolwiek ma mu wskazać drogę do

dawnych zaciekłych wrogów Petera Novaka, to właśnie ten handlarz śmiercią.

Zasiadł na wysokim skórzanym fotelu w hotelowym lobby. Gdy zobaczył, że Lakatos przybył na miejsce, postanowił odczekać jeszcze dziesięć minut. Potem podszedł do stolika z obojętną, choć uprzejmą miną. Lakatos go zaskoczył: wstał i objął go ramionami.

– Nareszcie się spotykamy! – zawołał. – Tak się cieszę!

Przywarł do niego i pulchnymi rękami obmacał mu plecy, kieszenie i pas. W ten niezbyt subtelny sposób chciał się upewnić, że Janson nie ma przy sobie broni.

Kiedy usiedli, Lacatos otaksował go wzrokiem. Chciwość bynajmniej nie umniejszała jego podejrzliwości. Wiedział z doświadczenia, że pewne okazje wyglądają zbyt pięknie, by mogły być prawdziwe. Należało rozróżnić między dojrzałym owocem a zatrutą przynętą.

– *Libamaj roston*, grillowana gęsia wątróbka, jest wyśmienita. Podobnie jak *brassoi aprepecsenye*, duszony schab – zachęcał Lakatos nieco zasapanym, piskliwym głosem.

– Osobiście wolę *bakanyi serteshüs* – odparł Janson.

Węgier spojrzał na niego zaskoczony.

– Ach, więc bywał pan tu wcześniej. Słyszałem, że jest pan człowiekiem światowym, panie Kurzweil.

– Jeśli słyssał pan cokolwiek, słyssał pan za dużo. – Janson uśmiechnął się, ale jego głos zabrzmiał lodowato.

– Proszę mi wybaczyć, panie Kurzweil. Ale, jak zapewne pan wie, w naszej branży musimy opierać się na zaufaniu. Uścisk dłoni i reputacja są ważniejsze od umów i papierów. Jak za dawnych czasów. Mój ojciec był zamożnym przedsiębiorcą. Przez lata jego

białe furgonetki jeździły po całym komitacie zemplińskim. Zaczynał w latach trzydziestych, a kiedy do władzy doszli komuniści, stwierdzili, że lepiej będzie zostawić firmę komuś, kto zna od podszewki. Ojciec już jako nastolatek jeździł ciężarówką. Więc kiedy pracownicy zgłaszali mu jakąś usterkę, pękniętą oponę czy wyciek z chłodnicy, bo mieli opóźnienia w dostawach, wiedział, że go oszukują. Potrafił ocenić, ile czasu zajmie naprawa, ponieważ wszystko naprawiał osobiście. Jego podwładni z czasem to zrozumieli. Nie dał się nabierać, ale to nie budziło ich niechęci, lecz szacunek. Myślę, że jestem do niego podobny.

– Ludzie często próbują pana nabierać?

Handlarz uśmiechnął się, ukazując rząd porcelanowych zębów, nienaturalnie białych i równych.

– Zwykle nie ryzykują – odrzekł. – Zdają sobie sprawę, że to może być niebezpieczne. – W jego głosie zabrzmiała groźba i jednocześnie duma.

– Lekceważenie węgierskiego narodu jeszcze nikomu nie wyszło na dobre – stwierdził Janson poważnie. – Z drugiej strony niewiele osób rozumie wasz język i kulturę.

– Węgierska tajemniczość. Dobrze służyła krajowi, gdy inne państwa chciały go zdominować. Ale nie zawsze. Sądzę jednak, że ludzie, których działalność wymaga, powiedzmy, pewnej ostrożności, doceniają tę cechę.

Pojawił się kelner i nalał im wody do szklanek.

– Poprosimy o butelkę margaux rocznik dziewięćdziesiąty ósmy – zdecydował Lakatos, po czym zwrócił się do Kurzweila: – To młode wino, ale bardzo orzeźwiające. Chyba że woli pan spróbować lokalnego egri bikaver. Pozostawia niezapomniane wrażenia.

– Ma pan rację, chętnie spróbuję.

Lakatos strzelił na kelnera grubymi palcami.

– Jednak egri bikaver, rocznik osiemdziesiąty drugi. – Znów zwrócił się do towarzysza. – Jak podoba się panu na Węgrzech?

– To niezwykły kraj, który podarował światu wielu niezwykłych ludzi. Laureatów Nagrody Nobla, reżyserów, matematyków, fizyków, muzyków, dyrygentów, pisarzy... Jest jednak pewien sławny syn tej ziemi, który, jak by to ująć uprzejmie... niepokoi moich klientów.

Handlarz spojrział na niego w osłupieniu.

– Intryguje mnie pan.

– Podobno wolność jednych dla innych oznacza tyranie. A fundamenty wolności bywają fundamentami tyranii. – Janson urwał znacząco, żeby upewnić się, że został dobrze zrozumiany.

– Fascynujące – stwierdził Lakatos, przełykając ślinę. Sięgnął po szklanekę z wodą.

Janson powstrzymał ziewnięcie.

– Pan wybaczy – mruknął. – Mam za sobą długi lot z Kuala Lumpur. Oczywiście załoga robi wszystko, żeby zapewnić nam komfort, mimo to... – W rzeczywistości siedmiodzinna podróż z Mediolanu do Egeru w trzęsącej się, ciasnej przyczepie, wypełnionej wędzonym mięsem, była uciążliwa i stresująca. W czasie gdy Janson spotykał się z handlarzem bronią, Jessie Kincaid, posługując się fałszywym paszportem i kartą kredytową, powinna wynająć samochód na jutrzejszą podróż i starannie wytyczyć trasę. Janson miał nadzieję, że wkrótce uda jej się odpocząć. – Ale całe moje życie składa się z podróży – dodał z wielkopańską manierą.

– Wyobrażam sobie. – Lakatos pokiwał głową. Oczy mu błyszczały.

Kelner pod muszką przyniósł miejscowe wino w obwiązanej

wstążką butelce bez papierowej etykiety – nazwę winnicy wyryto bezpośrednio na szkle. Kelner nalał wino do kryształowych kieliszków; miało intensywny, ciemny kolor i wydawało się całkiem nieprzejrzyste. Lakatos upił spory łyk, przepłukał usta i oznajmił, że trunek jest wyśmienity.

– Eger słynie z uprawy winorośli i produkcji wina. – Podniósł kieliszek. – Może nie jest przejrzyste – dodał – ale zapewniam pana, panie Kurzweil, warte swojej ceny. Świetny wybór.

– Cieszę się, że pan tak mówi – odparł Janson. – Kolejny dowód na nieprzezroczystość Węgier.

W tym momencie do stolika podszedł mężczyzna w błękitnym garniturze, ale bez krawata – najwyraźniej amerykański turysta i najwyraźniej pijany. Janson spojrzał na niego i odezwał mu się w głowie dzwonek alarmowy.

– Kopę lat – rzekł bełkotliwie Amerykanin. Położył owłosioną, upierścienioną dłoń na białym obrusie obok koszyka na chleb. – Paul Janson. Od razu cię poznałem. Nie do wiary. – Prychnął głośno, po czym odszedł. – Mówiłem ci, że to on – zwrócił się do swojej towarzyszki.

Psiakrew! Stało się to, co teoretycznie zawsze mogło się stać w przypadku tajnej operacji. Dotychczas Janson miał szczęście. Tylko raz, w Uzbekistanie, kiedy umówił się na spotkanie z wiceministrem przemysłu naftowego jako pośrednik, reprezentujący poważną korporację petrochemiczną, natknął się na Amerykanina, który znał go pod innym nazwiskiem jako przedstawiciela azerbejdżańskiej firmy Apsheron. Na chwilę spotkali się wzrokiem, mężczyzna skinął głową, ale nic nie powiedział. Z pewnych oczywistych względów przeraził się na widok Jansona, a ten zareagował podobnie. Nie

zamienili ze sobą ani słowa. Paul wiedział, że jego dawny znajomy o nic nie będzie pytał. Ale teraz wydarzył się najgorszy z możliwych scenariuszy. Niespodziewanie misję zakłócił intruz. To był koszmar każdego agenta.

Janson postarał się za wszelką cenę uspokoić rytm serca.

– To jakiś pana znajomy? – spytał Lakatos obojętnym tonem. Amerykanin nie zwracał się do żadnego z nich w szczególności. Adam Kurzweil z pewnością nie spodziewał się takiej zaczepki.

Lakatos się zdumiał.

– Nie znam tego człowieka.

– Na pewno? – spytał Janson. Teraz trzymał gościa w szachu. – Nieważne. Wszystkim nam to się zdarza. Alkohol, półmrok, i ludziom wydaje się, że widzą samego Nikitę Chruszczowa.

– W naszym kraju roi się od duchów – stwierdził Lakatos.

– Niektóre sami wymyślcie.

Handlarz odstawił kieliszek, puszczając tę uwagę mimo uszu.

– Wybaczy pan ciekawość – podjął. – Mam wielu klientów, ale o panu dotąd nie słyszałem.

– Bardzo mnie to cieszy. – Janson upił łyk lokalnego wina. – Może sobie pochlebiam, ale zawsze byłem dumny z tego, że działam dyskretnie. Większą część życia spędziłem w Afryce Południowej, gdzie, przykro mi to stwierdzić, pana działalność jest praktycznie niezauważalna.

Jakby na potwierdzenie, Lakatos zatopił podbródek w fałdach szyi.

– To dojrzały rynek – odrzekł. – Faktycznie, w tamtych stronach nie ma wielkiego popytu na moje towary. Mimo wszystko od czasu do czasu trafiają mi się transakcje z obywatelami RPA i zawsze uważałem was za wzorowych partnerów handlowych. Wiecie, czego

wam potrzeba, i cena was nie odstrasza.

– Zaufanie nagradzamy zaufaniem, a uczciwość uczciwością. Moi klienci wprawdzie są szczodrzy, ale nie rozrzutni. Spodziewają się otrzymać dokładnie to, za co płacą. I żeby, jak pan to ujął, było warte swojej ceny. Przejdę jednak do rzeczy. Poszukują nie tylko dóbr materialnych. W równym stopniu interesuje ich to, czego nie da się załadować na palety. Szukają sojuszników. Można by rzec, kapitału ludzkiego.

– Nie chciałbym pana opacznie zrozumieć. – Węgier przywdział maskę obojętności.

– Powiem tak: moi klienci wiedzą, że są ludzie, którzy dzielą ich zainteresowania. Chcieliby pozyskać ich poparcie.

– Pozyskać poparcie... – powtórzył Lakatos nieufnie.

– I odwzajemnić.

Handlarz przełknął ślinę.

– Zakładając, że dodatkowe wsparcie w ogóle jest potrzebne.

– Wszystkim nam przydaje się dodatkowe wsparcie. – Janson się uśmiechnął. – To jedna z niewielu rzeczy pewnych na tym świecie.

Lakatos wyciągnął rękę i poklepał Jansona po nadgarstku.

– Podoba mi się pan – powiedział. – Jest pan człowiekiem myślącym i zarazem dżentelmenem, panie Kurzweil. W przeciwieństwie do szwabskich prostaków, z którymi czasem mam do czynienia.

Kelner zaserwował im smażoną gęsą wątróbkę, „z pozdrowieniami od szefa”. Handlarz nadział kawałek mięsa na widelec.

– Ale rozumie pan, do czego zmierzam? – naciskał Janson.

Amerikanin w błękitnym garniturze znów podszedł do ich stolika. Wydawał się zdeterminowany.

– Nie pamiętasz mnie? – spytał wojowniczym tonem. Tym razem było oczywiste, że zwraca się do Jansona.

– Zabawne – rzekł Janson do Węgra. – Wygląda na to, że jestem panu winien przeprosiny. – Spojrzał na opryskliwego

Amerykanina z obojętną twarzą, nie wykazując najmniejszego zainteresowania. – Wygląda na to, że pomylił mnie pan z kimś innym – stwierdził, modulując samogłoski z nienagannym akcentem.

– Akurat! A w ogóle, dlaczego tak dziwnie mówisz? Próbujesz udawać kogoś innego? Próbujesz mnie zbyć? Nawet mnie to nie dziwi.

Janson odwrócił się do Lakatosa i wzruszył ramionami z pozorną beztroską. Starał się kontrolować przyspieszone tętno.

– To mi się czasem zdarza, najwyraźniej mam dość typową twarz. W zeszłym roku w Bazylei pewna kobieta w barze hotelowym była przekonana, że spotkaliśmy się w Gstaad. – Uśmiechnął się, zasłaniając ręką usta na znak zakłopotania. – Więcej. Podobno mieliśmy romans.

Handlarz nie odwzajemnił uśmiechu.

– Pan i ona?

– No cóż, ona i mężczyzna, za którego mnie wzięła. Przyznam, że było dość ciemno. Ale kusilo mnie, żeby zaprosić ją do mojego pokoju i że tak powiem, dokończyć to, co zaczął mój sobowtór. Żałuję, że tego nie zrobiłem, chociaż zapewne w którymś momencie zrozumiałaby, że popełniła błąd. – Wybuchnął swobodnym, niewymuszonym śmiechem, ale kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Amerykanin nadal mu się przygląda z szyderczym uśmieszkiem.

– Więc nie masz mi nic do powiedzenia? – warknął. – Jasna cholera!

Towarzyszająca mu kobieta – prawie na pewno żona – wstała od stolika, podeszła i pociągnęła go za ramię. Była nieco otyła i miała na sobie zupełnie niestosowną letnią sukienkę.

– Donny – rzekła. – Przeszkadzasz temu miłemu panu. Pewnie jest na wakacjach, tak jak my.

– Miłemu?! Przez tego gnojka wyleciałem z pracy! – Mężczyzna, autentycznie wściekły, poczerwieniał na twarzy. – Tak, to prawda! Dyrektor naczelny zatrudnił cię do brudnej roboty, zgadza się, Paul? Ten skurwiel, Paul Janson, zjawia się w Amcon jako konsultant do spraw bezpieczeństwa, po czym zdaje raport na temat prześwietlania kandydatów i kradzieży w firmie, a mój szef wywała mnie na zbity pysk, bo jak to możliwe, że nie miałem o niczym pojęcia? Poświęciłem tej firmie dwadzieścia lat życia! Odwaliłem kawał dobrej roboty! Kawał dobrej roboty! – Jego zmięta, purpurowa twarz przybrała wyraz nienawiści i rozżalenia.

Kobieta spojrzała na Jansona niechętnie. Nawet jeśli czuła się zakłopotana zachowaniem męża, jej zmrużone oczy zdradzały, że sporo słyszała o konsultancie do spraw bezpieczeństwa, który pozbawił pracy jej Donny'ego.

– Kiedy pan wytrzeźwieje i zechce przeprosić – rzucił Janson lodowato – proszę nie zawracać sobie głowy. Z góry przyjmuje przeprosiny. Takie pomyłki się zdarzają.

Co miał powiedzieć? Jak reaguje ktoś, kogo biorą za kogoś innego? Konsternacją, rozbawieniem, wreszcie gniewem.

Oczywiście, tutaj nie było mowy o pomyłce. Janson doskonale pamiętał Donalda Weldona. Należał do ścisłego kierownictwa i odpowiadał za bezpieczeństwo w firmie inżynierskiej w Delaware. – Ten zadowolony z siebie wieczny urzędnik, który obsadzał stanowiska

kuzynami, siostrzeńcami oraz znajomymi i traktował swój dział jako rodzaj synekury. Dopóki nie działo się nic niepokojącego, kto miałby podać w wątpliwość jego kompetencje i nieposzlakowaną uczciwość? Tymczasem nagminne kradzieże i systematyczne wypłacanie premii fikcyjnym pracownikom stopniowo drążyły coraz większe dziury w budżecie, a dodatkowo wiceprezes podwajał swoje kierownicze wynagrodzenie, przekazując poufne informacje konkurencyjnej spółce. Janson wiedział z doświadczenia, że nieuczciwi menedżerowie, zamiast przyznać, że zwolniono ich z powodu rażących zaniedbań, niezmiennie obwiniali o swoje kłopoty ludzi, którzy ujawnili ich malwersacje. Prawdę powiedziawszy, Donald Weldon powinien być mu wdzięczny, że tylko go zwolnili – raport Jansona nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że Weldon przymykał oko na pewne nieprawidłowości, a wręcz podlegał odpowiedzialności karnej, co mogło skończyć się więzieniem. Jednakże Janson zalecił jedynie jego zwolnienie, argumentując, że proces sądowy przysporzyłby firmie dodatkowych kłopotów. „Zawdzięczasz mi wolność, skorumpowany skurwielu”, pomyślał teraz.

Amerikanin wściekle pogroził mu palcem.

– Cholerny mięczaku, tobie też kiedyś dobrać się do dupy!

Kobieta odprowadziła go do stolika w drugim końcu sali.

Chwiejny krok męża sugerował, że jego wybuch złości był spowodowany alkoholem.

Janson odwrócił się pogodnie do swojego towarzysza, chociaż serce ścisnął mu lęk. Lakatos wyraźnie ochłódł. Nie był głupcem, nie mógł zlekceważyć tej osobliwej sytuacji. Spojrzał na Jansona twardo, oczami nieruchomymi jak twarde kamyki.

– Nie wypił pan wina – zauważył z lodowatym uśmiechem kata.

Janson wiedział, jak rozumują ludzie pokroju Lakatosa: wazą różne możliwości, ale ostrożność każe im najmniejsze podejrzenia przyjmować za prawdę. Wiedział też, że jakiegokolwiek zapewnienia z jego strony nie przekonają handlarza. Był spalony. Zaczepki Weldona obnażyły go, udowodniły, że nie jest tym, za kogo się podaje. Ludzie tacy jak Sandor Lakatos niczego nie obawiali się bardziej niż oszustwa. Niezależnie od tego, jakie kierowały nim motywy, Adam Kurzweil stwarzał zagrożenie i należało je wyeliminować.

Dłoń Lakatosa zniknęła w wewnętrznej kieszeni obszernej wełnianej marynarki. Na pewno nie miał przy sobie broni – człowiek o jego pozycji nie musiał uciekać się do tak prymitywnych metod. Handlarz dziwnie poruszał ręką, jakby manipulował jakimiś przyciskami – w automatycznym pagerze lub może w urządzeniu do wysyłania wiadomości tekstowych.

Po chwili spojrział na drugi koniec sali, gdzie stał maître d'hotel. Janson spostrzegł, że dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach, którzy dotąd dyskretnie kręcili się przy barze, nagle zeszywnieli. Czemu nie zauważył ich wcześniej? Ochroniarze

Lakatosa – oczywiście. Umawiając się z nieznanym pośrednikiem, handlarz bronią musiał zapewnić sobie elementarne bezpieczeństwo.

Lakatos posłał im wymowne spojrzenie – było jasne, że mają do wypełnienia nową misję: teraz nie tylko mieli go chronić; mieli wykonać egzekucję. Ich ciężkie, rozpięte marynarki zwisały luźno. Postronny obserwator pomyślałby zapewne, że lekkie wybrzuszenie w pobliżu górnej kieszeni to paczka papierosów lub telefon komórkowy. Ale Janson wiedział lepiej. Przeszedł go zimny dreszcz.

Stało się jasne, że Adam Kurzweil nie opuści hotelu żywy. Janson potrafił sobie wyobrazić, co teraz nastąpi: jego gość szybko dokończy posiłek i wolnym krokiem wspólnie wyjdą na zewnątrz w towarzystwie uzbrojonych goryli. W ustronnym miejscu strzelą mu w tył głowy z pistoletu z tłumikiem. Ciało wrzucą do jeziora albo ukryją w bagażniku.

Nie miał czasu do stracenia.

Sięgając po kieliszek, niby niechcący strącił na podłogę widelec, zrobił przeproszający gest i schylił się, żeby go podnieść. Podwinął nogawkę i wyjął z kabury na kostce kompaktowego glocka 26, który wcześniej tego dnia nabył w Egerze. Ścisnął mocno rękojeść i położył broń na kolanach. Teraz przynajmniej nie był całkiem bezbronny.

– Czy był pan już na spacerze wokół jeziora? – spytał Sandor Lakatos. – Pięknie wygląda o tej porze roku. – Znow odstąpił w uśmiechu porcelanowe zęby.

– Bardzo pięknie – zgodził się Janson.

– Wobec tego zaraz po kolacji zabieram pana na przechadzkę.

– Nie jest zbyt ciemno?

– Och, to żaden problem – odparł Lakatos. – Przynajmniej będziemy sami. To dobra okazja, żeby lepiej się poznać. – W jego oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Świetny pomysł – stwierdził Janson. – Ale wcześniej, pan wybaczy, muszę oddalić się na chwilę.

– Oczywiście.

Lakatos zerknął na dwóch ochroniarzy czekających przy barze.

Janson wsunął pistolet za pas, wstał i ruszył w stronę toalety, która znajdowała się na końcu niewielkiego korytarza za salą restauracyjną. Nagle serce skoczyło mu do gardła: wyrósł przed nim mężczyzna

w ciemnym garniturze, równie potężny jak tamci dwaj. Z pewnością nie był ani gościem, ani pracownikiem restauracji. Jeszcze jeden z obstawy Lakatosa – widać świetnie się przygotowali na taką ewentualność. Janson wszedł do wyłożonej marmurem łazienki, a mężczyzna – barczysty, wysoki, ze znudzoną miną zawodowca – za nim. Podchodząc do umywalki, Paul usłyszał, jak ochroniarz przekręca klucz w zamku. To znaczyło, że byli sami. Jednak wystrzał z broni pozbawionej tłumika natychmiast zaalarmowałby dwóch innych uzbrojonych goryli. W rezultacie Janson nie mógł posłużyć się pistoletem. Aby skutecznie ukryć broń, musiał zrezygnować z pistoletu z tłumikiem, którego – ze względu na rozmiar – nie zdołałby schować w kaburze na kostce. Podeszedł do pisuaru. W błyszczącej armaturze ze stali nierdzewnej odbijała się zniekształcona sylwetka krzepkiego ochroniarza. A także długi, cylindryczny kształt – jego broń. Z tłumikiem.

Nie musieli czekać, aż Janson wyjdzie z hotelu. Mogli go zlikwidować na miejscu.

– Ile ci płaci? – spytał Janson, nie odwracając się. – Zapłacę podwójnie.

Mężczyzna milczał.

– Nie rozumiesz po angielsku? Założę się, że rozumiesz słowo „dolary”.

Ochroniarz zachował obojętny wyraz twarzy, ale opuścił broń. Bezbronność Jansona przywiodła mu na myśl lepsze rozwiązanie: wyjął z kieszeni półmetrową pętlę, zakończoną z obu stron plastikowymi tarczami, które pełniły rolę uchwytów.

Janson usłyszał cichy szmer: mężczyzna rozpostarł ramiona, żeby precyzyjnie zarzucić mu pętlę na szyję. Właściwie był pełen uznania

dla zawodowstwa potencjalnego kata. Garota gwarantowała śmierć nie tylko bezgłośną, ale i bezkrwawą. W restauracji takiej jak ta, zważywszy przeciętne spożycie alkoholu w Europie Środkowej, dyskretne usunięcie ciała nie wymagało zbytnej pomysłowości. Ochroniarz mógł po prostu wywlec Jansona na zewnątrz, podtrzymując go ramieniem w pozycji mniej więcej pionowej. Jeszcze zakłopotany uśmieszek i wszyscy pomyśleliby, że gość wypił zbyt dużo zwack unicum, wyborowego trunku, będącego specjalnością hotelu Palace.

Janson pochylił się nisko i oparł czoło o wyłożoną marmurem ścianę. Następnie odwrócił się, przygarbiony, udając pijackie otepienie. Nagle podniósł się gwałtownym ruchem, odepchnął ochroniarza i uderzył go kolaniem w krocze. Mężczyzna stęknął i zatoczył się do tyłu. Zdążył jednak zarzucić mu pętlę na ramiona i próbował zacisnąć ją na szyi. Janson poczuł, jak linka wrzyna mu się w skórę, piekąc niczym rozgrzane węgle. Teraz nie mógł się wycofać, musiał walczyć o życie. Przywarł do napastnika. Wbił mu podbródek między żebra. Błyskawicznym ruchem sięgnął ręką do kabury mężczyzny i wy dobył z niej pistolet z tłumikiem. Ochroniarz nie był w stanie równocześnie wyswobodzić dłoni i zacisnąć pętli. Musiał wybrać. Upuścił garotę i podbił rękę Jansona, wytrącając mu z ręki pistolet, który potoczył się po marmurowej podłodze.

W odpowiedzi Janson rąbnął go czubkiem głowy w dolną szczękę. Usłyszał chrzęst zębów. Oplótł prawą nogą nogę mężczyzny i naparł z całej siły. Ochroniarz w końcu osunął się na marmurową posadzkę. Był jednak dobrze wyszkolony: zdążył podstawić nogę Jansonowi, który też runął na ziemię. Poczuł ból w kręgosłupie, ale szybko stanął na nogi i ruszył do przodu, kopiąc mężczyznę w krocze. Prawą ręką

pociągnął go za nogę, lewą zgiął w kolanie drugą. Ochroniarz, wściekły i przerażony, przez chwilę rzucał się, młóćąc rękoma. Domyślał się zamiarów Jansona i za wszelką cenę próbował się wyswobodzić. Ale Paul nie ustępował. Kalkulował na chłodno – instynkt podpowiadał mu najprostsze rozwiązania, starcie lub ucieczkę, jednak on musiał uciec się do metody. Podniósł do góry wyprostowaną nogę mężczyzny i wykręcił ją z całej siły, aż wywichnął stawy. Towarzyszył temu dźwięk, który nie zabrzmiał jak suchy trzask – bardziej jak cichy wystrzał korka od szampana. Wiązadło skomplikowanego stawu zostało nieodwracalnie zerwane.

Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał krzyknąć. Nieznośny ból potęgowała świadomość, że został trwale okaleczony. Uszkodzona noga już nigdy nie będzie w pełni sprawna. Obrażenia odniesione w boju największe cierpienie powodowały zwykle po jakimś czasie – endorfiny i hormony stresu tłumili ból w chwili walki. Ale dźwignia założona na staw kolanowy odniosła zamierzony efekt, a ból towarzyszący takiej kontuzji często prowadził do utraty przytomności. Ochroniarz nie był jednak zwykłym osobnikiem i, mimo bólu, nie przestawał boksować rękami. Janson pochylił się i opadł na niego całym ciężarem, uderzając kolanami w twarz. Zadał tak zwany cios kowadłem. Mężczyzna wypuścił powietrze i znieruchomiał.

Janson podniósł z podłogi pistolet z tłumikiem – CZ-75, niezwykle celną broń czeskiej produkcji – i schował go za paskiem.

Usłyszał pukanie i zdał sobie sprawę, że ktoś pukał już wcześniej, ale – skupiony na walce – tego nie zarejestrował. Dobięły go niecierpliwie nawoływania po węgiersku, najwyraźniej goście restauracji chcieli skorzystać z toalety. Janson podniósł krzepkiego ochroniarza, posadził go na sedesie i ściągnął mu spodnie do kostek.

Tułów mężczyzny przylegał do ściany, z zewnątrz były widoczne tylko jego nogi. Zamknął drzwi kabiny od środka, wyslizgnął się dołem i otworzył zasuwkę toalety. Wychodząc, napotkał złowrogie spojrzenia rumianych gości i zrobił przeproszający gest.

Sporych rozmiarów pistolet uwierał go w klatkę piersiową, chociaż Janson zapiął marynarkę tylko na dolny guzik. Na końcu korytarza dojrzał dwóch ochroniarzy, którzy wcześniej kręcili się przy barze. Z ich twarzy, zastygłych w wyrazie nienawiści, wyczytał, że spodziewali się asystować koledze w wyprowadzeniu na zewnątrz „pijanego” klienta. Gdy Janson skierował się z powrotem do stolika, jeden z nich, wyższy, zastąpił mu drogę.

Mężczyzna miał toporną twarz, całkowicie pozbawioną wyrazu. Odezwał się cicho po angielsku, z silnym akcentem:

– Radzę zachować wielką ostrożność. Mój partner celuje w pana z pistoletu. To potężna broń i bardzo cicha. W tym kraju ataki serca zdarzają się niezwykle często. Niemniej jednak ktoś mógłby się zainteresować. Wolałbym tego uniknąć. Są bardziej eleganckie sposoby. Ale nie zawahamy się załatwić tego tutaj.

Z głównej sali restauracyjnej dobiegały wesołe okrzyki i melodia okolicznościowa, która w ubiegłym wieku zawojowała cały świat: *Happy Birthday to You. Boldog születesnapot!* Janson stwierdził, że po węgiersku piosenka brzmi równie dobrze, i przypomniał sobie duży stół na kilkunastu biesiadników, na którym ustawiono cztery oszronione butelki szampana.

Zrobił przestraszoną minę i przyłożył ręce do piersi w teatralnym geście przerażenia. Jednocześnie wsunął prawą dłoń pod lewą, ukradkiem sięgając po rękojeść pistoletu.

Zaczekał, aż zabrzmiał inny typowy dźwięk kojarzony z uroczystym

przyjęciem – także tu, na Węgrzech: wystrzał korka od szampana. Faktycznie, chwilę później otwarto pierwszą z czterech butelek. Gdy strzelił drugi korek, Janson pociągnął za spust.

Cichy trzask zginął pośród gromkich odgłosów zabawy, tymczasem twarz mężczyzny stężała. Paul spostrzegł maleńką koronę nastroszonych wełnianych nitek, wystających z ledwie widocznej dziury w marynarce. Ochroniarz runął na ziemię. Zwykły postrzał w brzuch nie powaliłby tak szybko zawodowca takiego jak on. Mogło to oznaczać tylko jedno: kula rozorała górną część brzucha i utkwiała w kręgosłupie. W rezultacie nastąpiło całkowite przerwanie impulsów nerwowych i paraliż wszystkich mięśni dolnej części ciała. Janson potrafił rozpoznać charakterystyczne objawy katapleksji i pamiętał, jak na to jedyne w swoim rodzaju doświadczenie reagowali nawet najbardziej zatwardziali żołnierze: opłakiwali nieodwracalną utratę swojej fizyczności, co niekiedy przesłaniało im ryzyko utraty życia w ogóle.

– Wyjmij rękę z kieszeni albo kropnę i ciebie – wyszeptał Janson ostro do drugiego z ochroniarzy.

Zdawał sobie sprawę, że władczy ton głosu będzie tu bronią potężniejszą niż pistolet w jego dłoni. Teoretycznie rzecz biorąc, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia: dwaj mężczyźni z palcami na spuście. Ten drugi nie miał powodu ustąpić. Ale Janson wiedział, że ustąpi. Jego ruchy były równie zaskakujące jak nagła pewność siebie, za którą mogło stać wiele nieodgadnionych czynników: czy Adam Kurzweil wiedział, że strzeli szybciej? Czy miał pod ubraniem kamizelkę kuloodporną? Dwie sekundy nie wystarczały, aby odpowiedzieć na te pytania. A jak karano za złą odpowiedź, widać było czarno na białym. Mężczyzna obrzucił szybkim spojrzeniem

unieruchomionego partnera o poszarzałej twarzy i kałużę moczu wokół niego. Nietrzymanie moczu wskazywało na przerwanie nerwów krzyżowych w wyniku uszkodzenia środkowych lub dolnych kręgów.

Mężczyzna wyciągnął ręce przed siebie – pełen odrazy, upokorzony, przerażony.

Jeśli twój wróg ma dobry pomysł, ukradnij mu go, mawiał komandor podporucznik Alan Demarest. Miał na myśli podstępne pułapki zastawiane przez partyzantów Wietkongu. Jansonowi przyszła do głowy myśl jeszcze bardziej mroczna: jeśli zbyt długo patrzysz w otchłań, otchłań cię pochłonie. To, co planowali ludzie Lakatosa, miało obrócić się przeciw nim – tak jak czeski pistolet krzepkiego ochroniarza.

– Nie stój tak – szepnął mężczyźnie do ucha. – Nasz przyjaciel właśnie miał atak serca. Podobno to często się zdarza w waszym kraju. Podniesiesz go, podeprzesz i razem wyjdziemy z restauracji. – Zapiął marynarkę sparaliżowanego ochroniarza, żeby ukryć ślady krwi. – A jeśli nie będę widział twoich rąk, może się okazać, że ataki serca są zaraźliwe. Albo, dla odmiany, padniesz ofiarą ostrego zatrucia pokarmowego. I obaj kupicie sobie wózki inwalidzkie. Pod warunkiem, że któryś przeżyje.

Zaraz potem mężczyzna, niezdarnie podtrzymując sparaliżowanego towarzysza, szybko wyprowadził go na zewnątrz. Janson zorientował się, że Sandor Lakatos zdążył opuścić restaurację. Czyli groziło mu kolejne niebezpieczeństwo.

Raptownie zawrócił i dał nura do kuchni. Panował tu niemiłosierny harmider: skwierczało mięso, bulgotały zupy i sosy, ktoś siekał nożem cebulę i pomidory, ktoś inny rozbijał kotlety, huczała zmywarka.

Janson przebiegł przez kuchnię, praktycznie nie zwracając uwagi na mężczyzn i kobiety w białych fartuchach – wiedział, że gdzieś tutaj musi znajdować się przejście dla personelu. Z pewnością produktów nie dostarczano do wytwornego lobby hotelu.

Dopadł zardzewiałych metalowych schodów. Wąskich i stromych. Prowadziły na otwartą stalową platformę na poziomie ziemi – restauracja znajdowała się w piwnicy. Janson wybiegł na zewnątrz i owionęło go chłodne, wieczorne powietrze.

Zamknął za sobą metalowe drzwi najciszej, jak potrafił, i rozejrzał się wokół. Znalazł się na tyłach hotelu, w pobliżu parkingu. Gdy przyzwyczał wzrok do ciemności, zobaczył jakieś dwadzieścia metrów dalej drzewa o długich konarach i wysokie trawy – dobre na kryjówkę, ale nie dość dobre, by skutecznie obronić się przed strzałem.

Dobiegł go jakiś dźwięk – szuranie. Ktoś przesuwiał się plecami wzdłuż ściany, pewnie stawiając stopy na ziemi. Ktoś zbliżał się ku niemu. Ktoś, kto wiedział, że jest uzbrojony i przedsięwziął wszystkie możliwe środki ostrożności.

Zanim jeszcze usłyszał suchy trzask wystrzału, uderzył go w twarz kłujący grad odłamków cegieł i zaprawy murarskiej. Napastnik go namierzył. Strzelał z odległości mniej więcej stu metrów – jeśli chciał być skuteczny, musiał dobrze mierzyć. Janson obliczył, że zostały mu ledwie cztery sekundy, żeby rzucić się na ziemię. Cztery sekundy.

Opadł na kolana, wyciągając przed siebie lewe ramię, żeby zamortyzować upadek. Wyprostował rękę, w której ścisnął pistolet, i przewrócił się na prawy bok, opierając lewą kostkę o prawe kolano. Teraz był gotów do strzału: ręka spoczywała pewnie na utwardzonej zwirowej powierzchni. Położył palec na spuście. Czeskiego pistoletu

może nie dało się skutecznie ukryć, za to był solidny i nadzwyczaj celny – bardziej niż jego własna broń, mieszcząca się w dłoni.

Zidentyfikował cel: ochroniarza w ciemnym garniturze, którego przed chwilą zostawił na dole – i wystrzelił dwa pociski. Pistolet był wyposażony w tłumik, ale jego odrzut uświadomił mu, z jak potężną bronią miał do czynienia. Pierwsza kula chybiła, druga trafiła w szyję. Mężczyzna, krwawiąc, osunął się na ziemię.

Równocześnie Paul usłyszał stłumiony wybuch. Znieruchomiał. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że strzeliła trafiona pociskiem opona zaparkowanego obok SUV-a. Miał za plecami jeszcze jednego napastnika. Tor lotu pocisku i plan budynku pozwoliły mu ustalić, skąd padł strzał.

Nie podnosząc głowy, obrócił się o trzydzieści stopni i zobaczył Sandora Lakatosa z błyszczącym glockiem. Lakatos: pewny siebie handlarz bronią. Lśniącą, srebrzystą powłoką zamka odbijała światło parkingowych halogenów, czyniąc z niego łatwy cel. Janson wziął na celownik drobny tułów Węgra. Oddał dwa strzały.

Handlarz odpowiedział ogniem na chybił trafił. W ciemnym wylocie lufy rozbłysły iskry. Pocisk z broni Węgra trafił w żwirową ścieżkę, tuż obok stopy Jansona. Mimo wszystko Lakatos był śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem. Czyżby Janson chybił? Może Lakatos miał na sobie kamizelkę kuloodporną?

Węgier powoli opadł na ziemię, oddychając z trudem. Kule przeszły klatkę piersiową i przebiły płuca, powodując krwotok. Handlarz śmiercią dobrze wiedział, co się z nim dzieje: topił się we własnej krwi.

Rozdział 23

– Niech cię szlag, Janson. – Jessie Kincaid była na niego wściekła. Paul prowadził wynajęty samochód z maksymalną dozwoloną prędkością. Dziewczyna spoglądała na mapę. Do Budapesztu, gdzie mieli umówione spotkanie w Archiwum Państwowym, jechali określoną trasą, z dala od głównych dróg. – Powinnaś być z tobą. Być tam, na miejscu.

Kiedy w końcu wyciągnęła od niego szczegóły minionego wieczoru, rozgniewała się i zaczęła robić mu wyrzuty.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jakie pułapki mogli zastawić – tłumaczył Janson cierpliwie, nieprzerwanie zerkając w lusterko wsteczne. – Poza tym restauracja mieści się w podziemiach, jest poza zasięgiem. Ustawiałabyś karabin na barze czy zostawiła go w szatni?

– Być może w środku nic bym nie działała. Ale na zewnątrz, owszem. Mnóstwo drzew, mnóstwo potencjalnych stanowisk ogniowych. Znasz zasady. Powinieneś być się zabezpieczyć. Nie zrobiłeś tego.

– Bo niepotrzebnie bym ryzykował.

– Cholernie ryzykowałeś.

– Mam na myśli ciebie. Wołałem cię nie narażać.

– I naraziłeś siebie. To nieprofesjonalne. Czemu nie traktujesz mnie jak partnera?

– Partnera? Daj spokój. Masz dwadzieścia dziewięć lat. Jak długo

służysz w agencji? Nie obraż się, ale...

– Nie twierdzę, że jesteśmy sobie równi. Ale chętnie będę się od ciebie uczyć. Nigdy nie miałeś bardziej gorliwej uczennicy.

– Mam cię wziąć pod swoje skrzydła?

– Czemu nie?

– Coś ci powiem. Szkoliłem już paru uczniów.

– Niech zgadnę. Samych facetów.

Janson pokręcił głową ponuro.

– Obaj nie żyją.

W oddali migotały dziewiętnastowieczne iglice kościołów i socrealistyczne blokowiska – symbole dawno minionych, nieadekwatnych aspiracji, które przeżyły swoich twórców.

– Chcesz mnie trzymać na dystans, żebym nie zginęła?

– Odwróciła się do niego, świdrując go wzrokiem. – Nie kupuję tego.

– Obaj nie żyją, Jessie. To mój osobisty wkład w ich karierę zawodową. Dobrzy ludzie. Niezwykli. Nieprzeciętnie utalentowani. Theo Katsaris – mógł być lepszy ode mnie. Ale im ktoś jest lepszy, tym stawka jest wyższa. Naraziłem nie tylko własne życie. Naraziłem też życie innych.

– Każda operacja, oprócz potencjalnych korzyści, niesie ze sobą ryzyko. Sztuka planowania wymaga koordynacji tych dwóch niewiadomych. Tak napisałeś kiedyś w raporcie.

– Obryłaś się z mojego życiorysu, bez dwóch zdań. Pochlebia mi to. Ale parę rozdziałów pominęłaś: uczniowie Paula Jansona mają to do siebie, że giną młodo.

•••

Archiwum Państwowe mieściło się w długim, neogotyckim budynku. Przez wąskie łukowate okna w ołowianych ramkach wpadało do środka niewiele światła. Jessie Kincaid wzięła sobie do serca poradę Jansona, aby zacząć od początku.

Miała ze sobą listę brakujących informacji na temat ojca słynnego filantropa, hrabiego Ferenczi-Novaka, który ponoć obsesyjnie obawiał się o bezpieczeństwo syna. Fielding zdradził Jansonowi, że hrabia narobił sobie wrogów i był przekonany, że wrogowie ci zechcą zemścić się na jego potomku. Czyżby to właśnie się wydarzyło – pół wieku później? Słowa dziekana z Cambridge rozbrzmiewały teraz z ostrością brzytwy: „Stary arystokrata może i był paranoikiem, ale – jak mówi stare porzekadło – nawet paranoicy mają wrogów”. Jessie chciała prześledzić, co robił hrabia w czasach krwawych rozruchów na Węgrzech. Czy starał się o wizy do obcych krajów? Dokąd wyjeżdżał? Z synem czy bez? Razem z Jansonem starali się też odtworzyć drzewo genealogiczne Novaka – podobno miliarder troszczył się o żyjących członków rodziny, co można było uznać za typowe dla ludzi, którzy we wczesnej młodości przeżyli koszmar wojny. Ale kim w ogóle byli ci krewni, kuzyni, z którymi Novak przypuszczalnie utrzymywał kontakt? Historię rodziny hrabiego Ferenczi-Novaka, chociaż osnutą mgłą tajemniczości, z pewnością dało się odszukać w archiwach. Gdyby poznali nazwiska jego krewnych, ich miejsce pobytu, być może uzyskaliby odpowiedź na najbardziej dręczące pytanie: czy Peter Novak żyje?

Janson zostawił dziewczynę przed budynkiem Archiwum Państwowego – miał do załatwienia parę spraw. Po latach pracy w terenie instynkt podpowiadał mu, gdzie znaleźć czarnorynkowych handlarzy fałszywymi dokumentami. Może mu się poszczęści,

powiedział do Jessie, może nie, ale zawsze warto spróbować.

Kincaid, w dzinsach i zielonej koszulce polo, przeglądała w holu wejściowym tablicę ze zbiorami Archiwum, wiszącą obok ogromnej i dosyć przerażającej listy poszczególnych działów.

Archiwa węgierskiego Urzędu Kanclerskiego (1414 – 1848)

I. „B”

Akta organów rządowych 1867 – 1945 II. „L”

Organy rządowe Węgierskiej Republiki Rad (1919) II. „M”

Dokumentacja Węgierskiej Robotniczej Partii Ludowej (MDP) i Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (MSZMP) VII. „N”

Archivum Regnicolaris (1222 – 1988) I. „O”

Archiwa sądowe (XIII w. – 1869) I. „P”. Archiwa rodzinne, korporacji i instytucji (1527 – XX w.)

I tak dalej.

Jessie weszła do dużej sali, pełnej katalogów i stolików. Wzdłuż ścian ustawiono kilkanaście stoisk, przy których dyżurowali pracownicy Archiwum. Ich zadaniem było udzielanie informacji zarówno osobom prywatnym, jak i pracownikom naukowym. Przy jednym ze stoisk, jak wskazywała wisząca nad nim tabliczka, obsługiwano gości anglojęzycznych. Stała przed nim niewielka kolejka. Jessie chwilę obserwowała, jak znudzony urzędnik o kwadratowej twarzy spławia klientów: z tego, co widziała, jedyną „informacją”, jakiej udzielał, było stwierdzenie, że nie może udzielić żadnych informacji.

– Więc pani pradziadek urodził się w Szekesfehervar w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku – mówił do Angielki w średnim wieku, ubranej w kraciasty wełniany żakiet. – Jak miło. Niestety,

w tamtym czasie Szekesfehervar liczyło ponad sto pięćdziesiąt parafii. Potrzeba więcej danych, żeby znaleźć jakiś zapis.

Angielka odeszła z ciężkim westchnieniem.

Następnie urzędnik równie szybko rozwiął nadzieje pewnego krępego Amerykanina.

– Urodzony w Tata, w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku – wyrecytował z nieprzyjemnym uśmiechem. – Wyobraża sobie pan, że przejrzymy wszystkie rejestry od tysiąc osiemset osiemdziesiątego do tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku? – Zgryźliwość ustąpiła urazie. – To po prostu niemożliwe. Bądźmy rozsądni! Zdaje pan sobie sprawę, ile kilometrów dokumentacji przechowujemy? Nie jesteśmy w stanie odszukać odpowiednich zapisów bez bardziej szczegółowych danych.

Kiedy przyszła kolej na Jessie, po prostu podała mężczyźnie kartkę, na której starannie wypisała konkretne nazwiska, nazwy miejscowości, daty.

– Chyba nie powie mi pan, że trudno będzie znaleźć te archiwa, prawda? – Obdarzyła go czarującym uśmiechem.

– Rzeczywiście, mamy tu wszystkie potrzebne dane – przyznał urzędnik. – Muszę tylko zadzwonić, żeby to potwierdzić.

Zniknął w magazynie na zapleczu i wrócił po kilku minutach.

– Bardzo mi przykro – westchnął. – Te akta są niedostępne.

– Jak to niedostępne? – oburzyła się Jessie.

– Niestety, mamy w zbiorach pewne... braki. Wiele akt spłonęło w pożarze pod koniec drugiej wojny światowej. Później część archiwów przeniesiono do podziemi katedry Świętego Stefana, które z kolei były zawilgocone i większość akt zniszczył grzyb. Ogień

i woda – niby przeciwieństwa, lecz tak samo niebezpieczne. – Mężczyzna wyrzucił w górę ręce, udając żal. – Archiwum hrabiego Ferenczi-Novaka uległo zniszczeniu.

Jessie nie dała się zbyć.

– Czy mógłby pan to sprawdzić jeszcze raz? – Zapisała na kartce swój numer telefonu. – Gdyby udało się coś znaleźć, cokolwiek, byłabym ogromnie wdzięczna... – Olśniewający uśmiech. – Ogromnie wdzięczna.

Urzędnik skinął głową, rozbrojony. Chyba rzadko bywał obiektem zainteresowania młodej dziewczyny.

– Oczywiście. Ale nie robiłbym sobie wielkich nadziei.

• • •

Zadzwoił trzy godziny później. Jego pesymizm, jak wyznał Jessie, być może okazał się przedwczesny. Ponieważ domyślił się, że była to dla niej sprawa wielkiej wagi, dołożył wszelkich starań, żeby upewnić się, że akta rzeczywiście zostały zniszczone. Zważywszy ogromne zbiory Archiwum Państwowego, nie sposób uniknąć błędów w katalogach.

Jessie słuchała jego gadaniny z rosnącym podnieceniem.

– To znaczy, że się znalazły? Możemy uzyskać do nich dostęp?

– No cóż, niezupełnie – odparł urzędnik. – Ciekawa rzecz. Z jakiegoś powodu zostały przeniesione do działu specjalnego. Zamkniętego. Obawiam się, że dostęp do tych akt jest ściśle reglamentowany. Byłoby po prostu niemożliwe, żeby osobie prywatnej pozwolono się z nimi zapoznać bez zgody ministerstwa i odpowiednich akredytacji.

– To idiotyczne.

– Rozumiem, interesuje panią rodowód rodzinny. Wydaje się absurdalne, że takie dokumenty są objęte tajemnicą państwową. Osobiście uważam, że to kwestia błędnego opisanie akt. A przynajmniej błędnej kategoryzacji.

– Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się okazało, że przebyłam taki szmat drogi na darmo – jęknęła Jessie. – Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo byłabym wdzięczna, gdyby mógł mi pan pomóc.

– Wymówiła słowo „wdzięczna” tak, by zabrzmiało jak słodka obietnica.

– Chyba mam zbyt miękkie serce – westchnął mężczyzna. – Wszyscy tak mówią. To moja wielka słabość.

– Ależ skąd, wręcz przeciwnie – stwierdziła przesłodzonym tonem.

– Amerykanka, sama w obcym mieście... Zapewne czuje się pani nieco oszołomiona.

– Gdyby tylko ktoś mógł mnie oprowadzić. Ktoś stąd. Prawdziwy Węgier.

– Chętnie pomagam ludziom, nie tylko w pracy. – Jego głos nabrał cieplej barwy. – Po prostu... taki już jestem.

– Od początku o tym wiedziałam.

– Mam na imię Istvan – przedstawił się. – Zastanówmy się, jak byłoby najprościej. Czy porusza się pani samochodem?

– Oczywiście.

– Gdzie pani zaparkowała?

– W garażu naprzeciwko – skłamała Jessie. Olbrzymi, pięciopoziomowy garaż z betonu wyróżniał się wyjątkową brzydotą, zwłaszcza na tle neogotyckiego budynku Archiwum.

– Na którym poziomie?

– Na czwartym.

– Wobec tego spotkajmy się tam za godzinę. Będę miał w teczce kopie tych akt. Potem możemy wybrać się na przejażdżkę. Budapeszt to wyjątkowe miasto. Przekona się pani.

– To pan jest wyjątkowy – rzuciła Jessie na pożegnanie.

•••

Drzwi windy otworzyły się z metalicznym zgrzytem na poziomie czwartym, w dwóch trzecich wypełnionym samochodami. Wśród nich był żółty fiat, którego Jessie zaparkowała pół godziny temu. Zbliżała się pora umówionego spotkania, ale wokół nie dostrzegła żywej duszy.

Ale czy na pewno?

A tak w ogóle, to gdzie stał samochód? Tym razem wjechała na górę inną windą i wyszła na parking z przeciwnej strony. Kątem oka zobaczyła jakiś ruch – ktoś szybko pochylił głowę. Typowe dla nieudolnego tajniaka: robił wszystko, żeby się ukryć, czym zwracał na siebie uwagę. Chociaż może wyciągała pochopne wnioski. Niewykluczone, że nakryła na gorącym uczynku zwykłego złodziejaszka, który próbował ukraść dekiel albo radio. W Budapeszcie takie kradzieże zdarzały się nagminnie.

Jednak ta alternatywa w gruncie rzeczy była nieistotna. Lekceważąc ryzyko, tylko je powiększała. Musiała szybko się stąd wydostać. Jak? Ktoś mógł obserwować windy. Najlepiej zrobi, jeśli wyjedzie z parkingu samochodem – ale nie tym, którym przyjechała.

Ostrożnie przeszła między rzędami aut i nagle przypadła do ziemi, amortyzując upadek rękami. Przywarła płasko do posadzki i przeczołgała się do następnego rzędu, gdzie wcześniej widziała ukrywającego się mężczyznę.

Teraz znalazła się tuż za nim. Z bliska zobaczyła jego szczupłą sylwetkę. To nie był urzędnik, z którym rozmawiała, lecz ktoś, kogo dyrektor archiwum zapewne wysłał zamiast niego. Mężczyzna w średnim wieku stał sztywno wyprostowany, rozglądając się wokół niespokojnie. Wodził rozedrganym wzrokiem od pochylni wyjazdowych do wind. Po chwili wpatrzył się w przednią szybę żółtego fiata, mrużąc oczy.

Dał się wykiwać, wiedział o tym, i wiedział też, że jeśli zmarnuje swoją szansę, poniesie konsekwencje.

Jessie skoczyła na nogi, rzuciła mu się na plecy i powaliła go na ziemię, ściskając mu szyję jak w imadle. Gdy upadał, usłyszała chrzęst kości.

– Kogo jeszcze tu macie? – spytała.

– Jestem tylko ja – wycharczał.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Mężczyzna był Amerykaninem.

Przewróciła go na plecy i przystawiła pistolet do prawego oka.

– Kto jeszcze?

– Dwóch na ulicy przed garażem. Przestań! Błagam! Nic nie widzę!

– Widzisz. Jeszcze. Ale za chwilę oślepniesz. Jak wyglądają?

Szpicel milczał. Jessie mocniej przycisnęła lufę.

– Jeden ma krótkie, jasne włosy. Wysoki. Drugi... to brunet, fryzura najeża, kwadratowa szczęka.

Jessie odsunęła pistolet od oka mężczyzny. Agenci na ulicy. Domyślała się, jak to zaplanowali: chudy miał czekać tu, w samochodzie, i w razie gdyby wyjechała z parkingu, podążać dyskretnie tuż za nią.

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego to robicie?

Posłał jej wyzywające spojrzenie.

– Janson wie. Jego spytaj. – Splunął z odrazą. – Pamiętamy o Mesa Grande.

– O Chryste! Coś mi mówi, że nie mamy teraz czasu na te bzdety. Ale powiem ci, co zrobisz. Wsiądziesz do samochodu i wywieziesz mnie stąd.

– Do samochodu?

– A co, nie ma kół? Skoro nie prowadzisz, niepotrzebne ci oczy, prawda? – Znow przyłożyła mu lufę do oka.

– Niebieski renault – sapnął. – Przestań, proszę.

Jessie usiadła na tylnym siedzeniu, mężczyzna w fotelu kierowcy. Pochyliła się nisko, tak by nikt jej nie widział, ale wciąż celowała w jeńca z małej beretty. Wiedział, że jeśli dziewczyna wystrzeli, kula przeżyje fotel, i posłusznie wykonywał jej polecenia. Zjechali po krętej rampie do przeszklonej budki, gdzie wyjazd blokowała pomalowana na pomarańczowo barierka.

– Jedź! – krzyknęła. – Jedź, do cholery!

Samochód staranował wiotką, drewnianą barierkę i wyjechał na ulicę. Biegło za nimi dwóch mężczyzn.

W lusterku wstecznym Jessie rozpoznała jednego z nich – ostrzyżonego na jeża, z kwadratową szczęką – opis się zgadzał. Najwyraźniej czekał na drugim końcu ulicy. Gdy wóz przemknął obok niego w przeciwnym kierunku, szybko powiedział coś do nadajnika.

Nagle przednią szybę pojazdu roztrzaskał pocisk. Samochodem zaczęło rzucać na boki. Jessie wyjrzała spomiędzy foteli i spostrzegła krzepkiego blondyna z długolufowym rewolwerem. Właśnie oddał dwa strzały.

Amerikanin za kierownicą już nie żył – widziała wyraźnie ranę wylotową z tyłu czaszki. Najwidoczniej zorientowali się, że ich plan

spalił na panewce – że wzięła chudego jako zakładnika – i podjęli radykalne środki.

Samochód, pozbawiony kierowcy, wjechał na ruchliwe skrzyżowanie, blokując wszystkie pasy jezdni. Zatrąbiły wściekle klaksony, zapiszczały hamulce.

Traktor z przyczepą, trąbiąc głośno jak syrena okrętowa, o mało nie rozjechał pechowego auta.

Skulona za fotelami, Jessie mogła uciepieć w wyniku zderzenia. Ale gdyby wgramoliła się na miejsce kierowcy i przejęła kontrolę nad kierownicą, ryzykowała postrzał.

Kilka sekund później samochód stopniowo zwolnił, zjechał ze skrzyżowania, odblokowując jezdnię, i łagodnie zderzył się z zaparkowanym pojazdem. Jessie prawie ulżyło, kiedy rzuciło nią o tylne siedzenie, ponieważ oznaczało to, że jej wóz się zatrzymał. Otworzyła drzwi od strony ulicy i pobiegła przed siebie chodnikiem, lawirując wśród przechodniów.

Po kwadransie była już całkiem pewna, że ją zgubili. Jednakże wymóg przeżycia kłócił się z wymogami śledztwa: tak, zgubili ją, ale też – jak uświadomiła sobie ze ściśniętym sercem – ona zgubiła ich.

• • •

Ponownie spotkali się z Jansonem w surowym apartamencie hotelu Griff – dawnym hotelu robotniczym na ulicy Beli Bartóka.

Jessie przyniosła ze sobą książkę, którą kupiła po drodze – wydaną najwyraźniej w hołdzie Peterowi Novakowi. Węgierskiego tekstu było w niej niewiele, przeważały zdjęcia. Janson zerknął na wydawnictwo i wzruszył ramionami.

– Coś dla zagorzałych fanów – stwierdził. – Album na półkę. Co

znalazłaś w Archiwum?

– Ślepą uliczkę.

Przyjrzał się uważnie jej zalęknionej twarzy, na której wykwitły czerwone plamki.

– Mów – rozkazał.

Jessie z pewnym wahaniem opowiedziała mu, co się wydarzyło. Było jasne, że urzędnik z Archiwum pracował dla kogoś, kto za wszelką cenę próbował ich powstrzymać – wszczął alarm i zastawił na nią pułapkę.

Janson słuchał jej z rosnącym niepokojem, graniczącym z wściekłością.

– Dlaczego poszłaś tam sama? – zapytał, siłąc się na opanowanie. – Takie spotkanie... Wiedziałaś, co ci grozi. Musimy uzgadniać takie rzeczy, Jessie. To było cholernie lekkomyślne z twojej strony... – Urwał, żeby złapać oddech.

Jessie pociągnęła się za ucho.

– Czyżbym słyszała echo?

Janson westchnął.

– Masz rację.

Odczekała chwilę, zanim spytała:

– Co to jest Mesa Grande?

– Mesa Grande – powtórzył. Przed oczami stanęły mu obrazy, których czas nie zatarł.

Mesa Grande: więzienie wojskowe o zaostrozonym rygorze na wschodnim pogórzu Inland Empire w Kalifornii. Widoczne na horyzoncie białe szczyty gór San Bernardino, przy których małe, niskie, beżowe budynki wydawały się jeszcze mniejsze. Ciemnoniebieski strój więźnia i przypięty na rzep okrągły skrawek

białego materiału na piersi. Specjalne krzesło z miską przeznaczoną na spływającą krew; pasy przytrzymujące głowę, związane luźno na szyi skazańca. Za krzesłem sterta worków z piaskiem – miały tłumić huk salwy i zapobiec rykoszetom. Demarest siedział przodem do oddalonego o sześć metrów muru – muru, w którym pozostawiono otwory strzelnicze dla wszystkich sześciu członków plutonu egzekucyjnego. Sześciu mężczyzn z karabinami. Demarest nie chciał się zgodzić, żeby strzelali zza muru. Chciał widzieć twarze swoich katów, tego jednak mu odmówiono.

Janson wziął głęboki oddech.

– Mesa Grande to miejsce, gdzie pewien bardzo zły człowiek bardzo źle skończył.

Źle, ale i bezczelnie. Twarz Demaresta wyrażała lekceważenie, a nawet gniewne oburzenie – aż do chwili, gdy rozbrzmiała salwa i białe kółko z materiału poczerwieniało od jego krwi.

Janson prosił, by pozwolono mu być świadkiem egzekucji – z powodów niejasnych nawet dla niego samego. Pozwolenia udzielono mu niechętnie. Do dziś dnia nie wiedział, czy podjął słuszną decyzję. Teraz to już nie miało znaczenia: Mesa Grande była częścią tego, kim kiedyś był. Kim się stał.

Dla niego tamta chwila oznaczała zemstę. Triumf sprawiedliwości. Dla innych, jak się okazało, oznaczała coś zupełnie innego.

Mesa Grande.

Czyżby oddani zwolennicy potwora skrzyknęli się i postanowili pomścić jego śmierć – po tylu latach? Niedorzeczne, ale nie niemożliwe. Diabły Demaresta: być może właśnie ci najemnicy pracowali teraz dla wrogów Novaka. Ucznia Demaresta mogli pokonać tylko inni jego uczniowie.

To zakrawało na jakiś obłąd.

Wiedział, że Jessie chciałyby usłyszeć więcej, jednak nie potrafił teraz o tym mówić.

– Jutro ruszamy z samego rana – rzekł tylko. – Prześpij się trochę.

A kiedy położyła mu dłoń na ramieniu, odsunął się.

Kładąc się spać, czuł, że znów dopadają go złe duchy, których nigdy nie udało mu się udobruchać.

Za życia Demarest odebrał mu przeszłość. Czy teraz, po śmierci, odbierze mu przyszłość?

Rozdział 24

To było trzydzieści lat temu, a jakby teraz. W odległej dżungli, a jakby tutaj.

Znajome dźwięki: ogień z moździerzy, tym razem odległy, stłumiony, bo szlak zaprowadził ich wiele kilometrów od strefy regularnych działań wojennych. Bzyczenie komarów i innych żądających owadów wydawało się tu głośniejsze od wybuchów ciężkiej artylerii. Na ziemi roiło się od pułapek – zaostrzonych pali bambusowych, które partyzanci Wietkongu umieszczali w małych, zamaskowanych dziurach w ziemi, czekając na czyjś nieostrożny krok.

Janson zerknął na kompas, żeby upewnić się, że idą w dobrym kierunku. W gęstej, trzypiętrowej dżungli ziemia zawsze tonęła w półmroku, nawet gdy świeciło słońce. Sześciu mężczyzn z jego patrolu szło parami w dość dużych odstępach – zbici w gromadę na terytorium wroga byłiby bardziej narażeni na niebezpieczeństwo. Tylko Janson nie miał partnera.

– Maguire? – syknął cicho przez radio.

Nie usłyszał odpowiedzi. Powietrze przeszył trzask ognia z broni automatycznej i grzechot strzałów z kilku radzieckich karabinków.

Po chwili dobiegły go krzyki – krzyki jego ludzi – i szczekliwe komendy członków patrolu wroga. Sięgał właśnie po M16, kiedy poczuł uderzenie w głowę. A potem nie czuł już nic.

Znalazł się na dnie głębokiego, czarnego jeziora. Dryfował powoli w mule, jak karp, i mógłby tam zostać na zawsze, spowity mętną czernią, spokojny, prawie nieruchomy, ale coś zaczęło ciągnąć go ku powierzchni, z dala od bezpiecznego, niemego, podwodnego świata. Światło raziło go w oczy, piekło skórę, próbował znów opaść na dno, lecz przemożna siła wyciągała go z wody jak bosak. Otworzył oczy, i zobaczył nad sobą inną parę oczu, jak dwie lufy, i wiedział, że ten wodny świat przegrał ze światem bólu.

Spróbował usiąść, bez skutku – może okazał się zbyt słaby. Ponowił próbę i zdał sobie sprawę, że jest skrupowany, przywiązany do noszy z szorstkiego płótna rozciągniętego między dwiema tyczkami. Nie miał na sobie spodni ani bluzy. Kręciło mu się w głowie i ledwo cokolwiek widział. Rozpoznawał u siebie typowe objawy urazu głowy i wiedział, że nic nie może na to poradzić.

Usłyszał ostrą wymianę zdań – po wietnamsku. Wpatrywał się w niego oficer z Armii Północnego Wietnamu, czy też z partyzantki Wietkongu. Pojmali go, co do tego nie było wątpliwości. Z pewnej oddali dobiegał zakłócony dźwięk krótkofalówki, przypominający rozstrojone skrzypce – dźwięk nasilał się i słabł, ale nie, to nie dźwięk, to jego świadomość, na zmianę tracił i odzyskiwał przytomność. Zaschło mu w gardle. Ubrany na czarno żołnierz przyniósł mu kleik ryżowy i karmił go łyżeczką. Janson, na swój absurdalny sposób, poczuł wobec niego wdzięczność. Jednocześnie dotarło do niego, że jest dla nich cennym nabytkiem, potencjalnym źródłem informacji. Ich zadaniem było wydobyć ich od niego jak najwięcej, jego zadaniem – nie powiedzieć nic i przeżyć. Wiedział, że prowadzący przesłuchanie amatorzy czasem zdradzają więcej, niż się dowiadują. Musiał tylko maksymalnie się skupić... kiedy tylko będzie

w stanie. Jeśli będzie w stanie.

Grudka ryżu utknęła mu w gardle. Nie, to był chrząszcz, który wpadł do ciastowatej brei. Po twarzy karmiącego go żołnierza przemknął uśmiech. Swoje upokorzenie – w końcu usługiwał jankesowi – mógł sobie zrekompensować jego upokorzeniem – karmiąc go robakami. Ale Jansonowi było wszystko jedno.

– *Xin loi* – powiedział żołnierz, co zabrzmiało wyjątkowo okrutnie. Ten jeden z niewielu zwrotów Janson rozumiał: „Tak mi przykro”.

Xin loi. Tak mi przykro. Kwintesencja tej wojny. Zrównaliśmy z ziemią waszą wioskę? Przykro nam, chcieliśmy ją uratować. Zrzuciliśmy napalm na twoją rodzinę? Przykro nam. Torturowaliśmy jeńców wojennych? Przykro nam. Bardzo nam przykro. Zgrabne powiedzonko, w sam raz na każdą okazję. Nikomu nigdy nie było przykro. Świat wiele by zyskał, gdyby komuś rzeczywiście było przykro.

Gdzie w ogóle się znalazł? W wietnamskiej chacie? Nagle obwiązano mu głowę tłustą szmatą. Oswobodzili go z pęt i poprowadzili w dół – ale nie w głąb jeziora, w którym spoczywał bezpiecznie, lecz do tunelu biegnącego pod płytko wrośniętymi w miękką ziemię korzeniami drzew. Ciągnęli go za sobą w nieskończoność, aż zaczął się czołgać, żeby nie ocierać sobie pleców. Tunel skręcał gwałtownie, to w tę, to w tamtą stronę, wznosił się i opadał, krzyżował się z innymi. Rozbrzmiewały w nim głosy, z bliska, to znów z daleka, w powietrzu czuć było smołę, naftę i smród niemytych męskich ciał. Gdy znów usłyszał symfonię owadów, domyślił się, że z labiryntu tuneli wyprowadzono go na powierzchnię. Ktoś ponownie go skrepował, posadził na krześle i zdjął z głowy szmatę. Wciągnął w nozdrza duszne powietrze. Szorstka lina

konopna, taka, jakich używano do wiązania łodzi przy bambusowych pomostach, wrzynała mu się w kostki i nadgarstki. Nad odsłoniętym ciałem, pełnym drobnych otarć i zadrapań, unosiły się chmary owadów. Slipy i podkoszulek – jedyne ubranie, jakie miał teraz na sobie – pokrywała skorupa brudu.

Podszedł do niego grubokościsty mężczyzna w okularach w stalowej oprawce. Jego oczy za szklami wydawały się nienaturalnie małe.

– Gdzie... inni? – spytał Janson, z trudem wydobywając głos.

– Członkowie twojego szwadronu śmierci? Nie żyją. Tylko ty bezpieczny.

– Wietkong?

– To nie jest właściwe określenie. Reprezentujemy Komitet Centralny Frontu Wyzwolenia Narodowego.

– Frontu Wyzwolenia Narodowego – powtórzył Janson przez spierzchnięte usta.

– Dlaczego nie masz identyfikatora?

Wzruszył ramionami i natychmiast został uderzony w kark bambusowym kijem.

– Widocznie zgubiłem.

Za przesłuchującym go, nachmurzonym mężczyzną z każdej strony stał strażnik, uzbrojony w karabin AK-47 i bandolier. Pod pasem amunicyjnym zwisały makarowy kalibru dziewięć milimetrów. Jeden ze strażników miał jeszcze nóż bojowy Navy SEALs ze lśniącym, piętnastocentymetrowym ostrzem. Janson rozpoznał rysy na rękojeści: to był jego nóż.

– Kłamiesz! – zawołał mężczyzna. Rzucił znaczące spojrzenie strażnikowi, który stał za plecami jeńca. Janson nie widział go, ale

czuł odór i ciepło jego ciała, nagrzanego upalnym, wilgotnym powietrzem. Dostał druzgocący cios w bok, zapewne lufą karabinu. Przeszył go ostry ból.

Musiał się skupić – nie na przesłuchaniu, lecz na czymś innym. Przez bambusowe pręty chaty dojrzał duże, płaskie liście, ociekające wodą. Był więc liściem. Cokolwiek spadnie na niego, spłynie jak krople wody.

– Wiemy o specjalnych żołnierzach, którzy nie noszą identyfikatorów.

– Specjalnych? – Janson pokręcił głową. – Nie. Zgubiłem. Zaczepiłem o krzak, kiedy pełziłem na brzuchu po waszych ścieżkach.

Mężczyzna był poirytowany. Przysunął krzesło bliżej Jansona i nachylił się do niego. Poklepał go po lewym i prawym przedramieniu.

– Wybieraj – rozkazał. – Która?

– Która co? – spytał Janson nieprzytomnie.

– Brak decyzji to także decyzja – stwierdził ponuro Wietnamczyk. Zerknął na strażnika za plecami Jansona i powiedział coś po wietnamsku. – Złamiemy ci prawą rękę – oznajmił niemal troskliwie.

Uderzenie kolbą karabinu miało siłę dwuręcznego młota. Łokieć i nadgarstek Jansona opierały się na bambusowym krześle i jedna z dwóch kości przedramienia pękła jak sucha gałązka, z cichym chrzęstem, który Janson bardziej poczuł, niż usłyszał. Potworny ból zaparł mu dech w piersiach.

Poruszył palcami – nadal miał w nich czucie. Kość pękła, ale nerw nie został uszkodzony. Mimo to ręka stała się niesprawna.

Odgłos metalu trącego o metal zapowiadał kolejną torturę. W obejmę żelaznych kajdan na kostkach wsunięto

pięciocentymetrową sztabę. Następnie niewidoczny oprawca obwiązał ją sznurem, zarzucił mu pętlę na ramiona i pociągnął za głowę, podczas gdy ręce były wciąż przywiązane do krzesła. Przeszywający ból w naciągniętych ramionach dorównywał temu w złamanym przedramieniu.

Czekał na następne pytanie. Mijały minuty, ale wokół panowała cisza. Półmrok zastąpiła ciemność. Oddychał z coraz większym trudem z powodu napiętej przepony. Miał wrażenie, że na ramionach powoli, bez końca zaciska się imadło. Zemdlał, znów odzyskał świadomość, lecz była to jedynie świadomość bólu. Na zewnątrz zrobiło się jasno. Ranek? Popołudnie? Został sam. Później, półprzytomny, zarejestrował, że ktoś rozluźnił więzy i wlewał mu do ust bambusowy kleik. Ktoś przeciął mu slipy i ustawił pod krzesłem zardzewiałe wiadro. Potem znów zaciśnięto pętlę. Wydawało mu się, że ręce za chwilę wyłamią się ze stawów. Powtarzał sobie jak mantrę: czysty jak woda, chłodny jak lód. Mimo piekącego bólu pomyślał o letnich wakacjach na Alasce, gdzie w dzieciństwie łowił ryby pod lodem. O wielkich, płaskich liściach, z których ściekały szmaragdowe krople wody, znikając bez śladu. Jeszcze później unieruchomiono mu złamaną rękę za pomocą dwóch deszczulek i sznurka.

Z mroków świadomości powróciły do niego słowa Emersona tak często cytowane przez Demaresta: „Siedząc na miękkich poduszkach korzyści i przywilejów, szybko usypia. Ale zmuszony do działania, torturowany i pokonany, ma okazję, żeby nauczyć się czegoś o sobie”.

Minął kolejny dzień. I następny. I jeszcze jeden.

Kurczyły mu się wnętrzności: od kleików, w których roiło się od much, dostał dyzenterii. Rozpaczliwie próbował się wypróżnić, w nadziei, że w ten sposób uwolni się od męczarni skręcających mu

żołądek, ale jelita nawet nie drgnęły – łakomie żywiły się bólem, niczym wróg wewnętrzny.

Był ranek lub może wieczór, gdy usłyszał, jak ktoś mówi po angielsku. Poluzowano mu więzy i znów pozwolono mu usiąść prosto, co wcześniej sprawiało mu niewypowiedziany ból.

– Lepiej? Mam nadzieję, że tak.

Nowy śledczy. Mężczyzna, którego nie widział nigdy przedtem. Drobny, z bystrym, przenikliwym spojrzeniem. Po angielsku mówił płynnie, choć z lekko szeleszczącym akcentem. Z pewnością był człowiekiem wykształconym.

– Wiemy, że nie jesteś imperialistycznym agresorem – powiedział. – Jesteś zwykłym naiwniakiem, który dał się wykorzystać imperialistycznym agresorom.

Mężczyzna podszedł bardzo blisko. Janson zdawał sobie sprawę, że śmierdzi w sposób odrażający – nawet dla siebie samego – ale Wietnamczyk nawet nie mrugnął. Dotknął jego zarośniętego policzka. – Ale okazujesz brak szacunku, traktując nas jak naiwniaków – dodał cicho. – Rozumiesz?

Tak, był wykształconym człowiekiem, a Janson miał się stać obiektem jego badań. Zaniepokoił go ten nieoczekiwany obrót sprawy: wskazywał, że znali jego tożsamość. Wiedzieli, że nie jest zwykłym żołnierzem.

Paul przesunął językiem po zębach, pokrytych grubym osadem i obcych, jakby w ich miejsce wstawiono sztuczne szczęki wyrzeźbione z drewna na tratwy. Pokiwał głową w odpowiedzi.

– Zastanów się. Jak to możliwe, że zostałeś pojmany?

Wietnamczyk obszedł go dookoła, jakby był nauczycielem w klasie.

– Widzisz, w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobni. Obaj

pracujemy w wywiadzie. Ty mężnie służyłeś swojej sprawie. Mam nadzieję ci dorównać.

Janson znów skinął głową. Przewrotna myśl przemknęła mu przez głowę: w jakim obłąkańczym planie torturowanie bezbronno jeńca uchodzi za męstwo? Jednak szybko odpędził tę myśl, teraz nic z niej nie wynikało. Musiał zachować spokój, nie prowokować. Czysty jak woda, chłodny jak lód.

– Nazywam się Phan Nguyen i całkiem serio uważam, że dla nas obu to zaszczyt, że możemy się poznać. Jesteś...

– Szeregowy Kevin Jones – rzucił szybko Janson. W chwilach przytomności umysłu stworzył tej wymyślonej postaci cały życiorys: piechur z Nebraski, po ogólniaku miał trochę kłopotów z prawem, w kraju zostawił narzeczoną w ciąży, jego brygada zgubiła się w dżungli i nie znalazł jej w miejscu zbiórki... Momentami Kevin Jones wydawał mu się całkiem realny, chociaż na jego postać składały się urywki popularnych książek, filmów, artykułów, programów telewizyjnych. Z tysiąca amerykańskich opowieści stworzył bohatera prawdziwszego niż niejedna prawdziwie amerykańska opowieść. – Piechota Stanów Zjednoczonych.

Drobny mężczyzna oblał się rumieńcem i trzepnął go w ucho.

– Poruczniku Janson – rzekł. – Proszę nie przekreślać swoich dotychczasowych dokonań.

Skąd znali jego nazwisko i stopień?

– Wszystko nam powiedziałeś – oznajmił Phan Nguyen. – Wszystko. Nie pamiętasz? Byłeś w malignie, tak myślę. To często się zdarza.

Niemożliwe. Na chwilę spotkali się wzrokiem, potwierdzając swoje przypuszczenia. Obaj kłamali. Janson dotąd nie wyjawiał im niczego. Ale sądząc po jego reakcji, Nguyen wiedział, że nie pomylił się co do

jego tożsamości.

Janson nie miał nic do stracenia.

– Teraz to ty kłamiesz – warknął. Został uderzony bambusowym kijem, ale tym razem bardziej na pokaz, potrafił już to ocenić.

– Właściwie moglibyśmy zostać kolegami, tak myślę. Dobrze mówię? Kolegami? Tak myślę. – Phan Nguyen chyba często nadużywał tego zwrotu: „tak myślę”. Zawsze wtedy, gdy nie oczekiwał odpowiedzi na swoje pytania. – Porozmawiajmy szczerze, jak koledzy. Porzucisz swoje kłamstwa i bajeczki... bez bólu. – Najwyraźniej był zadowolony, że udała mu się ta gra słów. – Wiem, że jesteś dzielnym mężczyzną. Wytrzymałem na cierpienie. W ramach eksperymentu sprawdzilibyśmy twoją wytrzymałość. Co ty na to?

Janson pokręcił głową. Skręcało mu wewnątrz. Nagle zbladł i zwymiotował na ubitą ziemię. Wymiociny wyglądały jak fusy z kawy – kliniczny objaw krwotoku z przewodu pokarmowego.

– Nie? No dobrze, może nie teraz. Nie będę nalegał. Ale przemyśl to sobie. – Phan Nguyen usiadł na krześle i przyjrzał mu się bystrymi oczami. – Pomyśl, czemu zostałeś pojmany. Wiedzieliśmy, gdzie was szukać. Czy to nie dziwne? Czekaliśmy na was.

Jeniec znów poczuł mdłości. Nguyen mówił prawdę. Prawdę, którą tak trudno było przełknąć.

– Twierdzisz, że nie zdradziłeś mi swojej tożsamości. Powstaje zatem pytanie: jeśli nie ty, to kto? Jak to możliwe, że zaskoczyliśmy twój patrol, a wraz z nim legendarnego oficera kontrwywiadu z legendarnych Navy SEALs?

Faktycznie, jak to możliwe? Istniała tylko jedna odpowiedź: komandor podporucznik Alan Demarest wyjawiał ich pozycję Armii Północnego Wietnamu, czy też partyzantom Wietkongu. Był zbyt

ostrożny, żeby zrobić to przypadkowo. Nie, musiał „niechcący” przekazać informację, „przypadkiem” umieszczoną w dokumentach pozostawionych w bazie, którą opuszczał w pośpiechu, ratując się przed atakiem wroga. Szczegóły zapewne zostały wysłane przez radio. Demarest chciał – nie, musiał – szybko pozbyć się Jansona i zadbał o to. Wysłał go na misję z góry skazaną na niepowodzenie. Tak, to był podstęp, a komandor podporucznik był mistrzem podstępu.

Demarest zastawił na niego pułapkę.

Teraz zapewne siedział przy biurku, wsłuchany w chorał Hildegardy z Bingen, podczas gdy Janson, przywiązany do stołka w obozie jenieckim Wietkongu, z ropiejącymi ranami, z kłębowskiem myśli – dopiero rozpoczynał swoją mękę.

– Cóż – powiedział Phan Nguyen. – Zgodzisz się, że nasz wywiad jest lepszy. Wiemy o waszych operacjach tak dużo, że twoje milczenie nie ma sensu. To tak, jakbyś pozbawił ocean kropli wody. Tak myślę.
– Na chwilę wyszedł, zamienił parę słów ze strażnikami, po czym wrócił i znów usiadł na krześle.

Janson przyjrzał się jego stopom, które nawet nie dosięgały ziemi. Były zaskakująco drobne, jak u dziecka, ale obute w porządne, amerykańskie, sznurowane półbuty.

– Pogódź się z tym, że nigdy nie wrócisz do Stanów. Wkrótce opowiem ci historię Wietnamu, począwszy od Trung Trac i Trung Nhi, królowych, które panowały wspólnie i w trzydziestym dziewiątym roku wyparły z naszych ziem Chińczyków. W trzydziestym dziewiątym, wyobrażasz sobie? Zanim jeszcze nastał Ho, władzę sprawowały siostry Trung. Gdzie wtedy była Ameryka? Z czasem zrozumiesz daremność wysiłków waszego rządu chcącego stłumić narodowe aspiracje Wietnamczyków. Musisz się sporo

nauczyć i będziesz miał dobrych nauczycieli. Ale musisz też sporo nam opowiedzieć. Zgoda?

Janson milczał.

Na znak mężczyzny strażnik zadał mu cios kolbą w lewy bok. Znow przeszył go dojmujący ból.

– Zaczniemy od czegoś prostszego i stopniowo przejdziemy do bardziej skomplikowanych zagadnień. Porozmawiajmy o tobie. O twoich rodzicach i ich roli w systemie kapitalistycznym.

O twoim dzieciństwie. O amerykańskiej kulturze masowej.

Janson usłyszał zgrzyt metalu – znow pojawiła się gruba żelazna sztaba.

– Nie! – krzyknął. – Nie!

I zaczął mówić. O programach telewizyjnych i filmach wyświetlanych w kinach. PhanNguyena ciekawiło zwłaszcza, co uznaje się za „happy end” i czy zdarzają się inne zakończenia. Janson opowiedział mu o swoim dzieciństwie w Connecticut, o ojcu – pracowniku firmy ubezpieczeniowej. Pojęcie ubezpieczenia bardzo zaintrygowało Wietnamczyka, który z istic naukową pasją wypytywał jeńca o szczegóły, i niczym Konfucjusz drążył znaczenie terminów takich jak „ryzyko” i „odpowiedzialność cywilna”. Równie dobrze Janson mógłby opowiadać komuś zafascynowanemu antropologią o rytuale obrzezania Trobriandczyków.

– Twój ojciec miał dobre życie?

– Był zadowolony. Dobrze zarabiał. Dorobił się ładnego domu, samochodu. Mógł kupić wszystko, co mu się zamarzyło.

Phan Nguyen rozparł się na krześle. Na jego szerokiej, ogorzałej twarzy malował się wyraz zdziwienia i niedowierzania.

– I to nadaje sens waszemu życiu? – spytał. Skrzyżował na piersi

szczupłe, dziecięce ramiona i przekrzywił głowę. – Hm? To nadaje sens waszemu życiu?

Przesłuchanie ciągnęło się bez końca, przy czym Nguyen nie nazywał siebie śledczym, lecz „nauczycielem”. Z każdym dniem Jansonowi pozwalano na więcej ruchu. Mógł spacerować wokół bambusowej chaty, chociaż zawsze pod czujnym okiem strażnika. Pewnego dnia, po niemal przyjacielskiej dyskusji na temat amerykańskiego sportu (Nguyen stwierdził, jakby to było oczywiste, że w społeczeństwie kapitalistycznym walka klas znajduje swoje odzwierciedlenie na boisku) Janson dostał do podpisania jakiś dokument. Napisano w nim, że miał zapewnioną dobrą opiekę medyczną i był dobrze traktowany przez Front Wyzwolenia Narodowego, reprezentujący bojowników o wolność, pokój i demokrację, którzy niniejszym wzywają Stany Zjednoczone do zaprzestania imperialistycznych wojen. Jansonowi wręczono pióro – eleganckie, francuskie pióro wieczne z czasów kolonialnych. A kiedy odmówił podpisania dokumentu, został pobity do nieprzytomności.

Ocknął się skuty łańcuchem w bambusowej klatce, wysokiej na metr osiemdziesiąt i szerokiej na metr dwadzieścia. Nie mógł się wyprostować. Nie mógł usiąść. Nie mógł w ogóle się ruszyć.

I nie miał nic do roboty. Strażnik z kamienną twarzą wstawił do klatki kubeł słonawej wody, pełen sierści wołu i martwych owadów. Janson czuł się niczym ptak w klatce, który czeka na porę karmienia.

I domyślał się, że będzie czekał bardzo długo.

– *Xin loi* – powiedział z drwiną strażnik.

Tak mi przykro.

Rozdział 25

Molnar. Wioska wymazana z mapy przez historię.

Molnar. To tu wszystko się zaczęło.

Ich ostatnia nadzieja na odnalezienie istotnych informacji na temat przeszłości Petera Novaka. Na rozwikłanie tajemnicy, rozplątanie sieci kłamstw.

Ale czy coś tam w ogóle zostało?

Trasa, którą obrali, omijała większe miasta i autostrady. Wynajęta lancia jęczała i podskakiwała na bocznych drogach wzgórz Bükk w północno-wschodnich Węgrzech. Jessie pograżyła się w myślach.

– Ci faceci wczoraj... – powiedziała. – Sposób, w jaki to wszystko zaaranżowali...

– Wariant trójkątny? Tak to się robi, kiedy do dyspozycji jest troje ludzi. Obserwacja i blokada. Podręcznikowa sytuacja.

– No właśnie. Wprost z naszego podręcznika.

Janson milczał przez chwilę.

– Ludzie z Wydziału – stwierdził w końcu.

– Dokładnie. A ten gość z blond włosami...

– Przewidział twój ruch i odpowiednio zareagował...

– No właśnie.

– Cóż, postąpił rozsądnie, z taktycznego punktu widzenia. Miał zlikwidować ciebie albo zakładnika. Prawie mu się udało zlikwidować was oboje. Zabił kolegę, bo nie mógł ryzykować, że operacja zostanie

ujawniona.

– Wiesz co? Zaczynam się bać – stwierdziła Jessie. – Wygląda na to, że Wydział chce sprzątnąć nas oboje. Albo może to wszystko jest bardziej skomplikowane. Jak powiedział ten dupek z archiwum: ogień i woda. Niby przeciwieństwa, ale wspólnie zniszczyły dokumenty.

Teren wokół nich był coraz bardziej pagórkowaty. Kiedy z horyzontu zniknęły nawet komunistyczne blokowiska, wiedzieli, że zbliżają się do celu. Molnar leżało nieopodal rzeki Tisza, między Miskolcem a Nyiregyhaza. Sto kilometrów na północ zaczynała się Słowacja, sto kilometrów na wschód – Ukraina, a na południe od niej – Rumunia. Swego czasu wszystkie te kraje zdradzały mocarstwowe zapędy niczym geopolityczni drapieżcy. Góry decydowały o biegu rzeki, ale też wyznaczały szlaki wrogim armiom, maszerującym od wschodu w głąb Węgier. Przepiękny krajobraz znaczyły szmaragdowe pagórki na tle niskich, niebieskawych gór. Tu i ówdzie strzelał w niebo wyniosły szczyt. Na tarasowych zboczach rosły winnice, wyższe wzniesienia porastał bury las. Jednak to piękno zostało zeszpecone w sposób bardziej lub mniej widoczny.

Przejechali przez most nad Tiszą – most, który niegdyś łączył dwie połowy wioski Molnar.

– Niesamowite – rzekła Jessie. – Naprawdę zniknęła. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– To, co się tu wydarzyło, miało niewiele wspólnego z magią – odrzekł Janson.

Pewnego zimowego dnia w 1945 roku Armia Czerwona zeszła z gór. Jeden z hitlerowskich batalionów przygotował zasadzkę. Kiedy radziecka artyleria posuwała się drogą wzdłuż rzeki, żołnierze niemieccy i strzałokrzyżowcy próbowali ją zatrzymać. Nie udało im

się, ale wielu czerwonoarmistów zginęło. Rosjanie sądzili, że mieszkańcy Molnar wiedzieli o zasadzce. Węgrzy musieli dostać nauczkę. Zapłacić krwią. Wioskę puszczono z dymem, mieszkańców wymordowano.

Kiedy Jessie przeglądała mapy regionu, odkryła, że w miejscu, gdzie na przedwojennych mapach widniała wioska, we współczesnych atlasach nie było zupełnie nic. Ślęczała nad gęsto zadrukowanymi stronicami z lupą jubilerską i linijką kreślarską – nie mogła się mylić. Ta pustka krzyczała głośniejszą niż jakakolwiek obecność.

Zatrzymali się w przydrożnej tawernie. Przy długim, pokrytym miedzianą blachą barze siedzieli dwaj mężczyźni, zapatrzeni w kufle piwa. Byli ubrani po wiejsku, w obszarpane brunatne koszule i stare niebieskie spodnie – radziecką wersję dżinsów. Żaden nie podniósł głowy, gdy Janson i Kincaid weszli do środka. Barman bez słowa powiódł za nimi wzrokiem. Miał na sobie biały fartuch i wycierał szklanki szarą ścierką. Rzednące na skroniach włosy i ciemne sińce pod oczami dodawały mu lat.

Janson uśmiechnął się.

– Mówi pan po angielsku? – spytał.

Mężczyzna skinął głową.

– Bo widzi pan, zwiedzamy z żoną okolicę, a przy okazji szukamy korzeni. Rozumie pan?

– Pana rodzina pochodzi z Węgier? – Barman faktycznie mówił po angielsku, z silnym akcentem, lecz poprawnie.

– Moja nie, żony – odparł Janson.

Jessie uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– W prostej linii – dodała.

– Naprawdę?

– Jak głosi rodzinna legenda, jej dziadkowie urodzili się w wiosce Molnar.

– Tej wioski już nie ma – rzekł barman. Janson zauważył, że jest młodszy, niż mu się zdawało na pierwszy rzut oka. – A jak się nazywali?

– Kis.

– Na Węgrzech Kis to jak u was Jones. Szukacie igły w stogu siana. Przemawiał chłodnym, oficjalnym tonem, pełnym rezerwy, i w niczym nie przypominał właściciela wiejskiej gospody. Janson spostrzegł na białym fartuchu ciemny poziomy pasek w miejscu, gdzie mężczyzna brzuchem opierał się o krawędź baru.

– Może ktoś tu pamięta dawne czasy? – zaryzykowała Jessie.

– Kto miałby pamiętać? – zapytał barman grzecznie, choć wyzywająco.

– Któryś z tych panów.?

Mężczyzna skinął głową w stronę jednego z nich.

– Ten? Nawet nie jest Węgrem, to Palóc. Posługuje się bardzo starym dialektem, czasem w ogóle go nie rozumiem. Wie, o co chodzi, kiedy mówię „pieniądze”, a ja wiem, kiedy mówi „piwo”. Jakoś się dogadujemy. Ale nie liczyłbym na więcej. – Gestem wskazał na drugiego z gości. – A ten to Rusin. – Wzruszył ramionami. – Co tu gadać. Forinty ma takie same jak wszyscy.

Było jasne, że barman traktuje tego gościa z pogardliwą wyższością.

– Rozumiem. – Janson zastanawiał się, czy mężczyzna zdradza mu sekrety lokalnej społeczności, czy też zamierza go zniechęcić do dalszej rozmowy. – Iw całej okolicy nie mieszka nikt, kto mógłby pamiętać stare dzieje?

Mężczyzna wytarł ścierką wnętrze kufła. Na szkle zostały szare

kłaczki.

– Stare dzieje? Przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym? Przed pięćdziesiątym szóstym? Czterdziestym czwartym? Tysiąc dziewięćset dwudziestym? To są stare dzieje. Mówią, że nastąpiła nowa era. Ale ja tu nie widzę nowości.

– Racja – stwierdził Janson poufałym tonem.

– Przyjechaliście z Ameryki? W Budapeszcie jest dużo wspaniałych muzeów. A na zachodzie mamy wioski turystyczne. Bardzo malownicze. W sam raz dla ludzi takich jak wy. Dla amerykańskich turystów. Tu nie ma czego zwiedzać. Nie ma widokówek. Amerykanie, z tego, co wiem, lubią widokówki.

– Nie wszyscy Amerykanie są tacy – oznajmił Janson.

– Tak, wszyscy myślą, że są inni – stwierdził barman kwaśno. – Przez co są bardzo do siebie podobni.

– To bardzo węgierskie spostrzeżenie – zauważył Janson. Barman uśmiechnął się półgębkiem i pokiwał głową.

– Tutejsi mieszkańcy zbyt dużo wycierpieli, żeby otwierać się przed innymi. Nie otwieramy się nawet sami przed sobą. Taka prawda. Kiedyś spędzaliśmy zimy przed kominkiem. Teraz – przed telewizorem.

– Telewizory zastąpiły kominki?

– Właśnie tak. Mamy CNN i MTV. Amerykanie walczą z handlem narkotykami w Azji. Ale co innego dajecie światu? Uzależnienie od elektroniki. Nasze dzieci znają nazwiska waszych gwiazd rapu i aktorów, ale nie mają pojęcia o węgierskich bohaterach narodowych. Wiedzą, kim jest Stephen King, ale nie wiedzą, kim był król Stefan, ojciec naszego narodu! – Pokręcił głową z rozdrażnieniem. – To taki wasz podbój w białych rękawiczkach.

Zamiast artylerii – satelity i przekaźniki. I po co tu przyjeżdżacie? Po co? Bo nudzi was jednostajność? Szukacie korzeni, żeby przydać nudnemu życiu nieco egzotyki? Przecież wszędzie znajdziecie to samo. Śluz węża wszędzie jest taki sam.

– Czy pan jest pijany? – spytała Jessie.

– Zrobiłem dyplom z anglistyki na uniwersytecie w Debreczynie – odparł. – Na jedno wychodzi. – Uśmiechnął się gorzko. – Zaskoczona? Syn karczmarza idzie na studia. Zdobyć komunizmu. Syn karczmarza po studiach nie może znaleźć pracy – zdobyć kapitalizmu. Syn pracuje u ojca – zdobyć węgierskiej tradycji rodzinnej.

Jessie odwróciła się do Jansona.

– Tam, skąd pochodzę – wyszeptała – mówią, że jeśli po kwadransie nie wiesz, kto przegrywa, to znaczy, że przegrywasz ty.

Janson zachował kamienną twarz.

– Tawerna należała do ojca?

– Nadal jest właścicielem.

– Może coś pamięta...

– Jasne. Pomarszczony Węgier, który żłopie brandy i przegląda stare zdjęcia jak w fotoplastikonie. Mój ojciec nie jest atrakcją turystyczną.

– Wie pan co? – przerwała mu Jessie. – Sama byłem kiedyś barmanką. W moim kraju ta praca wymaga uprzejmości. – Zaróżowiły jej się policzki. – Przykro mi, że z pana dyplomem nie znalazł pan lepszego zajęcia. I boleję nad tym, że pana dzieci wolą MTV od koncertów węgierskiej muzyki ludowej, ale...

– Kochanie – wtrącił Janson ostrzegawczym tonem. – Musimy już jechać. Robi się późno.

Ścisnął ją za ramię i poprowadził do wyjścia. Na płóciennym krzeselku przed tawerną siedział rozbawiony staruszek. Czy był tam, kiedy wchodzili do środka? Być może. Wtapiał się w pejzaż niczym zwyczajny, nijaki mebel.

Staruszek popukał się w głowę znaczącym gestem. Oczy mu się śmiały.

– Mój syn. Bardzo sfrustrowany – stwierdził ze spokojem. – Chcę mnie zrujnować. Widzieliście klientów? Palóc. Rusin. Przynajmniej nie rozumieją, co do nich mówi. Węgrzy już nie przychodzą do baru. Nie chcą płacić za wysłuchiwanie jego skarg. – Miał gładką, pozbawioną zmarszczek twarz. U niektórych ludzi skóra z wiekiem staje się cieńsza i bardziej delikatna. Dużą głowę przykrywały nieliczne siwe kosmyki, błękitne oczy zasnuwała mgła. Mężczyzna z uśmiechem kołysał się na krześle. – Co do jednego Gyorgy ma rację: tutejsi ludzie wiele wycierpieli. Dlatego nie są zbyt uprzejmi.

– Z wyjątkiem pana – zauważył Janson.

– Lubię Amerykanów – odparł staruszek.

– I jest pan bardzo miły – stwierdziła dziewczyna.

– Słowaków i Rumunów nie trawię. Tak samo Niemców i Rosjan.

– Pewnie ma pan powody – powiedziała ostrożnie Jessie.

– Nigdy nie obsługiwałem Rusinów, kiedy stałem za barem. – Zmarszczył nos. – Nie lubię ich. Są leniwi, bezczelni i wiecznie tylko narzekają.

– Ciekawe, co mówili o panu – zapytała Jessie, nachylając się do niego.

– Hm?

– Kiedy pan stał za barem, pewnie przychodziły tu tłumy. Dziewczęta musiały zajmować sobie kolejkę.

– A to czemu?

– Przystojniak z pana, ot co. Pewnie wciąż trudno panu opędzić się od wielbicielek. – Kincaid przyklękła obok staruszka, który rozpląnął się w uśmiechu, uradowany bliskością młodej, ładnej kobiety.

– Bardzo lubię Amerykanów – stwierdził. – Właściwie coraz bardziej.

– Amerykanie lubią pana. – Jessie wzięła go za rękę i ścisnęła ją delikatnie. – A zwłaszcza pewna Amerykanka.

Mężczyzna wciągnął w nozdrza zapach jej perfum.

– Pachniesz jak cesarski tokaj, moja droga.

– Założę się, że powtarza to pan wszystkim dziewczynom – odparła z nadąsaną miną.

Na chwilę przybrał srogi wyraz twarzy.

– Skądże znowu. – Znow rozpląnął się w uśmiechu. – Tylko tym najładniejszym.

– W swoim czasie znał pan na pewno najładniejsze dziewczyny z Molnar?

Pokręcił głową.

– Dorastałem w Sarospatak. Tu przeprowadziłem się dopiero w latach pięćdziesiątych. Już nie było Molnar. Tylko głązy, kamienie i drzewa. Widzisz, mój syn należy do pokolenia rozczarowanych: *csalódottak*. Ludzie tacy jak ja – którzy przeżyli Belę Kuna, Miklósa Horthyego, Ferencza Szalasięgo i Matyasa Rakosiego – potrafią być wdzięczni losowi. Nigdy nie mieliśmy wielkich oczekiwań, więc nie grozi nam wielkie rozczarowanie. Mój syn całymi dniami leje piwo Rusinom, ale czy ja narzekam?

– Naprawdę musimy już jechać – wtrącił Janson.

Jessie nie spuszczała wzroku ze staruszka.

– Wiem, wszystko się zmieniło. Ale czy nie mieszkał tu przypadkiem pewien baron, pewien węgierski arystokrata?

– Hrabia Ferenczi-Novak miał tu swoje ziemie. – Mężczyzna wskazał ręką górskie stoki.

– To musiał być piękny widok. Zamek i tak dalej.

– Kiedyś tak. – Staruszek chyba nie chciał się z nią rozstawać. – Zamek i tak dalej...

– O rety! Ciekawe, czy żyje jeszcze ktoś, kto znał tego hrabiego?

Milczał przez chwilę, zastygły w niemal buddyjskiej pozie.

– Cóż, jest pewna kobieta... Babcia Gitta. Gitta Békesi. Mówi po angielsku. Podobno uczyła się języków w dzieciństwie, kiedy pracowała w zamku. Tak to kiedyś było... Rosyjscy arystokraci mówili po francusku, węgierscy po angielsku... Każdy udaje, że jest kimś innym.

– Békesi? – upewniła się Jessie.

– Może to nie jest dobry pomysł. Ludzie mówią, że ona wciąż żyje przeszłością. Niewykluczone, że jest obłąkana. Ale to stuprocentowa Węgierka, czego nie da się powiedzieć o większości okolicznych mieszkańców. – Zaśmiał się ochryple. – Mieszka w starym wiejskim domu niedaleko stąd.

– Możemy jej wspomnieć, że to pan nas przysłał?

– Lepiej nie. Jeszcze by się na mnie pogniewała. Nie lubi obcych. – Znów się roześmiał. – Oględnie mówiąc!

Jessie spojrzała na niego smutno.

– W Ameryce mówimy, że nie ma obcych. Są tylko przyjaciele, których jeszcze nie poznaliśmy.

Syn karczmarza w białym fartuchu wyszedł na ganek. Na jego twarzy malowała się uraza.

– Amerykanie – westchnął ciężko. – Nikt nie potrafi się ludzi tak jak wy.

•••

Stary, piętrowy wiejski dom z cegły, zbudowany w połowie łagodnego stoku, nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród tysiąca podobnych w tej okolicy. Mógł mieć sto, dwieście, a nawet trzysta lat. Niewykluczone, że kiedyś zamieszkiwała w nim zamożna chłopska rodzina. Jednak z bliska było widać, że czas nie oszczędził się z nim łaskawie: zarósł dziko rosnącą winoroślą i drzewami, które zasłaniały część okien. Małe okienka strychowe pod dachem z zardzewiałej blachy falistej pokrywał gruby osad. W niektórych szyby zastąpiono pleksiglasem, podniszczonym od słońca. Ściana frontowa w kilku miejscach popękała, a z okiennic odłaziła farba. Trudno było uwierzyć, że ktoś w ogóle tu mieszkał. Janson przypomniał sobie rozbawiony wzrok wesołego staruszka i zaczął się zastanawiać, czy karczmarz przypadkiem sobie z nich nie zakpił.

– To się nazywa ruina – stwierdziła Kincaid.

Zaparkowali lancię na poboczu drogi – o ile w ogóle zasługiwała na takie miano: nawierzchnia dawno popękała i roiło się w niej od dziur. Dalej poszli na piechotę ścieżką dla krów, lawirując między wyrosniętymi krzakami jeżyn. Dom – autentyczny obraz nędzy i rozpacz – stał kilkaset metrów dalej.

Gdy podeszli do drzwi, Janson usłyszał jakiś hałas – groźny, niski bulgot. Warczenie psa, a po chwili chrapliwe szczekanie.

Przez wąskie okienko w drzwiach zobaczył wielkiego białego zwierzaka podskakującego niecierpliwie. Był to kuwasz, stara węgierska rasa psów stróżujących, hodowana od dawien dawna. Mało

popularna na Zachodzie, lecz aż nazbyt dobrze znana Jansonowi, który wiele lat temu miał do czynienia z pewnym jej przedstawicielem. Podobnie jak inne psy obronne – mastiffy, pitbule, owczarki alzackie, dobermany – kuwasze zaciekle broniły właścicieli i zachowywały się agresywnie wobec obcych. Pewien piętnastowieczny król węgierski podobno w ogóle nie ufał ludziom, tylko swoim kuwazom. Miały one szlachetny wygląd: silną klatkę piersiową, umięśnioną szyję, długi pysk i gęstą, białą sierść. Tę ostatnią Janson widział kiedyś poplamioną ludzką krwią. Zdawał sobie sprawę, do czego zdolne są psy tej rasy, wyposażone przez naturę w ostre zęby i mocne szczęki. Zwykle poruszały się eleganckim, lekkim krokiem, ale rozwścieczone rzucały się na wroga, strasząc zwartą masą mięśni i zębów.

Pies Gitty Békesi nie należał do olbrzymów opisywanych w pradawnych kronikach. Miał najwyżej dziewięćdziesiąt centymetrów w kłębie i ważył nieco ponad pięćdziesiąt kilogramów. Jednak sprawiał wrażenie autentycznej bestii, nabuzowanej wrogą energią. Mało było zwierząt równie niebezpiecznych jak rozjuszony kuwaz.

– Pani Békesi?! – zawołał Janson.

– Proszę stąd iść! – odpowiedział mu drżący głos.

– To kuwaz, prawda? Przepiękne zwierzę. Jedyne w swoim rodzaju.

– To przepiękne zwierzę z chęcią zacisnęłoby szczęki na czyimś gardle – burknęła kobieta już bardziej opanowanym tonem.

Głos dobiegał przez otwarte okno, ale jej samej nie widzieli.

– Przyjechaliśmy z bardzo daleka – powiedziała Jessie. – Z Ameryki. Widzi pani, mój dziadek pochodził z tych stron. Z Molnar.

Podobno jest pani jedyną osobą, która mogłaby nam o nim opowiedzieć.

Zapadła długa cisza, w której słycać było tylko chrapliwy warkot psa.

Jessie spojrzała na Jansona i wyszeptała:

– Napędził ci stracha ten pies, co?

– Spytaj mnie kiedyś o Ankarę, siedemdziesiąty ósmy rok – rzekł Janson cicho.

– Wiem o Ankarze.

– O nie, zapewniam cię, że nie wiesz.

Kobieta w końcu przerwała milczenie.

– Dziadek? – spytała. – Jak się nazywał?

– Kis. – Jessie celowo wybrała to pospolite nazwisko. – Ale bardziej interesuje mnie atmosfera tego miejsca, świat, w którym dorastał, nie on sam w szczególności. Chciałabym zrozumieć...

– Kłamiesz! – krzyknęła kobieta. – Kłamiesz! – Jej głos brzmiał jak zawodzenie. – Przychodzą obcy i kłamią! Wstyďte się. Odejdźcie stąd. Idźcie, bo pożałujecie.

Usłyszeli charakterystyczny zgrzyt ładowanej strzelby.

– O cholera – szepnęła Jessie. – Co teraz?

Janson wzruszył ramionami.

– Kiedy wszystko inne zawodzi? Prawda.

– Halo, proszę pani! – zawołała Jessie. – Słyszała pani kiedyś o hrabim Janósu Ferenczi-Novaku?

Długie milczenie. W końcu staruszka spytała zgrzytliwym głosem:

– Kim jesteście?

•••

Ahmad Tabari był pod wrażeniem szybkości, z jaką pracował szef wywiadu. Spotykali się dopiero po raz trzeci, tymczasem Al-Mustashar już zdążył zdziałać cuda.

– Pracujemy etapami – oznajmił Libijczyk, podekscytowany. – Dostawa broni jest w drodze do waszych ludzi w Nepurze. – Wymienił nazwę portu w najbardziej wysuniętym na północny zachód punkcie prowincji Kenna. – Negocjacje przebiegły nie bez trudności, ale ufam, że nie będzie problemu z przechwyceniem towaru. Zdaje się, że anurskie kanonierki przysparzają wam kłopotów?

– Czasem trzeba się cofnąć, żeby zrobić krok do przodu – odpowiedział ostrożnie wojownik Kagama. – Nawet Prorok w swojej walce napotykał przeszkody. Inaczej nie musiałby walczyć. Pamiętasz, bracie, zapewne rozejm w Al-Hudajbiji. – Kalif miał na myśli układ, który Mahomet zawarł z mieszkańcami Chajbaru, niedaleko Medyny.

Ibrahim Maghur pokiwał głową.

– Dopiero gdy armia Proroka była dość silna, zerwał rozejm, pokonał władców Chajbaru i wygnał niewiernych z Arabii. – Oczy mu zapłonęły. – Czy wasza armia jest dość silna?

– Z twoją pomocą i Allaha wkrótce będzie.

– Zaiste, mówisz jak kalif – stwierdził pułkownik Maghur.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałeś, bracie, że historię tworzą ludzie wielcy – podjął po chwili Kagama.

– Rzeczywiście, tak uważam.

– Wynikałoby z tego, że wielcy ludzie mogą też hamować postęp. Ludzie obdarzeni władzą, znaczącą pozycją, pod maską humanitaryzmu realizujący swoje imperialne ambicje. Ludzie, którzy nawołując do pokoju, pragną wyprowadzić w pole powstańców walczących w słusznej sprawie. Którzy nie zawahają się przed niczym,

żeby stłumić przemoc, konieczną dla ostatecznego triumfu sprawiedliwości.

Maghur przyjrzał mu się uważnie.

– Twoja wnikliwość, bracie, i geniusz taktyczny niewątpliwie zapewnią ci miejsce w podręcznikach historii, a także bliskie zwycięstwo w walce na rzecz wszystkich *ummah*. Oczywiście, wiem, o kim mówisz. To prawdziwy wróg rewolucji. Niestety, dotąd nie udało się nam go pozbyć.

– Nie mogę zapomnieć, że był moim więźniem.

– A jednak się wymknął. Jest śliski jak wąż.

Twarz Ahmada Tabariego stężała na wspomnienie tego upokarzającego ciosu, który zapoczątkował całą serię porażek. Pod osłoną nocy złodziej wykradł mu najcenniejszy klejnot. Aż do tamtej chwili nic nie zakłócało jego aury triumfu i pogodnej pewności siebie. Zwolennicy Tabariego wierzyli, że sam Allah błogosławi każdy jego krok. Tymczasem w przeddzień święta Id ul-Kebir doszło do skandalicznej inwazji na jego nowy, niedawno zdobyty bastion. Odbito legendarnego jeńca. Od tamtej pory nic nie szło gładko.

– Węża należy wytropić i zabić. Inaczej nie ma mowy o postępie – stwierdził Maghur.

Tabari patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, w jego myślach panował zamęt. Organizacje takie jak Front Wyzwolenia Kagama w dużym stopniu opierały się na przekonaniu, że ich sukces jest nieunikniony. Tamto wydarzenie zachwiało tym przekonaniem. Jeszcze później morale jego ludzi osłabiły powtarzające się ataki wojsk republikańskich, a każdy ich sukces sprawiał, że Kagama tracili wiarę w siebie. Błędne koło. Musieli zorganizować jakąś spektakularną akcję. Libijczyk doskonale to rozumiał. Tabari przyjrzał

mu się badawczo.

– Możemy liczyć, bracie, na twoje poparcie?

– Moja pozycja w rządzie wymaga wielkiej ostrożności – stwierdził.

– Nie wolno nam włączać w tę sprawę Trypolisu. Ale inni, owszem, chętnie wspomogą twoje działania.

– Masz bracie na myśli Islamską Republikę Mansuru. – Kalif przeszył go świdrującym spojrzeniem. Republika powstała w wyniku działań jemeńskiego ruchu secesjonistycznego, któremu przewodził pewien charyzmatyczny mułła. Władze Jemenu nie protestowały przeciw tej secesji, ponieważ w gruncie rzeczy nic nie traciły. Nowe państewko, położone na ruchomych piaskach pustyni Rub'al-Chali, było przeraźliwie biedne: eksportowało jedynie *chat* i kiepskie wyroby rękodzielnicze. Rząd miał niewiele do zaoferowania swoim obywatelom, oprócz szyickiej wersji szariatu – pobożności w średniowiecznym wydaniu. Jednak stopniowo Republika Mansuru zyskiwała sławę jako bastion radykalnego islamu i żarliwych rewolucjonistów.

Ibrahim Maghur uśmiechnął się.

– Święci mieszkańcy Mansuru kilkakrotnie poruszali ze mną kwestie bezpieczeństwa. Pozwoliłem sobie ich poinformować, że znalazłem kogoś, kto jest oddanym sługą Allaha i prawdziwym ekspertem w tej dziedzinie. Pojedziesz, bracie, ze mną do Chartumu, gdzie będzie już czekał specjalny samolot. Polecisz na pustynię, do miejsca, które nazywają stolicą. Jestem pewien, że docenisz ich gościnność i zyskasz potrzebne wsparcie.

– Pomogą mi znaleźć węża?

Maghur pokręcił głową.

– Bracie, ja pomogę ci znaleźć węża. Pozostaniemy w bliskim

kontakcie. Gospodarze z Mansuru zapewnią ci dokumenty i swobodę poruszania się.

Podmuch pustynnego powietrza wydał ich luźne szaty.

– Mówią, że jeśli podniesie się rękę na króla, trzeba go zabić – rzekł Kalif w zadumie.

– Twoi wrogowie wkrótce przekonają się, ile prawdy tkwi w tym powiedzeniu – stwierdził Libijczyk. – Peter Novak wysłał przeciw tobie swoich najemników, ale nie udało mu się ciebie zgładzić. Teraz ty...

– Zabiję Petera Novaka – dokończył Kalif. Zabrzmiało to jak proste stwierdzenie faktu.

– Właśnie – odparł Maghur. – Tego wymaga sprawiedliwość Allaha. Jednak musisz się pospieszyć. Twoi zwolennicy są spragnieni krwi. Krwi niewiernych, która spłynie jak sok z najśłodsze granatu.

– Krwi niewiernych – powtórzył Kalif.

– Pozostaje pytanie, komu zlecić tę misję. Komu można na tyle zaufać.

– Zaufać? – Kalif zamrugał oczami.

– Kogo wyznaczysz do tego zadania?

Wojownik Kagama wydawał się nieco urażony.

– Tego zadania muszę podjąć się sam. Tak jak Prorok, który osobiście poprowadził szturm na Chajbar.

Libijczyk otworzył oczy szeroko, patrząc na przywódcę rebeliantów z jeszcze większym szacunkiem.

– Krew niewiernych wkrótce popłynie – zapowiedział Kalif, wyciągając przed siebie ręce. – Te dłonie będą spływać krwią Petera Novaka.

– Allah cię pobłogosławi. – Libijczyk skłonił się nisko. – Chodźmy.

Mansur czeka na ciebie, Kalifie.

Rozdział 26

Gitta Békesi, wprawdzie bardzo niechętnie, ale jednak wpuściła ich do domu. Kuwasz wydawał się gościom jeszcze bardziej niechętny niż jego pani: stał posłusznie w kącie, ale sztywną postawą komunikował, że na jej sygnał gotów jest rzucić się na nich z zębami.

Staruszka wyglądała równie smętnie jak jej dom. Pomarszczona skóra na twarzy utworzyła fałdy, a spod przeredzonych włosów wyzierały blade placki łysiny. W głębokich oczodołach skrzyły się zapadnięte, surowe oczy. To, co kiedyś było jędrne, z wiekiem zwiotczało; policzki wychudły, obwisły, a usta zamieniły się w surową, cienką kreskę.

Patrzyli na twarz kobiety, która wiele przeszła.

Janson wiedział, że Peter Novak miał osiem lat w 1945 roku, kiedy wojska niemieckie i radzieckie praktycznie zmiotły z powierzchni ziemi Molnar, jego miejsce urodzenia. Wioska we wczesnych latach czterdziestych liczyła niecały tysiąc mieszkańców. Prawie wszyscy zginęli. Pomijając wiek Gitty Békesi, ktoś, kto przeżył taki kataklizm, z pewnością do dziś odczuwał piętno traumy.

W dużej izbie płonął ogień w kominku. Na drewnianym gzymsie stało zdjęcie w sepii, oprawne w zmatowiałą, srebrną ramkę. Przedstawiało piękną, młodą kobietę – Gittę Békesi z dawnych lat: zdrową, silną wieśniaczkę, promieniującą energią i zmysłowością. Fotografia była niczym okrutna drwina z niszczącego działania czasu.

Jessie przyjrzała się jej z bliska.

– Chłopcy musieli szaleć za panią – powiedziała.

– Uroda bywa przekleństwem – stwierdziła staruszka. – Na szczęście szybko przemija.

Cmoknęła na psa, który podszedł i usiadł przy niej. Nachyliła się i pogłaskała go szponiastą dłonią.

– Słyszałem, że kiedyś pracowała pani dla hrabiego – rzekł Janson.

– Hrabiego Ferenczi-Novaka.

– Nie będę o tym rozmawiać – odrzekła szorstko. Siedziała w podniszczonym, trzciniowym fotelu bujanym. Za nią, oparta o ścianę jak laska, stała stara dubeltówka. – Żyję samotnie i nie proszę o nic ponad to, żeby zostawiono mnie w spokoju. Traciecie czas. Tak, wpuściłam was. Teraz możecie mówić, że byliście u staruchy, żeby ją wypytać. I możecie poinformować wszystkich zainteresowanych, że Gitta Békesi nic wam nie powiedziała. Ale nie, jedno wam powiem: w Molnar nigdy nie było nikogo, kto nosiłby nazwisko Kis.

– Zaraz... Wszystkich zainteresowanych? Kto miałby się tym interesować?

– Nie ja – ucięła krótko, po czym umilkła, patrząc przed siebie.

– Czy to kasztany? – spytała Jessie, wskazując miskę na małym stoliku obok fotela.

Békesi przytaknęła.

– Mogłabym wziąć jeden? Wiem, że to niegrzeczne z mojej strony, ale chyba dopiero co je pani piekła? W całym domu tak pachnie, że aż cieknie mi ślinka.

Gospodyni zerknęła na miskę i skinęła głową.

– Jeszcze gorące.

– Od razu pomyślałam o babci. Kiedy ją odwiedzaliśmy, piekła dla

nas kasztany... – Jessie rozpromieniła się na to wspomnienie. – Każdy taki dzień był jak Boże Narodzenie.

– Obrąła kasztan i pochłonięła go z apetytem. – Doskonały. Po prostu doskonały. Samo to warte było pięciu godzin jazdy samochodem.

Staruszka pokiwała głową. Zachowywała się już mniej powściągliwie.

– Trzeba uważać, żeby za bardzo ich nie przypiec, bo robią się za suche.

– A kiedy pieką się za krótko, są twarde – wtrąciła Jessie. – Ale pani przyrządza je wprost idealnie.

Na twarzy kobiety pojawił się nikły uśmiech zadowolenia.

– Pewnie wszyscy goście rzucają się na nie – zaryzykowała Jessie.

– Nie miewam gości.

– Żadnych? Trudno w to uwierzyć.

– Niewielu. Bardzo niewielu.

Kincaid pokiwała głową.

– Wścibskich też?

– Kilka lat temu przyjechał tu młody dziennikarz z Anglii – powiedziała Békesi, odwracając wzrok. – Miał mnóstwo pytań. Pisał coś o Węgrzech w czasie wojny i po niej.

– Naprawdę? – Janson przyjrzał się jej uważnie. – Chętnie przeczytałbym ten artykuł.

Staruszka prychnęła.

– Nigdy go nie napisał. Kilka dni później zginął w wypadku w Budapeszcie. Podobno zdarza się tam dużo wypadków.

Paul miał wrażenie, jakby temperatura w pokoju gwałtownie spadła.

- Ale zawsze mnie to zastanawiało...
- On też pytał o hrabiego? – podsunęła Jessie.
- Weź jeszcze kasztan, dziecko.
- Mogę? Naprawdę?

Staruszka przytaknęła, zadowolona.

– To był nasz hrabia – zaczęła tłumaczyć. – Znali go wszyscy w Molnar. Uprawialiśmy jego ziemię. Pochodził z bardzo starej rodziny, wywodził swój rodowód od jednego z siedmiu plemion, które w tysięcznym roku zjednoczyły się jako naród węgierski. Tu była jego siedziba rodowa, chociaż dużo czasu spędzał w stolicy. – Wzniosła małe, ciemne oczy do sufitu. – Ludzie mówią, że żyję przeszłością. Pewnie tak. Ten kraj przechodził burzliwe dzieje. Ferenczi-Novak rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Rozumiał? – spytała Kincaid.

Gitta Békesi spojrzała na nią w milczeniu.

- Może napijesz się ze mną palinki?
- Dziękuję, proszę pani.

Gospodyni popatrzyła przed siebie lodowato, najwyraźniej urażona. Jessie zerknęła na Jansona.

- Może odrobinę, tak dla towarzystwa...

Staruszka powoli podniosła się z fotela i podeszła chwiejnym krokiem do przeszklonego kredensu, z którego wyjęła ogromny dzban przezroczystego płynu. Nalała trochę do dwóch małych kieliszków.

Dziewczyna wzięła jeden. Kobieta, znów umoszczona w fotelu, obserwowała, jak upija łyk.

Jessie raptownie bluznęła płynem, jakby wstrząsnął nią atak czkawki.

- Jezu, przepraszam – wykrztusiła zduszonym głosem.

Staruszka uśmiechnęła się psotnie. Kincaid z trudem łapała oddech.

– Co to jest, do cholery... – wydyszała. Oczy jej łzawiły.

– Domowej produkcji. Dziewięćdziesiąt procent. Za mocne?

– Troszeczkę – wychrypiała Jessie.

Békesi wypła trunek i wyraźnie się odprężyła.

– Wszystko zaczęło się od traktatu w Trianon w dwudziestym roku.

Utraciliśmy wtedy część terytoriów – prawie trzy czwarte – na rzecz Rumunów, Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Wyobrażacie sobie, co to znaczyło?

– Amputację – stwierdził Janson.

– Właśnie. Okropne uczucie, jakby odrąbano nam część tożsamości. *Nem, nem soha!* Narodowe zawołanie: nie, nie, nigdy! To odpowiedź na pańskie pytanie: „Czy tak może być?”. Każdy naczelnik stacji układał to hasło z kwiatów w swoim ogrodzie. Sprawiedliwość dla Węgier! Ale świat nie zareagował. Nikt z wyjątkiem Hitlera. To był jakiś obłąd, próba ujarznienia tygrysa, ale rząd w Budapeszcie dogadał się z tym człowiekiem. I wkrótce znalazł się w brzuchu bestii. Za ten błąd zapłacił cały kraj. A najwięcej my.

– Kiedy Molnar.

– Płonęły wszystkie domy. Ludzie, którzy mieszkali tu z dziada pradziada, zerwali się z łóżek, od stołów, przybiegli z pól. Zbici w gromadkę, trzymani pod bronią, weszli na skutą lodem rzekę. Lód załamał się pod nimi, wszyscy utonęli. Całe rodziny. Trzymali się za ręce. Tonęli, zamarzali w lodowatej wodzie. Podobno nawet w odległych winnicach ludzie słyszeli, jak kruszy się lód. Ja byłam wtedy w ostrzeliwanym zamku. Wydawało mi się, że mury za chwilę runą. Zamek prawie całkiem zniszczono. W piwnicach jednak nic nam nie groziło. Następnego dnia, kiedy wojsko odeszło, wróciłam do

domu, do wioski, gdzie się urodziłam. Ale... ona przestała istnieć.

Ściszyła głos do szeptu.

– Została kupa gruzu. Zwęglone szczątki. Nie ucierpiało tylko kilka domów na zboczach. Molnar, Molnar, które oparło się Rzymianom, Tatarom i Turkom – zniknęło z powierzchni ziemi. A w rzece pływały ciała, mnóstwo ciał, a wśród nich ciała moich rodziców. Nagie, rozdęte, posiniaczone... – Przyłożyła rękę do czoła. – Kiedy widzi się takie rzeczy, kiedy widzi się, co człowiek może wyrządzić drugiemu człowiekowi... wstyd dalej żyć.

Janson i Jessie milczeli przez dłuższy czas.

– A jak to się stało, że zaczęła pani pracę w zamku? – spytał w końcu Janson.

Kobieta uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Janós Ferenczi-Novak i jego żona, Illana... Byli wspaniałymi ludźmi. Służbę u nich poczytywaliśmy za przywilej. Zawsze o tym pamiętałam. Moi rodzice, dziadkowie, pradziadowie – wszyscy pracowali na roli. Byli wieśniakami, ale z czasem otrzymali trochę ziemi na własność. Uprawiali ziemniaki, winogrona, borówki. Chyba mieli wobec mnie pewne nadzieje. Wyrosłam na ładną dziewczynę, to prawda. Sądziли, że jeśli popracuję trochę w zamku, nauczę się tego i owego. Może hrabia zabierze mnie do Budapesztu, gdzie spotkam kogoś wyjątkowego. Matka pielęgnowała takie marzenia. Znała osobiście dziewczynę pracującą dla hrabiego. Przedstawiła mnie jej. W rezultacie poznałam hrabiego i jego piękną, błękitnooką żonę, Illanę. Hrabia coraz więcej czasu spędzał w Budapeszcie, w kręgach rządowych Horthyego. Blisko współpracował z Miklósem Kállayem, który później został premierem. Nie jestem pewna, ale sam chyba został ministrem w jego rządzie. Był wykształconym człowiekiem.

Rząd potrzebował takich ludzi, z kolei on miał wewnętrzną potrzebę służenia krajowi. Jednak nawet wtedy spędzał kilka tygodni w roku w swojej siedzibie w Molnar. W takiej małej wiosce. Karczmarz. Żyd z Hódmezövásárhely. Chłopi i drwale. Prosty lud, który z trudem wiązał koniec z końcem. Pewnego dnia matka zabrała mnie do zamku. Dla nas, dzieci, zamek był po prostu częścią góry.

– Pewnie niełatwo jest wspominać tak odległe czasy – zauważyła Jessie.

Starsza kobieta pokręciła głową.

– Nie pamiętam, co się wydarzyło wczoraj. Ale sześćdziesiąt lat temu? Tak, bardzo wyraźnie. Długą ścieżkę za stajniami. Kamienne słupki bramy z drewnianymi rzeźbieniami. Kręte schody w zamkowej wieży. To wszystko zapierało mi dech w piersiach. Ludzie mówili, że pijani goście spadali z tych starych schodów. Później, kiedy dołączyłam do zamkowej służby, słyszałam, jak Illana śmieje się z tego. Była taka zabawna i beztroska. Nie lubiła jelenich rogów na ścianie. Czy naprawdę muszą być w każdym zamku? – pytała. Obrazy. Teniersa, Teniersa młodszego. „Wiszą we wszystkich zamkach w Europie Środkowej”. Meble? „Późny Franciszek Józef”. A w głównym korytarzu panowały egipskie ciemności. Nie było elektryczności, bo nikt nie chciał wiercić dziur w ścianach, żeby nie uszkodzić fresków, więc palono tylko świece. Pamiętam, że w tym korytarzu stał fortepian z palisandru, przykryty najdelikatniejszą koronką, a na nim srebrny kandelabr, starannie polerowany w każdą sobotę. Okolica też była piękna. Kiedy pierwszy raz weszłam do angielskiego ogrodu na tyłach zamku, z zachwytu zakręciło mi się w głowie. Wyrośnięte surmie z powyginanymi gałęziami, z których opadały strąki, ogłowione akacje, orzechy. Hrabina odczuwała

ogromną dumę ze swojego *jardin anglais*. Uczyła nas nazw wszystkich roślin. Po angielsku, tak, po angielsku. Pewna dziewczyna ze służby przepytowała mnie z angielskich słówek. Illana lubiła rozmawiać z ludźmi po angielsku, jakby mieszkała w brytyjskiej wiejskiej rezydencji. Więc uczyliśmy się. – Twarz Békesi przybrała rozanielony wyraz. – Ten angielski ogród... Zapach świeżo skoszonej trawy, róż, siana... Czułam się tam jak w raju. Ludzie mówią, że żyję przeszłością. Ale w takiej przeszłości warto żyć.

Janson przypomniał sobie ruiny, widoczne z daleka na wzgórzu. Z ogromnej posiadłości zostały jedynie poszarpane głazy prześwitujące wśród wysokich traw. Popękane cegły z niegdyś wyniosłych kominów wystawały spomiędzy krzaków niczym pniaki. Zamek, który przez wieki górował dumnie nad okolicą, rozpadł się w gruzy i przypominał teraz nędzny ogródek skalny. To był świat utracony. Dawno temu przed Gittą Békesi otworzyła się brama zaczarowanego ogrodu. Teraz żyła w cieniu jego ruin.

Ogień w kominku cicho trzaskał i syczał. Na chwilę zapanowało milczenie.

– Czy po zamku truchtały czyjeś małe stópki? – spytała Jessie.

– Janósowi i Illanie urodziło się jedno dziecko. Chłopiec miał na imię Peter. Może jeszcze kropelkę palinki?

– Bardzo pani miła, ale nie, dziękuję.

– Peter? – spytał Janson tonem rozmyślnie niedbałym.

– A kiedy się urodził?

– W pierwszą sobotę października tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Śliczny chłopiec. Ładny, mądry. Widać było, że zostanie kimś niezwykłym.

– I został?

– Wciąż mam go przed oczami, jak biega po długim, pełnym luster korytarzu, w białym wykładanym kołnierzyku, pumpach do kolan i marynarskiej czapeczce. Uwielbiał przeglądać się w tych lustrach, które odbijały jego postać w niekończących się ujęciach. – Siateczkę zmarszczek na jej twarzy na moment rozświetlił uśmiech. – Był oczkiem w głowie rodziców. Wiadomo, jednak. Poród okazał się trudny i hrabina nie mogła mieć więcej dzieci. – Staruszka jakby przebywała w innym miejscu, innym świecie. Świecie utraconym, ale nie dla niej.

– Pewnego dnia po obiedzie mały urwis zjadł ciasteczka, które kucharka upiekła na podwieczorek, i został przez nią obsztorcowany, co przypadkiem podsłuchała Illana. „Nie waż się tak mówić do naszego dziecka!”, krzyknęła. Ale jak to zabrzmiało! Wszystkich nas dosłownie zmroziło. Bettina, kucharka, spiekła raka. Nie odezwała się, zrozumiała. Peter był... wyjątkowy. I wcale nie rozpieszczony. Pogodny jak pierwszy lipca – tak mówimy na Węgrzech. Kiedy coś go ucieszyło, promieniał. Los go pobłogosławił. Magiczne dziecko. Mógł zostać kimś wielkim.

– Pewnie był dla rodziców całym światem – wtrąciła Jessie.

Kobieta pogłaskała psa.

– Taki cudowny chłopczyk... – Oczy jej rozbłysły, jakby widziała go przed sobą, w pumpach i marynarskiej czapeczce, biegającego w tę i z powrotem po wyłożonym lustrami korytarzu.

Zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy, jakby chciała zatrzeć ten obraz.

– Dostał bardzo wysokiej gorączki. Był rozgrzany jak piec, rzucał się na łóżku, wymiotował. Epidemia cholery. Raz gorący, raz zimny. Czuwałam przy nim. – Położyła obie dłonie na głowie psa,

najwyraźniej znajdując pociechę w jego oddaniu i sile. – Nigdy nie zapomnę tego ranka. To zimne ciało, blade usta, policzki jak z wosku. Myślałam, że serce mi pęknie. Miał zaledwie pięć lat. Czy może być coś smutniejszego? Umarł, zanim tak naprawdę poznał życie.

Jansonowi zakręciło się w głowie. Poczował się kompletnie zdezorientowany. Peter Novak zmarł w dzieciństwie? Jak to możliwe? Czyżby zaszła jakaś pomyłka? Staruszka musiała opowiadać o innej rodzinie, o innym Peterze.

Jednak inne szczegóły z życia wielkiego filantropa się zgadzały: Peter Novak, ukochany, jedyny syn Janósa Ferenczi-Novaka, urodził się w październiku 1937 roku i dorastał w nawiedzanej przez wojnę wiosce Molnar. Przynajmniej tak głosiła oficjalna biografia.

A poza tym?

Gitta Békesi z pewnością mówiła prawdę. Tak to wszystko zapamiętała. Co to oznaczało?

Peter Novak: człowiek, który nigdy nie istniał.

Janson z rosnącym niepokojem rozważał w myślach różne warianty, jakby wertował fiszki w bibliotece.

Jessie wyjęła z plecaka album ze zdjęciami Petera Novaka i otworzyła go na stronie z kolorowym portretem. Podsunęła fotografię staruszce.

– Widzi pani tego mężczyznę? Nazywa się Peter Novak.

Kobieta zerknęła na zdjęcie, na Jessie, po czym wzruszyła ramionami.

– Nie śledzę wiadomości. Nie mam telewizora, nie kupuję gazet. Wybaczcie. Ale owszem, słyszałam o tym człowieku.

– Nazywa się tak samo jak syn hrabiego. To na pewno nie jest ta

sama osoba?

– Peter, Novak – to na Węgrzech pospolite imię i nazwisko – odparła. – Oczywiście, to nie może być syn Ferenczi-Novaka. Tamten zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, już mówiłam. – Ponownie spojrzała na fotografię. – Poza tym ten tutaj ma piwne oczy. – Ten szczególnie wydawał się jej chyba zbyt oczywisty, żeby się nad nim rozwodzić, ale dodała: – Mały Peter miał oczy niebieskie. Jak woda w Balatonie. Niebieskie jak jego matka.

• • •

Oboje wstrząśnięci, ruszyli ścieżką z powrotem do lancii. Gdy dom Gitty Békesi zniknął w oddali, zaczęli rozmawiać, powoli, z wahaniem, próbując dotrzeć do sedna coraz bardziej zagadkowej tajemnicy.

– Może jednak urodziło się drugie dziecko? – zastanawiała się Jessie. – Nikt o nim nie wiedział, a po śmierci brata chłopiec przyjął jego imię i nazwisko? Tajemniczy brat bliźniak?

– Gitta Békesi nie miała wątpliwości: było jedno dziecko. Przecież tego nie da się ukryć przed służbą. Choć jeśli hrabia Ferenczi-Novak cierpiał na paranoję, jak o nim mówiono, to wszystko jest możliwe.

– Przecież nie był wariatem?

– Nie, ale ponoć panicznie bał się o syna. W tamtym czasie Węgry znalazły się w sytuacji zapalnej. Nie pamiętasz? W marcu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego władzę przejął Bela Kun. Rządził przez sto trzydzieści trzy dni. Dni terroru. Kiedy go obalono, nastąpiła jeszcze straszliwsza masakra. Zginęli wszyscy, którzy pomogli mu dojść do władzy. Wymordowano całe rodziny. Nazywano to „białym terrorem” admirała Horthyego. Odwet był na porządku dziennym,

wszyscy mścili się na wszystkich. Hrabia być może czuł, że coś mu grozi. Nawet po latach. Że jego współpraca z premierem Kallayem może oznaczać wyrok śmierci. Nie tylko dla niego, dla całej jego rodziny.

– Bał się komunistów?

– Faszystów, komunistów. Setki tysięcy ludzi zginęły pod koniec czterdziestego czwartego i na początku czterdziestego piątego, kiedy do władzy doszli strzałokrzyżowcy, ludzie, którzy sądzili, że Horthy był zbyt pobłażliwy! Prawdziwi, domorośli węgierscy naziści. Gdy Armia Czerwona przejęła władzę w kraju, nastąpiła kolejna fala czystek. I znów – zgładzono setki tysięcy ludzi. Wrogów rewolucji. Osoby takie jak Ferenczi-Novak znalazły się w opałach. Przecież jest mnóstwo podobnych przykładów. Krajów, gdzie rządzą na zmianę skrajna lewica, skrajna prawica, znów skrajna lewica. Nic pomiędzy.

– Czyli wracamy do podstawowego pytania: po co na taki świat wydawać dziecko. Może sądzili, że nie należy. Że musieliby ukrywać potomka.

– Jak Mojżesza w koszyku z sitowia i smoły – zadumał się Janson. – Ale to rodzi nowe pytania. Novak oznajmia światu, że to są jego rodzice. Dlaczego?

– Bo to prawda?

– Mało przekonujące. Takie dziecko wzrastałoby w strachu przed prawdą. Na miłość boską, pewnie w ogóle nie znało prawdy! Z dziećmi tak jest: nie mówi im się tego, z czym najpewniej sobie nie poradzą. W nazistowskich Niemczech na przykład żydowskie dziecko, ukrywane przez chrześcijańską rodzinę, nie znało, nie mogło znać prawdy. Ryzyko było zbyt wielkie. Dziecko mogło zdradzić się przed kolegami, nauczycielem. Aby uchronić je przed prawdą, potencjalnie

śmiertelnie niebezpieczną, należało utrzymywać je w niewiedzy. Dopiero później, gdy dorosło, mówiono mu wszystko. Poza tym, jeśli rodzice Novaka byli tymi, kim twierdził, że byli, to przecież Gitta Békesi wiedziałyby o tym. Tego jestem pewien. Na pewno nie mieli drugiego dziecka. Powiedziała nam prawdę: Peter Novak, jedyny syn hrabiego, zmarł we wczesnym dzieciństwie.

W zachodzącym słońcu cienie wydłużyły się, tworząc na ziemi długie, wąskie paski. Chwilę później oświetlone złotą poświatą pagórki zszarzały. W górach słońce zachodzi szybko, bez ostrzeżenia.

– To wszystko zaczyna przypominać ten cholerny korytarz z lustrami, o którym mówiła Gitta Békesi. Wczoraj zastanawialiśmy się, czy ktoś nie podszywa się pod Petera Novaka. Teraz wygląda na to, że Novak przywłaszczył sobie cudzą tożsamość. Dziecko zmarło, wioska nie istnieje... To stwarza pewne możliwości.

– Kradzież tożsamości? Kradzież doskonała.

– Racja. Wybierasz wioskę, która w czasie wojny została zmieciona z powierzchni ziemi. Nie ma praktycznie nikogo, kto pamiętałby jego dzieciństwo. Wioska spłonęła, a wraz z nią akty urodzenia, zgonu, wszystko.

– A on ogłosił się synem arystokraty – stwierdził Janson.

– Sprytne posunięcie. Pomogło mu uniknąć niewygodnych pytań o pochodzenie. Nikt nie docieka, gdzie zdobył wykształcenie ani do jakich szkół chodził.

– No właśnie. Do jakich? Przecież uczyli go prywatni korepetytorzy. W końcu był synem hrabiego, tak? A dlaczego prawie nic o nim nie wiadomo? Bo Janós Ferenczi-Novak miał mnóstwo wrogów i nie bez powodu paranoicznie obawiał się o życie syna. Wszystko pasuje.

– Uhm, jak ulał. Aż za dobrze. Tylko skąd wziął się ten genialny

finansista?

– Człowiek bez przeszłości.

– Ale owszem, ma za sobą przeszłość. Tylko że nikt jej nie zna.

Janson przypomniał sobie prywatny samolot Novaka, gulfstream V, i biały napis kursywą na kadłubie w kolorze indygo: *Sok kicsi sokra megy*. To samo węgierskie przysłowie powtórzył w wywiadzie dla telewizji. Z drobiazgów może powstać coś wielkiego. Hasło uzasadniające szczodropliwość i oszustwo. Niczym złowróźbne echo powróciły słowa Marty Lang: „Novak już nieraz udowodnił, kim jest. Człowiekiem, który zawsze będzie niósł pomoc ludziom w potrzebie”.

Ale kim naprawdę był?

Jessie zwinnie przeskoczyła przez olbrzymi konar leżący na ścieżce.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Po co? Po co to oszustwo? Wszyscy go uwielbiają. Jest pieprzonym bohaterem naszych czasów.

– Nawet święci miewają coś do ukrycia – odparł Janson, stąpając ostrożnie. – Może urodził się w rodzinie, która uczestniczyła w krwawych działaniach strzałokrzyżowców? Wyobraź sobie kraj, gdzie ludzie mają długą pamięć, odwet jest praktycznie wpisany w tradycję, a całe rodziny, łącznie z dziećmi i wnukami, wymordowano lub deportowano, ponieważ znalazły się po niewłaściwej stronie. Motyw przewodni historii Węgier w dwudziestym wieku to zemsta. Jeśli w twojej przeszłości jest tyle zła, chcesz się od niej odciąć, na wszelkie możliwe sposoby. Nie tylko Gitta Békesi żyje przeszłością. Pomyśl. Powiedzmy, że ten człowiek faktycznie pochodzi z rodziny strzałokrzyżowców. Czegokolwiek by dokonał, ten temat będzie powracać – w każdym wywiadzie, w każdej rozmowie, w każdej dyskusji. Jessie pokiwała głową.

– „Ojcowie jedli cierpkie jagody, a synom zdrętwiały zęby¹” –

zacytowała. – Księga Jeremiasza.

– Właśnie. Taka prosta motywacja mogła wystarczyć – stwierdził Janson.

Podejrzewał jednak, że w tej sprawie nic nie jest proste. Zaświtała mu w głowie pewna niewyraźna myśl – nawet nie myśl, ledwie jej zarodek, dokuczliwie obecny, jak maleńki owad, od którego nie sposób się opędzić.

Gdyby tylko potrafił się skupić...

Minęło kilka chwil, zanim rozpoznał nikły, z początku nieuchwytny dźwięk niosący się po zboczu – i serce mu zamarło. Krzyk kobiety.

Rozdział 27

Chryste, nie!

Ciernisty ligustr i wyrosnięte winorośle smagały go i drapały po twarzy, gdy zbiegał po zboczu krętą ścieżką. Ostrożnie stawiał kroki, przeskakując przez głązy i przedzierając się wśród krzaków – chwila nieuwagi w zdradliwym terenie mogła skończyć się skruceniem kostki albo gorzej. Jessie ruszyła pod górę zwinnie niczym gazela: miała jak najszybciej dobiec do samochodu, zdążyć tam przed wrogami.

Parę minut później, lekko zdyszany, Janson stanął przed zrujnowanym domem staruszki. Krzyki ustały, zastąpiła je złowieszcza cisza.

Przez uchylone drzwi zobaczył widok, który miał na zawsze wryć mu się w pamięć. Dorodny kuwacz leżał na boku z rozprutym brzuchem; wnętrzności wylewały się na ręcznie tkany dywan – lśniącą, czerwoną masą, parującą w chłodnym powietrzu. Obok, w fotelu bujanym leżała Gitta Békesi. Kobieta, która przeżyła terror biały i czerwony, koszmar dwóch wojen światowych, radzieckie czołgi w pięćdziesiątym szóstym, zarazy i plagi. Twarz miała przykrytą zgrzebną sukienką z muślinu, którą ktoś zadarł i zarzucił jej na głowę, odsłaniając zwiotczące, zmasakrowane ciało. Liczne drobne, czerwone rany od ciosów ostrym narzędziem tworzyły na skórze groteskowy wzór. Na odsłoniętych nogach i na ramionach widniały fioletowe sińce – najwyraźniej przytrzymywano ją i torturowano. Czy

ktoś chciał wydobyć od niej informacje, czy w sadystyczny sposób ukarać ją za to, że wyjawiała tajemnicę?

Jaki potwór mógł dokonać czegoś podobnego?

Twarz Jansona stężała, zdrętwiała. Podłogę i ściany upstrzyła krew zamordowanej kobiety. To musiało się wydarzyć zaledwie parę minut temu. Jej goście byli równie szybcy jak okrutni.

A gdzie ukrywali się teraz? Z pewnością niedaleko. Czy Janson miał zostać ich kolejną ofiarą?

Serce biło mu mocno, spowolnionym rytmem. Perspektywa konfrontacji z oprawcami nie napełniała go lękiem, lecz dziwnym uniesieniem. Stara kobieta była łatwym przeciwnikiem, ale ktokolwiek ją zabił, miał się przekonać, że on nim nie jest. Ogarnęło go gwałtowne uczucie gniewu, znajome, bliskie, i przez to osobliwie podnoszące na duchu. Ten gniew zaraz znajdzie ujście.

Przypomniał sobie szyderczo brzmiące słowa Dereka Collinsa: „W używaniu siły jesteś bardzo, bardzo, bardzo dobry... Mówisz, że zabijanie budzi w tobie odrazę. A ja ci powiem, co sam odkryjesz pewnego dnia: tylko w ten sposób możesz poczuć, że żyjesz”.

Nagle zabrzmiało to bardzo prawdziwie. Przez lata uciekał od własnej natury. Dziś już nie chciał. Gdy patrzył na tę rzeź, towarzyszyła mu jedna myśl: ludzie winni takiego cierpienia sami poznają, co to cierpienie.

Gdzie teraz byli?

Blisko, bardzo blisko. Bo przecież to jego szukali. Prawdopodobnie zaczęli się na wzgórzu. Miał tylko nadzieję, że Jessie zdążyła dobiec do samochodu.

Żeby właściwie ocenić sytuację, musiał spojrzeć na okolicę z góry. Zauważył, że dom zbudowano na planie litery L – pomieszczenia

mieszkalne i gospodarcze mieściły się pod jednym dachem. Po prawej stronie, nad dużym portykiem, znajdował się strych na siano, a z boku stajnie dla koni. Janson wybiegł na podwórze i wszedł po drabinie na strych. Przez klapę wydostał się na dach.

Około czterystu metrów dalej, na szczycie wzgórza, spostrzegł grupkę uzbrojonych mężczyzn. Zmierzali w stronę Jessie Kincaid. W półmroku niewyraźnie rozróżniał pojedyncze sylwetki, chociaż ich pochodzły złamane gałęzie i zdeptane trawy. Nagle z pobliskich krzaków wzbijała się w niebo z głośnym krakaniem chmara czarnych ptaków – coś musiało je wystraszyć. Chwilę później dostrzegł jakiś ruch wśród wyrosniętych drzew wokół domu i wiedział już, co to oznacza.

Dał się złapać w pułapkę.

Bandyci liczyli na to, że usłyszy krzyki kobiety. Planowali zwabić go z powrotem do jej domu.

I teraz mieli go jak na widelcu. Mogli zrobić z nim, co chcieli. Poczuł przyływ adrenaliny, nagle wyostrzyły mu się wszystkie zmysły.

Wiejski dom otaczali uzbrojeni bandyci. Powoli wyłaniali się z ciemności na podwórzu. Najwidoczniej zauważyli, jak Janson wchodzi do domu, zapewne oczekiwali, że po chwili wybiegnie. Wtedy by go dopadli. Jessie Kincaid planowali dorwać, gdy będzie biegła do samochodu; Jansona zlikwidować na ogrodzonym terenie, które stało się jego więzieniem.

Latarkami oświetlali każdy kąt starego domu. Mieli ze sobą broń, gotową do strzału. Janson stanowił teraz łatwy cel – wkrótce promień światła z latarki powinien wydobyć go z ciemności, przyczajonego na strychu.

Błyskawicznie opuścił się na dół i zeskoczył na klepisko. Mężczyźni nie osaczyli go tutaj tylko dlatego, że nie wiedzieli, czy jest uzbrojony. Czekali na właściwy moment. Postępowali nadzwyczaj ostrożnie, nie chcąc, by jego śmierć pociągnęła za sobą śmierć kogoś z nich.

Janson przebiegł przez podwórze i znów znalazł się w izbie Gitty Békesi. Rozżarzone węgle w kominku rzucały upiorną poświatę na makabryczną scenę. Jednak wrócił tu: staruszka była uzbrojona.

Ale strzelba zniknęła. No jasne. Przecież musieli ją zauważyć.

Rozbrojenie kobiety po osiemdziesiątce nie nastęczyło im trudności. Ale jeśli Békesi miała strzelbę, z pewnością trzymała gdzieś zapas naboju.

Błądzące tu i tam żółte światło latarki wlewało się przez okna do izby. Janson przywarł do podłogi. Próbowali go namierzyć. Gdyby odkryli, w której części budynku się ukrywa, otoczyliby go i zaatakowali. Ich niepewność była jego jedynym sprzymierzeńcem.

Przeczołgał się do kuchni. Naboje do strzelby – gdzie je trzymała? Same w sobie nie stanowiły broni przeciw potencjalnym napastnikom. Ale zamierzał je wykorzystać w inny sposób. Wciąż żył, ponieważ dotąd go nie namierzyli, ale mógł lepiej się postarać. Wygra, jeśli jego oprawcy popełnią błąd.

Otwierał jedną po drugiej szuflady w szafkach kuchennych: sztućce, słoiki z przyprawami, zioła. W końcu w małej spiżarni przylegającej do kuchni znalazł to, czego szukał: dziesięć pudełek naboju śrutowych Biro Super, po dwadzieścia w każdym pudełku. Wyjął kilka i przeczołgał się z powrotem do salonu.

Na zewnątrz usłyszał okrzyki w języku, którego nie rozpoznawał. Ale zrozumiał ich sens: nadciągali kolejni najemnicy. Zaraz zajmą

pozycje wokół budynku.

W żelaznym rondlu nad kominkiem, gdzie wcześniej piekły się kasztany, Janson ułożył garść naboí. W normalnych okolicznościach zapłon naboju wywoływała iglica strzelby uderzająca w spłonkę, ale ciepło kominka mogło przynieść podobny skutek.

Ogień powoli dogasał. Janson dołożył do kominka niewielkie polano i wrócił do kuchni. Umieścił na żeliwnej patelni kolejną garść naboí i włączył starą kuchenkę. Po minucie patelnia powinna dostatecznie się nagrzać.

Nastawił piekarnik. Ostatnich pięćdziesiąt ładunków ułożył na półce trzydzieści centymetrów od górnej grzałki i ustawił maksymalną temperaturę. Piekarnik miał się nagrzewać najdłużej. Zdawał sobie sprawę, że jego obliczenia są bardzo przybliżone. I że nie ma innych możliwości.

Przeczołgał się przez podwórze obok stajni i znów wspiął się na strych.

Czekał.

Przez chwilę słyszał jedynie głosy mężczyzn. Podchodzili coraz bliżej. Zajmowali bezpieczne pozycje z dala od okien, porozumiewając się za pomocą zwięzłych komend i błysków latarek. Nagle nieruchomym powietrzem wstrząsnął potężny huk, a zaraz potem cztery kolejne. W odpowiedzi rozległ się terkot z broni maszynowej i dźwięk tłuczonego szkła. Stara, wypaczona framuga okna od frontu zapewne roztrzaskała się w drzazgi.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidział: naboje ułożone nad kominkiem eksplodowały jako pierwsze. Uzbrojeni bandyci przyjęli logiczne założenie: huk wystrzałów z izby wskazywał, że znaleźli się pod ogniem. Sądziłi, że wreszcie udało się im ustalić dokładną

pozycję Jansona.

Tyle że wcale go tam nie było.

Nagłące okrzyki, sugerujące strzelaninę przed domem, zaalarmowały pozostałych intruzów.

Kolejna seria głuchych eksplozji oznaczała, że wypaliły naboje ułożone na patelni. Bandyci z pewnością uznali, że Janson wycofał się do kuchni. Przez szparę w deskach zobaczył, że pojedynczy strzelec z przewieszoną przez ramię bronią pozostał na stanowisku, podczas gdy inni pobiegli na drugą stronę budynku, żeby wesprzeć kolegów.

Janson wyjął z kieszeni małą berettę i wycelował w krzepkiego mężczyznę w kurtce khaki. Ale nie mógł jeszcze strzelić – ryzykowałby, że pozostali usłyszą wystrzał, a wówczas jego plan spaliłby na panewce. Od strony domu dobiegł odgłos ciężkich kroków mężczyzn w wojskowych butach i terkot broni maszynowej. Bandyci ostrzeliwali budynek, próbując odkryć jego kryjówkę. Janson z palcem na spuście czekał, aż nastąpi potężna eksplozja pięćdziesięciu naboju ukrytych w piekarniku, całkowicie tłumiąc wystrzał z pistoletu.

Gruchnęło. W tej samej chwili nacisnął na spust.

Przysadzisty mężczyzna się zachwiał i – niemal bezgłośnie – upadł jak długi na przykrytą liśćmi ziemię.

Na stanowisku nie było teraz nikogo. Janson otworzył drzwi z zatrasku i przeszedł nad ciałem mężczyzny, wiedząc, że nikt go nie zauważy. Przez moment rozważał, czy nie ukryć się w ciemnych zaroślach na zboczu – nieraz znikał w podobny sposób. Był pewien, że zgubiłby swoich prześladowców, a dzień czy dwa później odnalazłby się bezpieczny w jednej z pobliskich wiosek.

Tymczasem znów stanął mu przed oczami widok zamordowanej

kobiety, jej brutalnie zmasakrowane ciało, i natychmiast porzucił myśl o ucieczce. Serce waliło mu mocno. Cienie wieczoru zdawała się przesłaniać mgła czerwieni. Nachylił się nad martwym mężczyzną. Kula przeszła tuż nad linią włosów i tylko strużka krwi na czole świadczyła o tym, że strzał był śmiertelny. Janson podniósł z ziemi ładownicę z magazynkami i pistolet maszynowy i zawiesił go sobie na ramieniu.

Nie miał czasu do stracenia.

Bandyci zebrali się w domu. Przeszukiwali pomieszczenia i strzelali, gdzie popadło – do kredensów, szaf i innych potencjalnych kryjówek. Pociski rozłupywały drewno, nie natrafiając na sprawcę zamieszania.

Teraz to oni znaleźli się w pułapce.

Janson po cichu obszedł budynek, wlokąc za sobą martwego mężczyznę, i znalazł się przed drzwiami frontowymi. W przesuwających się snopach światła rozpoznał jedną, drugą, trzecią twarz. Ten widok zmroził mu krew w żyłach. Surowe, okrutne twarze. Twarze mężczyzn, z którymi pracował wiele lat temu w Wydziale Operacji Konsularnych, i do których czuł awersję nawet wtedy. Byli to ludzie nikczemni, pozbawieni elementarnej wrażliwości. Ludzie używający brutalnej siły nie w ostateczności, lecz przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ich cynizm nie był cynizmem zawiedzionego idealisty, ale wynikał z czystej chciwości i pazerności. Zdaniem Jansona nie powinni w ogóle pracować dla rządu – umniejszali jego moralną wiarygodność samą swoją obecnością. Techniczne umiejętności, jakie demonstrowali w akcji, miały kompensować całkowity brak wyrzutów sumienia i kompletne lekceważenie zasad prawnych podczas realizacji niezbyt szczytnych zleceń.

Nałożył swoją kurtkę na martwego bandytę i oparł go o pień rozłożystego kasztana. Sznurówkami przywiązał mu do przedramienia latarkę. Szybko wydłubał niewielkie drzazgi i umieścił je między powiekami, tak by mężczyzna miał otwarte oczy. Podstęp wydawał się dosyć prymitywny, ale w wieczornym mroku, na pierwszy rzut oka, postać przypominała Jansona, a w końcu o to mu chodziło. Wystrzelił w stronę już roztrzaskanych okien izby serię z pistoletu maszynowego. Trzej bandyci zatrzęśli się w potwornych drgawkach, gdy pociski przebijały przepony, jelita, aorty, płuca. Nieoczekiwana seria z broni maszynowej zaalarmowała pozostałych.

Janson podpełznął do drzewa, włączył latarkę w rękę martwego mężczyzny i przemknął bezgłośnie za duży głąz, skryty w ciemnościach. Czekał.

– Tam! – krzyknął któryś.

Postać pod drzewem natychmiast zwróciła ich uwagę. Widzieli jedynie światło latarki, burą kurtkę i szeroko otwarte oczy przyczajonego mężczyzny. Zareagowali momentalnie.

Właśnie tego się spodziewał. Terkot broni maszynowej niemal go ogłuszył. Bandyci wladowali w ciało martwego kolegi setki pocisków.

Hałas oraz ich wściekła determinacja działały na jego korzyść – z małej beretty oddał cztery precyzyjne strzały. Od bandytów dzieliło go ledwie dziesięć metrów, nie mógł chybić. Czterej mężczyźni osunęli się bezwładnie na ziemię.

Został jeszcze jeden. Janson obserwował jego profil za zasłoną na pięterku. Wysoki, z krótko obciętymi, kręconymi włosami, nienaturalnie wyprostowany. Jeden z tych, których twarze Janson rozpoznał. Sposób, w jaki się poruszał – sztywno, zdecydowanie... Dowodził nimi. Co do tego nie było wątpliwości.

Przypomni ł sobie jego nazwisko: Simon Czerny. Agent

Wydzia u, specjalista od tajnych operacji. Spotkali si  par  razy w Salwadorze, w po owie lat osiemdziesi tych. Janson nawet wtedy uwa ał go za gro nego cz owieka, kt ry bezpiecze stwo cywil w mia  w g ebokiej pogardzie.

Mimo wszystko nie powinien go zabija . Najpierw musia  z nim porozmawia .

Ale czy to w og ole by o mo liwe? Ten m czyzna wydawa  si  sprytniejszy od innych. Poj ł wybieg Jansona szybciej ni  pozostali. Pierwszy zwietrzy  podst p i zawezwa  koleg w. Instynkt go nie zawi d . Taki cz owiek nie wystawi by si  tak  atwo na niebezpiecze stwo. Teraz gra  na zw ok .

Jednak Janson nie zamierza  pozwoli  mu na ten luksus.

Herszt na chwil  znikn ł mu z pola widzenia. Janson podbieg  do największej izby. Wsz dzie le a o pot uczony szk o, na kominku osiad a sadza z eksploduj cych nabo i. Szybki kredensu roztrzaska y pociski z broni maszynowej.

Spostrzeg  g sior zab jczej palinki. Szk o p k o w jednym miejscu, zapewne dra ni te pociskiem, ale si  nie st uk o. Janson wiedzia , co robi . Obszuka  jednego z zastrzelonych bandyt w i znalaz  przy nim zapalniczk . Rozla  alkohol w pokoju i korytarzu prowadz cym do kuchni, i podpali . W ci gu kilku sekund b kitnawy ogie  rozprzestrzeni  si  po izbie, a gdy zaj y si  zas ony, gazety i wyplatane krzes a, do niebieskich p omieni do aczy y z lte. Wkr tce mia y si  zapali  ci zsze meble, deski pod ogi, drewniany strop i pok j na pi trze.

Janson odczeka , a  po ar przybierze na sile. Niebiesko-z lte j zyki powoli tworzy y wezbrane morze ognia. Na w skich schodkach

pojawiły się kłęby dymu.

Simon Czerny musiał dokonać wyboru – choć tak naprawdę go nie miał: gdyby został w pokoju na górze, zginąłby w płomieniach, a ściana ognia uniemożliwiła mu ucieczkę przez okno na podwórze. Jedyna droga ewakuacji prowadziła schodami w dół do frontowego wyjścia.

Mimo wszystko Czerny – wytrawny zawodowiec – na pewno domyślał się, że Janson będzie czekał na niego na zewnątrz. I był przygotowany na tę ewentualność.

Paul usłyszał jego ciężkie kroki szybciej, niż się spodziewał. Gdy Czerny stanął w progu, wystrzelił serię pocisków, obracając się na boki. Gdyby ktoś faktycznie czaił się przed domem, zostałby rażony z wściekle terkoczącej broni maszynowej. Tymczasem Janson podziwiał skuteczność i przezorność Czerny’ego zza jego pleców.

Wysunął się z kryjówki za schodami i znalazł się niebezpiecznie blisko szalejącego ognia – w jedynym miejscu, gdzie bandyta się go nie spodziewał.

Na podwórze znowu spadł grad kul. Janson rzucił się do przodu, zacisnął ramię na szyi Czerny’ego i wyrwał mu broń. Tamten wierzgał gwałtownie, ale Janson czuł niepohamowaną wściekłość. Z całej siły uderzył go w nerkę prawym kolanem, po czym zawlókł na kamienny ganek. Nogami objął go w pasie i odgiął mu szyję.

– Musimy pogadać – wysyczał mu prosto do ucha.

Niemal nadludzkim wysiłkiem woli Czerny dźwignął się i odepchnął Jansona. Ruszył pędem przed siebie, z dala od płonącego domu. Janson popędził za nim, zablokował go ramieniem i znowu powalił na ziemię. Wykręcił mu rękę i obrócił na plecy. Czerny jęknął z bólu.

– O czym to ja mówiłem? A, właśnie. Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę usłyszeć, możesz stracić głos na zawsze. – Janson wyszarpnął mu zza pasa wielki nóż. – Obedrę cię ze skóry. Rodzona matka cię nie pozna. Przyznaj się. Nadal pracujesz dla Wydziału?

Czerny zaśmiał się gorzko.

– Cholerne wyrośnięte harcerzyki. Obwoźni sprzedawcy ciastek, tylko do tego się nadawali.

– A ty? Do czego się nadajesz?

– Wyjaśnij mi coś. Potrafisz spojrzeć na siebie w lustrze? Zawsze byłeś dupkiem. Pieprzonym zdrajcą. Ktoś kiedyś próbował ci pomóc. Prawdziwy bohater. A ty jak mu się odwdzięczyłeś? Zdradziłeś go, wydałeś, postawiłeś przed plutonem egzekucyjnym. To ty powinieneś tam stać, skurwielu! Ciebie powinni rozstrzelać w Mesa Grande!

– Ty kanalio! – ryknął Janson z odrazą. Zakreśliło mu się w głowie. Przyłożył nóż do zarośniętego policzka mężczyzny. Groźba była realna. – Pracujesz dla mścicieli z Da Nang?

– Chyba żartujesz!

– Więc dla kogo? Do jasnej cholery! Dla kogo pracujesz?!

– A ty? – Mężczyzna zakasłał. – Nawet nie wiesz. Wgrali ci program, jak w pieprzony laptop.

– Czas wypić piwo, którego się nawarzyło – stwierdził Janson lodowatym tonem. – Albo stracisz twarz.

– Tak ci namieszali w głowie, że nie wiesz, na czym stoisz, Janson. I nigdy się nie dowiesz.

– Stój! – usłyszał Janson za plecami. Obejrzał się i zobaczył grubego oberżystę, z którym rozmawiali wcześniej tego dnia.

Tym razem nie miał na sobie białego fartucha. W dużych czerwonych rękach ścisnął dubeltówkę.

– Czy nie tak zawsze mówią w waszych durnych filmach? Powiedziałem wam, że nie jesteście tu mile widziani – ciągnął z marsową miną. – Przekonacie się, jak traktujemy intruzów.

Janson usłyszał, że ktoś ku nim biegnie, przeskakuje przez gałęzie i gałęzie, nurkuje w zaroślach. Nawet z tej odległości rozpoznał gibką sylwetkę i sprężysty krok: Jessie Kincaid z karabinem snajperskim na plecach.

– Rzuć ten cholerny złom! – zawołała. W dłoni trzymała pistolet.

Węgier nawet się nie obejrzał. Ostrożnie napiął kurki broni, która chyba pamiętała drugą wojnę światową.

Jessie wymierzyła w jego głowę i oddała jeden precyzyjny strzał. Gruby mężczyzna upadł na plecy jak ścięte drzewo.

Janson chwycił za strzelbę i zerwał się na nogi.

– Straciłem cierpliwość, Czerny. A ty sojuszników.

– Nie rozumiem.

Kincaid pokręciła głową.

– Załatwiłam na wzgórzu czterech dupków. – Przykucnęła na ziemi obok Czerny'ego. – To twoi chłopcy, prawda? Tak myślałam. Zachowywali się niegrzecznie.

W oczach mężczyzny błysnął lęk.

– Że też ten barman się tu zjawił. Można by pomyśleć, że nie daliśmy mu napiwku.

– Niezły strzał – pochwalił Janson, rzucając jej strzelbę.

Jessie wzruszyła ramionami.

– Od początku mi się nie podobał.

– Harcerzyki – burknął Czerny. – Zdobywają kolejne sprawności, podczas gdy świat płonie.

– Spytałem jeszcze raz. Dla kogo pracujesz?

– Dla tej samej osoby co ty.

– Jaśniej.

– Teraz wszyscy dla niego pracują. Ale tylko niektórzy o tym wiedzą. – Zaśmiał się oschłym, nieprzyjemnym śmiechem.

– Wydaje ci się, że masz przewagę. Nic bardziej mylnego.

– Przekonajmy się – rzucił Janson. Postawił nogę na szyi Czerny'ego, nie napierając, lecz dając do zrozumienia, że w każdej chwili gotów jest ją zmiążdżyć.

– Frajer z ciebie. Cały rząd Stanów Zjednoczonych chodzi u niego na pasku. To on dyktuje warunki. Naprawdę jesteś taki naiwny?

– Co chcesz przez to powiedzieć, do cholery?

– Pamiętasz, jak na ciebie mówili: Maszyna. Jakbyś nie posiadał ludzkich odruchów. Maszyny mają jeszcze jedną wspólną cechę. Można je zaprogramować, żeby robiły to, co chcemy.

Janson z całej siły kopnął go w zębra.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie gramy w „Milionerów”. Gramy w „Prawda czy fałsz”.

– Jesteś jak ci japońscy żołnierze w grotach na Filipinach, którzy nie wiedzieli, że wojna się skończyła, a oni przegrali. Skończyła się, jasne? Przegrałeś.

Paul nachylił się i przystawił mu do twarzy czubek noża. Pod lewym policzkiem narysował zygzakowatą linię.

– Dla. Kogo. Pracujesz – wycedził przez zęby.

Najemnik zamrugnął oczami, załzawionymi od bólu.

Najwyraźniej dotarło do niego, że nikt nie przyjdzie mu w sukurs.

– Idź na całość, kochany – rzuciła Jessie do partnera.

– Prędzej czy później wszystko wyśpiewasz – rzekł Janson. – Tylko od ciebie zależy, czy... zachowasz twarz.

Czerny zamknął oczy i zacisnął usta w wyrazie zdecydowania. Gwałtownym ruchem chwycił rękojeść i wyszarpnął nóż Jansonowi. Ten cofnął się, a Jessie postąpiła krok do przodu z wycelowanym w zbira pistoletem. Ale żadne z nich nie przewidziało jego następnego ruchu.

Mężczyzna przyłożył nóż do swojej szyi i drżącą ręką przeciągnął po niej ostrzem. W niecałe dwie sekundy przeciął żyły i tętnice, i stracił przytomność. Krew trysnęła w górę, po czym spłynęła na pierś. Serce przestało bić.

Poderżnął sobie gardło, byle tylko uniknąć dalszego śledztwa. Po raz pierwszy od przeszło godziny Janson poczuł, jak opuszcza go wściekłość, ustępując miejsca konsternacji i niedowierzaniu. Zdawał sobie sprawę, co oznaczał taki rozwój wypadków: Czerny wolał śmierć od konsekwencji wyjawienia prawdy. Tych bandytów ktoś trzymał prawdziwie silną ręką – ktoś, kogo panicznie się bali.

Miliony dolarów w banku na Kajmanach. Wyrok wydany na Jansona przez Wydział Operacji Konsularnych. Peter Novak, który nigdy nie istniał. Który zginął, po czym powrócił. Groteskowa parodia Mesjasza. Węgierski Chrystus.

Lub może antychryst.

I ci mężczyźni, dawni członkowie Wydziału Operacji Konsularnych. Janson pamiętał ich jak przez mgłę i to niejasne wspomnienie nie przestawało go dręczyć. Kim byli? Czy naprawdę dawnymi agentami? Czy też obecnymi?

Rozdział 28

Podróż do Sarospatak zajęła im tylko dwie godziny, ale były to godziny pełne napięcia. Janson wciąż wypatrywał, czy ktoś ich nie śledzi. Już w mieście minęli Gimnazjum Arpadów z misterną, sklepioną fasadą – część tutejszego kompleksu uczelnianego. W końcu zatrzymali się przed *kastety szalloda*, gdzie w dawnej ziemiańskiej rezydencji urządzono hotel.

Recepcjonista – mężczyzna w średnim wieku z zapadniętą klatką piersiową i zajęczym zgryzem – ledwie zerknął na nich i na dokumenty.

– Mamy tylko jeden wolny pokój – powiedział. – Z dwoma łózkami. Może być?

– Doskonale – odparł Janson.

Mężczyzna wręczył mu staroświecki klucz hotelowy z mosiężnym obciążnikiem.

– Śniadanie podajemy od siódmej do dziewiątej – poinformował. – Życzę miłego pobytu w Sarospatak.

– Piękny kraj – zagadnęła Jessie.

– Miło mi to słyszeć – odparł recepcjonista ze zdawkowym uśmiechem, nie pokazując zębów. – Jak długo państwo zostaną?

– Tylko jedną noc – odrzekł Janson.

– Pani Pimsleur na pewno zechce zwiedzić zamek – stwierdził, jakby dopiero teraz zauważył Jessie. – Imponujące fortyfikacje.

- Faktycznie, mijaliśmy zamek po drodze – przyznał Janson.
- Z bliska jeszcze bardziej robi wrażenie.
- Jak większość rzeczy – uciął Janson.

Pierwszych dwadzieścia minut w skąpo umeblowanym pokoju Jessie spędziła, rozmawiając przez jego telefon komórkowy. Trzymała przed sobą kartkę z nazwiskami agentów, których rozpoznał w Molnar. Kiedy się rozłączyła, na jej twarzy odmalował się wyraz niepokoju.

– No więc? Co ci powiedział twój chłopak? Dawni agenci czy obecni?

- Chłopak? Gdybyś go zobaczył, nie byłbyś zazdrosny.
- Zazdrosny? Nie pochlebiaj sobie.

Jessie przewróciła oczami.

- Chcesz wiedzieć? Dawni.
- Emerytowani?
- Nie.

– Więc co?

- Oficjalne akta mówią, że nie żyją. Prawie od dziesięciu lat.
- Nie żyją? Tak ci powiedzieli?

– Pamiętasz eksplozję w Omanie? W Qadal? – W Qadal była baza amerykańskiej piechoty morskiej i główna jednostka wywiadu w Zatoce Perskiej. W połowie lat dziewięćdziesiątych terroryści zaatakowali bazę, zabijając czterdziestu trzech amerykańskich żołnierzy. Na miejscu pracowało również kilkunastu „analityków” z Departamentu Stanu. Oni także zginęli.

- Jedna z tych „niewyjaśnionych” tragedii – zauważył Janson.
- Tak czy siak, wszyscy, których wymieniłeś z nazwiska, wedle oficjalnych raportów zginęli w tamtym zamachu.

Janson zmarszczył brwi. Próbował zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał. Operacja terrorystów w Omanie najwyraźniej była tylko przykrywką. Pozwoliła zniknąć całej rzeszy agentów, którzy po pewnym czasie znów wypłynęli na powierzchnię – tym razem, być może, pod innym dowództwem. Dla kogo teraz pracowali? Jaka tajemnica kazała Czerny'emu poderżnąć sobie gardło? Czy zrobił to ze strachu, czy z przekonania?

Jessie przez chwilę chodziła tam i z powrotem po pokoju.

– Nie żyją, a jednak żyją, tak? Czy jest możliwe, że Peter Novak, którego widzieliśmy w telewizji, to ten sam Peter Novak? Abstrahując od tego, kim naprawdę jest? Czy jest możliwe, że... Nie wiem, a jeżeli nie wszedł na pokład tamtego samolotu? Pojawił się na chwilę, a potem się ulotnił?

– Przecież byłem tam, wszystko widziałem... Nie pojmuję tego... – Janson powoli pokręcił głową. – Wciąż to sobie przypominam. Niewyobrażalne...

– Niewyobrażalne nie znaczy niemożliwe. Musimy w jakiś sposób udowodnić, że to ten sam mężczyzna.

Jessie rozpostarła na fornirowanym blacie stołu zdjęcia Novaka z minionego roku, które ściągnęła z internetu w domku Alasdaira Swifta. Jedno z nich – to z wiadomości w CNN – ukazywało filantropa na ceremonii, w trakcie której wręczał nagrodę kobiecie z Kalkuty. Jessie przyjrzała mu się przez lupę.

– Czego właściwie szukasz?

– Wiem, co widziałeś. Ale chcę ci udowodnić, że mamy do czynienia z tym samym mężczyzną. Nawet chirurg plastyczny nie zdołał takich cudów.

Dziesięć minut później wykrzyknęła:

– Jezu Chryste!

Odwróciła się do niego z pobladłą twarzą.

– Biorąc pod uwagę pewne optyczne zniekształcenia... Z początku myślałam, że tylko o to chodzi. Ale jest coś więcej. Faceci na tych fotografiach... różnią się wzrostem. Różnice są nieznaczne, ale są. O tutaj, stoi obok dyrektora Banku Światowego. A tu też obok niego, wygląda na to, że na obu fotografiach są w tych samych butach. Nie wiem, na obcasach? Popatrz. Całkiem inaczej układu ramiona i udo...

– Wskazała palcem zdjęcie, na którym Peter Novak wita się z premierem Republiki Słowenii. Nogawka szarych spodni marszczyła się w zgięciu kolana pod innym kątem. – Niby te same rozmiary, a jednak całkiem inne. Coś tu jest nie tak.

– Co?

Jessie pochyliła się z linijką nad albumem, który kupiła w Budapeszcie.

– Różnica w długości między palcem wskazującym a serdecznym jest za każdym razem inna. Zdjęcia można retuszować, ale obrączkę powinien mieć zawsze na tym samym palcu.

Janson przyjrzał się fotografiom.

– Długość kości śródrezcza i czworobocznej – mruknął. – To kolejna wskazówka. Sprawdź to. I łopatki. Widać je przez koszulę. Przyjrzyjmy się temu.

Z linijką i lupą Jessie szukała – i znajdowała – drobne fizyczne rozbieżności. Inna długość palców, ramion, inna odległość podbródka od grdyki. Ich sceptycyzm topniał w miarę jak przybywało przykładów.

– Pytanie brzmi: kim jest ten człowiek? – Jessie ponuro pokręciła głową.

– Raczej kim są ci ludzie.

Jessie podparła palcami skronie.

– Dobrze, pójdźmy następującym tropem. Załóżmy, że chcesz zabrać wszystko, co ten facet ma. Eliminujesz go i zajmujesz jego miejsce, ponieważ w jakiś sposób sprawiłeś sobie identyczny wygląd – prawie. Teraz żyjesz jego życiem. To, co należało do niego, należy do ciebie. Genialne. A żeby upewnić się, że ujdzie ci to płazem, występujesz publicznie, udając tego gościa. Coś w rodzaju próby generalnej.

– Ale czy prawdziwy Peter Novak nie zwietryłby tego przekrętu?

– Może tak, może nie. Załóżmy, że zdobyłeś na niego haka, znasz fakty, które wolałby zachować w sekrecie. Szantażujesz go. To miałyby sens.

– Kiedy brakuje logicznego wyjaśnienia, nawet te nielogiczne wydają się przekonujące.

– No tak. – Jessie westchnęła.

– Wypróbujmy inny trop. Za nic nie udaje mi się skontaktować z Novakiem, a w każdym razie z nikim, kto się za niego podaje. Czy znamy kogoś, kto może coś wiedzieć?

– Ludzie, którzy próbują cię powstrzymać niekoniecznie, ale ten, kto wydaje rozkazy...

– Właśnie. I chyba wiem, kto to jest.

– Masz na myśli Dereka Collinsa. Szefa Wydziału.

– Nikt nie wysłał Lambdy bez jego zgody. Nie wspominając o innych siłach zaangażowanych w operację. Najwyższy czas, żebym złożył mu wizytę.

– Posłuchaj. – Głos Jessie zabrzmiał nagłąco. – Lepiej trzymaj się od niego z daleka. Jeśli Collins chce twojej śmierci, nie wyjdiesz

stamtąd żywy.

– Znam go – powiedział Janson. – Wiem, co robię.

– Ja też go znam. Idziesz w paszczę lwa. To czyste szaleństwo!

– Nie mam wyjścia.

Jessie westchnęła ciężko.

– Kiedy ruszamy? – spytała.

– Nie „my”. Ja sam.

– Twoim zdaniem nie jestem dość dobra?

– Wiesz, że nie o to chodzi. Chcesz potwierdzenia? Jesteś dobra, Jessie. Jesteś świetna. To chciałaś usłyszeć? Jak Boga kocham, jesteś bystra, szybka, potrafisz się przystosować, nie tracisz zimnej krwi. Nie znam lepszego snajpera. Co nie zmienia faktu, że to, co planuję, muszę wykonać sam. Nie możesz ze mną jechać. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie się narażała.

– Ty też nie powinieneś tego robić. Chcesz wejść do klatki lwa, a nie masz nawet taboretu i pejcza.

– Pójdzie jak z płotka, zobaczysz – powiedział z przekornym uśmiechem.

– Chyba nie gniewasz się na mnie za Londyn?

– Jessie, chciałbym, żebyś zrobiła rozpoznanie w biurze fundacji w Amsterdamie. Wkrótce do ciebie dołączę. Nie powinniśmy lekceważyć prawdopodobieństwa, że jednak znajdziemy tam coś – lub kogoś. A jeśli chodzi o Collinsa, dam sobie radę. Będzie dobrze.

– Wiesz, co myślę? Po prostu boisz się mnie narażać. Gdzie się podział twój profesjonalizm?

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Do diabła, pewnie masz rację. – Jessie umilkła na chwilę, odwracając wzrok. – Może nie jestem jeszcze gotowa.

Nagle spostrzegła na wierzchu prawej dłoni zaschniętą plamkę krwi. Przyjrzała się jej z odrazą.

– Dzisiaj na wzgórzach...

– Zrobiłaś, co musiałaś. Gdybyś ich nie zabiła, oni zabiliby ciebie.

– Wiem – przyznała. Jej głos zabrzmiał głucho.

– Nikt nie twierdzi, że masz to lubić. Nie musisz się wstydzić swoich uczuć. Odebranie życia drugiemu człowiekowi to największa odpowiedzialność. Próbowałem od niej uciec przez ostatnich pięć lat. Ale jest jeszcze inna prawda, o której należy pamiętać: czasem tylko zabójcza siła zdoła pokonać inną zabójczą siłę. Nawet jeśli fanatycy i szaleńcy próbują wykorzystać tę prawdę dla swoich wypaczonych celów. Postąpiłaś właściwie, Jessie. Uratowałaś sytuację. Uratowałaś mnie. – Posłał jej krzepiący uśmiech.

– Nie do twarzy ci z tą wdzięcznością. Uratowaliśmy siebie nawzajem. Jesteśmy kwita.

– Jesteś snajperką czy biegłą księgową?

Zaśmiała się smutno, zerkając na zaschniętą krew. Przez chwilę milczała.

– Wiesz, po prostu nagle przyszło mi do głowy, że każdy z tych facetów też miał mamę i tatę – powiedziała w końcu.

– Nauczysz się o tym nie myśleć.

– To dobrze?

– Nie wiem. – Janson przełknął ślinę. – Czasem tak trzeba.

Jessie zniknęła w łazience i długo brała prysznic.

Kiedy wróciła do pokoju, miała na sobie frotowy szlafrok, który opinał jej szczupłe, lecz intrygująco krągłe ciało. Usiadła na łóżku pod oknem. Janson był zaskoczony, jak delikatnie i kobieco teraz wyglądała.

- Czyli że rano mnie zostawisz?
- Nie nazwałbym tego w ten sposób – odparł Janson.
- Zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę.
- Daj spokój, Jessie. Nie myśl tak.
- Może powinniśmy wykorzystać ten dzień. A raczej noc. „Rwijcie róż paki póki młode²”, czy coś w tym rodzaju. – Wyglądała na pełną obaw. Co do niego i siebie samej. – Mam dobry wzrok. Wiesz o tym. Nie potrzebuję lunety, żeby zobaczyć to, co widać jak na dłoni.
- Co widać?
- Jak na mnie patrzysz.
- Nie rozumiem.
- Ejże, teraz twój ruch, żołnierzu. Przyznaj, że bardzo ci ją przypominam. Twoją zmarłą żonę.
- Prawdę mówiąc, w ogóle nie jesteś do niej podobna. Milczała przez chwilę.
- Czujesz się przy mnie nieswojo. Nie próbuj zaprzeczać.
- Nie wydaje mi się.
- Przeżyłeś półtora roku tortur i przesłuchań w obozie jenieckim Wietkongu, ale wzdrygasz się, kiedy podchodzę za blisko.
- Wcale nie. – Zaszło mu w ustach.
- Wstała i zaczęła powoli iść w jego stronę.
- Rozszerzają ci się źrenice, rumienisz się, serce bije ci szybciej. – Wzięła go za rękę i położyła ją sobie na szyi. – Ze mną jest tak samo. Czujesz?
- Agent nie powinien niczego zakładać z góry – bąknął Janson. Czuł, jak pod ciepłą, aksamitną skórą jej serce bije w rytmie zgodnym z jego własnym.
- Pamiętam, co kiedyś napisałeś o współpracy między agencjami

z różnych krajów. „Dla efektywnej współpracy sojuszniczej konieczne jest rozwiązanie wszelkich napięć poprzez swobodną wymianę poglądów”. – W jej roześmianych oczach nagle pojawiło się coś jeszcze. Płomień. – Pomyśl o swojej ojczyźnie.

Podeszła jeszcze bliżej i rozchyliła poły szlafroka. Poczł rozkoszne mrowienie w lędźwiach, gdy patrzył na jej pełne piersi, na nabrzmiące z podniecenia sutki. Nachyliła się i ujęła jego twarz w dłonie. Utkwiła w nim roziskrzzone spojrzenie.

– Jestem gotowa przyjąć pańską misję dyplomatyczną.

– Regulamin surowo zakazuje fraternizacji – zdołał jeszcze wyrecytować Janson, kiedy zaczęła rozpinać mu koszulę.

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Nazywasz to fraternizacją? – spytała, zrzucając z ramion szlafrok.

– Daj spokój, wszyscy wiedzą, że jako agent nie masz sobie równych w penetracji.

Owionął go delikatny zapach jej skóry. Miękkimi, wilgotnymi ustami powędrowała do jego ust. Palcami głaskała go czule po policzkach, podbródku, uszach. Przyłgnęła do niego miękkimi, lecz jędrnymi piersiami, i oplotła go nogami, równie silnymi jak jego.

Nagle zadrzała, jej ciałem wstrząsnął szloch. Delikatnie odchylił do tyłu jej głowę. Twarz miała mokrą od łez. Zobaczył w jej oczach ból i strach. I wstyd, że tak się przed nim odstąpiła.

– Jessie – wyszeptał łagodnie. – Jessie.

Pokręciła głową bezradnie i wtuliła się mocniej w jego umięśnioną pierś.

– Jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna – wyszeptała. – I nigdy tak się nie bałam.

– Nie jesteś sama. A strach jest czymś, co utrzymuje nas przy życiu.

– Nie wiesz, co to strach.

Pocałował ją czule w czoło.

– Mylisz się. Cały czas się boję. Dlatego wciąż jeszcze tu jestem. Dlatego teraz jesteśmy tu razem.

Przyciągnęła go do siebie z dziką siłą.

– Kochaj się ze mną. Chcę czuć to co ty. Teraz. Zaraz.

Dwa splecione ze sobą ciała opadły na zasłane hotelowe łóżko, rozpalone niemal desperacką namiętnością, naprężone i drżące, aż do chwili pełnego zespolenia.

– Nie jesteś sama, kochanie – wyszeptał Janson. – Żadne z nas nie jest. Już nie.

• • •

Oradea, w najbardziej wysuniętej na zachód części Rumunii, znajdowała się o trzy godziny jazdy samochodem od Sarospatak. Jak wiele wschodnioeuropejskich miast zawdzięczała swoje piękno powojennej biedzie. Wspaniałe dziewiętnastowieczne domy zdrojowe i secesyjne kamienice zachowały się tylko dlatego, że brakowało funduszy, żeby je wyburzyć i zastąpić preferowaną po wojnie „nowoczesną” architekturą komunistyczną. Wystarczyło spojrzeć na anonimowy, nijaki port lotniczy, jeden z setek, jakie wybudowano w Europie, żeby docenić bogactwo, które ocalało.

W terminalu piątym mężczyzna w niebiesko-żółtym uniformie przyciskał do piersi podkładkę z papierami, które furkotały na wietrze. Samolot DHL, boeing 727 przystosowany do lotów transportowych, miał za chwilę odlecieć na lotnisko Dulles pod Waszyngtonem. Inspektor techniczny towarzyszył pilotowi w drodze do maszyny. Drobiazgowo sprawdzał checkliście. Czy pokrywy

silników dobrze dokręcone? Czy w łopatkach turbin nie ma przypadkiem obcych ciał? Czy zawlecзки w piastach podwozia znajdują się na swoich pozycjach, a ciśnienie w oponach jest odpowiednie? A lotki i stery funkcjonują bez zarzutu?

Wreszcie inspekcja dobiegła końca. Członkowie obsługi naziemnej skierowali się do samolotu, który latał na krótkich dystansach z Oradei do innych prowincji. Pilot boeinga dostał pozwolenie na start. Nikt nie spostrzegł, że mężczyzna w niebiesko-żółtym uniformie został na pokładzie.

Dopiero gdy osiągnęli wysokość przelotową, Janson zdjął nylonową kurtkę inspektora i ułożył się wygodnie w kabinie. Samolot leciał teraz z włączonym autopilotem. Kapitan odwrócił się do starego przyjaciela. Dwadzieścia lat temu Nick Milescu latał na myśliwcach w Amerykańskich Siłach Specjalnych, a okoliczności, w jakich się poznali, połączyły ich silnym i trwałym węzłem lojalności. Janson nie musiał niczego wyjaśniać, a Milescu o nic nie pytał. Cieszył się, że może wyświadczyć mu przysługę, chociaż spłacał w ten sposób ledwie ułamek długu wdzięczności.

Na lotnisku żaden z nich nie zauważył – nie mógł zauważyć – mężczyzny o kwadratowej twarzy, który snuł się w pobliżu rampy załadowniczej. Czujne spojrzenie surowych oczu kłóciło się ze znudzoną, zblazowaną miną. Nie mogli też usłyszeć, jak mężczyzna rozmawia przez komórkę. Obiekt zidentyfikowany. Plan lotu potwierdzony. Port przeznaczenia potwierdzony.

– Z tyłu mamy leżankę, gdybyś chciał się położyć – powiedział Milescu. – Czasem korzysta z niej drugi pilot. Lot z Oradei do Waszyngtonu trwa dziesięć godzin.

Za to od lotniska do domu Dereka Collinsa Janson mógł w miarę

szybko dojechać samochodem. Może Jessie miała rację i nie wyjdzie z tego spotkania żywy. Mimo wszystko musiał podjąć to ryzyko.

– Chętnie się zdrzemnę – przyznał.

– Jesteśmy tu tylko ja, ty i kilka tysięcy korporacyjnych notatek służbowych. Pogoda jak drut. Nic nie powinno zakłócić ci snu. – Milesu uśmiechnął się do starego przyjaciela.

Janson odwzajemnił uśmiech. Pilot nie mógł wiedzieć, jak bardzo się myli.

• • •

Strażnik Wietkongu był pewien, że amerykański jeniec nie żyje.

Tamtego ranka Janson leżał na ziemi z dziwnie przekrzywioną głową. Nie reagował na chmary much, które zbierały się wokół jego nosa i ust. Oczy miał na wpół zamknięte, jak nieboszczyk. Czyżby głód i choroby ostatecznie dokończyły dzieła?

Wietnamczyk otworzył klatkę i szturchnął więźnia butem. Żadnej reakcji. Pochylił się i położył mu rękę na szyi.

Musiał być wstrząśnięty i przerażony, gdy jeniec, chudy niczym drewniany pajac na sznurku, nagle objął go nogami w pasie jak kochanka, wyszarpnął mu pistolet i trzasnął go ręką w głowę. Trup ożył. Po kolejnym ciosie wartownik opadł bezwładnie na ziemię. Janson wymknął się chyłkiem i zniknął w zaroślach dżungli. Obliczył, że minie kwadrans, zanim inni wartownicy uderzą na alarm i spuszczą psy. Chociaż dla psów gęsta dżungla mogła okazać się nie do przebycia. Sam z trudem brnął wśród zarośli, które rozcinał nożem mechanicznymi ruchami, jak robot. Jakimś cudem – może siłą woli – utrzymywał się na nogach, pokonując słabość.

Powoli, krok za krokiem.

Wiedział, że obóz Wietkongu znajduje się w regionie Tri-Thien w Wietnamie Południowym. W dolinie roiło się od partyzantów. Z drugiej strony, przemierzał wyjątkowo wąski skrawek lądu: od granicy z Laosem na zachodzie do morza na wschodzie było nie więcej niż dwadzieścia pięć kilometrów. Musiał przedostać się na wybrzeże, a stamtąd na Morze Południowochińskie.

Tam będzie bezpieczny. Zdoła wrócić do domu.

Daleka droga? Trudno. Nikt nie zamierzał go ratować, teraz już o tym wiedział. Tylko sam mógł siebie ocalić.

Teren, po którym szedł, wznosił się i opadał, aż wreszcie, następnego dnia, Janson znalazł się na brzegu szerokiej rzeki. Powoli, krok za krokiem. Ostrożnie stawiając stopy, zaczął brodzić w brązowej, ciepłej wodzie. Odkrył, że nawet w najgłębszych miejscach sięga gruntu. Dobrnął już prawie do połowy nurtu rzeki, gdy na drugim brzegu spostrzegł wietnamskiego chłopca. Zamknął oczy, znużony, a kiedy znów je otworzył, chłopca nie było.

Halucynacja? Tak, na pewno. Po prostu wyobraził go sobie. Co jeszcze podsuwała mu wyobraźnia? Uciekł naprawdę, czy tylko mu się to śniło? Może pobyt w ciasnej bambusowej klatce zrujnował mu nie tylko ciało, ale i umysł? A jeśli śnił, to czy chciał się obudzić? Być może tylko w ten sposób mógł uciec – po co miałyby wracać na jawę?

Osa przysiadła mu na ramieniu i użądliła go. Piekący ból przyniósł mu osobliwe poczucie ulgi – skoro go czuł, to przecież nie śnił. Znów zamknął i otworzył oczy. Znów spojrzął na drugi brzeg. Stało tam teraz dwóch mężczyzn. Nie, trzech. Jeden z nich uzbrojony w kałasznikowa. Mętną wodę wzburzyła ostrzegawcza seria pocisków. Ogarnięty falą zmęczenia, Janson powoli podniósł ręce do góry. We wzroku strzelca nie było litości ani nawet ciekawości. Wyglądał jak

farmer, który złapał we wnyki nornicę.

•••

Jako pasażerka Museumboot, specjalnej łodzi z przeszklonym dachem, kursującej między muzeami Amsterdamu, Jessica Kincaid nie wyróżniała się spośród innych turystów, a przynajmniej miała taką nadzieję. Było ich tu pełno – rozgadani, zagapieni, filmowali kamerami wideo muliste kanały miasta. Jessie zerknęła na krzykliwy folder: „Naszą łodzią dopłyniesz do najważniejszych muzeów, ulic handlowych i centrów rozrywki”. Kincaid nie wybierała się na zakupy i nie zamierzała zwiedzać muzeów, ale nie umknęło jej uwadze, że na trasie rejsu znajduje się Prinsengracht. Niewidoczna w tłumie turystów – jawnych gapiów – mogła ukradkiem obserwować siedzibę Fundacji Wolności.

Łódź zakręciła, a oczom Jessie ukazał się reprezentacyjny budynek fundacji z siedmioma oknami wykuszowymi. Wyglądał tak niewinnie. A jednocześnie plugawo, jakby podmywały go miejskie nieczystości.

Od czasu do czasu podnosiła do oczu aparat fotograficzny z teleobiektywem – typowy sprzęt turysty amatora. To na początek. Musiała się zorientować, jak zbliżyć się do biura fundacji, nie zwracając na siebie uwagi. Znaleźć odpowiedni punkt obserwacyjny.

Znów potrąciła ją para niesfornych nastolatków, dzieci koreańskiej pary. Rodzice sprawiali wrażenie zmęczonych. Matka trzymała w ręku torbę, pomalowaną w słoneczniki, w której schowała pamiątki z muzeum van Gogha. Jej mąż miał zapuchnięte oczy i słuchawki na uszach – zapewne słuchał przewodnika w wersji audio, nagranej w języku koreańskim. „Po lewej widzą państwo... Po prawej...”. Nastolatki, chłopak i dziewczyna, wdały się w typowy spór między

rodzeństwem – jednocześnie żartobliwy i kłótniwy. Gonili się po łodzi, co i raz wpadając na Jessicę, i przepaszając zdawkowo. Rodzice, zmęczeni, praktycznie nie reagowali, a dzieciaki ignorowały ich karcące spojrzenia.

Jessie zastanawiała się, czy nie powinna była wybrać rejsu dla kochanków. Pasażerom obiecywano „niezapomniany wieczór i pięciodaniowe menu”. Z punktu widzenia kobiety samotnej byłoby to rozwiązanie ryzykowne, ale wcześniej nie przyszło jej do głowy, że będzie musiała wybierać między potencjalnie natarczywym mężczyzną a natarczywymi dziećmi. Postarała się znów skupić wzrok.

• • •

Nie widziała mężczyzny, który usadowił się na dachu jednego z budynków na Prinsengracht. Długo czekał, ale się opłaciło. Tak, to była ona. Na łodzi z przeszklonym dachem. Wyregulował bębny lunety. Niejasne podejrzenia zastąpiła pewność.

Miał teraz na celowniku twarz Amerykanki – nastroszone, ciemne włosy, wydatne kości policzkowe, zmysłowe usta. Wypuścił powietrze z płuc i wstrzymał oddech. Mierzył prosto w serce.

W najwyższym skupieniu pociągnął za spust.

Rozdział 29

W niecałą godzinę drogi od lotniska Waszyngton Dulles Janson znalazł się na krętej szosie, prowadzącej wzdłuż sielskiego wschodniego wybrzeża. Przypomniał sobie słowa Jessiki: „Jeśli Collins chce twojej śmierci, nie wyjdiesz stamtąd żywy”. Sądziła, że Janson podejmuje ogromne ryzyko, stając twarzą w twarz ze śmiertelnym wrogiem. Ale powodował nim gniew, którego nie był w stanie powstrzymać. Poza tym Derek Collins tylko wydawał rozkazy, nie wykonywał ich osobiście. To uwłaczałoby jego godności. Wolał nie kalać swoich smukłych palców. Miał przecież ludzi od brudnej roboty.

Zatoka Chesapeake obejmowała trzy tysiące pięćset kilometrów wybrzeża, a nawet o wiele więcej, jeśli liczyć sto pięćdziesiąt dopływów wraz z mniejszymi zatoczkami, strumykami i rzekami. Była dość płytka – od trzech do dziesięciu metrów – a samo wybrzeże stało się siedliskiem wielu gatunków zwierząt: pizmaków, nutrii, łabędzi, gęsi, dzikich kaczek, a nawet rybołówów. Na nizinach hrabstwa Dorchester gniazdowały bielik amerykański i puchacz. Obfitość fauny przyciągała wielu myśliwych.

Janson też miał zapolować.

Przejechał przez rzekę Choptank w Cambridge i skręcił na drogę numer trzynaście. Nieco dalej na południe minął kolejny most i w końcu znalazł się na podłużnym skrawku lądu znanym jako

Phipps Island. Z wynajętej toyoty camry widział w oddali wodę i słone błota, połyskujące w promieniach słońca. Kutry rybackie sunęły powoli wzdłuż zatoki, ciągnąc za sobą sieci pełne krabów błękitnych, śledzi amerykańskich i skorpen.

Po paru kilometrach wjechał do miasteczka i od razu pojął, dlaczego Derek Collins wybrał to miejsce na letni dom – ustronie, w którym mógł odpocząć od stresów życia w Waszyngtonie. Było odosobnione, spokojne, a także, ze względu na ukształtowanie terenu – bezpieczne. Zbliżając się do położonego nad zatoką domu podsekretarza stanu, czuł się jak na widelcu. Długi, wąski pasek lądu łączył go z głównym półwyspem, przez co trudno było zakraść się tu niezauważonym. Z kolei płytką wodą utrudniała podejście od zatoki. Ocean stopniowo zabierał coraz większe skrawki terenu. Drewniane pomosty dla łodzi wychodziły daleko w morze, tam gdzie woda była dość głęboka dla bezpiecznej nawigacji. Także ich długość powodowała, że potencjalnego intruza natychmiast by dostrzeżono. Collins nie musiał polegać na zawodnej elektronice – wybrał miejsce, gdzie sama natura dawała mu możliwość łatwego monitorowania okolicy i, co za tym idzie, bezpieczeństwo.

„Nie wyjdiesz stamtąd żywy”. Szef Wydziału Operacji Konsularnych zaliczał się do ludzi zdeterminowanych i śmiertelnie niebezpiecznych. Janson wiedział o tym z doświadczenia. Cóż, wobec tego było ich dwóch.

Koła samochodu wzniewały chmurę pyłu z piasku i soli. Jasnoszara nawierzchnia przypominała zrzuconą skórę węża. Czy Collins zechce go zabić, zanim uda im się porozmawiać? Z pewnością tak by zrobił, gdyby sądził, że Janson stanowi dla niego śmiertelne zagrożenie. Ale najprawdopodobniej wpierw zawezwałby posiłki. Z morskiej bazy

lotniczej Oceana, położonej przy Virginia Beach, helikoptery SH-3 doleciałyby na Phipps Island w piętnaście minut. Eskadrę odrzutowców F-18 można by zmobilizować jeszcze szybciej.

Jednak od techniki ważniejsze były czynniki psychologiczne.

Derek Collins zajmował się „planowaniem”. Urzędnicy tacy jak on ze swoich klimatyzowanych gabinetów wysyłali ludzi na misje z góry skazane na niepowodzenie, jakby rozgrywali partię szachów. Nazywali to strategią. Jeden pionek przesuwali do przodu, inny wypadał z gry. Z perspektywy Collinsa tak zwane „ludzkie zasoby” były jedynie pionkami. Teraz jednak Janson miał na rękach krew pięciu dawnych agentów Wydziału i mocne postanowienie, żeby stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który ich zwerbował, wyszkolił i nimi pokierował. Z człowiekiem chcącym sterować także nim samym, jak wyrzeźbioną z drewna figurą na szachownicy.

Tak, Collins na pewno był człowiekiem zdeterminowanym. Podobnie jak Janson, który darzył go głęboką, czystą nienawiścią. To z jego powodu odszedł z Wydziału. Uparty, nieustępliwy, bezwzględny, Collins miał jeden poważny atut: doskonale wiedział, kim jest. Co do siebie samego nie żywił złudzeń. Jako polityk był mistrzem biurokracji i zręcznie manewrował tak, by przypisywać sobie wszelkie zasługi. Tacy ludzie czuli się świetnie w marmurowej dżungli, jaką była stolica. Ale akurat tego Janson nie miał mu za złe – uważał, że te cechy wręcz przydają mu człowieczeństwa. Natomiast do pasji doprowadzało go przekonanie Collinsa, że cel zawsze uświęca środki. Wiedział, do czego to prowadzi – wiedział z doświadczenia. Tego typu myślenie zadufanego w sobie polityka napawało go odrazą.

Z drogi wjechał powoli w gąszcz wikliny i wawrzynów. Ostatnie półtora kilometra zamierzał przejść na piechotę. Jeśli informator

Jessie się nie mylił, Collins powinien być w domu, sam. Jako wdowiec większość wolnego czasu spędzał samotnie, co potwierdzało jeszcze jedną jego cechę – był człowiekiem zdecydowanie nietowarzyskim, który jednak umiejętnie udawał towarzyskość.

Janson przeszedł przez trawy i znalazł się nad samym morzem. Jasnobrązowy, poszarpany brzeg znaczyły skały, piasek i potłuczone muszle. Choć szedł w butach na grubych podszewkach, po wilgotnym piachu poruszał się bez trudu i niemal bezgłośnie. Dom letniskowy Collinsa był położony w niecce, co czyniło go niełatwym celem dla kogoś, kto wybierałby się tam w nieprzyjaznych zamiarach. Z drugiej strony, Janson miał pewność, że idąc brzegiem, będzie z domu niewidoczny.

Słońce paliło go w kark. Jasną bawełnianą koszulę pokryły cętki potu i słonej morskiej bryzy. Zauważył na powierzchni wody misterny wzór i zdał sobie sprawę, że w pewnej odległości od brzegu umocowano na bojach sieci. Środki bezpieczeństwa dyskretne, lecz nie bez znaczenia – niewątpliwie na siatkach zainstalowano czujniki. Było praktycznie niemożliwe, żeby pojazd wodno-łądowy podpłynął do brzegu, nie uruchamiając alarmu.

Dobiegł go odgłos ciężkich butów na wyłożonej deskami ścieżce sześć metrów dalej, gdzie ląd górował nad plażą. Młody mężczyzna w czarno-zielonym mundurze maskującym, spodniach na szelkach, z bronią za pasem – standardowy uniform Gwardii Narodowej. Przechadzał się równym, spokojnym krokiem, stukając o chodnik z desek gumowymi podszewkami. Pełnił rutynowy obchód, nie przeprowadzał nagłej interwencji w związku z pojawieniem się intruza.

Janson cicho brnął brzegiem przez mokry piach.

– Hej, ty! – Młody strażnik zauważył go i ruszył w jego stronę. – Nie widziałeś znaków? Tu nie wolno przebywać. Zakaz łowienia ryb, zakaz zbierania muszli, zakaz wszystkiego. – Mężczyzna miał twarz zaczerwienioną, ale nie opaloną, co oznaczało, że pełnił tu służbę od niedawna i nie zdążył jeszcze przywyknąć do długich patroli w pełnym słońcu.

Janson odwrócił się do niego, pochylając nieznacznie ramiona, żeby wydać się starszym i słabszym. Wędkarz, miejscowy. Jak zareagowałyby miejscowy? Przypomniawszy sobie, że kiedyś rozmawiał z kimś podobnym.

– Młody człowieku, czy wiesz, z kim masz do czynienia? – spytał lekko drżącym głosem, sugerującym zniedołężnienie. Przeciągał samogłoski w sposób charakterystyczny dla tego regionu i rozluźnił mięśnie twarzy, żeby wyglądała na zwiotczałą.

– Mieszkałem tu z rodziną w czasach, gdy ty piłeś mleko z butelki. Przetrwaliśmy czasy trudne i czasy rozkwitu. Brzeg morza jest mieniem publicznym. Moja synowa od pięciu lat działa w komisji na rzecz dziedzictwa wschodniego wybrzeża. Twierdzisz, że nie mogę chodzić tam, gdzie prawo mi na to pozwala? Pomyśl. Znam swoje prawa.

Strażnik zmarszczył brwi, na wpół rozbawiony gędzeniem staruszka – przynajmniej była to jakaś odmiana w nużącej rutynie. Jednak dostał jasne rozkazy.

– Fakty są takie, że to obszar o ograniczonym dostępie, o czym informuje kilkanaście okolicznych znaków.

– Wiedz, że moi przodkowie byli tu w tym samym czasie, co wojska Unii w Salisbury...

– Posłuchaj, tatuśku. – Strażnik potarł palcem czerwony, spalony

słońcem grzbiet nosa. – Jeśli będę musiał, doprowadzę cię siłą do aresztu federalnego. W razie czego poskarżysz się swojemu kongresmanowi.

Wydał pierś i położył dłoń na kaburze.

– Spójrz na siebie, dzieciaku. – Janson, zrezygnowany, zrobił gest zwiotczającą dłonią, jakby odprawiał natrętnego ucznia. – Gajowy! Nie odróżnia wiewiórki od świstuna.

– Gajowy? – Chłopak splunął z pogardą. – Sądzisz, że jestem gajowym?

Nagle Janson skoczył na niego, prawą ręką zakrył mu usta, a lewą zacisnął na karku. Obaj runęli na ziemię. Mokry piach stłumił odgłos upadku, a krzyki mew i szelest bagiennych traw zagłuszyły cichy chrzęst. Jeszcze zanim upadli, Janson zdążył wyszarpnąć chłopakowi pistolet.

– Taki z ciebie mądrała? – warknął. Już nie musiał udawać lokalnego akcentu. Dźgnął strażnika lufą w tchawicę. Chłopak, przerażony, wybałuszył oczy. – Masz teraz nowe rozkazy i postaraj się je wykonać. Jeśli piśniesz, będzie po tobie. Cholerny żółtodziób.

Szybkimi ruchami odpiął pas strażnika i skrępował mu przeguby z kostkami. Oderwał od bluzy kilka wąskich pasków materiału, wepchnął mężczyźnie do ust i umocował knebel za pomocą sznurowadeł. Schował do kieszeni pistolet i krótkofalówkę strażnika, po czym podniósł go z ziemi i zawlókł w zarośla.

Znów ruszył przed siebie. Kiedy plaża się skończyła, wszedł między wysokie trawy. Spodziewał się, że teren patroluje jeszcze co najmniej jeden strażnik – letni dom podsekretarza stanu najwidoczniej zyskał status obiektu federalnego – ale istniało duże prawdopodobieństwo, że w razie wątpliwości nada komunikat przez krótkofalówkę.

Po pięciu minutach szybkiego marszu Janson znalazł się na południowym zboczu piaszczystej wydmy. Musiał teraz zwolnić – z każdym krokiem zapadał się w gęsty piach – ale był już prawie u celu.

Spojrzał za siebie na spokojne wody zatoki – zwodniczo spokojne, bo przecież pod powierzchnią ocean tętnił życiem. W oddali, kilka kilometrów na południe, dostrzegł wyspę Tanger. Współcześnie awansowała do miana światowej stolicy krabów, ale w roku 1812, podczas jedynej wojny w historii, kiedy na amerykańskiej ziemi wylądowały obce wojska, stanowiła brytyjską bazę operacyjną. W pobliżu znajdowały się stocznie St. Michaels, a wokół portu krążyły okręty przedzierające się przez blokadę. Janson przypomniał sobie pewien niezwykły epizod w historii wojskowości: mieszkańcy St. Michaels, dowiedziawszy się o mającym wkrótce nastąpić ataku Brytyjczyków, uciekli się do podstępów: zgasili wszystkie latarnie, a następnie zawiesili je wysoko na drzewach i znów zapalili. Brytyjczycy przypuścili atak na miasteczko, ale zmyleni światłem latarni, celowali zbyt wysoko, pociski lądowały na wierzchołkach drzew.

Wschodnie Wybrzeże – pozorny spokój, a w tle tyle krwi. Trzy wieki amerykańskich sporów i amerykańskich sukcesów. Nic dziwnego, że właśnie tutaj Derek Collins urządził swoją prywatną redutę.

– Moja żona Janice uwielbiała to miejsce – usłyszał Janson zza pleców. Odwrócił się i ujrzał przed sobą Dereka Collinsa. Nie spuszczać wzroku z przeciwnika, ostrożnie wymacał w kieszeni spust pistoletu.

Zaskoczył go strój Collinsa: dotąd zawsze widywał go

w granatowych lub czarnych wełnianych garniturach, tymczasem teraz waszyngtoński biurokrata włożył na siebie spodnie khaki, koszulę z madrasu i mokasyny.

– Rozstawiała sztalugi dokładnie tam, gdzie teraz stoisz, wyjmowała akwarele i próbowała uchwycić światło. Tak to nazywała: „uchwycić światło”. – Miał dziwnie zmętniałe spojrzenie, a typowy dla niego żywy entuzjazm zastąpiły osobliwa posępność i znużenie. – Chorowała na czerwienicę. Wiedziałeś? To choroba szpiku kostnego. Jej organizm produkował za dużo czerwonych krwinek. Janice była moją drugą żoną. O tym chyba wiedziałeś. Nowe życie i tak dalej. Kilka lat po ślubie zaczęła odczuwać dziwne dolegliwości. Po gorącej kąpieli swędziała ją skóra. Później się okazało, że tak wyglądał pierwszy z objawów. Zabawne, prawda? Choroba postępuje powoli. Z czasem pojawiły się bóle i zawroty głowy, ogólne osłabienie. Ostatecznie postawiono diagnozę. Pod koniec życia większość czasu spędzała tutaj, na wyspie. Kiedy przyjeżdżałem, siedziała przy sztalugach i malowała zachód słońca. Nie mogła dobrać właściwych kolorów. Mówiła, że czerwień zbyt często wygląda jak krew. Może chciała to z siebie wyrzucić... – Collins stał raptem trzy metry od Jansona, ale jego głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Trzymał ręce w kieszeniach, zapatrzony w ciemniejącą zatokę. – Lubiła obserwować ptaki. Nie potrafiła ich malować, tylko obserwowała. Widzisz tego na drzewku pomarańczowym? Perłowoszary, z białym brzuszkiem i czarną maską wokół oczu, jak u szopa?

Ptaszek był wielkości drozda i przeskakiwał z gałęzi na gałąź.

– To dzierzba siwa – powiedział Collins. – *Lanius ludovicianus*. Janice uważała, że jest ładny.

– Niektórzy nazywają go rzeźnikiem – dodał Janson.

Ptak zaświergotał.

– Pasuje do niego ta nazwa – stwierdził Collins. – Poluje na drobne stworzenia. A nie ma nawet szponów. To właśnie jest niezwykle. Wykorzystuje otoczenie – nabija zdobycz na cierń albo na drut kolczasty i dopiero potem rozszarpuje. Nie potrzebuje pazurów, bo wie, czym je zastąpić. – Ptak zaskrzeczał i odleciał. Collins odwrócił się i spojrzał na Paula. – Wejdiesz do środka?

– Nie obszukasz mnie? – spytał Janson obojętnym tonem. Zaskoczył go niewzruszony spokój Collinsa i starał się dorównać mu opanowaniem. – Nie chcesz wiedzieć, jaką broń mam przy sobie?

Tamten się roześmiał, na chwilę tracąc powagę.

– Janson, ty sam jesteś bronią – pokręcił głową. – Mam ci amputować kończyny i postawić cię w witrynce? Zapominasz, jak dobrze cię znam. Widzę przed sobą faceta, który skrzyżował ramiona pod marynarką, a to wybrzuszenie trzydzieści centymetrów pod ramieniem to zapewne pistolet, wycelowany we mnie. Domyślam się, że zabrałeś go Ambrose'owi. Młody chłopak, nieźle wyszkolony, ale mało bystry.

Paul milczał. Wciąż trzymał palec na spuście. Kula z M9 momentalnie przeszłyby materiał kurtki. Jedno drgnienie palca dzieliło Collinsa od śmierci. Wiedział o tym.

– Chodź, przejdziemy się. Pokojowy spacer we dwóch. Demonstracja wzajemnych gwarancji zniszczenia i komfort, jaki przynosi równowaga strachu.

Janson nic nie powiedział. Collins nigdy nie służył jako agent terenowy, ale na swój sposób był równie niebezpieczny. Powoli ruszyli w stronę domu chodnikiem z szarych, cedrowych desek. Tradycyjny nadmorski domek letniskowy wybudowano

prawdopodobnie na początku dwudziestego wieku. Podniszczone gonty, małe okna mansardowe – nie wyróżniał się niczym szczególnym.

– Twój letni dom ma status obiektu federalnego – stwierdził Janson. – Nieźle.

– Bezpieczny obiekt klasy A cztery, zgodnie z regulaminem. Od czasu afery z Johnem Deutchem nikt nie zabiera dokumentów do domu i nie studiuje tajnych danych w komputerze w sypialni. Dla mnie najlepszym rozwiązaniem było urządzić tu biuro.

– To dlatego pilnuje go Gwardia Narodowa.

– Paru dzieciaków patroluje okolicę. Dziś to Ambrose i Bamford. Pilnują, żeby nikt nie wędkował w niedozwolonych miejscach. Właściwie nic więcej.

– Jesteś tu sam?

Collins uśmiechnął się blado.

– To pytanie, w którym ktoś podejrzliwy mógłby dopatrzeć się groźby. – Wszedł do kuchni, gdzie lśniły blaty ze stali nierdzewnej i luksusowe sprzęty. – Ale tak, przywykłem do tego. Lepiej mi się myśli w samotności.

– Z doświadczenia wiem, że im więcej myślicie, tym większe są z tego kłopoty – zauważył Janson z sarkazmem. Oparł na blacie łufę beretty, którą trzymał w prawej dłoni. Kiedy gospodarz zniknął za wentylatorem, nieznacznie zmienił pozycję. Przez cały czas trzymał go na muszce.

Collins postawił przed nim kubek kawy. On też poruszał się ostrożnie – tak by nie wzbudzić podejrzeń Jansona. Kubek wrzącego napoju mógł posłużyć za broń, więc przesunął go po blacie bardzo powoli. Nie chciał, żeby Paul choćby przez chwilę pomyślał, że

zamierza mu chlusnąć w twarz zawartością, bo mógłby zareagować natychmiast. Był to zarazem wyraz szacunku dla gościa i sposób na uniknięcie ewentualnej konfrontacji. Collins przez dziesięciolecia wspinał się na sam szczyt tajnej, elitarnej komórki wywiadowczej i przez cały ten czas nawet nie złamał paznokcia. Najwyraźniej pragnął utrzymać ten rekord.

– Janice wszystko tu urządziła. – Collins ogarnął spojrzeniem meble i wyposażenie. – Nazywała to bodajże „kącikiem”. Kącikiem jadalnym, kącikiem śniadaniowym czy jakoś tak. – Usiedli przy czarnym, granitowym bufecie na wysokich, okrągłych stołkach barowych ze stali i skóry. Gospodarz upił łyk kawy. – Z superautomatycznego ekspresu Janice. Ustrojstwo waży ponad trzydzieści kilo i ma w sobie więcej mocy obliczeniowej niż lądownik księżycowy. Wszystko po to, żeby zaparzyć dwie filiżanki espresso. Coś podobnego mogliby wymyślić w Pentagonie. – Zza grubych okularów wyzierały szaroniebieskie oczy, jednocześnie zaciekawione i rozbawione. – Pewnie zastanawiasz się, czemu nie poprosiłem, żebyś odłożył broń. W podobnych sytuacjach zawsze pada ta kwestia: „Odłóż broń, porozmawiajmy”.

– Zawsze chciałeś być najlepszy w klasie, prawda? – Janson patrzył na niego twardo, popijając kawę.

Collins nalał ją do kubków przy nim – Paul mógł się przekonać, że nie była zatruta ani zaprawiona alkoholem. Pozwolił mu też wybrać kubek. Potrafił przewidzieć paranoiczne obawy byłego podwładnego.

Zignorował drwinę.

– Prawdę mówiąc, chyba wolę, żebyś do mnie mierzył, jeśli ma to ukoić twoje zszargane nerwy. Jestem pewien, że uspokoi cię to bardziej niż wszystko, co mógłbym ci powiedzieć. Dzięki temu nie

będziesz działał pochopnie. – Wzruszył ramionami. – Widzisz, właśnie zdradziłem ci swój tok myślenia. Im bardziej będziemy ze sobą szczerzy, tym swobodniej się poczujesz.

– Ciekawa kalkulacja – burknął Janson. Podsekretarz stanu najwidoczniej stwierdził, że prędzej uniknie poważnych uszkodzeń ciała, jeśli jasno i jednoznacznie da do zrozumienia, iż jego życie jest w rękach Jansona. Skoro możesz mnie zabić, nie zrobisz mi krzywdy – tak rozumował Collins.

– Świątuję sobotę, pijąc kawę po irlandzku – powiedział, sięgając po butelkę bourbona. Dolał trochę do kubka. – Chcesz? – Janson tylko zmarszczył brwi. – Tak myślałem. Jesteś na służbie, prawda? – Dodał jeszcze porcję śmietanki.

– Przy tobie? Zawsze.

Collins uśmiechnął się z rezygnacją.

– Ten ptaszek widziany wcześniej... To jastrząb, któremu wydaje się, że jest słowikiem. Pewnie obaj pamiętamy naszą ostatnią rozmowę. Chciałeś odejść z Wydziału. Powiedziałem ci wtedy, że jesteś jastrzębiem. Nie chciałeś o tym słyszeć. Wolałeś być słowikiem. Ale nie byłeś i nigdy nie będziesz. Jesteś jastrzębiem, Janson, tak cię stworzyła natura. Jak ten ptak rzeźnik, dzierzba siwa. – Upił łyk kawy po irlandzku. – Pewnego dnia przyjechałem i jak zwykle zastałem Janice przy sztalugach. Płakała. Wręcz szlochała. Pomyślałem sobie, że... Nie, nie wiem, co pomyślałem. Okazało się, że widziała, jak ten niewinny ptaszek nadział jakąś myszkę na ciernie głogu i tak ją zostawił. Po jakimś czasie wrócił i zaczął ją rozszarpywać zakrzywionym dziobem. Ten skrzydlaty rzeźnik robił to, co leży w jego naturze. Z jego dzioba zwisały szkarłatne, lśniące trzewia. Dla Janice to było potworne, poczuła się oszukana. „Czerwone zęby

i pazury”. Tego aspektu dzikiej przyrody nigdy nie chciała przyjąć do wiadomości. Co miałem jej powiedzieć? Że jastrząb, który śpiewa, nadal będzie jastrzębiem?

– Może jest jednym i drugim. Nie słowikiem udającym jastrzębia, lecz jastrzębiem, który również pięknie śpiewa. Słowikiem zmieniającym się w jastrzębia, kiedy trzeba. Dlaczego musimy wybierać?

– Bo tak. – Gospodarz z trzaskiem odstawił kubek na blat. Jednocześnie zmienił ton. – Ty musisz wybrać. Po czyjej jesteś stronie?

– A ty?

– Ja się nie zmieniłem.

– Próbowałeś mnie zabić.

Collins przekrzywił głowę.

– I tak, i nie. – Jego nonszalancja zdumiała Jansona bardziej, niż gdyby usłyszał stanowcze, gwałtowne zaprzeczenie. Collins ani nie zeszywniał, ani się nie bronił. Równie dobrze mógłby omawiać przyczyny erozji nabrzeża.

– Cieszę się, że traktujesz to tak lekko – stwierdził Janson lodowato.

– Pięciu twoich ludzi, którzy zakończyli kariery w dolinie Tiszy, podchodziło do tej kwestii mniej filozoficznie.

– Moich? Nie. Posłuchaj, to nie jest takie proste.

– Chcesz mi może coś wyjaśnić? W kwestii Petera Novaka? Mojej własnej? Dlaczego pragniesz mojej śmierci?

– Z Lambdą to była pomyłka. Podobnie jak wyrok na ciebie. Karygodny błąd. Wyrok odwołano. Błąd, błąd, błąd. Ale ci, których spotkałeś na Węgrzech, to nie byli nasi. Może kiedyś, ale od dawna już nie. Tyle mogę ci powiedzieć.

– Rozumiem. Jesteśmy kwita. – W głosie Jansona zabrzmiał głęboki sarkazm.

Collins zdjął okulary i zamrugał oczami.

– Nie zrozum mnie źle. Podjęliśmy taką decyzję, ponieważ okoliczności... Nie ja wydałem rozkaz. Próbowałem go cofnąć. Ale wszyscy – największe szczy z CIA – byli przekonani, że zdradziłeś i zainkasowałeś szesnaście milionów dolarów łapówki. Wszystkie dowody świadczyły przeciwko tobie. Przez moment nawet ja w to wierzyłem.

– Ale przekonałeś się, że jest inaczej.

– Nie mogłem cofnąć wyroku bez wytłumaczenia. Podejrzewaliby, że postradałem rozum albo że mnie też ktoś podszedł. Nie było takiej możliwości. A ja nie dysponowałem przekonującym wyjaśnieniem. Musiałbym zdradzić największą tajemnicę państwową. Tajemnicę, której pod żadnym pozorem zdradzić nie można. Nie jesteś w stanie spojrzeć na to obiektywnie, bo tu chodzi o twoje życie. Natomiast ja mam priorytety. Te priorytety wymagają poświęceń.

– Poświęceń? – zadrwił Janson. – Z mojej strony? Przecież to mnie chciałeś poświęcić! – Nachylił się do Collinsa z twarzą stężałą od gniewu.

– Zabierz ode mnie swój drapieżny dziób.

– Myślisz, że zabiłem Petera Novaka?

– Wiem, że nie.

– Pozwól, że zadam ci proste pytanie: czy Peter Novak żyje?

Collins westchnął.

– No cóż... I tak, i nie...

– Niech cię szlag! – wybuchnął Janson. – Odpowiedz mi, do cholery!

– Dobrze, pytaj.

– Przeglądałem jego zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Analizowałem je w najdrobniejszych szczegółach. Różnią się od siebie, w sposób subtelny, lecz dostrzegalny. Niby drobne różnice anatomiczne: długość palca wskazującego w stosunku do środkowego. Kości śródrezcza w stosunku do kości czworobocznej. Ułożenie łopatek. Zupełnie inne na dwóch zdjęciach, zrobionych w odstępie kilku dni.

– Wniosek? Fotografie nie przedstawiają tego samego mężczyzny.

– Pojechałem do wioski, w której się urodził. Owszem, mieszkał tam Peter Novak, syn Janósa i Illany Ferenczi-Novak. Zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

Collins pokiwał głową. Brak jakiegokolwiek reakcji z jego strony dosłownie zmroził Jansona.

– Wykonałeś kawał dobrej roboty.

– Powiedz mi prawdę. Nie zwariowałem. Tamten człowiek zginął na moich oczach.

– Wiem.

– Nie było jaki człowiek. Peter Novak. Człowiek legenda.

– Bingo. – Gospodarz pstryknął palcami. – Sam na to wpadłeś. Człowiek legenda.

Nagle świat zawirował mu przed oczami. Człowiek legenda. Twór agentów wywiadu.

Petera Novaka stworzyła agencja.

Rozdział 30

Collins wstał.

– Chcę ci coś pokazać.

Wszedł do obszernego gabinetu z widokiem na zatokę. Na rustykalnych drewnianych półkach piętrzyły się roczniki „Studiów Wywiadu” – tajnego magazynu dla amerykańskich służb specjalnych. Monografie konfliktów międzynarodowych przeplatały się z popularnymi powieściami i starymi numerami „Spraw Zagranicznych”. Do sieci serwerów podłączona była nowoczesna stacja UltraSPARC.

– Pamiętasz *Czarnoksiężnika z krainy Oz*? Na pewno pytali cię o to w obozie. Śledczy z Wietnamu Północnego mieli obsesję na punkcie amerykańskiej kultury masowej.

– Akurat o to nie pytali – odparł Janson szorstko.

– No jasne, taki twardeł jak ty nie zdradziłby im zakończenia. To mogłoby zagrozić naszemu bezpieczeństwu narodowemu... Przepraszam. To było nie na miejscu. Jedna rzecz nas dzieli: bez względu na wszystko, ty zawsze będziesz cholernym bohaterem wojennym, a ja cywilnym urzędasem. Co w oczach niektórych czyni cię lepszym człowiekiem. Jak na ironię, wśród tych „niektórych” jestem i ja. Zazdroszczę ci. Należę do ludzi, którzy chcieliby mieć na koncie cierpienie, byleby tylko nie cierpieć. Mieć na koncie książkę, chociaż nigdy nie lubili pisać.

– Możemy przejść do rzeczy?

– Widzisz, zawsze myślałem, że to ta chwila, w której tracimy niewinność. Gdzieś tam w górze jest wielki, potężny Oz, a tu na dole jakiś palant za zasłoną. Nie tylko on. Całe pieprzone ustrojstwo. Mechanizmy, miechy, dźwignie, dysze, silnik Diesla. Sądzisz, że było łatwo złożyć to w całość? Ale gdy wszystko już działa, nie ma znaczenia, kto stoi za zasłoną. Tak nam się zdawało. Ważna jest maszyna, nie człowiek.

Szef Wydziału Operacji Konsularnych mówił podniesionym głosem. Pod wpływem niepokoju, jakiego zwykle nie okazywał, robił się dziwnie wymowny.

– Testujesz moją cierpliwość? – spytał Janson. – Dam ci dobrą radę. Nigdy nie wystawiaj na próbę cierpliwości kogoś, kto ma w rękę broń.

– Czekaj, zbliżamy się do *la gran scena*, nie chcę, żebyś to przegapił.

– Skinął głową w stronę buczonej cicho stacji komputerowej. – Jesteś gotów? To ta scena: „Teraz, kiedy już wiesz, będę musiał cię zabić”.

Janson uniósł pistolet, a Collins dodał szybko:

– Przecież nie dosłownie. To już przeszłość. Teraz gramy w inną grę. I on też.

– Zaczynasz wreszcie mówić z sensem? – Janson zacisnął zęby.

– Ciężka sprawa. – Collins znów wskazał na komputer. – Można by powiedzieć, że to właśnie jest Peter Novak. To, plus kilkaset innych systemów komputerowych na całym świecie, zabezpieczonych kodem omikron. W rzeczywistości Peter Novak to twór złożony z bitów i bajtów. To nie człowiek, to projekt. Wynalazek. Legenda, tak. Nasz największy sukces.

Janson na chwilę stracił orientację, jakby niespodziewanie znalazł

się w samym środku burzy piaskowej. Zaraz jednak wróciła mu nadnaturalna jasność myśli.

To był obłąd – obłąd, w którym zawierał się jakiś potworny sens.

– Mów dalej, proszę – powiedział już spokojniejszym tonem.

– Lepiej usiądźmy gdzieś indziej. Ten system ma tyle elektronicznych zabezpieczeń i pułapek... Wystarczy dmuchnąć, żeby zaczął automatycznie wymazywać dane. Kiedyś ćma uderzyła o szybę i straciłem kilka godzin pracy.

Przeszli do salonu. Sofa i fotele zostały obite kwiecistym perkalem, modnym w latach siedemdziesiątych.

– Pomysł był genialny. Tak genialny, że przez jakiś czas wszyscy kłócili się o to, kto pierwszy na niego wpadł. Jak z wynalezieniem radia. Ale wtajemniczonych było niewiele. Bardzo niewiele. To zrozumiałe. Oczywiście mój poprzednik, Daniel Congdon, miał w tym swój udział. Podobnie jak Doug Albright, protegowany Davida Abbotta.

– Wiem, kto to Albright. Ale Abbott?

– Facet, który pod koniec lat siedemdziesiątych zorganizował operację „Caine”. Chciał zdemaskować Carlosa. Podobny rodzaj myślenia strategicznego doprowadził do powstania Möbiusa. Asymetryczne konflikty wystawiają państwa do walki przeciw pojedynczym aktorom. To nierówna walka, ale nie w takim sensie, jak myślisz. Wyobraź sobie słonia i komara. Jeśli komar przenosi zapalenie mózgu, słoń umrze, nic nie poradzi. Z aktorami jest podobnie. Abbott to rozumiał. Niewydolne państwo nie ma szans w konfrontacji z czarnymi charakterami tego świata. Musi uciec się do podstępów. Stworzyć własnych aktorów, którzy w ramach otrzymanego mandatu mają dużą swobodę działania.

– Möbius?

– Tak. Z początku nad programem pracowała mała grupa z Departamentu Stanu. Wkrótce jednak sprawa wyszła poza departament. Żeby program ruszył, konieczna była współpraca międzyagencyjna. W Hudson Institute pracował taki gruby gość, dyrektor wydziału operacyjnego w Agencji Wywiadu Obronnego. Kiedy zmarł, jego miejsce zajął zastępca, Doug Albright. Spec od komputerów z CIA. Łącznik z Biurem Bezpieczeństwa Narodowego. Ale siedemnaście lat temu jest tylko ta mała grupka. Wymieniają się pomysłami i w pewnym momencie powstaje pewien scenariusz: a gdyby tak mały, tajny zespół analityków i ekspertów stworzył fikcyjnego zagranicznego miliardera? Im więcej o tym rozmawiają, tym bardziej podoba im się ten pomysł. Podoba im się, ponieważ im więcej o nim myślą, tym bardziej wydaje się wykonalny. Są w stanie go zrealizować. Mogą to zrobić. A kiedy zaczynają rozważać, co z tego wyniknie, pokusa staje się nie do odparcia. Mogą zrobić tyle dobrego. Mogą działać na rzecz amerykańskich interesów w sposób, w jaki Ameryka działać nie może. Mogą uczynić świat lepszym. Wymarzona sytuacja, w której nie ma przegranych. Tak narodził się program Möbius.

– Möbius. Ten od wstęgi Möbiusa, która ma tylko jedną stronę – wewnątrz jest jakby na zewnątrz.

– W tym wypadku ktoś z zewnątrz miał się znaleźć wewnątrz. Potentat finansowy, człowiek niezależny, bez żadnych powiązań z rządem Stanów Zjednoczonych. Nasi wrogowie nie są jego wrogami. Mogą być jego sojusznikami. Jest w stanie wywierać naciski tam, gdzie my bylibyśmy bezsilni. Ale najpierw trzeba go stworzyć. Od podstaw. I zabezpieczyć się przed ciekawskimi, którzy chcieliby

ewentualnie grzebać w jego biografii. To było nie lada wyzwanie. Nasi stratedzy wybrali na miejsce urodzenia małą wioskę na Węgrzech, która w czasie wojny praktycznie zniknęła z mapy.

– Przepadły wszystkie archiwa, prawie wszyscy mieszkańcy zginęli.

– Molnar to był dar od bogów. Wiem, to straszne, totalna masakra i tak dalej. Ale dla naszych celów nadawał się idealnie. Zwłaszcza gdy dodać do tego krótką i smutną karierę hrabiego Ferenczi-Novaka. Nic dziwnego, że tak mało wiadomo o wczesnym dzieciństwie naszego chłopca. Wszyscy jego rówieśnicy zginęli, a ojciec bał się, że wrogowie zabiorą mu jedyne dziecko. Dlatego ukrył je przed światem, edukował w domu. To może nieco ekscentryczne, ale brzmi prawdopodobnie.

– A dane o zatrudnieniu? – spytał Janson. – Chociaż nie, to akurat łatwe. Ograniczacie jego „karierę zawodową” do kilku przykrywkowych organizacji.

– Gdyby ktoś pytał, zawsze znajdzie się siwowłoso, emerytowany kierownik działu, który powie: „O tak, pamiętam młodego Petera. Miał o sobie wygórowane mniemanie, ale prawdą jest, że jako analityk finansowy przejawiał prawdziwy geniusz. Osiągał tak dobre wyniki, że pozwalałem mu pracować w domu. Cierpiał na lekką agorafobię. Trudno się temu dziwić po tak traumatycznych przeżyciach”. I tak dalej w tym stylu.

Janson zdawał sobie sprawę, że tym „świadkom” sowicie zapłacono za to, żeby raz czy dwa, lub może nigdy, skłámali dociekliwemu dziennikarzowi. Oczywiście nie mieli pojęcia, z czym wiązała się taka umowa. Całodobowa obserwacja, monitoring wszystkich ich kontaktów. Ale skoro nie znali prawdy, co ich to obchodziło?

– A ten spektakularny rozkwit imperium? Jak to rozwiązaliście?

– No cóż, z tym mieliśmy pewien zgryz. Ale, jak już mówiłem, do programu zaangażowano znakomity zespół ekspertów. Znaleźli rozwiązanie. Powinienem powiedzieć „znaleźliśmy”, chociaż dołączyłem do zespołu dopiero siedem lat temu. I *voilà!* Mamy człowieka, który zbudował własne imperium. Człowieka mogącego manipulować wydarzeniami na świecie w sposób dla nas nieosiągalny.

– Manipulować? Jak?

– Sam wiesz najlepiej. Fundacja Wolności. Program pokojowego rozwiązywania konfliktów. Demokracja bezpośrednia. I tak dalej.

– Czyli ten wielki filantrop, finansista, ten polityczny „mediator”...

– Pierwszy raz nazwał go „mediatorem” gospodarz programu *Sześćdziesiąt minut* i tak już zostało. Nie bez przyczyny. Mediator powołał do życia fundację, która ma biura niemal na całym świecie.

– A jego pomoc humanitarna? Na tak niewiarygodną skalę?

– Czy nasz kraj nie jest najlepszy na świecie? A jednocześnie tak cholernie popapwany, że ludzie szczerze nas nienawidzą, choćbyśmy nie wiem ile dobrego zrobili? Ta pomoc humanitarna jest jak balsam na punkty zapalne tego globu. Pożyczka z Banku Światowego to ostateczność. Co innego Peter Novak... Zresztą, dzięki temu miał ogromny wpływ na rządy wszystkich kontynentów. Peter Novak: orędownik pokoju i stabilizacji.

– Oliwa na wezbrane wody.

– Bardzo droga oliwa, żebyś wiedział. Ale „Novak” prowadził negocjacje i rozwiązywał konflikty, w których my – oficjalnie – nie mogliśmy brać udziału. Z powodzeniem i w zaufaniu współpracował z reżimami, dla których Ameryka jest wcieleniem zła. Był jednoosobowym Ministerstwem Spraw Zagranicznych. A dlaczego

okazał się tak cholernie skuteczny? Dlatego że nie miał żadnych powiązań z nami.

Janson poczuł się skołowany, mąciło mu się w głowie, w uszach dźwięczały zasłyszane nie tak dawno słowa – wyznania, ostrzeżenia, groźby. Nikos Andros: „Wy, Amerykanie, nigdy nie potrafiliście pojąć, że ktokolwiek może się wam przeciwstawić. Tak bardzo chcecie być kochani, że nie rozumiecie, czemu kocha was tak niewielu. Facet w ciężkich buciorach zastanawia się, czemu uciekają przed nim mrówki”. Angus Fielding: „To zdumiewające: dotąd nie pojęliście, jak świat nienawidzi Ameryki?”. Serb w okularach w złotych oprawkach: „Amerykanie! Zawsze żądacie niemożliwego. Zawsze czegoś wam mało”. Węgierski barman z niebezpiecznym hobby: „Amerykanie walczą z handlem narkotykami w Azji. Ale co innego dajecie światu? Uzależnienie od elektroniki... Wszędzie znajdziecie to samo. Śluz węża, wszędzie taki sam”.

Z kakofonii dźwięków wyłonił się pojedynczy refren, jak recytacja w średniowiecznym chorale.

Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie.

Wy, Amerykanie.

Janson wzdrygnął się.

– Ale kim jest... kim był Peter Novak? – spytał.

– Był kimś w rodzaju cyborga, jak bohater starego serialu *The Six Million Dollar Man*. „Panowie, możemy go zrekonstruować, posiadamy odpowiednie technologie. Stanie się lepszy niż kiedykolwiek. Lepszy. Szybszy. Silniejszy”. – Collins urwał na chwilę. – W każdym razie bogatszy. Do roli wybrano trzech agentów. Byli bardzo do siebie

podobni, zbliżonego wzrostu i budowy ciała. Po zabiegach chirurgicznych z zastosowaniem mikrometrów cyfrowych wyglądali niemal identycznie. Precyzyjna robota. Musieliśmy mieć sobowtórów. Zważywszy koszt inwestycji, nie mogliśmy ryzykować, że gość wpadnie pod autobus albo dostanie udaru. Uznaliśmy, że trzech będzie w sam raz.

Janson przyjrzał mu się dziwnie.

– Kto by się zgodził na coś takiego? Kto by pozwolił, żeby odebrano mu tożsamość, zmieniono powierzchowność, praktycznie pochowano z punktu widzenia najbliższych?

– Ktoś, kto nie miał wyboru – odparł Collins tajemniczo.

Janson poczuł, jak wzbiera w nim złość. Collins mógł jedynie udawać zimną krew, ale bezduszność jego rozumowania dowodziła potwornej arogancji waszyngtońskich strategów. Cholernych przedstawicieli elity politycznej z wypiełgowanymi paznokciami i niefrasobliwą pewnością, że to, co dobrze wygląda na papierze, sprawdzi się w rzeczywistości. Postrzegali świat jako szachownicę, niepomni na fakt, że ludzie z krwi i kości będą ponosić konsekwencje ich wielkich planów. Mierzył go sam widok biurokraty, którego miał teraz przed sobą, i powędrował wzrokiem ku połyskującej zatoce. W pewnej odległości od strefy bezpieczeństwa, oznaczonej bojami, pojawił się kuter rybacki.

– Ktoś, kto nie miał wyboru? – Pokręcił głową. – Tak jak ja, kiedy wydaliście na mnie wyrok śmierci.

– A ty znowu swoje. – Collins przewrócił oczami. – Już ci mówiłem: odwołanie rozkazu spowodowałoby zbyt wiele pytań. Kowboje z CIA dostali wiarygodne raporty, z których wynikało, że Novaka zamordowano i że miałeś z tym coś wspólnego. Wydział otrzymał

podobne informacje. Rozdmuchiwanie tej sprawy było nam nie na rękę, ale gra się takimi kartami, jakie się dostało. Podjąłem decyzję najlepszą z możliwych.

Słowa, słowa, słowa. Nie wyrażały ani okrucieństwa, ani smutku.

Wzrok Jansona przesłoniła zasłona czerwieni. Zastanawiał się, co jest większą zniewagą: zostać zgładzonym jako zdrajca, czy poświęconym jako pionek w grze? Znów zerknął na łódź rybacką, ale tym razem jej widok obudził w nim lęk. Była zbyt mała jak na połów krabów i znajdowała się zbyt blisko brzegu, by łowić skorpeny czy okonie.

A gruby drąg, który wyzierał spod łopoczącej plandeki, nie wyglądał na wędzisko.

Janson widział, jak Collins porusza ustami, lecz już go nie słyszał. Skupił całą uwagę na bezpośrednim, śmiertelnym zagrożeniu. Owszem, domek stał na wąskim, trzykilometrowym pasie lądu, jednak poczucie bezpieczeństwa, wynikające z jego odosobnienia, okazało się złudzeniem.

To złudzenie rozproszył pierwszy z pocisków artyleryjskich, który wybuchł w salonie Collinsa.

• • •

Przyływ adrenaliny ograniczył świadomość Jansona do funkcji precyzyjnego instrumentu. Pocisk wleciał przez okno i uderzył w ścianę naprzeciwko. Na pokój posypały się drzazgi, tynk i szkło. Eksplozja była tak potężna, że zmysły, zamiast dźwięku, zarejestrowały dojmujący ból. W powietrzu unosił się czarny dym. Janson wiedział, co ich uratowało: pocisk z działa obraca się trzysta razy na sekundę, a jego siła i prędkość spowodowały, że zanim

wybuchł, wbił się głęboko w drewniano-gipsową konstrukcję domu. Dlatego nie dosięgły ich zabójcze odłamki. Ale ten pierwszy pocisk wystrzelono tylko na próbę. Drugi miał być bardziej skuteczny. Drugi – gdyby zostali na swoich miejscach – nie zostawiłby im pola do rozmyślań nad prędkością obrotową pocisku.

W starym drewnianym domu nie byli bezpieczni.

Janson zeskoczył z kanapy i pobiegł w stronę garażu, połączonego z domem. To było jedyne wyjście. W garażu stał niewielki kabriolet – żółta korweta.

– Chwila! – zawołał za nim Collins, zadyszany. Twarz miał ubrudzoną sadzą i najwyraźniej z trudem nadażał za Jansonem. – Model Z sześć. Kluczyki. – Wyciągnął je przed siebie gestem dumnego właściciela.

Janson wyrwał mu je i zasiadł w fotelu kierowcy.

– Nie pozwala się przyjaciółom prowadzić po alkoholu – rzucił. – Jedziesz ze mną czy nie?

Collins szybko usiadł obok niego, naciskając przycisk pilota do drzwi garażu. Paul uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i błyskawicznie wyjechał z garażu, nie zadrasnawszy lakieru.

– O mały włos, nie? – zaryzykował Collins. Twarz miał mokrą od potu.

Janson nie odpowiedział.

Hamulec ręczny, kierownica, gaz – sprawnie i płynnie wykonał manewr, po czym ruszył z kopyta wąską jezdnią.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry ruch – odezwał się Collins. – Jesteśmy teraz jak na widelcu.

– Sieci ciągną się aż do samego koniuszka wyspy, prawda?

– Jakież osiemset metrów, tak.

– Wobec tego pomyśl. Zapłacze się w nie każda łódź, która będzie próbowała tamtędy przepłynąć. Jeśli ta kanonierka zechce strzelać do nas pod innym kątem, musi wykonać skomplikowany manewr. Jest powolna, nie zdąży. Tymczasem schowamy się za dom – zasłoni nas i ochroni.

– W porządku, wszystko jasne – potwierdził Collins. – Ale teraz skreć w prawo na przystań. Tam będziemy niewidoczni, a w razie czego popłyniemy motorówką na stały ląd. – Mówił opanowanym, pewnym siebie głosem. – Widzisz tę dróżkę po prawej? Skrećaj!

Paul pojechał jednak prosto.

– Niech cię szlag, Janson! – wrzasnął Collins. – Ta przystań to była nasza najlepsza szansa!

– Najlepsza szansa? Rozerwałoby nas na kawałki. Wyobrażasz sobie, że o tym nie pomyśleli? Na pewno zdążyli podłożyć tam minę.

– Zawracaj! – ryknął Collins. – Cholera jasna, Paul, znam tę wyspę jak własną kieszeń, mieszkam tu i powtarzam ci...

Głośna eksplozja zagłuszyła jego ostatnie słowa. Przystań wyleciała w powietrze. Kawałek gumowego pontonu poszybował wysoko w niebo, po czym opadł na skraj drogi.

Janson jeszcze dodał gazu, rozpędzając samochód do niebezpiecznej prędkości prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Mijali w pędzie wysokie trawy i cierniste drzewa. Silnik ryczał coraz głośniejszy, jakby samochód zgubił tłumik. Mogło się wydawać, że suną po wodzie – mierzeja zwęziła się do niecałych dwudziestu metrów plaży, niskich zarośli i drogi na wpół tonącej w piasku. Wiedząc, że piasek zmniejsza przyczepność podobnie jak plama ropy, Janson nieco zwolnił.

Silnik wciąż ryczał.

Tyle że nie był to silnik korwety.

Obejrzał się w prawo i zobaczył poduszkowiec. Wojskowy model pojazdu wodno-ładowego.

Sunął tuż nad wodami zatoki – potężne śmigło utrzymywało go w górze ponad powierzchnią, z dala od sieci. Nic nie mogło go zatrzymać.

Jansonowi zaschło w gardle. Nizinne tereny nad zatoką Chesapeake nadawały się wprost idealnie jako teren działań dla poduszkowca. Oznaczało to, że na łądzie nie będą bezpieczni. W przeciwieństwie do łodzi poduszkowiec poruszał się z równą łatwością po stałym łądzie i wodzie. A potężny silnik pozwalał mu bez trudu nadążyć za korwetą. Stanowił dużo większe zagrożenie niż kanonierka i właśnie ich doganiał! Ryk silnika był ogłuszający, a rozpędzony, mały kabriolet kołysał się niebezpiecznie na wąskiej drodze.

Janson ponownie zerknął na poduszkowiec. Z boku trochę przypominał jacht z niewielką, przeszkloną kabiną. Z tyłu umocowano duże pionowe śmigło, a pod burtami superwytrzymałe kurtyny elastyczne. Płynnie i lekko mknął po spokojnych wodach zatoki.

Janson wcisnął gaz do dechy, jednak już po chwili zdał sobie sprawę, że poduszkowiec nie tylko za nimi nadaża, ale już ich wyprzedził. Tuż za osłoną śmigła dostrzegł mężczyznę z ochraniaczami na uszach przygotowującego się do otwarcia ognia z karabinu maszynowego M60.

Janson zaczął strzelać do niego z beretty, opróżniając cały magazynek. Niestety, zarówno samochód, jak i cel były w ruchu, co uniemożliwiało precyzyjne celowanie. Pociski tylko odbijały się ze szczękiem od stalowych łopat śmigła.

A jemu bardzo szybko skończyła się amunicja.

Karabin M60 podskakiwał na dwójnogu, cicho zgrzytając. Janson przypomniał sobie, że w Wietnamie nazywano go „świniakiem”. Pochylił się w fotelu najniżej jak mógł, jednocześnie nie tracąc kontroli nad kierownicą. W karoserię żółtej korwety uderzył grad pocisków kalibru 7,62 mm, wystrzeliwanych w tempie dwustu na minutę.

Niespodziewanie nastąpiła chwila przerwy. Czyżby zacięła się taśma z amunicją? Przegrzała się lufa? Zwykle po wystrzeleniu od stu do pięciuset naboju wymieniało się lufę, żeby nie dopuścić do jej przegrzania. Być może nadgorliwy strzelec z poduszkowca nie zdawał sobie sprawy, jak szybko nagrzewają się lufy M60. Żadne pocieszenie – pilot wykorzystał tę przerwę, żeby zmienić kierunek. Poduszkowiec obrócił się nieznacznie, po czym wypadł na plażę i pomknął dalej nierówną drogą.

Znalazł się dosłownie kilka metrów za nimi, jego ogromne śmigło zdawało się wisieć tuż nad małym, sportowym samochodem. Nowy, ogłuszający hałas przeszył powietrze. Świszczące, basowe dudnienie. Mogło to oznaczać tylko jedno: uruchomiono pomocniczy silnik i dodatkowy napęd śmigła. Janson obserwował we wstecznym lusterku olbrzymie stery. Poduszkowiec, który dotąd płynął jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią, nagle zaczął wznosić się coraz wyżej. Rykowi silników towarzyszyły teraz silne podmuchy powietrza. Za samochodem pojawiła się niewielka burza piaskowa.

Coraz trudniej było oddychać. Krztusili się pyłem unoszącym się w powietrzu. Poduszkowiec częściowo zniknął w wirującym piasku, jednak Janson dojrzał za szybą kabiny twarz krzepkiego mężczyzny z wytrzeszczonymi oczami.

Zobaczył, że tamten się uśmiecha.

Maszyna znów podskoczyła w powietrzu. Nagle stanęła dęba i zaczęła wierzgać jak koń. Kiedy poduszkowiec zahaczył kurtyną o tylny błotnik samochodu, Janson uświadomił sobie z przerażeniem, że próbuje przelecieć nad nimi.

Obejrzał się na Collinsa, który, zgięty we dwoje, zakrywał rękami uszy przed potwornym hałasem.

Łopaty śmigła smagały powietrze jak woda z armatek. Janson widział w lusterku, jak szybko się obracają. Gdyby nie wystarczył ostrzał z M60, zabójcy mogli opuścić się na samochód, a wówczas śmigło, niczym olbrzymia kosiarka, ścięłoby głowy pasażerów kabrioletu.

Paul raptownie skręcił w lewo. Samochód zjechał z asfaltowej drogi na mokry piach, tracąc jednocześnie przyczepność i szybkość.

Poduszkowiec przemknął obok, ślizgając się po powierzchni jak krążek hokejowy, po czym stanął i ruszył do tyłu. Nawet nie musiał zawracać.

To był kapitalny manewr. Mężczyzna z M60 miał teraz na muszce ich obu – kierowcę i pasażera. Właśnie ładował nową taśmę, gdy Janson usłyszał odgłos jeszcze innego silnika – wyścigowej łodzi motorowej, która jak szalona mknęła ku brzegowi.

Chryste, nie!

Na łodzi leżała w pozycji strzeleckiej jakaś postać z karabinem snajperskim. Mierzyła prosto do nich.

Rozdział 31

Szybka łódź motorowa musiała być wyposażona w lotniczy silnik turbinowy, bo gnała z prędkością ponad dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przelatywała tuż nad wodą, muskając fale. Zbliżała się coraz szybciej, niczym mesmeryczny zwiastun śmierci. Trzy kilometry od brzegu sieci były już rozerwane. Teraz nic nie chroniło ich przed nadciągającą katastrofą.

Dokąd jechać? Gdzie się ukryć?

Janson wyprowadził korwetę z powrotem na drogę. Usłyszał, jak podwozie trze o mokrą ziemię. A gdyby spróbował staranować poduszkowiec? Gdyby wcisnął gaz do dechy i uderzył stalowym nadwoziem w lekką konstrukcję z włókna szklanego? Miał jednak niewielkie szanse, aby zbliżyć się do poduszkowca, zanim pociski z M60 przebiją silnik kabrioletu – i jego samego.

Uzbrojony mężczyzna, przyczajony za śmigłem, uśmiechał się paskudnie. Zdążył załadować nową taśmę. Za kilka sekund miał ich poczęstować zabójczym gradem ołowiu. Nagle bezwładnie upadł na twarz, uderzając czołem o dwójnóg.

Nie żył.

Rozległ się dziwny dźwięk – nad wodami zatoki Chesapeake rozbrzmiało echo, jakby wystrzelił korek od szampana. Po chwili jeszcze jeden. Niespodziewanie poduszkowiec zatrzymał się ledwie parę metrów za korwetą, częściowo zahaczając o pobocze. Nie

wyglądało na to, żeby ktoś celowo zaparkował w ten sposób.

W wielu wojskowych pojazdach układ sterowania wymagał stałego, aktywnego nacisku – innymi słowy, sterem musiała kierować ludzka ręka. W przeciwnym razie, gdyby żołnierz siedzący za sterami zginął, pozbawiony kierowcy pojazd mógłby niechcący wyrządzić szkody po niewłaściwej stronie. Poduszkowiec ucichł – silniki zgasły, łopaty śmigła obracały się coraz wolniej, płozy osiadły na ziemi. Janson spostrzegł w kabinie bezwładne ciało pilota.

Dwa strzały, dwa trafienia.

Silnik łodzi motorowej zacharczał i zgasł. Znad wody dobiegł czyjś głos.

– Paul! Nic ci nie jest?

W łodzi stała kobieta, która uratowała im życie.

Jessica Kincaid.

•••

Janson wysiadł z samochodu i pobiegł nad wodę. Łódź unosiła się na falach dziesięć metrów od brzegu.

– Jessie!

– Świetnie mi poszło, prawda?! – wykrzyknęła triumfalnym tonem.

– Dwa strzały w głowę z rozpędzonej łodzi motorowej? To się nadaje do Księgi Guinnessa! – zawołał Paul. Nagle poczuł się absurdalnie lekko. – Oczywiście miałem wszystko pod kontrolą.

– Jasne, właśnie widziałam – odparła szyderczo.

Derek Collins podszedł do Jansona, ciężko powłócząc nogami. Sprawiał wrażenie wykończonego. Jego spoconą twarz pokrywała warstwa piasku i mułu, nadając mu wygląd mumii.

Paul odwrócił się do niego powoli.

– Dobrze się bawiłeś?

– Co takiego?!

– Tych dwóch też wynająłeś? Och nie, zapomniałem. Przecież nie masz z tym nic wspólnego!

– Niech to szlag trafi! Oczywiście, że nie mam z tym nic wspólnego! Co ty sobie myślisz? Na litość boską, omal nie zginąłem! Jesteś ślepy? Zbyt zarozumiałaś, żeby przyjąć do wiadomości oczywiste fakty? Chcieli zabić nas obu!

Podniósł głos. Musiał być faktycznie przerażony, co komunikował całym ciałem. Janson uznał, że mówi prawdę. Ale skoro tak, kto stał za tym ostatnim atakiem?

W postawie Collinsa było jednak coś niepokojącego. Jeśli nawet mówił prawdę, to niecałą.

– Przypuszczalnie. Ale wydaje mi się, że wiesz, kim byli napastnicy. Tamten odwrócił wzrok.

– Collins, do cholery! Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów!

Znów poczuł odrazę na widok tego wystraszonego biurokraty z kamiennym sercem i kalkulatorem zamiast duszy. Nie potrafił zapomnieć o tym, czego się dowiedział: Collins stał z boku, gdy wydawano wyrok śmierci na Jansona, gotów poświęcić pionek dla swojej wielkiej gry. Janson nie chciał mieć z nim więcej do czynienia.

– Przegrałeś – rzekł cicho. – Znowu. Jeśli chcesz mnie zabić, musisz się lepiej postarać.

– Już ci mówiłem. Było, minęło. Teraz jest inaczej. Plany się zmieniły. Dlatego w ogóle wspomniałem ci o programie, do cholery! Powierzyłem ci największy, najbardziej niebezpieczny sekret Stanów Zjednoczonych Ameryki. A to jeszcze nie wszystko. Ale więcej nie wolno mi wyjawiać.

– Gówno prawda – warknął Janson.

– Nie, mówię serio. Musisz dowiedzieć się o rzeczach, o których ja sam nie mogę ci powiedzieć. Musisz pojechać ze mną do Waszyngtonu. Spotkać się z zespołem. Jesteś nam potrzebny. – Położył mu dłoń na ramieniu. Janson odtrącił ją.

– Jestem wam potrzebny, tak? Pozwól, że najpierw o coś cię spytam. I lepiej daj mi jasną odpowiedź. I tak będę wiedział, jeśli skłamiesz.

– Nie wolno mi wyjawiać...

– To nic wielkiego. Drobiazg, szczegół. Wspomniałeś o zespole najwyższej klasy chirurgów, którzy przeprowadzili trzy zabiegi na trzech agentach. Zastanawiam się, gdzie dzisiaj są ci chirurdzy?

Collins zamrugał oczami.

– Niech cię szlag, Janson. Zadajesz pytanie, na które znasz odpowiedź.

– Chcę ją usłyszeć od ciebie.

– Bezpieczeństwo operacji zostało uznane za sprawę nadrzędną. Wtajemniczonych można było policzyć na palcach jednej ręki. Zgodę na udział w programie wydawano na najwyższym szczeblu, tylko osobom absolutnie wiarygodnym – asom wywiadu.

– Ale potrzebowaliście wybitnych chirurgów plastycznych. Z konieczności musieliście zaangażować ludzi z zewnątrz.

– Po co w ogóle o tym rozmawiamy? Doskonale rozumiesz logikę naszego postępowania. Sam powiedziałeś: niezbędni dla powodzenia programu. I jednocześnie zagrażali jego bezpieczeństwu. Nie mogliśmy na to pozwolić.

– Ergo, w myśl protokołu, zostali zabici. Wszyscy, co do jednego.

Collins nieznacznie pochylił głowę. Nie odpowiedział.

Janson poczuł, że trawi go wściekłość, chociaż szef Wydziału potwierdził jedynie jego przypuszczenia. Prawdopodobnie dali sobie rok na sprzątnięcie niewygodnych świadków. To nie było trudne: wypadek samochodowy, przypadkowe utonięcie, śmiertelne zderzenie na niebezpiecznym stoku narciarskim – wybitni chirurdzy często okazywali się zapalonymi sportowcami. Nie, to nie było trudne. Agenci, którzy mieli zaaranżować ich śmierć, odhaczali każdy z tych przypadków na liście zadań do wykonania. Wymiar ludzki – żałoba najbliższych, czyjeś zrujnowane życie, dzieciństwo bez ojca, nieutulony żal, rozpacz, dojmujące poczucie straty – tego nie brali pod uwagę, wydając śmiertelne dyrektywy.

Janson świdrował wzrokiem Collinsa.

– Drobne poświęcenia w imię lepszej sprawy, prawda? Tak myślałem. Nie, Collins. Nie dołączę do programu. W każdym razie nie do twojego programu. I wiesz co? Nie jesteś ani słowikiem, ani jastrzębiem. Jesteś żmiją, zawsze będziesz.

Łódź motorowa łagodnie kołysała się na falach. Janson spojrzał na Jessie Kincaid, na jej zmierzwioną czuprynę, i serce mu załomotało. Może Collins powiedział mu prawdę o roli Wydziału w tym, co się stało. A może nie. Tak czy inaczej, nie należało mu ufać. „Musisz dowiedzieć się o rzeczach, o których ja nie mogę ci powiedzieć... Musisz pojechać ze mną do Waszyngtonu”. Niewykluczone, że tymi słowami wabił go w pułapkę.

Znów powędrował spojrzeniem ku łodzi dryfującej w odległości sześciu metrów od brzegu. Wybór nie był trudny. Ni z tego, ni z owego rzucił się przed siebie. Z początku brodził w płytkiej wodzie, lecz po chwili już płynął szybkim kraulem w stronę Jessie. Woda przyjemnie chłodziła mu ciało.

Gdy znalazł się na pokładzie, Jessie wzięła go za rękę.

– Myślałem, że jesteś w Amsterdamie – powiedział Janson.

– Przyjmijmy, że to miasto straciło swój urok. Zwłaszcza po tym, jak dwójka dzieciaków omal mnie nie przewróciła, przypadkiem ratując mi życie.

– Co takiego?

– Długa historia. Opowiem ci później.

Otoczył ją ramieniem i poczuł ciepło jej ciała.

– Dobrze. Moje pytania mogą poczekać. Pewnie masz sporo własnych.

– Na początek jedno – rzekła. – Jesteśmy partnerami?

Przytulił ją mocno.

– Tak – odparł. – Jesteśmy partnerami.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział 32

– Nie rozumie pan – powiedział kurier, zasadniczy, niespełna trzydziestoletni czarnoskóry mężczyzna w kwadratowych okularach bez oprawki. – Mógłbym przez to stracić pracę. Mogą ukarać mnie grzywną, a nawet postawić w stan oskarżenia. – Wskazał naszywkę na granatowej kurtce z wykaligrafowanym logo firmy: Caslon Couriers. Caslon – najdroższa, najwyższej klasy, ultrabezpieczna firma kurierska, której wybrane korporacje i osoby prywatne powierzały superpoufne dokumenty. Dzięki nieskazitelnej reputacji kurierów, pewnych i dyskretnych, zyskała sobie lojalność elitarnej klienteli. – Ci kolesie nie żartują.

Siedział przy małym stoliku w kawiarni Starbucks na rogu Trzydziestej Dziewiątej i Broadwayu na Manhattanie. Siwowłosego mężczyzna, który przysiadł się do niego, był grzeczny, lecz nieustępliwy. Wyjaśnił, że jest wysokim rangą urzędnikiem Fundacji Wolności, a jego żona pracuje w biurze fundacji na Manhattanie. Czuł się wyjątkowo niezręcznie, ale znalazł się u kresu sił. Miał powody sądzić, że żona otrzymuje paczki od kochanka.

– A ja nie wiem nawet, kim jest ten gość!

Kurier był wyraźnie skrepowany, dopóki Janson nie zaczął wyciągać z portfela banknotów studolarowych. Kiedy naliczył dwadzieścia, oczy kuriera rozblęsnęły.

– Przez większość czasu jestem w rozjazdach – mówił szpakowaty

urzędnik. – Rozumiem, że czuje się samotna. Ale jak mam konkurować z kimś, o kim nic nie wiem? A ona do niczego się nie przyznaje. Widzę, że dostaje różne prezenciki. Twierdzi, że sama je sobie kupuje. Ale ja wiem lepiej. Takich rzeczy nie kupuje się dla siebie. Takie rzeczy kupuje kobiecie kochanek. Wiem, bo sam tak robiłem. Przecież nie twierdzą, że jestem bez skazy. Chodzi o to, że musimy to sobie wyjaśnić. Ja i ona. Słuchaj, sam się sobie dziwię, że posuwam się do czegoś takiego. Naprawdę nie jestem taki.

Kurier pokręcił głową ze współczuciem, po czym zerknął na zegarek.

– Wcale nie żartowałem z tą grzywną i oskarżeniem. Przy podpisaniu umowy dają nam to jasno do zrozumienia na tysiąc różnych sposobów. Każą podpisywać dziesiątki umów, a jak człowiek złamie warunki, potrafią dobrać mu się do dupy.

Zamożny rogacz emanował godnością i rozwagą.

– Do niczego takiego nie dojdzie. Nie proszę, żebyś naruszył warunki umowy. Nie zrobisz nic złego. Chciałbym tylko zerknąć na faktury. A jeśli coś znajdę, jeśli to ten facet, o którym myślę, nikt się o niczym nie dowie. Ale błagam, daj nam szansę, Marcie i mnie. To jedyny sposób.

Kurier dziarsko pokiwał głową.

– Muszę lecieć, inaczej spóźnię się z przesyłkami. Spotkajmy się za cztery godziny w atrium budynku Sony na rogu Pięćdziesiątej Piątej i Madison.

– Dobra decyzja, przyjacielu – rzekł z ożywieniem mężczyzna, nie wspominając ani słowem o dwutysięcznym „napiwku” dla kuriera. To uwłaczałoby godności ich obu.

Kilka godzin później Janson usiadł w atrium na metalowym

krzeselku obok fontanny. W końcu mógł przejrzeć faktury. Jego założenia okazały się jednak zbyt optymistyczne: przesyłki nie zawierały adresu nadawcy, a jedynie kod wskazujący miejsce odbioru. Mimo to wytrwale kartkował dokumenty w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Jak można było się spodziewać, kilkanaście paczek wysłano z miast, w których mieściły się biura fundacji. Ale kilka przesyłek, zaadresowanych bezpośrednio do Marty Lang, nadano z miejsca, które z niczym mu się nie kojarzyło. Dlaczego firma Caslon Couriers regularnie odbierała przesyłki dla Marty Lang w małym miasteczku w Blue Ridge Mountains?

– Jest tak, jak myślałem – stwierdził załośnie, rozglądając się wokół po sztucznej dżungli, pełnej roślin i niewielkich wodospadów, urządzonej w oszklonej „przestrzeni publicznej” na życzenie miejskich planistów, którzy w zamian przymknęli oko na niezgodną z warunkami zabudowy wysokość budynku. – Powiedziała mi, że ze sobą zerwali. Może na chwilę, ale teraz znów się spotykają. No cóż, czas wrócić na terapię małżeńską.

Janson, zasmucony, wyciągnął dłoń, w której ukrył zwitek śliskich banknotów o dużych nominałach. Kurier uściśnął mu rękę serdecznie.

– Z całego serca współczuję, stary.

Po kilku godzinach spędzonych w nowojorskiej bibliotece publicznej Janson zebrał garść dodatkowych informacji. Millington w stanie Wirginia okazało się miasteczkiem położonym najbliżej sielskiej rezydencji, wybudowanej pod koniec XIX wieku przez Johna Vincenta Astora. Było to miejsce, które – zdaniem wielu architektów – elegancją i dbałością o szczegóły dorównywało legendarnej posiadłości w Biltmore. W latach pięćdziesiątych XX wieku rezydencję kupił niejaki Maurice Hempel, tajemniczy właściciel kopalni

diamentów z RPA, obecnie nieżyjący. A teraz? Do kogo należała? Kto w niej mieszkał?

Nasuwał się jeden wniosek: człowiek, którego świat znał jako Petera Novaka. Oczywisty wniosek? Bynajmniej. Ale przecież nie bez powodu to odległe miejsce zwróciło uwagę Jansona. Kontrola nad fundacją wymagała komunikacji. Jeśli ostatni z żyjących „Novaków” nadal dowodził imperium, musiał być w stałym kontakcie ze swoimi zastępcami. Z ludźmi takimi jak Marta Lang. Janson zamierzał zrobić wyłom w ich komunikacji.

Rozplątując delikatne nici pajęczyny, miał szansę znaleźć pająka.

• • •

Cały następny ranek spędził w drodze, coraz bardziej niepewny wyników swojego śledztwa. Czy to nie było zbyt proste? Nawet monotonna jazda nie koiła napiętych nerwów. Przez większość podróży jechał ze stałą prędkością – z początku autostradą, potem mniejszymi, lokalnymi drogami, które wiły się wśród gór niczym asfaltowe rzeki. Kiedy minął pofałdowane, zielone pola uprawne, ujrzał na horyzoncie błękitno-seledynowe szczyty pagórków. Obramowane przednią szybą obrazy miały w sobie urok kiczowatych widoczków. Wzdłuż omszałych, szarych łupków ciągnęły się poobijane barierki. Droga była fascynująca, zaskakiwała procesją drobnych niedoskonałości: pęknięcia w asfalcie, zapacykowane czarną, błyszczącą smołą, zygzakowate ślady hamowania, wyblakłe od deszczu białe linie przerywane.

Kilka kilometrów za zjazdem na kemping Janson zauważył drogowskaz z napisem „Castleton”. Do Millington było już niedaleko. Jaskrawy znak przydrożny zachęcał do kupienia samochodu

w komisie U Jeda – na wysokim słupie umocowano zardzewiałą tabliczkę z napisem wymalowanym białym i niebieskim lakierem samochodowym. Paul zjechał na parking.

Już drugi raz tego dnia zmieniał samochód. W stanie Maryland kupił bezpośrednio od właściciela najnowszy model altimy. Podczas długich podróży zamiana samochodów była rutynowym postępowaniem. Janson miał pewność, że nikt go nie śledzi, zawsze jednak istniało prawdopodobieństwo „biernej obserwacji”: agenci jedynie rejestrowali przebieg jego podróży, ale za nim nie jechali. Młoda, bystra kobieta w dodge’u – na moment podniosła wzrok znad gazety i zerknęła na tablicę rejestracyjną; gruby mężczyzna na poboczu drogi – przegrzał mu się silnik i czekał na pomoc drogową obok samochodu z podniesioną maską. Wyglądali niewinnie, ale ostrożności nigdy dość. Bierna obserwacja, chociaż mało skuteczna, była praktycznie niezauważalna. Dlatego Janson regularnie zmieniał samochody.

W ten sposób utrudniał zadanie każdemu, kto ewentualnie próbował mieć go na oku.

Kiedy wysiadł z samochodu i ruszył w stronę przyczepy, w której mieściło się biuro, na ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym rzucił się wielki pies, ważący ponad pięćdziesiąt kilo. „Ceny do negocjacji” – głosił napis na tabliczce w oknie. Zwaliste zwierzę – mieszaniec pitbula, dobermana, a może nawet mastiffa – było zamknięte w narożnej zagrodzie i wciąż skakało na siatkę. Pomijając rozmiar, koszmarny kundel w niczym nie przypominał szlachetnego, białego kuwasza Gitty Békesi. Może po prostu psy upodabniały się do swoich właścicieli.

Z przyczepy wyszedł niespiesznym krokiem trzydziestoparoletni

mężczyzna z papierosem w kąciku ust. Wyciągnął rękę do Jansona gestem nieco zbyt gwałtownym. Przez ułamek sekundy Paul był gotów wymierzyć mu druzgocący cios w szyję, ale powstrzymał się i uściskał mu dłoń. Niepokoiło go, że takie odruchy towarzyszą mu w zwykłych, codziennych okolicznościach. Z drugiej strony, uratowały mu życie nieskończoną ilość razy. Tak często przemoc była nie na miejscu, pojawiała się w całkiem niewłaściwym kontekście. Na szczęście kontrolował swoje odruchy. Nie zamierzał zostawić młodego mężczyzny rozpląszonego na ziemi, skomlącego z bólu. Chciał mu zaproponować udaną transakcję i pełną kieszeń gotówki.

– Jed Sipperly – przedstawił się właściciel komis, mocno potrząsając dłonią Jansona. Widocznie ktoś mu powiedział, że mocny uścisk dłoni budzi zaufanie. Miał pełną, lecz jędrną twarz pod strzechą słomianych włosów. Grzbiet nosa i skóra pod oczami były zaczerwienione od słońca – być może prowadził przez wiele godzin bez przerwy. Paul wyobraził go sobie za dwadzieścia, trzydzieści lat: mięsiste usta i pełne policzki obwisną; ogorzała od słońca twarz straci kontury i pokryje się bruzdami. Zdrowe rumieńce zastąpi szorstka skóra, z wygrawerowaną siateczką popękanych naczynek. Jasne włosy na karku i skroniach posiwieją.

Na stoliku ze sklejki w mrocznym biurze stała otwarta butelka budweisera i popielniczka pełna niedopałków – zapewne jedno i drugie dodatkowo przyspieszy procesy starzenia się.

– W czym mogę pomóc? – Janson wyczuł od niego piwo, a kiedy podszedł bliżej, dostrzegł kurze łapki wokół oczu.

Pies znów skoczył na siatkę.

– Niech pan nie zwraca uwagi na Butcha – powiedział Jed. – To taka jego rozrywka. Przepraszam na chwilę. – Sipperly wyszedł

z przyczepy, podniósł z ziemi małą szmacianą lalkę i wrzucił ją do klatki. Kundel najwyraźniej na to czekał. Złapał lalkę, położył ją sobie na potężnych łapach i kilkoma mlaśnięciami różowego języka oblizał ją z kurzu.

Jed wrócił do klienta. Przepraszająco wzruszył ramionami.

– Proszę spojrzeć, jak się ślini. Uwielbia tę lalkę. Przywiązał się do niej. Porządny stróż z niego, chociaż nie szczeka. Z drugiej strony to dobrze. – Uśmiechnął się chytrze: wygiął usta w łuk, ale w jego czujnym spojrzeniu nie było serdeczności. Tak uśmiechali się politycy i sprzedawcy. – To pański nissan?

– Chciałbym go sprzedać – rzekł Janson.

Jed skrzywił się nieznacznie, jak kupiec, który ma dać pieniądze na cele dobroczynne.

– Sporo ich mamy. Lubię je, mam do nich słabość. To mnie kiedyś zgubi. Ludzie tu nie kupują japońskich samochodów. Jaki ma przebieg?

– Trochę ponad osiemdziesiąt tysięcy.

Kolejny grymas.

– To dobry moment na sprzedaż. Powyżej dziewięćdziesięciu często psuje się skrzynia biegów. Każdy to panu powie.

– Dzięki za radę – odrzekł Janson, kiwając głową. Handlarz kłamał jak z nut. Uosabiał stereotyp swojej profesji w sposób niemal ujmujący.

– Osobiście je lubię, mimo usterek. Ładna linia. A naprawy to nie problem, mamy tu niedaleko mechanika. Ale jeśli szuka pan naprawdę niezawodnego samochodu, mogę polecić parę modeli, które najpewniej pana przeżyją. – Wskazał rdzawoczerwonego sedana. – Widzi pan tego taurusa? To pewniak. Chodzi jak w zegarku. Nowsze

modele całkiem niepotrzebnie mają mnóstwo dodatkowego wyposażenia. Dodatkowe wyposażenie, dodatkowy kłopot – więcej rzeczy może się popsuć. Ten ma automatyczną skrzynię biegów, radio, ubezpieczenie. Jest gotów do drogi. Zmienia pan olej co pięć tysięcy, tankuje bezołowiową i tyle. Będzie pan zadowolony.

Janson spojrział z wdzięcznością na sprzedawcę, który ewidentnie chciał go oskubać, proponując w zamian za prawie nową altimę podstarzałego taurusa i dodatkowo żądając czterystu dolarów.

– Robi pan złoty interes – zapewnił go Jed Sipperly. – Mam po prostu słabość do tego modelu, jak Butch do swojej lalki. To niemądre, ale jak to mówią, serce nie sługa. Przywozi mi pan altimę, a w zamian dostaje najlepszy samochód w komisie. Każdy powie: „Zwariowałeś, Jed? Ta japońska puszka jest warta tyle co dekiel od forda!”. Może i tak. – Mrugnął porozumiewawczo. – Załatwmy to, zanim zmienię zdanie albo wytrzeźwieję!

– Doceniam pańską szczerłość – mruknął Janson.

Sprzedawca podpisał rachunek zamaszystym ruchem.

– Da pan jeszcze piątaka i może pan zabrać psa. – Zaśmiał się cierpiętniczo. – Albo może ja panu zapłacę, żeby się go pozbyć!

Janson uśmiechnął się i pomachał mu na pożegnanie. Kiedy wsiadał do siedmioletniego taurusa, usłyszał syczący dźwięk kapsła zdejmowanego z butelki – sprzedawca świętował udaną transakcję.

•••

Wątpliwości, jakie dręczyły go podczas podróży, nasiliły się, kiedy przyjechał na miejsce. Okolice Millington sprawiały przygnębiające wrażenie biedy i nudy. Było mało prawdopodobne, żeby miliarder wybrał to miejsce na wiejską posiadłość.

W pobliskich miasteczkach – jak w Little Washington, położonym nieco dalej na północ – obsługa turystów, śmiertelnie nudna praca, była głównym źródłem utrzymania mieszkańców. W rezultacie powstały miasta skanseny. Kryte gontem stodoły zamieniły się w sklepy z pamiątkami, oferujące dwukrotnie droższą niż gdzie indziej porcelanę „z czasów kolonialnych”, „autentyczne” solniczki z mlecznego szkła i „regionalne” świece z wosku, przywożone w skrzynkach z fabryki w Trenton. Farmy przekształcono w drogie restauracyjki. Córki stolarzy, hydraulików i rolników – w każdym razie te, które zdecydowały się zostać w rodzinnym mieście – wystrojone w „kolonialne” koronki i falbany, usługiwały gościom, recytując formułki w rodzaju: „Mam na imię Linda i będę dziś państwa obsługiwać”. Miejscowi witali przybyszy ze sztuczną serdecznością i szerokim, chciwym uśmiechem. „Czym mogę służyć?”.

Z jakiegoś powodu turyści omijali Millington. Niewiele większe od wioski, wydawało się zbyt prawdziwe, żeby mogło być malownicze. Dla zawieszzonego na skalistym zboczu Smith Mountain miasteczka natura była raczej przeciwnikiem niż towarem, który można sprzedać ze względu na walory estetyczne. W okolicy nie powstały żadne pensjonaty, a pobliskie pudełkowe motele – filie tanich sieci zatrudniające imigrantów z Indii – pełniły wyłącznie funkcję praktyczną. Nadawały się w sam raz na jedną noc dla kierowców ciężarówek, ale nie dla biznesmenów, którzy poszukiwali „centrów konferencyjnych”. W Millington o dziesiątej robiło się ciemno – tylko z oddali połyskiwały światła Montvale, położonego w dolinie miasta, które skrzyło się niczym modna, snobistyczna metropolia. Jedyne zakłady pracy – dawna papiernia – produkował obecnie cegły glazurowane i sprzedawał na boku nieczyszczone produkty uboczne.

Kilkunastu zatrudnionych w nim mężczyzn całymi dniami pakowało do worków potaż. Mniejsza fabryczka pod miastem specjalizowała się w dekoracyjnej stolarce budowlanej. Jadłodajnia w centrum, na rogu Main Street i Pemberton, przez cały dzień serwowała jajka, domowe frytki i kawę. Klienci, którzy zamówili wszystko naraz, otrzymywali gratis sok pomidorowy lub pomarańczowy w szklaneczkach wielkości kieliszka do wódki. Przy stacji benzynowej funkcjonował niewielki sklep spożywczy, gdzie można było kupić zapakowane w celofan kanapki – takie same sprzedawano w przydrożnych kioskach w całych Stanach. Musztarda w lokalnym sklepiku występowała tylko w dwóch odmianach – żółtej i brązowej. Na odrapanych półkach – i w ogóle w granicach miasteczka – próżno było szukać musztardy z gorczycą czy estragonem. Nikt tu nie słyszał o *moutarde au poivre vert*. Miejsce w sam raz dla Jansona.

A jednak, jeśli dawne opisy nie kłamały, gdzieś na wzgórzach wznosiła się ogromna posiadłość, tajemnicza prywatna rezydencja. Nikt nie wiedział, do kogo należała. Czyżby „Novak” – fikcyjny twór – był niedaleko? Janson poczuł mrowienie na plecach.

Później tego ranka w restauracji na rogu Main Street i Pemberton zagadnął mężczyznę za barem. Niskie czoło, blisko osadzone oczy i wystająca, kwadratowa szczeka nadawały mu nieco małpi wygląd, ale w trakcie rozmowy okazało się, że sporo wie.

– A więc chciałby pan osiedlić się w okolicy. – Mężczyzna dołał mu kawy z fajansowego dzbanka. – Niech zgadnę. Dorobił się pan w wielkim mieście, a teraz marzy się panu sielskie życie na wsi.

– Coś w tym rodzaju – odparł Janson. Na ścianie za barem wisiała tabliczka z napisem: „Sklep z kawą u Kenny’ego – jakość i wzorowa obsługa”.

– Nie brakowałoby panu wygod? Na Pemberton Street jest agencja nieruchomości, ale wątpię, żeby znalazł pan tam coś dla siebie.

– Myślałem, żeby się pobudować – powiedział Janson. Kawa miała kwaśny smak, za długo stała na gorącej podkładce. Spojrzał w roztargnieniu na fornirowany blat, wytarty od ciężkich talerzy i sztućców.

– Świetna sprawa. Jeśli kogoś na to stać. – Mężczyzna używał taniej wody po goleniu, której mdły zapach mieszał się z agresywną wonią smalcu i masła.

– Inaczej to nie miałyby sensu.

– Racja – zgodził się barman. – Mój syn ubzdurał sobie, że będzie bogaty. Naczytał się bredni w internecie. Miał sprzedawać jakiś chłam. Miesiącami gadał o „modelu przedsiębiorstwa”, „wartości dodanej”, „płynnym handlu”. Twierdził, że odległość przestała odgrywać rolę, bo wszyscy jesteśmy w sieci – w Millington, Roanoke, Waszyngtonie. Zajmowali się tym z kumplami ze szkoły średniej. Cokolwiek zaoszczędzili w swoich świnkach, przepuścili, zanim nadszedł grudzień. A już w styczniu znowu odśnieżał chodniki. Moja żona mówi, że to historia ku przestrodze. I żebyśmy się cieszyli, że nie wpadł w żaden nałóg. A ja jej na to, że nie byłbym taki pewien. Nie trzeba zaraz palić, wciągać, czegoś sobie wstrzykiwać. Pieniądze, żądza pieniędzy, są jak narkotyki.

– Zarabianie to jedno, wydawanie co innego – stwierdził Janson. – Są tu w okolicy działki budowlane?

– Ponoć są nawet na Księżycu.

– Tyle że niełatwo się tam dostać.

– A tu pan dojechał.

– No tak.

– Drogi są w niezłym stanie. – Mężczyzna zapatrzył się na drugą stronę ulicy, gdzie młoda blondynka myła chodnik przed sklepem z artykułami przemysłowymi. Kiedy się pochylała, widać było jej pośladki. Bez wątplenia stanowiła jedną z niewielu miejscowych atrakcji.

– A jest w okolicy lotnisko? – spytał Janson.

– Najbliższe prawdziwe lotnisko mamy w Roanoke.

Janson upił łyk kawy, która zostawiała na języku nieprzyjemny osad.

– Prawdziwe? Są jakieś inne?

– Właściwie nie. Było jedno w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Na Clangerton Road jest zjazd w lewo, to tam.

Armia wybudowała małe lotnisko wojskowe, żeby szkolić w górach pilotów, którzy mieli bombardować rumuńskie pola naftowe. Później wykorzystywał je miejscowy tartak, ale przemysł drzewny praktycznie obumarł. Z całego lotniska został najwyżej pas startowy. Kto by przewoził kamienie samolotem?

– Az lądowiska ktoś jeszcze korzysta?

– Nie mam pojęcia. – Barman nie odrywał wzroku od dziewczyny w obciętych szortach.

– Pytam, bo wspominał o tym mój znajomy, dawny partner w interesach, który mieszka niedaleko.

Jego rozmówca chyba poczuł się nieswojo. Rozmyślnie nie dolał mu kawy, kiedy Janson podstawiał pusty kubek.

– Wobec tego, niech pan lepiej jego spyta – odrzekł, powracając wzrokiem do rajskiej sceny po drugiej stronie ulicy.

– Coś mi się zdaje, że jesteście z synem podobni – stwierdził Janson. Wsunął pod talerzyk kilka banknotów. – Obaj nie umiecie

robić interesów.

Niedaleko był sklep spożywczy. Janson wszedł do środka, przedstawił się kierownikowi i opowiedział mu mniej więcej to samo, co wcześniej mężczyźnie za barem. Kierownik najwyraźniej uznał, że może skorzystać na sąsiedztwie nowego, zamożnego klienta, bo z miejsca zaczął zachęcać go do przeprowadzki.

– To znakomity pomysł – stwierdził. – Piękna okolica. A wyżej w górach, parę kilometrów stąd, można znaleźć naprawdę dziewiczą przyrodę. Można polować, wędkować... – Urwał, niepewny, czym jeszcze skusić nowego klienta, bo przecież nie kręglami czy salonem gier komputerowych, otwartym niedawno obok bankomatu. Takie rzeczy na pewno miał w mieście.

– A tak na co dzień? – dopytywał Janson.

– Mamy wypożyczalnię wideo, pralnię samoobsługową... No i ten sklep. W razie potrzeby realizujemy zamówienia indywidualne. Dla stałych klientów.

– Są tacy?

– O tak. Całkiem sporo. Jest jeden taki gość... Nikt nigdy go nie widział, ale co parę dni przysyła kogoś po zakupy. Musi być superbogaty. Ma swoją kryjówkę gdzieś w górach, jak Lex Luthor, wróg Supermana. Popołudniami ląduje tam mały samolot, prawie codziennie. Ale kupuje u nas. To jest życie, co? Żeby tak móc wysłać kogoś po sprawunki...

– Ma jakieś specjalne zamówienia?

– Jasne. Sprzedaję prawdziwe jedzenie, bezpieczne. Może to Howard Hughes, boi się, że ktoś go otruje. – Mężczyzna zachichotał. – Cokolwiek sobie zażyczy, nie ma problemu. Zamawiam, przyjeżdża ciężarówka, goniec odbiera towar. Cena nie gra roli.

– Naprawdę?

– Jak Boga kocham. Dla pana też z przyjemnością zamówię wszystko, czego pan sobie zażyczy. Tak samo Mike Nugent z wypożyczalni wideo. Żaden problem. Poczuje się tu pan jak w raj. Dzieciaki czasem trochę rozrabiają, jak wszędzie. Ale poza tym ludzie są życzliwi. Spodoba się panu tak, że nie będzie pan chciał wyjeżdżać. Idę o zakład.

– Keith! – zawołała siwowłosa kobieta stojąca przy ladzie chłodniczej. – Keith, skarbie?

Mężczyzna przeprosił na chwilę i podszedł do niej.

– Solę mamy świeżą czy mrożoną? – spytała.

– Świeżo mrożoną – wyjaśnił.

Gdy tych dwoje dyskutowało, czym różni się sola świeża od świeżo mrożonej, Janson udał się na drugi koniec sklepu i chyłkiem wszedł na zaplecze. Na małym metalowym biurku piętrzyła się sterta jasnoniebieskich kartek z zamówieniami. Przeglądał jedną po drugiej, aż natrafił na kartkę z pieczętką „Zamówienie specjalne”. Na końcu listy produktów sklepikarz zaznaczył ptaszkiem kaszę gryczaną.

Kasza... Janson przypomniał sobie artykuły w gazetach i magazynach. „Każdy dzień zaczyna od spartańskiego śniadania, na które zjada kaszę...”. Barwny szczegół, przywoływany równie często jak niemal obowiązkowe wzmianki o „szytych na miarę ubraniach”, „arystokratycznym sposobie bycia”, „władczym spojrzeniu”... Wytarte, dziennikarskie frazesy. „Każdy dzień zaczyna od kaszy...”.

Czyli to była prawda. Gdzieś tu, w tych górach, mieszkał człowiek znany światu jako Peter Novak.

Rozdział 33

W samym sercu Manhattanu bezdomna nędzarka pochylała się nad koszem na śmieci, skrupulatnie lustrując zawartość, niczym listonosz zapełniający skrzynkę pocztową. Miała na sobie podarte, brudne ubranie, na tyle grube, by chroniło ją przed chłodem nocy spędzanych pod gołym niebem. Nie zdejmowała go nawet w słońcu, ponieważ wraz z workiem, pełnym puszek i butelek, stanowiło cały jej dobytek. Spod wystrzępionego džinsu wyzierała brudnoszara bielizna termoaktywna. Za duże adidas-y miały popękane podeszwy i porwane, zawiązane na supły sznurowadła. Kobieta nasunęła na czoło tanią czapkę bejsbolową. W rękę ścisnęła podniszczoną torbę, jakby była pełna skarbów. To moje – zdawała się komunikować światu. To wszystko, co mam. To jestem ja. Dla ludzi takich jak ona czas płynął z dnia na dzień, odmierzany wieczorami względego spokoju, butelkami i puszkami, które udało się sprzedać, niespodziewanymi znaleziskami – jak kanapka w śmietniku, jeszcze świeża, nietknięta przez szczury. Bawełniane rękawiczki, poszarzałe i czarne od sadzy, być może kiedyś należały do panny, która brylowała na balu debutantek, ale od grzebania w plastikowych butelkach, celofanowych opakowaniach, ogryzkach jabłek, skórkach od bananów i pomiętych ulotkach – z każdym dniem były coraz brudniejsze.

W rzeczywistości Jessica Kincaid wcale nie patrzyła na śmieci, lecz w małe lusterko, które oparła o kosz. Dzięki temu mogła obserwować,

kto wchodzi do biura Fundacji Wolności po drugiej stronie ulicy i kto z niego wychodzi. Mijały dni bezowocnej obserwacji, aż wreszcie zeszłego wieczoru zadzwonił podekscytowany Cornelius Eaves, wspólnik Jansona: wyglądało na to, że Marta Lang pojawiła się na Manhattanie.

Eaves się nie mylił: dziś rano Kincaid zauważyła kobietę, która pasowała do szczegółowego opisu Jansona – punktualnie o ósmej wysiadła z limuzyny z przyciemnianymi szybami. Nie pokazywała się przez kilka kolejnych godzin, ale Jessie nie zamierzała opuścić stanowiska. W przebraniu nędzarki praktycznie nie zwracała na siebie uwagi – miasto było pełne takich jak ona. Od czasu do czasu przechadzała się między drucianymi koszami, ustawionymi naprzeciwko budynku na Czterdziestej Ulicy, lecz po chwili znów wracała do tego położonego najbliżej. Około południa dwaj pracownicy administracji terenów zielonych, ubrani w jaskrawoczerwone uniformy, próbowali ją przegonić, ale bez większego entuzjazmu – zważywszy marne pensje, trudno było oczekiwać od nich zaangażowania. Później handlarz uliczny z Senegalu chciał obok niej rozstawić swój stragan z podróbkami roleksów, ale gdy dwukrotnie, niby niechcący, potknęła się o jego stolik, zrzucając zawartość na ziemię, postanowił przenieść się gdzie indziej – przy okazji nie szczędząc jej epitetów w swoim ojczystym języku.

Dochodziła szósta, gdy w obrotowych drzwiach lobby znów pojawiła się elegancka, siwowłosa kobieta z maską obojętności na twarzy. Usiadła na tylnym siedzeniu limuzyny, która ruszyła w stronę skrzyżowania z Piątą Aleją. Jessie zapamiętała numer rejestracyjny i skontaktowała się przez radio z Corneliusem. Jego samochód – żółta

taksówka z wyłączonym kogutem na dachu – czekał na jałowym biegu przed hotelem na końcu przecznicy.

Eaves nie wiedział dokładnie, na czym polega jego zadanie. Wiedział jednak dość, żeby nie pytać, czy mają zgodę przełożonych. Jessica Kincaid poskapiła mu szczegółowych wyjaśnień. Czy wraz z Jansonem prowadzili jakąś prywatną wojnę? Czy przydzielono ich do supertajnego projektu wymagającego szybkiego zwerbowania agentów w stanie spoczynku? Eaves od kilku lat był na emeryturze i dla zabicia czasu chętnie podjął się współpracy. Wystarczyła osobista prośba Jansona i wyraz twarzy tej młodej kobiety, która nie miała wątpliwości, że robi to, co należy.

Jessica wsiadła na tylne siedzenie taksówki, zdarła z głowy czapkę, zrzuciła szmaty i przebrała się w zwyczajne, miejskie ubranie: drelichowe spodnie, pastelowy bawełniany sweter i mokasyny. Wytarła twarz z brudu wilgotnymi chusteczkami, nastroszyła włosy i po chwili wyglądała już całkiem przyzwoicie – czyli w sposób nierzucający się w oczy.

Dziesięć minut później znali adres: Piąta Aleja 1060 – elegancka przedwojenna kamienica z fasadą z wapienia, który z biegiem lat poszarzał w zanieczyszczonym miejskim powietrzu. Wejście do budynku – za rogiem, na Osiemdziesiątej Dziewiątej – ocieniała dyskretna, zielona markiza. Jessie spojrzała na zegarek.

Nagle włosy zjeżyły się jej ze strachu. Zegarek! Miała go na rękę, kiedy obserwowała budynek Fundacji. Wiedziała, że wartownicy są czujni, zaalarmuje ich najmniejszy niepokojący szczegół. Elegancki zegarek marki Hamilton należał kiedyś do jej matki. Z pewnością grzebiąca w śmieciach nędzarka nie miałaby takiego. Ogarnął ją lęk. Strażnik z lornetką mógł zauważyć wykwintne cacko na jej

nadgarstku.

Przypomniała sobie, jak wyciągała rękę, przeszukując śmieci, niczym zubożały archeolog. Dłoń w rękawiczce, długi, wystrzępiony rękaw podkoszulka... Tak, podkoszulek był na nią o kilka numerów za duży i rękaw na pewno zakrywał zegarek. Odetchnęła z ulgą. Nic się nie stało. Wiedziała jednak, że nie mogą sobie pozwolić na takie błędy.

- Przejedźmy się wokół domu, Corn – powiedziała.
- Powoli.

• • •

Jadąc krętą, górską drogą znaną jako Clangerton Road, Janson natrafił na nieoznakowany zjazd, o którym wspomniał mężczyzna z restauracji. Przejechał jeszcze kawałek, trzymając się skraju szosy, po czym zatrzymał samochód w naturalnym zagłębieniu zieleni, za krzakami i młodnikiem. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale ostrożność podpowiadała mu, żeby poruszał się ukradkiem.

Zagłębił się w las, stąpając po gąbczastym poszyciu z igieł sosnowych i gałęzi, po czym zawrócił w stronę wąskiej drogi, którą minął wcześniej. W powietrzu unosił się żywiczny zapach starego lasu sosnowego, kojarzący się z popularnymi środkami dezynfekującymi i odświeżaczami powietrza. Zalesiony teren wydawał się nietknięty ludzką stopą, jak pierwotna puszcza. Przez takie lasy przedzierali się czterysta lat temu osadnicy z Europy, wyposażeni w karabiny skałkowe, muszkiety i noże, z zamiarem zasiedlenia dziewiczych terytoriów. Prowadzili handel wymienny z tubylcami, którzy przewyższali ich liczebnie i wiedzieli o tych ziemiach nieskończenie więcej. Tak wyglądały mgliste początki kraju, który miał się stać

najpotężniejszym mocarstwem na ziemi. Dziś te tereny należały do najpiękniejszych w Ameryce, a zyskiwały tym bardziej, im mniej widoczna była obecność człowieka.

Nagle Janson zobaczył lądowisko.

Znajdowało się na polanie pośrodku lasu i okazało się zaskakująco dobrze utrzymane: krzaki przystrzyżono niedawno, podobnie jak długi, owalny pas trawy. Wokół ziało pustką, chociaż w pobliżu stał samochód terenowy, przykryty brezentem. Jak się tu znalazł? Wyglądało na to, że na lądowisko można dotrzeć jedynie z powietrza – było bardzo dobrze ukryte, otoczone ze wszystkich stron gęsto rosnącymi drzewami. Janson mógł wykorzystać drzewa dla własnych celów: jako ochronę i punkt obserwacyjny.

Zajął stanowisko na starej sośnie, schowany za pniem i gęstymi igłami. Oparł lornetkę o konar i czekał.

Czekał.

Mijały godziny. Tymczasem towarzyszyły mu tylko komary i znacznie mniej liczne stonogi.

Janson prawie nie uświadamiał sobie upływu czasu. Znajdował się w innym wymiarze – w specyficznym stanie dysocjacji, typowym dla snajperów. Jego świadomość nie rejestrowała pewnych faktów, a jednocześnie umysł pozostawał w stanie podwyższonej gotowości.

Był przekonany, że samolot dziś przyleci, i nie opierał swoich domysłów tylko na słowach sklepikarza. Dowodzenie, kontrola, nie mogły opierać się wyłącznie na elektronicznym przepływie informacji. Przesyłki, kurierzy, ludzie – musieli się tu pojawiać. Ale może się mylił i tracił właśnie najcenniejszą rzecz – czas?

Nie mylił się. Dźwięk podobny do brzęczenia owada stopniowo narastał. Samolot okrążył pas, przygotowując się do lądowania.

Janson naprężył muskuły i zmobilizował wszystkie zmysły.

Najnowszy model dwusilnikowej cessny, która płynnie siadła na ziemi, pilotował najwyraźniej wprawny zawodowiec, nie wiejski lekarz opryskujący pola. Pilot w białym mundurze wyłonił się z kabiny i rozłożył sześciostopniowe aluminiowe schodki. Słońce odbijało się od lśniącego kadłuba, przesłaniając Jansonowi widok. Zobaczył tylko, jak drugi pilot – w niebieskim uniformie – eskortuje pasażera z samolotu i prowadzi do samochodu. Mężczyzna zdjął plandekę, spod której ukazał się rangerover – opancerzony, sądząc po niewielkim prześwicie między podwoziem a ziemią – i otworzył pasażerowi tylne drzwi. Chwilę później samochód odjechał.

Niech to szlag! Janson wyteżał wzrok, ale w blasku słońca odbijającego się od przyciemnianych szyb nie był w stanie rozpoznać pasażera. Czuł, jak wzbiera w nim frustracja. Kto przyleciał samolotem? „Peter Novak”? Któryś z jego zastępców?

Samochód zniknął.

Gdzie?

Jakby rozplynął się we mgle. Janson ześlizgnął się z gałęzi i spojrzał przez lornetkę. W końcu dostrzegł przecinkę, biegnącą ukośnie między drzewami, szeroką tylko na tyle, by zdołał tamtędy przejechać samochód. Była praktycznie niewidoczna – genialne rozwiązanie z punktu widzenia architektury krajobrazu, chociaż nikt nie mógł się z nim zapoznać ani go docenić. Znów zaryczały silniki cessny, mały samolot obrócił się na pasie startowym, chwilę kołował i odleciał.

Na las opadła gryząca chmura spalin. Janson ruszył w stronę przecinki. Miała mniej więcej dwa i pół metra szerokości i zasłaniały ją gałęzie, zwieszane niecałe dwa metry nad ziemią – w sam raz, żeby

przejechał pod nimi opancerzony rangerover. Ocieniona drzewami dróżka została niedawno utwardzona, tak że kierowca znający drogę mógł ją pokonać dość szybko, jednak z powietrza była całkiem niewidoczna.

Janson musiał udać się na rekonesans pieszo.

Szedł wzdłuż drogi, ale nie po niej – trzymał się dziesięć metrów dalej, żeby przypadkiem nie uruchomić jakiegoś alarmu. To był długi spacer i wkrótce okazał się wyczerpujący, ponieważ pofałdowany teren nie sprzyjał szybkiemu marszowi. Janson przedzierał się przez gęste zarośla, pokonywał strome, upstrzone głazami pagórki. Po dwudziestu minutach poczuł, że mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa, mimo to nie zwalniał. Gdy próbował chwycić się gałęzi, uświadomił sobie z bólem, że jego ręce straciły dawną twardość – zbyt długo zajmował się klientami z korporacji. Żywica kleiła mu się do dłoni, drzazgi wchodziły pod skórę. Od gorąca piekło go tułów i kark, jakby dostał wysypki. Nie zwracał na to uwagi, skupiony na kolejnym kroku. Powoli, noga za nogą, to był jedyny sposób, żeby posuwać się naprzód. Jednocześnie starał się stąpać bezgłośnie, dlatego, w miarę możliwości, zamiast iść leśnym poszyciem, wybierał występy skalne. Oczywiście po samochodzie nie pozostał najmniejszy ślad. Janson domyślał się, dokąd prowadzi droga, ale nic nie mogło zastąpić bezpośredniej obserwacji. Krok za krokiem. Wkrótce poruszał się niemal automatycznie, a myślami odpłynął zupełnie gdzie indziej.

...

Krok za krokiem.

Chudy jak szkielet Amerykanin pochylił głowę w geście poddania.

Wieści o ucieczce jeńca najwyraźniej rozeszły się po okolicy, bo mężczyźni, którzy go schwytali i inni mieszkańcy wioski wiedzieli, kim jest i dokąd go odprowadzić.

Przez dwie doby przedzierał się przez gęstą dżungłę, siłą całego swojego jestestwa – i po co? Był już tak blisko, a jednak tak daleko. Teraz to wszystko zacznie się od nowa, tylko potraktują go jeszcze gorzej: dla komendanta obozu ucieczka więźnia oznaczała utratę twarzy. Oficer będzie okładał go gołymi pięściami, póki nie wyładuje całej swojej wściekłości. To, czy Janson w ogóle przeżyje, miało zależeć wyłącznie od nastroju dowódcy. Czuł, że wpada w wir rozpacz, który ciągnie go w dół jak potężny prąd rzeczny.

Nie! Nie po tym wszystkim, co zniósł. Nie – dopóki Demarest wciąż żyje. Nie odda mu tego zwycięstwa.

Dwaj partyzanci Wietkongu prowadzili go pod bronią błotnistą ścieżką, jeden na przedzie, drugi z tyłu. Nie zamierzali ryzykować. Mieszkańcy wioski gapili się na niego, zastanawiając się być może, jak ktoś tak wychudły, tak wyniszczony, w ogóle daje radę iść. Sam się nad tym zastanawiał. Jednak nie mógł poznać granic swojej wytrzymałości, dopóki ich nie przekroczył.

Przypuszczalnie nie zbuntowałby się, gdyby idący za nim Wietnamczyk w pewnej chwili nie trzepnął go w kark, zirytowany jego wolnym krokiem. Była to skrajna zniewaga i Janson warknął. Pozwolił sobie warknąć. Pozwolił, by wyćwiczone instynkty wzięły górę. „Twój umysł nie ma własnego umysłu”, powtarzał Demarest w trakcie szkolenia. Chodziło mu o to, żeby panować nad świadomością. Po dostatecznym treningu wyuczone odruchy nabierały charakteru głęboko zakorzenionych, elementarnych instynktów, jakby zostały wplecione w tkanę własnego ja.

Janson odwrócił się, jego stopy prześlizgnęły się na ścieżce jak po lodzie. Skręcił biodra w prawo, nie obracając prawego ramienia, żeby strażnik nie domyślił się, co za chwilę nastąpi: gwałtowny cios palcami naprężonej, wyprostowanej ręki, z kciukiem wsuniętym do wnętrza dłoni – dłoni, która niczym włócznia wbiła się w szyję Wietnamczyka, roztrzaskując chrząstkę tchawicy. Janson zerknął przez ramię na drugiego strażnika. Widok jego przerażonej twarzy dodał mu siły. Z całej siły uderzył go piętą w krocze – tak błyskawicznie, że mężczyzna nie miał szans się obronić. Kiedy strażnik na przedzie zgiął się w pół, Janson kopnął go w skroń i przez chwilę wydawało mu się, że złamał sobie kość. Ale było mu już wszystko jedno. Chwycił karabin jednego z Wietnamczyków i posłużył się nim jak pałąką, uderzając mężczyznę tak długo, aż zwiotczał.

– *Xin loi* – burknął.

Tak mi przykro.

Znów przedzierał się przez dżunglę, ku morzu. Nie spocznie, zanim nie dotrze do brzegu. Teraz nie był już bezbronny – miał ze sobą kałasznikowa, śliskiego od krwi Wietnamczyka. Powoli, noga za nogą. Wytrwa. I zabije każdego, kto stanie mu na drodze. Dla wrogów nie będzie litości. Tylko śmierć.

I nie będzie mu przykro.

•••

Powoli, krok za krokiem.

Minęła kolejna godzina, zanim wspiął się na ostatni występ skalny i ujrzał na własne oczy rezydencję na szczycie Smith Mountain. Tak, to był widok, który spodziewał się zobaczyć, a mimo to zaparło mu

dech w piersiach.

Płaskowyz obejmował około czterystu hektarów pofałdowanych wzgórz Kentucky ciągnących się po horyzont jak szmaragdowe pola golfowe. Janson znów sięgnął po lornetkę. W miejscu, gdzie teraz stał, teren opadał nieznacznie, a na tle skalistego szczytu, za kilkoma pagórkami, dumnie prezentowała się imponująca posiadłość.

Paul zobaczył to, co musiał zobaczyć Maurice Hempel, i od razu pojął, jak nieodparty urok miało to miejsce dla kogoś, kto był samotnikiem w równym stopniu co bogaczem.

Położona na uboczu, praktycznie niedostępna rezydencja połyskiwała na tle ciemnych gór. Wydawała się nieco mniejsza od posiadłości w Biltmore, ale zaprojektowana z taką samą dbałością o szczegóły. Podziw Jansona wzbudziło jednak co innego: nieprawdopodobny system zabezpieczeń. Jakby nie dość było naturalnych barier, utrudniających dostęp do kompleksu, zastosowano tu najnowocześniejsze rozwiązania techniczne, dzięki którym wtargnięcie na teren posesji wydawało się niemożliwe.

Na wprost rozciągało się prawie trzymetrowej wysokości ogrodzenie z siatki. Nie byle jakie ogrodzenie: sam jego widok z pewnością odstraszał przypadkowych turystów. Na siatce zamontowano detektory, które zniechęciłyby nawet niezwykle wprawno włamywacza. Między słupami siatki rozciągnięto naprężoną concertinę, połączoną z kilkoma skrzynkami. Dwa systemy w jednym: naprężony drut kolczasty ostrzegał przed próbą wtargnięcia na teren, a dodatkowo wychwytywał wibracje. Serce zabiło mu gwałtownie. Ogrodzenie wyposażone w czujniki wibracji dawało się pokonać za pomocą nożyc i odrobiny cierpliwości. Ale w połączeniu z drutem kolczastym było nie do przebycia.

Za ogrodzeniem stał rząd słupków. Wyglądały całkiem zwyczajnie – wysokie na metr dwadzieścia, niczym niepołączone. Jednak doświadczony agent wiedziałby, że każdy z nich odbierał i wysyłał strumień mikrofal. W przypadku prostszych systemów wystarczyło wspiąć się na słup po drągu i wymknąć się niewidocznym wiązkom promieni. Niestety, tutaj promienie krzyżowały się i zachodziły na siebie, przez co same słupy też były zabezpieczone.

Na trawniku za rzędem słupków Paul początkowo nie zauważył żadnych zabezpieczeń. Wyteżał wzrok przez dłuższą chwilę. W końcu dostrzegł obok zwirowego podjazdu niewielką skrzynkę z logo TriStar Security. Największa przeszkoda: zakopany w ziemi kabel z czujnikami nacisku. Poza zasięgiem i nie do ominięcia. Nawet gdyby udało mu się pokonać pozostałe zabezpieczenia, nie oszukałby czujników nacisku.

Infiltracja nie wchodziła w rachubę. Tyle podpowiadała mu logika. Odjął od oczu lornetkę, sturlał się ze zbocza i usiadł w milczeniu za występem skalnym. Ogarnęła go fala rezygnacji i zniechęcenia. Był tak blisko i tak daleko.

• • •

Zanim odnalazł drogę powrotną do samochodu, już prawie zmierzchało. Na ubraniu miał pełno zaschniętych liści i rzepów. Ruszył z powrotem do Millington, a potem na północ drogą numer pięćdziesiąt osiem, czujnie zerkając w lusterko wsteczne.

Zostało mu niewiele czasu, a musiał jeszcze zatrzymać się w kilku miejscach, żeby kupić parę rzeczy. Na przydrożnym pchlim targu nabył elektryczną trzepaczkę do jajek – w rzeczywistości chodziło mu o sam silniczek. W pasażu handlowym znalazł tani telefon

komórkowy z kilkoma niedrogimi akcesoriami. W sklepiu spożywczym w Millington kupił duże, okrągłe pudełko ciastek – potrzebował stalowej puszki. Następnie udał się na Main Street do sklepu z artykułami przemysłowymi po klej, pudełko węgla do rysowania, rolkę taśmy izolacyjnej, mocne nożyczki, rozpylacz ze sprężonym powietrzem i rozsuwany drążek do zasłon.

– Złota rączka z pana, co? – zagadnęła blondynka w dzinsowych szortach, wbijając wszystko na kasę. – Lubię takich.

Uśmiechnęła się kusząco. Mężczyzna w restauracji naprzeciwno zapewne przyglądał się temu spode łba.

Ostatnim przystankiem był komis Sipperly'ego na drodze numer pięćdziesiąt osiem. Janson zdążył tuż przed zamknięciem. Sprzedawca nie ucieszył się na jego widok. Wielki kundel postawił uszy, ale kiedy rozpoznał Jansona, znów zajął się swoją obślinioną lalką.

Sipperly zaciągnął się papierosem i podszedł do Jansona.

– Wie pan, że sprzedaję samochody bez gwarancji? – spytał ostrożnie.

Janson wyjął banknot pięciodolarowy.

– To za psa – powiedział.

– Słucham?

– Mówił pan, że za piątaka mogę dostać psa. Daję panu piątaka.

Sipperly roześmiał się chrapliwie, lecz po chwili zrozumiał, że Janson nie żartuje. Jego pełna twarz przybrała wyraz chciwości.

– Tylko żartowałem, bardzo lubię tego psa. Jest jedyny w swoim rodzaju. Świetny stróż...

Janson zerknął na wielkie zwierzę: ubłocona, czarno-brązowa sierść, krótki, tępy pysk, zakrzywiony kieł wystający z zamkniętej mordy, jak u buldoga. Ten pies był najzwyczajniej w świecie brzydki.

– Tyle że nie szczeka – zauważył Janson.

– No cóż, to prawda, robi to niechętnie. Ale to wspaniały pies. Nie wiem, czy potrafię się z nim rozstać. W gruncie rzeczy jestem sentymentalny.

– Pięćdziesiąt.

– Sto.

– Siedemdziesiąt pięć.

– Sprzedany. – Jed Sipperly uśmiechnął się pijackim uśmiechem. – Bez gwarancji. Proszę pamiętać. Reklamacji nie przyjmuję. I lepiej niech pan weźmie tę wyliniałą lalkę, inaczej bestia nie wsiądzie do samochodu.

Olbrzymi kundel obwąchał nowego właściciela, lecz szybko stracił zainteresowanie. Rzeczywiście, dopiero gdy Janson wrzucił szmacianą lalkę na tylne siedzenie, pies wskoczył do forda. Było mu tam ciasno, ale nie narzekał.

– Dziękuję uprzejmie – powiedział Janson. – A przy okazji, gdzie mógłbym kupić antyradar?

– Wie pan, że w stanie Wirginia nie wolno ich używać? – spytał sprzedawca z udawaną powagą.

Z kolei Janson udał zmieszanie.

– Ale jeśli chce pan ubić dobry interes, to lepiej nie mógł pan trafić.

– Sipperly zrobił zadowoloną minę. To był jego szczęśliwy dzień.

Janson wrócił do motelu. Zmontował sprzęt i załadował go do plecaka. Tymczasem zrobiło się całkiem ciemno i kiedy wyruszył w drogę wraz z psem, towarzyszyła im jedynie księżycowa poświata. Tym razem, może z powodu napięcia, trasa wydała mu się krótsza, mimo że ciążył mu plecak.

Przed ostatnim z pagórków Janson zjął psu obrozę, drapiąc go

czule po głowie i szyi. Potem nabrał w dłonie trochę ziemi, rozsmarował ją na głowie kundla i wtarł w i tak już ubłoconą sierść. Nie była to subtelna zmiana – teraz zwierzak bez obroży wyglądał jak jeden ze zdziczałych psów górskich, które czasem włóczyły się po okolicy. Następnie Janson wrzucił za ogrodzenie szmacianą lalkę. Gdy pies pobiegł za nią, cofnął się między drzewa i z ukrycia obserwował rozwój wypadków.

Wielki kundel skoczył na siatkę, cofnął się i ponowił próbę, uderzając o drut i czujniki wibracji, które miały tak ustawiony próg czułości, żeby nie uruchomił ich byle podmuch wiatru czy drepcząca wiewiórka. Ale ogromny pies? Obydwa systemy zarejestrowały obecność intruza. Na ogrodzeniu zapaliły się niebieskie diody.

Zamontowana na wysokim słupie kamera wideo powoli obróciła się tam, skąd dobiegł sygnał. Mrugające lampy halogenowe rzucały oślepiające błyski na fragment ogrodzenia, gdzie Butch ponawiał bezowocne starania. Jaskrawe światło docierało nawet między drzewa, za którymi ukrył się Janson. Impuls uruchomił kamerę zaledwie w cztery sekundy. System okazał się nad podziw skuteczny.

Oszołomiony pies wciąż skakał na siatkę, szarpiąc za druty przednimi łapami. Za wszelką cenę chciał odzyskać ukochaną lalkę. Obiektyw kamery wysunął się – urządzeniem najwyraźniej zdalnie sterowali wartownicy. Gdyby namierzyli intruza, mogli powiększyć obraz i rozpoznać napastnika.

Nie zajęło im to dużo czasu. Lampy wyłączono, kamera wróciła do poprzedniej pozycji, niebieskie diody zgasły.

Janson usłyszał, jak pies znów skacze na siatkę. Nie odpuszczał. Czyżby sądził, że w ten sposób odzyska lalkę? Czy na swój psi sposób udowodniał jej, że mu na niej zależy? Kto wie. Dla Jansona ważne

było, że potrafił przewidzieć jego zachowanie.

Podobnie jak tych, którzy sterowali wartym miliony dolarów systemem zabezpieczeń. Jego wielką zaletę stanowił fakt, że eliminował potrzebę wysyłania strażnika w sytuacji sprzed chwili. Inspekcję terenu przeprowadzano zdalnie. Tym razem, gdy Butch ponownie skoczył na siatkę, nie zapaliły się żadne diody. Ten segment systemu został wyłączony – fałszywy alarm. Strażnicy prawdopodobnie doszli do wniosku, że zdziczały pies gonił wiewiórkę lub świstaka, i wkrótce pobiegnie dalej.

Gdy Butch szykował się do kolejnej próby, Janson przerzucił plecak przez siatkę i zaczął biec w stronę ogrodzenia. Gdy dzieliło go od siatki ledwie parę metrów, wyskoczył wysoko w górę. Zaczepił o siatkę wszystkimi palcami i stopą. Wsunął czubek buta w ogniwo ogrodzenia i się podciągnął. Zwinnie wspinał się po płocie najeżonym ostrymi, spiczastymi kolcami. Żeby znaleźć się po drugiej stronie, musiał utrzymać środek ciężkości nad ogrodzeniem. Wyobraził sobie, że jest wyższe o trzydzieści centymetrów, niż było w rzeczywistości, i rzucił się przez siatkę tuż nad tym umownym punktem. Przez chwilę zwisał głową w dół. Zaczepił palcami o metalowe ogniwo, obrócił ciało, jakby robił fikołka, po czym wyprostował się i zeskoczył na trawnik.

Poczuł pod stopami coś miękkiego. Szmaciana lalka. Przerzucił ją przez siatkę, a pies delikatnie wziął ją w zęby i pobiegł chyłkiem za drzewa.

Zaraz potem zabrzączał silnik obracającej się kamery i znów rozbrzysły halogeny. Czy obiektyw kamery był wycelowany w niego? Czyżby niechcący uruchomił jakiś inny system alarmowy?

Wiedział, że podziemnych kabli z czujnikami nacisku nie umieszcza

się w odległości mniejszej niż cztery i pół metra od ogrodzenia – w przeciwnym razie zwykły wiatr, kołysząc metalową siatką, powodowałby zakłócenia w polu elektromagnetycznym.

Przypadł płasko do ziemi. Serce waliło mu jak młotem. W ciemności czarne ubranie czyniło go niewidocznym, ale potężne lampy halogenowe wyłapałyby jego sylwetkę na tle jasnego żwiru i zielonej trawy. Gdy przyzwyczał wzrok do światła, zorientował się, że ani kamera, ani lampy nie były wycelowane w niego, lecz we fragment ogrodzenia, które przed chwilą pokonał. Przed ponowną aktywacją systemu strażnicy musieli się upewnić, czy siatka nie została naruszona. Po czterech sekundach światła zgasły. Zrobiło się ciemno, a Janson odetchnął z ulgą. Mrugające słabo niebieskie diody oznaczały, że znów działają czujniki wibracji.

Ruszył w stronę słupów. Przyjrzał się ich konfiguracji i na nowo ogarnęło go uczucie zniechęcenia. Rozpoznawał ten model – supernowoczesny system ochrony z wykorzystaniem mikrofal. Na każdym z solidnych słupów zamontowano pod aluminiowym okapem dielektryczne przekaźniki. Sygnał o mocy piętnastu gigaherców był przyporządkowany jednemu z kilku wybranych wzorów modulacji amplitudy. System dokładnie analizował każde zakłócenie, określając jego rozmiar, gęstość i prędkość, po czym przekazywał dane do multipleksowych modułów sieci centralnej.

Zauważył już wcześniej, że czujniki zostały ustawione naprzemiennie, tak że promienie zachodziły na siebie. Gdyby wspiał się na jeden ze słupów ponad wiązkę promieni, i tak dosięgnąłby go strumień krzyżujących się mikrofal.

Janson obejrzał się na ogrodzenie. Jeśli uruchomił barierę mikrofalową – a było bardzo prawdopodobne, że tak – będzie musiał

znów wdrapywać się na siatkę, zanim wybiegną strażnicy i zaczną się strzelanina. Jasne światło czterech lamp halogenowych nie tylko oświetlało intruza, aby był lepiej widoczny w kamerze, lecz również oślepiało go, utrudniając ucieczkę. Jeśli będzie trzeba, wycofa się, chociaż ryzykowałby niewiele więcej, posuwając się do przodu.

Wyjął z plecaka antyradar. Wybrał model z górnej półki, Fantom II, przeznaczony dla kierowców lubiących szybką jazdę, ale nie mandaty. Jego skuteczność polegała na tym, że jednocześnie wykrywał radar i zagłuszał sygnał rozpędzonego samochodu, który stawał się przez to jakby niewidzialny. Urządzenie namierzało sygnał policyjnego radaru, po czym odbijało go z powrotem do źródła. Janson wcześniej usunął plastikową obudowę, skrócił antenę i zainstalował dodatkowy kondensator, zmieniając spektrum częstotliwości radiowej, tak by obejmowało pasmo mikrofal. Teraz za pomocą taśmy izolacyjnej przymocował urządzenie do długiego, stalowego drążka teleskopowego. Gdyby zadziałało zgodnie z jego oczekiwaniami, miałby szansę wykorzystać nieodłączną cechę wszystkich zewnętrznych systemów ochrony: dopuszczalne odchylenie, uwzględniające warunki pogodowe i miejscową faunę. System, który regularnie sygnalizował fałszywy alarm, był w zasadzie bezużyteczny. Zewnętrzne instalacje z wykorzystaniem mikrofal zawsze przetwarzały sygnał, żeby odróżnić wtargnięcie człowieka od tysiąca innych czynników, które mogły spowodować zakłócenia – takich jak gałąź łamiąca się na wietrze czy czmychające zwierzę.

Mimo wszystko sporo ryzykował. W mniej nagłych okolicznościach, zanim zdecydowałby się igrać z życiem, przetestowałby sprzęt w terenie.

Znów przyjrzał się ustawieniu słupów. Zwykle czujniki

rozmieszczano w odległości dwustu metrów, tu jednak zostały rozstawione co trzydzieści metrów – kosztą najwidoczniej nie grały roli, co z pewnością ucieszyło tego, kto instalował system. Paradoksalnie, bliskość czujników działała na korzyść Jansona. Im dalej od siebie były rozmieszczone, tym szersze obejmowały pole – przy odległości dwustu pięćdziesięciu metrów między dwoma czujnikami promienie zachodziły na siebie na odcinku dwunastu metrów. Przy trzydziestu metrach zogniskowane fale obejmowały najwyżej dwa metry. Janson właśnie na to liczył.

Tak jak się spodziewał, słupy w drugim rzędzie wysyłały promienie po przekątnej do tych w pierwszym rzędzie i na odwrót. W punkcie przecięcia fale miały najmniejszy zasięg. Słupy rozmieszczono w taki sposób, że jeden stał ukośnie niecały metr od drugiego i ten schemat powtarzał się co trzydzieści metrów. Janson wyrysował w wyobraźni linię łączącą dwa sąsiadujące słupy, a następnie linię łączącą dwa kolejne. Pośrodku tych dwóch równoległych powinien znajdować się punkt minimalnego zasięgu mikrofal. Paul przesunął się w stronę tego punktu – czy raczej tam, gdzie spodziewał się go znaleźć – i wysunął metalowy pręt z antyradarem. System natychmiast wykryłby pojawienie się obcego obiektu, ale równie szybko ustaliłby, że wzór fali nie pasuje do człowieka. Dlatego nie uruchomiłby alarmu, dopóki Janson nie spróbowałby sforsować barykady. Byłaby to chwila prawdy.

Czy antyradar zmyli przekąźniki, tak że nie zarejestrują wtargnięcia Jansona na teren rezydencji?

Nie miał nawet pewności, czy fantom II w ogóle działa. Na wszelki wypadek zdemontował wyświetlacz, nie mógł więc liczyć na to, że gdy urządzenie odbije sygnał, zapali się czerwona lampka. Musiał

działać na wiarę. Trzymając pręt przed sobą w niezmienionej pozycji, zaczął powoli przesuwać się do przodu, z dala od bariery.

I... udało się.

Udało się!

Znalazł się po drugiej stronie. I bynajmniej nie było to miejsce bezpieczne.

Ruszył w stronę łagodnie nachylonej alejki prowadzącej do rezydencji. Włosy zjeżyły mu się ze strachu. Zwierzęcy instynkt ostrzegał, że teraz dopiero grozi mu niebezpieczeństwo.

Zerknął na świecący blado wyświetlacz woltomierza, jednocześnie osłaniając go dłońmi. Nie był to supernowoczesny sprzęt, jednak musiał mu wystarczyć.

Nic.

Przeszedł jeszcze trzy metry. Teraz strzałka drgnęła. Gdy zrobił kolejny krok, wskazania gwałtownie wzrosły.

Zbliżał się do zakopanych w ziemi czujników nacisku. Wprawdzie woltomierz wskazywał, że sam kabel jest jeszcze daleko, ale czujniki systemu TriStar wykrywały nacisk w promieniu prawie dwóch metrów.

Ponieważ wskazania woltomierza rosły w szybkim tempie, należało zakładać, że zbliża się do aktywnego pola. Dwadzieścia parę centymetrów pod murawą biegł wielożyłowy kabel zaprojektowany tak, by przez „dziury” w przewodniku zewnętrznym mogły przedostawać się fale elektromagnetyczne, które odbierała główna żyła. W efekcie pole wolumetryczne obejmowało wysokość trzydziestu centymetrów i szerokość około dwóch metrów. Jednak podobnie jak w przypadku innych zewnętrznych systemów ochrony, mikroprocesory rozpoznawały różne rodzaje zakłóceń. Zwierzę

o wadze dziesięciu kilogramów nie uruchomiłoby czujników, ale chłopiec ważący trzydzieści pięć kilo już tak. System reagował też na szybkość, z jaką poruszał się intruz, i odpowiednio ją interpretował. Śnieg, grad, szelest liści, zmiany temperatury – wszystkie te czynniki mogły zakłócić odbiór sygnału, jednak system wychwytywał i filtrował szумы.

W przeciwieństwie do zapory z mikrofal, czujników nacisku nie dało się oszukać. Zakopane w ziemi kable były poza zasięgiem, a TriStar dodatkowo reagował na wszelkie próby ingerencji – przerwanie obwodu zostałoby natychmiast wykryte, co uruchomiłoby alarm. Był tylko jeden sposób, żeby sforsować tę barierę.

Należało przedostać się ponad nią.

Janson rozciągnął segmenty teleskopowego drążka przeciwnie do kierunku ruchu wskazówek zegara i zablokował je w maksymalnie wysuniętej pozycji. Cofnął się parę kroków i trzymając pręt przed sobą, rozpędził się w stronę pola czujników. Wyobraził sobie niewidzialną dwumetrową barierę, którą musi przeskoczyć.

W biegu wbił koniec drążka w ziemię, podniósł prawe kolano i wyskoczył w górę, huśtając biodrami. Gdyby wszystko poszło dobrze, siła rozpędu powinna ponieść go dostatecznie daleko od kabli. To nawet nie musiał być spektakularny skok o tycze wytrawnego lekkoatlety – wystarczyło, żeby utrzymał ciało w powietrzu ponad polem wolumetrycznym. Czujnik zarejestrowałby jedynie słaby nacisk drążka, niezgodny z parametrami ludzkiej istoty. Janson wbił wzrok w miejsce na trawniku, gdzie spodziewał się wylądować – w bezpiecznej odległości od zakopanego w ziemi kabla – i nagle poczuł, że stalowy drążek wygina się pod jego ciężarem.

Boże, nie.

Drażek złamał się na łuku, a Janson upadł ciężko na ziemię.

O wiele za blisko.

A może nie? Ta niepewność go wykańczała.

Oblał się zimnym potem. Za chwilę miał się przekonać, czy uruchomił czujniki nacisku. Zapłoną reflektory, obróci się kamera. A gdy odzyska ostrość widzenia, zobaczy uzbrojonych po zęby strażników biegnących w jego stronę. Zważywszy wszechobecne czujniki i zapory, ucieczka nie będzie możliwa.

Z zapartym tchem czekał. I czuł, jak z każdą sekundą kiełkuje w nim poczucie ulgi. Udało się! Sforsował wszystkie trzy systemy zabezpieczeń.

Wstał i spojrzał w górę na majestatyczną rezydencję. Z bliska wyglądała oszałamiająco. Po obu stronach głównego budynku wznosiły się stożkowe wieżyczki. Fasadę wykonano z drogiego piaskowca, a wokół dachu biegła ozdobna balustrada. Pompatyczna architektura, eklektyzm – jednak czy można nazwać pretensjonalnym coś, czego nikt nigdy nie oglądał?

W oknach było ciemno, jeśli nie liczyć słabej poświaty, która przypuszczalnie nocą oświetlała wnętrze. Czyżby mieszkańcy znajdowali się w tylnym skrzydle? Niemożliwe, żeby wszyscy spali o tej porze. Jansona zaniepokoił ten stan rzeczy, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Zresztą teraz już nie mógł się wycofać.

Zakradł się pod lewą ścianę budynku, gdzie znalazł wąskie boczne wejście.

W murze, tuż obok ciemnych, rzeźbionych drzwi umieszczono dyskretny, elektrostatyczny ekran dotykowy, podobny do tych, jakie montuje się w bankomatach. Wystukanie odpowiednich cyfr

wyłączało alarm. Janson wyjął z plecaka mały rozpylacz ze sprężonym powietrzem i skierował na klawiaturę strumień sproszkowanego węgla. Proszek powinien osiąść na odciskach palców, a wówczas, na podstawie ich analizy, mógłby odczytać kod cyfrowy.

Tymczasem żaden wzór się nie ukazał. Potwierdziły się jego obawy: system wyświetlał cyfry losowo, nigdy w tej samej kolejności.

Skupił myśli. Tak blisko, a tak... Nie, nie może teraz dać za wygraną. Gdyby udało mu się wyłączyć alarm, miałby ułatwione zadanie, ale przecież nie wyczerpał jeszcze wszystkich opcji. Wejście było zabezpieczone alarmem. Trudno. Jednak alarm nie włączy się, jeśli system nie wykryje, że drzwi zostały otwarte. Janson wyjął małą latarkę kieszonkową i przyjrzał się im uważnie. Na samej górze spostrzegł małe śrubki – gdzieś tam musiał być wyłącznik. Magnes, wmontowany w futrynę, zamykał obwód, dopóki drzwi były zamknięte. Janson wyjął z plecaka własny, potężny magnes i szybko schnącym klejem przymocował go do drzwi.

Następnie zajął się zamkiem. Tyle że nie znalazł w nim dziurki od klucza, a jedynie otwór na kartę magnetyczną. Czy mógł sforsować drzwi? Raczej nie: prawdopodobnie wewnątrz drewnianej obudowy znajdowała się stalowa krata i liczne zasuwy. Takie drzwi nie otwierały się na życzenie. Trzeba by rozmontować część budynku, żeby ustąpiły.

Był przygotowany na taką ewentualność. Dysponował jednak znacznie mniej profesjonalnym sprzętem niż zwykle. Magnetyczny wytrych, taśma izolacyjna i klej robiły kiepskie wrażenie. Wcześniej zdemontował obudowę silnika od trzepaczki, zastępując ją metalowym prętem. Do pręta przymocował cienki, stalowy prostokąt, wycięty nożyczkami z puszki na herbatniki. Wykorzystał

też prosty obwód tranzystorowy, wymontowany z taniej komórki. Gdy przytknął do urządzenia dwie baterie R-6, utworzyło się pole magnetyczne, które miało aktywować czujniki.

Janson wsunął metalowy prostokąt do otworu i czekał.

Nic.

Ogarnięty narastającą frustracją, sprawdził styki i ponownie wsunął blaszkę w otwór. Mijały sekundy. Nagle usłyszał szcęk metalu. Rygle się przesunęły.

Odetchnął głęboko, po czym otworzył drzwi.

Jeśli w domu ktoś przebywał, wewnętrzne alarmy musiały być wyłączone. A jeśli Janson się mylił, to wkrótce miał się o tym przekonać. Cicho zamknął za sobą drzwi i ruszył w głąb domu mrocznym korytarzem.

Ze szczeliny w drzwiach sączyło się światło.

Stał przed zwykłymi drzwiami wahadłowymi. Niezamknięte na zamek i niezabezpieczone żadnym alarmem. Kryjówka? Biuro? Sala konferencyjna?

Nagle ogarnął go lęk. Odezwały się zwierzęce instynkty ostrzegawcze.

Coś było nie tak.

Ale przecież nie mógł teraz się wycofać. Wyjął z kabury pistolet i wszedł do pokoju.

Oślepiło go jasne światło lamp – podłogowych, biurkowych i żyrandola na suficie. Zmrużył oczy, przepełniony strachem.

Ogarnął wzrokiem pokój – wspaniały salon, wyłożony adamaszkiem, skórą i postarzanym drewnem. Osiem osób, siedzących przy stole pośrodku, wbijało w niego wzrok.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

Czekali na niego.

– U diabła, nie spieszył się pan, panie Janson! – odezwał się życzliwy głos. – Collins twierdził, że będzie pan tutaj przed ósmą. Jest wpół do dziewiątej!

Janson zamrugał oczami.

Nie mylił się.

Miał przed sobą prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 34

Prezydent Stanów Zjednoczonych. Dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych. A pozostali?

Janson oniemiał. Stał jak wmurowany.

Nieemożliwe. A jednak.

W luksusowej rezydencji czekali na niego mężczyźni w garniturach i krawatach. Większość z nich rozpoznawał. Sekretarz stanu, krzepki staruszek, który wyglądał mniej krzepko niż zwykle. Podsekretarz do spraw międzynarodowych w Ministerstwie Finansów Stanów Zjednoczonych – pulchny ekonomista, absolwent uniwersytetu w Princeton. Przewodniczący Narodowej Rady Wywiadu o ziemistej cerze. Wicedyrektor Agencji Wywiadu Obronnego, przysadzisty, jak zwykle z trzydniowym zarostem. A także paru bladych, podenerwowanych techników – Janson znał ten typ.

– Usiądź, Paul. – Tak, to był Derek Collins. Patrzył na niego szaroniebieskimi oczami zza grubych, czarnych, plastikowych okularów. – Czuj się jak u siebie w domu. – Uśmiechnął się cierpko, obejmując wzrokiem wnętrze. – O ile można to nazwać domem.

Przestronny, pełen zdobień pokój wyłożono boazerią w stylu siedemnastowiecznych angielskich rezydencji. Wypolerowane mahoniowe ściany błyszcząły w świetle eleganckiego kryształowego żyrandola. Deski parkietu z jasnego i ciemnego drewna – dębu i hebanu – układały się w misterny wzór.

– Świadomie wprowadziliśmy cię w błąd. Mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał – ciągnął Collins.

Świadomie wprowadziliśmy cię w błąd?

– Kurier był podstawiony – stwierdził Janson bezbarwnym głosem. Collins pokiwał głową.

– Wpadliśmy na ten sam pomysł co ty. W sprawie dostępu do dokumentów napływających do fundacji. Kiedy kurier zgłosił, że się z nim skontaktowałeś, wiedzieliśmy, że nadarzyła się wielka szansa. Nie przyjąłbyś zaproszenia, nawet gdybyśmy je wypisali złotymi literami, prawda? Tylko w ten sposób mogłem cię tu sprowadzić.

– Sprowadzić?! – oburzył się Janson.

Collins wymienił spojrzenia z prezydentem.

– I tylko w ten sposób mogłem udowodnić tym dobrym ludziom, że nadal masz jaja. Że twoje umiejętności są godne twojej reputacji. Spisałeś się na medal, jestem pod wrażeniem. Nie rób takiej nadąsanej miny. Spróbuj zrozumieć, że ludzie tu zgromadzeni są jedynymi, którzy znają prawdę o Möbiusie. Jedynymi, którzy zostali przy życiu. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś teraz członkiem tej wybranej grupy. Wuj Sam cię potrzebuje.

– Niech cię szlag, Collins! – Janson schował pistolet do kabury i oparł ręce na biodrach. Czuł wściekłość.

Prezydent odchrząknął.

– Panie Janson, liczymy na pana.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, mam dość kłamstw.

– Uważaj, Paul – wtrącił Collins.

– Panie Janson. – Prezydent patrzył mu w oczy swoim słynnym, powłóczystym spojrzeniem, które mogło wyrażać zarówno smutek, jak i rozbawienie. – Kłamstwa to zasadniczo język ojczysty większości

pracowników Waszyngtonu, nie przeczę. Kłamstwa były, są i będą, ponieważ wymaga tego dobro kraju. Ale musi pan zrozumieć jedną rzecz. Znalazł się pan w ściśle tajnej, pilnie strzeżonej placówce federalnej. Żadnych mikrofonów, rejestrów, nic. Co to oznacza? Że jesteśmy w miejscu, gdzie możemy zrzucić maski i być ze sobą szczerzy. To nieoficjalne spotkanie. Nigdy nie miało miejsca. Mnie tu nie ma, pana tu nie ma. Kłamstwo, owszem, kłamstwo, ale to pod jego osłoną swobodnie mówimy prawdę. Tu i teraz chodzi o prawdę. Nikt nie zamierza pana okłamywać. Musimy w trybie pilnym zapoznać pana z sytuacją dotyczącą Möbiusa.

– Program Möbius – prychnął Janson. – Tak, słyszałem. Największy na świecie filantrop, miliarder, wędrowny ambasador pokoju, rozjemca – to postać fikcyjna, wymyślona przez kolegów z Waszyngtonu. Ten współczesny święty jest od początku do końca wytworem grupy naszych strategów.

– Święty? – przerwał mu przewodniczący Narodowej Rady Wywiadu. – Nie było żadnego wartościowania religijnego. Zawsze staraliśmy się tego uniknąć.

– Bogu niech będą dzięki – rzucił Janson lodowatym tonem.

– Obawiam się, że nie wie pan wszystkiego – odezwał się sekretarz stanu. – Ujawnienie tej tajemnicy mogłoby się okazać druzgocące dla naszego kraju. Dlatego zachowywaliśmy w tej kwestii tak wiele ostrożności.

– Pozwoli pan, że streszczę fakty – zaczął prezydent. Było jasne, że to on przewodniczył spotkaniu. Pełnił władzę na co dzień i nie musiał podkreślać na każdym kroku swojej roli przywódczej. – Powiedzmy, że nasz fikcyjny człowiek nie jest już naszym człowiekiem. Wymknął się spod kontroli.

– Paul? Usiądź, proszę. To trochę potrwa – uprzedził Collins.

Janson opadł na fotel. W pokoju panowało wyraźne napięcie.

Prezydent Berquist spojrział przez okno na ogród za domem. W świetle księżyca połyskiwał labirynt równo przystrzyżonych cisów i bukszpanów.

– Zacytuję jednego z moich poprzedników – podjął prezydent. – Zrobiliśmy z niego boga, chociaż nie mieliśmy na własność nieba. – Zerknął na Douglasa Albrighta z Agencji Wywiadu Obronnego. – Doug, może ty?

– Rozumiem, że zapoznał się pan z historią powstania programu. Wie pan zatem, że dysponowaliśmy trzema nadzwyczaj zaangażowanymi agentami, którzy zostali przeszkoleni do odgrywania roli Petera Novaka. Musieliśmy wspomóc się sobowtórami.

– Tak, tak, słyszałem. Zważywszy koszt inwestycji, nie mogliście ryzykować, że waszego cyborga rozjedzie taksówka – rzucił kwaśno Janson. – A skąd wzięliście żonę?

– To agentka – odparł Albright. – Ona także poddała się operacji plastycznej na wypadek, gdyby ktoś rozpoznał ją z dawnych lat.

– Pamiętasz Nell Pearson? – spytał Collins cicho.

Janson był porażony. Nic dziwnego, że żona Novaka wydała mu się jakby znajoma. Jego romans z Nell Pearson trwał krótko, ale nigdy jej nie zapomniał. Gdy się poznali, od dwóch lat pracował w Wydziale Operacji Konsularnych. Oboje wolni, młodzi, niecierpliwi. Wysłano ich do Belfastu, mieli udawać męża i żonę. Co przyszło im bez większego trudu. Namiętny związek, raczej fizyczny niż duchowy, okazał się równie gwałtowny, jak ulotny. A jednak pamiętał ją: jej długie, smukłe palce – tego nie dało się zmienić. I oczy. Coś między

nimi iskrzyło, nawet teraz, w Amsterdamie.

Wzdrygnął się. Kobieta, którą znał, odmieniło nieodwracalnie zimne, stalowe ostrze skalpela.

– Wymknął się spod kontroli? – spytał. – Co to znaczy?

Zapanowało niezręczne milczenie. W końcu przemówił podsekretarz z Ministerstwa Finansów.

– Stanęliśmy przed wyzwaniem: jak zapewnić ogromne fundusze, konieczne dla podtrzymania iluzji, że nasz fikcyjny miliarder filantrop istnieje naprawdę? Rzecz jasna, nie mogliśmy finansować programu ze ściśle kontrolowanego budżetu wywiadu Stanów Zjednoczonych. Mieliśmy kapitał na rozkręcenie interesu, ale nic ponadto. Dlatego stworzyliśmy własny fundusz, wykorzystując jako źródło przychodów przechwycone informacje...

– Jezu... Echelon?

Echelon. Skomplikowany system zbierania danych wywiadowczych przy użyciu krążących nisko nad Ziemią satelitów, które przechwytyują informacje. Każde telefoniczne połączenie międzynarodowe, każda forma komunikacji satelitarnej – tych było najwięcej – wszystko wyłapywała ta orbitująca flota szpiegowska. Przechwycone informacje analizowała Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Mogła w ten sposób monitorować wszelkie rodzaje telefonii międzynarodowej. Agencja wielokrotnie zaprzeczała, jakoby wykorzystywała przechwycone dane do celów innych niż bezpieczeństwo państwa, w najściślejszym znaczeniu. Tymczasem Janson właśnie usłyszał coś, co zaszokowałoby największych sceptyków, wszędzie wietrzących spisek.

Podsekretarz pokiwał głową z posepną miną.

– Echelon pomagał nam zbierać wrażliwe, ściśle tajne dane,

dotyczące decyzji banków centralnych na całym świecie. Czy Bundesbank zdevaluuje markę? Czy Malezja wzmocni ringgit? Czy na Downing Street postanowią obniżyć kurs funta? Ile warte będą te informacje, uzyskane choćby na kilka dni wcześniej? Nasz Peter Novak miał je wszystkie. Dysponował najcenniejszymi danymi naszego wywiadu. To było dziecinie proste. Za jego pośrednictwem dokonywaliśmy gigantycznych operacji walutowych. Z dwudziestu milionów robiło się nagle dwadzieścia miliardów! A potem dużo, dużo więcej. Legendarny finansista. Nikt nie musiał wiedzieć, że jego genialna intuicja, instynkt, były w rzeczywistości skutkiem...

– ...wykorzystania w haniebnym sposób systemu inwigilacji stworzonego przez rząd Stanów Zjednoczonych – dokończył Janson.

– Zgoda – wtrącił poważnie prezydent Berquist. – Ma pan rację. Rzecz jasna, program wdrożono na długo przedtem, zanim objąłem urząd. Dzięki nadzwyczajnym środkom stworzono miliardera z pierwszych stron gazet... Jednak nie wzięliśmy pod uwagę czynnika ludzkiego. Nie pomyśleliśmy, że takie bogactwo i władza mogą się okazać zbyt wielką pokusą dla przynajmniej jednego z naszych agentów.

– Nigdy nie uczycie się na własnych błędach? – zagrzmiął Janson. – Znacie prawo niezamierzonych konsekwencji? – Patrzył po twarzach zebranych. – Historia amerykańskiego wywiadu pełna jest genialnych planów, które zmieniły świat na gorsze. Nagle przypomniał sobie o czynniku ludzkim. Wcześniej nie mieścił się w waszych arkuszach kalkulacyjnych? – Janson odwrócił się do Collinsa. – Pytałem cię wcześniej, kto zgodziłby się odgrywać taką rolę. Kto przystałby na to, żeby wymazać całą jego tożsamość?

– Tak – odparł Collins. – Odpowiedziałem ci: ktoś, kto nie miał

wyboru. Znasz tego człowieka. Nazywa się Alan Demarest.

Rozdział 35

Jansona przeszedł zimny dreszcz. Przez chwilę miał przed oczami twarz dawnego dowódcy. Krew pulsowała mu w skroniach, naszała go fala mdłości.

To musiało być kłamstwo!

Alan Demarest nie żył. Został stracony wyrokiem sądu Stanów Zjednoczonych. Jedynie świadomość, że dokonał odwetu, pozwalała Jansonowi znosić ciężar wspomnień.

Kiedy wrócił do kraju, złożył wyczerpujące raporty, na podstawie których – jak go zapewniano – Demarest został postawiony w stan oskarżenia. Zebrał się tajny trybunał wojskowy. Decyzję podjęto na najwyższym szczeblu: ze względu na morale obywateli nie należało upubliczniać działalności komandora podporucznika, ale trzeba było uczynić zadość sprawiedliwości. Dzięki obszernym zeznaniom Jansona, złożonym pod przysięgą, proces odbył się błyskawicznie. Zaledwie po kilku godzinach obrad Demaresta uznano za winnego i skazano na śmierć. Człowiek, którego jeden z agentów kontrwywiadu ochrzcił „Kurtzem z Khe Sanh”, stanął przed plutonem egzekucyjnym. Janson widział to na własne oczy.

Mesa Grande. U stóp wzgórz San Bernardino. Na piersi kółko z materiału. Białe, a potem czerwone.

Patrzył na Collinsa w milczeniu. Żyły wystąpiły mu na czoło.

– Ktoś, kto nie miał wyboru – powtórzył Collins nieustępliwie. –

Genialny człowiek. Nadzwyczajny umysł. Ale też, o czym mogłeś się przekonać, pełen wad. Trudno. Potrzebowaliśmy kogoś z jego zdolnościami. Przy czym nikt nie kwestionował jego absolutnej lojalności wobec kraju, chociaż metody – owszem.

– Nie – wyszeptał Janson, powoli kręcąc głową. – Nie, to niemożliwe.

Collins wzruszył ramionami.

– Ślepe naboje, woreczek ze sztuczną krwią. Jak w teatrze. Widziałeś to, co pragnąłeś zobaczyć.

Janson chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– Przykro mi, że okłamywano cię przez te wszystkie lata. Byłeś święcie przekonany, że Demarest powinien stanąć przed sądem wojskowym i zostać stracony za to, co zrobił, więc zapewniono cię, że tak się stało. Więcej, pokazano ci. Twoje pragnienie sprawiedliwości było całkiem zrozumiałe, ale miałeś na celu swój własny interes, nie kraju. Nie pojąłbyś rozumowania kontrwywiadu. W naszej branży taki materiał trafia się rzadko. Podjęto decyzję. Ostatecznie chodziło o zasoby ludzkie.

– Zasoby ludzkie – powtórzył Janson tępo.

– Okłamaliśmy cię, ponieważ tylko w ten sposób mogliśmy cię zatrzymać. A z ciebie był równie znakomity materiał. Ale najpierw musiałeś się przekonać, że Demarest poniósł najwyższą karę. Tak było najlepiej. Dla ciebie, dla nas. Mogłeś wrócić do pracy i robić to, do czego jesteś stworzony. Żadnych przegranych. To po prostu wydawało się sensowne, w tej kwestii zgadzali się wszyscy stratedzy. Demarest miał do wyboru dwie możliwości. Mógł stanąć przed trybunałem dysponującym przeciw niemu górą dowodów. Sam ich dostarczyłeś. Groziła mu egzekucja. I mógł oddać się w nasze ręce. Wówczas o jego

dalszym istnieniu decydowałoby nasi ludzie. Wiedział, że w każdej chwili jesteśmy władni zmienić decyzję. Dlatego musiał zgadzać się na wszystko. Przez co stał się... niezwykle cennym nabytkiem.

– Demarest żyje. – Janson z trudem wydusił te słowa. – Zwerbowałeś go do tego zadania?

– Tak jak on zwerbował ciebie.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– „Zwerbować” to w tym przypadku zbyt łagodne określenie.

– Mieliśmy argumenty nie do obalenia – wtrącił Douglas Albright.

– Obyście szczęśli w piekle! – wrzasnął Janson. Wreszcie to do niego dotarło. Demarest stał się pierwszym Peterem Novakiem. *Primus inter pares*. Pozostałych dopasowano do niego. Był pierwszy, ponieważ posiadał wszystkie niezbędne atuty: wybitnego lingwisty, aktora, przedsiębiorczego agenta. Demarest okazał się najlepszy. Czy w ogóle przyszło im do głowy, jak bardzo ryzykują, powierzając taką misję człowiekowi kompletnie pozbawionemu sumienia? Socjopacie?

Janson zamknął oczy. Zalała go fala wspomnień.

Demarest nie był zwyczajnie okrutny. W okrucieństwie nie miał sobie równych. Zadawał cierpienie z finezją szefa kuchni w czterogwiazdkowej restauracji. Janson pamiętał smród nadpalonego ciała Wietnamczyka, którego Demarest potraktował kablami rozruchowymi. Pamiętał wyraz przerażenia na twarzy mężczyzny. I niemal łagodny ton głosu dowódcy, gdy przesłuchiwał rybaka. „Patrz mi w oczy”, powtarzał. „Patrz mi w oczy”.

Więzień oddychał chrapliwie, jak zdychające zwierzę. Demarest słuchał chorału. Potem podszedł do drugiego Wietnamczyka. „Spójrz mi w oczy”, rozkazał. Wyjął z za pasa niewielki nóż i rozciął brzuch mężczyzny.

On krzyczał. Krzyczał wniebogłosy.

Paul wciąż jeszcze słyszał ten krzyk. Spotęgowany okrutną świadomością, że wybrali tego człowieka, by władał całym światem.

Derek Collins rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, jakby chciał zasięgnąć ich opinii.

– Przejdę do rzeczy – powiedział. – Demarest przejął kontrolę nad programem. Zmienił wszystkie kody bankowe, omijając zabezpieczenia, jakie przygotowaliśmy na tę ewentualność. To nie były jakie zabezpieczenia. Nikt nie znał kodów autoryzacji Möbiusa, koniecznych do transferu gotówki. Były ściśle tajne. Zmieniały się regularnie, tak by żaden z nas nie mógł ich wykorzystać. Sądziliśmy, że jest to bariera nie do pokonania.

– Jasne. Nie dla niego.

– Właśnie. On ją pokonał.

Janson pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jeśli dobrze rozumiem, gigantyczna fortuna Fundacji Wolności wraz z jej nieograniczoną władzą znalazła się w rękach jednego, niebezpiecznego, nie zrównoważonego psychicznie człowieka. Jeśli dobrze rozumiem, to nie wy nim kierujecie, lecz on wami.

Nikt nie zaprzeczył.

– A rząd Stanów Zjednoczonych nie może go zdekonspirować – dodał sekretarz stanu – bo wówczas zdekonspirowałby sam siebie.

– Od kiedy o tym wiecie? – spytał Janson.

Dwaj technicy spojrzeli po sobie, wierząc się w antycznych fotelach.

– Od kilku dni – mruknął Collins. – Program był zabezpieczony. Braliśmy pod uwagę taką możliwość. Przynajmniej tak nam się zdawało. Pracowali nad tym najlepsi ludzie. Pomyśleliśmy

o wszystkim. Kontrolowaliśmy każdy jego krok. Dopiero niedawno zdobył środki, żeby nas przechytrzyć.

– Anura?

– Mistrzowskie posunięcie – orzekł przewodniczący Rady Wywiadu.
– Wszyscy daliśmy się nabrać. Na wieść o tym, że pojmano naszego człowieka, wpadliśmy w panikę. I postąpiliśmy dokładnie tak, jak spodziewał się tego Demarest. Powierzyliśmy mu kody, które w innych okolicznościach miałby przy sobie człowiek przeznaczony na stracenie. Takie tymczasowe rozwiązanie. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że Demarest sam zaaranżował porwanie zakładnika. Poświęcił w tym celu swojego człowieka, zdaje się, niejakiego Bewicka. Kalif znał go jako Pośrednika. Wszystko odbyło się bardzo, że tak powiem, higienicznie.

– Jezu!

– Nie mieliśmy pojęcia, że rok wcześniej Demarest zlikwidował innego sobowtóra. Sądziliśmy, że to my pociągamy za sznurki. Teraz jesteśmy mądrzejsi po szkodzie.

– Teraz? Za późno. – W twarzach zgromadzonych nie wyczytał nagany. – Pytanie: dlaczego mnie w to wciągnął?

– Naprawdę nie wiesz? – Collins odezwał się jako pierwszy. – Ten człowiek cię nienawidzi. Sądzi, że odebrałeś mu karierę, wolność, życie. Sprzedałeś rządowi, któremu służył z takim poświęceniem. Nie tylko życzył ci śmierci. Chciał, żeby cię oskarżono, ponizono, powieszono. Miał cię zniszczyć twój własny kraj. Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą. Zapewne tak to widział.

– Pewnie chciałby pan powiedzieć: „A nie mówiłem?” – odezwał się prezydent Berquist. – Ma pan prawo. Przejrzałem pańskie raporty z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Dotyczące

Demaresta. Ale musi pan zrozumieć jedno: on nie tylko wyeliminował dublerów. Posunął się znacznie dalej. Jest śmiertelnie niebezpieczny.

– To znaczy?

– Marionetka wykańcza lalkarzy – wyjaśnił Doug Albright. – Kasuje program.

– A dokładnie?

– Wszystkich, których tu widzisz.

Janson rozejrzał się po pokoju.

– Nie ma nikogo z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – zauważył.

– No właśnie.

– Architekt systemu?

– Nasz czarodziej z CIA? Również nie żyje.

– A doradca... Boże!

– Tak, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Charlotte przesłała dziś raporty, prawda? Ale

Clayton Ackerley niczego nie wysłał. Oficjalna wersja głosi, że popełnił samobójstwo. Znalaziono go w samochodzie. Silnik był na chodzie, a garaż zamknięty. Demarest nie lubi fuszerki. Zawsze doprowadza sprawy do końca.

– W większości ci, co znali prawdę, już nie żyją – podsumował sekretarz stanu głosem ochrypłym z przejęcia.

– Poza nami... Zgromadzonymi w tym pokoju – uściślił Collins.

Janson pokiwał głową powoli. W powietrzu wisiał globalny kataklizm, ale uczestnikom spotkania groziło bardziej bezpośrednie niebezpieczeństwo. Dopóki Alan Demarest kontrolował imperium Novaka, wszyscy mieli powody obawiać się o własne życie.

– Przykro mi, Paul. On rozgrywa pulę śmierci – powiedział Collins

zrezygnowanym tonem.

– Chryste, Derek! – Janson odwrócił się do niego, nie kryjąc oburzenia. – Wiedziałaś, jakim człowiekiem jest Demarest!

– Wszystko wskazywało na to, że sprawujemy nad nim kontrolę...

– A teraz wszystko wskazuje na to, że on ma kontrolę nad wami – odparł Janson.

– Stało się oczywiste, że Demarest od lat planował swój zamach stanu – podjął sekretarz. – Ostatnie zabójstwa dowodzą, że zorganizował prywatną milicję, werbując dziesiątki dawnych współpracowników, którzy pełnią funkcję jego gwardii przybocznej. To byli agenci, znają kody i procedury naszych najbardziej zaawansowanych strategii operacyjnych. A skorumpowani oligarchowie z dawnego bloku komunistycznego, udający jego wrogów, w rzeczywistości są z nim sprzymierzeni. Oddali mu do dyspozycji własnych oficerów.

– Nazwał pan to zamachem stanu – powiedział Janson. – Zwykle to określenie oznacza próbę obalenia głowy państwa.

– W pewnym sensie Fundacja Wolności jest potężniejsza niż niejedno państwo – odrzekł sekretarz stanu. – A kto wie, czy wkrótce nie zyska jeszcze większej władzy.

– Chodzi o to – wtrącił prezydent, przechodząc do sedna sprawy – że Demarest ma dowody na to, co zrobiliśmy. Może nas szantażować, tak byśmy spełniali wszystkie jego żądania. Jezu... – Westchnął ciężko. – Gdyby świat się dowiedział, że Stany Zjednoczone ukradkiem oddziaływały na wydarzenia w skali globalnej... wykorzystując Echelon do manipulacji walutami innych krajów. to byłby koniec. W Kongresie oczywiście rozpętałoby się piekło, ale to jeszcze nic. Trzeci Świat ogarnęłyby rewolucje na miarę Chomeiniego.

Stracilibyśmy wszystkich sojuszników, stając się pariasem narodów. NATO w ogóle przestałoby istnieć...

– Żegnaj, Pax Americana – mruknął Janson. Prezydent miał rację: gdyby świat poznał tę tajemnicę, historię trzeba by pisać od nowa.

– Wysłał nam wiadomość – ciągnął Berquist. – Żąda, żebyśmy przekazali mu kontrolę nad systemem Echelon. A to dopiero początek. Za chwilę może zażyczyć sobie kodów nuklearnych.

– Co pan mu odpowiedział, panie prezydencie?

– Odmówiliśmy, oczywiście. – Wymienili spojrzenia z sekretarzem stanu. – Ja odmówiłem, do cholery. Wbrew opinii wszystkich moich doradców. Nie chcę przejść do historii jako człowiek, który oddał władzę nad krajem szaleńcowi!

– Postawił nam ultimatum i wyznaczył ostateczny termin – dodał Collins. – Zegar tyka.

– I nie możecie go sprzątnąć?

– Genialny pomysł! – stwierdził Collins szyderczo. – Zbierzmy paru rozjuszonych braci z lutownicami i cęgami, niech mu się dobrać do dupy. Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy? Ale zaraz, wpadliśmy. Do jasnej cholery, Janson, gdybyśmy potrafili znaleźć tego skurwiela, dawno by nie żył, niezależnie od tego, jak dobrze jest chroniony. Sam bym go rozwalił. Ale nie wiemy, gdzie jest.

– Próbowaliśmy wszystkiego – westchnął przewodniczący Narodowej Rady Wywiadu. – Próbowaliśmy go zwabić, złapać w pułapkę, wykurzyć. Bez rezultatu. Jakby się zapadł pod ziemię.

– Nic dziwnego – wtrącił Collins. – Demarest po mistrzowsku odgrywał rolę samotniczego plutokraty, a teraz ma do dyspozycji większe środki niż my. Nie możemy zaangażować do programu żadnych nowych osób, bo zwiększylibyśmy ryzyko szantażu. Nie

będzie więcej wtajemniczonych, to oczywista logika operacyjna. Teraz rozumiesz, Paul? Zostaliśmy tylko my.

– I pan – dodał prezydent Berquist. – Nasza jedyna nadzieja.

– A prawdziwi wrogowie „Petera Novaka”, legendarnego dobroczyńcy ludzkości? Przecież ma wielu wrogów. Fanatyków, frakcje...

– Chytry plan – zadrwił Collins. – Podoba mi się.

– Mieliśmy być ze sobą szczerzy – upomniał go prezydent.

– Powiedz mu prawdę.

– Prawda jest taka, że tego też próbowaliśmy.

– I...?

– I zasadniczo poddaliśmy się, bo po prostu nie wiemy, gdzie jest. Nie potrafimy go znaleźć. Ani my, ani obłąkany król terroru.

Janson zmrużył oczy.

– Kalif?! Jezu Chryste!

– Bingo.

– Ten człowiek żyje żądzą zemsty. Oddycha nią. A fakt, że uciekł mu słynny zakładnik, musiał być dla niego nie lada upokorzeniem. Stracił twarz. W ślad za tym może pójść utrata władzy.

– Z przyjemnością pokażę ci gruby raport, z którego płyną identyczne wnioski – mruknął Collins.

– W ogóle jesteście w stanie nim kierować? Dla niego wszyscy ludzie Zachodu to wyznawcy szatana.

Sekretarz stanu odchrząknął niepewnie.

– Mieliśmy mówić prawdę – przypomniał prezydent.

– Nic, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie poza mury tego pokoju.

– Dobrze – zgodził się Collins. – To delikatna sprawa. W libijskim

wywiadzie wojskowym jest pewien wysoko postawiony człowiek, który... od czasu do czasu z nami współpracuje. Ibrahim Maghur. Zły gość, tak? Oficjalnie wydaliśmy na niego wyrok śmierci. Podobno był zamieszany w zamach bombowy w dyskotecie w Niemczech, gdzie zginęło dwóch amerykańskich wojskowych. Niewykluczone, że w jakimś stopniu maczał palce w Lockerbie. Jest doradcą wielu organizacji terrorystycznych, które zaopatruje w broń.

– I amerykańskim szpiegiem – westchnął Janson. – Chryste. Już lepiej być żołnierzem.

– Mówiłem, że to delikatna sprawa. Podobny układ mieliśmy z Alim Hassanem Salamehem.

Jansona przeszedł zimny dreszcz. Ali Hassan Salameh był mózgiem masakry, do której doszło podczas olimpiady w Monachium w 1972 roku. Przez wiele lat pozostawał jednocześnie główną wtyczką CIA w Organizacji Wyzwolenia Palestyny – w czasie gdy Stany Zjednoczone oficjalnie odmawiały jej uznania. Ale ta potajemna współpraca gwarantowała bezpieczeństwo obywatelom amerykańskim w Libanie. Gdy w Bejrucie planowano zamach bombowy lub zabójstwo, Amerykanie dowiadywali się o tym z wyprzedzeniem, co niejednemu z nich uratowało życie. Ten układ się sprawdzał, chociaż zaiste był to pakt z diabłem. Janson przypomniał sobie fragment II Listu do Koryntian: „Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością?”³.

– Więc ten Libijczyk, „nasz” Libijczyk... To on steruje Kalifem? – Janson przełknął ślinę. – Co za ironia losu. Najgroźniejszy terrorysta świata potrójnie manipulowany.

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale chwytałyśmy się wszelkich

sposobów – odparł Collins. – Ciągłe próbujemy. Masz jakiś pomysł? Problem jest wciąż ten sam: nie potrafimy namierzyć Demaresta.

– Podczas gdy on – wtrącił analityk o ziemistej cerze – robi z nami, co chce.

– Co oznacza, że w panu nasza jedyna nadzieja – powtórzył prezydent.

– Byłeś jego najlepszym uczniem, Paul – rzekł Collins. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Przeszedłeś z nim kilka okresów służby. Znasz jego sztuczki i dziwactwa. Był twoim pierwszym mentorem. Pominę fakt, że nie ma lepszego od ciebie agenta.

– Daruj sobie pochlebstwa – mruknął Janson przez zaciśnięte zęby.

– Wiem, co mówię, Paul. To zawodowa ocena. Nie ma nikogo lepszego. Nikogo równie przedsiębiorczego, pomysłowego.

– Z wyjątkiem... – wtrącił Doug Albright, lecz zaraz umilkł.

– Tak? – spytał Janson.

– Z wyjątkiem Alana Demaresta.

Rozdział 36

Przystojny mężczyzna z Afryki Zachodniej wyjrzał w zamyśleniu przez okno na trzydziestym ósmym piętrze. Miał starannie przystrzyżone siwe włosy. W świetle zachodzącego słońca lśniły złote spinki od mankietów. Czekał na telefon. Od pięciu lat pełnił funkcję sekretarza generalnego ONZ, a to, co planował zrobić, zaszokowałoby większość ludzi, którzy go znali. Był to jednak jedyny sposób, aby uratować od zagłady coś, czemu poświęcił całe życie.

– Helgo – rzekł Mathieu Zinsou. – Spodziewam się telefonu od Petera Novaka. Nie łącz żadnych innych rozmów, proszę.

– Oczywiście, proszę pana – odparła Helga Lundgren, zaradna Dunka, jego długoletnia asystentka.

O tej porze dnia wewnątrz gabinetu odbijało się w szybach wielkich okien. Wystrój praktycznie nie zmienił się od lat – byłoby profanacją zastąpić czymś nowocześniejszym modernistyczne meble, zaprojektowane na zamówienie specjalnie do tego budynku przez fińskiego architekta Eero Saarinen. Zinsou powiesił na ścianach kilka tradycyjnych tkanin dekoracyjnych z rodzinnego kraju, Beninu, żeby nadać wnętrzu bardziej indywidualny charakter. W strategicznych miejscach stały różne przedmioty, jakie otrzymywał w prezencie od licznych emisariuszy. Inne, na co dzień schowane, można było wyeksponować w razie wizyty przedstawiciela danego kraju. Gdyby, na przykład, zapowiedział się minister finansów Indonezji, na ścianie

pojawiłaby się maska z Jawy – w tym samym miejscu, gdzie wcześniej tego dnia kolekcja *netsuke* witała od progu ministra spraw zagranicznych Japonii. Dekoracja na usługach dyplomacji, jak mawiała Helga Lundgren.

Do biura na wysokim piętrze nie dochodził zgiełk Manhattanu. Z okien rozciągał się widok na zachodnią część dzielnicy Queens: położone na drugim brzegu rzeki East River opuszczone tereny przemysłowe. Stała tu dawno zamknięta ceglana fabryczka Schwartz Chemical Company, z czterema wielkimi kominami, i pozostałości magazynu niewiadomej firmy. Nad Hunter's Point wisiały pasma mgły. Stary neon Pepsi-Coli wciąż jeszcze żarzył się nad dawną rozlewnią, niezmiennie od 1936 roku – niczym amulet mający odstraszać potencjalnych intruzów i deweloperów, bez powodzenia.

To nie był piękny widok, chociaż czasem hipnotyzował. Przy oknie na dębowym trójnogu spoczywał stary, mosiężny teleskop. Zinsou rzadko z niego korzystał – gołym okiem mógł oglądać ten miniony świat. Skamieniały las dawnych wytwórni. Rzadko odwiedzane wykopaliska przemysłu. Cmentarzysko nowoczesności. Zachodzące słońce, odbijające się w chromowanych tablicach, układało na wodach rzeki błyszczące refleksy. Tak wyglądały resztki świetności dawnych imperiów. A jego imperium na brzegach Manhattanu? Czy także miało trafić na złomowisko historii?

Słońce powoli znikało za horyzontem, oblewając rzekę różową poświatą. Helga powiadomiła go, że Peter Novak jest na linii. Natychmiast odebrał telefon.

– Mathieu, *mon cher* – odezwał się głos w słuchawce. Miał krystaliczną czystość przetworzonego cyfrowo dźwięku. Niewątpliwie jego rozmówca korzystał z najnowocześniejszego połączenia

satelitarnego.

Sekretarz generalny nalegał, aby komunikowali się wyłącznie przez kanały kodowane. Takie dodatkowe środki bezpieczeństwa prawdopodobnie wzmagają osobliwą czystość sygnału. Po krótkiej wymianie uprzejmości Mathieu Zinsou przeszedł do rzeczy.

ONZ, wyjaśnił, jest jak wspaniały frachtowiec, któremu wkrótce zabraknie paliwa, czyli pieniędzy. Tak się sprawy miały.

– Oczywiście, dysponujemy ogromnym potencjałem – tłumaczył sekretarz. – Mamy setki tysięcy żołnierzy, oddelegowanych do służby w organizacji. Z dumą noszą swoje błękitne hełmy. Mamy biura w stolicach wszystkich państw i zespoły ekspertów na stanowiskach ambasadorskich. Jesteśmy wtajemniczeni we wszystkie sprawy tych krajów, na wszystkich szczeblach. Znamy ich tajemnice wojskowe, plany rozwoju, stan gospodarki. Współpraca z Fundacją Wolności to jedyne rozsądne rozwiązanie. Dzięki niej wspólnie zmobilizujemy dostateczne środki.

Tyle tytułem wstępu.

– Urzędnicy ONZ cieszą się swobodą działania praktycznie w każdym miejscu na świecie – ciągnął Zinsou. – Obserwujemy cierpienia ludzi prześladowanych przez żądnych władzy dyktatorów. Ale nie mamy wpływu na ich politykę. Nasze przepisy, rozporządzenia, nadzór. W rzeczywistości mamy związane ręce. Tymczasem zawstydzają nas osiągnięcia waszej fundacji. A przeciągający się kryzys finansowy dodatkowo nas paraliżuje.

– Wszystko to prawda – stwierdził Peter Novak. – Ale też nic nowego.

– Faktycznie – zgodził się Zinsou. – Nic nowego. Moglibyśmy czekać, nie robiąc nic. Tak już bywało w przeszłości. Za dziesięć lat

ONZ zostanie bez środków. Bez żadnego wpływu. Ograniczy się do roli klubu dyskusyjnego dla skłóconych emirów i operetkowych dyktatorów, dyskredytowanych i lekceważonych przez resztę świata. ONZ będzie jak olbrzymi wieloryb, którego fale zepchnęły na brzeg historii. Możemy jednak podjąć pewne działania, zanim stanie się za późno. Właśnie wybrano mnie na kolejnych pięć lat. Wolno mi podejmować samodzielne decyzje. Popiera mnie społeczeństwo. Jestem wiarygodny. Muszę ratować tę organizację!

– Zawsze uważałem, że masz niezwykłą zdolność przewidywania – rzekł Novak. – A także umysł wprawnego stratega. Co dokładnie proponujesz?

– Mówiąc wprost, nie przetrwamy bez wsparcia fundacji. Ale uważam, że dałoby się stworzyć wspólny, partnerski projekt na rzecz rozwoju gospodarczego. Z czasem fundacja zyska kompetencje dotąd zarezerwowane dla organizacji. Faktycznie zyska kontrolę nad ONZ. A dzięki mojej osobie te dwa imperia się połączą. Fundacja będzie mogła korzystać z kanałów ONZ.

– Intrygujesz mnie, Mathieu – powiedział Novak. – Ale obaj znamy zasady biurokracji. Mówisz, że zazdrościsz nam niezwykłej skuteczności. Podziwiasz nas. To miłe. Przyczyna tego jest jedna: zawsze sprawowałem pełną i absolutną kontrolę nad fundacją.

– Wiem. Mówię o „partnerstwie”. O strategicznej dwuznaczności, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nieraz wymagała tego ode mnie moja rola jako sekretarza ONZ. Ale w jednej kwestii nie byłoby dwuznaczności. To ty, Peter, sprawowałbyś pełną kontrolę.

Zapadła cisza. Zinsou zastanawiał się przez chwilę, czy nie przerwano połączenia. W końcu jego rozmówca znów się odezwał.

– Prawdziwy wizjoner. Jak ja.

– To nakłada na nas niezwykłą odpowiedzialność. Jesteś w stanie ją udźwignąć? – Nie czekając na odpowiedź, Zinsou dalej snuł swoją wizję, z pasją i elokwencją.

Dwadzieścia minut później mężczyzna, który przedstawiał się jako Peter Novak, nadal zachowywał dziwną powściągliwość.

– Mamy mnóstwo spraw do omówienia – rzekł na koniec Zinsou. – Powinniśmy się spotkać, tylko ty i ja. Być może zabrzmiał to pompatycznie, ale naprawdę uważam, że zależą od nas losy świata.

W słuchawce zabrzmiał wymuszony śmiech.

– Czyżbyś chciał mi sprzedać ONZ?

– Mam nadzieję, że tego nie powiedziałem! – wykrzyknął beztrąsko Zinsou. – To bezcenny skarb. Ale... myślę, że się rozumiemy.

– Moi ludzie w fundacji uzyskaliby rangę ambasadorów i immunitet dyplomatyczny?

– ONZ jest jak korporacja, która ma stu sześćdziesięciu dziewięciu dyrektorów generalnych. Zbyt sprawna nie jest. Ale owszem, dopilnuję, żeby to znalazło się w statucie.

– A co z tobą, Mathieu, *mon cher*? Skończy się druga kadencja, a potem? – Głos w słuchawce zabrzmiał nieco serdeczniej. – Przez tyle lat bezinteresownie służyłeś organizacji.

– Cieszę się, że tak mówisz. Faktycznie, osobisty interes jest sprawą drugorzędną, sam najlepiej to rozumiesz. Moim podstawowym celem jest zapewnić przetrwanie tej instytucji. Naturalnie, masz rację, zarobki na tym stanowisku nie są nadzwyczajne. Jako, powiedzmy, dyrektor nowego instytutu Fundacji Wolności... na pewno udałoby się wynegocjować rozsądną pensję i dodatkowe świadczenia... mógłbym z powodzeniem kontynuować swoją misję na rzecz pokoju na świecie. Wybacz, że mówię o tym wprost. Zważywszy, co proponuję, musimy

być ze sobą absolutnie szczerzy.

– Tak, teraz to układa się w logiczną całość. I brzmi niezwykle obiecująco – stwierdził już całkiem sympatycznym tonem mężczyzna podający się za Petera Novaka.

– Proponuję zjeść razem kolację. W mojej rezydencji – *tres intime*. Im szybciej, tym lepiej. Jestem gotów dostosować swoje plany.

– Mathieu, *mon cher* – powtórzył mężczyzna niemal rozanielonym tonem człowieka, któremu właśnie zaoferowano na sprzedaż ONZ. Byłby to piękny i nadzwyczaj stosowny dodatek do jego imperium. – Odezwę się do ciebie – rzucił nagle i połączenie zostało przerwane.

Sekretarz generalny jeszcze przez chwilę trzymał w dłoni słuchawkę.

– *Alors?* – zwrócił się do Paula Jansona, który siedział w kącie ciemniejszego gabinetu.

Agent spojrzął na mistrza dyplomacji z autentycznym podziwem.

– Czekamy – powiedział.

• • •

Czy Demarest połknie haczyk? To była śmiała, lecz sensowna propozycja. ONZ od dawna przeżywała poważne kłopoty finansowe. A Mathieu Zinsou traktował swoją misję bardzo ambicjonalnie. Słynął także z dalekowzroczności. Przez pięć lat pierwszej kadencji odmienił organizację w sposób, o jakim nie śniło się żadnemu z jego poprzedników. Dlatego ten kolejny krok nie wydawał się całkiem nieprawdopodobny.

Podstęp zainspirowała przypadkowa uwaga Angusa Fieldinga. Janson przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z profesorem, który dopiero co groził mu bronią. Cóż, taka była kolej rzeczy –

sprzymierzeńcy i przeciwnicy często zamieniali się rolami. Rozmowa z początku się nie kleiła. Fielding widział Novaka w telewizji i najwyraźniej poczuł się speszony, oszołomiony, upokorzony, choć nie nawykł do takich emocji. Mimo wszystko, nie uchylając rąbka tajemnicy, Janson wypytał bystrego profesora, jak dotrzeć do miliardera samotnika.

Wziął pod uwagę jeszcze jeden element, który miał uprawdopodobnić scenariusz. Za Zinsou od lat ciągnęła się zła sława – oskarżano go o korupcję, na niewielką skalę, ale jednak. Jako młody komisarz UNESCO odebrał lukratywny kontrakt pewnej korporacji medycznej i przyznał go innej. Wzgardzona firma ogłosiła, że Zinsou otrzymał od konkurencji „specjalną ofertę”. Czy na jego konto wpłynęły jakieś pieniądze? Oskarżenia były bezpodstawne, ale w pewnych kręgach przypięto mu łątkę łapówkarza. Tymczasem podejrzenie o korupcję paradoksalnie czyniło jego propozycję bardziej przekonującą.

Kluczowy miał się okazać czynnik psychologiczny: Demarest chciałby, żeby to była prawda. Silne pragnienia w subtelny sposób wpływają na przekonania: prędzej uwierzemy w to, w co chcemy wierzyć.

Janson stanął przy biurku Zinsou i wyjął z pokaźnych rozmiarów urządzenia moduł pamięci, na którym nagrano rozmowę w celu dalszej analizy.

- Zdumiewa mnie pan – powiedział.
- Potraktuję to jako zniewagę – odparł sekretarz generalny z uśmiechem.
- Chodzi panu o to, że nie oczekiwałem zbyt wiele? Wobec tego źle się wyraziłem i powinien pan raczej potraktować to jako dowód tego,

że w tym pokoju jest tylko jeden prawdziwy dyplomata.

– Nieznajomość etykiety nie powinna wpływać na losy świata. A tego się właśnie obawiam. Czy wziął pan pod uwagę, że coś się może nie udać?

– Mam do pana absolutne zaufanie.

– Co budzi mój wielki niepokój. Nawet sam sobie nie ufam w sposób absolutny. I pan też nie powinien. Oczywiście, myślę o zasadach.

– Zasady – zachnął się Janson. – Abstrakcje.

– Ma pan słuszność. Nie czas oddawać się przyjemnościom. – Na jego twarzy wciąż błąkał się uśmiech. – Czas przyjrzeć się szczegółom. Oto pierwszy: próbuje pan przewidzieć zachowanie człowieka, który jest całkowicie nieprzewidywalny.

– Niczego nie jesteśmy w stanie przewidzieć w stu procentach. Racja. Są jednak pewne wzorce, pewne reguły, nawet w przypadku osoby, która je lekceważy. Znam tego człowieka.

– Jeszcze wczoraj powiedziałbym to samo. Kilkakrotnie spotkałem Petera Novaka. W Amsterdamie na oficjalnej kolacji. W Ankarze, gdzie negocjował pokój po zakończeniu rewolucji na Cyprze – podczas uroczystej ceremonii miałem złożyć mu gratulacje w imieniu ONZ i ogłosić wycofanie wojsk amerykańskich. Teraz już wiem, oczywiście, że kontaktowałem się z ludzkim fantomem. Być może za każdym razem był to ktoś inny – zapewne dałoby się to ustalić, analizując zapis programu. Ale muszę przyznać, że wydał mi się jednocześnie charyzmatyczny i życzliwy. Bardzo atrakcyjne połączenie.

– Podobnie jak w pana przypadku – zaryzykował Janson.

Zinsou wypowiedział zdanie w skomplikowanym języku tonalnym

fon, którym posługiwali się poddani jego ojca. *Pere* był potomkiem królów Dahomeju, niegdyś potężnego państwa w Afryce Zachodniej.

– To ulubione powiedzenie mojego stryjecznego dziadka, wielkiego wodza. Często je powtarzał swoim pochlebcom. W wolnym tłumaczeniu brzmi następująco: „Im bardziej włazicie mi w tyłek, tym bardziej czuję, że robicie mnie w konia”.

Janson się zaśmiał.

– Jest pan jeszcze mądrzejszy, niż mówią...

Zinsou uniósł palec wskazujący w geście żartobliwego upomnienia.

– Wciąż się nad tym zastanawiam. Czy Peter Novak uwierzył w tę bajkę, czy tylko udawał? Oczywiście, to pytanie dyktuje mi moja urażona duma. Rani moje ego, że ktoś mógłby pomyśleć, iż sprzedałbym organizację, której poświęciłem całe życie. – Zinsou bawił się grubym piórem wiecznym. – Chyba przemawia przeze mnie pycha.

– Ludzie nikczemni zawsze dopatrują się u innych złych intencji. Poza tym, jeśli się uda, będzie pan miał nie lada powód do dumy. To może być największy wyczyn w całej pana karierze.

Zapadło długie, niezręczne milczenie.

Zinsou nie był z natury samotnikiem. Od tylu lat miał do czynienia z biurokracją, że obrady, narady, konsultacje stały się dla niego codziennością. Swoje talenty dyplomatyczne w dużym stopniu wykorzystywał do łagodzenia konfliktów w ramach samej organizacji. Rozwiązywał spory między działaczami pokojowymi i tymi, którzy zajmowali się pomocą humanitarną; między zwykłymi pracownikami na linii frontu a ich przełożonymi w wygodnych gabinetach. Znał tysiące sposobów na opóźnianie decyzji – sam nieraz się do nich uciekał.

Konflikty wewnętrzne w biurokracji występowały równie często, jak konflikty zbrojne na całym świecie. On sam, na polu międzynarodowym, wychodził z nich zwycięsko. Przy tym zdawał sobie sprawę, że bitwę biurokratyczną wygrywał tylko wtedy, gdy potrafił przekonać pokonanych, że to oni wygrali.

Jako sekretarz generalny ONZ dyrygował orkiestrą solistów. Niemożliwe? Ale wykonalne. Kiedy był w dobrej formie, potrafił doprowadzić zwaśnione strony konfliktu do porozumienia zaplanowanego, zanim jeszcze zaczęło się spotkanie. Własne preferencje ukrywał – czasem przyklaskiwał rozwiązaniom, które prywatnie uważał za nie do przyjęcia. Wykorzystywał napięcia między poszczególnymi frakcjami, w subtelny sposób doprowadzając do tymczasowych koalicji przeciw znienawidzonym rywalom. W dyskusji był niepokonany, jak w bilardzie. Gdy komisja ostatecznie uzgadniała rozwiązanie zgodne z jego oczekiwaniami, wzdychał ciężko i wspaniałomyślnie oznajmiał, że udało im się go przekonać. Niektórzy z biurokratów mieli tak rozbuchane ego, że trzeba było ich zwodzić pozorami wygranej. Ale prawdziwą władzę sprawowali ci, którzy faktycznie chcieli wygrać, nie bacząc na pozory. Niektórzy brali za dobrą monetę łagodny głos i uprzejmość Zinsou, nie zdając sobie sprawy, że nimi manipuluje. Właśnie ci przegrani uważali się za zwycięzców. Wspierali go, ponieważ sądzili, że mogą nim sterować. Inni, bystrzejsi, wiedzieli, że jest najskuteczniejszym od dziesięcioleci przywódcą ONZ, a organizacja rozpaczliwie potrzebowała silnego przywództwa. Korzyść była obustronna: dla Zinsou i organizacji, której poświęcił całe życie.

Teraz jednak wirtuoz manipulacji musiał działać sam. Powierzony mu sekret był tak delikatnej natury, że Zinsou z nikim nie mógł się

nim podzielić. Żadnych konsultacji, rozmów, obrad, prawdziwych czy ustawionych. Tylko amerykański agent, do którego nie od razu poczuł sympatię. Łączyło ich jednak coś więcej niż tylko tajemnica. Także świadomość ewentualnej porażki. Tak zwana „doktryna Zinsou” – jak nazywała to prasa – zakładała realizację przedsięwzięć skazanych na sukces. W tym wypadku gwarancji sukcesu nie było.

Ale czy miał wybór?

– Opowiem panu o człowieku, którego znam osobiście – odezwał się w końcu Janson. – Niezwykły umysł analityczny. Potrafi oczarowywać. I jest nadzwyczaj okrutny. Moi byli koledzy z kontrwywiadu powiedzieliby panu, że ludzi takich jak on można wykorzystać, pod warunkiem że trzyma się ich krótko. Autorzy programu Möbius popełnili błąd, powierzając mu to zadanie. Nie wzięli pod uwagę, że jego zdolności, przebiegłość i umiejętność improwizacji mogą obrócić się przeciw nim. Postawili go w sytuacji, w której miał w zasięgu ręki bogactwo i władzę, ale zgodnie z zasadami gry nie wolno mu było po nie sięgnąć. Odgrywał miliardera, lecz nim nie był. Ale zapragnął nim być. Dlatego spróbował ominąć zabezpieczenia programu.

I udało mu się.

– Tego nie przewidzieliście.

– Nie przewidzieli tego stratedzy, autorzy programu. Niewiarygodna myśl techniczna w połączeniu z totalną głupotą w ocenie ludzkiej natury. Typowe. Nie, nie przewidzieli tego. Chociaż można było to przewidzieć.

– Pan by przewidział.

– Tak. Nie tylko ja. Pan także dostrzegłby ryzyko. Sekretarz generalny podszedł do wielkiego biurka i usiadł.

– Ten potwór, ten człowiek, który zagraża nam wszystkim... Być może faktycznie zna go pan tak dobrze, jak się panu wydaje. Mnie pan nie zna. Tym bardziej jestem zaniepokojony. Proszę wybaczyć, ale pańska wiara we mnie podważa moją wiarę w pana.

– To chyba niezbyt dyplomatyczne stwierdzenie? Mimo wszystko doceniam pańską szczerść. W rzeczywistości znam pana lepiej, niż pan przypuszcza.

– Z akt wywiadu, sporządzonych przez agentów, którym się wydaje, że profil człowieka można sprowadzić do instrukcji obsługi? Taki sposób myślenia doprowadził do powstania programu.

Janson pokręcił głową.

– Nie będę udawał, że się znamy w potocznym rozumieniu tego słowa. Ale obrót wydarzeń na świecie w ostatnim dwudziestoleciu sprawił, że patrolowaliśmy te same niebezpieczne okolice. Wiem, co naprawdę się wydarzyło w Sierra Leone pewnego grudniowego tygodnia, bo tam byłem: monitorowałem łączność między szefem sił pokojowych w tym regionie a przewodniczącym specjalnej delegacji, powołanej do koordynacji działań ONZ. Rzecz jasna, siły pokojowe niewiele mogły zdziałać – krwawa wojna domowa wymknęła się spod kontroli. Jeden z delegatów, Mathieu Zinsou, miał przekazać do Nowego Jorku raport dowódcy z prośbą o interwencję. Wysoki komisarz w ONZ przedstawiłby sprawę Radzie Bezpieczeństwa, która odrzuciłaby wniosek, odmawiając pomocy.

Sekretarz generalny przyjrzał mu się dziwnie, ale nic nie powiedział.

– Gdyby do tego doszło – ciągnął Janson – mogło zginąć nawet dziesięć tysięcy ludzi. W szczegółach wyglądało to następująco: namierzono tajny skład broni, dostarczanej przez handlarza z Mali.

Dowódcy sił pokojowych ONZ otrzymali wiarygodne raporty, z których wynikało, że przywódca rebeliantów o świcie następnego dnia zamierza wzniecić wojnę plemienną. Jego ludzie, wykorzystując zakupioną broń, mieli wdrzeć się na terytorium Bayokuta; mordować wrogów, palić wioski, obcinać dzieciom kończyny. Można było temu zapobiec, organizując szybki wypad o niewielkim stopniu ryzyka i likwidując nielegalny skład broni. Z moralnego i militarnego punktu widzenia taki plan nie budził żadnych wątpliwości. Ale z punktu widzenia protokołu – owszem. Teraz robi się naprawdę ciekawie – mówił dalej Janson. – Co postanawia Mathieu Zinsou? To wytrawny biurokrata. Wszyscy o tym wiedzą. Oddany organizacji. Ma bzika na punkcie przepisów. Ale to szczwany lis. W ciągu godziny pańskie biuro wysłało depezę do Wysokiej Komisji, a w niej sto dwadzieścia trzy raporty – zapewne wszystko, co akurat miał pan pod ręką. Znalazł się wśród nich ten z numerem dziewięćdziesiąt siedem: ogólne powiadomienie o proponowanej akcji wojsk ONZ z dokładną godziną, o której ma nastąpić, „o ile rozkazy nie będą stanowić inaczej”. Następnie poinformował pan generała, stacjonującego pod Freetown, że centralne dowództwo ONZ zostało powiadomione o jego planach i nie wyraziło sprzeciwu. Co formalnie rzecz biorąc, było prawdą. Podobnie jak to, że sztab wysokiego komisarza natrafił na ten dokument dopiero trzy dni po przeprowadzonej operacji.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza – powiedział Zinsou znudzonym głosem.

– To było historyczne wydarzenie. Spektakularny sukces. Akcja bez strat w ludziach, która uratowała życie tysiącom bezbronnych cywili. Kto nie chciałby przypisać sobie tej zasługi? Podszyty tchórzem

wysoki komisarz z dumą oznajmił kolegom, że oczywiście zezwolił na operację, wręcz dawał do zrozumienia, że pomysł wyszedł od niego. A w miarę jak odbierał gratulacje, czuł coraz większą sympatię dla Mathieu Zinsou.

Dyplomata przygwoździł go wzrokiem.

– Sekretarz generalny nie potwierdza ani nie zaprzecza. Ale śmiem twierdzić, że taka historia nie uzasadnia wiary w przewidywalność ludzkiego postępowania.

– Wręcz przeciwnie. Nauczyła mnie rozpoznawać cechy charakterystyczne pańskich działań. Później, w sytuacjach kryzysowych w Taszkencie, na Madagaskarze, na Komorach, zauważyłem, że ma pan niezwykły dar obracania złego na lepsze. Zobaczyłem to, czego inni nie widzieli. Nie chodzi o to, że przestrzegał pan przepisów. Pan dostosowywał je do swoich celów.

Zinsou wzruszył ramionami.

– W kraju, z którego pochodzę, mawiamy, w wolnym tłumaczeniu: „Skoro wpadłeś do dziury, przestań kopać”.

– Poza wszystkim innym, podziwiam pana niezwykłą dyskrecję. Ma pan czym się chwalić, ale nigdy pan tego nie robi.

– Pańskie komentarze wskazują na nieuzasadnioną, agresywną i niestosowną inwigilację mojej osoby.

– Czyli potwierdza pan ich zasadniczą prawdziwość.

– Widzę, że niejedno pan potrafi, panie Janson.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam: co można dać człowiekowi, który ma wszystko?

– Nie ma nikogo takiego – odparł Zinsou.

– Właśnie. Demarest pragnie władzy. I władzy nigdy nie będzie miał dość. Nigdy się nią nie nasyci.

– Po części dlatego, że władza ma tendencję do obalania samej siebie – stwierdził Zinsou w zamyśleniu. – To jedna z lekcji tak zwanego „Amerykańskiego Wieku”. Być potężnym to być potężniejszym od innych. Nigdy nie lekceważyć historycznej urazy. Najsilniejszą bronią słabych jest ich nienawiść do silniejszych od siebie. – Rozparł się w fotelu i pierwszy raz od wielu lat pożałował, że rzucił palenie. – Ale rozumiem, do czego pan zmierza. Pana zdaniem to megaloman. Ktoś, komu władzy zawsze będzie mało. Dlatego to władza ma być przynęta.

– Tak – przyznał Janson.

– Jeden z moich czcigodnych poprzedników mawiał: „Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż pomysł, jeśli ma się tylko jeden”. Wczoraj w sposób nader przekonujący poddał pan krytyce założenia programu Möbius. Oby nie popełnił pan tych samych błędów. Na własny użytek tworzy pan pewien model tego człowieka...

– Nazywa się Demarest – wtrącił Janson. – Ale mówmy na niego „Peter Novak”. Wciąż odgrywa tę rolę.

– Tworzy pan model tego człowieka i jednocześnie zakłada, że ten hipotetyczny twór zachowa się tak a nie inaczej. Czy prawdziwy człowiek też się tak zachowa? Tym, których gniewnie nazywa pan „strategami”, wystarczy samo założenie. Ale panu? Na czym opiera pan swoją pewność?

Janson spojrzał w bystre, brązowe oczy Zinsou. Zobaczył spokojną twarz, która witała niejedną głowę państwa. Zobaczył opanowanie. Lecz im dłużej patrzył, tym wyraźniej widział coś jeszcze: strach.

I to także ich łączyło, bo ten strach brał się z realistycznej oceny sytuacji.

– Kiepski plan jest lepszy niż żaden – powiedział Janson. –

Działamy na wszystkich frontach. Może nam się poszczęści. Może nie. Pozwoli pan, że zacytuję jednego z moich nauczycieli: „Błogosławieni niech będą ludzie giętki, bo nic ich nie złamie”.

– Dobrze – Zinsou zaklaskał w dłonie. – Miał pan dobrego nauczyciela.

– Najlepszego – stwierdził Janson ponuro. – Obecnie nazywa się Peter Novak.

W gabinecie zapanował dziwny chłód. Obaj umilkli.

Sekretarz generalny obrócił się w fotelu w stronę okna.

– Naszą organizację powołał do życia świat zmęczony wojną – mruknął.

– Dumbarton Oaks. Tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery.

Zinsou pokiwał głową.

– Z biegiem lat poszerzyła swoje kompetencje, ale jej główną misją pozostało propagowanie pokoju. Towarzyszy temu pewien paradoks. Wiedział pan, że w miejscu, gdzie stoi ten budynek, znajdowała się kiedyś rzeźnia? Bydło transportowano East River na barkach do miejskiej ubojni, dokładnie tu. Staram się o tym pamiętać: to miejsce było rzeźnią. – Odwrócił się do Amerykanina. – Musimy zadbać o to, żeby znów się nią nie stało.

• • •

– Patrz mi w oczy – powiedział łagodnym tonem wysoki, czarnowłosy mężczyzna. Wydatne kości policzkowe nadawały jego twarzy nieco azjatycki wygląd. Człowiek, który nazywał siebie Peterem Novakiem, pochylał się nad mężczyzną starszym wiekiem profesorem. Profesor leżał na brzuchu na dużym, półprzezroczystym stole, którego segmenty podtrzymywały klatkę piersiową i uda,

podczas gdy brzuch zwisał swobodnie między segmentami. Był to typowy stół ortopedyczny do operacji kręgosłupa, zaprojektowany tak, by krew odpływała z okolicy krzyża, co zmniejszało krwawienie podczas zabiegu.

Do lewego ramienia profesora podłączono kroplówkę dożylną. Podwyższony przedni segment stołu unosił do góry jego głowę i ramiona – Novak chciał utrzymywać z nim kontakt wzrokowy.

W tle rozbrzmiewały dźwięki dwunastowiecznego chorału. Monotonna pieśń unisono, pełna religijnego uniesienia, w uszach Angusa Fieldinga brzmiała jak pieśń żałobna.

O ignis spiritus paracliti,

Vita vite omnis creature,

Sanctus es vivificando formas

W połowie pleców staruszka widniało piętnastocentymetrowe nacięcie. Metalowe kleszcze rozwierały mięśnie okołokręgosłupowe, odsłaniając białe kręgi.

– Patrz mi w oczy, Angus – powtórzył mężczyzna.

Angus Fielding patrzył mimo woli, chociaż w czarnych oczach oprawcy nie dostrzegał śladu litości. Były jak studnia bez dna, studnia bólu.

Czarnowłosa mężczyzna porzucił wystudiowany węgierski akcent. Mówił jak rodowity Amerykanin.

– Co dokładnie powiedział ci Paul Janson? – spytał raz jeszcze. Na dźwięk jego głosu profesor zadrżał z przerażenia.

Młoda kobieta, technik ortopedyczny z dużym doświadczeniem, sięgnęła po trokar wielkości drutów do robótek. Osadziła go między piątym a szóstym kręgiem piersiowym. Mniej więcej po minucie

skinęła głową.

– Dobre wieści, udało się.

Kobieta wsunęła przez trokar wprost do rdzenia cienki, miedziany drut z nieizolowaną końcówką. Demarest uruchomił impuls elektryczny. Reakcja nastąpiła natychmiast.

Profesor krzyknął głosem mrozącym krew w żyłach i krzyczał tak długo, aż zabrakło mu tchu.

Oprawca odłączył prąd.

– Szczególne uczucie, prawda?

– Powiedziałem już wszystko, co wiem.

Demarest zwiększył napięcie.

– Powiedziałem – powtórzył profesor. Ból nie do opisanego wstrząsał całym jego ciałem. – Powiedziałem wszystko!

Szmerząca cicho muzyka jak nie z tego świata radosnymi dźwiękami zagłuszała jego agonię.

Sanctus es unguendo

Periculose fractos:

Sanctus es tergendō

Fetida vulnera.

Nie, w tych czarnych oczach nie było litości. Tylko paranoja, przekonanie, że wrogowie czają się wszędzie.

– Tak twierdzisz – rzekł Alan Demarest. – Tak twierdzisz, ponieważ twoim zdaniem, jeśli przekonasz mnie, że wyznałeś całą prawdę, skończą się twoje cierpienia. Nie skończą się, bo nie powiedziałeś mi prawdy. Janson cię odszukał. Odszukał cię, bo wiedział, że jesteś jego przyjacielem. Że będziesz wobec niego lojalny. Jak mam cię przekonać, że to mnie jesteś winien lojalność? Boli, prawda? To tylko

znaczy, że wciąż jeszcze żyjesz. Czy to nie dar? Tak więc pozwolę ci czuć, że żyjesz. Może wtedy dojdziemy do porozumienia.

– Dobry Boże, nie! – wykrzyknął profesor, gdy jego ciało przeszył kolejny wstrząs.

– Nadzwyczajne, prawda? Każdy twój nerw przewodzi ból, gdy tego chcę. Gdybym umieścił elektrody na całym twoim ciele, efekt byłby słabszy.

Powietrze przeszył kolejny krzyk. Krzyk, który ustał tylko dlatego, że w płucach zabrakło powietrza.

– Ból to nie to samo co tortura – ciągnął Demarest. – Jako naukowiec z pewnością je rozróżniasz. Tortura to kwestia intencji. Trzeba nadać jej jakieś znaczenie. Jeśli pożera cię rekin, trudno to nazwać torturą. Ale gdy ktoś rozmyślnie wrzuci cię do basenu z rekinami... Możesz się z tym nie zgodzić. A ja jednak będę się upierał. Tortura to nie tylko chęć zadawania bólu. Ofiara musi być świadoma intencji. Ja świadomie zadaję ci ból. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Nazwijmy to poznaniem regresywnym. Zgodzisz się?

– Tak! – wrzasnął profesor. – Tak, tak, tak! – Rzucił głową na boki. Ból był nie do zniesienia, przenikał tkankę jego jestestwa.

– A może zaproponujesz inną interpretację?

– Nie! – Fielding cierpiał niewyobrażalne katusze.

– Wiesz, jak Emerson opisuje wielkiego człowieka? „Torturowany, pokonany, ma szansę czegoś się nauczyć. Jego człowieczeństwo stanęło pod znakiem zapytania. Dzięki faktom przekonał się o swojej niewiedzy. Wyleczył się z obłędu zarozumiałości”. Zgadzasz się z tym?

– Tak! – ryknął profesor. – Tak! Nie! Tak! – Konwulsje mięśni kręgosłupa potęgowały nieznośny ból.

– Nie dziwi cię, jakie cierpienie potrafisz znieść? Nie zastanawiasz się, jak twoja świadomość w ogóle dopuszcza ból o takiej sile? W ciekawości nie ma nic złego. Trzeba pamiętać, że ludzkie ciało współcześnie nie różni się od tego sprzed dwudziestu tysięcy lat. Ośrodki bólu i przyjemności nie zmieniły się przez ten czas. Tak więc można by pomyśleć, że nie ma różnicy między torturami, powiedzmy, hiszpańskiej inkwizycji a cierpieniem, które zadają ci teraz. Można by tak pomyśleć, prawda? Otóż nie. Wyjaśnię ci dlaczego, bo to moja pasja. Nasze rozumienie neurochemii znacznie ewoluowało. W normalnych warunkach ludzkie ciało uruchamia coś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa. Gdy ból osiąga określony poziom, przytępiają go endorfiny. Albo następuje utrata świadomości. Boże, zawsze byłem wściekły, kiedy tak się działo. Tak czy inaczej, fenomenologia bólu jest ograniczona. Podobnie jak z jasnością: można stymulować czopki i pręciki siatkówki tylko do pewnego poziomu. Dalej oko nie rejestruje zmian. Ale w przypadku bólu współczesna neuronauka wszystko zmienia. To, co jest w kroplówce, ma decydujące znaczenie dla końcowego efektu, mój drogi Angusie. Wiedziałeś o tym, prawda? Podajemy ci substancję znaną jako naltrekson. To antagonistą opiatów – zwalcza naturalne blokery w mózgu, słynne endorfiny. Dzięki temu można podnieść próg bólu.

Skowyt, czy wręcz lament Fieldinga wdarł się w ten okrutny wywód, co jednak nie zniechęciło Demaresta.

– Pomyśl tylko: dzięki naltreksonowi możesz doświadczyć bólu, jakiego ludzkie ciało dotąd nie znało. Bólu, jakiego nie cierpiał żaden z twoich przodków, nawet jeśli został zjedzony żywcem przez tygrysa szablozębnego. I ten ból można zwiększać w nieskończoność. Chyba że granicą będzie cierpliwość oprawcy. Czy wydają ci się człowiekiem

cierpliwym? Potrafię być cierpliwy, Angusie. Sam się przekonasz. Kiedy trzeba, potrafię być bardzo cierpliwy.

Angus Fielding, wybitny dziekan Trinity College, po raz pierwszy, odkąd skończył osiem lat, wybuchnął płaczem.

– Och, jeszcze zamarzysz o utracie świadomości. Ale w kroplówce są silne psychostymulanty – starannie dobrana kompozycja deksmetylofenidatu, atomoksetyny i adrafinilu, która w nieskończoność utrzyma cię w stanie świadomości. Niczego nie przegapisz. To będzie coś wyjątkowego. Doznanie ostateczności. Wiem, wydaje ci się, że doświadczyłeś agonii niewyobrażalnej i niepojętej. Ale mogę ją jeszcze powiększyć, dziesięcio-, stu-, tysiąckrotnie. To, co czułeś dotąd, jest niczym w porównaniu z tym, co jeszcze cię czeka. Zakładając, oczywiście, że nadal zachowasz milczenie. – Ręka Demaresta zawisała nad potencjometrem. – Spodziewam się zadowolających odpowiedzi na moje pytania.

– Co tylko chcesz – wydyszał Fielding. Policzki miał mokre od łez. – Co tylko chcesz.

Oprawca się uśmiechnął. Utkwił w profesorze spojrzenie czarnych jak studnia oczu.

– Patrz na mnie, Angus. Patrz mi w oczy. Musisz całkowicie mi zaufać. Co powiedziałeś Jansonowi?

Rozdział 37

– Jeden człowiek pilnuje wyjścia – oznajmiła Jessica Kincaid. Jechali z Jansonem na tylnym siedzeniu zarekwirowanej żółtej taksówki. – Myśli, że to w ramach szkolenia. Ale jeśli Lang wymknie się i wsiądzie do jednego z tych prywatnych samolotów na lotnisku Teterboro, możemy więcej jej nie zobaczyć. – Miała na sobie bawełnianą koszulę z logo firmy telekomunikacyjnej Verizon.

– Dowiedziałaś się, kto mieszka w kamienicy?

– Same grube ryby.

Kilka dyskretnych telefonów potwierdziło to, co wcześniej zaobserwowała. Zyskała nawet więcej informacji, niż potrzebowała. Wśród mieszkańców byli finansiści, dyrektorzy fundacji i liczne słynne nowojorskie postaci, których działalność charytatywna nie budziła wątpliwości, chociaż w jaki sposób dorobili się fortuny, pozostawało tajemnicą. Ludzie zamierzający popisywać się bogactwem zwykle wybierali penthouse'y w pałacach Donalda Trumpa, gdzie wszystko lśniło i błyszczało. Na Piątej Alei pod numerem 1060 w windach wciąż funkcjonowały drzwi harmonijkowe, zamontowane na początku dwudziestego wieku, a boazerie z drzewa jodłowego pociemniały ze starości. W kwestii braku elastyczności i despotycznej polityki tutejsza wspólnota mieszkaniowa łatwo pokonałaby juntę birmańską: zwyczajowo odrzucała podania potencjalnych najemców, którzy mogliby okazać

się „ekstrawagancy”, co było określeniem wysoce uwłaczającym. Wspólnota chętnie przyjmowała do swojego grona mecenasów sztuki, ale nie artystów, sponsorów opery, lecz nie śpiewaków operowych. Honorowała obywateli, którzy wspierali kulturę, stroniąc od tych, którzy ją tworzyli.

– Piętro wyżej mamy niejaką Agnes Cameron – ciągnęła Kincaid. – Zasiada w radzie Metropolitan Museum of Art. Wzorowa obywatelka. Zadzwoiłam do biura zarządu muzeum. Przedstawiłam się jako dziennikarka, która o niej pisze. Miała być na zebraniu, chciałam zautoryzować jej wypowiedzi. Jakaś niebotycznie zarozumiała kobieta odpowiedziała mi: „Ależ to niemożliwe, pani Cameron jest w Paryżu”.

– To nasza najlepsza kandydatka?

– Tak myślę. Rok temu zainstalowano w jej mieszkaniu szerokopasmowy internet.

Wręczyła Jansonowi bawełnianą koszulę z czarno-czerwonym logo, taką samą, jaką miała na sobie.

– Brat Corneliusa, jak się okazało, pracuje w Verizon. Koszulki rozdaje hurtowo. Uniseks.

Jessie podała mu jeszcze skórzany szeroki pas z narzędziami. Wyróżniał się wśród nich jaskrawopomarańczowy telefon testowy. Przebranie uzupełniała szara metalowa skrzynka.

Jessie zagadnęła portiera.

– Mamy tu klientkę, zdaje się, że wyjechała z kraju, ale prosiła, żeby sprawdzić, dlaczego nie działa u niej internet. – Machnęła mu przed oczami plakietką. – Pani Cameron.

– Agnes Cameron, ósme piętro – wyrecytował portier z albańskim akcentem. Miał policzki naznaczone trądzikiem i czapkę z daszkiem,

nasuniętą na falującą, ciemne włosy. Skonsultował się ze strażnikiem.

– Goście z telekomunikacji – powiedział. – Mają naprawić łącze w mieszkaniu pani Cameron.

Poszli za nim do eleganckiego lobby z ozdobnymi tynkami i czarno-białą posadzką.

– W czym mogę pomóc? – Drugi portier, krzepki mężczyzna, też Albańczyk, siedział na okrągłym, wyściełanym stołku, pogrążony w rozmowie z innym strażnikiem. Na ich widok raptownie wstał. Najwyraźniej to on tu dowodził i chciał, by jego podwładni nie mieli co do tego żadnych wątpliwości.

Przez chwilę, marszcząc brwi w milczeniu, przyglądał się przybyszom. Następnie podniósł słuchawkę staroświeckiego telefonu wewnętrznego i wybrał kilka cyfr.

Janson spojrział na Jessie: pani Cameron miało nie być w mieście. Kincaid nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Technicy z Verizona – rzucił portier do słuchawki. – Verizon. Mają naprawić łącze. Dlaczego? Nie wiem dlaczego.

Zasłonił ręką słuchawkę i zwrócił się do gości:

– Gospośia mówi, żebyście przyszli, kiedy wróci pani Cameron. W przyszłym tygodniu.

Jessie teatralnie przewróciła oczami.

– Idziemy – rzucił Janson przez zaciśnięte wargi. – Aha, jeszcze jedno: jeśli spotka pan panią Cameron, proszę jej przekazać, że następny wolny termin mamy za parę miesięcy.

– Za parę miesięcy?!

– Właściwie za cztery miesiące – odparł Janson nieustępliwie z zawodową obojętnością. – Może parę dni wcześniej, może parę dni później. Mamy mnóstwo zaległych zamówień. Staramy się dotrzeć do

wszystkich klientów jak najszybciej, ale jeśli ktoś odwołuje wizytę, spada na koniec kolejki. Dostaliśmy informację, że pani Cameron chciała, abyśmy usunęli usterkę przed jej powrotem. Zgłaszała problem moim przełożonym trzy lub cztery razy, więc poszliśmy jej na rękę. A teraz co? Każecie nam iść? W porządku. Ale proszę powtórzyć pani Cameron, że jeśli ktoś tu zawalił sprawę, to na pewno nie my.

W jego głosie nękanego kłopotami technika telefonicznego brzmiało znużenie i urażona duma: pracował dla dużej, niezwykle zbiurokratyzowanej firmy i wprawdzie przywykł, że osobiście ponosi konsekwencje wad systemu, ale dotąd się z tym nie pogodził.

„Jeśli ktoś tu zawalił sprawę...” – portier wzdrygnął się lekko na dźwięk tych słów. W tej sytuacji ktoś musiał ponieść odpowiedzialność. Takich sytuacji należało unikać.

– Wie pani co? – rzucił z ufnością do słuchawki. – Proszę ich wpuścić. Niech robią swoje.

Skinął głową w stronę wind.

– Korytarzem prosto i w lewo. Ósme piętro. Gospośia na was czeka.

– Na pewno? Bo wie pan, mam za sobą długi dzień, chętnie bym skończył na dzisiaj.

– Ósme piętro. Wpuści was do mieszkania – powtórzył. W pozornie beznamytnym głosie pobrzmiwał błagalny ton.

Janson i Kincaid przeszli po wypolerowanej podłodze do wind. Stare, harmonijkowe drzwiczki wydawały się nienadgryzione zębem czasu, a kabiny od dawna nie obsługiwał żaden windziarz. W środku nie zainstalowano też kamery monitoringu. Dwaj portierzy i wartownik w lobby – wspólnota mieszkaniowa najwyraźniej nie zgodziła się na dodatkowe środki bezpieczeństwa, traktując je jako

niepotrzebną ostentację. Pretensjonalnych, nowoczesnych wynalazków należało się spodziewać w apartamentowcach pana Trumpa, ale nie tutaj. Dwoje zakochanych mogło wymienić szybki pocałunek w windzie bez obawy, że podejrzy ich wścibski obserwator.

Wcisnęli guzik ósmego piętra. Zapali się? Nie. Obok guzika była dziurka od klucza. Janson grzebał w niej cienkimi wytrychami przez dobre dwadzieścia sekund, zanim zdołał obrócić mechanizm i aktywować przycisk. Czekali niecierpliwie, aż winda ruszy. Ruszyła, po czym zatrzęsa się raptownie i stanęła. Zważywszy zamożność mieszkańców kamienicy, stan wind świadczył o niejkiej dekadencji.

W końcu drzwi się otworzyły i ujrzeli przed sobą długi hol, prowadzący do mieszkania.

Gdzie była Marta Lang? Czy usłyszała skrzypienie drzwi windy? Janson i Kincaid stanęli w korytarzu, nasłuchując.

Gdzieś w głębi mieszkania pobrzękiwała porcelana.

Z lewej strony ciemnego korytarza prowadziły w dół kręte schody. Drzwi po prawej zdawały się prowadzić do sypialni, być może do kilku. Lang z pewnością była u siebie. Rozejrzeli się w poszukiwaniu „rybich oczu” – kamer, bądź innych zabezpieczeń, lecz żadnych nie dostrzegli.

– Dobra – wyszeptał Janson. – Teraz trzymamy się ściśle przepisów.

– Czyich przepisów?

– Moich.

– Rozumiem.

Znów brzęknęła porcelana – ktoś odstawił filiżankę na spodeczek. Janson wpatrzył się w mrok klatki schodowej. Nikogo tam nie zobaczył. Na szczęście po marmurowych schodach mogli stąpać

bezgłośnie – trzeszczące deski potrafiły zastąpić niejeden system alarmowy.

Dał znak Jessie, żeby zaczekała. Szybko zszedł po schodach, przywierając plecami do ściany. W dłoni ścisnął mały pistolet.

Zobaczył przed sobą wielki pokój z zaciągniętymi storami. Po lewej drugi – coś w rodzaju podwójnego salonu. Biała boazeria na ścianach, ozdobne malowidła i grawerunki. Umeblowanie przywodziło na myśl nowojorskie pied-à-terre, zaprojektowane na zlecenie biznesmena z Japonii: eleganckie, wytworne, jednak pozbawione indywidualnego charakteru.

Janson błyskawicznie ocenił ułożenie portali i ścian: te pierwsze stwarzały zarówno ryzyko, jak i szansę, te drugie zapewniały bezpieczeństwo i możliwość ukrycia się.

Trzymając się blisko ściany, powoli skradał się przez salon. Lakierowany parkiet w większości przykrywały dywany w stonowanych kolorach, które jednak nie tłumili cichego skrzypienia desek. Gdy stanął w przejściu do drugiego pokoju, o mały włos puściły mu nerwy: ujrzał przed sobą gosposię w bawełnianym, jasnoniebieskim fartuchu.

Odwróciła się w jego stronę ze staroświecką miotełką z piór. Zamarła, wykrzywiając twarz w okropnym grymasie. Przerazenia?

– Paul, uważaj! – krzyknęła Jessie.

Nie słyszał, żeby schodziła po schodach, teraz jednak stała tuż za nim.

Nagle z piersi kobiety buchnął strumień szkarłatu; zachwiała się i runęła na dywan. Miękka tkanina stłumiła odgłos upadku.

Janson odwrócił się gwałtownie. Jessie trzymała w dłoni pistolet z tłumikiem. Z wylotu cylindra uszła smużka dymu.

– Jezu! – Janson wypuścił powietrze z płuc, przepełniony grozą. – Coś ty najlepszego zrobiła!

– Zaraz zobaczysz.

Podeszła do ciała kobiety i trąciła stopą miotelkę w jej wyciągniętej ręce.

Nie była przeznaczona do sprzątanía – chyba że w znaczeniu przenośnym. Pod wachlarzem brązowych piór leżał sprytnie ukryty pistolet SIG Sauer, przymocowany do dłoni elastyczną opaską.

Jessie nie pomyliła się, strzelając. Pistolet o wielkiej sile rażenia był nabity, w komorze dostrzegł nabój. Ułamek sekundy dzielił go od śmierci.

Marta Lang nie była sama. Miała ochronę.

Czy dotąd nie zdawała sobie sprawy z ich obecności? Zwykle przesuwane drzwi na końcu drugiego pokoju zdawały się prowadzić do jadalni.

Dochodziły stamtąd jakieś odgłosy.

Janson doskoczył do ściany po lewej stronie drzwi i obrócił się szybko, trzymając berettę na wysokości klatki piersiowej. W zależności od sytuacji, był gotów pociągnąć za spust lub wymierzyć cios rękojęcią. Zza drzwi wypadł krzepki, uzbrojony mężczyzna, zapewne wysłany na rozpoznanie. Paul uderzył go w głowę lufą pistoletu. Mężczyzna osunął się na podłogę, w ostatniej chwili podtrzymany przez Jessie, tak by opadł na dywan bezgłośnie.

Janson przez chwilę stał nieruchomo, bacznie nasłuchując. Starał się odzyskać równowagę – fakt, że znów użył siły, dziwnie go rozstroił, a przecież musiał się skupić.

W tym momencie powietrze przeszła seria wystrzałów.

Pociski przebiły drzwi w kilku miejscach; wokół posypały się

drzazgi i odpryski tynku. Czyżby strzelała do nich sama Marta Lang? Coś mu mówiło, że tak. Spojrzał na Jessie, żeby upewnić się, że nie stoi na linii ognia.

Zapadła cisza, a po chwili usłyszeli cichy odgłos kroków. Janson wiedział, co zamierza Marta Lang – czy ktokolwiek to był – i co sam musi zrobić. Lang chciała wyrzeć przez dziury w drewnianych drzwiach, oszacować sytuację. Przypuszczała, że na linii ognia nikt nie będzie stał.

Teraz liczył się czas, a Jansonowi zostało go bardzo mało. Z całych sił naparł ramionami na przesuwane drzwi. To miała być jego broń – jak taran. Z początku nie napotkał oporu, lecz po chwili rozległ się głuchy dźwięk, a osoba po drugiej stronie upadła na ziemię.

Marta Lang. Siła uderzenia rzuciła ją o stylowy stół w jadalni, wytrącając z ręki broń, która z brzękiem spadła na blat.

Z kocią zwinnością Lang zerwała się na nogi, okrążyła stół i zamierzała sięgnąć po czarny, błyszczący przedmiot.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła ją Jessie.

Marta Lang podniosła na nią wzrok. Kincaid trzymała broń oburącz. Jej pozycja strzelecka mówiła, że nie chybi, wyraz twarzy – że się nie zawaha.

Lang oddychała ciężko. Przez dłuższą chwilę milczała, jakby się namyślała. W końcu wyprostowała się, spoglądając z ukosa na blat.

– Nudna jesteś – powiedziała. Miała zaczerwienioną twarz w miejscu, gdzie uderzyły ją drzwi. – Nie wolałabyś wyrównać szans? Tak byłoby ciekawiej.

Paul zbliżył się do niej, a gdy znalazł się między dwiema kobietami, Lang błyskawicznie rzuciła się na stół i chwyciła za broń. Janson przewidział ten ruch – natychmiast wyszarpnął jej z ręki zabójczy

przedmiot.

– Suomi. Klasyczny pistolet maszynowy. Masz pozwolenie na tę zabawkę?

– Włamaliście się do mojego domu – odparła. – Zadaliście poważne obrażenia moim pracownikom. Nazwałabym to samoobroną.

Marta Lang przeczesła palcami idealnie ułożone siwe włosy. Janson naprężył się, ale ostatecznie nie dostrzegł w tym gościu nic niebezpiecznego. Zmieniła się, odkąd widział ją ostatnio: jej głos brzmiał bezbarwnie, poza raziką nonszalancją. Ale co tak naprawdę wiedział o tej kobiecie?

– Nie traćmy czasu – odezwał się nagle. – Znamy prawdę o Peterze Novaku. Nie ma sensu robić z tego tajemnicy. On już jest trupem. To koniec, do cholery!

– Ty nieszczęsny, umięśniony idioto. Wydaje ci się, że wszystko wiesz. Ale wcześniej też tak myślałeś, prawda? To cię nie zastanawia?

– Wydaj go nam – powiedział Janson przez zaciśnięte zęby. – To twoja jedyna szansa. Prezydent Stanów Zjednoczonych osobiście podpisał na niego wyrok.

Siwowłosa kobieta spojrzała na niego z niewymowną pogardą.

– Peter Novak jest od niego potężniejszy. Amerykański prezydent jest jedynie przywódcą wolnego świata. Rozumiesz, czy mam to wyłożyć czarno na białym?

– Dałaś się zwieść. Wciągnął cię w swoją obłąkańczą grę. Jeśli nie wyrwiesz się z tego obłądu, będzie po tobie.

– Mocne słowa. Spójrz mi w oczy, Janson. Chcę się przekonać, czy w ogóle wierzysz w to, co mówisz. Pewnie tak, więc tym gorzej dla ciebie. Jak śpiewała pewna gruba dama, wolność jest wtedy, kiedy nie mamy już nic do stracenia. Uważasz się za bohatera? Współczuję

ci. Ludzie tacy jak ty nigdy nie będą wolni. Zawsze ktoś tobą manipuluje. Jak nie ja, to ktoś inny, nieco mniej pomysłowy. – Zwróciła się do Jessie. – To prawda. Twój kochaś jest jak fortepian – zwykły mebel, dopóki ktoś na nim nie zagra. Ale ktoś zawsze na nim gra. – Jej twarz wykrzywił ni to uśmiech, ni grymas. – Nigdy cię nie dziwiło, że Novak przez cały czas jest trzy kroki przed tobą? Jesteś tak cudownie przewidywalny. Ty zapewne nazwałbyś to charakterem. On wie dokładnie, co tobą powoduje, czego jesteś w stanie dokonać, jaką decyzję podejmiesz. Owszem, w Kamiennym Pałacu przeprowadziłeś brawurową akcję, ale on bawił się tobą jak dziecko pajacykiem. Dysponowaliśmy zdalnym sprzętem do prowadzenia obserwacji. Mieliśmy na oku każdy twój ruch, każdy krok. Zналиśmy twój plan w szczegółach, byliśmy przygotowani na wszystkie możliwe warianty. Wiedzieliśmy, oczywiście, że Higgins – gość, którego wydostałeś z więzienia – będzie nalegał na uwolnienie Amerykanki. A ty, oczywiście, oddasz jej swoje miejsce w samolocie. W końcu jesteś dżentelmenem. Absolutnie przewidywalnym dżentelmenem. Rzecz jasna, zapalnik w maszynie był zdalnie sterowany. Wystarczyło, żeby Novak machnął batutą – praktycznie rzecz biorąc kierował całą tą pieprzoną operacją. Widzisz, Janson, on cię stworzył. Nie na odwrót. To on dyktował warunki – tak było, jest i będzie.

– Poruczniku, proszę o pozwolenie na sprzątnięcie tej suki – wtrąciła się Jessie, podnosząc do góry rękę jak gorliwy kadet.

– Później – odparł Janson. – Nie masz szans na tym świecie, Marto Lang. Przy okazji, to prawdziwe imię i nazwisko?

– Co za różnica? – rzuciła zblazowanym tonem. – On i tak cię dopadnie, bez względu na to, jak będziesz się nazywał. Teraz pytanie do ciebie: sądzisz, że jeśli polowanie trwa dostatecznie długo, lis

zaczyna sobie wyobrażać, że to on goni psy?

– Nie rozumiem.

– Ten świat należy do Petera Novaka. Wy tylko w nim żyjecie. – Na jej twarzy błąkał się dziwny, nieokreślony uśmiech. Kiedy Janson poznał ją na lotnisku w Chicago, sprawiała wrażenie wykształconej cudzoziemki. Teraz mówiła z wyraźnym amerykańskim akcentem.

– Peter Novak nie istnieje – rzekła Jessie.

– Pamiętaj, skarbie, co mówią o diable: przechytrzył ludzi, przekonując ich, że nie istnieje. Ale możesz wierzyć, w co chcesz.

Jansona ukłuło wspomnienie byłego dowódcy. Przyjrzał się Lang uważnie, szukając najmniejszych oznak słabości.

– Gdzie jest Alan Demarest?

– Tu. Tam. Wszędzie. Radziłabym jednak nazywać go Peterem Novakiem. Mógłby poczuć się urażony.

– Gdzie, do cholery?!

– Nie powiem – odparła beztrąsko.

– Co on na ciebie ma?! – wybuchnął Janson.

– Przykro mi, nie wiem, o czym mówisz.

– Zupełnie, jakbyś do niego należała!

– Nic nie rozumiesz, prawda? – stwierdziła z miażdżącą pogardą. – Przyszłość do niego należy!

Janson patrzył na nią nieubłaganie.

– Jeśli orientujesz, gdzie on jest, Bóg mi świadkiem, że wydobędę od ciebie tę informację. Wierz mi, po kilku godzinach kroplówki ze skopolaminą, nie odróżnisz swoich myśli od mowy. Cokolwiek pomyślisz, powiesz na głos. Dowiemy się, co siedzi w twojej głowie. O wszystkich brudach także. Wolałbym, żebyś sama to wyznała, bez pomocy chemii. Tak czy inaczej, powiesz nam to, co nas interesuje.

– Jesteś okropnie zarozumiała – mruknęła, po czym zwróciła się do Jessie. – Może przyznałabyś mi rację? W ramach kobiecej solidarności? Nie słyszałaś? Siostrzane uczucia mają niezwykłą moc. – Nachyliła się, zbliżając ku niemu twarz. – Paul, naprawdę mi przykro, że twoi przyjaciele wylecieli w powietrze nad Anurą. – Zatrzepotała palcami i głosem kwaśnym jak ocet dodała: – Wiem, byłeś zdruzgotany śmiercią tego greckiego pastucha. – Zachichotała. – Co mogę powiedzieć? Pech.

Janson poczuł pulsowanie żyły na czole. Gniew wykrzywił mu twarz. Wyobraził sobie, że uderza ją w twarz, roztrzaskując kości, łamiąc nos. Równie szybko emocje opadły – uświadomił sobie, że ta złośliwość była celowa, miała wyprowadzić go z równowagi.

– Nie proponuję trzech możliwości – oznajmił. – Tylko dwie. Jeśli nie dokonasz wyboru, podejmę decyzję za ciebie.

– Długo to potrwa?

Nagle gdzieś z głębi mieszkania dobiegły dźwięki chorału.

Hildegarda z Bingen. Jansonowi zjeżyły się włosy na karku.

– „Kantyki ekstazy”. Wpływ Alana Demaresta?

– Co? To ja go zainteresowałam tą muzyką. – Wzruszyła ramionami. – Jeszcze w dzieciństwie.

Janson przyjrzał się jej, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Nagle drobne, dręczące go szczegóły ułożyły się w całość. Sposób, w jaki poruszała głową, niespodziewane, zaskakujące zmiany w zachowaniu, wiek, nawet układ zmarszczek.

– Jezu Chryste... Jesteś...

– Jego siostrą bliźniaczką. Mówiłam, że siostrzane uczucia mają niezwykłą moc. – Zaczęła masować skórę pod lewym obojczykiem. – Słynne bliźnięta Demarestów. Podwójny kłopot. W młodości

terroryzowaliśmy całe cholerne Fairtown. A ci durnie od Möbiusa nawet nie zorientowali się, że Alan wciągnął mnie do gry. – W miarę jak mówiła, okrężne ruchy palców stawały się coraz intensywniejsze, gwałtowniejsze, jakby głęboko pod skórą odczuwała swędzenie. – Więc jeśli sądzisz, że go „wydam”, jak to ładnie ująłeś, lepiej się zastanów.

– Nie masz wyboru – stwierdził Janson.

– Co ona robi? – spytała cicho Jessica.

– Zawsze mamy jakiś wybór. – Lang poruszała palcami coraz wolniej, w skupieniu. Nagle zaczęła uciskać miejsce w okolicy obojczyka. – Ach – westchnęła. – To jest to. To jest to. Och, znacznie lepiej...

– Paul! – krzyknęła Jessie. Pojęła, co się dzieje na chwilę przed nim.
– Powstrzymaj ją!

Było za późno. Rozległ się cichy odgłos pękającej pod skórą ampułki, jak ledwie słyszalny wystrzał korka od szampana. Marta Lang odrzuciła głowę do tyłu jak w miłosnym uniesieniu. Jej twarz zabarwiła się purpurową czerwienią. Przez moment dyszała cicho, niemal zmysłowo, aż w końcu z jej krtani wydobył się charkot. Rozwarła zwiotczone szczęki, z kącika ust pociekła strużka śliny. Spod na wpół przymkniętych powiek wyzierały białka oczu.

Z niewidocznych głośników dobiegał upiorny śpiew.

Gaudete in ilio,

Quem no viderunt in terris multi,

Qui ipsum ardenter vocaverunt.

Gaudete in capite vestro.

Janson oparł dłoń na długiej szyi Marty Lang, żeby zbadać jej puls,

choć wiedział, że nie żyje. Natychmiast rozpoznał oznaki zatrucia cyjankiem. Wybrała śmierć zamiast kapitulacji, a Janson nie potrafił stwierdzić, czy był to akt odwagi, czy tchórzostwa.

„Zawsze mamy jakiś wybór”, powiedziała. Poparł ją inny głos, sprzed dziesięcioleci. „Wybieraj”, mówił jeden ze śledczych Wietkongu. Brak decyzji to także decyzja.

Rozdział 38

Na biurku sekretarza generalnego zabręczał telefon. W słuchawce odezwał się głos Helgi.

– Przepraszam, że niepokoję, ale to znowu pan Novak.

Mathieu Zinsou zwrócił się do wysokiej komisarz do spraw uchodźców, byłej irlandzkiej polityk, równie energicznej co gadatliwej. Aktualnie toczyła spór z podsekretarzem do spraw pomocy humanitarnej, który ze swej strony, w sposób bynajmniej niehumanitarny, prowadził terytorialną walkę o wpływ.

– Okropnie mi przykro, pani MacCabe, ale po prostu muszę odebrać ten telefon. Oczywiście, rozumiem pani obawy w kwestii ograniczeń ze strony Wydziału do spraw Politycznych i wierzę, że razem uda się nam rozwiązać ten problem. Helga umówi spotkanie wszystkich zainteresowanych. – Wstał i skinął głową, odprawiając ją uprzejmie.

Po chwili podniósł słuchawkę.

– Pan Novak na linii – odezwał się kobiecy głos. Coś zatrzeszczało, zabręczało.

– Mathieu, *mon cher*.

– *Mon cher* Peter – zrewanżował się Zinsou. – Twoja szczodrość, jeszcze zanim ustaliliśmy szczegóły, jest doprawdy zdumiewająca. Odkąd rodzina Rockefellerów podarowała nam działkę, na której stanął budynek ONZ, nie było równie hojnego darczyńcy...

– Tak, tak – przerwał mu Peter Novak. – Obawiam się jednak, że

nie będę mógł przyjąć zaproszenia na kolację.

– Doprawdy?

– Chciałbym, żeby to przebiegło bardziej uroczyście... Zgodzisz się ze mną? Przecież nie mamy przed sobą tajemnic. Polityka ONZ zawsze była klarowna.

– Słusznie, Peter.

– Przedstawię ci moją propozycję. Jeśli wyda ci się nierozsądna, zawsze możesz się nie zgodzić.

– Słucham.

– W najbliższy piątek ma się odbyć posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego. Zawsze chciałem wystąpić przed tym szacownym gremium. Sądzisz, że to próżność z mojej strony?

– Ależ skąd – szybko zaprzeczył Zinsou. – Dotąd tylko nieliczni występowali na tym forum, ale...

– Ale nikt mi nie odmówi tego przywileju, prawda? Chyba wolno mi na to liczyć.

– *Bien sûr.*

– Zważywszy obecność tak wielu przywódców, możemy spodziewać się nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa. Nazwij mnie paranoikiem, ale to dla mnie niezwykle ważne. Jeśli, jak mnie poinformowano, na spotkaniu ma być obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, tajne służby zostaną postawione w stan gotowości. To bardzo mnie cieszy, zwłaszcza że najprawdopodobniej będzie mi towarzyszył burmistrz Nowego Jorku, mój oddany przyjaciel.

– Wobec tego czeka nas niezwykle publiczne wydarzenie – odrzekł Zinsou. – Szczerze mówiąc, jestem zadziwiony. Zawsze miałeś opinię odludka. Trzymałeś się z dala od mediów.

– Właśnie dlatego wpadłem na ten pomysł – odparł Peter Novak. –

Wiesz, że lubię zaskakiwać.

– A nasze... porozumienie? – Zinsou starał się ukryć niepokój i konsternację.

– O to się nie martw. Wkrótce się przekonasz, że nie ma nic bardziej tajemniczego niż to, o czym powszechnie wiadomo.

•••

– Niech to szlag! – wrzasnął Janson, gdy skończył odsłuchiwać nagranie.

– Co miałem zrobić? – spytał Zinsou. W jego głosie pobrzmiwał lęk i nutka samooskarżenia.

– Nic. Gdyby był pan zbyt natarczywy, Novak mógłby nabrać podejrzeń. Ten człowiek to istny paranoik.

– A co pan sądzi o jego prośbie? Zdumiewające, prawda?

– Sprytne – odparł Janson szczerze. – Jak widać, ma niejednego asa w rękawie.

– Przecież chcieliśmy wypłoszyć go z kryjówki...

– Wie o tym, dlatego przedsięwziął wszelkie środki ostrożności. Zdaje sobie sprawę, że siły zmobilizowane przeciw niemu są rozczłonkowane. Służby specjalne nie mogą poznać prawdy. Wobec czego spróbuje wykorzystać naszych ludzi jako tarczę ochronną. To jeszcze nie wszystko. Pojawi się w budynku Zgromadzenia Ogólnego z burmistrzem Nowego Jorku u boku. Próba zamachu na jego życie zagrażałaby znanemu politykowi. Wchodzi na arenę, gdzie nadzwyczajne środki mają zapewnić bezpieczeństwo przywódcom z całego świata. Przez cały czas będzie go chronić coś w rodzaju pola siłowego. Gdyby amerykański agent próbował do niego strzelać, ewentualne śledztwo rozdmuchałoby sprawę do astronomicznych

rozmiarów. W budynku Zgromadzenia stanie się nietykalny. Otoczony chmarą ludzi, którzy jego wizytę potraktują jako zaszczyt dla całej społeczności międzynarodowej...

– I zechcą godnie powitać człowieka wydającego się światłem narodów – zauważył Zinsou z kwaśną miną.

– Cały Demarest. Ukryty na oczach świata. Zwykł mawiać, że gdy jesteśmy w centrum zainteresowania, nic nam nie grozi.

– Zasadniczo powiedział mi to samo – odrzekł Zinsou w zamyśleniu. Bawił się piórem, próbując siłą woli zmienić je w papierosa. – Co teraz?

Janson upił łyk letniej kawy.

– Albo coś wymyślę, albo...

– Albo?

Janson spojrzał na niego twardo.

– Albo nie.

Wyszedł bez słowa z gabinetu sekretarza generalnego, zostawiając go samego z własnymi myślami.

Zinsou poczuł ucisk w piersi. Źle sypiał, odkąd prezydent Stanów Zjednoczonych – przychyliwszy się niechętnie do prośby Jansona – poinformował go o zaistniałej sytuacji. Zinsou był przerażony. Jak Stany Zjednoczone Ameryki mogły postąpić tak lekkomyślnie? Tyle że to nie Stany Zjednoczone jako takie, lecz niewielka koteria „strategów”, jak gniewnie nazywał ich Janson. Tajemnicę powierzano kolejnym prezydentom jak kody do krajowego arsenału nuklearnego. Była równie niebezpieczna.

Zinsou znał osobiście więcej przywódców państw niż ktokolwiek inny na świecie. Wiedział, że prezydent nie zdaje sobie sprawy, jak krwawy tumult wywołałoby ujawnienie prawdy o programie Möbius.

Przywołał w pamięci premierów, prezydentów, kanclerzy, sekretarzy partii, emirów i królów, których przez tyle lat oszukiwano. Powojenne przymierze ległoby w gruzach. We wszystkich punktach zapalnych na świecie unieważniono by setki traktatów i rezolucji pokojowych, ponieważ ich autor zostałby zdemaskowany jako oszust, amerykański agent. Traktat pokojowy, wynegocjowany przez Petera Novaka na Cyprze? W ciągu kilku godzin zostałyby z niego strzępy; Grecy i Turcy oskarżaliby siebie nawzajem, że przez cały czas znali prawdę. Pozornie bezstronne porozumienie miało się okazać korzystne dla wroga. A w innych miejscach na świecie?

Kryzys walutowy w Malezji. Przykro mi, stary. To nasza sprawa. Obniżenie kursu funta szterlinga siedem lat temu, skutkiem czego gospodarka Wielkiej Brytanii straciła kilka punktów PKB? Tak, wykorzystaliśmy to, pogarszając dostatecznie złą sytuację. Okropnie nam przykro, nie wiem, co sobie myśleliśmy...

Koniec względnego pokoju i dobrobytu. A biura Fundacji Wolności rozsiane w krajach Trzeciego Świata i w Europie Wschodniej? Czym były, jeśli nie tajnymi agencjami amerykańskiego wywiadu? Wiele rządów współpracujących z fundacją nie przeżyłoby takiego upokorzenia. Inne, aby zachować wiarygodność wśród obywateli, zerwałyby stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, deklarując, że dotychczasowy sojusznik okazał się wrogiem. Firmy amerykańskie za granicą, nawet te niezwiązane z fundacją, zostałyby przejęte przez lokalne rządy, które zamroziłyby ich aktywa. Byłby to druzgocący cios dla światowego handlu. Tymczasem, wszyscy rozgoryczeni obywatele planety wreszcie znaleźliby *casus belli*. Potwierdziłyby się ich niejasne podejrzenia. Po ujawnieniu tajemnicy oficjalne partie polityczne, podobnie jak rozmaite ruchy oporu, wezwałyby do

bojkotu amerykańskiego imperium. Europa, dotąd tylko częściowo zjednoczona, ostatecznie by się sprzymierzyła przeciwko nowemu, wspólnemu wrogowi – Stanom Zjednoczonym.

Kto miałby bronić Ameryki? Kto by chciał? Oto kraj, który zdradził najbliższych, najwierniejszych sojuszników. Który ukradkiem manipulował rządami na całej planecie. Który teraz miał ściągnąć na siebie niepohamowany gniew miliardów. Nawet organizacje działające na rzecz międzynarodowej współpracy nie uniknęłyby podejrzeń, co prawdopodobnie zwiastowałyby koniec ONZ – może nie od razu, ale wkrótce, pośród powszechnego rozgoryczenia.

A to wszystko oznaczało... koniec świata.

• • •

Kalif ponownie przeczytał depeszę, która przyszła przed chwilą, i przeszedł go przyjemny dreszcz wyczekiwania. Zupełnie jakby niebo rozstąpiło się, ukazując najczystszy promień słońca.

Peter Novak miał przemawiać na dorocznym zebraniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Człowiek ten – ostatecznie był tylko człowiekiem – w końcu pokaże twarz. Niewątpliwie przywitają go mdłe wyrazy wdzięczności, laury i owacje. A jeśli Kalif zrealizuje swój plan – prawdopodobnie coś jeszcze.

Odwrócił się do ministra bezpieczeństwa Mansuru – zwykłego handlarza dywanami, wbrew temu, co sugerował nadęty tytuł – i przemówił do niego tonem jednocześnie uprzejmym i władczym.

– To spotkanie społeczności międzynarodowej będzie niezwykle istotne dla przyszłych losów Islamskiej Republiki Mansuru.

– Ależ oczywiście – odparł minister, drobny, prosty mężczyzna w białym zawoju na głowie. Łatwo było zaimponować przywódcom

tego biednego, dalekiego kraju w kwestiach nie dotyczących praw Koranu.

– Wasza delegacja zostanie oceniona, słusznie lub nie, na podstawie profesjonalizmu, postawy i dyscypliny. Nic nie może pokrzyżować nam planów, nawet jeśli będziemy mieć do czynienia z nieznanymi, nieprzewidywalnymi złoczyńcami. Należy zadbać o najwyższy poziom bezpieczeństwa.

Minister skinął głową. W świecie wielkiej polityki czuł się zagubiony i nie zamierzał udawać, że jest inaczej, przynajmniej w obecności tak zręcznego stratega, jakim był Kalif.

– Dlatego postanowiłem towarzyszyć delegacji. Zapewnicie mi tylko ochronę dyplomatyczną, a ja dopilnuję osobiście, żeby wszystko poszło zgodnie z planem.

– Chwała Allahowi – odrzekł drobny mężczyzna. – To spełnienie naszych marzeń. Wasze poświęcenie będzie natchnieniem dla innych.

Kalif z wolna pokiwał głową, przyjmując wyrazy uznania.

– Robię tylko to, co słuszne.

• • •

Wąska kamienica wyglądała elegancko, lecz anonimowo – podobnych, z identyczną elewacją z piaskowca, dałoby się naliczyć setki w okolicy nowojorskiej Turtle Bay. Na szarobrązowy ganek prowadziły schodki wyłożone paskami czarnej taśmy antypoślizgowej, na wypadek deszczu lub śniegu. Pod nimi umieszczono elektroniczne czujniki ostrzegające o nadejściu gościa. Słońce odbijało się od okien z grubymi szybami w ołowianych ramkach. Z pozoru pełniły jedynie funkcję dekoracyjną, ale w rzeczywistości oparłyby się kulom największego kalibru. „Sterylna siódemka” – tak nazywał to miejsce

wiceszef Agencji Wywiadu Obronnego. Bezpieczne lokum, wykorzystywane od czasu do czasu przez strategów programu Möbius, jedno z dziesięciu w kraju. Jansona zapewniono, że będzie tu bezpieczny. Co równie ważne, miał do dyspozycji najnowocześniejsze osiągnięcia techniki w dziedzinie łączności i bezpośredni dostęp do potężnych banków danych, zbieranych przez połączone służby wywiadowcze w całych Stanach.

Janson siedział w gabinecie na piętrze, wpatrzony w żółtą podkładkę. Oczy nabiegły mu krwią z braku snu, głowa pękała z bólu. Przez cały czas komunikował się przez szyfrowane połączenia z żyjącymi jeszcze członkami programu. Żaden z nich nie był optymistą. Nawet nie udawali.

Novak miał się pojawić na terytorium Stanów. W jaki sposób chciał tego dokonać? Czy straż graniczna powiadomi ich o jego przybyciu? Wszystkie lotniska w kraju, publiczne i prywatne, otrzymały odpowiednie wytyczne. Urzędników poinformowano, że ze względu na „wiarygodne groźby” Peter Novak może znaleźć się w niebezpieczeństwie, dlatego należy natychmiast zgłosić jego przyjazd tajnym służbom Departamentu Stanu, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo zagranicznych oficjeli.

Zadzwoił do Dereka Collinsa, który zaszył się w letnim domku na Phipps Island, gdzie potrojono kontyngent Gwardii Narodowej. W tle usłyszał pobrzękiwanie psiej kolczatki.

– Nie uwierzyłbyś, ale Butch naprawdę polubił to miejsce – rzekł Collins. – Zdążyłem się nawet przywiązać do tego kundla. Zważywszy sytuację, czuję się przy nim pewniej. Oczywiście, monterzy, którzy byli tu wczoraj, nie nabrali do niego sympatii. Patrzył na nich jak na żarcie. Ale dzwoniisz pewnie w innej sprawie.

– Coś wiadomo?

– Kobra jest w drodze. To dobra wiadomość. Jesteśmy niemal pewni. Zła wiadomość: znaleziono ciało Nell Pearson, żony Novaka. Ponoć popełniła samobójstwo. Podcięła sobie żyły w wannie.

– Chryste – westchnął Janson. – Sądysz, że ją zamordowano?

– Nie, to było raczej „wołanie o pomoc”. Kurwa, oczywiście, że ją zamordowano. Nikt nigdy tego nie udowodni.

– To wielka strata, prawda? – mruknął Janson ołowianym głosem.

– Cóż – odparł Collins posepnie. – Nikt dotąd nie namierzył Pumpy. Nic, zero, nie mamy bladego pojęcia, gdzie jest. Dostaliśmy cztery fałszywe raporty o jego sobowtórach. Wszystko wskazuje na to, że nie będzie próbował przekroczyć granicy. On już tu jest. Cóż to dla niego, zjawić się incognito. Dziecinna gra. To duży, ludny kraj, działa tu ponad pięćset międzynarodowych lotnisk. Nasze granice są nieszczelne, sam dobrze o tym wiesz...

– Nie mówmy teraz o tym, czego nie da się zrobić – przerwał mu Janson.

– Dzięki za doping, trenerze. Wiesz, że wszyscy wypruwamy sobie żyły, żeby znaleźć Novaka. Nie wiemy, kto z nas zginie następny. Ale może zainteresuje cię, co kombinuje Departament Stanu...

Pięć minut później Janson rozłączył się z uczuciem niepokoju.

Niemal natychmiast rozległ się cichy dzwonek srebrnego telefonu, stojącego na biurku pokrytym zielonym suknem. Był to telefon zarezerwowany dla połączeń z Białym Domem, a cichy dźwięk dzwonka w jakiś sposób przydawał mu powagi.

W słuchawce odezwał się prezydent.

– Posłuchaj, Paul, Doug i ja łamiemy sobie nad tym głowę. To przemówienie, które Demarest ma wygłosić przed Ogólnym

Zgromadzeniem, może zawierać ukryte ultimatum.

– Tak pan sądzi?

– Jak wiesz, zażądał kodów kontrolnych do całego systemu Echelon. Zbyłem go.

– Zbył go pan?

– Spławiłem. A teraz on wysłał nam dość jednoznaczny komunikat: jeśli nie dostanie tego, czego chce, wystąpi przed Zgromadzeniem i odpali bombę. Niedosłownie, oczywiście. Wyjawi całą prawdę o programie, od jego słów będą zależeć dalsze losy świata. To tylko przypuszczenie. Możemy się mylić. Ale im dłużej się nad tym zastanawiamy, tym bardziej ta groźba wydaje się prawdopodobna.

– Ergo?

– Mam nadzieję, że trafi go piorun, zanim zacznie przemawiać.

– Niezły plan.

– Chcę wcześniej się z nim spotkać. Skapituluję. Zgodzę się spełnić jego życzenia.

– Pan też ma się pojawić na zebraniu?

– Jeszcze tego nie potwierdziliśmy. Na pewno będzie sekretarz stanu, ambasador ONZ, przedstawiciel Kongresu, radca handlowy i cała reszta ołowianych żołnierzyków, których zwykle wysyłamy przy takich okazjach. Ale gdybyśmy się zdecydowali na tę... wymianę, propozycja musi wyjść ode mnie. Tylko ja mam odpowiednie kompetencje.

– Narazi się pan na wielkie niebezpieczeństwo.

– Już jestem narażony. I ty też.

Rozdział 39

The New York Times

POSIEDZENIE ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ

SETKI PRZYWÓDCÓW PAŃSTW Z CAŁEGO ŚWIATA

ZJADĄ NA SESJĘ POD HASŁEM

„DIALOG CYWILIZACJI”

Barbara Corlett

NOWY JORK. Dla większości mieszkańców Nowego Jorku przyjazd setek zagranicznych przywódców państw i wysokiej rangi ministrów oznacza jeden wielki kłopot: czy kawalkady samochodów całkowicie zakorkują i tak trudno przejezdne ulice? W Departamencie Stanu USA i w kręgach dyplomatycznych rozważa się jednak inną, donioślejszą kwestię. Wszyscy mają nadzieję, że pięćdziesiąta ósma sesja Zgromadzenia Ogólnego doprowadzi do istotnych reform i ściślejszej współpracy międzynarodowej. Sekretarz generalny ONZ, Mathieu Zinsou, przewiduje, że będzie to „przełomowy moment” w historii nekanej kłopotami organizacji.

Te oczekiwania podsycają dodatkowo doniesienia o możliwym pojawieniu się przed Zgromadzeniem szanowanego filantropa i potentata Petera Novaka, którego Fundację Wolności, ze względu na globalny zasięg i osiągnięcia dyplomatyczne, często porównuje się do ONZ. Kraje członkowskie, w tym również Stany Zjednoczone, są winne organizacji

miliardy dolarów, a sekretarz generalny nie ukrywa, że wynikające stąd zamrożenie pensji i cięcia w budżecie uniemożliwiają zatrudnienie bądź zatrzymanie wysoko wykwalifikowanych pracowników. Peter Novak, którego szczodrość jest niemal legendarna, przypuszczalnie przedstawi konkretne propozycje zażegnania kryzysu finansowego w ONZ. Wysoko postawieni urzędnicy sugerują wręcz, że dyrektor Fundacji Wolności zechce połączyć siły z ONZ, aby wspólnie koordynować pomoc humanitarną w regionach najbardziej dotkniętych ubóstwem i konfliktami. Znany z niechętnego stosunku do mediów Peter Novak jak zwykle odmówił komentarza.

Ciąg dalszy na str. B4

Wszystko to miało wydarzyć się już jutro. A co się wydarzy? To zależało od tego, jak dobrze się przygotowują.

Krok za krokiem...

Janson – oficjalnie niezależny konsultant do spraw bezpieczeństwa, zatrudniony przez biuro sekretarza generalnego – spędził ostatnie cztery godziny, wędrując po kompleksie ONZ. Czy o czymś nie zapomnieli? Nie potrafił zebrać myśli – od kilku dni prawie nie spał, ratując się czarną kawą i aspiryną. Krok za krokiem. Rozpoznanie terenu, od którego wszystko zależało.

Kompleks budynków ONZ ciągnął się wzdłuż East River od Czterdziestej Drugiej do Czterdziestej Ósmej Ulicy i był wyspą samą w sobie. Budynek Sekretariatu wznosił się na trzydzieści dziewięć pięter, a w porównaniu z nim słynne Chrysler Building i Empire State wyglądały jak chude tyczki – drzewa na tle majestatycznej góry. Właśnie nie wysokość, lecz imponująca szerokość wyróżniała go wśród innych miejskich budowli. Oba boki zdobiły identyczne ściany z niebieskozielonego szkła i aluminium, a czarne tafle znaczyły poszczególne piętra. Symetrię zakłócały jedynie nieregularnie rozmieszczone kraty pięter technicznych. Dwa węższe boki pokryto

marmurem z Vermont – było to ustępstwo wobec eks-senatora z Vermont, który przewodniczył komitetowi doradczemu Kwatery Głównej i reprezentował USA w ONZ. Frank Lloyd Wright nazwał gmach Sekretariatu „superskrzynią, w której fiasko transportuje się prosto do piekła”. Te słowa brzmiały dziś niezwykle proroczo.

Niski budynek Zgromadzenia Ogólnego, usytuowany na północ od Sekretariatu, zaskakiwał znacznie odważniejszą architekturą. Dziwnie nieregularny prostokąt zdawał się zapadać pośrodku i rozszerzać po bokach. Na dachu umieszczono osobliwą kopułę – kolejne ustępstwo na rzecz senatora – która wyglądała jak gigantyczny komin. Teraz, gdy budynek był pusty, Janson kilkakrotnie obszedł go wzdłuż i wszerz, za każdym razem lustrując każdy kąt, tak jakby nie widział go wcześniej. Dzięki przeszklonej południowej ścianie sala dla delegatów wydawała się jasna i przestronna. Tuż nad nią wznosiły się trzy rzędy białych balkonów. Sala Zgromadzeń mieściła się w środkowej części budynku w olbrzymim, półokrągłym atrium. Wokół centralnego podium z zielono-czarnego marmuru stały obite zieloną skórą fotele. Na dużej ścianie ze złotymi zdobieniami wisiał okrągły symbol ONZ: dwa wieńce z gałązek oliwnych, podobne do kłosów pszenicy, i mapa świata. Z jakiegoś powodu mapa, przedstawiona na tle siatki kartograficznej, przykuła uwagę Jansona: dostrzegł w niej krzyż nitek celownika. Celem była Ziemia.

•••

– *Some people wanna fill the world with silly love songs* – zanucił fałszywie Rosjanin.

– Grigorij? – spytał Janson z niedowierzaniem.

Tak, to dzwonił Grigorij. Janson rozejrzał się po atrium,

zatrzymując wzrok na dwóch wielkich ekranach zawieszonych po obu stronach mównicy.

– Co u ciebie?

– Rewelacja! – stwierdził Berman z przekonaniem. – Wróciłem do domu. Mam prywatną pielęgniarkę, Ingrid. Drugiego dnia bez przerwy zrzucałem termometr na podłogę, żeby patrzeć, jak się schyla. Co za pośladki! Normalnie, Wenus w białych tenisówkach. Ingrid, mówię do niej, może zabawisz się w pielęgniarkę? Panie Berman?! – piszczy oburzona. – Przecież jestem pielęgniarką.

– Posłuchaj, Grigorij, mam do ciebie prośbę. Jeśli nie będziesz mógł jej spełnić, po prostu od razu powiedz.

Janson w kilka minut streścił mu swój plan. Berman musiał sam się domyślić szczegółów.

Gdy skończył mówić, Rosjanin milczał przez dobrą chwilę.

– Teraz to Grigorij Berman jest oburzony – powiedział w końcu. – To, co pan proponuje, jest nieetyczne, niemoralne i sprzeczne z prawem. Narusza wszelkie standardy i praktyki międzynarodowej bankowości. – Urwał dla efektu. – I podoba mi się!

– Tak myślałem – stwierdził Janson. – Dasz radę?

– *I get by with a little help from my friends* – zanucił Berman.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Spytaj Ingrid, na co mnie stać – odpowiedział, nieco urażony. – Co Grigorij Berman potrafi? Czego Grigorij Berman nie potrafi!

...

Janson rozłączył się. Kolejny raz obszedł salę. Zajrzał za marmurowe podium, z którego mówcy zwracali się do zgromadzonych, przyjrzał się rzędom foteli dla delegatów.

Najważniejsi przedstawiciele narodów mieli wypełnić pierwszych piętnaście rzędów. Na stolikach umieszczono tabliczki z nazwami państw, białe litery na czarnym tle. Po jednej stronie Peru, Meksyk, Indie, Salwador, Kolumbia, Boliwia i jeszcze kilka, których nie odczytał w słabym świetle. Po drugiej – Paragwaj, Luksemburg, Islandia, Egipt, Chiny, Belgia, Jemen, Wielka Brytania. Kolejność wydawała się przypadkowa, tabliczek było mnóstwo, przypominały drogowskazy w nieskończenie różnorodnym, nieskończenie podzielonym świecie. Długie stoły wyposażono w przyciski – delegaci używali ich, gdy chcieli sygnalizować chęć zabrania głosu – i gniazdka do słuchawek, dzięki którym mogli słuchać tłumaczenia symultanicznego w dowolnym języku. Za stołami dla oficjalnych delegatów wznosiły się rzędy krzeseł dla pozostałych członków ekip dyplomatycznych. Z okrągłego otworu w sklepieniu, otoczonego reflektorami w kształcie gwiazd, zwisały eleganckie lampy. Drewniane płaszczyzny ścian przeplatały się z malowidłami autorstwa Fernanda Legera. Pośrodku długiego marmurowego balkonu wisiał mały zegar, widoczny jedynie dla tych, którzy stali na mównicy. Nad balkonem ciągnęły się kolejne rzędy krzeseł. A za nimi, w dyskretnie przysłoniętych, przeszklonych kabinach, rezydowali tłumacze, technicy i ochrona.

To miejsce przypominało wspaniały teatr i w istocie nim było.

Janson skierował się do pomieszczeń bezpośrednio za mównicą – do biura oddanego do dyspozycji sekretarza generalnego i pokoi zarządu. Zważywszy rozmieszczenie zabezpieczeń, atak na nie należało wykluczyć. Podczas trzeciego obchodu uwagę Jansona zwróciła rzadko odwiedzana kapliczka, czy też, jak ostatnio było w modzie, pokój do medytacji – mała, wąska przestrzeń

z malowidłem Chagalla, w korytarzu obok głównego wejścia do Sali Zgromadzeń.

Na koniec przeszedł się podjazdem przed zachodnią ścianą budynku. Tędy mieli wchodzić delegaci. Zastosowane środki bezpieczeństwa robiły imponujące wrażenie. Sam gmach Sekretariatu mógł posłużyć za tarczę ochronną. Sąsiednie ulice zostaną zamknięte dla ruchu, w bezpośredniej okolicy wolno będzie przebywać tylko akredytowanym dziennikarzom i członkom delegacji.

Alan Demarest nie mógł wybrać lepszego miejsca – w bunkrze na Antarktydzie byłby bardziej narażony na niebezpieczeństwo.

Im dłużej Janson rozpamiętywał tę sytuację, tym bardziej podziwiał geniusz taktyczny przeciwnika. Tylko prawdziwie nadzwyczajny rozwój wypadków zdołałby pokrzyżować mu plany. Pozostawało im liczyć na cud.

„Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością?”.

Mimo wszystko Janson bardziej niż ktokolwiek inny rozumiał tę zależność. Żeby pokonać mistrza podstępny, trzeba było czegoś więcej niż chłodne kalkulacje racjonalnych strategów – nieposkromionego, niezaspokojonego, nieracjonalnego, niepohamowanego gniewu prawdziwego fanatyka. To nie podlegało dyskusji: jedyną szansą na pokonanie Demaresta było uciec się do tego, czego nie dało się kontrolować.

Naturalnie, stratedzy wyobrażali sobie, że to potrafią. Nie potrafili. Igrali z ogniem.

A teraz mieli się poparzyć.

Rozdział 40

O siódmej rano następnego ranka do kompleksu ONZ zjechały pierwsze kawalkady samochodów, których pasażerowie reprezentowali ludzkość we wszystkich odmianach kulturowych i politycznych. Wojskowi przywódcy w galowych mundurach maszerowali jak na defiladzie, dumni z orderów i wstęg, które sami sobie przyznali. Patrzyli z góry na kruchych liderów tak zwanych demokracji, niewiele różniących się od nadętych szefów banków centralnych: ich ciemne garnitury i ciasno zawiązane krawaty miały więcej wspólnego z kupiectwem niż z autentyczną chlubą narodową. Z kolei wybrani w demokratycznych wyborach przywódcy przyglądali się paradnym strojom generałów z pogardą i dezaprobatą: cóż za straszne zacofanie społeczne pozwoliło tym *caudillos* sięgnąć po władzę? Chudzi, patrząc na grubych, kpili z ich braku samokontroli: nic dziwnego, że pozaciągali gigantyczne długi. Tędy postrzegali wymizerowanych zachodnich partnerów jako bezbarwnych i chłodnych administratorów. Za każdym promiennym uśmiechem kryły się podobne myśli.

Niczym molekuly, grupki ludzi mieszały się i zderzały ze sobą, łączyły się i rozpadały. W miejsce odwiecznych pretensji pojawiały się puste uprzejmości. Korpulentny prezydent kraju w Afryce Środkowej obejmował tyczkowatego ministra spraw zagranicznych Niemiec i obaj wiedzieli dokładnie, co to oznacza: czy dałoby się przyspieszyć

restrukturyzację długu? Nie chcę w nieskończoność spłacać pożyczek, które zaciągnął mój poprzednik – w końcu nie bez powodu kazałem go zastrzelić! Krzykliwie wystrojony potentat z Azji Środkowej witał premiera Wielkiej Brytanii z czarującym uśmiechem i cichą naganą: nasz spór graniczny z wojowniczym sąsiadem nie jest sprawą międzynarodową. Prezydent nękanego kłopotami państwa członkowskiego NATO, które dawniej było częścią upadłego imperium, odnalazł przywódcę stabilnej, zamożnej Szwecji, żeby omówić z nim swoją ostatnią wizytę w Sztokholmie. Ukryty przekaz: prześladowania Kurdów być może niepokoją waszych rozpieszczonych działaczy na rzecz obrony praw człowieka, ale nie mamy wyboru, musimy likwidować wywrotowców. Uścisk dłoni, objęcia, poklepywanie się po plecach – każdy taki gest skrywał pretensję. Wzajemne pretensje cementowały tę międzynarodową społeczność.

Wśród delegatów przechadzał się mężczyzna w keffii. Miał długą, gęstą brodę i ciemne okulary – wyglądał jak typowy przedstawiciel zamożnej klasy Arabów, jeden z setki dyplomatów z takich krajów, jak Jordania, Arabia Saudyjska, Jemen, Mansur, Oman czy Zjednoczone Emiraty Arabskie. Wydawał się opanowany i zadowolony – bez wątpienia wizyta w Nowym Jorku wiązała się z wieloma przyjemnościami, od wypadu do salonu jubilerskiego Harry'ego Winstona po seksualne atrakcje wielkiej metropolii.

W rzeczywistości, oprócz kamuflażu, obfita broda pełniła jeszcze jedną funkcję: został w niej ukryty mały mikrofon, aktywowany za pomocą przycisku w kieszeni spodni. Na wszelki wypadek identyczny mikrofon miał przy sobie sekretarz generalny – był schowany pod złotą spinką i całkowicie niewidoczny spod podwójnego węzła

krawata.

Do budynku Zgromadzenia Ogólnego prowadziło siedem wyrytych w marmurze wejść. Janson krążył między nimi, wmieszany w tłum, z miną sugerującą, że właśnie zobaczył kogoś znajomego. Sprawdził godzinę. Pięćdziesiąta ósma doroczna sesja Zgromadzenia Ogólnego miała się rozpocząć za pięć minut. Czy Alan Demarest naprawdę się pojawi? Czy w ogóle zamierzał to zrobić?

Nagły błysk fleszy zwiastował pojawienie się człowieka legendy. Ekipy telewizyjne, które sumiennie rejestrowały przybycie wielkich i dobrych, potentatów i pełnomocników, teraz zwróciły kamery, mikrofony i światła na nieuchwytnego zwykle dobroczyńcę. Trudno było wyłowić z tłumu jego postać – otaczała go liczna, zbita w gromadkę świta. I faktycznie, towarzyszył mu sam burmistrz Nowego Jorku: obejmował go ramieniem i szeptał coś zabawnego do ucha. Z drugiej strony szedł senator stanu Nowy Jork, który pełnił również funkcję wiceprzewodniczącego komisji senackiej do spraw stosunków międzynarodowych. Tuż za nimi podążali wyżsi rangą doradcy i luminarze. Agenci tajnych służb, rozstawieni w strategicznych punktach, czujnym wzrokiem wypatrywali snajperów i innych potencjalnych złoczyńców.

Gdy tylko mężczyzna znany światu jako Peter Novak wkroczył do zachodniego skrzydła budynku, jego towarzysze pośpiesznie wprowadzili go do pokoju reprezentacyjnego dla gości specjalnych, za Salą Zgromadzeń. Podeszwy i obcasy setek wytwornych butów stukały o posadzkę – korytarz powoli pustoszał, sala wypełniała się delegatami.

Dla Jansona był to znak, że czas wycofać się na stanowisko ochrony za centralnie zawieszonym balkonem. Na małych, kwadratowych

monitorach, otaczających jeden większy, wyświetlały się różne ujęcia wszystkich części sali. Na prośbę Jansona ukryte kamery umieszczono także w pomieszczeniach za podium. Konsultant do spraw bezpieczeństwa, zatrudniony przez biuro sekretarza generalnego, chciał mieć na oku wszystkich głównych aktorów tego spektaklu.

Wykorzystując panel sterujący, zaczął rozglądać się za stołem, przy którym miała zasiąść delegacja Islamskiej Republiki Mansuru. Wkrótce dostrzegł go na jednym z monitorów.

Przy stole siedział przystojny mężczyzna w powłóczystych szatach, identycznych jak te, które mieli na sobie pozostali islamscy delegaci. Janson nacisnął kilka guzików. Na dużym centralnym monitorze pojawiło się zbliżenie. Paul jeszcze powiększył obraz, eliminując cienie, i patrzył jak urzeczony na twarz wypełniającą teraz cały ekran. Nie było mowy o pomyłce.

Ahmad Tabari. Człowiek, którego nazywano Kalifem.

Poczuł przyływ wściekłości. Te hebanowe rysy, orli nos, silna, wyraźnie zarysowana szczęka – Kalif, nawet siedząc nieruchomo za stołem, emanował charyzmą.

Janson znów wcisnął kilka guzików. Na centralnym ekranie pojawił się obraz z kamery ukrytej w sali dla gości specjalnych.

Inna twarz, inny rodzaj okrutnej charyzmy: charyzmy człowieka, który nie dążył do niczego, bo miał wszystko. Gęste, czarne włosy, prawie bez śladu siwizny, wydatne kości policzkowe, elegancki garnitur: Peter Novak. Tak, ten człowiek stał się Peterem Novakiem i tak musiał myśleć o nim Janson. Siedział u szczytu stołu z jasnego drewna obok telefonu, który miał bezpośrednie połączenie z wysokim, marmurowym podium, a także z kabiną techników. Zamontowany w rogu pokoju monitor pozwalał VIP-om śledzić wydarzenia na sali.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wkroczyło dwóch agentów tajnych służb z małą słuchawkami w uszach. Omietli pokój baczny wzrokiem.

Janson zmienił kąt nachylenia kamery.

Peter Novak wstał. Uśmiechnął się do gościa.

Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Człowiek, który zwykle imponował pewnością siebie, wyglądał teraz jak własny cień. Janson nie słyszał, co mówi, ale było jasne, że tajni agenci mają zostawić ich samych.

Prezydent bez słów wyjął z kieszeni marynarki zapieczętowaną kopertę i wręczył ją Novakowi. Drżały mu ręce.

Przykro było na nich patrzeć. Jeden, przywódca wolnego świata, pokonany, lekko przygarbiony. Drugi – barczysty, triumfujący.

Prezydent skinął głową. Przez chwilę mogło się wydawać, że chce coś powiedzieć, ale po namyśle zmienił zdanie.

Wyszedł.

Kamera numer dwa: Novak wkłada kopertę do kieszeni marynarki. Kopertę, której zawartość mogła zmienić bieg historii.

A była to dopiero pierwsza rata.

•••

Kalif spojrzął na zegarek. Teraz liczył się czas. Wykrywacze metalu uniemożliwiały również członkom delegacji wniesienie do budynku broni palnej. Spodziewał się tego. Dlatego musiał zdobyć broń. Była jej tu w nadmiarze, znajdowała się w rękach strażników, agentów bezpieczeństwa i ochrony. Nie miał szacunku ani dla nich, ani dla ich umiejętności – osobiście pokonał kilku śmiertelnie niebezpiecznych wojowników, a dzięki swojemu męstwu zaskarbił sobie dożgonne

poważanie biednych, niewykształconych zwolenników. Dla nich nie liczyło się biegle opanowanie ideologii i wersetów Koranu. Musieli wiedzieć, że ich przywódca ma nie tylko olbrzymią wiedzę, ale też siłę przebicia, fizyczną odwagę i hart ducha.

Wprawdzie tamtej strasznej nocy w Steenpalais stracił aurę niezwycięzonego, ale wiedział, że ją odzyska, wręcz podwoi, jeśli tylko doprowadzi do końca ten najśmielszy ze wszystkich planów. Tak, dokona tego czynu, a pośród wrzawy, która później nastąpi, uda mu się uciec motorówką zacumowaną na East River niedaleko budynku Zgromadzenia. Świat dowie się, że nie może dłużej lekceważyć ich słusznej sprawy.

Zdobycie porządnego pistoletu przyjdzie mu równie łatwo, jak gdyby miał po prostu zdjąć go z półki w magazynie. Rozwaga wymagała jednak, aby zaczekał z tym do ostatniej chwili, inaczej groziło mu zdemaskowanie. W końcu żeby zabrać komuś broń, będzie musiał go zlikwidować.

Zgodnie z przewidywanym porządkiem obrad, jaki przekazano ambasadorowi Republiki Mansuru, Peter Novak miał wygłosić przemówienie za pięć minut. W tym czasie jeden z członków delegacji będzie musiał udać się do toalety. Kalif popchnął drzwi prowadzące z sali na korytarz i ruszył w stronę kaplicy.

Szedł bardzo szybko, stukając sandałami o posadzkę z lastriko, aż zwrócił na siebie uwagę ostrzyżonego najeża amerykańskiego agenta tajnych służb. Nawet lepiej, niż gdyby trafił na zwykłego pracownika ochrony ONZ – ten z pewnością dysponował potężniejszą bronią.

– Przepraszam pana – zwrócił się do agenta w ciemnym garniturze.
– Jestem szefem ochrony przywódcy Islamskiej Republiki Mansuru.

Agent odwrócił wzrok – bezpieczeństwo zagranicznych głów

państw nie leżało w jego kompetencjach.

– Otrzymaliśmy informację, że ktoś się tu ukrywa. – Kalif skinieniem głowy wskazał kaplicę.

– Poproszę kogoś, żeby to sprawdził – odparł beznamiętnie Amerykanin. – Nie wolno mi opuścić stanowiska.

– Ale to tuż-tuż. Osobiście uważam, że nikogo tam nie ma.

– Jestem skłonny zgodzić się z panem. Parę godzin temu przeczesaliśmy cały budynek centymetr po centymetrze.

– Może jednak pan zerknie? To zajmie pół minuty. Bez wątpienia nikogo tam nie znajdziemy, ale gdybyśmy się mylili, to i pan, i ja będziemy się gęsto tłumaczyć, dlaczego nic nie zrobiliśmy.

Agent westchnął ciężko.

– Chodźmy.

Kalif otworzył niewielkie, drewniane drzwi do kaplicy i przepuścił mężczyznę przodem.

Długa, wąska przestrzeń miała nisko sklepiony sufit; we wnękach na ścianach paliły się kinkiety. W miejscu tradycyjnego ołtarza stała czarna skrzynia z laki przykryta szklaną płytą i oświetlona pojedynczym reflektorem. Najwidoczniej jakiś zachodni projektant wewnątrz właśnie tak wyobrażał sobie świeckie miejsce kultu. Malowidło na ścianie na wprost drzwi przedstawiało zachodzące na siebie półksiężycy, okręgi, kwadraty i trójkąty, co miało zapewne symbolizować amalgamat wyznań. Typowe dla Zachodu było przekonanie, że można mieć wszystko, jak dodatki do hamburgera. Rzecz jasna, ta udawana harmonia zakładała niekwestionowaną dominację zachodniego liberalizmu.

Przy wejściu do kaplicy stało kilka wiklinowych ławek. Posadzkę wyłożono prostokątnymi płytami z kamienia.

– Tu nie ma gdzie się schować – stwierdził agent. – Ani śladu żywej duszy.

Ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi zamknęły się za nimi, tłumiąc hałasy z korytarza.

– Nawet gdyby ktoś tu był, i tak nie ma pan przy sobie broni – zauważył Kalif.

Agent wyszczerzył zęby w uśmiechu, odsłonił klapę granatowej marynarki i oparł dłonie na biodrach. Z kabury pod ramieniem wyzierała lufa rewolweru.

– O, przepraszam – rzekł Kalif. Odwrócił się plecami do Amerykanina, jakby nagle urzekło go malowidło ścienne. Potem zrobił krok do tyłu.

– Niepotrzebnie zawracał mi pan głowę – rzucił agent.

Kalif raptownie odrzucił głowę do tyłu i grzmotnął go w podbródek. Krzepki agent się zatoczył. Kalif wyszarpnął mu z kabury rewolwer Ruger SP101, wyposażony w czterocalową lufę dla zwiększenia celności strzału. Uderzył go rękojeścią w głowę. Wiedział, że zadowolony z siebie niewierny pozostanie nieprzytomny przez dobre kilka godzin.

Schował rewolwer w walizeczce z wytłaczanej skóry i wciągnął zwiotczałe ciało Amerykanina za czarną skrzynię, gdzie było niewidoczne dla przypadkowego gościa.

Teraz wróci do Sali Zgromadzeń. Nadszedł czas, żeby pomścić zniewagi. Rozpocząć nowy rozdział w historii.

Udowodni, że zasłużył na tytuł Kalifa, jaki nadali mu jego zwolennicy. Udowodni, że jest Kalifem.

Nie zawiedzie.

...

W pokoju dla gości specjalnych zamigotało światelko na czarnym, płaskim telefonie. Był to sygnał dla następnego mówcy, że wchodzi na podium za pięć minut – standardowe postępowanie. Za moment miał wystąpić przed zgromadzonymi na sali przywódcami z całej planety.

Novak sięgnął po telefon, chwilę słuchał, rzucił „Dziękuję”.

Janson przyglądał się temu pełen złych przeczuć.

Coś było nie tak.

Błyskawicznie przewinął zapis i raz jeszcze obejrzał dziesięć ostatnich sekund.

Dioda na telefonie. Peter Novak sięga po słuchawkę... Przystawia słuchawkę do ucha...

Coś było nie tak.

Ale co? Podświadomość biła na alarm, a on czuł się zbyt zmęczony, by odczytać, co mu podpowiada.

Znów przewinął nagranie. Ostatnie dziesięć sekund.

Migające światelko telefonu wewnętrznego.

Peter Novak, chwilowo bez asysty strażników. Sięga po słuchawkę... Słucha instrukcji... Za chwilę ma stanąć w świetle reflektorów.

Sięga po słuchawkę prawą ręką.

Przystawia ją do ucha.

Do prawego ucha.

Jansona przeszedł lodowaty dreszcz. Nagle to do niego dotarło, z przeraźliwą wyrazistością. Zalała go fala obrazów z przeszłości – twarzy, głosów. Demarest za biurkiem w bazie Khe Sanh, sięga po słuchawkę telefonu... „Te raporty są do niczego!”. Długo trzyma słuchawkę przy uchu. W końcu znów się odzywa: „Niejedno może się zdarzyć w strefie, w której prowadzono ogień”. Demarest na bagnach

nieopodal Ham Luong. Sięga po radiotelefon, słucha, rzuca parę komend. Sięga po telefon lewą ręką. Przykłada słuchawkę do lewego ucha.

Alan Demarest był leworęczny. Zawsze, niezmiennie. Paul nie miał wątpliwości.

Mężczyzna, którego widział na monitorze... To na pewno nie był Alan Demarest.

Jezu Chryste! Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Demarest wysłał sobowtóra. Dublera. Janson ostrzegał pozostałych, by nie lekceważyli przeciwnika, tymczasem sam go nie docenił.

Genialny podstęp. „Jeśli twój wróg ma dobry pomysł, ukradnij mu go” – powtarzał Demarest na polach śmierci w Wietnamie. Autorzy programu Möbius byli teraz jego wrogami. Odzyskał wolność, eliminując swoje kopie, ale przecież od dawna planował przejąć władzę. Przez ten czas nie tylko gromadził sojuszników i odpowiednie środki. Sam stworzył własną kopię – nad którą to on sprawował kontrolę.

Czemu Janson wcześniej o tym nie pomyślał?

Mężczyzna, który siedział za stołem w pokoju dla gości specjalnych, nie był Peterem Novakiem, jedynie dla niego pracował. Tak, to pasowało do Demaresta: odwrócił sytuację. „Zobacz dwa białe łąbędzie zamiast jednego czarnego. Zobacz kawałek tortu, zamiast tortu, w którym brakuje kawałka. Odróżniaj figurę od tła. Uruchom wyobraźnię”.

Człowiek mający za chwilę przemówić na forum Zgromadzenia Ogólnego był Judaszem, który prowadził ich na rzeź, narzędziem w rękach oprawcy.

Za kilka minut człowiek ten, kopia kopii, podwójny ersatz Novaka,

miał stanąć na marmurowym podium.

I miał zostać zastrzelony.

Co zgubiłoby wszystkich, oprócz Petera Novaka. Alan Demarest szybko zorientowałby się, że jego paranoiczne obawy nie były bezpodstawne, a zaproszenie do udziału w sesji Zgromadzenia Ogólnego okazało się podstępem.

Nell Pearson, Marta Lang, która wcale się tak nie nazywała – obie nie żyły. Tylko człowiek w pokoju dla gości specjalnych mógł doprowadzić ich do Demaresta. Ten człowiek zapewne od pół roku dochodził do siebie po serii skomplikowanych operacji plastycznych. Dobrowolnie lub nie, poświęcił swoją tożsamość na rzecz genialnego maniaka, w którego rękach spoczywały przyszłe losy świata. Gdyby go zabito, Janson już nigdy nie odnalazłby dawnego dowódcy. Jeśli fałszywy Novak wejdzie na mównicę – zginie.

Puścili w ruch maszynę, której nie dało się zatrzymać. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Paul spojrział na monitor. Przy stole delegacji z Republiki Mansuru nie dostrzegł Kalifa.

Gdzie się podział?

Musiał go znaleźć. Tylko tak mógł zapobiec katastrofie. Aktywował mikrofon.

– Musi pan powstrzymać Novaka – powiedział. – Potrzebuję dziesięciu minut.

Sekretarz generalny siedział na marmurowej ławie za mównicą. Uśmiechał się i kiwał głową.

– To niemożliwe – wyszeptał do mikrofonu.

– Proszę! – syknął Janson. – To pan jest sekretarzem generalnym, do cholery! Proszę coś wymyślić!

Szybko zbiegł po schodach na korytarz. Musiał znaleźć fanatyka z Anury. To zabójstwo nie ocaliłoby świata. Mogło jedynie go pogrążyć.

Rozdział 41

Janson pobiegł przed siebie wyłożonym białymi kaflami korytarzem. Skoro Kalif wymknął się z Sali Zgromadzeń, zapewne poszedł po broń, którą wcześniej udało mu się ukryć. Rzęsiście oświetlone południowe skrzydło budynku z wielką przeszkloną ścianą było wyludnione. Ogromna winda także stała pusta. Janson wpadł do pokoju dla delegatów. Na obitej białą skórą sofie siedziały dwie jasnowłose kobiety, pogrążone w rozmowie – najwyraźniej członkinie delegacji skandynawskiej, dla których zabrakło miejsca w Sali Zgromadzeń. Poza nimi – pusto.

Gdzie on może być? Janson gorączkowo rozważał w myślach różne warianty.

Spytaj inaczej: gdzie ty byś był, Janson?

Kaplica. Długa, wąska przestrzeń, prawie nigdy niewykorzystywana, lecz zawsze otwarta. Przylegała bezpośrednio do biura sekretarza generalnego i była jedynym pomieszczeniem w budynku, którego nie monitorowano.

Janson przyspieszył. Buty z gumowymi podeszwami nie stukały o posadzkę, za to oddychał coraz głośniej.

Pchnął ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi do kaplicy i ujrzał przed sobą mężczyznę w białej powłóczystej szacie, który pochylał się nad dużą, czarną skrzynią. Gdy drzwi się zamknęły, odwrócił się raptownie.

Kalif.

Na jego widok Jansona ogarnęła nienawiść tak przemożna, że przez chwilę stał bez tchu. Opanował się jednak i przybrał zaskoczoną minę.

Fanatyk odezwał się pierwszy.

– *Chaif hallak ya akhi.*

Janson przypomniał sobie, że ma obfitą, sztuczną brodę i zawój na głowie. Zmusił się do uśmiechu. Wiedział, że Kalif zwrócił się do niego w języku arabskim – prawdopodobnie było to zwyczajowe powitanie, ale tylko się tego domyślał. Postanowił przemówić do niego z brytyjskim akcentem, typowym dla absolwentów Oxfordu i Cambridge–w końcu potomek arabskiej rodziny królewskiej mógł tam odebrać wykształcenie i przyswoić sobie tamtejsze obyczaje.

– Witaj, drogi bracie. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem. Dokucza mi okropna migrena i chciałem na chwilę połączyć się z Prorokiem.

Kalif powoli ruszył w jego stronę.

– Mimo wszystko szkoda by było opuścić dalszy ciąg obrad, prawda? – Jego głos przypominał syk węża.

– Oczywiście, masz rację, bracie.

Terrorysta szedł ku niemu, świdrując go wzrokiem. Jego widok przyprawiał Jansona o dreszcze. Gdy mężczyzna stanął mniej niż pół metra od niego, Paul przypomniał sobie, że dopuszczalna bliskość fizyczna między nieznanymi jest różna w zależności od danej kultury – Arabowie zwykle stawali bliżej siebie niż ludzie Zachodu. Kalif położył mu dłoń na ramieniu.

Był to gest delikatny, przyjazny, ufny – ze strony człowieka, który zamordował mu żonę.

Janson wzdrygnął się mimo woli.

Zalała go fala wspomnień: wysadzony w powietrze budynek biurowy w centrum Caligo, telefon z wiadomością, że żona zginęła.

Uśmiech zniknął z twarzy Kalifa.

Janson się zdradził.

Zabójca przystawił mu do piersi lufę rewolweru. Podjął decyzję: podejrzany gość nie wyjdzie stąd żywy.

...

Mathieu Zinsou omiół wzrokiem wypełnioną ludźmi salę – niezliczone rzędy przywódców z całego świata, wpływowych kobiet i mężczyzn. Zaczynali się niecierpliwić. Wcześniej obiecał, że postara się maksymalnie skrócić swoje wystąpienie, tymczasem okazało się dziwnie rozwlekłe, zupełnie nie w jego stylu. Ale nie miał wyboru, musiał grać na zwłokę. Zauważył, że ambasador USA przy ONZ wymienia spojrzenia z doradcą ministra: od kiedy znany ze zwięzłego stylu mistrz dyplomacji stał się takim nudziarzem?

Zinsou spojrział na kartki, które rozłożył przed sobą na mównicy: w sumie cztery akapity tekstu. Zdążył go już przeczytać, a nie przygotował nic więcej i nie miał pojęcia, o czym jeszcze mógłby mówić. Tylko ktoś, kto dobrze go znał, zauważyłby, że nieznacznie pobladł.

– Obserwujemy postęp na całym świecie – mówił, zaokrąglając samogłoski. Przekaz był zenująco banalny. – Autentyczny postęp w całej Europie, od Hiszpanii po Turcję, od Rumunii po Niemcy, od Szwajcarii, Francji i Włoch po Węgry, Bułgarię, Słowację, nie wspominając o Czechach, Słowenii i Polsce. Obserwujemy autentyczny postęp także w krajach Ameryki Łacińskiej, od Peru po

Wenezuele, od Ekwadoru po Paragwaj, również w Chile, Gujanie i Gujanie Francuskiej, w Kolumbii i w Urugwaju, w Boliwii, w Argentynie... – Spojrzał bezradnie na rzędy delegatów. Postanowił poszukać inspiracji w tabliczkach z nazwami państw.

– Surinam! – Chwilowa ulga, przelotna jak błysk robaczka świętojańskiego. – Rozwój gospodarczy Surinamu napawa wielkim optymizmem, naprawdę wielkim optymizmem. – Jak długo jeszcze miał ciągnąć tę litanie? Gdzie się podział Janson?

Zinsou odchrząknął. Zaczął się pocić, co rzadko mu się zdarzało.

– Oczywiście, byłoby niedbalstwem z naszej strony, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na postęp, jaki daje się zaobserwować w krajach leżących nad Oceanem Spokojnym...

• • •

Janson wpatrywał się w człowieka, który obrabował go ze szczęścia, człowieka, który ukradł mu jego największy skarb.

Ugiął lekko nogi i rozstawił stopy.

– Obraziłem cię, bracie – powiedział przeproszającym tonem.

Nagle otoczył łokciem prawe ramię Kalifa i oburącz chwycił go za rękę, w której tamten trzymał rewolwer. Jednym szarpnięciem wykręcił mu ramię, po czym kopnął go i obaj upadli na kamienną posadzkę. Kalif lewą ręką walił go po głowie, ale gdyby Janson się zasłonił, tamten zdołałby się wyswobodzić. Nie miał wyjścia, musiał znosić bolesne ciosy. Jediną realną obroną był atak. Wykręcił rękę zabójcy wnętrzem dłoni do góry, jednak tamten obrócił się w taki sposób, że zdołał skierować na Jansona lufę rewolweru.

W ułamku sekundy mógł pociągnąć za spust, oddając śmiertelny strzał.

Paul trzasnął dłonią Kalifa o kamienną podłogę. Pod wpływem uderzenia mężczyzna rozluźnił uchwyt i wypuścił broń z ręki. Janson błyskawicznie chwycił rewolwer i zerwał się na nogi. Kalif się nie podnosił.

Teraz Janson zdobył broń.

Natychmiast aktywował przycisk mikrofonu.

– Niebezpieczeństwo zażegnane – poinformował sekretarza generalnego ONZ, lekko się odwracając.

I wtedy dosięgnął go druzgocący cios zza pleców. Zabójca zwany Kobrą skoczył na nogi, zacisnął przedramię na szyi Jansona i ręką zatkał mu usta. Paul szarpał się gwałtownie i wierzgał. Chciał odepchnąć młodszego, lżejszego napastnika, ten jednak dysponował nadzwyczajną siłą mięśni. W porównaniu z nim Janson czuł się zwalisty i powolny, jak niedźwiedź w starciu z panterą.

Nagle przestał się szarpać i przyłgął do niego jeszcze mocniej. Potem wyrzucił w powietrze obie nogi i plecami opadł ciężko na ziemię. Ciało napastnika, który przewrócił się wraz nim, zamortyzowało upadek.

Janson poczuł na karku ciepły oddech. Kalif musiał boleśnie grzmotnąć o posadzkę.

Zdyszany i obolały, Janson przeturlał się po podłodze. Zamierzał wstać, ale w tej samej chwili Kalif dźwignął się na nogi i naparł na niego z zadziwiającą mocą, zginając palce jak szpony.

Gdyby dzieliła ich większa odległość, Janson zdołałby uskoczyć, ale w tej sytuacji nie miał szans. Nie był dość szybki, dość zręczny.

Niedźwiedź!

Dobrze, wobec tego zachowa się jak niedźwiedź. Wyciągnął ramiona jak do uścisku i z całych sił przyciągnął Kalifa do siebie,

zakleszczając go w swoich objęciach.

Zabójca nie przestawał uderzać go w kark. Janson wiedział, że dłużej tego nie wytrzyma. Zmobilizował wszystkie siły i gwałtownym ruchem podniósł przeciwnika. Kalif zaczął rzucać się w powietrzu niczym wielki węgorz. Janson przykucnął, oparł lewe kolano o podłogę, a prawe trzymał w górze. Następnie upuścił ciało Kalifa.

Chrupnęły złamane kości kręgosłupa. Terrorysta wykrzywił usta, jakby chciał ryknąć z bólu, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Janson złapał go za ramiona i uderzył nim o kamienną posadzkę. I jeszcze raz. I jeszcze. Roztrzaskana potylicą już nawet nie stukała o kamień.

Martwe oczy wojownika patrzyły na niego szklanym wzrokiem. Ponoć były zwierciadłem duszy. Ale ten człowiek nie miał duszy.

Janson schował rewolwer do kabury. Wyjął z kieszeni małe lusterko, poprawił brodę, keffję, i upewnił się, że nie ma na ubraniu śladów krwi. Przeszedł z kaplicy do Sali Zgromadzeń i stanął z tyłu pod ścianą.

Przez tyle lat wyobrażał sobie, jak zabija człowieka, który zamordował mu żonę. Wreszcie to zrobił.

I nie czuł nic prócz mdłości.

...

Czarnowłosa mężczyzna na podium wygłaszał przemówienie na temat wyzwań nowego stulecia. Janson przyglądał się uważnie konturom jego twarzy. Wyglądał jak Peter Novak. Wszyscy widzieli w nim Petera Novaka. A jednak brakowało mu opanowania, z którego słynął legendarny dobroczyńca ludzkości. Przemawiał cienkim, drżącym głosem. Wydawał się zdenerwowany, zagubiony. Janson

wyobrażał sobie zgodne komentarze po jego wystąpieniu: „Świetne przemówienie, jak zwykle. Chociaż pan Novak, biedactwo, chyba nie czuł się dziś najlepiej”.

– Pół wieku temu – mówił mężczyzna na podium – tę ziemię, teren, na którym stanął cały kompleks Narodów Zjednoczonych, podarowała organizacji rodzina Rockefellerów. Prywatna pomoc dla wybitnie publicznej misji ONZ napływała od początku istnienia tej instytucji. Jeśli mogę ze swej strony zaofiarować taką pomoc, będę głęboko uradowany. Często mówi się o długu wdzięczności wobec społeczeństwa. Moja społeczność zawsze tworzyła wspólnotę narodów. Pomóżcie mi wam pomóc. Pokażcie mi, jak mogę pomóc. Będzie to dla mnie przyjemność, zaszczyt i – tak, obowiązek. Świat okazał się dla mnie łaskawy. Mam wielką nadzieję, że potrafię mu się odwdziaczyć.

W kwestii doboru słów to był Novak w najlepszym wydaniu, na przemian czarujący i surowy, skromny i arogancki, ogólnie ujmujący. Ale w sposobie mówienia dziwnie niepewny, pełen wahania.

Tylko Janson wiedział dlaczego.

Mistrz ucieczki znów im się wymknął. Jak Janson mógł sobie wyobrazić, że pokona wielkiego mentora? „Masz za krótkie ręce, żeby boksować się z Bogiem”, powiedział mu kiedyś Demarest. Przykre, ale było w tym wiele prawdy. Uczeń stanął do walki z mistrzem, wysilając cały swój spryt, żeby go przechytrzyć. Zaślepiła go próżność.

Gdy mężczyzna na podium skończył przemawiać, publiczność wstała, aby nagrodzić go owacją. Być może nie wygłosił mowy w wielkim stylu, jednakże przesłanie, jak zwykle, trafiło do wszystkich. Zresztą przy takiej okazji nikt nie odmówiłby temu

wielkiemu człowiekowi należnych mu honorów. Janson opuścił salę z kamienną twarzą. Aplauz ucichł dopiero, gdy zamknął za sobą drzwi.

Jeśli Demaresta nie było w gmachu Zgromadzenia, to gdzie się ukrywał?

Zarządzono dwudziestominutową przerwę. Sekretarz generalny zszedł z podium w towarzystwie oklaskiwanego gościa. Razem udali się do jego gabinetu.

Paul poprawił mikrofon, który obluzował się w trakcie walki z Kalifem. Pośród trzasków usłyszał strzępy rozmowy. Najwyraźniej Zinsou też włączył mikrofon, ukryty pod złotą spinką.

– Nie, to ja dziękuję. Chciałbym jednak, abyśmy porozmawiali w cztery oczy, tak jak wcześniej sugerowałeś.

Głos był zniekształcony, lecz dobrze słyszalny.

– Oczywiście – odparł Zinsou. Jego głos brzmiał wyraźniej.

– Wobec tego może przejdziemy do budynku Sekretariatu?

– Teraz?

– Mam mało czasu.

Zinsou milczał przez chwilę.

– Chodźmy – rzekł wreszcie. – Trzydzieste ósme piętro.

Janson zastanawiał się, czy ta informacja była przeznaczona dla niego.

O co tu chodziło?

Pobiegł do wschodniej części budynku i wypadł przez drzwi na podjazd, a stamtąd popędził dalej do gmachu Sekretariatu. Prawe kolano dawało mu się we znaki, a sińce na ciele dopiero nabrzmiwały – Kalif zadawał ciosy mocne i celne. Teraz jednak nie mógł o tym myśleć.

W recepcji machnął przygotowanym wcześniej identyfikatorem i strażnik od razu go wpuścił. Wcisnął guzik, chcąc wjechać na trzydzieste ósme piętro. Mathieu Zinsou i agent Alana Demaresta – kimkolwiek był – mieli zaraz zjawić się na górze.

W windzie łączność się urwała – metalowa obudowa blokowała sygnał.

Chwilę później winda zatrzymała się na trzydziestym ósmym piętrze. Janson zapamiętał układ pomieszczeń: windy w centralnej części długiego, prostokątnego korytarza. W zachodnim skrzydle biura podsekretarzy i mniejszych rangą urzędników. Na północnej ścianie dwie duże, pozbawione okien sale konferencyjne. Naprzeciwko wąska biblioteka, też bez okien. Wyłożony drewnem tekowym gabinet sekretarza generalnego, usytuowany przy wschodniej ścianie budynku. Ze względu na sesję Zgromadzenia wokół było pusto – wszyscy pracownicy zajmowali się obsługą zagranicznych delegacji.

Janson zdjął z głowy turban i odczepił brodę. Ukryty w korytarzu prowadzącym do biblioteki czekał, aż otworzą się drzwi windy.

Wiedział, że nie potrwa to długo.

•••

Zabrzęczał dzwonek windy.

– To nasze piętro – oznajmił Mathieu Zinsou. Teatralnym gestem przepuścił przed sobą mężczyznę, którego świat uznawał za Petera Novaka.

Czyżby Janson miał rację? – zastanawiał się Zinsou. Czy może w obliczu ogromnej odpowiedzialności, jakiej nie powinien dźwigać na barkach żaden człowiek, w końcu popadł w paranoję?

– Musisz mi wybaczyć, wszyscy moi współpracownicy są teraz w Sali Zgromadzeń – powiedział. – Albo w ogóle gdzieś indziej. Doroczna sesja Zgromadzenia to dla niektórych pracowników dzień wolny od pracy.

– Tak, wiem o tym – odparł bezbarwnym głosem jego gość.

Zinsou otworzył drzwi do gabinetu i stanął jak wryty. Za biurkiem siedział mężczyzna, jego sylwetka rysowała się niewyraźnie w półmroku.

Co tu się działo, do diabła?

Odwrócił się do towarzysza.

– Nic nie rozumiem. Wygląda na to, że mamy niespodziewanego gościa.

Mężczyzna wstał z za biurka i podszedł do niego. Zinsou rozdziawił usta ze zdumienia.

Gęsta, czarna czupryna, tylko nieznacznie przyprószona siwizną, wydatne kości policzkowe, nieco azjatyckie rysy. To była twarz Petera Novaka.

Zinsou spojrzał na stojącego obok niego człowieka.

Ta sama twarz. Zasadniczo nie do odróżnienia.

Ale nie, jednak nie taka sama. I nie chodziło o różnice fizyczne, raczej o wyraz, minę. Człowiek u jego boku był ostrożny, niepewny. Ten na wprost – władczy i nieustępliwy. Marionetka i lalkarz. Zakreśliło mu się w głowie. Janson miał rację.

Mężczyzna, który stał obok niego, wręczył kopertę sobowtórowi.

– Dziękuję ci, Laszlo. Możesz już odejść.

Laszlo odwrócił się i wyszedł bez słowa.

– *Mon cher* Mathieu – rzekł ten, który został. Wyciągnął dłoń na powitanie. – *Mon tres cher frère*.

Rozdział 42

Janson wyraźnie usłyszał w słuchawce głos Zinsou:

– Dobry Boże.

Jednocześnie zobaczył, jak Peter Novak, który nie był Peterem Novakiem, wciska przycisk windy.

Opuszczał budynek.

Głos innego mężczyzny w słuchawce:

– Przepraszam za to zamieszanie.

Janson pobiegł do windy i wpadł do środka. Mężczyzna, który nie był Peterem Novakiem, spojrzał na niego zaskoczony, ale najwyraźniej go nie rozpoznawał.

– Kim naprawdę jesteś? – spytał Janson.

Mężczyzna w garniturze posłał mu lodowate, pełne godności spojrzenie.

– Czy my się znamy?

...

– Po prostu nie rozumiem – powiedział sekretarz generalny. Jego tajemniczy gość emanował pewnością siebie i opanowaniem.

– Wybacz, musiałem przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności. Domyślasz się zapewne, że to był mój sobowtór.

– Przysłałeś sobowtóra?!

– Pamiętasz, jaką rolę odgrywał „fałszywy Stalin”? Sowiecki

dyktator wysyłał sobowtóra, który pojawiał się publicznie zamiast niego. Dlatego trzymał w ryzach swoich wrogów. Niestety, doszły mnie plotki o planowanym zamachu w budynku Zgromadzenia. Mój sztab odpowiedzialny za bezpieczeństwo otrzymał wiarygodne raporty. Nie mogłem ryzykować.

– Rozumiem – mruknął Zinsou. – Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że premierzy Rosji, Chin i wielu innych krajów również mają wrogów, a mimo to występują przed Zgromadzeniem. Sam prezydent Stanów Zjednoczonych zaszczyił nas dzisiaj swoją obecnością. To instytucja absolutnie bezpieczna, przynajmniej na tym małym skrawku lądu nad East River.

– Doceniam to, *mon cher*. Ja jednak naprawdę mam groźnych przeciwników. Przywódcy, których wymieniłeś, mogą przynajmniej zakładać, że nie spiskuje przeciw nim sam sekretarz generalny. Nie umknęło mojej uwadze, że jako jeden z pierwszych piastował to stanowisko człowiek o nazwisku Lie.

Zinsou zmroziło.

– Przykro mi, że tak myślisz – powiedział po chwili nieznośnego milczenia.

Peter Novak poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się przymilnie.

– Źle mnie zrozumiałeś. Teraz już tak nie myślę. Ale musiałem mieć pewność.

Na czoło sekretarza wystąpiły kropelki potu. Tego się nie spodziewał. Nie taki był plan.

– Może napijemy się kawy? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

– A ja chętnie – stwierdził Zinsou, sięgając po telefon.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił.

– Cóż, dobrze. – Sekretarz generalny nie spuszczał z niego wzroku.
– Wobec tego może herbaty? Zadzwońię do Helgi i poproszę...

– Wolałbym, żebyś nigdzie nie dzwonił. Nie musisz zmieniać planów ani niczego konsultować. Możesz uznać mnie za paranoika, ale naprawdę nie mamy dużo czasu. Za kilka minut odlatuję helikopterem z lądowiska na dachu. Wszystko zostało ustalone.

– Rozumiem – przytaknął Zinsou, który nic nie rozumiał.

– A zatem do rzeczy – ciągnął elegancki mężczyzna o lśniących włosach. – Oto instrukcje, jak się ze mną skontaktować. – Wręczył Zinsou białą kartkę. – Gdy wykręcisz ten numer, oddzwonię w ciągu godziny. W miarę rozwoju wypadków będziemy musieli stale się kontaktować. Kazałem zasilić twoje konto w banku szwajcarskim. To taka zaliczka na poczet pakietu świadczeń, który ustalimy w późniejszym terminie. Poza tym, dopóki nasza współpraca będzie opierać się na solidnych podstawach, kazałem, żebyś otrzymywał comiesięczną zapłatę.

Zinsou przełknął ślinę.

– Pomyślałeś o wszystkim.

– Chciałem po prostu cię uspokoić. Teraz musisz się skupić na kwestiach zasadniczych. Nie możesz popełnić błędu w ocenie sytuacji.

– Rozumiem.

– To ważne, żebyś rozumiał. W swoich przemówieniach nieraz podkreślałeś, że cywilizację od barbarzyństwa dzieli cienka granica. Lepiej nie podważajmy prawdziwości tego twierdzenia.

• • •

Janson trzymał stopę w drzwiach windy, fotokomórka blokowała ich zamknięcie.

– Oddaj mi kopertę – rozkazał.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł mężczyzna z węgierskim akcentem. Same słowa mogły brzmieć buńczucznie, ale w tonie jego głosu wyczuwało się lęk.

Janson rozprostował palce prawej ręki i dźgnął mężczyznę w gardło niczym włócznią. Fałszywy Novak upadł na podłogę w ataku kaszlu, a Janson wywlókł go z windy na korytarz.

Sobowtór zamachnął się na niego, ale cios był niemrawy i źle wymierzony. Janson zrobił unik i uderzył go w skroń ręką rewolweru. Sobowtór runął na twarz nieprzytomny. Szybka rewizja potwierdziła, że nie miał przy sobie koperty.

Janson zakradł się pod gabinet. Słyszał teraz Zinsou zarówno w słuchawce, jak i przez drzwi.

– To trochę nieoczekiwane – zabrzmiał wyraźnie głos sekretarza.

Paul przekręcił gałkę, otworzył drzwi i wpadł do środka z rewolwerem w prawej dłoni. Demarest zareagował na to wtargnięcie natychmiast: zwinnie dał susa za plecy Zinsou. Nie sposób było do niego strzelić, nie raniąc jednocześnie sekretarza.

Mimo wszystko Janson strzelił, pozornie na oślep: trzy pociski przeleciały ponad głowami Zinsou i jego gościa, trafiając w okno. Szyba roztrzaskała się na drobne kawałki.

Zapadła cisza.

– Alan Demarest – powiedział Janson. – Świetna fryzura.

– Kiepski strzał, Paul. Zawstydzasz swojego mistrza. – Głos Demaresta, zarazem głęboki i uszczypliwy, rozbrzmiał echem w gabinecie, tak jak rozbrzmiewał przez lata we wspomnieniach Jansona.

Chłodny powiew wiatru poruszył żółtymi kartkami notesu na

biurku. Dziwnie było znaleźć się na trzydziestym ósmym piętrze w pokoju bez okna, gdzie od placu w dole dzieliła ich jedynie niska, aluminiowa kratka. Odgłosy ulicy mieszały się z krzykiem mew, które szybowały, zataczając kręgi, na wysokości wzroku. Na niebie zbierały się ciemne chmury, zwiastując rychły deszcz.

Alan Demarest wyglądał zza pleców dyplomaty, który za wszelką cenę starał się zachować spokój, chociaż i tak radził sobie lepiej niż większość ludzi w podobnej sytuacji. Janson dostrzegł w rękach Demaresta pistolet Smith & Wesson kalibru.45.

– Pozwól sekretarzowi odejść – powiedział Janson.

– Zawsze wolałem eliminować pionki – odparł Demarest.

– Ty masz broń, ja mam broń. On nie musi tu być.

– Rozczarowujesz mnie. Sądziłem, że okażesz się godniejszym przeciwnikiem.

– Zinsou! Wyjdź. Już. Spadaj! – Rozkazy Jansona brzmiały krótko.

Sekretarz generalny przyglądał mu się przez chwilę, po czym usunął się spomiędzy dwóch śmiertelnych wrogów. Janson odezwał się do Demaresta:

– Spróbuj go zastrzelić, a ja zastrzelę ciebie. Zwyczajnie skorzystam z okazji. Wierzysz mi?

– Tak, Paul, wierzę ci.

Janson czekał w pozycji strzeleckiej, aż za Zinsou zamkną się drzwi.

W pozornie twardym spojrzeniu Demaresta czaiło się rozbawienie.

– Ktoś kiedyś spytał trenera futbolu Woody’ego Hayesa, dlaczego jego zawodnicy tak rzadko podają do przodu. Odpowiedział: „Kiedy piłka jest w powietrzu, mogą się zdarzyć tylko trzy rzeczy, z czego dwie niekorzystne”.

Nie wiedzieć czemu, Janson przypomniał sobie nagle Phan Nguyena i jego obsesję na punkcie amerykańskiego futbolu.

– Wysłałeś mnie do piekła – rzekł. – Czas, żebym ci się odpłacił.

– Skąd w tobie tyle złości, Paul? Skąd tyle nienawiści w twoim sercu?

– Sam wiesz najlepiej.

– Kiedyś było inaczej. Kiedyś łączyło nas coś szczególnego. Możesz zaprzeczyć, jeśli chcesz. Ale wiesz, że to prawda.

– Już nie wiem, co jest prawdą. Tobie to zawdzięczam.

– Zawdzięczasz mi niejedno. To ja cię ukształtowałem. Beze mnie nie byłbyś tym, kim jesteś. Nie zapomniałeś, prawda? Nigdy nie miałem przed tobą tajemnic. Byłeś moim najcenniejszym nabytkiem. Bystry, dzielny, przedsiębiorczy. I tak szybko się uczyłeś. Stworzono cię do rzeczy wielkich. Tymczasem... – Pokręcił głową. – Uczyniłbym cię wielkim, gdybyś mi na to pozwolił. Rozumiałem cię jak nikt inny.

Wiedziałem, na co cię stać. Może właśnie to cię wystraszyło. Może dlatego mnie odtrąciłeś. Odtrącając w ten sposób samego siebie, takiego, jakim jesteś naprawdę.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytał Janson, mimo woli urzeczony.

– Obaj jesteśmy inni niż większość ludzi. Znamy prawdę, która dla wielu jest nie do przyjęcia. Scytowie mieli rację: prawa są jak pajęczyna: dostatecznie mocne, żeby schwytać słabych, lecz zbyt słabe dla silnych.

– Gówno prawda.

– My dwaj jesteśmy silni. Silniejsi od innych. Razem bylibyśmy potężni. Chcę, żebyś pogodził się z prawdą, która ciebie dotyczy. Dlatego włączyłem cię do gry. Dlatego ściągnąłem cię na Anurę, żebyś poprowadził dla mnie tę ostatnią akcję. Rozejrzyj się wokół, Paul.

Pomyśl o świecie, w którym żyjesz. Wszystko to mierzi nas w równym stopniu, ciebie i mnie: miernoty, zadowoleni z siebie biurokraci, niemrawi urzędnicy nigdy nieprzepuszczający okazji, żeby przepuścić okazję. Miernoty, którym pozwoliliśmy rządzić światem. Naprawdę wątpisz, czy poradziłbyś sobie lepiej niż oni? Nie podjąłbyś lepszych decyzji? Kochasz swój kraj? Ja też go kochałem. Musiałeś zobaczyć to, co ja zobaczyłem. Pomyśl tylko. Poświęciłeś szmat życia dla rządu, który potrzebował pięciu sekund, żeby wydać na ciebie wyrok śmierci. Musiałem ci to pokazać. Musiałem ci pokazać prawdziwą twarz twoich mocodawców, twarz rządu, dla którego nieraz ryzykowałeś życie. Musiałem ci pokazać, że nie zawahają się ciebie zabić. I udało mi się. Kiedyś zwróciłeś rząd Stanów Zjednoczonych przeciwko mnie. Zrobiłem to samo, żebyś wreszcie przejrzał na oczy.

Janson słuchał z odrazą tej pokrętej przemowy, ale brakło mu słów, żeby coś powiedzieć.

– Przepelnia cię nienawiść. Rozumiem to. Bóg opuścił jedyne Syna w ogrodzie Getsemani. Ja też cię zawiodłem. Na próżno wołałeś o pomoc. Przez większość czasu żyjemy we własnych, osobnych światach, skupieni na własnej historii. Lecz kiedy mnie potrzebowałeś, zawiodłem cię. Wpadłeś we wściekłość. Popełniłem błąd: tak szybko robiłeś postępy, że chciałem nauczyć cię czegoś, na co nie byłeś gotowy. Ale w końcu zrezygnowałem. Z pewnością sądziłeś, że zasługuję na los, jaki mi zgotowałeś.

– A dokładnie?

– Zdradziłeś mnie. – Demarest zmrużył oczy. – Myślałeś, że możesz mnie zniszczyć? Ale oni mnie potrzebowali. Zawsze potrzebują ludzi takich jak ja. I takich jak ty. Zrobiłem, co było trzeba. Jak zwykle. Niektórzy uważają, że tacy jak ja przynoszą wstyd i trzeba się ich

pozbyć. Ciebie też zawstydziałem, ponieważ widziałeś we mnie samego siebie. Nie mogło być inaczej. To ja nauczyłem cię wszystkiego, co umiesz. Dziesiątki razy uniknąłeś śmierci, bo dzięki mnie posiadałeś nadzwyczajne umiejętności. Jak śmiałeś mnie osądzać?! – Demarest dotąd wypowiadał słowa z dziwnym spokojem, ale ostatnie pytanie ujawniło jego gniew.

– Sam pozbawiłeś się wszelkich praw, przekraczając dopuszczalne granice – powiedział Janson. – Widziałem, co robiłeś. Zobaczyłem, kim jesteś naprawdę. Potworem.

– Och, proszę cię. Pokazałem ci po prostu, kim ty jesteś. To ci się nie spodobało.

– Nieprawda.

– Byliśmy tacy sami. Nie potrafiłeś tego zaakceptować.

– Nie byliśmy tacy sami.

– Ależ tak. Pod wieloma względami wciąż jesteśmy. Nie myśl, że w późniejszych latach nie miałem cię na oku. Nazywali cię Maszyną. Maszyną do zabijania. Tym właśnie jesteś, Paul. Pogódź się z tym. Odważyłeś się mnie osądzić? Och, Paul, naprawdę nie rozumiesz, dlaczego postanowiłeś mnie zniszczyć? Chciałeś przekonać sam siebie, że ja jestem potworem, a ty świętym. Co za ulga.

– Jesteś osobą głęboko niezrównoważoną.

– Nie oszukuj się, Paul. Mówimy o tobie. Byłeś taki sam.

– Nie! – Janson poczerwieniał ze złości, przepełniony odrazą. Prawda, nieraz uciekał się do przemocy i słynął ze swojej skuteczności. Ale nigdy nie chodziło o przemoc samą w sobie, tylko taką, która miała zapobiec dalszej przemocy.

– Powiedziałem ci kiedyś: wiemy więcej, niż wiemy. Zapomniałeś, co robiłeś w Wietnamie? W magiczny sposób wyparłeś te

wspomnienia?

– Nie dam się zwieść psychologicznym sztuczkom – warknął Janson.

– Czytałem twoje zeznania, złożone pod przysięgą – ciągnął Demarest beztrąsko. – Zapomniałeś wspomnieć o swoich wyczynach.

– A więc to ty rzucasz na mnie te oszczerstwa. Rozpowiadasz historie wyssane z palca.

Demarest nie spuszczał z niego wzroku.

– Twoje ofiary nadal tam mieszkają. Są kalekami, ale wciąż żyją. Wyślij agenta, niech z nimi porozmawia. Pamiętają cię. Wspominają z trwogą.

– To kłamstwo! Kłamiesz!

– Czyżby? – Pytanie Demaresta przeniknęło go jak prąd elektryczny. – Nie pamiętasz. Nic nie pamiętasz. Ale jakaś część ciebie dotąd nie potrafi stamtąd wrócić. Dręczą cię wspomnienia, prawda? Nawracające koszmary.

Janson pokiwał głową mimo woli.

– Tyle lat minęło, a ty nadal krzyczysz przez sen. Co to za myśli nie dają ci spokoju?

– Nie twoja sprawa.

– Poczucie winy? Wejrzyj w siebie, Paul. W końcu musisz się z tym zmierzyć.

– Zamknij się, sukinsynu.

– Czego nie chcesz pamiętać, Paul?

– Przestań! – krzyknął Janson drżącym głosem. – Nie będę dłużej tego słuchał!

Demarest cicho powtórzył pytanie:

– Czego nie chcesz pamiętać?

•••

Wróciły wspomnienia. Obrazy jak w stopklatce, jeden po drugim. W surrealistyczny sposób nakładały się na twarz mężczyzny, którego widział przed sobą.

Wlókł się noga za nogą. Powoli. Nożem rozcinał zarośla. Starał się omijać wioski i osady zamieszkane przez sympatyków Wietkongu.

Pewnego ranka, gdy przedarł się przez wyjątkowo gęstą część dżungli, natrafił na kawał spalonej ziemi.

Węch podpowiedział mu, co się tam wydarzyło. W powietrzu unosiły się znajome zapachy sosu rybnego, węgla drzewnego, ekskrementów ludzkich i bydlęcych, ale przede wszystkim opary napalmu.

Powietrze dosłownie nimi nasiąknęło. Wszędzie popioły, sadza, żar po bardzo gwałtownym pożarze. Poczerniałymi od węgla stopami mozolnie brnął przez pogorzelsko. Wyglądało to tak, jakby Bóg spojrział przez wielkie szkło powiększające i pozwolił, by skupione w soczewce promienie słońca obróciły to miejsce w popiół. Gdy Janson przywykł do smrodu napalmu, uderzył go w nozdrza charakterystyczny odór zwęglonych ludzkich ciał. Ostygnięte, stałyby się pokarmem dla ptaków, robactwa, owadów. Ale dotąd nie ostygły.

Wcześniej była tu zapewne wioska, co najmniej tuzin chat na palach pośrodku leśnej polany. A tuż poza jej granicami dostrzegł cudownie ocalałą wiatę, ocienioną liśćmi palmy kokosowej. I posiłek, przygotowany niedawno, nie dalej jak pół godziny temu: ryż, krewetki, makaron sojowy. Banany – obrane ze skórki, przesmażone na ogniu, oprószone curry. Owoce liczi i durianu. To nie był zwykły posiłek. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że szykowano tu przyjęcie weselne.

Kilka metrów dalej leżały zwęglone ciała nowożeńców i ich rodzin. Przypadkiem jedzenie ocalało. Odłożył karabin i chciwie pochłonał posiłek, zgarniając rękami ryż i krewetki. Popił letnią wodą z wiadra, w którym miał się moczyć kolejny worek ryżu.

W miarę jak jadł, robiło mu się niedobrze, mimo to jadł coraz więcej. W końcu, nasycony, położył się na ziemi. Jakie to dziwne: został z niego szkielet, a czuł się teraz taki ciężki.

Kiedy odzyskał siły, znów ruszył w niezamieszkaną dżunglę. Krok za krokiem. Powoli.

Tylko w ten sposób mógł przeżyć: stąpając krok za krokiem. Mechaniczne ruchy, żadnych refleksji.

I nagle poczuł zapach morza. Morze!

Za kolejnym wzgórzem było morze. Wolność. Okręty Marynarki Wojennej USA patrolowały ten fragment wybrzeża. Musiały być niedaleko stąd. Jeśli dotrze do brzegu, będzie wolny, powitają go bracia z marynarki, zabiorą do domu, gdzie wyleczy rany.

Wolność!

Tak myślę, Phan Nguyen, tak myślę.

Czyżby miał halucynacje? Od dłuższego czasu – zbyt długiego – nie znalazł wody pitnej. Widział nieostro, co było klasycznym objawem niedoboru niacyny. Niedożywienie również mogło powodować zaburzenia świadomości. Odetchnął głęboko, wciągając w płuca słone, morskie powietrze. Poczuł zapach wodorostów i nagrzanego słońcem piasku. Wolność czekała tuż za wzgórzem.

Nie spotkamy się więcej, Phan Nguyen.

Mozolnie wspinał się na łagodny pagórek. Roślinność przerzedzała się stopniowo. Nagle stanął jak wryty.

Przed oczami mignęła mu jakaś sylwetka. Zwierzę? Agresor? Nie

widział dość wyraźnie, zawodziły go wszystkie zmysły – akurat teraz, kiedy najbardziej ich potrzebował. Kiedy był już tak blisko.

Wychudłymi palcami odszukał spust kałasznikowa. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł teraz zginąć z ręki wroga. Teraz, gdy perspektywa powrotu do domu zdawała się tak realna. Ta myśl była nie do zniesienia.

Znów dojrzał jakiś ruch. Wystrzelił krótką serię. Trzy pociski. Zaskoczył go głośny terkot i potężny odrzut broni. Podbiegł do przodu, żeby zobaczyć, w co trafił.

Nic. Niczego nie znalazł. Oparł się o sękaty pień mangostanu i wyciągnął szyję. Nic. Potem spojrzął w dół i dotarło do niego, co zrobił.

Chłopiec z nagim torsem. Proste, brązowe spodenki, stopy w sandałkach. W ręku ścisnął butelkę coca-coli, spieniony płyn wsiąkał w ziemię.

Miał może siedem lat. Jaką zbrodnię popełnił? Bawił się w chowanego? Gonił za motylem?

Chłopiec leżał na ziemi. Śliczny chłopiec, najśliczniejszy, jakiego Janson kiedykolwiek widział. Wydawał się dziwnie spokojny, ale na piersi miał trzy rany, z których spływała krew.

Podniósł wzrok. Spojrzął na wychudłego Amerykanina nieruchomymi, ciemnymi oczami.

I uśmiechnął się.

Uśmiechnął się...

Teraz ten i inne obrazy stanęły Jansonowi przed oczami pierwszy raz, ponieważ robił wszystko, żeby wyrzucić je z pamięci – przez tyle lat, począwszy od tamtego dnia. Nie pamiętał, ale one domagały się pamięci, wracały, ciążyły, dręczyły go i paraliżowały. Pomyślał

o chłopcu na schodach do lochu w Kamiennym Pałacu. Wtedy nie pociągnął za spust i nadal mógł nie pamiętać.

Ale teraz sobie przypomniał.

Przypomniał sobie, jak opadł na ziemię i tulił dziecko w ramionach – ono umierające, on prawie umarły, ofiara i prześladowca.

„Cóż bowiem ma wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością?”.

Janson zrobił coś, czego nie robił nigdy wcześniej. Zapłakał.

Tylko jak przez mgłę pamiętał, co nastąpiło potem. Zjawili się rodzice chłopca, zaniepokojeni odgłosem wystrzałów. Widział ich zbolące twarze, smutek tak przemożny, że nawet nie było w nim miejsca na gniew. Odebrali mu chłopca. Mężczyzna i kobieta, mężczyzna lamentował, szlochał bez końca... A matka tylko kręciła głową, gwałtownie kręciła głową, jakby chciała z niej wyrzucić prawdę. Trzymając w ramionach martwe dziecko, odwróciła się do chudego żołnierza, jakby chciała wypowiedzieć jakieś słowa, które odmieniłyby rzeczywistość.

Ale powiedziała tylko:

– Wy, Amerykanie.

...

Obrazy z przeszłości się rozmyły i Janson zobaczył przed sobą surową twarz Demaresta.

– Przeszłość to inny kraj – mówił. – Kraj, którego nigdy nie opuściłeś na dobre.

Tak było.

– Nigdy nie przestałeś o mnie myśleć, prawda?

– Prawda – przyznał Janson drżącym szeptem.

– A wiesz czemu? Bo łączyła nas autentyczna, silna więź. Jak mówi William Blake, „Przeciwstawność to przyjaźń prawdziwa”. Och, Paul, tyle razem przeszliśmy. Ciężko ci to? Bo mnie tak.

Janson nie odpowiedział.

– Pewnego dnia rząd Stanów Zjednoczonych wręczył mi klucze do królestwa, pozwolił stworzyć imperium, jakiego świat dotąd nie widział. Oczywiście, zapragnąłem uczynić je swoim własnym. Ale bez względu na to, jak pełne są wasze szkatuły, niełatwo się z wami rozliczyć. Musiałem pokazać ci prawdę o nas obu. Stworzyłem cię, Paul. Ulepiłem cię z gliny, tak jak Bóg ulepił człowieka.

– Nie. – Zabrzmiało to jak rzeźnienie z głębi trzewi.

– Czas, żebyś uznał tę prawdę – powiedział łagodnie Demarest. – Zawsze coś nas łączyło. Coś bardzo podobnego do miłości.

Janson przyglądał mu się uważnie, w myślach nakładając rysy Demaresta na słynną twarz legendarnego filantropa. Potrafił dostrzec pewne podobieństwo, mimo ingerencji skalpela.

Wzdrygnął się.

– Znacznie bardziej podobnego do nienawiści – rzekł w końcu.

Demarest przeszywał go wzrokiem.

– Stworzyłem cię i nic tego nie zmieni. Pogódź się z tym. Zaakceptuj siebie takiego, jakim jesteś. Wtedy wszystko się zmieni. Skończą się koszmary, Paul. Życie stanie się prostsze. Weź przykład ze mnie. Zawsze przesypiam noce. Wyobraź sobie, Paul, to byłoby coś, prawda?

Janson wziął głęboki oddech i poczuł, że odzyskuje spokój.

– Nie chcę.

– Co? Nie chcesz pozbyć się koszmarów? Okłamujesz siebie, poruczniku!

– Nie jestem twoim porucznikiem. Za nic nie przehandluję swoich koszmarów.

– Nigdy nie wyleczyłeś ran, bo nigdy sobie na to nie pozwoliłeś.

– Nazywasz to wyleczeniem? Śpisz dobrze, bo coś wewnątrz ciebie – nazwij to duszą, nazwij to jak chcesz – umarło. Może jakieś wydarzenie zabiło to w tobie, może nigdy tego nie miałeś. A to coś zapewnia nam człowieczeństwo.

– Człowieczeństwo? Chyba słabość. Ludzie zawsze mylą te dwa pojęcia.

– Moje koszmary to ja – ciągnął Janson wyraźnym, opanowanym głosem. – Muszę żyć z tym, co zrobiłem. Nikt nie twierdzi, że mam to polubić. Postępowałem dobrze i źle. A jeśli kiedyś postąpiłem źle, to nie chcę się z tym godzić. Mówisz, że mogę się pozbyć koszmarów. Ale dzięki nim wiem, kim jestem, a kim nie. Wiem, że nie jestem tobą.

Nagle Demarest rzucił się do przodu i wytrącił mu z ręki broń. Rewolwer stuknął o marmurową posadzkę.

Demarest wymierzył do Jansona z pistoletu. Wyglądał niemal żałośnie.

– Próbowałem cię przekonać. Dotrzeć do ciebie. Starłem się. Pokazałem ci prawdę. Chciałem jedynie, żebyś ją uznał.

Prawdę o nas obu.

– Prawdę? Jesteś potworem. Powinieneś być zginąć w Mesa Grande. Żałuję, że tak się nie stało.

– Niewiarygodne, jak dużo i jak mało wiesz. Jaki jesteś potężny i jaki bezsilny. – Pokręcił głową. – Zabijasz cudze dziecko, a nie potrafisz ochronić własnego...

– O czym ty mówisz, do cholery?

– O zamachu na ambasadę w Caligo. Wstrząsnął całym twoim światem, prawda? Tak myślałem. To ja go zorganizowałem pięć lat temu. Wybacz, jakoś mi nie pasowało, że będziesz miał dziecko. Paul Junior? Nie, nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Takie rzeczy łatwo się załatwia, wystarczy skorzystać z pomocy miejscowych talentów. Powstańców z wybałuszonymi oczami, którzy marzą o Allahu i rajskich dziewicach. Obawiam się, że nikt poza mną nie dostrzegł w tym ironii: ładunek skonstruowano na bazie nawozu do płodów rolnych. Ale sam pomyśl: ty, dzieciobójca. Jaki byłby z ciebie ojciec?

Janson miał wrażenie, że zamienił się w kamień.

Demarest westchnął głęboko.

– No cóż, powinienem już iść. Wiesz, mam wielkie plany względem świata. Prawdę mówiąc, rozwiązywanie konfliktów mnie nudzi. Wywoływanie konfliktów jest o wiele ciekawsze. Walka, rozlew krwi, to ludzi rajcuje. Niech mają to, czego chcą.

– Ty nie otrzymasz tego przywileju. – Janson z trudem wydobywał słowa.

Demarest uśmiechnął się.

– *Carpe diem*. Chwytaj dzień. *Carpe mundum*. Czemu nie powinienem korzystać z dobrodziejstw tego świata?

– Zrobili z ciebie boga, chociaż nie mieli na własność nieba. – Janson przypomniał sobie słowa prezydenta.

– Niebo nawet dla mnie jest nie do pojęcia. Ale mam otwarty umysł. Prześlij mi raport, kiedy już będziesz na miejscu. Ciekaw jestem, jak ci pójdzie ze świętym Piotrem u bram raj. – Pół metra dzieliło czoło Jansona od wylotu lufy. Twarz Demaresta pozbawiona była wyrazu. – *Bon voyage* – powiedział, kładąc palec na spuście.

Janson poczuł, że trysnęło mu na twarz coś ciepłego. Zamrugął

oczami. Na czole Demaresta dostrzegł ranę wylotową. Brak szyby w oknie umożliwił snajperowi strzał tak precyzyjny, jakby strzelał z bliska.

Janson ujął w dłonie twarz byłego dowódcy, powstrzymując go przed upadkiem.

– *Xin loi* – powiedział.

Tak mi przykro.

Na twarzy Demaresta malował się niezmałony spokój, jakby medytował albo pogrążył się w głębokim śnie.

Janson wypuścił go z objęć, a Demarest padł na podłogę bez życia.

• • •

Gdy spojrział przez staroświecką lunetę Zinsou, dostrzegł Jessie dokładnie tam, gdzie kazał jej zająć stanowisko: na drugim brzegu East River, na dachu dawnej rozlewni, pod gigantycznym neonem. Szybkimi, wyćwiczonymi ruchami wkładała do walizeczki rozmontowane części karabinu. Potem spojrzała w jego stronę, jakby czuła na sobie jego wzrok. I nagle, całkiem niespodziewanie, Janson pomyślał, że wszystko będzie dobrze.

Odjął od oczu lunetę i wyrzwał przez okno. Lekki wiatr owiewał mu twarz. Hunter's Point – Ambona Myśliwego. Nazwa w sam raz.

Nad głową jego ukochanej w gęstniejącym mroku świecił na czerwono ogromny neon Pepsi-Coli. Janson zmrużył oczy. Czerwone światło odbijało się w wodach East River, która przez chwilę wyglądała jak rzeka krwi.

Rozdział 43

– Chciałbym panu podziękować, panie Janson. Witamy w zespole – powiedział prezydent Charles W. Berquist Junior zasiadający u szczytu owalnego stołu. Towarzyszyła mu grupka ludzi – głównie wyższych urzędników i analityków z najważniejszych w kraju agencji wywiadowczych – którzy ukradkiem zjawili się w eleganckim, choć nijakim budynku na Szesnastej Ulicy, korzystając z bocznych wejść, tak by nie zwracać niczyjej uwagi. Żadnych kamer, żadnych rejestrów. Także to spotkanie nie odbywało się oficjalnie. – Naród ma u pana dług wdzięczności, o którym nigdy się nie dowie. Ale ja jestem go świadom. Chyba nie będzie pan zaskoczony, otrzymując kolejną gwiazdkę za osiągnięcia w kontrwywiadzie.

Janson wzruszył ramionami.

– Powinienem chyba zająć się sprzedażą złomu.

– Mam dla pana dobrą wiadomość. Chciałem przekazać ją osobiście. Dzięki panu mogliśmy wskrzesić program Möbius. Razem z Dougiem i zespołem kilkakrotnie omówiliśmy szczegóły. Wygląda to naprawdę nieźle.

– Tak?

– Nie wydaje się pan zaskoczony – stwierdził prezydent obojętnym tonem. – Zapewne wziął pan pod uwagę tę możliwość.

– Od dawna mam do czynienia ze strategami z Waszyngtonu.

Nic mnie już nie zaskoczy.

Prezydent zrobił nachmurzoną minę. Nie spodobał mu się ton agenta.

– Mówi pan o ludziach, którzy angażują w program prawdziwie niezwykle umiejętności.

– Owszem. I są niezwykle aroganccy. – Janson pokręcił głową powoli. – Tak czy inaczej, nie wchodzę w to.

– Nie powinieneś zwracać się w ten sposób do prezydenta – wtrącił Douglas Albright, wiceszef Agencji Wywiadu Obronnego.

– Nigdy niczego się nie nauczycie? – odgryzł się Janson.

– Nauczyliśmy się całkiem sporo – odparł Albright. – Nie popełnimy dwa razy tego samego błędu.

– To prawda. Tym razem popełnicie inne błędy.

– Rezygnacja z programu na tym etapie oznaczałaby zaprzepaszczenie dziesiątek tysięcy roboczogodzin – odezwał się sekretarz stanu. – Dla świata Peter Novak wciąż istnieje.

– Możemy stworzyć go na nowo, dodając szereg nowych zabezpieczeń – powiedział Albright. Spojrzał na sekretarza z nieskrywanym entuzjazmem. – Są setki sposobów, żeby zapobiec temu, co zrobił Demarest.

– Nie wierzę wam – mruknął Janson. – Kilka dni temu wszyscy przyznaliście, że to był kolosalny błąd. Że pomyliliście się w ocenie sytuacji, zarówno z punktu widzenia polityki, jak i moralności. Zrozumieliście – przynajmniej tak mogło się wydawać – że plan, oparty na gigantycznym oszustwie, musi zakończyć się kląpą. A jego skutki są nieprzewidywalne.

– Wpadliśmy w panikę – przyznał sekretarz stanu. – Nie myśleliśmy w sposób racjonalny. Chcieliśmy, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Ale później Doug wyjaśnił nam sytuację na spokojnie.

Program nadal ma nadzwyczajny potencjał. To tak jak z energią atomową: oczywiście, zawsze istnieje ryzyko katastrofy. Nikt w to nie wątpi. Ale potencjalne korzyści dla ludzkości przeważają. – Przemawiał teraz gładkim, dźwięcznym głosem, jak wyższy rangą dyplomata, który występuje na konferencjach prasowych i w telewizji. Wydawał się całkiem inną osobą niż tamten wystraszony mężczyzna w tajnej rezydencji. – Gdybyśmy zrezygnowali z energii atomowej ze względu na coś, co się nie wydarzyło, tym samym uchylalibyśmy się od odpowiedzialności jako przywódcy polityczni. Rozumiesz to, prawda? Rozumiemy się?

– W ogóle nie nadajemy na tych samych falach!

– Opanuj się – upomniał go Albright. – Sprawa wygląda tak, że zawdzięczamy to tobie. Poradziłeś sobie doskonale. To dzięki tobie możemy wskrzesić program. – Nie musiał wdawać się w szczegóły. Dwóch fałszywych Novaków, przykrytych prześcieradłami, szybko wyniesiono z budynku Sekretariatu i przewieziono w różne miejsca. – Dubler szybko dochodzi do siebie. Jest przetrzymywany w jednym z naszych pilnie strzeżonych kompleksów. Przesłuchujemy go przy użyciu substancji chemicznych. Tak jak przypuszczałeś, jest przerażony, gotów do współpracy. Oczywiście Demarest nigdy nie powierzył mu kodów. Ale to nie problem. Odkąd przestał nimi manipulować, nasi technicy odzyskali dostęp do systemu. Mamy nad nim kontrolę.

– Dokładnie ten sam błąd popełniliście wcześniej: wyobrażaliście sobie, że macie kontrolę. – Janson powoli pokręcił głową.

– Na pewno mamy kontrolę nad dublerem Demaresta – powiedział technik z poszarzałą twarzą, którego Janson zapamiętał ze spotkania w górskiej posiadłości. – To Laszlo Kocsis. Uczył angielskiego

w technikum na Węgrzech. Półtora roku temu przeszedł operację plastyczną. W jego przypadku zadziałała metoda kija i marchewki. Krótko mówiąc, gdyby pomógł Demarestowi zrealizować jego plan, dostałby dziesięć milionów dolarów. W przeciwnym razie zginęłaby cała jego rodzina. To słaby człowiek. Praktycznie chodzi u nas na pasku.

– Tak jak przewidziałeś – stwierdził uprzejmie mężczyzna z Agencji Wywiadu Obronnego. – Chcemy mu zaproponować małą wysepkę na Karaibach. W sam raz dla odludka. Zostanie uwięziony w złotej klatce. Nie pozwolimy mu samodzielnie opuszczać wyspy. Przez całą dobę będą go strzec agenci Wydziału Operacji Konsularnych. Pożyczyliśmy fundusze z Fundacji Wolności na pokrycie kosztów operacji.

– Nie odchodźmy od tematu – przerwał mu prezydent z cierpkim uśmiechem. – Najważniejsze, że zaprowadziliśmy porządek.

– A program Möbius znowu ruszył pełną parą – skonstatował Janson.

– Dzięki tobie – rzekł Berquist. Puścił do niego oko, demonstrując życzliwe nastawienie.

– Udoskonalony – dodał Albright. – Dostaliśmy nauczkę.

– Tak więc nasza decyzja jest logicznie uzasadniona – podsumował sekretarz stanu.

Prezydent miał przed sobą pełne samozadowolenia twarze mężczyzn i kobiet, zebranych w Centrum Meridian – wyższych rangą urzędników służby cywilnej, dyrektorów departamentów, analityków, członków waszyngtońskiej elity. Pozostałych przy życiu autorów programu. Zawsze byli najlepsi, najbystrzejsi. Już w dzieciństwie dostawali najwyższe oceny, osiągalni najlepsze wyniki na egzaminach.

Na wszystkich etapach kariery cieszyli się uznaniem przełożonych. Wierzyli przede wszystkim w siebie. Wiedzieli, że wszelkie środki są dopuszczalne, jeśli uświęca je cel. Byli przekonani, że każda niewiadoma zmienna podlega prawdopodobieństwu, a niepewność to nic innego, jak precyzyjnie wkalkulowane ryzyko.

Wprawdzie nieoczekiwane kaprysy ludzkiej natury zdziesiątkowały ich szeregi – to jednak czegoś się nauczyli.

– Moja gra, moje reguły – oznajmił Janson. – Panie i panowie, ogłaszam koniec programu.

– I kto to mówi? – Prezydent Berquist parsknął śmiechem.

– Pan.

– Co w ciebie wstąpiło, Paul? – Prezydent poczerwieniał na twarzy.

– Gadasz od rzeczy.

– To często mi się zdarza. – Janson spojrzał mu prosto w oczy. – Wie pan, jak mawiają w Waszyngtonie: sojusznicy się zmieniają, interesy nie. To nie pan opracował ten program, pan tylko go odziedziczył, podobnie jak pański poprzednik, jego poprzednik i tak dalej.

– To samo dotyczy wielu innych projektów, od programu obrony po politykę monetarną.

– Jasne. Pracują nad tym ludzie, którzy spędzają w Waszyngtonie całe życie. Przetrwali niejedną administrację. Z ich punktu widzenia pan jest tu tylko przejazdem.

– Trzeba myśleć długofalowo. – Prezydent wzruszył ramionami.

– Jedno pytanie, panie prezydencie. Właśnie otrzymał pan i przyjął, wbrew przepisom, prywatną darowiznę w kwocie półtora miliona dolarów. – Janson wyobraził sobie, jak Grigorij Berman rechoce u siebie w domu. Takie figle na wielką skalę zawsze niezmiernie go

cieszyły. – Jak pan to wytłumaczy przed Kongresem i narodem amerykańskim?

– O czym ty mówisz, do cholery?!

– Mówię o głośnym skandalu. O nowej Watergate, tyle że do potęgi dziesiątej. Mówię o niechlubnym końcu pańskiej kariery politycznej. Proszę zadzwonić do swojego bankiera. Na pańskie konto osobiste wpłynęła siedmiocyfrowa suma, przelana z rachunku Petera Novaka w Banku ING. Podpisów cyfrowych nie da się sfalszować, a przynajmniej nie jest to proste. Wygląda więc na to, że zagraniczny magnat wciągnął pana na swoją listę płac. Podejrzliwy członek opozycji miałby nad czym się głowić. Być może ustawa o tajemnicy bankowej, którą podpisał pan w zeszłym tygodniu, ma z tym coś wspólnego? A może chodzi o coś więcej? Prokurator specjalny będzie miał pełne ręce roboty przez kilka następnych lat. „Washington Post” opublikuje artykuł na cztery szpalty: „Prezydent opłacany przez miliardera? Śledztwo w toku”. I tak dalej w tym stylu. Nowojorskie tabloidy zamieszczą chamskie teksty w rodzaju: „Prezydent do wynajęcia”. Wie pan, jak wygląda cały ten cyrk medialny. Podniesie się taka wrzawa, że nie usłyszysz pan własnych myśli.

– To jedna wielka bzdura! – wybuchnął prezydent.

– Wszyscy z zapartym tchem będziemy słuchać pańskich wyjaśnień w Kongresie. Departament Sprawiedliwości, a także najważniejsi członkowie Senatu i Izby Reprezentantów zostaną jutro poinformowani o szczegółach. Poczta elektroniczną.

– Ale Peter Novak...

– Novak? Na pana miejscu dałbym sobie spokój z Novakiem. Wygląda na to, że żaden z was nie obroni swojej reputacji.

– Żartujesz.

– Proszę porozumieć się z bankierem.

Prezydent świdrował go wzrokiem. Dzięki instynktowi, osobistemu i politycznemu, piastował najwyższy urząd w kraju. Instynkt podpowiadał mu, że Janson nie blefuje.

– Popełniasz straszny błąd – warknął.

– Mogę to wszystko odkręcić – odparł Janson. – Jeszcze nie jest za późno.

– Dziękuję.

– Ale wkrótce będzie. Dlatego musi pan podjąć decyzję w sprawie programu.

– Ale...

– Proszę zadzwonić do bankiera.

Prezydent wyszedł z sali. Minęło kilka minut, zanim wrócił.

– To zasługuje na najgłębszą pogardę. – Surowa, skandynawska twarz wykrzywiła się w wyrazie niepohamowanej wściekłości. – Jak mogłeś?! Boże, służyłeś krajowi z niewiarygodnym oddaniem.

– W ramach wdzięczności wydaliście na mnie wyrok śmierci.

– Już to sobie wyjaśniliśmy. – Berquist posłał mu gniewne spojrzenie. – Uciekasz się, ni mniej, ni więcej, do szantażu.

– Nie odchodźmy od tematu – odparł Janson beznamiętnie.

Prezydent wstał. Miał napiętą twarz i mrugał szybko oczami.

Znów usiadł bez słowa. Nieraz potrafił zakrzyczeć krnąbrnego oponenta. Ujmował swoim wdziękiem zniechęconych i opornych. Da radę.

– Całe życie poświęciłem służbie państwu – odezwał się głębokim barytonem. Jego słowa brzmiały poważnie i szczerze.

– Leży mi na sercu dobro tego kraju. Musisz to zrozumieć. Żadnych decyzji nie podejmowałem bezmyślnie ani cynicznie. Kiedy mnie

zaprzysiężono, obiecałem chronić naród i bronić go. Dwadzieścia lat wcześniej tę samą przysięgę złożył mój ojciec. Traktuję ten obowiązek z najwyższą powagą...

Janson ziewnął.

– Derek – prezydent zwrócił się do dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych, który siedział po drugiej stronie stołu i dotąd nie odezwał się ani słowem. – Porozmawiaj z nim. Przemów mu do rozsądku.

Podsekretarz Derek Collins zdjął grube, czarne okulary i rozmasował czerwony ślad na nosie. Sprawiał wrażenie osoby, która za chwilę zrobi coś, czego najpewniej będzie żałować.

– Wiele razy próbowałem ci powiedzieć: nie znasz tego człowieka. Nikt z was go nie zna.

– Derek? – Głos prezydenta zabrzmiał prosząco.

– Chronić naród i bronić go – ciągnął Collins. – Wielkie słowa. Poważna odpowiedzialność. Piękny ideał, który czasem wymaga paskudnych posunięć. – Spojrzał na Jansona. – W tym pokoju nie ma świętych. Ale okażmy nieco szacunku podstawowym zasadom demokracji. Jest wśród nas człowiek, który przeszedł długą drogę, kierując się zdrowym rozsądkiem i zwykłą przyzwoitością. To twardy sukinsyn i najprawdziwszy patriota. Można się z nim zgodzić lub nie, ale koniec końców, to on musi podjąć decyzję...

– Dziękuję ci, Derek – rzekł prezydent Berquist, pełen powagi, lecz wyraźnie zadowolony.

– Mówię o Paulu Jansonie – dokończył Collins, nie odrywając wzroku od prezydenta. – A jeśli nie zrobi pan tego, o co prosi, panie prezydencie, jest pan większym głupcem, niż myślałem.

– Podsekretarzu Collins – warknął Berquist. – Gotów jestem przyjąć

pańską rezygnację.

– Panie prezydencie – odparł Collins spokojnie. – Gotów jestem przyjąć pańską.

Berquist zamarł.

– Do jasnej cholery, Janson! Widzisz, co narobiłeś?

Janson spojrział na dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych.

– Jak na jastrzębia, całkiem nieźle swiergoczesz – przyznał z półuśmiechem.

Odwrócił się do prezydenta.

– Powinien pan wziąć pod uwagę, co próbujemy panu powiedzieć. Rada, którą pan otrzymał, mówi być może więcej o obawach pańskich doradców, niż o pana własnych. Powinien pan godzić różne interesy. Pan także, panie sekretarzu. – Zerknął na sekretarza stanu, który wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać ataku mdłości. Znów zwrócił się do Berquista. – Jak już mówiłem, z punktu widzenia większości osób zgromadzonych w tym pokoju jest pan tu tylko na chwilę. Oni byli przed panem i będą tu nadal, kiedy pan ustąpi. Pana najpilniejsze, osobiste interesy nie mają dla nich większego znaczenia. Chcą, żeby myślał pan długofalowo...

Berquist milczał przez chwilę. W głębi duszy był pragmatykiem, przywykł do chłodnych, twardych kalkulacji, od których zależało przetrwanie w świecie polityki. Wobec tej podstawowej arytmetyki wszystko inne miało drugorzędne znaczenie. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Zmusił się do uśmiechu.

– Paul – powiedział. – Obawiam się, że to spotkanie kiepsko się zaczęło. Chętnie cię wysłucham.

– Panie prezydencie – zaprotestował Douglas Albright. – To wysoce

niestosowne. Już to przerabialiśmy i...

– Dobrze, Doug. Masz pomysł, jak odkręcić to, co wymyślił Paul Janson? Nie słyszałem, żeby którykolwiek z was odniósł się do tej konkretnej kwestii.

– To są dwie różne rzeczy! – zagrzemiał Albright. – Mówimy o długofalowej współpracy pewnej geopolitycznej wspólnoty, nie o przyszłej chwale drugiej administracji Berquistów! Nie da się tego porównać! Möbius to potęga. Tu wchodzi w rachubę tylko jedna decyzja.

– A grożący nam skandal polityczny?

– To pan będzie musiał stawić mu czoło, panie prezydencie – stwierdził Albright ze spokojem. – Przykro mi. Może wyjdzie pan z tego obronną ręką. To wasza specjalność, prawda? Obniży pan podatki, zapoczątkuj e kampanię przeciw Hollywood, wypowie wojnę Kolumbii – cokolwiek zasugerują sondaże. Amerykanie mają krótką pamięć. Wybacz pan, że powiem wprost, ale nie wolno panu poświęcić programu na ołtarzu własnych ambicji politycznych.

– To ciekawe, Doug, zawsze wiesz, co mogę i czego nie mogę zrobić. – Berquist pochylił się nad nim i ścisnął go za ramię. – Ale myślę, że dość już powiedziałeś na dziś.

– Panie prezydencie...

– Przymknij się, Doug – przerwał mu Berquist. – Myślę. Próbuję dokonać ponownej oceny swojej dotychczasowej polityki.

– Ja mówię o perspektywie skonstruowania na nowo globalnych systemów politycznych. – Albright niemal piszczął z oburzenia. – A pan o swoich szansach na reelekcję.

– Akurat tu masz rację. Może jestem tradycjonalistą, ale marzę o drugiej kadencji. – Odwrócił się do Jansona. – Twoja gra, twoje

reguły. Zgadzam się.

– Doskonały wybór, panie prezydencie – stwierdził Janson obojętnym tonem.

Berquist posłał mu uśmiech, w którym zawierał się jednocześnie rozkaz i błagalna prośba.

– A teraz, do cholery, oddaj mi moją prezydenturę.

The New York Times

PETER NOVAK NIE BĘDZIE DŁUŻEJ KIEROWAŁ FUNDACJĄ WOLNOŚCI

MILIARDER I FILANTROP PRZEKAZUJE IMPERIUM W RĘCE MIĘDZYNARODOWEJ
RADY POWIERNICZEJ

MATHIEU ZINSOU NOWYM DYREKTOREM

Jason Steinhardt

AMSTERDAM. Na konferencji prasowej w kwaterze głównej fundacji w Amsterdamie legendarny finansista i filantrop Peter Novak ogłosił, że zrzeka się tytułu dyrektora Fundacji Wolności, organizacji, którą sam stworzył i którą zarządzał przez ponad piętnaście lat. Pod względem finansowym byt fundacji nie jest zagrożony: Novak zamierza przekazać jej wszystkie środki trwałe. Fundacja ma się rekonstruować jako publiczny fundusz powierniczy. Międzynarodowy zarząd zasilą wybitni obywatele z całego świata pod przewodnictwem sekretarza generalnego ONZ Mathieu Zinsou. „Zrobiłem swoje”, powiedział Peter Novak, odczytując z kartki oficjalne oświadczenie. „Fundacja Wolności musi być potężniejsza niż pojedynczy człowiek, który nią zarządza. Zawsze chciałem, by kontrolę nad nią sprawował urząd publiczny, rozliczany przez społeczeństwo. Rozpoczynamy nowy rozdział w historii, a naszym hasłem przewodnim będzie klarowna polityka”.

Wystąpienie Novaka wywołało na ogół przychylne komentarze. Niektórzy z obserwatorów byli nieco zaskoczeni, inni twierdzili, że już dawno spodziewali się takiego rozwoju wypadków. Źródła zbliżone do Novaka twierdzą, że do jego decyzji przyczyniła się niedawna śmierć żony. Inni spekulują, że jego samotnicza natura coraz bardziej pozostawała w sprzeczności z wymaganiami, jakie nakładała na niego pozycja

szefa fundacji o globalnym zasięgu. Novak nie chciał rozmawiać z mediami o swoich dalszych planach. Jego najbliżsi współpracownicy podejrzewają, że pragnie całkiem wycofać się z życia publicznego. „Nie będzie o czym pisać, panowie”, stwierdził ironicznie jeden z jego zastępców. Ale tajemniczy miliarder nieraz już zaskakiwał, a ci, którzy znają go najlepiej, zgadzają się, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

– Wróci – stwierdził Jan Kubelik, minister spraw zagranicznych Republiki Czeskiej, który przyjechał na konferencję Grupy G-7. – Wróci na pewno. Jeszcze pokaże, na co go stać.

Epilog

Smukła, gibka kobieta z ciemnymi nastroszonymi włosami leżała nieruchomo na brzuchu z karabinem gotowym do strzału. W cieniu dzwonnicy była całkowicie niewidoczna. Gdy spoglądała z nad lunety, widok czerwonych dachów Dubrownika wydawał się jej dziwnie płaski, jak kolorowa mozaika ułożona z fragmentów starych ceramicznych naczyń. Pod dzwonnica, na której czekała od kilku godzin, zbierały się tłumy ludzi. Zapełniali rzędy drewnianych ławek, ustawionych w samym centrum starego miasta.

Wierni, oddani wyznawcy. Wiedzieli, że papież postanowił rozpocząć wizytę w Chorwacji od mszy w mieście, które stało się symbolem cierpienia jej obywateli. Minęło ponad dziesięć lat, odkąd armia jugosłowiańska oblegała to portowe miasto nad Adriatykiem, ale wspomnienie wojny dotąd nie wyblakło.

Wielu miało ze sobą małe, laminowane zdjęcia uwielbianego papieża. Urzekł ich nie tylko przekaz jego wypowiedzi, ale też niewątpliwa charyzma i autentyczne współczucie. Miał odwagę potępiać przemoc i terroryzm także poza bezpiecznymi murami Watykanu. Swoje przesłanie pokoju niósł w bastionach konfliktów i separatyzmu. Pojawiły się nawet pogłoski, że papież zechce odnieść się do tej części historii, o której większość Chorwatów wolałaby zapomnieć. W odwiecznym konflikcie między katolikami

i prawosławnymi jedni i drudzy mieli niejedno na sumieniu. Zdaniem papieża nadszedł czas, żeby Watykan i Chorwacja zaakceptowały brutalną prawdę o czasach, kiedy krajem rządili Ustasze.

Papież nie wątpił, że przywódcy kraju i większość obywateli zareagują na jego przemówienie konsternacją, ale jego odwaga moralna paradoksalnie przysparzała mu zwolenników. Z drugiej strony, potwierdziły się doniesienia – Janson otrzymał wiarygodne raporty od agentów z Zagrzebia – że zorganizowano spisek na jego życie. Grupa rozgoryczonych serbskich separatystów postanowiła pomścić krzywdy, zabijając człowieka, którego naród chorwacki, w większości katolicki, otaczał taką czcią. Z Serbami zmówiła się po cichu grupa chorwackich narodowców: obawiali się reform proponowanych przez papieża i chcieli wyplenić zdradzieckie mniejszości, jakie zagnieździły się w ich szeregach. Po tak potwornej prowokacji – czy mogło być coś bardziej potwornego niż zamach na uwielbianego przez masy papieża? – nikt nie odważyłby się stanąć im na drodze. Przecież nawet zwykli obywatele chętnie zgodzą się na czystki.

Oczywiście, jak wszyscy ekstremiści, nie potrafili przewidzieć dalekosiężnych skutków swoich działań. Zabójczy spisek Serbów obróciłby się przeciw nim. Znów bratobójcza krew popłynęłaby wzburzoną falą. Znów interweniowałby serbski rząd, podejmując na nowo okupację Dubrownika i innych chorwackich miast. Z kolei Chorwacja musiałaby ogłosić wojnę przeciw Serbii. Ten wyjątkowo niestabilny zakątek Europy na nowo ogarnęłaby wojenna pożoga. Sąsiadujące ze sobą kraje raz jeszcze podzieliłyby się na wrogów i sojuszników, a co by z tego wynikło, Bóg raczy wiedzieć. Kolejny światowy konflikt, wywołany zabójstwem na Bałkanach.

Średniowieczne uliczki Dubrownika omiótł lekki powiew wiatru. Nienagannie ubrany mężczyzna z krótkimi, siwymi włosami przechadzał się niespiesznie ulicą Bozardara Filipovicza, nie zwracając na siebie uwagi.

– Na godzinie pierwszej – powiedział cicho. – Budynek mieszkalny pośrodku ulicy. Górne piętro. Widzisz coś?

Kobieta nieznacznie zmieniła pozycję i spojrzała przez lunetę. Zobaczyła snajpera w pozycji strzeleckiej. Rozpoznała pooraną bliznami twarz: Milić Pavlović. Nie był jednym z serbskich fanatyków, lecz dobrze wyszkolonym, skutecznym zabójcą, który widocznie zaskarbił sobie ich zaufanie.

Terroryści wysłali najlepszego z najlepszych.

Watykan podobnie: pragnął wyeliminować zabójcę, tak by świat o niczym się nie dowiedział.

Janson i Kincaid oficjalnie zajmowali się teraz ochroną VIP-ów. Jak podkreślała Jessica, miliony na koncie Jansona na Kajmanach należały tylko do niego. W końcu kto je zarobił, jak nie on? Mimo wszystko nie zamierzali jeszcze przechodzić na emeryturę. Janson już tego próbował – próbował oszukać własną naturę. To nie było dobre rozwiązanie – ani dla niego, ani dla nich obojga. Nie chciał w swoim życiu hipokryzji, która leżała u podstaw nieposkromionej pychy strategów. Tak czy inaczej, żadne z nich nie zostało stworzone do zwykłego, spokojnego życia na prowincji. „Mała wysepka na Karaibach? Już to przerabiałem”, powiedział kiedyś Janson. „Szybko się nudzi”. Za to dzięki obfitym rezerwom gotówki mogli wybierać sobie klientów. I nie musieli oszczędzać na kosztach.

Kincaid odezwała się cicho do mikrofonu.

– Cholerny kevlar. – Rozprostowała gibkie ciało, opięte ciasną

kamizelką kuloodporną. Zawsze było jej w niej za gorąco, ale Janson nalegał, żeby na czas akcji miała ją na sobie. – Powiedz prawdę. Nie wyglądam za grubo?

– Liczysz na szczerą odpowiedź, kiedy masz nabój w komorze?

Jessie oparła kolbę o policzek. Serbski snajper z pobrużdżoną twarzą rozstawił dwójnog i umieścił magazynek w karabinie.

Papież miał się pojawić za kilka minut.

Jessie usłyszała w słuchawce głos Jansona.

– Wszystko w porządku?

– Idzie jak w zegarku, złotko.

– Ale uważaj, dobrze? Pamiętaj, na stanowisku B mają drugiego snajpera. Jeśli się zdradzisz, od razu cię namierzy.

– Panuję nad sytuacją – zapewniła go, przepelniona spokojem, typowym dla doświadczonego strzelca wyborowego.

– Wiem. Po prostu uważaj na siebie.

– Nie martw się, skarbie – odparła. – Pójdzie jak z płatka.

¹ Jr 31, 29, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.

² Fragment wiersza Roberta Herricka „Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły”,
w przekładzie Stanisława Barańczaka.

³ 2 Kor 6, 14, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań 2003.